PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK PIĄTY. — TOM XVII.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1888.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1888.

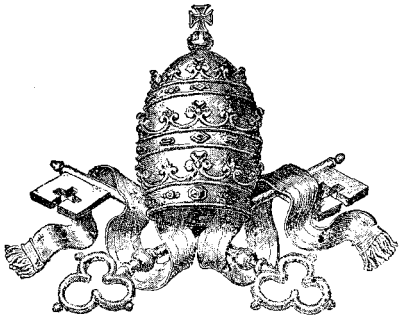

JUBILEUSZ LEONA XIII.

31 Grudnia 1887.

Gdzież są ci, którzy mówią, że Kościół się przeżył? Oto na schyłku XIX wieku, tego wieku, w którym tyle wielkich rzeczy przeżyło się i zamarło, Kościół podnosi czoło, na którem nikt nie dostrzeże zmarszczki starości — *sine macula et ruga.* Serce jego bije tak żywo, że nadstawiwszy ucha nie podobna wątpić o pełni jego zdrowia, a w żyłach jego organizmu, który dziś już całą kulę ziemską obejmuje, pulsuje krew równie młoda, jak ta co płynęła po arenie rzymskiego kolosseum. Dziś Kościół święci jubileusz kapłaństwa swej najwyższej Głowy, a cały świat wzrusza się tym obchodem: monarchowie i rzeczypospolite z całej ziemi, niewierni nawet i pogańscy władcy przesyłają królewskie dary i hołdy; ludy wie-

rzące niosą ze wszech stron świata wspaniałe dowody swej miłości i synowskiego poddaństwa; bogaci i ubodzy, cywilizowani i na wpół dzicy, ludzie biali i żółci i czarni łączą się w jednej modlitwie za powszechnego Pasterza i składają do jednej skarbonki ofiary swego serca. Widzieliśmy tymi czasy wspaniałe jubileusze: dokoła sędziwego cesarza Niemiec stanęło 85 królów i książąt, u stóp królowej Wiktoryi zebrały się różnobarwne twarze i stroje przedstawicieli 300 milionów jej poddanych — ale podobnego hołdu jak dzisiejszy świat jeszcze nie widział.

Czemu przypisać tę bezprzykładną manifestacyę? czy temu głębokiemu rozumowi Leona XIII., przed którym czołem biją spółcześni? czy tej mądrości i roztropności, która wśród napiętrzonych przeszkód i niechęci toruje sobie drogę? czy tej dobroci i cierpliwości prawdziwie apostolskiej, która rozbraja przeciwników? — Niezawodnie osobiste przymioty dziś uroczystującego Papieża przyczyniły się w znacznej części do dzisiejszego tryumfu. Leon zrozumiał swój wiek, jako wiek grzeszący więcej niewiadomością aniżeli złością. Wiek XVIII, w którym niewątpliwie więcej było świadomej złości, zatruł źródła prawdy, przekazał naszemu stuleciu historyę sfałszowaną, filozofię i naukę ateistyczną, prawo publiczne oparte na zasadach 89 r., oswobodzone od Boga i sumienia; nasze stulecie na tem chlebie wychowane, grzeszy przedewszystkiem ignorancyą i zwątpieniem, wątpi nietylko o prawdzie bożej ale i o sobie, i zasługuje po części na tę litościwą wymówkę, którą Chrystus Pan zasłaniał przed Ojcem

tych co go krzyżowali. Otóż Leon XIII tak pojmując swój wiek, wstrzymuje na swych ustach anatema, na które zasługuje herezya, hamuje w swem sercu oburzenie, jakie wywołują gwałty i krzywdy wyrządzane członkom Chrystusowym — a poucza dobrotliwie, poucza panujących i polityków, że wiara zdolna jest odrodzić więdnące organizmy społeczne i między narodami przywrócić pokój, tj. stateczność porządku *tranquillitatem ordinis* [1]) — poucza warstwy pracujące i cierpiące niedostatek, że w słowach żywota, których on jest szafarzem, znajdują się leki na ich bóle, i rzetelne kwestyi społecznej rozwiązanie — poucza myślicieli i wszelkich badaczy, że na tej „kolumnie prawdy“ [2]), której on jest fundamentem świeci pochodnia, która nie przeszkadza im badać samodzielnie, ale rozświeca drogę wiodącą ku prawdzie... I to spokojne, cierpliwe, magistralne i ojcowskie pouczanie Leona trafia do umysłów naszego wieku — i wtoruje mu chór uwielbień dla mądrości Papieża. *Lumen de coelo.*

Głębiej jednak w rzecz wglądnąwszy, łatwo się przekonać, że siła co wywołała tak ogromny i tak powszechny objaw, co poruszyła wszystkie warstwy ludów od bieguna do bieguna, jeszcze głębiej tkwić musi aniżeli w osobistych zaletach i czynach Leona XIII.

Dlatego świat się wzrusza, bo papież, Głowa katolickiego Kościoła uroczystuje — ten papież, który żadnej już mocy nie posiada, prócz mocy wiary ka-

[1]) Definicya św. Augustyna *De Civit.*

[2]) *(Ecclesia) quae est columna veritatis.* (I. Tim. III, 15).

tolików. Musi doprawdy ta wiara być zawsze potężną, kiedy tyle waży na szali nawet wieku w materyalizmie pogrążonego. Istotnie, jedni ślą dary i serca do Watykanu, bo wierzą, że starzec w nim zamknięty jest Namiestnikiem Chrystusa na ziemi; drudzy, choć nie wierzą, ślą zarówno dań swych hołdów, bo czują, że wiara tych co wierzą jest realną i olbrzymią w świecie potęgą; i tak jedni i drudzy — i ci co z przekonania i co z politycznego rozumu to czynią — zarówno świadectwo dają żywotności Kościoła i zwycięstwu wiary.

„Wiara — tak pisał o niej przed ośmnastu wie-
„kami męczennik Ireneusz — przechowuje się w Ko-
„ściele przez Ducha Bożego, jak w wybornem naczy-
„niu olejek drogocenny, który się wciąż odmładnia,
„i odmładnia zarazem zawierające go naczynie. Jest
„to dar boży udzielony Kościołowi, podobnie jak ciału
„dana jest dusza ku ożywianiu wszystkich członków,
„co z nim są spojone. W nim też jest uczestnictwo
„Chrystusa, tj. Duch Św., zadatek nieskazitelności
„i utwierdzenie wiary naszej i dźwignia wznoszenia
„się naszego do Boga“. — Oto sekret tego zjawiska dziejowego, które wiecznie w zdumienie wprawia nieświadomych. Każdy wiek z kolei zapowiada Kościołowi zgon — wieki mijają — a Kościół równie pełen życia: bo on posiada tajemniczy pierwiastek odmładniania się — wiarę z nieba daną.

I dziś, po ośmnastu wiekach od słów Ireneusza, ta wiara porusza świat, wznosi niewierzących, wstrząsa i tymi, co jej do serca nie wpuszczają.

Żeby się o tem przekonać dosyć rzucić okiem na to co nam temi dniami prasa całego świata o tym jubileuszu papieskim donosi. Niepodobna na tych paru kartkach objąć całości tych nieprzeliczonych objawów czci dla Głowy Kościoła, poprzestajemy więc na wybraniu prawie od przypadku rozmaitych szczegółów, dających wyobrażenie o wszystkiem.

Najprzód idą pielgrzymki. Miasto wieczne zepchnięte przez sektę do rzędu stolic jednego kraju, okazuje się znowu w tych dniach w całej pełni tem, czem nigdy być nie przestało: stolicą całego chrześcijaństwa, w której bezustannie rozgrywają się sprawy cały świat obchodzące, i do której cały świat pielgrzymuje. Do Papieża, który kwestyę socyalną pierwszy podniósł, do najwyższego opiekuna wszystkich biednych i pokrzywdzonych, przybyli pierwsi z hołdami swymi robotnicy francuscy i usłyszeli słowa pociechy i naukę, która zadecydować może o przyszłych losach społeczeństwa. W niewiele dni później stanęło w salach Watykańskich 800 pielgrzymów węgierskich; i znowu Papież przypomniał tym prałatom i magnatom: Simorom, Esterhazym, Zichym, Szaparym, wzniosłe przestrogi dane w Encyklice *Quod Multum* [1]), napomniał, by dzisiejsi Węgrzy nie odradzali się od szlachetnych i wielkich, bo chrześcijańskich zasad i czynów swych przodków. Po tych pierwszych pielgrzymkach wnet nastąpił i ma nastąpić cały szereg innych. Niemcy, Hiszpanie, Austryjacy, Czesi, Polacy, Portugalczycy, Szwajcarzy, zbiorą się w oznaczonych

[1]) Encyklika do Biskupów Węgierskich z r. 1886.

czasach przed tronem Ojca św., aby w różnych słowach, lecz z tem samem głębokiem przekonaniem i uczuciem, stwierdzić swą wiarę w słowa Chrystusowe: *Ty jesteś epoką... Tobie są dane klucze Królestwa niebieskiego.* Z dalekiego Meksyku ma przybyć do Rzymu około tysiąc pielgrzymów z wszystkich warstw społeczeństwa; na drzwiach kościołów hiszpańskich, po miastach, wsiach i wioskach, przybite olbrzymie ogłoszenia, zapraszają wiernych do wzięcia licznego udziału w pielgrzymce do wiecznego miasta; zgromadzenie katolików w Dublinie przyjęło z entuzyazmem projekt urządzenia wielkiej pielgrzymki „dla oddania czci i wyrażenia wdzięczności Papieżowi, któremu Irlandya tyle ma do zawdzięczenia".

Ale pielgrzymi nie przychodzą z próżnemi rękami. Towarzyszą im lub uprzedzają ich szczodre, nieraz rzadkiej wartości dary, nadsyłane ze wszech stron dla Ojca św. od bogatych i ubogich, od królów, od misyonarzów, od biednych wyrobnic i dzieci. W ogrodach Watykańskich, w około pomnika „Nieomylności" stanęły obszerne i z wielkim gustem zbudowane pawilony, które dziś już pomieścić nie mogą nadeszłych i wciąż nadchodzących podarków. Obok wspaniałej złotej i brylantami wysadzonej tyary, daru cesarza Wilhelma, błyszczy jeszcze bogatsza może tyara przysłana przez cesarzową Austryjacką. Król Albert Saski nadesłał artystycznie wykonane *fac-simile* słynnej konstancyjskiej *Biblia pauperum*; Arcyksiążęta austryjaccy ofiarowali srebrny relikwiarz w stylu XV w. z 365 relikwiami świętych, ułożonych wedle kalendarzowego

porządku; u spodu relikwiarza wiją się misternie wyryte imiona wszystkich arcyksiążąt, począwszy od następcy tronu, aż do arcyksięcia Karola Jerzego, syna arcyksięcia Ottona. Królowa angielska złożyła Ojcu św. za pośrednictwem księcia norfolkskiego nadzwyczaj rzadki i cenny egzemplarz pierwszego wydania *Wulgaty;* cesarz brazylijski krzyż wysadzony brylantami; cesarz austryjacki i panie z najwyższej wiedeńskiej arystokracyi, złoty krzyż wartości 100,000 złr., którego pomysł pierwotny został przez samego cesarza Franciszka Józefa w kilku szczegółach zmieniony; książęta orleańscy, pastorał; nieszczęśliwa ekscesarzowa meksykańska, ornat własnej roboty; cesarzowa Eugenia, portret syna tragicznie zmarłego; król belgijski portrety swych rodziców; prezydent rzeczypospolitej francuskiej, wspaniałe porcelany z Sèvres; turecki sułtan i królowa hiszpańska drogocenne pierścienie.

Lecz nie sami tylko królowie pospieszyli z prawdziwie królewskimi darami. Tyara, ofiarowana przez paryskie panie olśniewa oko haftem z sześciuset drogich kamieni: rubinów, szafirów, brylantów i szmaragdów. Wandejczycy złożyli krzewicielowi nabożeństwa Różańcowego, złoty różaniec; magnaci węgierscy kielich ozdobiony 120 perłami; panie z Sewilli wielką broszę, gęsto zasianą 580 drogiemi kamieniami, przeważnie dyamentami; Szwajcarscy katolicy statuę Bł. Piotra Kanizego; mieszkańcy Karrary kilka posągów wykonanych artystycznym dłutem z miejscowego marmuru; marszałek Mac-Mahon parę naczyń porcelanowych z Sèvres; Genua, posąg Dawida z bronzu od-

lany; od miasta Bassano przyszła symfonia dzwonów kościelnych; od dyecezyi Ventimiglia złote pióro obwieszone rubinami, szafirami i dyamentami.

Słuchając o tych bogactwach, zdawałoby się, że czytamy rozdział z „Tysiąca i jednej nocy“, a jednak to tylko drobna cząstka darów, pomiędzy którymi wiele, wiele innych, choć mniej olśniewających oko blaskiem złota i brylantów, to nieraz wymowniej jeszcze świadczących o płynącej z głębi serca gorącej miłości ofiarodawców. Dość rzucić okiem na te tysiące ornatów, alb, stół, przyborów kościelnych na misye zagraniczne przeznaczonych: to owoc długiej, często późno w noc przeciągającej się pracy pobożnych pań i pracowitych zakonnic. Sam tylko komitet medyolański zebrał 1300 darów, wartości około 250,000 lirów.

W osobnym znów dziale całe stosy ksiąg, broszur i gazet. Słynny Dom-Bosko nadesłał 83 książek przez jego uczniów i w jego drukarniach wydanych. Długie, zdawałoby się niekończące się półki zajął o ile można kompletny zbiór wszystkich katolickich książek niemieckich wyszłych za pontyfikatu Leona XIII; inne choć z natury rzeczy nie tak liczne półki zajął podobnyż zbiór książek wydanych w Belgii. W szczególności dzieła filozoficzne tłumaczące i broniące nauki św. Tomasza; dzieła spowodowane encyklikami papieskiemi, honorowe tutaj zajmują miejsce. Obok książek, setki katolickich dziennikow, z najrozmaitszych krajów i prowincyj, najrozmaitszemi językami i alfabetami spisanych, ale niosących z równym zapałem swe hołdy Ojcu całego chrześcijaństwa.

Wschód i Zachód: Ameryka, Azya, Afryka, pośpieszyły głównie za pośrednictwem misyonarzy z płodami i bogactwami swych ziem, z mozolnymi wyrobami neofitów. Chrześcijanie z Shang-hai, między którymi znajduje się około 80 młodzieńców z arystokratycznych rodzin chińskich, dali folgę swym uczuciom w bardzo oryginalnie, nie napisanym, ale raczej wymalowanym adresie, umieszczonym w hebanowej szkatułce ubranej perłami. Na srebrnym zameczku wyryty chiński napis: *pu-tien — rum-kin:* „z całym światem wspólna cześć“. Gubernator Libanu nadesłał bogatą materyę z jedwabiu i złota, z herbem papieskim; Smirna, podobnie jak nasza Warszawa, wspaniały dywan; Karmelitanki z Palestyny 12 butelek oliwy wyciśniętej z oliwek z góry Oliwnej; Maronici libańscy 30 pobożnych książek wydanych przez swego arcybiskupa; rzeczpospolita Ekwatorska ofiarowała nieocenioną relikwię, oryginał ostatniego orędzia Garcyi Moreno, krwią tego męczennika zbroczony. Szczególną uwagę zwracają: cały zbiór starożytności egipskich, odnaleziony koło dawnych Teb, a ofiarowany przez pracujących w tamtych stronach Franciszkanów; muzeum indyjskie z Bogota, dające dokładne wyobrażenie o zwyczajach i obyczajach, strojach, broni, narzędziach używanych przez dawnych mieszkańców Ameryki; zbiór płodów i osobliwości kilkudziesięciu wysp i wysepek Oceanu Indyjskiego...

Obok tych przeróżnych darów od królów, od biskupów, od prostych rzemieślników i wyrobnic, płyną także do Watykanu obfite datki pieniężne, jako „jał-

mużna na Mszę jubileuszową“. Suma w ten sposób zebrana dochodzi dzisiaj do miliona lirów, a pamiętać trzeba, że milion ten powstał przeważnie z najdrobniejszych ofiar. Rozrzewniającym ma być widok mnóstwa dziewczątek i chłopczyków spieszących, zwłaszcza we Włoszech, ze swymi grosikami do skarbonek osobnych w tym celu przybitych na drzwiach kościelnych. Rozrzewniającymi są spisy ofiarodawców, między którymi raz po raz napotykamy dziwnie brzmiące dla europejskiego ucha indyjskie, chińskie, australskie nazwiska. I u nas w ubogim kraju naszym trudno się było od wzruszenia obronić, czytając np. o tej ubogiej wyrobnicy, co „pracą rąk zarobiwszy mały grosz“ ofiarowała na tenże cel 221 złr., i o tej innej biednej kobiecie, co więcej nie mając, 74 centów złożyła. Dzięki Bogu, ofiarność a miłość dla Stolicy św. u nas nie zastygła!

Z natury rzeczy i stosownie do tak wesołej uroczystości, muzy, a obok muz poważne nauki i umiejętności stanęły również do popisu, poezya, muzyka, nie mówiąc już o malarstwie i snycerstwie; historya i literatura pospieszyły z należytemi hołdami. Na ogłoszony przez jubileuszowy Komitet włoski „Konkurs poetyczny na cześć Leona XIII“, nadesłano około tysiąc utworów we włoskim i łacińskim języku; podobnyż konkurs we Francyi nie mniejszem cieszy się powodzeniem. „Literacki komitet Barceloński“, złożony z najznakomitszych hiszpańskich poetów i uczonych, ogłosił aż dziewięć odrębnych nagród za prace historyczne, literackie i poetyczne, mające styczność z Leo-

nem XIII i kapłańskim jego jubileuszem. Medyczny fakultet uniwersytetu madryckiego ofiarował Ojcu św. zbiór swych roczników i ważniejsze dzieła swych członków. Wydana w Belgii łącznemi siłami katolickich uczonych Złota księga pontyfikatu Leona XIII; wspaniałe album Niderlandy Katolickie; podobneż album, w którem również pióro walczy o lepsze z pędzlem, poświęcone katolickiemu Meksykowi; przedsięwzięte przez francuzkich Benedyktynów artystyczne wydanie hymnu Magnifat w 150 językach; album katolickich stowarzyszeń niemieckich...: oto kilka z tych prawdziwie i pod każdym względem jubileuszowych wydawnictw, w których wykwintny smak, nauka i sztuka harmonijnie się połączyły.

Wśród tylu i tak różnych dowodów czci i miłości dla Ojca św., których już nie opisać ale i zliczyć niepodobna, wybitne i odrębne miejsce zajmują urzędowe a głębokie manifestacye paru rzeczypospolitych południowej Ameryki. Prezes republiki Kolumbijskiej Nuñez zawezwał ministeryum odręcznem pismem do obmyślenia w jaki sposób rzeczpospolita mogłaby i powinnaby wziąść udział w obchodzie papieskiego jubileuszu. Ministeryum złożyło w tym celu osobną komisyę, i oto:

„Narodowa rada prawodawcza uchwala:

„Rząd jest upoważnionym złożyć swe hołdy Jego „Świątobliwości Leonowi XIII, z powodu jego jubileu„szu kapłańskiego. W tym celu skarb publiczny złoży „do rozporządzenia rządu 10,000 *pesos* złotem.

„Dan w Bogocie 17 Maja 1887".

Parlament Ekwatoru nie pozostał w tyle i wydał następujący dekret:

„Kongres Rzeczypospolitej Ekwatorskiej, zważając:

„że lud ekwatorski w całem tego słowa znaczeniu „chrześcijański i do Stolicy świętej przywiązany nie „może pozostać obojętnym w chwili, w której cały „świat prawowierny, a nawet i nie katolickie narody „gotują się do wyrażenia uroczystego swej miłości, „szacunku i czci J. Św. Papieżowi Leonowi XIII, z po„wodu pięćdziesięcioletniej rocznicy pierwszej jego Mszy „św.; tudzież zważając:

„że Kongres jest przedstawicielem ludu i wier„nym tłumaczem jego uczuć:

uchwala:

Art. I. „Kongres rzeczypospolitej Ekwatorskiej „składa z winną czcią swoje życzenia J. Św. Leono„wi XIII w pięćdziesięcioletnią rocznicę pierwszej Jego „Mszy św. i prosi dlań Boga o wolność i zwrócenie „świętych praw, przynależnych mu jako następcy św. „Piotra i widomej głowie Kościoła katolickiego.

Art. II. „Kongres Ekwatorski w imieniu własnem „i w imieniu reprezentowanego przez siebie narodu, „powtarza poprzednie swe protesty i zaręczenia, że „wiernie trzymać się będzie nauk Stolicy świętej, „a zwłaszcza nauk zawartych w Encyklikach: *Diuturnum* i *Immortale Dei.*

Art. III. „Kongres wotuje i przeznacza 10,000 „*sucres,* jako swą cząstkę w jałmużnie, którą świat

„katolicki złożyć ma Jego Świątobliwości na Mszę „jubileuszową.

Art. IV. „Dzień 31 Grudnia b. r. obchodzonym „będzie przez całą Rzeczpospolitą jako święto naro- „dowe, a władza wykonawcza nakaże odprawić we „wszystkich kościołach katedralnych uroczystą Mszę „św. z *Te Deum* i wyszle do tychże kościołów urzę- „dową reprezentacyę najwyższego rządu".

„Dan w Quito, stolicy Rzeczypospolitej, 23 Lipca 1887 r. — Prezes izby senatorskiej, *Camilo Ponce.* — „Prezes izby poselskiej, *Aparicio Ribadeneira.* — Se- „kretarz senatu, *Manuel M. Polit.* — Sekretarz izby „poselskiej, *José Maria Banderas.*

„Dan w pałacu rządowym w Quito, 28 Lipca 1887. „Ma być wykonane. — *J. M. P. Caawauo.* — Minister „spraw wewnętrznych i oświaty, *J. M. Espinosa.*

W parlamencie rzeczypospolitej Chilijskiej ośmiu deputowanych postawiło następujący wniosek: „Izba upoważnia Prezydenta Rzeczypospolitej do użycia 20,000 *pesos* w złocie, na ofiarowanie w imieniu rzeczypo- spolitej Chilijskiej odpowiedniego daru Ojcu św. Leo- nowi XIII, z okazyi kapłańskiego jego jubileuszu". Wniosek wprawdzie w tej formie nie przeszedł, ale minister spraw zewnętrznych zapewnił w czasie roz- praw, że rząd poczuwając się do swego obowiązku nie omieszka wysłać do Rzymu osobnego przedsta- wiciela z życzeniami dla Papieża. Natomiast rzecz- pospolita San Salvador poszła bez żadnych zastrze- żeń śladami wskazanymi przez Kolumbię i Ekwator. W Boliwii oficerowie batalionu *Loa* wysłali do pre-

zydenta rzeczypospolitej prośbę, o pozwolenie zbierania w armii dobrowolnych składek na chorągiew dla Ojca św., z wyobrażeniem N. Panny z góry Karmelu z jednej strony, a herbów narodowych z drugiej. Prezydent Pacheco, nie tylko myśl tę głośno pochwalił, lecz sam znaczniejszą sumą przyczynił się do jej spełnienia, i obiecał wysłać do Rzymu dwóch synów swoich, Ferdynanda i Grzegorza, aby osobiście wręczyli Papieżowi w imieniu armii i prezydenta ten dowód najwyższego hołdu.

I wspominać zbyteczna, że episkopat katolicki nikomu prześcignąć się nie daje w czci i hołdach głowie Kościoła składanych. Niema dyecezyi, której biskup w natchnionych, nieraz prześlicznych wyrazach nie dałby folgi swym uczuciom, nie wezwałby wiernych do obchodzenia, o ile można najświetniej zbliżającej się uroczystości; do łączenia zwłaszcza swych modlitw z modlitwami katolików całego świata, „aby „Pan strzegł Papieża naszego Leona XIII i ożywiał „go i szczęściem na ziemi darzył i nie oddawał go „w moc nieprzyjaciół jego“.

Po zakonach, po szkołach katolickich, nawet w rodzinach prawdziwie chrześcijańskich, po całym świecie urządzają się składki duchowne z modlitw, z pokut i dobrych uczynków, ofiarowanych Bogu za Ojca św., w których gorące dusze ubiegają się o lepsze gorliwością, nieraz i heroizmem. Klejnoty te nie nadają się do opisania, a przecież one są istotnie najdroższe i one ten obchód serdeczny najwięcej ozdobiają.

Ojciec św. głęboko odczuł tyle, ze wszech stron dawanych mu dowodów czci i miłości, a uczucia swe wyrażając w wzruszonych słowach, na konsystorzu odbytym 25 Listopada, podniósł zarazem wielkie i głębokie znaczenie tego prawdziwie katolickiego obchodu.

„Czcigodni Bracia, rzekł, w obec zbliżającej się rocznicy dnia, w którym przed laty pięćdziesięciu przyjęliśmy święcenia kapłańskie i odprawiliśmy przy ołtarzu pierwszą bezkrwawą ofiarę, składamy Przedwiecznemu Panu, jak słuszna, najwyższe dzięki, że Nas aż do tego wieku w zupełnem zdrowiu, łaską Swą zachować raczył. Niepodobna nam oraz powstrzymać się, byśmy wdzięcznem sercem i umysłem nie objęli całego świata chrześcijańskiego, który z tego powodu niezwykłej oddaje się radości.

„Nie będziemy bowiem taili, co jawnem jest i co innym, nie Nam, na chwałę poczytać należy: gdyż widzicie, Czcigodni Bracia, jak powszechna jest radość publiczna, jak wielka zgodność chęci, jak różnorodne i dobrane niezwykłej miłości świadectwa. Wszystkie stany ze wszystkich stron świata, prywatnie i publicznie współzawodniczą w okazywaniu Nam wszelkiego rodzaju hołdów; przez deputacye, przez pisma, przez dalekie pielgrzymki dobrowolnie podjęte, przez nieprzeliczoną ilość darów, o których z wszelką prawdą powiedzieć można, że cenniejszemi jeszcze od ich materyału i wyrobu jest życzliwość ich dawców.

„Przebija się w tem przedziwnem sposobem dobroć i moc Pana, który w wielkich klęskach Kościoła wzmacnia i wspiera jego siły, który walczącym w Imię Pań-

skie udziela pociechy, który w niezbadanej Opatrzności swojej z samych nieszczęść bogaty plon łask wywodzi. Jaśnieje też chwała Kościoła, gdyż objawia się w tem boski pierwiastek jego pochodzenia i życia, i Boży Duch, który go ożywia i nim włada, sprawiając, że myśli i chęci wiernych wspólnym węzłem pomiędzy sobą i z Najwyższym Pasterzem się jednoczą".

I Twoim, Ojcze Święty, ten obchód jest tryumfem i Twoich wiekopomnych zasług uwieńczeniem; — ale nadewszystko, jak prawdziwie mówisz, jest on tryumfem wiecznotrwałej żywotności Kościoła, zwycięztwem wiary katolickiej. *Et haec est victoria, quae vincit mundum, fides nostra* [1]).

[1]) I. Joann. V, 4.

Redakcya.

Z DZIEJÓW WOŁYŃSKIEGO GRÓDKA.

Na samym krańcu obszernych puszcz leśnych, stanowiących tak zwane *Polesie wołyńskie*, imponujących jeszcze, choć już mocno przetrzebionych — tam, gdzie się już rozpoczynają niedościgłe okiem łany złocistego zboża, step i równina bezbrzeżna, było w gruzach prawie możne niegdyś wołyńskie miasteczko. To *Międzyrzecz-korecki*, niesłusznie przez wielu poczytywany za gniazdo ojczyste możnej rodziny Steckich. Gródek ten z końcem dopiero XVIII. wieku wszedł w ich posiadanie, właściwą zaś kolebką tego rodu, wstecz nieco cofnąwszy się, były tak zwane naddnieprzańskie porohy, Ruś kijowska, na której liczne rozrzucone włości należały do pierwszych nadań tego rodu. Nie Steccy przeto, lecz właściwie książęta Koreccy, domniemani potomkowie Butawa, byli pierwszymi właścicielami Międzyrzecza, bodaj czy nie założycielami tego gródka; po nich objęli go Lubomirscy, a od nich dopiero z końcem zeszłego stulecia Steccy, za których, co prawda, miasto w spokojnem rozwoju się wzniosło, nabrało w prowincyi pewnego rozgłosu i znaczenia. Mieściło się tu do ostatnich prawie czasów, bo do 1832 roku, sławne kolegium Pijarskie ze szkołą, której możny naówczas Wołyń zawdzięczał po części pierwsze promienie swej oświaty, która następnie z również sławnym Krzemieńcem rywalizowała o miano wołyńskich Aten.

Ze stosu starych aktów i dokumentów mego rodzinnego archiwum, z resztek ocalałych papierów po Pijarach tutejszych, udało

się piszącemu nagromadzić nieco szczegółów o odległych i mało znanych dziejach tej miejscowości. Temi to uratowanemi szczątkami, jak dziejową spuścizną, dzielimy się z czytelnikami, ratując od zagłady i wieczystego prawdopodobnie zapomnienia dzieje starego wołyńskiego gródka.

O początkowych dziejach założenia osady w Międzyrzeczu, ani o czasie kiedy takowa przywilej na miasto otrzymała, nic zgoła nie wiemy. Pierwsze piśmienne ślady o tej miejscowości natrafiamy dopiero w połowie XVI. wieku, a byłoto już miasto wówczas, do którego należały liczne wsie dokoła. Dziedzicami tej majętności w tym czasie byli potężni panowie na Korcu. Stąd zapewne powstać musiała i sama nazwa tej miejscowości — *Międzyrzecz-korecki* — a to dla odróżnienia od drugiego Międzyrzecza, nie opodal położonego, dziedzictwa kniaziów z Ostroga, stąd go Ostrogskim nazwano. Pierwszy dokument piśmienny, który nas doszedł o Międzyrzeczu koreckim, jest to wydany w Wilnie mandat króla Zygmunta Augusta, nakazujący, aby sławny w tych czasach awanturnik Albrecht Łaski z żoną swą Beatą X. Ostrogską, za wszelkie gwałty i pożogi uczynione w dobrach X. Bohusza Fedorowicza Koreckiego w Międzyrzeczu, zapłacił temuż okrągłą sumę 47.407 kóp i jeden grosz i ośm pieniędzy. W tym dokumencie wyraża się król, że powtórny onego, na prośby dziedziców, wydaje *Vidimus*, a to z powodu, że pierwotny dokument miał spalić się w pożarze miasta i zamku Międzyrzecza. O tym pożarze natrafiamy powtórnie wzmiankę w testamencie tegoż kniazia Bohusza Fedorowicza Koreckiego, sporządzonym d. 11 czerwca 1576 r., a w którym znajdujemy mnóstwo ciekawych szczegółów tak o Międzyrzeczu, jak i o jego okolicy. Między innymi szczegółami wspomina w nim kniaź o sąsiednim swojej fundacyi klasztorze w Mareninie, który powierza opiece żony swojej Maryi Wasilewny Czaplanki i syna z niej zrodzonego Jakima. Dalej wspomina, że przy pożarze zamku w Międzyrzeczu spłonęło wiele tam znajdującego się rynsztunku wojennego jako to: rzędów, siodeł, zbroj czerkaskich, zwercadeł, (?) pancerzy, bechterów, (?) szyszaków i wszelkiego oręża, lecz co pozostało w osobnym inwentarzu szczegółowo jest opisanem — i to wszystko powierza panom: Borisowi Sowie i Grzegorzowi Danilewiczowi, sędziemu

łuckiemu. Część zaś uratowanego w ogniu archiwum, nakazuje przenieść i lokować w zamku koreckim [1].

Miał niegdyś Międzyrzecz nasz i Magdeburyę swoją, o czem świadczy list graniczny z roku 1590, między majętnością X. Joachima Bohuszewicza Koreckiego, a Chupkowem, majętnością Siemaszków [2]. W roku 1605 Międzyrzecz wciąż jeszcze należał do X. Joachima Koreckiego, ale majętność ta zostawała wówczas w posiadaniu zastawnem u X. Konstantyna Ostrogskiego, który wzniósł tu nawet w tym czasie kościół katolicki, o czem świadczy akt wizytowy i kościelny z tegoż 1605 r. w archiwum pijarskiem dochowany, a w którym następujący znajdujemy ustęp: *Oppidum est Illmo Dni Joachimi Ducis Korecki, in eo fuit antiquitus ecclesia satis ampla aedificata per Illustrissimum Dominum Constantinum Ducem de Ostrog, qui jure obligatoris possidebat hoc oppidum.* Co tu robił kniaź z Ostroga w majątkach tak potężnych jeszcze wówczas Koreckich, ani nawet jak długo te majątki dzierżył, trudno już odgadnąć. W 1648 roku, kiedy jeszcze Międzyrzecz pozostawał w posiadaniu Koreckich, miasto tutejsze stało się pastwą rabunku kozackiego, o czem w pamiętnikach Albrychta Radziwiłła taką pod tym rokiem znajdujemy wzmiankę: „Gdy kozacy z Krzywonosem w lipcu opanowali Połonne, mieszkańce innych miasteczek i zamków, poczęli „uciekać, bez żadnej obrony takowe kozakom zostawiając. Wówczas Międzyrzecz i Tuczyn w ich ręce się dostały". Ta to ostatnia klęska zdecydować zapewne musiała dumnych panów Koreckich do wyzucia się ze swojej ojcowizny. Jakoż widzimy już w 1650 roku, że cała ta majętność, wraz z miastem, przeszła z rąk X. Samuela Koreckiego, synowca sławnego Samuela, poległego śmiercią męczeńską w 1621 roku w Carogrodzie, w dziedziczne posiadanie Aleksandra Lubomirskiego, wojewody wołyńskiego. Nowym nabywcom Lubomirskim nie składało się tu jakoś życie, a różnorodne klęski, które

[1] Patrz ten testament w *Archiw Jugo-Zapadnoj Rosyi* T. I. pag 79. Wioska Marenin należy dotychczas do Międzyrzeckiego klucza, pozostały nawet w niej dotąd ślady jakichś odwiecznych murów i szczątki wału z ziemi sypanego, które prawdopodobnie muszą być pozostałością pomienionego monasteru. Założycielem tej wioski był więc sam kniaź Bohusz, a Mareninem nazwał ją zapewne od imienia żony Maryi.

[2] W archiwum piszącego fasc. 10 nr. 24. Pieczęć na tym dokumencie mało już wyraźna.

co prawda, dotykały wówczas cały ten kraj, klęski od swoich i obcych pochodzące, systematycznie i przez długie lata dosięgały mieszkańców Międzyrzecza, podkopując dobrobyt ich, do coraz większej ruiny prowadząc ludność tutejszą. I tak około 1658 roku stał w Międzyrzeczu na czele załogi kozackiej niejaki Iwan Tarnawski; ten za namową szlachty okolicznej, składającej się przeważnie z dzierżawców i przybyszów różnego rodzaju, nakazuje zjazd szlachcie Nadhoryńskiej w Międzyrzeczu na dzień 18 stycznia 1658 r. Jakoż zebrała się ona tam rzeczywiście, a na zjeździe tym uchwalono, aby posłać niejakiego Nowakowskiego do Hetmana Wyhowskiego, oświadczając mu submisyę całej prowincyi, a razem prośbę, aby Tarnawski nie był rugowany. Dowiedziawszy się o tem wszystkiem Kazimierz Bieniewski, ówczesny kasztelan wołyński, który już dawno czynił zabiegi o rugowaniu stąd Tarnawskiego, zapobiegł temu sromotnemu czynowi i za jego staraniem przygotowana już odezwa zniszczoną została, a Bieniewski listem swym doniósł królowi o tym wypadku [1]. Tegoż roku w czerwcu Tetera, jako pełnomocnik Wyhowskiego, zjechał do Międzyrzecza, dokąd wezwał kasztelana Bieniewskiego dla układów. Nie tu jednak i nie w tej chwili ustąpiła ostatecznie nawała kozacka; oto bowiem co pisze Jerlicz w swojej *kroniczce* o Międzyrzeczu: „1660 r. czerwca 26 kozactwo w liczbie „10 tysięcy, między którymi 600 Moskwy raytaryi było i dział 3 w ta„borze mieli, stanęli około Międzyrzecza koreckiego, skąd 2.000 ku „Ostrogu na czaty się udało. Pan Łasko pułkownik pana Wyhowskiego „W-dy kijowskiego z czterma tysięcy na nich napadł i w różnych „miejscach, ścierał się z niemi i bił onych i topił w Horyniu". A dalej znowu mówi: „W tymże roku w czerwcu, Potocki syn „Hetmana, Starosta Sokalski, mając 2.000 wojska, ruszył na Międzyrzec, lecz chłopstwo broniło się z za wałów, co widząc, że zboy„com nie mogli nic uczynić, nazad się udali i odstąpili" [2].

W ostatnim dziesiątku lat XVII. wieku, dobra Międzyrzeckie, przechodząc w rodzie Lubomirskich kolejno z ojca na syna, znalazły się ostatecznie w posiadaniu Franciszka Lubomirskiego, który będąc bezżennym, przebywał najczęściej na dworze Augu-

[1] *Pamiętniki komis. archeol. kijowsk.* t. III. str. 219 i Ambroży Grabowski w *Skarbniczce archeolog.*

[2] *Latopisiec Jerlicza*, wyd. Wojcickiego t. II. str. 47 i 48.

sta II. i tam podobno w szermierce jakiejś z silnym monarchą złamał sobie kość w boku, chorował czas jakiś i umarł nareszcie w Warszawie. Spadek po Franciszku objął brat jego rodzony, więcej już z dziejów znany, Jerzy Dominik Lubomirski podkomorzy koronny. Ten, spełniając przedzgonną wolę brata, wzniósł w Międzyrzeczu kościół i kolegium dla XX. Pijarów w 1703 roku, przy którym utworzone następnie szkoły, niemałego rozgłosu następnie na Wołyniu używały, o czem w swojem miejscu obszerniej pomówimy.

Ten to Jerzy Dominik Lubomirski w r. 1706, w znanych wypadkach ówczesnych, chwycił się strony Stanisława Leszczyńskiego, o co urażony August II. sprawił, że aljant jego, car Piotr, odebrał mu międzyrzeczyznę i nadał ją Aleksandrowi Daniłowiczowi ks. Mężykowi. Odzyskał wprawdzie majętność tę Lubomirski w 1711 r., ale za naprawę wałów koło miasta znaczne wynadgrodzenie pieniężne złożyć musiał [1].

W starych papierach międzyrzeckich udało się piszącemu wynaleść notatkę rękopiśmienną jakiegoś prawdopodobnie mieszkańca tego gródka, obejmującą w rodzaju dyaryusza ważniejsze wypadki zaszłe w tem mieście, a przypadające właśnie na okres posiadania tych włości przez dwóch tylko co wymienionych Lubomirskich. Spółczesny przeto ten szpargalik wypisujemy tu dosłownie: „Anno 1702“ pisze autor notatki, podczas inkursyi ukraińskiej wielu mieszczan i żydów z Międzyrzecza powychodziło.

„Roku 1704 spłonęło tu domów miejskich 40. Hetman Ma„zepa idąc do Dubna, a później Wojnarowski idąc *ibidem* z dywi„zyą swoją, siła szkód uczynili tak w mieście, jakoteż i we wsiach „do Międzyrzecza należących.

„Roku 1706 wojsko moskiewskie z swym feldmarszałkiem „idąc z Grodna mnóstwo bydła, koni, zboża, tak w polu jako i na „folwarkach, stojąc obozem pod miastam, jako też i we wsiach: „w Stołpinie, Horodyszczu, Samostrzałach i Kilikijowie, *funditer* „mieszczan, żydów i poddanych zrujnowali. Tegoż roku kapitan „moskiewski Pyc, różne bezprawia czynił, mieszkańców i obywa„teli więził, każąc im okupywać się“.

---

[1] Patrz o tem: *Starożytna Polska*, Balińskiego i Lipińskiego.

„Roku 1707 generał moskiewski Replin, stojąc w Między-„rzeczu na leży zimowej, nie tylko, że szynki swe zaprowadził, lecz „wybierał ogromną kontrybucyę, bo po 30 talarów bitych z dymu „każdego.

„Roku 1708 przechodzili tędy ludzie JMPana Ogińskiego sta-„rosty żmudzkiego, a Hein generał z wojskiem cudzoziemskiem „w kilkanaście niedziel po nich tu stanął i resztę żydów co tu „było, swemi nadużyciami z miasta wypędził.

„Roku 1709 wojsko wojewody kijowskiego, rabując okoliczne „włości koło Ostroga, aż do Międzyrzecza przyszli i kontrybucyę „80 talarów twardych na mieszczanach wymusili. Niedługo potem, „wstąpiło i wojsko litewskie P. Sapiehy starosty Bobrujskiego“...

Na tem się urywa notatka naszego anonyma — a czyż ten luźny szpargalik nie jędrniej od nie jednej książki maluje nam przeszłość tego zakąta naszej Rzeczpospolitej, wystawionego na przeróżne klęski od swoich i od obcych, czyż dziwić się potem można, że te prowincye, niby gospody przy wielkim szlaku położone, ani dobrobytu nigdy zaznać nie mogły, ani się stale w społecznem swem ustroju rozwinąć nie były w stanie?... Piszącemu ciśnie się pod pióro mnóstwo jeszcze szczegółów z tej epoki o Międzyrzeczu, cały szereg klęsk przez to miasto doznawanych jak: grady, szarańcze, pożary, przechody ustawiczne wojsk i t. p.; szczegóły te pomijamy jako zbyt lokalne, zresztą odsyłamy po nie czytelnika do ciekawej monografii jednego z Pijarów tutejszych, ks. Moszyńskiego, dziś wiekiem już pochylonego starca, który je zebrał w dziełku p. t. *Monografia kolegium i szkoły pijarskiej w Międzyrzeczu koreckim*, w Krakowie w r. 1876 drukiem ogłoszonej; my sami na szerszą arenę dziejową tej mieściny podążamy.

Doszliśmy do nowego okresu w dziejach Międzyrzecza, do epoki stanowiącej chwilowe odrodzenie tego gródka. W roku 1773 Międzyrzecz z atynencyami tj. miasto z kilkunastu wsiami, sprzedane zostało przez Franciszka Ferdynanda Lubomirskiego, miecznika koronnego, Janowi Steckiemu, staroście owruckiemu. Pan rozległych dóbr nad Dnieprem i na Wołyniu rozrzuconych, syn kasztelana kijowskiego, i sam w lat kilka potem senator, bo chorążym wielkim koronnym mianowany, Stecki stworzył jakby nową erę dla podupadłej i zniszczonej niedolą kraju mieściny. Zajął się on przedewszy-

stkiem dźwignięciem szkoły tutejszej, której fundusz przeszło 100 tysięcy złotych wynoszący, a przez poprzedników swych Lubomirskich erygowany, przyjął na swe dobra i nowemi fundacyami też szkoły obdarzył. W dziejach Międzyrzecza, zwłaszcza w historyi szkoły tutejszej, chorąży koronny stanowi epokę, staje się jakby wskrzesicielem obojga. Dumny, choć skąpy do sknerstwa, staczał całe życie walkę z obu temi słabostkami, a próżność odnosiła w nich zawsze zwycięstwo na korzyść bytu miasta, zwłaszcza rozwijającej się w niem szkoły. Działalność swą rozpoczął Stecki od walki z Pijarami, którym zmniejszał co roku stopę procentową od sumy erekcyjnej na Międzyrzeczu ciężącej, procesował tychże Pijarów to o grunta, to o budynki klasztorne, czemu ostatecznie nowoustanowiona komisya edukacyjna kres położyła. Pomimo to wszystko, chlubił się on zakładem, który rozwijając się, coraz to więcej chluby i blasku jego ulubionemu Międzyrzeczowi przysparzał. To też czynnie nalegał o przywrócenie konwiktu szlacheckiego dla uczącej się młodzieży, który chwilowo przy rozbiorze kraju zwinięty, na nowo w 1798 r. otwarty został. O kościele wciąż miał staranie; szpital przy tymże założył, sprowadzonemu wreszcie z Korca malarzowi Wędrychowskiemu pięknemi freskami ściany wewnętrzne świątyni przyozdobić polecił, których resztki dotąd tu pozostały. Około 1800 roku, na gruzach dawnego obronnego zamku Lubomirskich, wzniósł Stecki piękny pałac dwupiętrowy, z krytemi po obu stronach galeryami, poosuszał okalające go moczary i trzęsawiska, zamieniając takowe w piękne, daleko rozciągające się błonia i długą sypaną groblą połączył tę swoją rezydencyę z miastem i kościołem.

Najwięcej jednak charakterystyczną rozrywką Steckiego, która niebawem w namiętność u niego zamieniła się, było zamiłowanie myśliwstwa. Sto koni pozaprzęganych do kutych malowanych wozów, łowczy, podłowczy i cała armia w barwę pańską przybranych strzelców, wyruszało w lasy — puszcza dudniała, otaczano ostępy, rozciągano siecie, a żaden najdrobniejszy już szaraczek ujść stąd nie zdołał. Przez kilka dni nieraz w podobny sposób przejeżdżał się p. Chorąży po obszernych swych lasach, ciągnąc za sobą swą improwizowaną armię łowiecką. Kronika tych pochodów żyje jeszcze i podobno długo żyć będzie na Wołyniu. W życiu domowem Steckiego, ujemne jego strony, zwłaszcza egoizm, do cynizmu

nieraz posunięty, składały się na typ bardzo w tej epoce wydatny. Żenił się i rozwodził do późnej starości — ciepło rodzinne było dlań uczuciem obcem. Pierwszą jego żoną była Maryanna Małachowska, córka Jana kanclerza i Izabelli Humieckiej, ta go odumarła prędko, pozostawiając mu trzech synów: Józefa, który prowadzi ród dalej, Karola ożenionego z Morsztynówną, ojca księżnej Aleksandry Radziwiłłowej i Ignacego zmarłego młodo w legionach, o którym wspomina Rhulière. Po raz drugi ożenił się z Teodorą Walewską, córką wojewody Sieradzkiego, z tą się rozwiódł po przyjściu na świat córki, którą następnie wydał za księcia Józefa Lubomirskiego, senatora państwa rosyjskiego, próbował nareszcie już starcem będąc słodyczy hymenu z Popielówną, kasztelanką lwowską, która go porzuciła nie obdarzywszy potomstwem. Starzec ten, typ satrapy na schyłku Stanisławowskiej epoki, żył długo, bo aż do 1814 roku, majątku z rąk nie wypuszczając, choć synów pożenił; jak z własnemi tak i żonami synów nigdy zgodzić się nie mógł. W politykę się nie bawił; choć są ślady, że się zaplątał do konfederacyi barskiej, prędko jednak wycofać się z niej musiał, z królem bowiem aż do jego śmierci w przyjacielskich pozostawał stosunkach, czego ślady widoczne w pozostałej korespondencyi. Kajetan Koźmian, niegdyś uczeń Pijarów tutejszych, następnie z daleką krewną Steckiego ożeniony, pozostawił dużo szczegółów o nim w pamiętnikach swoich, nie szczędząc farb, nie lubił bowiem Chorążego.

Po śmierci ojca dopiero objął po nim rządy w Międzyrzeczu starszy syn jego Józef, ożeniony z córką Ludwika Wilgi, ostatniego wojewody Czernichowskiego. Postać to z naszych już prawie czasów, całkiem od ojca różna. Niewielkich wprawdzie zdolności, ale powodowany najlepszemi dla kraju intencyami — ze swego Międzyrzecza usiłował stworzyć jakby wołyńskie Ateny. Za jego też czasów zakwitły na prawdę szkoły tutejsze, podniósł je do stopnia pełnego gimnazyum o sześciu klasach. Najmożniejszych rodziców dzieci mieszczono w konwikcie tutejszym: — epoka Jezuitów upadła, Pijarzy objęli po nich spuściznę. Stecki hojnemi fundacyami szkoły obdarzył, własnym kosztem dobierał do nich nauczycieli, zakładał i uposażał gabinety: fizyczny, mineralogiczny, zaprowadził najpierwszy w kraju ogród botaniczny; krzątał się jak mógł, a po-

zwalała mu na to wielkopańska jeszcze fortuna, czynnie dopomagali mu w tem zacny i wykształcony: Wacław Borejko, wizytator szkół wołyńskich, z ręki komisyi edukacyjnej ustanowiony, dopomagała dzielna i czynna niewiasta żona p. Józefa, dziś już wygasły typ polskiej matrony. Złote to były czasy dla Międzyrzecza. Wesoło brzmiała nadworna kapela Steckiego, na czele której stał sławny wówczas skrzypek Lipiński, biesiadowano w pałacu, a w szkole nauka przeplatana rozrywką, szła raźnie i ochoczo. Nie mało dodało emulacyi Steckiemu, który miał się za mecenasa nauk w kraju, kiedy go uniwersytet wileński, najwyższa wówczas władza naukowa, mianował honorowym swym członkiem, kiedy mu zresztą ze stolicy nadesłano order św. Anny z brylantami... któż bowiem bez próżności...?

Lecz wszystko to wkrótce skończyć się miało, niestety bezpowrotnie. Nadszedł rokowy dla kraju rok 1831. Młodzież tutejsza na odgłos dalekiej walki tłumnie podążyła dzielić jej losy, podążył za nią i ulubieniec rodziców jedyny syn Steckich Ludwik, który opłakawszy zaledwie śmierć pierwszej swej żony Julii Czackiej, powtórne już był zawarł związki z młodą, wykształconą Amelią Ponińską. Kraj cały zmienił wtedy swą postać, a zmiany te najwięcej może dały się uczuć w Międzyrzeczu. Szkoły tutejsze zamknięte zostały bezpowrotnie, Pijarzy w większej części rozprószeni. Pałac osmutniał, a właściciele jego, oboje Steccy, zgnębieni niedolą syna, który na tułactwie w obcych krajach szukać musiał schronienia, zagrożeni zresztą utratą majątku, oboje w następnym już 1832 roku, w kilka tygodni po sobie, smutne obecnie życie zakończyli. Po ich śmierci dobra Międzyrzeckie, jak przewidziano, uległy konfiskacie rządowej — a w pałacu odartym i z ozdób ogołoconym, rozlokowano szkółkę rządową dla leśników i pisarzy gminnych, jakby oddając na pastwę zniszczeniu resztę pozostałych tu ozdób i pamiątek po właścicielach. Tak upłynęło lat dwadzieścia kilka, ćwierć wieku prawie, kiedy osobliwszą łaską panującego wówczas cesarza Aleksandra II. zniszczone i ogołocone tutejsze dobra, zwrócono synowi Ludwika Steckiego, Henrykowi, urodzonemu z pierwszej jego żony Czackiej. Nowy pan Międzyrzecza nie chcąc korzystać z przysługujących mu wyłącznie praw spadkowych, przypuścił rodzeństwo z dwóch drugich jeszcze żon ojca, po konfiskacie

rządowej zrodzone, do równego udziału w spadku. Tym sposobem Międzyrzecz z kilkunastu okolicznemi wioskami przeszedł w posiadanie jego przyrodniego brata Witolda Steckiego, w którego posiadaniu dotąd pozostaje. Zniszczone te dobra dźwigają wprawdzie dotąd minionych klęsk swych brzemię, lecz czuwa nad nimi znowu opatrzna ręka młodych dziedziców, która je od ostatecznego upadku i zagłady chroni.

Przebiegliśmy dzieje tutejszej osady i jej zmienne losu koleje, pozostało nam rozpatrzeć się w poszczególnych jej pamiątkach:

Kościół. Jeszcze za czasów Koreckich, kiedy to książe Konstanty Ostrogski posiadał na prawach zastawy Międzyrzeckie dobra, wzniósł on tutaj dla użytku parafian, ubogi drewniany kościółek i księdza przy nim osadził. W r. 1604 kościółek ten zgorzał, kapłan się oddalił i już potem przez całych lat sto mieszkańcy Międzyrzecza zupełnie pozbawieni byli katolickiej świątyni. Dopiero około 1702 roku stanął tu sumptem późniejszych dziedziców Lubomirskich obszerny kościół murowany, ten sam, który i dziś tu oglądamy, niezaprzeczenie jeden z najokazalszych kościołów wołyńskich, choć i budowa sama i wewnętrzne jej ozdoby, w ścisłym stylu *barocco* trzymane, bogactwem raczej, niż wytwornością smaku zalecają się. W wielkim ołtarzu uderza oko misternie wykonana figura naturalnej wielkości, rozpiętego na krzyżu Chrystusa. Ołtarz ten miał kosztować podobno około 100 tysięcy złotych, tyleż i bogato rzeźbiona ambona. Filary po bokach ołtarza również złocone, a pomiędzy nimi złocone także kolosalne figury N. Panny i św. Jana Ewangelisty. Na kapitelach unoszą się, niby w powietrze ulecieć gotowe, olbrzymie o rozpostartych skrzydłach anioły, w tymże samym stylu, mało o artystycznym smaku świadczące. W bocznych nawach i pomiędzy filarami mieści się dwanaście innych jeszcze ołtarzy, z tych jeden z cudownym obrazem św. Antoniego, pod wezwaniem którego stanął i sam kościół. Świątynia ta d. 17 maja 1725 r. przez biskupa łucko-brzeskiego, Stefana Rupniewskiego, z wielką uroczystością konsekrowaną została. O tej pamiątkowej uroczystości świadczy przechowana dotąd na jednej z ścian kościoła marmurowa tablica. Przechowało się nadto podanie, jakoby biskup, widząc podczas procesyi Jezuitę z Połonnego i Pijara niosących razem święte relikwie, a świadomy rozterek, jakie

zawsze między obu tymi zakonami w Polsce panowały, uśmiechnąwszy się miał się wyrazić: *Ossa canibus saepenumero sunt causa jurgiorum*, „kości bywają często przyczyną, że się psy z sobą gryzą, a tu pokój i zgoda największa między Jezuitą i Pijarem". Zewnątrz kościół międzyrzecki przedstawia się również ciężko i nosi na sobie charakter ówczesnej epoki budownictwa. Unoszą się nad nim dwie ciężkie wieże, jakby go przygnieść swym ciężarem chciały, w jednej pomieszczone są dzwony, w drugiej zegar, do którego stosowała się niegdyś młodzież szkolna. Zakrystya z lepszych czasów tu pozostała, zasobniejszą jest od wielu innych na Wołyniu. Nabożeństwa z powodu znaczniejszej liczby duchowieństwa, pracującego przy tym kościele, odbywały się tu zawsze niemal z katedralną pompą. Msza wielka, tak zwana *Summa*, w Niedzielę i uroczyste święta wychodziła w asystencyi dyakona i subdyakona, na chórze rozlegała się pałacowa orkiestra Steckich, a po konfesyonałach liczni kapłani słuchali spowiedzi. Młodzież szkolna zgromadzała się też tutaj *in gremio*. Oprócz zwykłych świąt i uroczystości, z wyjątkową solennością odbywały się tu nabożeństwa w dzień N. Panny Łaskawej, św. Antoniego, patrona kościoła i św. Józefa Kalasantego w dniu imienin kolatora Steckiego.

Jak wszędzie u Pijarów, tak i w Międzyrzeczu, było przy kościele bractwo N. Panny Łaskawej, do którego sami tylko uczniowie należeli. Członkowie tego bractwa nazywali się Sodalisami *(Sodalis Marianus)* i wiernie po łacinie odmawiali regułą przepisane pacierze. Dziś jeszcze w niektórych rodzinach napotkać można starców, w głos te pacierze powtarzających — a będą to niezawodnie wychowankowie szkół tutejszych. Starszym Sodalisów, tak zwanym *Prefektem*, obieranym bywał zawsze jeden z najmoralniejszych uczniów tutejszych... a jakże się ubiegano o ten zaszczyt!...

Piękną także i rzewną pamiątką tutejszego kościoła było nabożeństwo w maju przez całą oktawę św. Jana Nepomucena, przez młodzież obchodzone. O godzinie siódmej co wieczór, na odgłos dzwonka, otwierały się na oścież podwoje kościoła i wnet całe tłumy młodzieży napełniały wnętrze domu Bożego. Intonowano tu najprzód litanią o patronie dobrej sławy, o którą błagała ta młodzież na przyszłe swe życie, następnie po sklepieniach świątyni

rozlegała się chórem nucona pieśn do tegoż św. Patrona, rozpoczynająca się następującą zwrotką:

Już na wywarte przeciw nam potwarze,
Któremi nas Bóg za złe życie karze,
Obrony i siły nie stanie,
Cudowny ratuj nas Janie!

Daliśmy się unieść wspomnieniom... przebaczcie, to wspomnienia lepszej, rzewnej ojców naszych przeszłości; nam młodszym kładziono ją w ucho wraz z pacierzem niemal — czemużbyśmy jej zatrzeć się dali, czemuż ich wywołać nie mielibyśmy, bodaj dla pamiątki młodszych pokoleń, dziś zwłaszcza, gdy się ona tak szybko zaciera, gdy tak zimno, tak pusto dokoła...

Przebiegniemy jeszcze po kościele, aby się przypatrzyć pozostałym tu pomnikom i napisom, bo i te z czasem uledzby mogły zniszczeniu; dla pamięci przeto dochować ich należy.

Nad drzwiami zakrystyi wisi po dziś dzień czarna marmurowa płyta z napisem:

D. O. M. Honori S. Antonii Ecclesiam hanc, Cultui S. Crucis Altare majus, Illme Eccl. ac Rend. Dne Stephanus-Boguslaus a Rupniew in Januszewicze Rupniewski. D. A. A. S. E. L. et R. consecravit et diem anniversariam Dedicationis Dncam III. post Pent. assignavit A. 1725 die maij pro tunc octava Ascen. Dni.

Nad skarbcem w prezbiteryum:

D. O. M. Cultui Sanctorum, Piis populi desideriis, Posthumae sui Nominis memoriae Ecclesiam hanc a fundamentis Celsissimus R. J. P. comes in Jarosław et Wisnicz Georgius-Dominicus Lubomirski Succ. G. E. C. L. etc. C. Fundator et protector Noster Singularissimus, Postea P. Filius Celsissimi R. J. P. T. R. Ferd. Lubomirski C. H. Collegium hoc. extruxerunt.

Na filarach po prawej stronie od wielkich drzwi są dwa nagrobki. Na jednym:

D. O. M. Caris Cineribus, Ex carissima virtutum plena Conjuge, Joanna de Potociis, Joannis-Nep. Principis Jabłonowski, Magnae spei adolescentis, Magni doloris causa, Stanislaus Princeps, Palatinus Ravensis, Moerentissimus Pater posuit et cum alii natales tantum, Suorum aestimant, Hic et funera, Cui est tanti ex tanta Conjuge genuisse vel sic! Utrorumq. in vita et morte

imo dona, Ipsos, sequatur non immemor. Hoc monumentum doloris pridem, et semper in corde 1740, 7 martii, Hic eregi jussit.

Nad tym napisem umieszczono portret młodego księcia w polskim stroju.

Na drugim filarze: *Józef Kalasanty herbu Ogończyk, ostatni z familii imienia potomek na Rusi z Morzyc Trzebuchowski, W. Walentego G. syn, Mikołaja B. S. K. wnuk, Adama prawnuk, W. Walentemu Trzebuchowskiemu G. ojcu, zmarłemu w dobrach dziedzicznych wsi Mokwinie w wojew. wołyńskiem, powiecie łuckim, w parafii Bereżeńskiej, wieku lat 70, dnia 19 Października, złożonemu tu w tej świątyni, w grobie dnia 29 tegoż miesiąca r. 1783, z uszanowaniem i czułością synowskiego przywiązania przez wdzięczność tę zostawia pamięć.*

Nad tą tablicą ojcowską pobożny syn umieścił portret swój w kontuszu.

Ostatnią nareszcie tego rodzaju lapidarną pamiątką w tym kościele jest framuga w ścianie obok ołtarza N. Panny, w niej w złotej puszce serce, pod którem na marmurowej tabliczce napis:

D. O. M. Pełnemu cnót i zasług w obywatelstwie, Józefowi na Steczance Steckiemu, marszałkowi ptu Rowieńskiego, członkowi honorowemu uniwersytetu wileńskiego i kawalerowi orderów S. Anny i Włodzimierza. Po nieodżałowanej stracie d. 1 kwietnia 1832 r. mężowi strapiona zgonem małżonka, z domu Wilgów wojewodzianka czernichowska, dla ulgi strapień własnych i pociech przyjaciół, schroniła tu w domu Boga najcelniejszą i najszlachetniejszą cząstkę, serce zgasłego i ku wiecznej pamiątce na niem ten kamień położyła.

Takim jest dziś ów kościół w Międzyrzeczu, niegdyś jedna z najwspanialszych świątyń w kraju, takim przetrwał on przez lat kilkadziesiąt burze, które nad nim zawisły; takim doczekał się powrotu potomków dawnych swych kolatorów. Z dawnych przylegających doń gmachów pijarskich runęło wszystko, rozebrano, zniesiono nawet gruzy; uprzątnięto dla zużytkowania cegły. Dziwnym trafem ocalały tylko dwie sale przytykające do kościoła, jakby jedyne dawnej świetności pamiątki, z malowidłem spłowiałem, ale jeszcze wyraźnem. Z tych pierwsza, do której drzwi wiodą wprost z zakrystyi kościelnej, dotąd salą *egzaminową* zwana, nazwą już

swoją tłumaczy dawne przeznaczenie. Tu na suficie wyobrażone słońce rozrzucające na wszystkie strony wybladłe już promienie. Po węgłach umieszczone są kadzielnice etruskie, przy których uwieńczone nimfy palą kadzidła w głębi tej sali, jakby w perspektywie, całą jednę ścianę zajmuje wypłowiały już fresk, wyobrażający Ossolińskiego w gronie Polaków zapraszającego Pijarów do Polski, naprzeciw tej grupy wyobrażony św. Józef Kalasanty w otoczeniu Pijarów, przyjmujący wezwanie. Cały ten fresk, pomimo spłowiałych już nieco kolorów, robi jeszcze wrażenie; postacie na nim naturalnej dochodzą wielkości. Pozostałe przeciwległe ściany malowane są na kolor szafirowy, a u góry pod gzymsem dochowały się w kształcie owalnym medaliony, w nich popiersia znakomitych Polaków: Stanisława Augusta, Długosza, Kromera i innych, kopie z wizerunków przechowujących się wówczas w Puławach i w Porycku. Autorem tych fresków miał być wspominany już przez nas Wędrychowski, przebywający przy szkole tutejszej. Przy wyjściu z tej sali nade drzwiami, już dziś zabitemi, wmurowana czarna marmurowa tablica, na niej złoconemi literami napis: *Pomnik wdzięczności JW. Józefowi Steckiemu Marsz. Pow. Rów. kaw. Ord. św. Anny dobroczyńcy tutejszego kollegium i szkoły r. 1818.* Nad tą salą, ocalała tychże rozmiarów druga, niegdyś na bibliotekę przeznaczona. Tu na suficie wyobrażony Febus na rydwanie zaprzężonym w cztery rozpędzone konie. Pod gzymsami na około medaliony uczonych Greków i Rzymian, a nad wyjściem znowu marmurowa tablica z napisem: *JW. Janowi Steckiemu, Chor. kor. Ord. Pols. kawal. fundatorowi tej biblioteki — Szkoła gimnaz. Międzyrzecka, wzniosła ten pomnik wdzięczności, r. 1821 dnia 14 Sierpnia.*

Tyle o kościele tutejszym i o ocalałych szczątkach pomieszczeń pijarskich, tyle niegdyś rozgłośnych, taką sławą dla Wołynia opromienionych. Na gruzach starego Rzymu tysiące archeologów ocalałe szczątki dobywa, odkrywa ścieżki i chodniki Augustów i Cezarów, badaniami swemi zdumiewając dzisiejsze pokolenia; tu po upływie pół wieku zaledwie, odłamku starej cegły napróżno szukaćby przyszło. Z ściśnionym sercem, ze łzą nie zastygłą na powiece, uciekałem stąd co prędzej. Usłużny dziadek kościelny wskazał mi na otwartą jasną i przestronną kryptę pod kościołem mie-

szczącą się. Tam w pięciu dobrze dochowanych trumnach oczekują ostatecznego sądu ciała ostatnich tych miejsc dobroczyńców. Tu pochowani leżą: Józef Stecki z żoną swą Wilżanką, synowa ich Julia z Czackich Ludwikowa Stecka i dwoje drobnych jej dzieci, zrodzonych i zgasłych już w przededniu pogromu, który dotknął te miejsca... *Requiescant in pace*...

Szkoła. Z kolei dla uzupełnienia monografii Międzyrzecza pozostał nam do skreślenia rys dziejów jego szkoły, o którą tylokrotnie już w tej pracy potrącaliśmy, a której dzieje stanowią najcelniejszy niezawodnie materyał do historyi oświaty na Zabużańskiej Rusi w XVIII. i pierwszej połowie obecnego stulecia. Przedmiot to prawie nietknięty; *terra incognita* dla dzisiejszych pisarzy poświęcających swe studya badaniom rodzimej przeszłości. Niespożytego w tej mierze materyału mamy obficie, nawet tu w starym Krakowie nagromadzonego, przedewszystkiem w archiwach książąt Czartoryskich, z których dwaj ostatni: Adam ojciec i syn stali bodaj ostatni na straży tej oświaty w ostatnich chwilach jej historycznej działalności, którym w smutnym udziale przypadło zamknąć jej samoistny okres. Niezależnie od tej mało zresztą dostępnej książnicy, dużo szczegółów i w tej materyi odszukaćby się dało i po innych zbiorach krakowskich, zwłaszcza w bibliotece Jagiellońskiej i w prywatnej pana Pawła Popiela, gdzie się dochować miała część owych znamienitych Tek Naruszewiczowskich. Do tejże epoki, przedewszystkiem do dziejów komisyi edukacyjnej, nie brak nam i materyałów już drukowanych, luźnych wprawdzie, oderwanych, ale któreby się jednak w poważną całość złożyć dały. Do przedniejszych zaliczyćbyśmy mogli część korespondencyi Kołłątaja z Czackim, wydanych w kilku tomowem dziele Kajsiewicza, kilka pamiętników współczesnych drukowanych w zbiorze pism Michała Grabowskiego, kilka prac oderwanych profesora kijowskiego Szulgina, sporo zresztą notat w tym przedmiocie, pozostałych w zbiorach niedawno zmarłego Kirkora, których losy dzisiejsze nam niewiadome. Ograniczamy się na wskazaniu tylko tych źródeł, jako wyborny, acz nie wyczerpujący materyał dla ułożenia dziejów nie tylko komisyi edukacyjnej, ale i historyi oświaty w naszym kraju w ogólności. W takiej pracy poważne miejsce zajęłaby niezawodnie i historya szkoły w Międzyrzeczu koreckim, wystąpiłyby też w niej typy kilku wydatniejszych w jej

dziejach postaci, jak Wacław Borejko, Steccy i wielu innych jeszcze. Zakres niniejszej ramoty pozwala nam zaledwie okiem przebiedz niektóre szczegóły szkoły międzyrzeckiej dotyczące, wskazać na poważne jej w swoim czasie stanowisko, zachęcić, pobudzić do rozpatrzenia się w jej dziejach, wskazać do tego źródła, dodając jeszcze, że praca ta słusznie się nam należy, a materyały do niej odszukaćby się dały obficie

Czy Międzyrzecz, miasto już wówczas znaczne, posiadał jaką szkołę za władania tu książąt Koreckich, nie wiemy zgoła i nie wahamy się wyrazić powątpiewania w tym względzie; miał chyba może podrzędną jaką szkółkę, tak zwaną w te czasy kościelną, z charakterem na wpół ludowym, jakie w tym kraju po znaczniejszych miastach napotykać się dają, giną nareszcie w pomroce. Taką szkółkę zastać tu mieli nowi tego gródka nabywcy, Lubomirscy. Dowiadujemy się nawet, że na czele tego skromnego nauk przybytku miał stać jakiś Kokoszka, osobistość świecka prawdopodobnie. Wpływowi Lubomirscy zaprzątnęli się tedy nad wprowadzeniem reformy w tej mierze, i ściągnęli tu grono Pijarów, którym kościół i budynki klasztorne murowane i okazałe wznosić poczęli. Następnie już na początku 1702 r. czynny Jerzy-Dominik Lubomirski zawarł umowę z prowincyałem ówczesnym Ignacym Zawadzkim o zaprowadzenie kolegium i szkoły przy budującym się kościele, na co pierwszy podstawowy fundusz w kwocie stu tysięcy zł. przeznaczył i tę sumę na dobrach swych Międzyrzeczu hypotekował. Czasy to były bardzo myśli fundatora sprzyjające; już bowiem Jezuici w tym kraju osiedli i ich zakłady naukowe chwiać się poczynały. Wszechwładny ich Alwar i ulubione sceniczne dyalogi nieufność w kraju budziły, reformy naukowe świtały, pierwsze ich zarody wprowadziło świeżo do kraju przybyłe Zgromadzenie Pijarów, a uradowane społeczeństwo miejscowe, przyjęło je entuzyastycznie. Nowa przeto szkoła w Międzyrzeczu, pozostająca pod patronatem potężnych już wówczas Lubomirskich, zajaśniała od razu; panowie co możniejsi dzieci swe zewsząd, zwłaszcza z sąsiedniego Ostroga, zabierać i ściągać tu zaczęli, a widząc to mądrzy Pijarowie, chcąc zresztą przypodobać się dobroczyńcom swym Lubomirskim, usiłowali najwydatniejsze siły swego zgromadzenia przysyłać do Międzyrzecza. Pomimo to wszystko jednakże szkoła tutejsza długo

jeszcze rozszerzyć się nie mogła, a przed ustanowieniem komisyi edukacyjnej posiadała trzy klasy tylko, tak zwaną *Infimę, Gramatykę i Syntaksę*. Komisya edukacyjna dopiero, znalazłszy ten zakład wymaganiom epoki odpowiednim, a Pijarów dostatecznie do kierunku nauk uzdolnionych, utrzymała ich przy zarządzie szkoły tutejszej, podniosła ją nawet do rzędu szkół podwydziałowych wyższych, dodając do niej nawet dwie klasy wyższe tj. *Poetykę* i *Retorykę*, tudzież tak zwaną klasę przygotowawczą. Licznie też zawsze była ta szkoła uczęszczaną, zwłaszcza od kiedy otwarty przy niej został tak zwany konwikt obywatelski, do którego się cisnęli synowie możniejszych rodzin Wołynia, Podola i Ukrainy. W roku 1784 było tu już uczniów 250, a z czasem liczba ta wzrosnąć jeszcze miała, podwoiła się prawie.

Wypadki krajowe 1793—1795 r. szkodliwie i tu jak i w całym kraju wpłynęły na rozwój zakładu. W Międzyrzeczu zamknięto nawet na czas jakiś konwikt, który w lat kilka dopiero otworzony został na przedstawienie miejscowego biskupa Cieciszowskiego i dziedzica Jana Steckiego, chorążego w. kor. Najświetniejszym jednak dla szkoły międzyrzeckiej był okres jej ostatni, rozpoczynający się z objęciem miasta w posiadanie przez syna Chorążego p. Józefa Steckiego w 1820 roku aż do śmierci tegoż i zamknięcia szkoły w 1832 roku. Rzecz dziwna, górującą nad wszystko słabostką tego zacnego skądinąd, lecz nie odznaczającego się nauką człowieka, było właśnie mecenasostwo na polu naukowem. Ku temu skierowane były wielkie jeszcze środki materyalne, któremi rozporządzał, a szafował hojnie dla dobra szkoły. Opatrzność sama zdawała się mu zsyłać towarzysza i doradzcę w zabiegach jego o dobro nauki, w osobie zacnego Wacława Borejki, ustanowionego przez komisyę edukacyjną dozorcą honorowym szkół powiatu równieńskiego. Połączone usiłowania i połączone obu tych mężów zasługi, z których jeden otwierał hojnie garść pełną złota dla podniesienia nauk w swej szkole, drugi w lot podchwytywał jego zamiary i z trafnością umiał je wyzyskiwać i popierać u władz naukowych wileńskich, wszystko to wspólnie wychodziło na korzyść Międzyrzecza i jego szkoły, która już w jawnej stanęła rywalizacyi z sławnym wówczas Krzemieńcem. Ten ostatni już na stopień liceum wyniesiony, błyszczał wytwornością i towarzyskim polorem

swojej młodzieży, którą przy nauce zawczasu oswajano z ogładą zbyt już może światową, kiedy w Międzyrzeczu wyniesionym dopiero w 1826 roku na stopień pełnego gimnazyum dawano tej młodzieży wychowanie mniej może błyskotkami upstrzone, ale racyonalniejsze, na podstawach więcej może poważnych i do przyszłych prac, cierni i zawodów w życiu lepiej przygotowujące. To też nauki ścisłe, przedewszystkiem matematyczne z szczególną ścisłością wykładane były w Międzyrzeczu. Działo się to jednak bez uszczerbku dla innych przedmiotów jak dla historyi i dla literatury, czego dowodem był liczny szereg na rozmaitych polach wsławionych i wydatnych mężów, którzy w rozmaitych epokach wykształcenie swe pobierali w szkole międzyrzeckiej. Z tych, o ile pamięć dozwala, wspomnimy tu tylko: Metropolitę-arcybiskupa Ignacego Hołowińskiego; Stanisława Adama Krasińskiego, dostojnego biskupa wileńskiego; z literatów: Michała Grabowskiego, Michała Czajkowskiego, Kajetana Koźmiana; z poetów: Seweryna Goszczyńskiego, Szymona Konopackiego, Jakóba Cichońskiego, w świecie polskim Beranżerem przezywanego; z archeologów — Adama Czarnockiego, ukrywającego się pod imieniem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego i tylu innych jeszcze, których pamięcią objąć nie możemy, a z których szczupła już tylko garstka na świecie zapewne pozostała.

Zastrzegliśmy się z góry, że historyi szkoły międzyrzeckiej kreślić nie mamy zamiaru, pozostawiając ją tym, którzy pamięcią objąć jej dzieje lepiej będą w stanie, ograniczamy się przeto na pobieżnem o niej wspomnieniu, głównie na jej charakterystyce, nawołując drugich do wyczerpującego jej skreślenia. Smutne rozwiązanie tej szkoły, jednocześnie prawie z krzemieniecką, jej towarzyszką, nastąpiło w roku 1832. Chwasty porosły na progach tej miłej dla serc Wołynia auli i wspomnienie o niej niezatarte w pamięci młodszych tego kraju pokoleniach, rzewne a serdeczne, jak na to ten nauk przybytek zasługiwał. Dopełniamy szkicu tego kilku statystycznemi wiadomostkami o materyalnych zasobach międzyrzeckiej szkoły i spisem jej rektorów, najdokładniejszym, bo z miejscowego archiwum poczerpniętym, a prostującym dotychczasowe w tym względzie wzmianki.

Mylnie wielu piszących o Międzyrzeczu, a między nimi i Łukaszewicz w *Historyi szkół*, mówią o uposażeniu tutejszego Pijar-

skiego kolegium, jako o bardzo znacznem. Tak nie było zgoła, a na to w cyfrach stawimy dowody. I tak fundator kolegium tutejszego, Jerzy-Dominik Lubomirski w 1702 roku, we wspomnianej już przez nas umowie z prowincyałem Zawadzkim, zapewnił erekcyjnym dokumentem dla wznoszącego się kościoła summę 100 tysięcy złp., którą oparł na dobrach międzyrzeckich z warunkiem opłacania od tejże wieczyście 7%. Normę tę usiłował zmienić nowy nabywca dóbr — Chorąży koronny Jan Stecki, zniżał ją do minimum, aż dopiero postanowieniem komisyi edukacyjnej ustanowiono opłatę 6%, co się też utrzymało do ostatka. Nadto tenże fundator Lubomirski przeznaczył na własność Pijarom malutką w okolicy wioseczkę Charuczkę, z 20 chat włościańskich składającą się, przynoszącą rocznie tysiąc złp. dochodu. Prócz tego nadał Pijarom jurysdykcyę na przedmieściu Międzyrzecza, zwanem Zastawie, zresztą dość obszerne place na zbudowanie kościoła i zabudowań klasztornych, tudzież plac na cegielnię i na ogrody warzywne. Zapewnił nakoniec wolne mlewo w młynach międzyrzeckich, oraz łowienie ryb w stawach miejscowych, a na kahał międzyrzecki włożył obowiązek dawania na wieczne czasy do kościoła 16 kamieni łoju i 2 kamienie wosku. Czy się w późniejszych czasach przy zmianie stosunków wypełniały te obligi, wątpić o tem godzi się. Trochę łąk i gruntów w pobliżu kościoła dokupili następnie Pijarzy z własnych funduszów. Oto podstawowy, erekcyjny fundusz tutejszy. Drugie tyle tj. około stu tysięcy mieli Pijarzy tutejsi na rękodajnych obligach u obywateli okolicznych. Tych spis dokładny podaje ks. Moszyński we wspomnianej już przez nas broszurze o Międzyrzeczu, lecz procenta przy zmianie krajowych stosunków dochodziły bardzo nieregularnie, w części nawet zaległy zupełnie, a czy następnie rząd rosyjski przy likwidacyi funduszów kościelnych te zaległości odzyskał — tego dokładnie nie wiemy.

Cały więc fundusz kolegium tutejszego wynosił około dwóch kroć sto tysięcy złotych, od którego licząc 6% wypadłoby 12 tysięcy złotych. Ale na zniżony i niewypłacany procent odtrącić należy przynajmniej dwa tysiące, pozostanie przeto zaledwie dziesięć tysięcy złotych rocznie. Dodawszy do tego intratę z folwarku Charuczki tysiąc złotych, osiągniemy co najwyżej 11 tysięcy złotych, czyli rubli sr. 1650. Kiedy znowu zważymy, że z tego utrzymać trzeba

było liczne zgromadzenie Pijarów, kościół i obszerne otaczające go gmachy, opłacać kilku świeckich nauczycieli i sług kościelnych, uiszczać podatki rządowe i tak zwane *subsidium charitativum* w ilości 560 złp., to się dowodnie przekonamy, że dochody kościelne zaledwie temu podołać mogły. Konwikt za to obywatelski dawał dochód wcale znaczny i to źródło jedynie opędzało potrzeby dnia. Każdy z konwiktorów płacił z utrzymaniem pokojowca przydzielonego do jego usług 1.200 złotych rocznie, a że liczba takich konwiktorów dochodziła zwykle do pięćdziesięciu, ogólna więc kwota z utrzymania ich wynosiła zwykle w przybliżeniu do sześciu tysięcy rubli. Powtarzamy przeto, że konwikt raczej, a nie szczupłe zapisy funduszowe, dawał środki utrzymania się dla kolegium i szkoły. Dołączyć do tego należy nie jednostajne wprawdzie, ale bardzo hojne częstokroć ofiary Steckich, zwłaszcza Józefa, a uposażenie Międzyrzecza rzeczywiście do dostatniego zaliczyć będzie można.

Tyle o Międzyrzeczu. Szczupła wiązanka szczegółów o tej wołyńskiej mieścinie nie ma pretensyi być wyczerpującą jej monografią. Miejsce to odegrało niegdyś w historyi kraju i jego oświaty pewną dość wydatną rolę, na co też szczególny nacisk położyć staraliśmy się. Dla piszącego zresztą odżywienie pamiątek tego miejsca, wspomnień z lepszej ubiegłej przeszłości miało i inne pobudki, które odgadnie każdy, dla którego wspomnienie pewien urok wywoływać zwykło — chociażby urok pamiątki...

Tadeusz Jerzy Stecki.

STOSUNEK PAŃSTWA PRUSKIEGO DO KOŚCIOŁA.

(Dokończenie).

III.

Wypracowany jeszcze za życia Fryderyka II. „powszechny landrecht“ miał być po jego śmierci normą stosunków między kościołem a państwem. Zredagowaniem tegoż zajął się mąż, który w skutek swej gorliwości i sprytu stał się duszą pruskiego prawodawstwa, a był nim tajny wyższy radca sprawiedliwości, Suarez, rodem Szlązak. Ten powziąwszy już w pierwszej młodości głęboką nienawiść ku katolikom, podzielał w zupełności indyferentyzm Fryderyka II. i innych. Ta obojętność pozbawiona wszelkiej wiary, a połączona z wstrętem do Kościoła katolickiego jest też rdzeniem nowego ustawodawstwa, o ile to dotyczy religii. Najdoskonalej przebija się tu tradycya pruska o wszechpotędze państwa w rzeczach Kościoła. Na samym już wstępie rozdziału traktującego o stosunkach kościelnych występują zasady, będące owocem najgłębszej niewiary. „Pojęcia obywateli państwa o Bogu i rzeczach boskich jakoto wiara i wewnętrzna służba boża nie mogą być przedmiotem ustaw przymusowych“. „Państwu“ jest obojętnem, co jego poddani za prawdziwe uznają; a religia nie wchodzi w jego cele. Kto się zaprze Boga i wszelką religię od siebie odrzuci, temu przysługuje, na mocy najwyższej ustawy, wolny od wszelkich nagabywań pobyt w państwie. W takim stanie rzeczy, czyż nie słuszna, ażeby państwo, zrzekające się odpierania wszelkich napaści na Kościół katolicki, tenże

samemu sobie zostawiło i pozwoliło mu ze swej strony swobodnie i bez przeszkody rozwijać się i rządzić? Jedynie pod tym warunkiem może państwo mówić o religijnej wolności. Takby być powinno, ale niestety tak nie było! Oto następny zaraz artykuł rozporządza: „Tylko państwu przysługa prawo, po uprzedniem zbadaniu, odrzucać zasady wyznań religijnych i zabraniać rozszerzania tychże". Stąd wynikają naturalną konsekwencyą następne paragrafy: „Żadne z wyznań nie może wykluczyć swego członka jedynie dla odmiennego pojmowania wspólnych zasad wiary" [1]. Toż: „Żadne też wyznanie nie ma prawa narzucać swoim członkom jakichkolwiek przepisów wiary wbrew ich przekonaniu" [2]. Tak więc prywatna i publiczna praktyka religijna każdego wyznania bez ograniczenia podlega nadzorowi państwa, a wskutek tego i zarządzenie publicznych modłów błagalnych, dziękczynnych i nadzwyczajnych uroczystości przysługa j e d y n i e państwu. Lecz przepisy idą jeszcze dalej. Kilka stowarzyszeń religijnych, chociaż należą do jednego wyznania, mimo to nie masz między niemi koniecznej łączności. A zatem żaden obcy biskup, ani jakikolwiek przełożony duchowny nie może sobie przywłaszczać mocy prawodawczej w sprawach kościelnych, ani też nie może wykonywać żadnej innej władzy, kierowniczej lub sądowniczej w państwie. Jeżeli mu zaś tę ostatnię władzę państwo w Prusach przyznało, to winien do spełnienia jej wyznaczyć wikaryusza potwierdzonego przez państwo. Taki wikaryusz musi nietylko trzymać się ściśle w granicach zakreślonych biskupom krajowym, lecz nadto starać się, aby tych granic nie przekraczali jego pozamiejscowi przełożeni. Co więcej, obowiązany jest on, w razie gdyby coś podobnego zaszło, a nie zdołałby temu przeszkodzić, od czasu do czasu wiernie o tem państwu donosić. Zgromadzenia religijne nie mogą być zwoływane bez wiedzy państwa, ani uchwały bez potwierdzenia tegoż w życie wprowadzane, ani wreszcie duchowni miejscowi nie mogą być wysyłani bez zezwolenia państwa na podobne pozamiejscowe zgromadzenia.

Rozporządzenia te godnie uwieńcza przepis o tajemnicy spowiedzi: „Każdy duchowny powinien złamać tajemnicę spowiedzi, o osnowie

---

[1] II. Th. Tit. 11. §. 75.
[2] §. 45.

tejże zwierzchności donieść, ilekroć wyjawienie takiej tajemnicy koniecznem jest dla odwrócenia zagrażającego państwu niebezpieczeństwa, lub dla przeszkodzenia zbrodni, albo też dla zaradzenia szkodliwym skutkom popełnionej już zbrodni.

Duch ten „landrechtu“ kieruje całą pruską polityką kościelną aż do Fryderyka Wilhelma IV. Uroczyste przyrzeczenia z jednej strony, zacięta nienawiść, pojawiająca się w cichem prześladowaniu lub wyradzająca się w gwałty, z drugiej strony — oto treść tego całego okresu. Zmieniała się wprawdzie postać i obszar pruskiego państwa, ale polityka pozostała ta sama. I kiedy Fryderyk II. zdobył Szląsk, i kiedy zabrał swoją część z rozszarpanej Polski, kiedy ostatnia uchwała sejmu pruskiego państwa przyznała panującemu z domu brandenburskiego biskupstwo westfalskie, i kiedy kongres wiedeński bez względu na wiarę poddanych ustanowił Fryderyka Wilhelma stróżem pogranicznych krajów nadreńskich, wtedy nie z rachuby ludzi, ale zbiegiem niezawisłych od ludzi losów, przekształciły się wielkie a dotąd protestanckie Prusy w państwo mięszane co do wyznania. Bez najmniejszego względu na dążności i zamiary kierowników tego państwa odbyła się ta metamorfoza dla tej prostej przyczyny, że Prusy zwolna zagarnęły sześć milionów poddanych katolików pod moc swoją. Usiłowaniem więc panujących aż do Fryderyka IV. było, katolicyzm tłumić, a nawet, gdyby się dało, zgnieść. Przypatrzmy się, jak oni to usiłowali przeprowadzić podczas przyłączenia się pojedyńczych krajów.

W r. 1772 przy pierwszym podziale Polski Prusy Zachodnie i okrąg nad rzeką Notecią dostały się Prusakom. 8 czerwca 1772 r. obiecuje król pruski wszelką swobodę religijną, a w rok później zapewnił także Papieża, że nie ma się on czego obawiać w tym względzie. Że to były czcze słowa i obłudne przyrzeczenia, że rząd pruski wcale nie myślał nowym poddanym katolickim zapewniać zupełną wolność praktykowania wiary i majątek kościelny nienaruszony pozostawić, pokazuje sprawozdanie departamentu spraw zewnętrznych z 18 kwietnia 1772: „Co do religii trzeba zapewnić nowym poddanym, wedle zwyczaju, wszelkie ich prawa i przywileje, a zwłaszcza wolność zachowania religii katolickiej. Lecz to uczynimy tylko w ogólnych i nie wiele zobowiązujących frazesach, gdyż mamy powody sądzić, że W. K. M. będzie chciał zmienić

formę rządu na modłę rządów w innych Jego krajach". Na co król odpisał: Bene. F. Wprawdzie miał jeszcze sejm polski dać swe przyzwolenie, co jednakże nie nastąpiło. „Dowodziłem, — pisze ambasador pruski, — że W. K. M. jest u siebie papieżem, ale daremnie". Musiał więc król podpisać traktat 18 września tej treści: „Co się tyczy religii, katolicy będą zupełnie zachowani *in statu quo* tj. w swobodnem wykonywaniu kultu i dyscypliny ze wszystkimi i takimi kościołami i dobrami kościelnemi, które posiadali w chwili ich przejścia pod panowanie J. K. M. Pruskiej w miesiącu wrześniu 1772. Jeszcze raz odnowiono ten traktat 25 września 1793 między Rzeczpospolitą polską a królem pruskim, jednak już tego samego roku dostały się Prusom dzisiejsze Poznańskie i wschodnie Prusy tj. cztery nowe biskupstwa, a między temi gnieźnieńskie. Uroczyściej i częściej nie mógł być żaden traktat odnawianym; cięższą nie mogła być krzywda, jaką Kościołowi wyrządzono. Trzy środki miały posłużyć do pogrzebania katolicyzmu w nowo nabytych prowincyach polskich: kolonizowanie protestantami, prawo mianowania duchownych i konfiskata majątków kościelnych.

„Baczyć na to należy — brzmiało polecenie gabinetowe na dwa dni przed przyrzeczeniem wolności wyznawania religii (6 czerwca 1772) — aby ustanawiać niemieckich nauczycieli w szkołach po mniejszych miasteczkach i wsiach, tudzież mięszać mieszkańców z Niemcami, zwłaszcza protestantami". Z jakim skutkiem użyto tego środka, dowodzi najlepiej dyecezya warmińska, w której nie było w r. 1772 ani jednego jeszcze protestanta. Najpierw otrzymały znajdujące się tam garnizony kapelanów, a ustanowione gminy cywilne katechetów, płatnych z kasy państwa, którzy nie tylko nauki udzielali, lecz także zapowiedzi ogłaszali i świadectwa kościelne wystawiali. Tacy katecheci znajdowali się wkrótce po zaborze w 9 miastach. Troskliwość o protestantów przynosiła dobre owoce. Już w 1817 tj. w 45 lat po zaborze liczono 1364 rodzin protestanckich o sześciu tysiącach dusz. Ze względu na dobry postęp przyrzekało rozporządzenie gabinetowe z 6 czerwca 1816 jeszcze większą troskliwość. W Braunsbergu przysłano w 1772 dla wojska kapelana, a dla gmin cywilnych katechetę. W 1784 podarował król gminie budynek i dodał 1,200 talarów na przekształcenie go na zbór. Wkrótce potem osadzono tam rektora szkoły jako kaznodzieję z płacą

rządową; a w r. 1828 przyznano z tegoż funduszu 58,196 talarów na cele budowy. Tak więc liczyła gmina w r. 1818 już 1500, a w r. 1826 nawet 2.000 dusz. W r. 1838 posiadała już gmina dwóch kaznodziejów i szkołę trzyklasową, do której uczęszczało 140 dzieci. W Guttstadt osadzono w r. 1778 katechetę, wnet potem podarowano plac na budowę i wszystkie koszta budowy wzięło na się państwo. A chociaż gmina tylko 110 dusz liczyła, uznano przecież, iż protestancko-niemiecka kolonia tak jest tam ważną, że państwo wyznaczyło jej w 1828 ze swych funduszów aż 19.335 talarów! W Rössel zaprowadzono 1772 r. w dawnym biskupim zamku protestancką służbę bożą; a gdy gmach 1807 r. w części spłonął, wyliczył rząd na odbudowanie go 11.000 talarów. Nawet w Frauenburgu, rezydencyi biskupiej, ustanowiono katedrę w 1823 r. dla bardzo małej gminy i dano 2,702 talary na zakupno domu. W Heilsbergu przekazano dochody klasztoru Neuzelle na budowę protestanckiego kościoła. W 1836 r. miało z pomiędzy 12 miast dawniejszej czysto katolickiej Warmii już 10 miast własnych kaznodziejów i nauczycieli. W 1853 r. pobierali kaznodzieje i katecheci z funduszów państwowych 4.182 tal., podczas gdy dla wszystkich katolickich proboszczów i nauczycieli Warmii tylko 320 tal. 28 sr. gr. wyznaczono, przyczem należy już wliczyć czynsze z zabranych majątków fundacyjnych. Oprócz 12 protestanckich szkół w miastach utrzymuje państwo jeszcze 14 po wsiach. Obecnie liczy Warmia przeszło 22.000 protestantów, tj. dziesiątą część z ogólnej liczby mieszkańców. Jakie skutki osiągnęła „kolonizacya“ w innych katolickich prowincyach, zwłaszcza jeżeli tamże protestanci już byli, możemy z tego łatwo ocenić, jakkolwiek nie mamy na to dokumentów. Do wszystkich przywilejów, które niegdyś królom polskim, tak bardzo dla Kościoła zasłużonym, przyznali papieże, rościli sobie prawo protestanccy panujący Brandenburgii, zwłaszcza do nominacyi. Biada duchownemu, który się nie podobał staroście, lub nie kłaniał się nisko przed żandarmem, albo stróżem nocnym, zła nota nie minęła go, i wszystkie wyższe stanowiska zostały dla niego na zawsze zamknięte. Atoli na tem rząd nie poprzestał. W Prusach zachodnich i w okręgu nad Notecią odjęto zupełnie duchowieństwu, „ażeby przez gospodarowanie własnymi majątkami nie było rozrywane, i nie doznawało przeszkody w swych ducho-

wnych czynnościach“ — własny zarząd majątków fundacyjnych i klasztornych. W r. 1796 wyszło rozporządzenie, w skutek którego rząd w uzyskanych w 1793 i 1795 r. terytoryach majątki i mniejsze posiadłości duchownych „jako rzeczywistą własność państwa“ w posiadanie objął, a kościołowi tylko nieznaczną część dotychczasowych dochodów zostawił. Był to wstęp do ogólnej sekularyzacyi, która w kilka lat później wywołała zupełny przewrót na polu kościelnem i politycznem Niemiec. Prusy stały się potężnymi skutkiem tej sekularyzacyi. Dnia 9 lutego 1801 r. zawarł Franciszek I. w Luneville pokój, którym zadał śmiertelny cios Kościołowi katolickiemu w Niemczech. Z odstąpieniem lewego brzegu Renu rozstrzygnął się los kościelnych państw niemieckich. Stany państwa, pozbawione zupełnie lub częściowo swoich zachodnioreńskich posiadłości, otrzymały wynagrodzenie przez sekularyzacyę dóbr kościelnych. Ale i przy tejże zawarowano zawsze swobodne wykonywanie religii. Artykuł 63 ostatniej uchwały pruskiego sejmu z dnia 25 lutego 1803 r. stanowił: Dotychczasowe wykonywanie religii w każdym kraju winno być zasłonięte przed krzywdami wszelkiego rodzaju; w szczególności zostawuje się każdej religii posiadanie i spokojne używanie jej majątku kościelnego, a także funduszu szkolnego, według przepisów pokoju westfalskiego. Gdy w r. 1813 Prusy znowu przyszły do dawnego stanu, objęły w posiadanie na nowo niektóre z dawniejszych polskich posiadłości, jakoteż przeważną część odzyskanych po lewym brzegu Renu krajów niemieckich. Ludność tych krajów należała prawie wyłącznie do katolickiego wyznania. Przeto zapewnił Fryderyk Wilhelm III. w uroczystej proklamacyi do krajów nadreńskich (5 kwietnia 1815) ochronę religii: „Waszą religię będę szanował i ochraniał, a jej „sługom będę się starał nawet materyalny byt polepszyć, aby mo„gli zachować godność swego urzędu“. Ażeby organizacyę Kościoła na nowo wskrzesić, zawiązał rząd pruski z Stolicą rzymską rokowania. Następstwem ich była bulla *De salute animarum*. Skutkiem tej bulli, którą Pius VII. dnia 16 lipca 1821 roku wydał, a król Fryderyk Wilhelm, dnia 23 sierpnia do praw państwowych wcielił, ustanowiono na nowo ośm stolic biskupich, jakoto: Kolonia, Padeborn, Monaster, Trewir, Wrocław, Warmia, Poznań-Gniezno, Kulm razem z kapitułami. Postanowienia bulli dotyczące upo-

sażenia nie doczekały się nigdy od rządu pruskiego wykonania. Najpierw zwlekano, następnie zaniechano spełnienia ich zupełnie. Tem gorliwszym natomiast był rząd w wyzyskaniu praw, jemu tylko przyznanych, pod pozorem owego uposażenia z zabranych majątków kościelnych. Odnośnie do wyborów biskupów zawierała bulla tylko przepis, że kandydat musi być Prusakiem. Wkrótce wyszło do pruskich kapituł breve *Quod de fidelium*, według którego mógł każdy niemiecki kapłan zostać wybranym, lecz kapituły ze swej strony powinny zapewnić się przed wyborem, że proponowany kandydat nie jest osobą królowi niemiłą. Rodzaj i sposób, o tem zapewnieniu się pozostawiono uznaniu kapituły. Od r. 1841 przedkładano więc najczęściej rządowi listę kandydatów, lecz tem się rząd bynajmniej nie krępował i dlatego też częstokroć wszystkich kandydatów odrzucał. Jeżeli która kapituła wybiera na biskupa osobę ze słusznych powodów rządowi niemiłą, to rząd ma prawo przeciw prekonizacyi założyć protest u papieża za przedłożeniem powodów.

Skoro bullą *De salute animarum* zewnętrzne warunki katolicko kościelnego życia odnowione zostały, natychmiast wystąpiła dawna pruska polityka na jaw. Małżeństwa mieszane nastręczyły do tego sposobność. Fryderyk Wilhelm III. uważał się w obec wszystkich swoich poddanych za pana ich religii. W 1817 zatwierdził połączenie wszystkich protestantów w jeden „ewangielicki kościół“, a w r. 1824 narzucił wszystkim gminom nową agendę. W równy sposób zamierzył on postąpić z katolikami. Już w r. 1803, wbrew odradzaniu ministra sprawiedliwości, rozporządził, że na przyszłość wszystkie dzieci, pochodzące z małżeństw mieszanych, mają iść za religią ojca. Miało to być „skutecznym środkiem przeciw systemowi katolików nawracania na swoją wiarę“ i służyć „do ochrony ewangelickiej wiary; albowiem w państwie, w którem większość mieszkańców jest ewangielicką, wypadek, że ewangielik poślubia katoliczkę, musi się częściej zdarzać, niż przeciwny“. Deklaracyą z 17 sierpnia 1825 rozszerzył król to rozporządzenie na kraje nadreńskie i Westfalią. Wzburzenie między katolikami w zachodnich prowincyach było nie do opisania. Pierwszym arcybiskupem nowo wskrzeszonego arcybiskupstwa kolońskiego był hrabia Ferdynand August Spiegel. W istocie był on bardzo pokojowego usposobienia, a mimo to oświadcza

on w r. 1827: „Jestem w ustawicznej wojnie z powodu katolicko-duchownego sądownictwa, a zwłaszcza z powodu małżeństw mieszanych. W Berlinie jest u najwyższych osób na porządku dziennym ewangelizm, który jeszcze wiele złego przyniesie". I znowu w r. 1831: „Intolerancyą i zaciekłością, że tak rzekę, przeciw wszystkiemu co katolickie, przejęta jest władza administracyjna, składająca się z samych tylko protestantów". Słusznie mógł jeszcze przy końcu swego życia (1834 r.) napisać: „Ministrowie żądają od arcybiskupa, ażeby był tak poddańczo podległy, jak protestancki nadintendent, a zwłaszcza *in sacris* w radzeniu Kościołem i w rozdawaniu urzędów kościelnych. Dziś chodzi o zniszczenie wolności katolickiej w religii". Tak, wbrew najuroczystszym traktatom, to było celem państwa uważającego się za czysto protestanckie. Kwestya „zgubnych małżeństw mieszanych" zaostrzała się coraz bardziej. Król, w swem rozporządzeniu z r. 1825, wskazał na będącą w użyciu praktykę wschodnich prowincyj. To spowodowało arcybiskupa kolońskiego do zapytania, czy rzeczywiście istnieje tamże od Kościoła całkiem niedozwolona praktyka, iż mięszane małżeństwa bezwarunkowo błogosławią. W rzeczywistości istniało tamże od r. 1743 z kościelnem prawem całkiem sprzeczne nadużycie. Ówczesny książe biskup odpowiedział, że rzeczywiście oświadczenie Benedykta XIV. o ważności małżeństw mieszanych rozciąga się na Wrocław.

Jak gdyby z tego wynikał obowiązek bezwarunkowego pobłogosławienia ze strony katolickiego proboszcza! Równocześnie polecił rozstrzygający sprawy katolickie w ministeryum oświaty tajny nadradca rządowy Schmedding jeneralnym wikaryuszom wschodnich prowincyi przedłożyć sobie świadectwa, że i oni zezwalają na mięszane małżeństwa, nie żądając przyrzeczenia co do wychowywania dzieci po katolicku. Niezadowolony tem biskup wrocławski dodał jeszcze drugie wyjaśnienie, według którego jego wikaryat jeneralny mógłby dyspensy udzielać z tem tylko zastrzeżeniem, ażeby katolicka strona dobro katolickiej religii o tyle popierała, o ile na to prawa państwowe pozwalają.

Podczas gdy wrocławska władza kościelna swoję uległość w obec wymagań rządowych aż do sprzeciwienia się wszelkim kościelnym zasadom i Stolicy apostolskiej posuwała, wydał Papież Pius VIII. 25 marca 1830 breve *Litteris altero abhinc* do czterech reńskich

biskupów, w którem pozwala na pobłogosławienie małżeństw mieszanych pod warunkiem, że tylko przed katolickim kapłanem ślub wezmą, katolickiej stronie zostanie przyznane wykonywanie religii bez przeszkody, w końcu poręczonem katolickie wychowanie dzieci. Gdzieby tych warunków nie przyjęto, dozwoloną została tylko bierna asystencya. Te daleko idące ustępstwa nie wystarczyły rządowi pruskiemu. Życzył on sobie breve, któreby się królewskiemu rozporządzeniu z r. 1825 w niczem nie sprzeciwiało. Ponieważ Rzym nie chciał ustąpić, spróbowano z biskupami rzecz tę ułożyć. Dnia 19 czerwca 1834 r. zawarł arcybiskup Ferdynand August w Berlinie tajną umowę dotyczącą małżeństw mieszanych. Od przyrzeczenia wychowywania dzieci po katolicku, jako warunku kościelnego pobłogosławienia, odstąpiono.

Biskupi z Monasteru, Paderbornu i Trewiru przystąpili do tej umowy i wydali instrukcye pasterskie, w których zakazali wymagać przyrzeczenia, by dzieci wychowywane były po katolicku.

Ferdynand August umarł jeszcze w tym samym roku. Jego następca Klemens August von Droste z Vischering wcale nie myślał w czemśkolwiek odstąpić od kościelnych przepisów. Trzymał on się ściśle breve z 25 marca 1830, przez co popadł w nienawiść u rządu. Nienawiść ta wzrosła jeszcze bardziej, skoro zakazał nauki Hermesa, bullą papieską potępionej. Wieczorem 20 listopada 1837 r. uwięziono Klemensa Augusta „celem zachowania pełnej władzy królewskiej w obec Kościoła katolickiego“, i osadzono w Minden. Ale ponieważ żaden paragraf prawny nie dał się użyć przeciw biskupowi, przeto stworzono takowy z mocą wstecz działającą. Dnia 9 kwietnia 1838 wyszedł dekret, że ci, którzy się odważą rozporządzenia pozamiejscowych zwierzchności duchownych odbierać, przesyłać, rozszerzać lub do tego dopomagać, natychmiast, z zastrzeżeniem dalszego dochodzenia, mają być aresztowani i w miarę okoliczności w twierdzy osadzeni“. Już rozporządzenie gabinetowe z 17 lutego 1838 stanowiło, „że te państwowo- i kościelno-prawne stosunki, w ktorych ostatniemi czasy różnica zapatrywań co do rodzaju i sposobu, jak również co do granic wykonywania okazała się u władzy duchownej w styczności z świecką władzą, mają być prawodawczo uporządkowane, ustawy do tego potrzebne przez natychmiast ustanowić się mającą komisyą wypracowane, i o ile mo-

żności już na tegorocznej sesyi rady państwa do publikacyi przygotowane".

Już po trzech miesiącach (12 maja 1838 r.) przedłożyła komisya zarys pierwszej ustawy majowej. Między tym projektem a ustawami majowemi z 1873 r. zachodzi zadziwiająca zgodność. Tymczasem Fryderyk Wilhelm III. umarł, a za Fryderyka Wilhelma IV. rozporządzenia te złożono do aktów.

W kilka tygodni po uwięzieniu Klemensa Augusta miał Papież Grzegorz XVI. alokucyą, w której wyraził boleść całego katolickiego świata z powodu tego gwałtu. Jego boleść miała się wkrótce powiększyć. Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, Marcin Dunin, popadł w zatargi z rządem z powodu dyspens przy mieszanych małżeństwach. Dnia 27 lutego 1838 wystosował przeto okólnik do wszystkich dziekanów, w którym zakazał wszystkim duchownym pod karą suspensy kojarzenia mieszanych małżeństw, inaczej jak według kościelnych przepisów. W skutek tego został zasądzonym i z urzędu biskupiego strąconym, a 20 października 1839 pojmano go i do Kolbergu odstawiono.

Dopiero za panowania Fryderyka Wilhelma IV. przyszło do pokoju między państwem a Kościołem. Od pierwszego dnia swego panowania było usilnem staraniem tego wspaniałomyślnego monarchy zaprowadzić zgodę między duchowną a świecką władzą. Co się tyczy mieszanych małżeństw, postanowiono, że postępowanie przy tychże zależnem ma być od władzy kościelnej bez mięszania się w to rządu. Stanowcze ujęcie się arcybiskupa Klemensa Augusta i katolików nadreńskich za prawami kościelnemi nie pozostało bez wpływu na katolików innych części kraju. Szląski kler wystąpił przeciw rządowi i po protestancku wychowanemu prymasowi Seldnitzky'emu, który później (1863 r.) na protestantyzm przeszedł. Seldnitzky musiał 1840 r. zrezygnować, a od 1845 r. wykonywano breve Piusa VIII. z d. 25 marca 1830 r. bez przeszkody.

Raz jeszcze zachwiał się świeżo ustalony pokój religijny. Na wiosnę 1843 r. ogłosił rząd pruski projekt kodeksu karnego, w którym tytuł 29. nosił napis: „Zbrodnie duchownych". Duchownych uważano tamże przedewszystkiem za urzędników państwowych. Energiczne protesty arcybiskupiego koadjutora Geissela i osobiste uspo sobienie króla sprawiły, że i ten projekt ustaw majowych pozostał

tylko projektem. Również i przesłaniec starokatolicyzmu, ruch Range'go, nie wsparty przez państwo, upadł sam przez się. W końcu ułożono w 1850 r. pruskie ustawy zasadnicze. W 12 artykule zagwarantowano wolność religijnego wyznania, jakoteż łączenie się w stowarzyszenia religijne celem swobodnego, wspólnego, publicznego i prywatnego wykonywania religii.

Artykuł 15 opiewał: „Ewangelicki i Rzymsko-katolicki Kościół urządza i sprawuje swoje interesa samodzielnie i pozostaje w posiadaniu i używaniu wszystkich na cele oświaty, nauki i dobroczynności przeznaczonych zakładów, fundacyj i funduszów".

Art. 16 znosi wszelkie ograniczenie znoszenia się z przełożonymi: „Ogłoszenia rozporządzeń kościelnych podlegają tylko tym ograniczeniom, jakim ulegają wszelkie inne ogłoszenia publiczne". Artykułem 18 zniesiono prawo mianowania, proponowania, wyboru i potwierdzania przy obsadzaniu kościelnych posad, o ile takowe państwu przysługało, a nie polegało na patronacie lub innych tytułach prawnych. Jakiż to duch inny od ducha landrechtu! Za panowania tych rozporządzeń ustawowych rozwinął się w Prusach dla wewnętrznego pokoju i dobra publicznego bardzo korzystny stosunek między obiema wielkiemi władzami. Kościół katolicki doszedł w tym okresie trwającym blisko 25 lat do wielkiego rozkwitu. Wierne obowiązkom i wykształcone duchowieństwo nie ograniczało swej działalności do pełnienia jedynie obowiązków duchownych w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, lecz rozciągało ją i na obręb towarzyski. Liczne, powszechny pożytek przynoszące zakłady, najczęściej pod kierownictwem zakonników[1] roznosiły obfite błogosławieństwo między niższemi klasami ludu, a stowarzyszenia w duchu Kościoła zakwitły w całej pełni.

Prawda, że w Prusiech nie brakło stron ujemnych, częstokroć bowiem ponawiały się jeszcze napaści. Na początku 50 roku przedłożyło potężne wówczas stronnictwo konserwatywne niezgodną z równouprawnieniem obu wyznań teoryę „o ewangelickiem państwie", którą państwo wprowadziło w życie. Minister, v. Raumer,

[1] Siostry miłosierdzia św. Karola Boromeusza np. liczyły się po kilku latach w samym Szląsku na setki. Franciszkanie, Dominikanie, Kapucyni, Benedyktyni, Jezuici i inni, założyli liczne osady, a nawet Berlin miał w krótkim czasie 4 klasztory.

zakazał odbywania misyj, nauki w Colegium Germanicum, i ograniczył policyjnie przypuszczanie Jezuitów. Wychodząc z założenia, że historya protestanckiego kościoła w Prusach jest z historyą domu panującego i z rozwojem życia państwowego i narodowego jak najściślej połączoną, usiłował pamiętnik ewangelickiego nadradcy kościoła pod tytułem: „O powiększeniu uposażenia ewangelickiego kościoła w Prusiech“ — dowieść, że państwo jest prawnie zobowiązanem, wszystkiego tego, czego jeszcze protestanckiej społeczności do zaspokojenia jej potrzeb kościelnych brakuje, z dochodów publicznych dostarczyć.

Roku 1854 zdarzył się jeszcze ciekawszy fakt. W połowie tegoż roku wyszło rozporządzenie ministra Westfalii z d. 11 maja do wyższych prezydentów. Według poufnie do Berlina nadesłanego doniesienia duchowieństwo katolickie połączyło się obecnie wszędzie z demokracyą r. 1848, ażeby z nią razem przeciw Rosyi działać. Według owego doniesienia, agitują podobnie u katolickich biskupów, a przez nich na lud katolicki w Belgii i Niemczech. Nareszcie, że otrzymali także kaznodzieje podróżujący instrukcye celem pouczania młodszych duchownych i laików w duchu antirosyjskim. Minister w końcu upraszał wyższych prezydentów o szybkie nadsyłanie na poufnej drodze spostrzeżeń w tej mierze. Skoro się kardynał Geissel upewnił, że taki reskrypt rzeczywiście istnieje, wniósł z biskupami z Trewiru, Paderbornu i Monasteru podanie do ministeryum państwa. Treść dotyczącej denuncyacyi została przedstawioną jako oszczerstwo i niegodne pokrzywdzenie, które oni z całem duchowieństwem stanowczo odpierają. Na uniewinnienie się ministra, że chciał tylko prawdę wybadać, odpowiedzieli drugiem podaniem: Że sądzą, iż minister dostatecznie zna biskupów i duchowieństwo, aby podobne podejrzenie natychmiast mógł odeprzeć. „Tej ufności zostaliśmy pozbawieni. Tam, gdzieśmy się słusznie spodziewali zaufania, zawiódł nas reskrypt ministeryalny. Z boleścią spostrzegliśmy, jak mało nas tam znają i nasze duchowieństwo, i w jaki sposób oceniane bywają nasze i naszego duchowieństwa stanowisko, usposobienie i działalność, jakoteż interesa naszego Kościoła“. Sprawa zakończyła się ubolewaniem ministra, że reskrypt takie niezadowolenie między duchowieństwem wywołał.

Innego rodzaju skargi musieli katolicy wytaczać, o nieuwzględ-

nianie równych praw przy obsadzaniu wyższych posad zwłaszcza katedr na uniwersytetach. Na sześciu pruskich uniwersytetach znajdowało się w 1862 r. 202 profesorów zwyczajnych na świeckich wydziałach, z tych 17 katolików; 82 profesorów nadzwyczajnych, z tych 7 katolików; między 139 docentami prywatnymi było 13 katolików. Jeżeli wliczymy wydziały teologiczne, to było 248 profesorów zwyczajnych, a z tych 30 katolików; 101 nadzwyczajnych, a z tych 13 katolików, 152 docentów, a między tymi 17 katolików. Na innych polach życia państwowego stosunek nie był lepszym. Ze wszystkich ministrów, którzy od 1815—1848 roku stali u steru spraw publicznych, był tylko jeden katolik (przez $1^1/_2$ r.) Od r. 1848 napotyka się kilka katolickich imion, które się utrzymują przez kilka miesięcy, dopóki książe Hohenzollern-Sigmaringen w ciągu lat trzech ministerstwu państwa przewodniczy. Gdy katolicy zaproponowali królowi w 1852 r. utworzenie osobnego ministerstwa dla spraw katolickich, pozostało ich przedstawienie bez odpowiedzi. Pomiędzy wszystkimi wyższymi prezydentami nadreńskiej prowincyi nie było ani jednego katolika; a w Westfalii aż do r. 1862 jeden zaledwie. Pomiędzy wszystkimi prezydentami rządowymi w Prusiech, a było ich przeszło 50 od r. 1815 do 1862, piastowało tę godność zaledwie dwóch katolików.

Ponieważ więc parytetyczny charakter pruskiej monarchii był zagrożony, utworzyło się dnia 30 listop. 1852 pod przewodnictwem obu braci Reichenspergerów stronnictwo katolickie, składające się z 63 członków. O ich działalności pomówimy, gdy w osobnych artykułach przedstawimy kulturkampf.

W ogólności atoli, mimo przytoczonych faktów, położenie katolickiego kościoła w Prusiech określały słowa, wyrzeczone przez króla Wilhelma I. przy koronacyi dnia 18 października 1861 r. po sporze kolońskim: „Cieszy mnie niewymownie przekonanie, gdy wiem, że stosunki Kościoła katolickiego w całym obrębie mego państwa są uporządkowane przez historyę i ustawodawstwo“.

Artykuły pruskiej konstytucyi odnoszące się do Kościoła, sprawdziły się jako trwała podstawa religijnego pokoju. Nadały one Kościołowi tyle wewnętrznej wolności, ile jej było potrzeba do wypełnienia jego posłannictwa, i przez to jedynie stanowiły zaporę wszelkim zawikłaniom. Lecz czyż rzeczywiście miały się Prusy

zrzec swych dawnych dążności i tradycyi skutkiem nowych całkiem stosunków, w jakich się znalazły od zdobycia Szląska, a jeszcze więcej od nabycia zachodnich prowincyj? Czy z drugiej strony mógł być pokój długotrwałym, jeżeliby państwo wróciło do swych starych zasad pryncypalnych, jakie landrecht wypowiadał? Nie! Od r. 1815—1840 usiłowało pruskie państwo zastosować się do nowego położenia, w jakiem je postawiła wielka liczba poddanych katolików, ale tylko w ten sposób, iż się swych zasad mocno trzymało i takowe w miarę okoliczności przeprowadzało. Panowanie Fryderyka Wilhelma IV. i ustawodawstwo przerwało ten nowy porządek. A skoro się Prusy swych zamiarów nie zrzekły, to musiał przyjść czas, gdzie przeszkoda usuniętą i dawne usiłowania podjętemi być mogły. Stało się to rzeczywiście przez kulturkampf. Jeżeli się ten ostatni peryod przedstawił jako coś wewnętrznie niedokończonego, niezupełnego, to odpowiadało to właśnie położeniu rzeczy; dopiero ustawy majowe miały stanowić koniec. Niech nam wolno będzie historyą kulturkampfu omówić w szeregu osobnych artykułów, właśnie dla ważności tej walki, która tylko czasowo — jak to powiedział w Trewirze jeden z dawniejszych przywódców centrum, hr. Ballenström, — zawieszenie broni zawarła.

Ks. Augustyn Arndt.

ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU

ODNOŚNIE DO PISMA ŚWIĘTEGO.

II. Asyryologia.

(Ciąg dalszy).

---

5. Zgodność historyczna kronik klinowych z Pismem św.

Poszczególne zestawienie Pisma św. z kronikami klinowemi: Napisy Salmanasara II. — Zestawienie tekstów biblijnych z napisami Teglatpalasara i Sargona. — Izraelici uprowadzeni są w jasyr. — Nowi osiedleńcy Samaryi. — Oblężenie miasta Judzkiego Lachis. — Ezechiasz płaci haracz Sennacherybowi; zgoda zupełna co do jego wysokości. — Klęska wojsk Sennacheryba. — *Wiarogodność historyczna księgi Daniela:* Baltazar był królem babilońskim; jego imię chaldejskie. — Asyrowie kształcili młodzieńców na swoim dworze; przemieniali nazwiska cudzoziemskie na asyryjskie. — Jak po asyryjsku brzmiały nazwiska Daniela i Azariasza. — Chaldejczycy stawiali posągi. — Pole *Dura* zostało odnalezione. — Odsłonięcie pomników odbywało się uroczyście. — Muzyka babilońska opisana przez Daniela do jego odnosi się czasów. — Kara spalenia żywcem używana była w Chaldei. — Świadectwa wiarogodności księgi Daniela wystawione przez Lenormant'a i Ménant'a. — *Ogólna zgodność Pisma św. z kronikami klinowemi:* Imiona hebrajskie patryarchów napotykają się w Asyryi. — Królowie asyryjscy i babilońscy wspominani w Piśmie św., jak niemniej królowie Izraelscy i Judzcy znajdują się na pomnikach klinowych. — Płaskorzeźby i napisy asyryjsko-chaldejskie stwierdziły szczegóły, jakie Biblia przytacza o kulcie pogańskim, o zwyczajach i obyczajach ludów mezopotamskich. — Zasługi asyryologów odnośnie do egzegezy biblijnej.

Treściwie podane poprzednio główne nabytki asyryologii wykazują cenność tej nauki dla historyi, etnografii, geografii i lingwistyki, przedewszystkiem zaś cenność jej dla egzegetyki biblijnej. Asyryologia nietylko wystawiła Biblii świadectwo wiarogodności, lecz nadto dostarczyła jej mnóstwa szczegółów wyjaśniających ciemne strony opowiadania Pisma św.

Skoro poczęto ogłaszać wypisy z kronik asyryjskich, racyonaliści, przedewszystkiem niemieccy, usiłowali wyzyskać je dla swoich celów: posypały się broszury i artykuły w licznych czasopismach, wszystkie wrogo usposobione dla Biblii, wszystkie głosiły jej ostateczny wyrok potępienia. Zdawało się, mówi jeden z poważnych pisarzy, że Asyrowie i Babilonowie powstali z grobu, by nowego rodzaju pogromem zagładzić najznakomitszy pomnik, jaki pozostał po dzieciach Izraela — święte ich księgi. Ta groźna nawałnica wprost przeciwny oczekiwaniu miała skutek. Im lepiej poznawano język asyryjski, im więcej odkrywano i odczytywano dokumentów, tem świadectwa wiarogodności biblijnej stawały się liczniejsze i bardziej przekonywające. Pomówimy najprzód o zgodności historycznej Pisma św. z kronikami klinowemi.

Biblia zawiera wiele ksiąg, w których opisane są dzieje Hebrajczyków i ich stosunki z państwami pogranicznemi; księgi asyryjskie z działu historycznego zajmują się opisem wypraw zaborczych królów asyryjskich, począwszy mniej więcej od X. wieku: wynika stąd, że tak w jednych jak i drugich księgach muszą znaleść się opisy tych samych zdarzeń. Tak też jest rzeczywiście. Zdarzenia opisane w Biblii odnajdują się w kronikach klinowych, zgadzają się wzajemnie, a często uzupełniają się i wyjaśniają.

W zapiskach asyryjskich nazwa Izraela występuje po raz pierwszy za Salmanasara II. Na słynnym obelisku tegoż króla, wynalezionym w Nimrud przez Layarda, jest przedstawiony, między innymi, zwyciężony król z tym napisem: „Haracz Jehu (Jahua), syna Amri: srebro, złoto, blachy złote, czasze złote, dzbanki złote, misy złote, przybory królewskie, berło ręczne królewskie, buzdygany; to otrzymałem“ [1]. Jehu nie był synem Amri, nawet wygubił był on potomstwo tego ostatniego, lecz nazwę Amri dawali Asyrowie Izraelitom [2] z powodu rozgłosu, jaki zjednał sobie Amri wśród ludów Zachodniej Azyi zbudowaniem warownej Samaryi.

Niebawem Asyrowie wtargnęli na ziemie Izraela. Teglatpalasar pobił Izraelitów, nałożył haracz i część mieszkańców uprowa-

---

[1] *Black Obelisk*, Layard p. 98 l. 2.
[2] Mat bit-Humri, ziemia domu Amri.

dził w jasyr. Biblia i napisy klinowe powiadamiają nas o tem zdarzeniu, zestawimy te opisy obok siebie.

IV. król., XV., 29, 30.

Za dni Phaceasza króla Izraelskiego przyciągnął Teglathphalazar król Asyryjski, i wziął Ajon, i Abel Dom, Maach, i Janoe i Kedes, i Asor i Galaad, i Galileą i wszystką ziemię Nephtali: i przeniósł je do Asyryi.

A Osee syn Ele sprzysięgł się i zasadzkę uczynił na Phacee syna Romeliasza, i usiekł go i zabił; i królował miasto niego dwudziestego roku Joathama syna Osiaszowego.

Cuneif. inscrip. of. W. A., t. III. pl. 10, n° 2.

26–27 ... wielkich ... Otrzymałem haracz. Ziemię Beth-Omri (Bit-Humri, tj. król. Izraelskie), odległe... jej znaczniejszych mieszkańców.

28. Z ich dobytkiem przesiedliłem do Asyryi. Pekach (Faceusza) ich króla kazałem zamordować. Hozea (Ausie, Ozeasza) postawiłem, 29 (jako króla) nad nimi [1].

Uprowadzanie w jasyr ludności było zwyczajne u Azyatów, lecz Teglatpalasar, jeden z najokrutniejszych królów asyryjskich, był pierwszym, który na wielką skalę wprowadził je w praktykę: całe pokolenia aramejskie i izraelskie, wyrwane z siedzib rodzinnych, pędzono w stepy asyryjskie. Jest rzeczą prawdopodobną, że ludy te używały już u siebie pisma fenickiego, dostawszy się do Asyryi rozpowszechniły jego użycie, z tych bowiem czasów spotyka się w ceglanych księgach kontraktowych, obok pisma klinowego, napisy fenickie i aramejskie [2].

Królestwo Izraelskie istnieć jeszcze nie przestało, Salmanasar dopiero IV., a właściwie wódz jego i następca Sargon, kres mu położyli. O Sargonie, jednym z najznakomitszych królów asyryjskich pisarze klasyczni nic nie wiedzieli, racyonaliści do ostatnich czasów istnieniu jego przeczyli; po odgrzebaniu dopiero pałacu w Chorsabad, po wynalezieniu bogatych archiwów, które dziś noszą jego nazwę, po odkryciu wreszcie jego wizerunków, stwierdzono, że Izajasz nie omylił się czyniąc o nim wzmiankę w swej księdze.

Wzięcie Sarmacyi i upadek królestwa Izraelskiego przypada na rok 722 lub 721; tak Biblia jak i kroniki asyryjskie zgodne są

[1] Napis Teglatpalasara jest w wielu miejscach uszkodzony. Ob. Schrader, KAT², str. 255 i nast.

[2] J. Smith, *Anc. Hist., from the Monum., Assyria* p. 90.

pod tym względem; zgodne są również i co do innych szczegółów, jak się przekonać można z tekstów, które tu zestawiamy:

IV. Król., XVII.

5. I zjeździł (król asyryjski) wszystką ziemię jego (Ozee), i przyjechawszy do Samaryi, obległ ją przez trzy lata.

6. A dziewiątego roku Ozee, wziął król Asyryjski Samarią, i przeniósł Izraela do Asyryjczyków; i posadził je w Hala i w Habor nad rzeką Gozan w mieściech Medzkich.

24. A król Asyryjski nawiódł ludzi z Babilonu, i z Kuthy, i z Awei, i z Emathu, i z Sepharwaima; i osadził je w mieściech samaryjskich miasto synów Izraelskich, którzy posiedli Samarią i mieszkali w mieściech jej.

Archiwa Sargona.

23. Obległem miasto Samarina (Samarią) i zdobyłem je.

24. uprowadziłem 27.800 mieszkańców; zabrałem 50 wozów a pozostałe bogactwa oddałem na łup (moim poddanym); postawiłem nad nią moich namiestników; haracz poprzedniego króla potwierdziłem [1].

.....

1. W początkach mego (panowania obległem i wziąłem Samaryą).

2. uprowadziłem w jasyr (mieszkańców)...; zatrzymałem sobie 50 wozów.

3. Na miejsce tych (których zabrałem w jasyr) sprowadziłem ludność z krajów, które podbiłem [2].

.....

8. (Merodach-Baladan), który z woli bogów (sprawiał) rządy w Babilonie, zwyciężyłem go.

9... mieszkańców z ich dobytkiem uprowadziłem i

10. przeniosłem ich do ziemi Hatti. (Syrya i Palestyna) [3].

.....

20. Zwycięzca Tamudu, Ibadidi, Marsumani, Hayapa (pokolenia arabskie), obrócił w niewolę tych, którzy pozostali i kazał ich osiedlić w ziemi Beth-Amri (Izraelskiej) [4].

Izraelici popędzeni zostali w jasyr, a na ich miejsce sprowadzono ludy z południowej Chaldei i Arabii; każdy z tych ludów miał swój własny kult, księga Królewska mówi [5]: „I każdy naród uczynił sobie boga swego, i postawili je w zborach wysokich, które

---

[1] Oppert, *Fastes de Sargon*, l. 22—25.
[2] G. Smith, *The Assyrian Eponym Canon*, Extr. XXI. p. 125.
[3] Botta, *Monum. de Ninive*, t. V. pl. 70.
[4] Schrader, KAT[2], 271—285.
[5] IV. król. XVII. 29, 30, 31.

byli pobudowali Samaritowie, naród i naród w mieściech swych, w których mieszkali. Mężowie bowiem Babilońscy uczynili Sochoth Benoth, a mężowie Chutscy uczynili Nergela, a mężowie z Emathu uczynili Asima. Zaś Hewejanie uczynili Nebahaza i Tharthaka. A ci, którzy byli z Sepharwaima, palili syny swoje w ogniu, Adramelechowi i Anamelechowi bogom Sepharwaimskim".

Cały ten ustęp dla egzegetów długo był niezrozumiałym, poszukiwania asyryologiczne w części go dopiero wyjaśniły. Sochothbenoth, czyli uroczystość Saków, obchodzoną była w Babilonii na cześć bogini Zarpanit; Nergel był bożkiem o głowie lwiej, czczonym w Kuta[1]; w Sippara oddawano cześć słońcu (Samas), stąd palenie ofiar w ogniu. Schrader objaśniając ten ustęp nie może się powstrzymać od wypowiedzenia swego uznania dla Biblii. „Nie ulega wątpliwości, pisze on[2], że Kutowie czcili bożka-lwa, czyli Nergela: jestto najświetniejszem potwierdzeniem dokładności, jakie napisy klinowe składają pisarzom biblijnym".

Przyszła kolej na królestwo Judzkie, zaciężyła nad niem żelazna ręka Asyrów. Pismo św.[3] opowiada nam wyprawy Sennacheryba, — kroniki klinowe, mianowicie zaś *graniastosłup Taylora* i napisy z Kujundżik zajmują się opisem tych samych zdarzeń; British Muzeum posiada nadto płaskorzeźbę, znalezioną przez Layarda, przedstawiającą współczesny szturm miasta Judzkiego Lachis. Nie możemy wchodzić w szczegółowe zestawiania opowiadań pochodzących z tych dwóch odrębnych źródeł, lecz stwierdzamy wraz z ogółem historyków, iż zgoda ich jest najzupełniejsza, w najdrobniejszych nawet szczegółach. Przytoczymy tu jeden przykład. Ezechiasz płaci dań Sennacherybowi 30 talentów złota i 300 talentów srebra, według Biblii; według zaś napisów klinowych haracz ten wynosił

---

[1] Między rabinami utrzymywało się podanie, że Kutajowie osiedleni w Samaryi czcili koguta. Lenormant uważa to za prawdopodobne, albowiem spotkać można na pomnikach asyryjskich koguta jako symbol bóstwa. (Ob. *Com. de Bérose* p. 122). Layard spostrzegał między symbolami zdobiącymi grób słynnego Szeika Ali, w północnej Mezopotamii, częste wyobrażenie koguta, nadto ówczesny Szeik przyznał się asyryologowi angielskiemu, że Jezydowie posiadają koguta z bronzu, który jest dla nich świętym symbolem. *(Nineveh and its remains*, v. I. p. 298.)

[2] KAT[2] S. 167.

[3] IV. król., XVIII.—XIX.; Iz., XXXVI—XXXVII.; II Par., XXXII.

30 talentów złota i 800 srebra. Otóż, wiadomo jest dziś, że talent asyryjski srebra wart był $^3/_8$ talentu żydowskiego; talent zaś złota w obydwu krajach miał jednakową wartość; liczby tedy powyższe są identyczne [1].

Musimy jednak tu zauważyć, że kroniki asyryjskie przemilczają o klęsce, jaką poniosło wojsko Sennacheryba, a którą zapisało Pismo św. [2]. „Stało się tedy onej nocy przyszedł Anioł Pański, i pobił w oboziech Asyryjskich sto osiemdziesiąt i pięć tysięcy. A wstawszy po ranu, ujrzał wszystkie ciała umarłych: i odciągnąwszy odjechał". Lecz w tem nie ma nic dziwnego. Ani kroniki asyryjskie ani egipskie do żadnych nigdy klęsk się nie przyznawają — nie mogli się z nich chełpić Sarowie i Faraonowie. Herodot jednakże [3] i Berozus [4] zostawili nam wiadomości o tym wypadku; okoliczność zaś ta, iż chciwy grabieży Sennacheryb, przez

---

[1] Der Cylinder Sanherib's giebt den Tribut auf ebenfalls 30 Talente Goldes, aber 800 Talente Silbers (col. III. 34) an. Die Differenz in der Angabe des Betrages des Tributes in Silbertalenten beruht, wie Brandis, Münz-, Mass- und Gewichtswesen in Vorderasien. Berl. 1866. S. 98. vermuthet, auf einer verschiedenen Berechnung je nach dem babylonischen leichten und dem palästinensischen schweren Silbertalente, für welches letztere derselbe als Grösse $^8/_3$ des ersteren glaubt annehmen zu sollen. Die biblische und assyrische Angabe der Höhe des Tributes würden sich in diesem Falle völlig decken. In unser Geld übertragen, beläuft sich der Tribut gemäss dem zu 1 Mos. 23, 16 Ausgeführten auf 4,000.000 M. in Gold und 2,200,000 M. in Silber: wie man sieht, war derselbe etwa zu einem Theile in Silber und zu zweien in Gold zu entrichten. Auch erkennt man, dass der Tribut, den Sanherib erhob, von dem, den Menahem gemäss 2 Kön. 15, 19 dem Phul-Tiglath-Pileser zu zahlen hatte, an Höhe nicht wesentlich verschieden war. Betrug der erstere insgesammt 6,200,000 M., so berechnen sich die 1.000 Silbertalente Phul's auf 7,500.000 Mark, also um ein Siebtel höher, was indess bei der grösseren territorialen Ausdehnung Nordisraels nur angemessen erscheint. Der Name des „Talents" oder Centners (c. 120 Zollpfund = 60 Kilogram.), im Hebräischen (כִּכָּר) von der kreisrunden Form der Gewichte, beziehungsw. der ein solches Gewicht ausmachenden Metallmasse hergenommen, bezeichnet im Assyrischen (bilbu), ursprünglich den Tribut (von אבל „darbringen" *offerre*), dann das Gewicht, von welchem bei Tributzahlungen vornehmlich Gebrauch gemacht ward. Schrader KAT[2] S. 317, 318.

[2] IV. Król. XIX., 35.

[3] II., 141.

[4] Józef, Antiq. Jud. XI., 11.

lat osiemnaście, przez które jeszcze panował, nie przedsięwziął żadnej wyprawy, dostatecznie dowodzi zagłady jego armii [1].

Ramy naszego zadania nie dozwalają nam zamieszczać wszystkich poszczególnych zestawień, nie możemy jednak pominąć ksiąg Daniela, przeciw którym w sposób nader natarczywy wystąpili „nowożytni krytycy".

T. Nöldeke [2] pozbierał skrzętnie wszystkie zarzuty przeciw księgom Daniela. „Księga Daniela, pisze on, nie jest autentyczną. A najprzód największa część faktów jest bajeczna, są one nie możebne... Dość wspomnieć o trzech młodzieńcach ocalonych w piecu ognistym i o tylu innych cudownych zdarzeniach..." Nöldeke utrzymuje za innymi racyonalistami, iż autor ksiąg Daniela pisał je w cztery wieki po śmierci tegoż, podawał wypadki przeszłe jako przyjść mające, aby tym wrzekomem proroctwem podnieść ducha ludu żydowskiego. Do niedawna racyonaliści naigrawali się z grubej nieświadomości historyi mniemanego Daniela, który pisze, że za panowania króla Baltazara upadło państwo babilońskie, albowiem rzeczą było wiadomą z pisarzy klasycznych, że Nabonid był ostatnim królem babilońskim, o Baltazarze zaś nikt nigdy nie słyszał. Otóż napisy klinowe rzecz wyświeciły.

Według pisarzy greckich Nabonid był ostatnim władcą babilońskim, za jego czasów państwo chaldejskie przeszło pod władzę Cyrusa; Daniel zaś pisze, że za panowania Baltazara upadł Babilon i dostał się w moc Daryusza Meda. Pochwycili to wrzekome przeciwieństwo racyonaliści i wydali wyrok potępienia na Daniela; otóż sąd ich był zbyt skwapliwym. Pomniki wynalezione w Chaldei stwierdziły wprawdzie, że za Nabonida upadło państwo babilońskie, ale dostarczyły zarazem dowodów, że Daniel nie popełnił fałszu historycznego.

Ostatni król chaldejski Nabonid miał syna nazwiskiem *Bel-sar-usur* [3], który zupełnie odpowiada hebrajskiemu *Belsacar*, a Bal-

---

[1] Budge, *Rec. of the past*, t. XI. p. 46.

[2] *Die alttestamentliche Litteratur*, Leip., 1868.

[3] Na walcu z Mugeir stoi w napisie: „... (C. II. l. 3). Dla tego ochroń mnie Nabu-naid'a, króla Bab-Ilu, od grzechu przeciw wielkiemu Bóstwu, udziel mi długiego życia a również i *Bel-sar-usur'owi* (Baltazarowi), latorośli serca mego, memu najstarszemu synowi..." *Western Asia Inscriptions*, I. p. 68 n. 1.

tazarowi według Wulgaty[1]. Bel-sar-usur był dowódcą wojsk w Akadzie, nosi tytuł w napisie klinowym *habalsarru*, który może być tłumaczonym albo przez „syn króla“, albo też „syn-król“ [2]. Zresztą skoro Nabonid pobity został przez wojska Cyrusa i schronił się do Borsypy, Baltazar oblężony w Babilonie mógł przyjąć tytuł króla, nieuwłaczając przez to ojcu swemu; musiał on uznawać swoje stanowisko za drugorzędne, skoro Danielowi nie *drugie* lecz *trzecie* miejsce obiecuje w królestwie. Boscawen[3] utrzymuje, że Bel-sar-usur i Marduk-sar-usur oznaczają jednę i tę samę osobę, albowiem nazwy Bel i Marduk są identyczne. Otóż pomiędzy kontraktami znalezionymi w Hilleh w r. 1876 znajdują się umowy spisane *w trzecim roku panowania Marduk-sar-usur'a*, co doskonale stwierdza prawdomówność Daniela. Baltazar nazywa Nabuchodonozora ojcem, lecz wyraz ten należy brać w znaczeniu „przodka“; nie było między nimi pokrewieństwa „po mieczu“, lecz mogło być „po kądzieli“: królowa, która podczas uczty dała radę Baltazarowi

---

Na „Wielkim walcu Nabonida“ czytamy: „... Albowiem Nabu Naid (an-akim-tuk), król Bab-Ilu nie zgrzeszył przeciw twemu wielkiemu Bóstwu i *Bel-sar-usur*, syn mój najstarszy, latorośl serca mego...“ W. A. I. I. p. 69.

[1] Należy tu zauważyć, że trzy różne osoby noszą w Wulgacie nazwę Baltazara: syn Nabuchodonozora (u Barucha), syn Nabonida i Daniel. O pierwszym kroniki miejscowe nie przyniosły nam żadnych dotąd świadectw, co do dwu drugich rzecz jest dzisiaj całkiem jasna. Syn Nabonida w tekście hebrajskim zowie się *Belsacar*, które odpowiada asyryjskiemu *Bel-sar-usur* (Bel regem protege); imię zaś Daniela w tymże tekście wyrażone jest przez *Beltsacar*, według asyryologów odpowiada ono nazwie asyryjskiej *Balat-su-usur* (Vitam ejus protege), skróconej z *Bel-balat-su-usur* (Bel vitam ejus protege).

Belsazar, der König, gab ein grosses Gastmahl u. s. w.... Ein babylonischer Fürst dieses Namens hat wirklich existirt. Er war der erstgeborene Sohn Nabunit's und sein babylonischer Name lautete *Bil-šar-uṣur* d. i. „Bel schirme den König“. Schrader, KAT², str. 433.

[2] Nabonid przybrał Baltazara do współpanowania, jak niegdyś uczynił to był Assarhaddon ze swym synem Asurbanipalem; tak utrzymują historycy obznajomieni dobrze z asyryologią: G. Rawlinson *(Five great Monarchies,* vol. III. p. 70), Maspero (*Hist. anc. des peup. de l'Or.* p. 519), Ménant *(Bab. et la Chal.*, p. 258), Oppert *(Le peuple et la langue des Mèdes,* p. 168), Lenormant *(Manuel,* s. II. p. 242), G. Re *(Arch. di letter. orien.,* 1880, apr. p. 122), Rohling (*Das Buch des Proph. Daniel*, p. 158), i inni.

[3] *Babylonian dated Tablets* w czasopiśmie *Trans. of the Soc. of Bibl. Arch.* 1878.

aby wezwał Daniela do wykładu tajemniczego pisma, mogła być córką Nabuchodonozora [1].

Co się tyczy osoby Daryusza Meda, który objął rządy w Babilonie, kwestya ta nie została dotąd rozwikłaną. Najprzód samo to imię *Daryusz* nie jest pewne, mogło być mylnie przepisane; odnośnie zaś do osoby, jedni utrzymują, że był to Ugbaru (Gobryas), dowódca wojsk Cyrusa [2], inni zaś twierdzą, że był nim Cyaksares II., syn Astyagesa [3]. Zresztą mógł jakiś Med, nazwiskiem Daryusz, panować w Babilonie, przeciw temu bowiem twierdzeniu nie wystarczy jeszcze dowód *negatywny* pisarzy klasycznych, jak dobrze zauważył Fuller [4]. W każdym razie wiemy pewnie, że sam Cyrus nie panował zaraz w Babilonie; napisy klinowe świadczą, że Cyrus w dwu pierwszych latach po zdobyciu Babilonu tytułuje się „królem narodów", a w trzecim dopiero tytuł jego brzmi „król babiloński, król narodów" [5].

Kamieniem obrażenia dla racyonalistów była historya opowiadana przez Daniela o młodzieńcach żydowskich wychowywanych na dworze króla babilońskiego, a wrzuconych następnie do ognistego pieca; otóż asyryologia poucza nas, że szczegóły opisane przez Proroka zgadzają się zupełnie z życiem i obyczajami ludów asyryjsko-babilońskich.

Sarowie asyryjscy wychowywali na dworze swoim młodzień-

---

[1] Pusey, *Lectures on Daniel*, str. 449.

[2] Czytamy w napisach klinowych:

19..... Cyrus pokój w Babilonie
20 zupełnie utwierdził. Ugbaru jego rządcą
(i) rządców (niższych) w Babilonie ustanowił.

G. Pinches, *Trans. of the Soc. of Bibl. Arch.* t. VII., 1882, str. 156—168.

[3] O. Brunengo T. J. *Il Dario Medo di Daniele* w dziele *L'Impero di Bab. e di Nin.*, str. 452—482.

[4] But, this objection is very much removed by a recollection of Easter practices. The whole Achaemenian period, replete with its heroes and glorious events, passed so completely out of the thoughts of the Persian people, that not one name remained to them. The very name of the great Darius Hystaspis came back to the Persians through the greek traditions concerning Alexander. Can it be matter of wonder that the short reign of Darius the Mede should have perished in this general oblivion? *The Speaker's Commentary*, IV., p. 314.

[5] *Le Muséon*, 1883, str. 247—268.

ców wybieranych z pośród ludów przez siebie podbitych, czytamy na jednym z napisów Sennacheryba:

Belibni, syn mędrca, z rodu babilońskiego, który jako młodzieniaszek w moim pałacu był wychowany, na królestwo Sumiru i Akadu wyniosłem go [1].

Książki szkolne znalezione w bibliotece Asurbanipala służyły właśnie dla nauki tych młodzieńców [2]. Asyrowie nadając indygenat cudzoziemcom zmieniali ich nazwiska: Asurbanipal podbiwszy Egipt, osadził na tronie Psametyka, lecz nazwał go *Nabu-sezibanni* [3]. Nabuchodonozor zmieniając imiona Daniela, Ananiasza, Misaela i Azariasza na Baltazara (Beltsacara), Sydracha (Szadraka), Misacha (Meiszaka) i Abdenago (Abed-Nego) stosował się tedy do zwyczaju przyjętego. Te nazwy asyryjskie prawdopodobnie były mylnie przepisane. Daniel, według Wulgaty Baltazar, według tekstu oryginalnego *Beltsacar*, nosił zapewne z asyryjska imię *Balatsu-usur*, które jest skróconą nazwą *Bel-balatsu-usur*, „Bel chroń jego życie"; Abdenago, a raczej jak ma tekst oryginalny *Abed-nego*, nazywał się, jak utrzymują asyryolodzy *Abed-nebo*, „Sługa bożka Nebo"; asyryjskie brzmienia pozostałych dwu nazwisk nie zostały dotąd odszukane [4].

Posąg wystawiony przez Nabuchodonozora [5] na płaszczyźnie Dura uznany został przez racyonalistów za wierutną bajkę; posłuchajmy co mówi na to asyryologia.

W Asyryi i Chaldei stawiano posągi bożkom i królom: Layard w Nimrud, de Sarzec w Tell-Loh odgrzebali posągi, które obecnie przechowują się w British-Muzeum i Luwrze. Wyrabiano posągi z kamienia, z gliny lub z kruszcu; gliniane statuy okładano blachami złotemi i srebrnemi. Posągi bywały czasem wielkich roz-

---

[1] Taylor, *Records of the past*, t. I. str. 34.

[2] Te księgi podobne są do naszych podręczników szkolnych, a poczynają się od tak zwanego dziś elementarza. W British Museum przechowuje się jeden taki elementarz, który służył jakiejś księżniczce asyryjskiej do sylabizowania. Ob. Sayce, *Babylonian Litterature*. London, 1879.

[3] G. Smith, *Hist of Asurb.* str. 45—46.

[4] E. Schrader, KAT², str. 429—430.

[5] Nabuchodonozor król uczynił balwan złoty, na wzwyż sześćdziesiąt łokiet, a na szerzą sześć łokiet, i postawił ji na polu Dura krainy Babilońskiej. Daniel, III. 1.

miarów i nadzwyczaj kosztowne. Herodot [1] widział w Borsypie posąg Bela, tron, stół i stołek, wszystko szczerozłote; ciężar ich wynosił 800 talentów, wartość zaś na dzisiejsze pieniądze dochodziła do półtrzecia miliona funtów szterlingów (ściśle 2 423 520). Dokumenta klinowe pouczają nas, że Sarowie nie żałowali srebra, złota i drogich kamieni do przyozdobienia posągów. Nabuchodonozor w napisie swoim [2] przekazuje potomności wiadomość, iż rozkazał wyłożyć ołtarz „czystem złotem, niezmiernej wagi", a całe wnętrze świątyni „obić kutemi płytami złotemi, świecącemi jak wschód i zachód".

Oppert wynalazł płaszczyznę Dura w okolicach dawnego Babilonu [3]. W obec świadectw asyryologii, Lenormant przychodzi do przekonania że: „Wzniesienie posągu złotego, o którym wspomina Daniel w rozdz. III., staje się nadzwyczaj prawdopodobnem. Niewątpliwie jest to znamieniem owego czasu" [4].

Odsłonięcie posągów odbywało się bardzo uroczyście, świadczą o tem urywki z napisów babilońskich:

54. Obfitość skarbów z krajów nagromadziłem,
55. około grodu to było umieszczone jako ozdoba,
56. podczas uroczystości Lilmuku, z początkiem roku,
57. ósmego dnia, jedenastego dnia,
58. boski władca, bóstwo nieba i ziemi, pan bóg,
59. tam wystawiono.
60. (posąg) bożka El, piękność globu,
61. niesiono z uszanowaniem;
62. skarby rozłożono przed nią [5].

Wreszcie tak drobne szczegóły, jak muzyka babilońska, którą opisuje Daniel [6], stwierdzają wierzytelność opowiadania. Dzisiejsi erudyci tak dobrze dziś znają historyę muzyki, iż mogą na pewno

---

[1] I. 183.

[2] *Cuneiform inscriptions of Western Asia*, t. I. str. 53—58.

[3] Babylonische Oerter des Namens *Duru* gab es mehrere, wie sich denn dieser Name als solcher von Hügeln bis auf die Jetztzeit dort erhalten hat. Die alte babylonische Völkertafel IV. R. 38 führt Av. Col. II., 9—11 allein drei Oertlichkeiten dieses Namens auf (Del. PD. 216). Der Name bed. „Wall" und dann „Burg". Schrader, KAT², S. 430.

[4] *La divin. chez les Chal.*, str. 196.

[5] *Records of the past*, t. V., str. 117—118.

[6] W godzinę kiedy usłyszycie głos trąby i piszczałki, i cytry, fletnie i harfy i symfonała i wszelakiej muzyki... III., 5.

oznaczyć epokę, do której należy ten lub ów instrument muzyczny. Z tego powodu pisze Lenormant: „Autor piszący w cztery wieki po zaszłych wypadkach musiałby być znakomitym erudytem, jakich wówczas nie bywało, żeby mógł tak doskonale pogodzić tekst z pomnikami klinowymi; muzyka wykonywana na instrumentach nie była znaną za czasów dawnych królów asyryjskich, w VII. dopiero wieku odgrywała wielką rolę we wszystkich uroczystościach religijnych i publicznych w Asyryi i Babilonii“ [1].

Nakoniec z powodu pieca ognistego, do którego wrzuceni zostali młodzieńcy żydowscy z rozkazu Nabuchodonozora [2] racyonaliści podnosili zarzuty, które wywołały należyte odparcie.

Asyryolog angielski Bertin zamieścił w *The Babylonian and Oriental Record* artykuł pod tytułem: *The burning fiery furnace,* w którym wykazuje, iż palenie ciał było zwyczajne w Babilonie [3], miało zaś na celu, według ich pojęć, oczyszczenie duszy od zmaz grzechowych. To nam tłumaczy, pisze Bertin, dlaczego Nabuchodonozor kazał wrzucić do pieca trzech młodzieńców, bluźniących jego bogów [4].

---

[1] *Loc. cit.*, str. 190.

[2] Tedy Nabuchodonozor... rozkazał, żeby rozpalono piec siedmkroć więcej niźli był zwyczaj palić. A mężom co mocniejszym z wojska swego rozkazał, aby związawszy nogi Sydracha, Misacha i Abdenago wrzucili je w piec ognia gorejącego. Daniel, III., 19, 20.

[3] W *Babyloniam and Oriental Record*, 1886, N. 2, p. 17, czytamy: „What were these furnaces always burnig? and why this punishment chosen in preference to any other?

„To these two questions answers may be found in Babylonian customs, of which we were ignorant, but which hawe now been revealed by the Assyriological discoveries und cuneiform studies. One of these customs was the burning of the deat — what we call *cremation.* This was so unexpected, and the idea of a Semitic population disposing of their dead by annihilating them by fire, was so adverse to all that was accepted, that it was at first rejected. George Smith was the first, I belive, who admitted the posibility of such a custom; but, even with a dear text before him, he did so timidly. The text published by him is a fragment of the Babylonian royal Canon, which gave the list of all the Kings, with the length of their reigns, and, in some instances, a few remarks about them; in the case of Simmas-šihu, it is stated that he was burned in the palace of Sarginá“.

[4] In conclusion, it may be said that when Nebuchadnezzar ordered the three young Jews to be cast into the burning fiery furnace, it was not through the

Rzeczą jest prawdopodobniejszą, że spalenie żywcem było karą jakiej ulegali najwięksi zbrodniarze. Kara ta była podwójną: raz, większe i dłuższe męczarnie fizyczne, następnie dusza pozbawioną zostawała przebywania przy zwłokach ciała [1], które przez spalenie uległo zniszczeniu, a tem samem nie mogła się z nim połączyć przy zmartwychwstaniu, w co, jak to już okazaliśmy, wierzyli Chaldejczycy. Kroniki klinowe dostarczają nam wiele pod tym względem dowodów. W pierwszej wyprawie elamickiej Asurbanipal schwytawszy wodzów nieprzyjacielskich Teummana, Dunanu i Nabuzili, po wyrwaniu im języka i obdarciu ze skóry, kazał ich spalić w piecu ognistym. Taki sam rodzaj śmierci zadał okrutny Asurbanipal własnemu bratu Salummukinowi (Samul-sum-ukin). O tem zawiadamia poddanych sam król asyryjski w swych napisach, zaznaczając przytem, że zniewaga bogów była powodem takiego wyroku.

Profesor uniwersytetu Oksfordzkiego, anglikański doktor Teologii Cheyne, jakkolwiek jest przeciwnikiem wierzytelności księgi Daniela, przyjmuje jednak jako prawdy historyczne trzy następne zdarzenia: 1) karę spalenia żywcem, 2) opis ubioru młodzieńców, jako dworzan królewskich, 3) obecność niewiast na biesiadach [2].

---

capricious cruelty of a despot. The Babylonian King, who knew how to acknowledge the merits of Daniel, must have been above such petty acts; he was a great statesman, and was also a pious man, having in view the glory of his gods and the prosperity of his country, but ordering those who, in his judgment, were blaspheming the gods, to be cast into the furnace, he had for object, neither to take a mean revenge nor to inflict a cruel punishment, but to drive away from the blasphemers'bodies the evil spirits who possessed them. Hence his quick conversion, when he found that the God of the Jews had preserved the three young men unhurt in „the burning fiery furnace". *Loc. cit. sup.* p. 21.

[1] Asurbanipal po wzięciu Sury pogwałcił groby ich królów „pozostawiłem ich cienie bez spoczynku, pozbawiłem ich modlitwy ofiarnika".

Ten rodzaj kary do niedawna jeszcze był używany w Persyi. Chardin w dziele swem *Voyage en Perse* (Amsterdam 1735, t. IV. str. 276) opowiada, że Ali-kuli-chan w czasie głodu, jaki wówczas zapanował w Persyi, rozkazał wybudować na rynku królewskim wielki piec, do którego mieli być wrzucani wszyscy, którzyby sprzedawali chleb po wysokiej cenie lub ukrywali zboże. Nikt jednak spalonym nie został, dodaje, nikt bowiem nie chciał się narażać na tak okrutną śmierć.

[2] *Enc. Brit.*, 9. wyd., t. VI, str. 803.

Poprzestajemy na powyższem wykazaniu zgodności obyczajów i zwyczajów chaldejskich z opowiadaniem Danielowem o trzech młodzieńcach, jakkolwiek asyryologia i co do innych ustępów księgi Daniela udziela ważnych objaśnień i wskazówek [1]. Uczeni asyryologowie, przekonań tak zwanych niezależnych, na mocy właśnie tych zdobyczy naukowych przyznają wiarogodność księdze Daniela.

„Muszę się przyznać, pisze Lenormant [2], że na wiele dowodów jakie podawali: Corrodi, Eichhorn, Jahn, Gesenius, de Wette, Lengerke, Ewald i Hitzig, przeciw autentyczności ksiąg Daniela, nie umiałem długo odpowiedzieć. Godziłem się na ich zdanie i nawet głośno to wyznawałem... Powody jedynie naukowe zmieniły moje zapatrywania... i wykazały mi prawdziwość podań... Obecne moje przekonanie ugruntowane jest na badaniach tekstów klinowych, brak których wywołał sąd nieuprawniony". Poważny asyryolog francuski Joachim Ménant, który wprawdzie racyonalistą nie jest, lecz nie zalicza się do obozu chrześcijańskiego, w dziele swem traktującem o Babilonii powołuje się na księgi biblijne, jako na powagę historyczną. „Rzeczą jest pewną, pisze [3], że opis bóstw w księdze Barucha jest tak dokładny, iż z łatwością dozwala je odnaleść na wykopanych pomnikach. Napisy klinowe są przepełnione opisami posągów różnych bóstw; płaskorzeźby Niniwy, obrazy i posągi, kute, ryte i lite potwierdzają nam w najdrobniejszych szczegółach wzmianki uczynione w księdze Barucha... Prorok miał przed oczyma obrazy, które opisywał. Odkrycia nowoczesne umożebniły nam rozpoznanie się w tych obrazach, które on kreślił". Lecz posągi te i kult im oddawany odnoszą się właśnie do tej, a nie do następnej epoki, i stąd, wnioskuje Ménant, nie można redakcyi tej księgi kłaść na czasy późniejsze [4]. A dalej mówi: „Wszy-

[1] Z powodu lwiej jamy Daniela (roz. VI.) pisze Lenormant: La fosse aux lions du chap. 6. devient pour nous un *détail d'une exactitude et d'une précision topiques*, en présence des admirables bas-reliefs des chasses du même Asurbanipal, transportés à Londres, où nous voyons amener sur le terrain, dans des cages, les lions gardés pour les plaisirs du roi. *La div. chez les Chald.*, p. 192.

[2] *La divination*, str. 170—171.

[3] *Babylonie et la Chaldée*, p. 232.

[4] Les découvertes modernes nous ont permis de reconstituer le cadre au milieu duquel toutes ces scènes pouvaient se passer et la parole du Prophète

stko, cośmy powiedzieli o księdze Barucha, stosuje się do księgi Daniela..... Księga ta podawana tak ostrej krytyce, zawiera dokładne szczegóły, tyczące się pobytu Żydów w Babilonie, a wszystkie one okazują się zupełnie zgodne z prawdą... Wszystko co mówi Daniel przedstawia cechę aktualności, wyrażenia jakich używa nie byłyby zrozumiane, gdyby księga pisaną była w innej epoce... Pokażemy najprzód, że wszystkie zdarzenia, jakie opisuje są całkowicie dokładne, dalej, że wyrażenia jakich używa do oddania swych widzeń, zgodne są z duchem czasu owej epoki". Ménant przytacza następnie tekst księgi Daniela: komentuje go wynikami czerpanymi z tekstów asyryjskich; a omówiwszy wykład snu Nabuchodonozora, dodaje: „Ustęp ten, w każdym nawet wyrazie, wydaje się być parafrazą tekstu klinowego, rytego na cegle" [1]...

Skoro nie powiodło się racyonalistom udowodnić niewierzytelność części historycznej ksiąg Danielowych, usiłowali zaprzeczyć część ich prorocką, lecz pomimo różnicy językowej, jaka istnieje w ostatecznych odpisach nam przekazanych, stanowią one nierozerwalną całość i jedność. Zündell daje doskonałą odprawę racyonalistom, pobija ich własną bronią: wykazuje, że tak zwane „wewnętrzne dowody", których oni używali do wykazania niewierzytelności, wskazują właśnie, że księga Daniela jest jedną nierozerwalną całością [2].

---

y trouve immédiatement son application. Plus tard, lorsque les faits ont changé au moment de la délivrance des Juifs, un culte nouveau se repandra dans la Haute-Asie; la religion d'Ormuzd deviendra alors la religion dominante et le culte contre lequel les Juifs auront à lutter sera le culte de Zoroastre, de sorte qui si on voulait reporter la rédaction du Livre de Baruch à une époque postérieure à la fin de la Captivité, il n'aurait plus sa raison d'être, le prophète s'élèverait contre les idoles depuis longtemps renversées, et contre un culte qui n'aurait plus de croyants. *Loc. cit.* p. 239.

[1] *Loc. cit.* p. 243.

[2] Zündell *(Kritische Untersuchungen über die Abfassung des B. Daniel,* str. 40—41), pisze: „Możecie dzielić te księgi, lecz ich kawałkować nie możecie. Nie możecie ich kawałkować według języka, albowiem część chaldejska II., 49; III. 12, 16, 23, 30, ma widoczną łączność z częścią hebrajską I.; ścisły również jest związek między częścią hebrajską VIII.—XI. a rozd. VII. chaldejskim; w jeden i ten sam sposób oznaczony jest czas w VII, 1, i w VIII, 1. Jeżelibyście chcieli kawałkować według treści, osobno historyczne, I—VI., a osobno prorockie, VII—XII. napotkacie na podobneż trudności. Rozdz. I.

Na Danielu kończymy poszczególne zestawienia odnoszące się do zgodności ksiąg biblijnych z kronikami klinowemi, kilka słów jeszcze pozostaje do naszkicowania jej ogólnych rysów.

Imię *Adam* znane było Asyrom nie jako imię własne, lecz jako ogólna nazwa człowieka, co i w biblii również zachodzi; inne imiona jak: *Mutu-sa-ili* (Matuzal), *Nuhu* (Noe), *Kan-nan* (Chanan), *Lamya* (Lameh), *Laban*, *Abram*, *Iszmael* często są wspominane. Królowie asyryjscy i babilońscy wspominani w Piśmie św. odnalezieni zostali w piśmie klinowem [1]. Baltazar babiloński, Aswerus perski [2], istnieniu których, do ostatnich czasów przeczyli racyonaliści, wyszli z swych grobów, stanęli przed areopagiem krytyki. Na tablicach ceglanych znajdują się nazwiska królów Judzkich i Izraelskich: Azaryasza (Ozyasza), Achaza, Ezechiasza, Manassesa, Amri, Achaba, Jehu, Manahema, Faceasza, Ozeasza. Królowie Damaszku, Benadad (Benhadad), Hazael i Razin wymienieni są w biblii i w napisach asyryjskich. Nazwy krajów i ludów, znanych tylko z biblii, odnajdują się na pomnikach asyryjskich. Rokowania królów Judzkich i Izraelskich z Faraonami egipskimi, potwierdzenie znajdują w rocznikach klinowych. Wszystko co Pismo św.

---

jest, co do treści widocznie wstępem do części historycznej, II.—VI.; językiem zaś i stylem przynależy do proroctwa, VIII.—XII.; jego język hebrajski spaja pierwszą część z drugą, tak samo jak rozd. chaldejski VII. łączy drugą część z pierwszą".

Część zresztą protokanoniczną księgi Daniela przyznają sami racyonaliści jednemu autorowi. „It is now, pisze Davidson w *Introduction* (III, p. 162), no longer denied that the book was written by one person... The two leading divisions are so related that the one implies the existence of the other... They have the strongest similarity in language and tenour, pointing unmistakeably to one and the same author".

[1] Pismo św. wspomina następujących królów asyryjskich: *Phul* (IV. król., XV., 19; I. Par., V., 26), *Theglathphalasar* (IV. król., XV., 29; XVI. 7, 10; I. Par., v. 26), *Salmanasar* (IV. król., XVII., 3; XVIII, 9; Tobiasz, I., 2, 13, 18), *Sargon* (Iza., XX. 1); *Sennacheryb* (IV. król., XVIII, 13; XIX, 16, 20, 36; II. Par. XXXII. 1, 2, 9, 10, 22; Tobi., I., 18, 21; Izai., XXXVI. 1; XXXVII., 17, 21, 37; Ekkl., XLVIII., 20; I. Mach., VII. 41; II. Mach., VIII. 19; XV, 22); *Asarhaddon* (IV. król., XIX., 37; Izai., XXXVII. 38). Z wyjątkiem pierwszego Phul'a, o którym dotąd nie rozstrzygnięto, wszyscy inni wymienieni są w piśmie klinowem.

[2] Die entsprechenden persischen Formen der hier genannten Könige sind *K'ur'uš* = Cyrus; *Dara-javuš* = Darius; *Khšajarša* = *Ahasveros*. Schrader, KAT², str. 375.

mówi o kulcie pogańskim, o sposobie prowadzenia wojny, o zwyczajach i obyczajach, ubiorach asyryjskich i babilońskich — wszystkie te szczegóły stwierdzone są przez pomniki asyro-chaldejskie. Sami nawet architekci, badając sztukę asyryjską, w Biblii dopiero znaleźli klucz do wyjaśnienia niezrozumiałych zagadek budowlanych.

Perrot przy opisie szczegółowym pałaców asyryjskich zastanawia się nad budową ich bram. „Każda z tych bram, pisze on, stanowiła sama w sobie oddzielny budynek, podzielony dziedzińcami... brama w Chorsabad zajmowała siedem tysięcy metr. kwadr.... Bramy te były basztami kwadratowemi, lecz sama obronność nie tłumaczy nam rozkładu tego budynku, nie tłumaczy dlaczego dziedzińce były tak obszerne, a szczególniej nie tłumaczy potrzeby i celu dwóch obszernych izb, które się tam znajdują. Lecz skoro sobie przypomnimy, jaką rolę odgrywały dawniej bramy miast na Wschodzie, i do jakiego użytku do dziś dnia tam służą, wszystko się tłumaczy... Służyły one za miejsce zebrań, było to *forum* rzymskie... O tym użytku świadczą na wielu miejscach księgi biblijne, które z niewymowną prostotą odzwierciadlają stare zwyczaje Wschodu. *I przyszli dwa Aniołowie do Sodomy w wieczór gdy Lot siedział w bramie miejskiej, który ujrzawszy ich wstał i szedł przeciwko nim*[1]. Kiedy Abraham kupował grób w ziemi Hebron, udaje się do Ephrona, właściciela ziemi, *I odpowiedział Ephron Abrahamowi w głos przed wszystkimi, którzy wchodzili w bramę miasta onego*[2]. Skoro Booz chciał poślubić Ruthę, *Szedł do bramy i siadł tam. A gdy ujrzał powinowatego... mimo idącego, rzekł do niego, zstąp trochę a siądź tu... A Booz wziąwszy dziesięciu mężów z starszych miasta, rzekł do nich, siądźcie tu... Odpowiedział wszystek lud, który był w bramie i starsi*[3]... Przeczytajcie księgę Estery, a zobaczycie iż wszystko odnosi się tam do tego zwyczaju. *Tego tedy czasu gdy Mardocheusz siedział u drzwi królewskich, rozgniewali się Bagathan i Thares, dwaj rzezańcy królewscy, którzy byli odźwiernymi, a u pierwszego progu pałacu siadali*[4]. Brama pałacu musiała być otwartą

[1] *Ks. Rodz.* XIX. 1.
[2] *Ks. Rodz.* XXIII., 10.
[3] *Ruth.* IV. 1, 2, 11.
[4] *Ester.* II. 21.

dla wszystkich, skoro taki Mardocheusz mógł mieć do niej przystęp, a zarazem musiała być miejscem schadzki dla wyższych warstw społeczeństwa, skoro tamże o spisku knowanym przez urzędników królewskich mógł się dowiedzieć“ [1].

Uczeni asyryologowie Anglicy i Niemcy jakkolwiek są zakroju racyonalistycznego, oddawali i oddają wielkie zasługi egzegezie biblijnej [2]. W ciągu naszej pracy przytoczyliśmy niektórych, większą część musieliśmy pominąć, choć nie ma żadnego pomiędzy nimi, któryby mówiąc o źródłach historycznych Wschodu, nawiasowo przynajmniej nie zaczepił o Pismo św. [3]. Wielu asyryologów wyłącznie temu poświęciło się zadaniu jak J. Smith, Fr. Delitzsch

---

[1] *Histoire de l'art*, t. II. pp. 483 i nast.

[2] O. R. Cornely S. I. w znakomitem swem dziele *Historica et critica Introductio in V. T. Libros Sacros*, vol. I. p. 731 pisze:

... Eadem quoque ratione tantum abest, ut rationalismus libros nostros sacros divino eorum charactere privaverit, supernaturalemque eorum revelationem destruxerit, ut ad eorum authentiam stabiliendam et ad eorum sensum melius cognoscendum iuverit quam plurimum. Quaecunque enim de eorum origine et auctoritate antiqui tradiderunt, nunquam maiore cum sedulitate et sagacitate, quam nostris temporibus sive ab ipsis rationalistis, sive ab eorum adversariis conquisita sunt: nullum est antiquioris Patris vel scriptoris opus, quod non diligentissime sit pervolutatum, ut, quosnam ex nostris libris cognoverit, acutissime definiatur; nullum antiquum testimonium, quod non subtilissime sit discussum, ut quis eius sit sensus et valor acurate determinetur; atque ipsa Aegyptiorum, Assyriorum, Babyloniorum aliarumque gentium omnium antiquissima monumenta studiossime sunt pervestigata, ut eorum auctoritas libris nostris opponi possit. Quid vero? Quicunque praeiudiciis occupatum non habet animum, fateri hodie cogitur, omnibus istis investigationibus, etsi divinam librorum nostrorum originem, uti per se patet, directe demonstrare nequiverint, id effectum esse, ut clariore nunc luce splendeat eorum authentia facilioreque negotio rationalisticae objectiones demonstrentur inanes.

[3] Asyryolog angielski W. Wright pisze (The Empire of the Hittites, 1886, Preface, p. XIV.): I frankly admit that I studiously avoided giving currency to what M. Halévy so aptly speaks of as „des fadesses antibibliques“. The slightest references to the wild and shifting theories of Graf, Kuenen, Wellhausen, Vatke, Stade, ect., or to the more sober views of Drs. Dillmann, Nöldeke, Schrader, etc., would have led me aside from my purpose. Their

„little systems have their day,
They have their day and cease to be“.

But facts abide, and schould not be trimmed of altered to accord with theories. The light shines brightly on ancient Egypt and Assyria, and the forgotten past is photographed and lives again.

i inni, wreszcie E. Schrader wydał specyalne dzieło *Die Keilinschriften und das Alte Testament.* Autor mając przed sobą Stary Testament w oryginalnych narzeczach, i teksta kronik asyryjskich, zestawia je razem. Jedną trzecią część dzieła poświęca księgom Mojżesza, tyleż prawie księgom królewskim, resztę innym księgom. Porównywa opowiadania Pisma św. z kronikami klinowemi i daje obszerne komentarze oparte na drobiazgowo-ścisłych wywodach. Pod względem filologicznym dzieło jego uważane jest za klasyczne, a chociaż jest racyonalistą, należy oddać mu sprawiedliwość, iż często wbrew swym uprzedzeniom daje świadectwo prawdzie.

Pisarze katoliccy zajmowali się wykazaniem zgodności Biblii z nabytkami asyryologii. O. Brunengo T. J. w *L'Impero di Babilonia, e di Ninive* tysiąc przeszło ustępów Pisma św. zestawił z odnośnymi tekstami i pomnikami asyryjskiemi; znakomite dzieło ks. Vigouroux: *La Bible et les découvertes modernes,* wyszło świeżo w tłumaczeniu niemieckiem; Dr. Kaulen, zaszczytnie znany egzegeta niemiecki, wydał doskonały podręcznik asyryologii, w którym wykazał ważność tej umiejętności dla egzegezy [1].

---

[1] Ein andererer Gewinn, der kaum geringer anzuschlagen ist, liegt in der durch die Keilinschriften gebotenen Möglichkeit, eine Menge von Einzelheiten im Alten Testamente besser zu verstehen, als bisher geschehen konnte. Kaum geringern Gewinn, als die biblische Geschichte, zieht die biblische Geographie aus der neu erschlossenen Wissenschaft. So sind die Gen. 25, 14 15 genannten Stammnamen Massa und Thema nur aus assyrischen Inschriften zu bestimmen. Die bezeichnung *j'ôr* für Nil (Gen. 41, 1 2), welche die Vulgata richtig mit *fluvius* wiedergiebt, kommt ebenso auf den Inschriften Assurbanipals vor. Das rätselhafte *S'pharad,* Vulg. *Sarepta,* Abd. 20, wird durch das keilinschriftliche *Çparda* als ein Land in der Nähe der kleinasiatischen Griechen gekennzeichnet. Über den Namen *Hadrach* (Zach. 9, 1) war nichts bekannt, bis er auf dem oben S. 177 gegebenen Verzeichnisse in der Form Ital. *Hataraku* als Bezeichnung einer syrischen Provinz gelesen wurde; und so stehen für eine grosse Reihe von Namen im Alten Testamente weitere Aufschlüsse in Bereitschaft.

Ebenso wichtig ist die durch die Keilinschriften bewirkte Bereicherung unserer archäologischen Kenntnisse. Viele im alten Testamente erwähnten Einrichtungen, Gewohnheiten und selbst Ausdrücke, welche unserer Anschauung fremd sind, erscheinen nach den assyrischen Urkunden vollkommen begründet und durch die Sitte der Zeit und des Morgenlandes geboten. Von einem besonders lehrreichen Gegenstande dieser Art ist bereits oben S. 65 die Rede ge-

Nakoniec nierozwikłana dotąd chronologia biblijna otrzymała za pośrednictwem *Limmu* asyryjskiego nowe światło i pomoc, a chociaż nie rozwiązane są jeszcze różne trudności, oświadcza Schrader, że: *i pod względem chronologicznym pomniki asyryjskie dostarczają Biblii usprawiedliwienia i potwierdzenia*[1]. (C. d. n.).

X. W. Zaborski.

---

wesen. Wie Moses (Gen. 23, 16), so sagen auch die assyrischen Inschriften: „Er wog das Geld dar"; wie Salomon (3 Kön. 10, 28), so liess auch Sargon nach der Angabe auf seiner Wandschrift sich „Rosse aus Ägypten" kommen. Dass die Wegführung der Völker, deren Länder erobert waren, stehendes Kriegsrecht in Assyrien und Babylonien bildete und nicht bloss auf Israel und Juda angewendet wurde, ist schon bei der Darstellung der assyrischen Geschichte klar geworden. Der Bau des Salomonischen Tempels wird in seinen Einzelheiten nur durch die Abbildungen und Inschriften zu Kujundschik begreiflich. Auch Assurbanipal „sprach in seinem Herzen", wie Gen. 17, 17 die Gedanken bezeichnet werden; wie Moses Ex. 9, 7, so sagt auch Sennacherib auf Taylors Cylinder von einem Empörer: „Es verstockte sich sein Herz"; auch in Erlassen Assurbanipals heist es, wie Gen. 43, 23 u. ö.: „Meinen Friedensgruss an euch!". Auf einer assyrischen Liste von Kleidungsstücken figurieren auch die Gen. 45, 22 genanten „Wechselkleider"; die *acharît hajjamîm*, die „Zukunft der Tage", wird von Sancherib genau mit dem nämlichen Ausdruck bezeichnet, und so finden die Erklärer der Heiligen Schrift von deren geschichtlicher Darstellung ein reiches Material in den gelegentlichen Mitteilungen der assyrischen Herrscher. *Asyrien und Babylonien* v. Dr. Fr. Kaulen. Freiburg, 1884. ss. 243, 244. Ob. również przez tegoż autora *Einleitung*. Freiburg 1881.

[1] KAT², str. 467.

KS. STAN. CHOŁONIEWSKI W RZYMIE.

(Ciąg dalszy.)

II.

Prawdziwy patryotyzm. — Poetyczne próbki. — Jubileusz na Podolu w r. 1825.— Pogawędki z Henr. Rzewuskim. — Wyprawa na kijowskie kontrakty. — Dziennik podróży do Rzymu.

Jakie twe plany na przyszłość; zdecyduj że się raz stanowczo, jedź do Rzymu lub wracaj do Janowa; takie pytania i wezwania, bezwątpienia w innych okolicznościach najsłuszniejsze, z najlepszych płynące chęci, prześladowały Chołoniewskiego ze wszech stron, wystawiały głowę z każdego listu, z każdej dłuższej rozmowy. Łatwo wam mówić i pisać i do stanowczego kroku zachęcać, odpowiadał biedny prześladowany, ale zechciejcie raz zrozumieć, że chory do kilkoletnich i ciężkich studyów nie mam po co zasiadać i że kiedy ludzie rozumni, ducha Bożego pełni zajęli się moją duszą, to bardzo by było nieroztropnem z mej strony uchylać się z pod ich kierunku i jak nowy Don Kiszot w zbroi z tektury, z drewnianym pałaszem w ręku, puszczać się na oślep, z próżną choć zakatarzoną, zgorączkowaną głową, nietylko moralnie, ale i fizycznie, gdzie zniecierpliwiona fantazya poniesie. Nie umiem ani po polsku, ani po łacinie; więc uczę się po polsku i po łacinie, czytam „faworytów „moich, Skargę i Kochanowskiego“ [1], z maleńką Manią „po łacinie „szwargoczę, i z nią moją kuchenną łacinę węgierską po

[1] Do *M. Grocholskiego*. Mariaschein 28 maja 1823. List polski.

„trochu sobie przypominam“ [1]. Nadomiar choroba do prawdziwej pracy mi przeszkadza; muszę więc przedewszystkiem przywrócić „dobrą harmonię między Jaśnie Wielmożną Duszą, a kochanym „sługą ciałem, nieodbicie potrzebną do naszego szczęścia“ [2]. Niech no tylko załatwię się z reumatyzmami, katarami, gorączką, a w dodatku z łaciną; niech trochę przyprowadzę do porządku już nie tylko cielesne, ale i duchowe zwłaszcza słabości i ułomności, które „jak nocne ptaszki kryją się w mem wnętrzu, a dopiero kiedy pro„myk Boży na dno duszy się przedostanie, wylatują zaniepokojone „całą hurmą niby na popis“ [3]; — a pewnie dłużej namyślać się nie będę, chociaż i teraz właściwie nie namyślam się, lecz kiedy już raz za granicę na kuracyę się wybrałem, to chcę się radykalnie wykurować i z dusznej i cielesnej gorączki a nie wpaść w błąd „nam Polakom zwykły, którzy j e ź d z i ć po różnych krajach „umiemy, ale m i e s z k a ć za granicą nie umiemy“.

Naturalnie, jak widać już ze słów powyższych, mieszkanie to za granicą miało być w myśli Chołoniewskiego nie celem, lecz środkiem służącym do tego, aby później lepiej i rozumniej módz u siebie i dla swoich pracować. Jakoż paroletni pobyt za granicą nie zmniejszył ani osłabił miłości do kraju rodzinnego; przeciwnie miłość ta, puściwszy pączki w starożytnym podwawelskim grodzie, rozwinęła się w piękny kwiat na gruncie katolickim, rozkwitła i wydała bujny owoc coraz większego przywiązania do ojczystych pamiątek, coraz żywszego zamiłowania ojczystego języka. Tęsknił za krajem, ale nie była to tęsknota sentymentalna, rozpływająca się w kilku obowiązkowych wykrzyknikach i westchnieniach; tęsknota nie tak za krajem, jak raczej za wygodami własnego domu; z takiej „miłości ojczyzny“ nielitościwie sobie żartował: „Tak „jak niegdyś owi smętni towarzysze Eneasza [4], pisał pół poważnie, „pół żartobliwie, wszędzie z sobą Ilionu pamiątki wozimy, wszędzie „mamy naszą rzekę *Xanthus*, nasz strumyk *Simois;* żyjemy za „granicą sercem i zwyczajami polskimi, bo nam z nimi dobrze. „Ale, jak nieraz się trafiło towarzyszom Eneaszowym, że im nie

[1] Do *M. Grocholskiego.* Cieplice 1 stycznia 1824. List polski.
[2] Do *M. Grocholskiego.* Mariaschein 28 maja 1823.
[3] Do *Emil. Grocholskiej.* Wiedeń 3 stycznia 1823.
[4] Do *M. Grocholskiego.* 9 maja 1823. List polski.

„pozwalano po trojańsku żyć i smutne pamiątki Troji po „różnych odnawiać miejscach, tak i my teraz nie wszędzie możemy „po polsku żyć, to jest jak poczciwemu Polakowi przystoi. „Stąd tęsknota do swojej zagrody, która, choć nudami ekonomicz- „nemi najeżona, miła przecież każdemu, bo szlachcic polski długo „bez dysponowania być nie może, a za granicą prócz lokaja, kupca „lub stangreta, nikt ani czapki nie ruszy przed Jegomością. *Hinc „illae lacrimae*". Prawdziwy patryotyzm w innej musi występo- wać szacie; nie zamykać oczu na własne niedostatki; nie zakrywać ran, lecz szczerze nad niemi boleć i szukać na nie odpowiedniego lekarstwa. „Jeśli w którym z nowoczesnych narodów [1], to w na- „szym geniusz podobny do Jeremiaszowego powinienby się ukazać. „Rozwalin narodowych i przedmiotów łez gorzkich jest aż nadto. „Ducha pobożności nie masz, ducha tego Boga, który swym dziel- „nym powiewem w oczach Ezechiela pole kościami okryte w naród „żywy przemienił. *Omnes inutiles facti sunt usque ad unum.* Pa- „tryotyzm czerpany w gazetach angielskich lub niemieckich... Któż „myśląc o tem, od łez się potrafi powstrzymać?"

Czarny ten, do zbytku rozpaczliwy obraz, zrodzony pod widocznym wpływem kazań Skargi, jego napomnień i dziś ziszczonych przepowiedni. Wczytując się znów w drugiego swego „faworyta" Kochanowskiego, spróbował Chołoniewski choć zdaleka wstąpić w jego ślady, a łamiąc się bądź w krótkich oryginalnych wierszykach, bądź w tłumaczeniach z Novalisa i Byrona [2] z trudnościami rytmu i rymu, starał się udoskonalić w języku polskim, który jakby mszcząc się za dawne zaniedbanie, długo nie chciał szyi poddać pod jarzmo i tylko z ciężkiem wysileniem dawał się utrzymać w rytmicznym szeregu. Oryginalnym nie genialnym zapewne, ale najmilszym może i najbardziej charakterystycznym między tymi wierszykami było ułożone w imieniu Mani „dziecięcia trzyletniego, wiązanie ojcu kochanemu na dzień imienia jego, 10 września 1823 r." [3].

„Na Papy święto Mania nie zajdzie,
Ktoby ją zaniósł Papie, nie znajdzie,
Ni na wiązanie
Manię też stanie:

[1] Do *Mik. Grocholskiego.* Cieplice 30 kwietnia 1824. List polski.
[2] *Pisma pośmiertne* t. II. str. 153 np.
[3] Wierszyk niedrukowany.

Był grosz w woreczku; ubodzy wzięli:
„Chrystus był biedny“, tak powiedzieli.
Jam żałowała Pana i dała;
Nie ma więc Papie Mania co posłać
Ni tu tak pięknych zabawek dostać:...
Zabawki piękne będziesz miał w niebie,
My tam zbiegniemy rade do Ciebie...

Po tym wstępie, następuje dopiero wiersz właściwy, ofiarowany ojcu na imieniny:

Kantyczek mały,
Co go śpiewały
Z Manią aniołki:

„Dziecię rzuciło posłanie,
Woła Ciebie Chryste Panie,
Woła Ciebie święta Panno,
Prześliczna Gwiazdo zaranna!
Manią ją zowią, wy dobrze wiecie.
Manię słuchajcie, modli się dziecię.

„Pragnie chwalić Ciebie Boże
Sama potrafić nie może,
Lecz ją Aniołki nauczą,
I świętym pańskim poruczą:
Aniołki wielbić Pana umiecie,
Manię nauczcie, prosi was dziecię

„Robaczek ów, po dniu ciemny,
Smutny mieszkaniec podziemny,
W nocy dla Ciebie się pali
I swem światełkiem Cię chwali:
Co ów świecący robi w noc skrycie,
Toż duży robak, toż robi dziecię...

„Kocham Cię Panie, boś miły,
Kocham Ciebie z całej siły,
Dałeś mi mamućkę lubę,
Dałeś mi czerwoną szubę,
Papę, zabawki... Aniołki wiecie,
Jak się tem wszystkiem raduje dziecię.

„Aniołki wy przy mnie siedźcie,
Wszystkie pokusy odpędźcie;
Aniołki Mamućkę strzeżcie,
Po ogródku przed nią bieżcie;
Mani do dziury nie sprowadzicie,
Ani Mamućki, — boi się dziecię.

„Prześliczna gwiazdo, świeć Papie;
Niech go Mania prędko złapie!
Papa duży, a ja mała,
Dalekom też odjechała,
Więc nie dogonię... wy potraficie.
Aniołki lećcie!.; prosi was dziecię.

„Dziecię, gdy rzuci posłanie,
Śpiewa, śpiewa — nieprzestanie.
Potem o Bozię się pyta.
Znów śpiewa, z książeczki czyta:
Jakież to piękne i wdzięczne życie,
Niech tak prześpiewa dni wszystkie dziecię.

„Dziecię piękne piosneczki umie,
Dziecię katechizm rozumie;
Wujaszek święty i miły [1]
Duszeczki odnowił siły,
Panie mu zapłać! Chryste, me życie,
Kochaj go mocno, błaga Cię dziecię.

„Dałeś mi sukienkę białą,
Gdy mnie w chrzcie obmyto małą;
Suknia maleńka, — ja rosnę,
Niech z niej nigdy nie wyrosnę:
O to Cię proszę i błagam skrycie,
Służyć do śmierci będzie Ci dziecię".

W trzy lata później Chołoniewski ułożył znowu wierszowane powinszowanie dla szwagra, który tymczasem na wiosnę 1824 r. postąpił na godność gubernatora. Porównując jeden utwór z drugim widzimy tę samą serdeczność uczuć, tę samą niezmienną miłość, ożywiającą członków tej chrześcijańskiej rodziny, znaczny postęp w języku, pewne oswojenie się z prawidłami rytmu i rymu, ale zarazem przychodzimy do przekonania, że Chołoniewski poetą się nie narodził, i że dał niemały dowód zdrowego rozsądku, uważając wierszowanie tylko za zabawkę, za wytchnienie po pracy i — za nic więcej. Nowe to powinszowanie odsłania nam choć na chwilę wnętrze gubernatorskiego domu w Kamieńcu; jakże tam nie wejść, nie uczestniczyć w tak pięknie przygotowanej rodzinnej niespodziance,

[1] Mowa o Ks. Calibocie, którego Mania nazywała „wujaszkiem". (Przypisek Ks. Chołoniewskiego na jednym z licznych egzemplarzy tego wiersza).

która ma osłodzić solenizantowi całodzienne nudy urzędowych przyjęć i pokłonów? Jeśli już nie całej tej „scenie“, to przynajmniej początkowi i końcowi, jako najbardziej charakterystycznym, warto się przysłuchać.

SCENA LIRYCZNA

grana w Kamieńcu Podolskim 10 września r. 1826, w dzień Imienin JW. Gubernatora, o godzinie 8-ej z rana, na pokojach.

Aktorowie { Matka Emilka. / Wujaszek Stanisław. / Córeczka 7-letnia Mania.

Scena wyobraża gabinet poświęcony ważnym pracom pierwszego urzędnika w gubernii. Na stołach pliki papierów, po ścianach wisząca broń rozmaitego rodzaju i kształtu, licznie i groźnie przed oczami wchodzących błyszcząca. Na niższej półce rozmaite mechaniczne narzędzia. Gubernator w lekkim rannym ubiorze zegar nakręca. Mania córeczka wchodzi na ranną gawędę do ojca; lecz tą razą bokiem się sunie, plecami ściany szuruje i z nieśmiałością w rękę Ojca pocałowawszy, mówi... Z daleka i powoli Emilka i Stanisław nadchodzą.

MANIA: Pater mi! dawno, trzy lata minęło,
Sama już nie wiem..., skąd mi się to wzięło,
Żem Tobie piosnkę dała na Twe święto,
Za to do domu napowrót mię wzięto;
Bom gdzieś daleko bardzo z Mamą była,
Gdzie księży, krzyżów i obrazków siła.
Tam dwóch wujaszków miałam i kanarka,
Pieska, królika, — przewyborna parka...
Jeden z wujaszków sążniste miał nogi[1]
Drugi był starszy, z twarzy niby srogi:[2]
Tegom się bała, tamtego nic wcale,
Bo też żył ze mną bardzo poufale.
Ten co wspanialszy, był też bardzo miły,
Lecz go me lalki pewnie nudziły,
Bo już odjechał... dotąd nie powraca,
Ołtarz mu stroję, ach! daremna praca!
Może go Matka Boska gdzieś wstrzymała,
Zapewne lepsze zabawki mu dała.

[1] Chołoniewski.
[2] O. Calibotta.

Ci wujaszkowie wszędzie z nami byli
I nas włóczęgi po świecie uczyli,
Pobożnych piosnek i łacińskiej mowy,
Świętej o Panu Chrystusie rozmowy...
Dobrze mi było z mojemi lalkami,
Z ptaszkiem, z królikiem, dobrze z wujaszkami...
Na Twoje święto czegoś mi nie stało,
Wziąść nas do Ciebie nie było tam komu,
A serce bardzo tęskniło do domu.
Chciałam byś wiedział, com Tobie życzyła,
Jaki był pacierz, com wówczas mówiła,
Więc ci kantyczek mój posłałam mały...

Ale dziś nie jestem już dziecko, jak mi rano mama powiedziała, lecz panieneczka, lepiej się zatem i dłużej za Ciebie modliłam, a teraz zaśpiewam ładną piosnkę o św. Mikołaju. Emilia i Stanisław wtórują śpiewowi kończącemu się modlitwą za solenizanta.

Recitativo suflera zamyka przedstawienie:

„Nakoniec temu
Poecie zlemu
I wierszoklecie,
Co tu tak plecie
Głupstwa przebaczcie,
Uprosić raczcie:
Upamiętanie
I zaniechanie
Grzechów bez liku,
Wierszów bez szyku.

(Zasłona spada; pokoje tymczasem napełniają się ***czołobitczykami).***

Wiersze i liryczne sceny skusiły nas do lirycznego skoku przez trzechletni przeciąg czasu. Trzechlecie to upłynęło głównie w Janowie, dokąd Chołoniewski zawitał w jesieni 1824 r. z długiej zagranicznej pielgrzymki, a upłynęło na żmudnych, wciąż niby się kończących i nigdy nie chcących się skończyć walkach z przeszkodami, przygotowaniach do podróży rzymskiej i gospodarsko-pieniężnych interesach, lub niemniej dokładnie wyrażając się: kłopotach. W pierwszych tygodniach po powrocie do domu, Chołoniewski nie wątpił, że najdalej za kilka miesięcy będzie się mógł wybrać do wiecznego miasta, a nadzieja ta dodawała mu bodźca

i otuchy w pracy. „Ja tu, pisał do szwagra [1], tak zarzucony je„stem interesami, że ledwie radę dać sobie mogę, i żeby nie na„dzieja, że to ostatni rok nimi się biedzę, niby mię w Janowie „nie zatrzymało". „Szamotać się będę [2] z mymi interesami do czasu, „a jak ten minie, to czego nie rozplączę, to przetnę". Ale próżne to były chwilowe odgrażania się; chcąc nie chcąc trzeba było jeden węzeł po drugim rozplątywać i to spokojnie i pomału, żeby rozplątując jeden, dwóch innych nieostrożnie nie zawiązać. Niemiła to była robota: „Nie wiem już czasami [3], jak tu sobie dać radę „w tym odmęcie i nieładzie, od którego wielkie moje lenistwo „wzdryga się, za co mię będą w skórę bili"; lecz trudna rada [4], „trzeba aby każdy *à son poste* znajdował się, gdzie go Chrystus „na jaki czas postawi". „Dobrze przynajmniej [5], że zbliża się rok „jubileuszowy z pociechą i lekarstwem na wszystkie te nasze „biedy".

Wielki jubileusz, zapowiedziany dla Rzymu na r. 1825, a dla reszty świata chrześcijańskiego na rok następny, był dla całego Podola prawdziwą oazą, wytchnieniem dla dusz zmęczonych codziennemi troskami, podniesieniem serc i umysłów pochylonych ku ziemi jałową, powierzchowną nauką, płynącą z zachodu, przerażonych coraz ciemniejszemi chmurami na narodowym i społecznym widnokręgu. Żarliwy Dominikanin O. Jakób Falkowski, przeor klasztoru św. Jakóba w Wilnie, zjechał w towarzystwie kilku swych współbraci na Podole i po miastach i miasteczkach głosił miłościwe lato, ściągając ze wszech stron tysiące wzruszonych, opłakujących swe grzechy słuchaczy [6]. Nadzwyczajne skutki jubileuszowego nabożeń-

---

[1] Janów 16 grudnia 1824.

[2] Do *M. Grocholskiego*. Janów 20 lutego 1825.

[3] Do *M. Grocholskiego*. Janów 27 lutego 1825.

[4] Do *Grocholskich*. Janów 3 marca 1825.

[5] Do *M. Grocholskiego*. Janów 30 października 1825.

[6] Kazania jubileuszowe gorliwego mowcy wyszły następnie p. t.: *Kazania na Podolu w czasie wielkiego jubileuszu w r. 1826 odprawionego przez XX. Dominikanów litewskich*. W Wilnie 1827. — „Wszystkie te kazania, pisze historyograf Dominikanów polskich, są układu Falkowskiego, tylko dla uwiecznienia pamiątki swoich współpracowników, podobało mu się ogłosić własną pracę pod ogólnem nazwiskiem". Por. *Rys dziejów Zakonu Kaznodziejskiego w Polsce*, przez X. Sadoka Barącza. T. II. 150.

stwa w Kamieńcu utorowały drogę następnym misyom; za przykładem biskupa, gubernatora i jego rodziny, szlachta przodowała ludowi w drodze do kościoła, kruszyła się, zapominała na dawne waśnie, a podając z ust do ust wieść o cudownych nawróceniach i dziwnych drogach łaski Bożej, coraz szersze koła zajmowała ogniem wznieconym w rozpamiętywaniu prawd wiecznych. Chołoniewski pokrzepiwszy się na duchu, wzmocniwszy się w dobrych postanowieniach w Kamieńcu, zajął się energicznie urządzeniem misyi jubileuszowej w Winnicy, wszystkich zjechać się mających obywateli zaprosił do siebie stale na obiad, śniadanie i kolacyę, wziął na swój koszt utrzymanie uboższych włościan Janowskich, słowem nie żałował ni pieniędzy ni pracy, a skutek stokrotnie uwieńczył te jego apostolskie starania, niby przygrywkę do kapłańskiego zawodu.

„Teraz, pisał do gubernatora nazajutrz po ukończeniu misyi [1], „zdam ci rachunek z zabaw naszych jubileuszowych w Winnicy. „Najprzód zająłem się rozesłaniem listów twoich do marszałka „i obywateli powiatu winnickiego; niżej wyczytasz skutki tych „odezw twoich. Biskup [2] i misyonarze przybyli we czwartek „(21 czerwca) wieczór do Winnicy. W piątek wieczorem przybyłem *processionaliter* z parafią Janowską do Winnicy. Sierakowski „stary szedł także piechotą od rogatek Pietniczańskich. Bractwo „z księżmi Dominikanami wyszło naprzeciwko nas i powitali mową. „Zaczęło się nabożeństwo jak zwyczajnie w sobotę tym porządkiem, co i w Kamieńcu. Falkowski śmielej jeszcze gadał. Obywatelstwa więcej było jak w Kamieńcu; 7000 komunikujących; na„koniec wczoraj, dnia ostatniego zakończyło się *Doliną Jozafatową*. „Procesya bardzo była piękna; policya wszędzie dobra. Płakali „przy konkluzyi mocno. Wiele widocznych korzyści z tego błogosławieństwa Boskiego daje się widzieć... Dziś wszyscy obywatele „dziękowali Biskupowi i X. Falkowskiemu. Dziś duży obiad dla „duchowieństwa w Pietniczanach. Trzy luterki przeszły na wiarę „katolicką. Dziś także wracam do Janowa“ [3].

[1] Do *M. Grocholskiego*. Winnica 28 czerwca 1826.

[2] Biskup Kamieniecki, ksiądz Franciszek Mackiewicz.

[3] Por. opis jubileuszu w Winnicy przez również naocznego świadka Al. Grozę u *Helleniusza* „Wspomnienia lat minionych“. t. II. 319 np.

Za właścicielem przybył do Janowa na parę dni słusznie należącego mu się odpoczynku „poczciwy O. Falkowski“ i znowu dalej powędrował na misyę do Tulczyna. Chołoniewski rozmówił się szczerze z gorliwym misyonarzem o swych zamiarach, i zyskał w nim nowego, prawdziwego przyjaciela. To też jak grom spadła nań w parę tygodni później powszechnie głoszona, choć nie wiedzieć z jakiego źródła płynąca, wieść o śmierci O. Falkowskiego, któremu, jak opowiadano, po kazaniu krew tak się gwałtownie ustami i nosem rzuciła, że o ratunku nie było nawet co myśleć. „Toby była prawdziwa klęska [1] w Kościele Bożym naszej prowin„cyi. Śmierć taka do zazdrości dla żołnierzów prawdziwych Chry„stusa Pana: ginąć z bronią w ręku, w dobrym boju i na placu „bitwy. Ale życie takiego świętego kapłana z drugiej strony po„wiązane jest z pomyślnością tylu dusz, iż taka strata niełatwo „może być wynagrodzona. Bóg może wszystko, i dlatego czyli żyją, „czyli umierają Święci Pańscy, *Jemu* żyją, *Jemu* też umierają, „a nasienie w ziemię wgrzebane i zbutwiałe w plenniejsze kłosy „porasta“. Szczęściem pogłoska się nie sprawdziła, a Chołoniewski, który przez następnych kilka miesięcy ciągle niemal był na wózku, objeżdżając, to za interesami, to z pożegnaniem przed dłuższym wyjazdem za granicę, spokrewnione i zaprzyjaźnione domy w Pietniczanach, Sokołówce, Hrycowie, Tulczynie, Romanowie, nie raz jeszcze spotkał się z O. Falkowskim i nie jedną z nim odbył duchowną konferencyę.

Stanąwszy z powrotem w Janowie, rachował Chołoniewski na pewne, że skoro tylko odwiezie „kochaną Lunię Dobrodzikę“, stosownie do jej życzenia, do klasztoru Wizytek w Romanowie i odda pod opiekę przełożonej klasztoru, a dawnej jej wychowanki matki Cecylii, sam już bez dalszej zwłoki będzie mógł wybrać się w oddawna zamierzoną i przygotowaną podróż. Postanowienie Luni dodało mu nowego jeszcze bodźca. „Szanować trzeba [2] chwalebną in„tencyę i wolę tak świętą i gorliwą w wieku, który bardziej do „spoczynku, jak do pracy skłaniać powinien. Tak to się codzień „sprawdza przypowieść Pańska. Robotnicy przed zachodem słońca

[1] Do *Grocholskich*. Hrycówo 30 lipca 1826.
[2] Do *Grocholskich*. Janów 8 czerwca 1826.

„przyzwani, tęż zapłatę biorą co i ranni. A ja może z drugimi „tymi pracownikami, zamiast zapłaty batogi wezmę. Nie daj tego „Boże!".

Jakoż nie zważając już na „coraz nowe psoty, które dyabeł płata i płata" [1], naznaczył Chołoniewski stanowczo swój wyjazd na początek maja, tembardziej, że zdawszy gospodarstwa „nic a nic już w Janowie nie miał do roboty [2]". O wyjeździe, towarzyszach podróży i jej przygodach opowie najlepiej sam Chołoniewski w dzienniczku, którego starannie spisany, później nieraz poprawiany i obrabiany początek, warto przytoczyć w głównych ustępach [3]; tem bardziej, że z humorem pisany, a z literackiego punktu widzenia nie bez pewnej wartości; następne bardziej doraźne na papier rzucane notatki, tylko w streszczeniu opłaci się podać:

DYARYUSZ

podróży mojej z Kamieńca Podolskiego do Rzymu, miasta stołecznego państw Papieskich

przedsięwzięty w towarzystwie p. Henryka Grocholskiego, starościca Zwinogrodzkiego, którego Śliźniówna, córka J. W. Śliźniowej quondam Instygatorowej Koronnej rodzi, a ojciec p. Michał, starosta Zwinogrodzki, znaczne posiadał włości w województwie bracławskiem, zaczętej dnia 6 maja, Anno a nativ. Domin: MDCCCXXVII, o czwartej godzinie po południu.

Ponieważ ci, co będą czytać to opisanie podróży mojej do Rzymu, dobrze znali rodziców moich i jaki piastował urząd w Rzeczypospolitej ś. p. ojciec mój, dobrze wiedzą, zatem będąc wolnym od obowiązku, do którego każdy dobry szlachcic polski winien się poczuwać, okazania, skąd ród swój wiedzie, gdzie jest osiadły, czy

[1] 18 marca 1827.

[2] 5 marca 1827.

[3] Początek ten znajduje się w papierach ks. Chołoniewskiego w czterech odrębnych, bardzo starannie przepisanych kopiach. Autor pragnął cały dzienniczek podróży do Rzymu i pobytu tamże w ten sposób obrobić, ale czasu czy chęci, a może czasu i chęci zabrakło.

w Litwie, czy w Koronie, czyli też na Rusi, już wprost *ad rem* przystąpię i opowiem jako z swej persony dobrze znany osobom, do których rąk to pismo dostanie się, co mogło mnie być powodem do rozpoczęcia tego Dyaryuszu.

Nie jest rzecz tak łatwa (jakby zrazu można myślec) odgadnąć, dlaczego podjąłem się Dyaryusz pisać. Pisał, prawda, p. Maszkiewicz, towarzysz znaku (jeśli się nie mylę) pancernego, Dyaryusz wyprawy wiedeńskiej, pod dowództwem króla Jana *gloriose* odbytej, i dobrze zrobił, bo z tego pisma dowiadujemy się o wielu szczegółach, tyczących się tego wielkiego króla i bohatera, o których nawet p. Rubinkowski, dworzanin królewski, w swojej *Janinie* nie wzmiankuje, a któreby bez pracy p. Maszkiewicza w niepamięć poszły. Pisał Cezar, wielki hetman wojsk rzymskich, *Dyaryusz* czyli *Commentaria* wojen swoich we Francyi, którą podówczas Rzymianie Gallią nazywali, i także dobrą rzecz zrobił, bo to jego dzieło, acz zwięzłe, dla wszystkich z powołania swego lub z wrodzonej skłonności bawiących się wojennem rzemiosłem, wielce jest pożytecznem. I Xenophontes, wódz sławny, szeroko pisał, jakim sposobem dziesięć tysięcy bitnego greckiego żołnierza, przez daleko liczniejsze nieprzyjacielskie wojska otoczonego w kraju perskim, bez szwanku do kraju ojczystego bezpiecznie doprowadził. Piękny ten odwrót czyli *rejtarada* tak mądrze przez Xenophontesa wykonany został, iż mu on więcej sławy przyniósł, niżeli bitwa jaka wygrana innemu wodzowi zjednać by mogła, w której i ślepe szczęście ma swoje prawo. Stąd to powiadają, niejednemu wodzowi do podobnych *rejtarad* głowa się zapaliła, tak, że wolą mądrze *rejterować*, niżeli po żakowsku *postępować* i bić się. Inni choć nie w wojennych materyach, przecież zawsze w ważnym jakimś celu (jakim są naprzykład nauki) pisali. I tak mamy śp. JO. wojewody Wileńskiego, księcia Radziwiłła, Sierotki, Peregrynacyą do ziemi świętej. Bogobojny ten pan tę drogą pamiątkę pobożnego serca swego w pięknem zostawił opisaniu. Niedawnemi czasy pewien Francuz p. Chateaubriand (Szatobryan) wydał na świat *Itinerarium z Paryża do Rzymu* i na powrót, dzieło pełne ciekawych szczegółów, tyczących się ziemi świętej i Jerozolimy, a ciekawych nietylko dla pobożnych katolików, bo tych lada czem zbyć można, byle co o świętościach Pańskich wspomnieć, ale nawet i dla *uczonych*,

którzy posiadają rzadki przywilej przez głęboką naukę nabyty, w nic łatwo i mocno nie wierzyć, ani też bądź czem nie dać się rozczulić. Podobnych opisów podróży zacząwszy od tej, którą nam stary i ślepy Homer (jak mówią poeta grecki) zostawił o Odysseuszu, aż do tej, którą przed kilkudziesiąt laty pewien obywatel Sardynii około własnego pokoju swego odbył i opisał na wzór dawniejszej podróży przez Angielczyka Cook około świata szczęśliwie dokończonej, mógłbym naliczyć więcej, gdyby mi czas, a osobliwie erudycya wystarczyła. Ale że tu tylko najbardziej idzie o wytłumaczenie powodów mojego Dyaryusza, przyznać muszę, że i na tę trochę erudycyi o dawnych pisarzach podróży, dla tego jedynie zdobyć się musiałem, żeby przekonać czytelnika, że ja tak ważnych przyczyn do pisania nie mam, jakie mieli dopiero tu wspomnieni Cezar, Xenophontes, p. Maszkiewicz, p. Chateaubriand, JOX. Radziwiłł *Sierotka* i inni.

Można to było, prawdę powiedziawszy, bez wywoływania z prochów nieboszczyków króciej powiedzieć — ale cóż? kiedy to człowiek ułomnej natury nie jest zawsze panem ani swego języka, ani swego pióra (przez co się nie mało złego dzieje na świecie); przeprosiwszy więc za moją długą i mniej może potrzebną przedmowę, nie mając jednak serca podrzeć tych kartek, tak jak ogrodnik nie ma odwagi ściąć drzewa, które sam sadził, chociaż mu kwaśne rodzi owoce; w krótkości już powiem, że jadąc do Rzymu, że nie będąc ani hetmanem żadnym, ani wojewodą, ani uczonym, ani posłem, tylko dobrym szlachcicem województwa bracławskiego, a za życia ś. p. ojca mojego Miecznika W. Koronnego, Miecznikowiczem Koronnym (albowiem okropna zmiana losów narodu i mój tytulik w otchłań niepamięci pogrzebła), nie znajdowałem potrzeby opisania podróży mojej i zamyślałem tylko na kalendarzu berdyczowskim rubrykować dnie, jakie ważniejsze z powodu wypadków przytrafiać się mogące na popasach lub noclegach. Lecz siostra starsza i mąż jej, bardzo na mnie łaskawe rodzeństwo, nie chcieli pozwolić na moją do Rzymu perygrynacyą, pókibym nie obiecał im, iż będę codzień zapisywać cokolwiek by mi się ważnego, a nawet mniej ważnego w tej drodze przytrafiło. Żeby przytem przełamać wstręt mój do tej mozoły, jako małobiegłemu i niedoświadczonemu w literackich pracach, prosili mnie, abym się nie wysilał ani na wymowę,

ani na erudycyę, ani na żadną rymotwórską sztukę, a co do nauk, ponieważ geografia, powiadają, jest jedna z najpotrzebniejszych umiejętności w podróżach, to jeślibym się znalazł w kłopocie i nie wiedział np. jak się nazywa miasto jakie, przez którebym przejeżdżał, albo też rzeka, którąby gdzie pod miastem płynęła, radzili mnie braterstwo, abym na ratusz posłał do burmistrza, lub jeśliby go nie było, do fary do proboszcza, a wreszcie i do dzwonnika, zapewniając, iż którykolwiek z nich niezawodnie powiedziałby mi nazwisko miasta, w którem mieszka i rzeki, która pod niem płynie. Że zaś datę roku i miesiąca w kalendarzu berdyczowskim, który mnie dał O. Józef Karmelita, znaleść bym potrafił, łatwo tego już sam się domyśliłem. Tak więc zaspokojony w tej mierze postanowiłem — ile w mojej możności — zadość uczynić woli kochanego braterstwa, i dać im dowód mojego przywiązania i afektu ku nim niepospolitego; boć tem samem dla nich tylko Dyaryusz będę pisał, przekonam, że *per omnes dies peregrinationis meae in hac lacrymarum valle* będę miał w pamięci drogą ich przyjaźń. Zaczynam tedy *ad majorem Dei gloriam* to opisanie podróży mojej rzymskiej i powtarzam, że dzień 6 maja vet. styli, anno a nat. Dom. 1827, w piątek o czwartej po południu był dniem wyjazdu naszego z Kamieńca Podolskiego.

I. Epigraphium. Qui multum peregrinantur raro sanctificantur. de Imit. Thomas à Kempis.

II. Epigraphium. I na lądzie i na morzu, wszędzie bieda, mój Grzegorzu. Biskup Krasicki.

Rok 1827.

Dnia 6/18 maja o czwartej godzinie po południu wyjechaliśmy z Kamieńca Podolskiego. Temi słowy zakończyłem moją przemowę do czytelnika. Wszakże dla lepszego zrozumienia tej okoliczności będę musiał wejść w niektóre szczegóły. Trzeba więc wiedzieć, że cała nasza podróżna komitywa składa się z JW. Gubernatora podolskiego, żony jego, córeczki sześcioletniej, panny Aleksandry Kąt-

skiej, p. Henryka Grocholskiego i autora tego Dyaryusza, przytem dość liczna czeladka. Dwóch lokaji: jeden Woźniakowski szlachcic (idąc za opinią lokajskiego herbarza, chociaż państwo gubernatorstwo Janem po prostu go zowią), drugi Siergiej, Moskal, co za Polaka służy, kamerdyner Piotrowski, szlachcic formalny, furman podobno Józef, kucharz nowo przyjęty a zatem nieznany mnie; czterech pocztylionów, których imiona zapomniałem wypisać, Bazyli także furman, Galicyanin i Antoni kucharz z Janowa. Powozów było cztery, kocz i bryczka gubernatora na resorach — furgon tegoż nowego wynalazku, rozumie się dla tych, co nic podobnego nie widzieli, w których rzędzie i ja się mieszczę, nakoniec kocz mój, co wiele rozlicznych odbył podróży, bo już przez lat ośm zagraniczne zwiedzał kraje, przez co w wielkiem był u nas poszanowaniu. Byli tacy, co radzili, żeby go porzucić w domu dlatego, że stary, lecz ja sądziłem, że to zaleta, bo starości towarzyszy zwykle doświadczenie, jakoż było ono widoczne zewnątrz i wewnątrz po całej jego budowie. Zrana furgon z Siergiejem lokajem, kucharzem i kuchnią wyprawiono do Tynny, o cztery mile odległej wioski od Kamieńca. Cug sześciokonny kary gubernatora powiózł ich. Zapomniałem jeszcze pomieścić w liczbie wyjeżdżających z nami z Kamieńca pannę z fraucymeru p. gubernatorowej na imię Rudlicką, Kowalczuka z Strzyżawki rodem i chłopca *per modum* kamerdynera p. starościca Zwinogrodzkiego. Ci więc wszyscy wyjeżdżali z Kamieńca, ale nie wszyscy w jedną stronę — gubernator z żoną córką i panną Kątską udają się do Proskurowa, stołecznego miasta powiatu tego imienia, a stamtąd w dalsze powiaty Lityński i Winnicki; albowiem z urzędu swego powinien gubernator tego roku przepatrzeć w nich to wszystko, co pod jego zostaje zarządem. Kowalczuk wraca się na Proskirów do Strzyżawki *ad Penates*, ażeby zostawszy w Kamieńcu, czując się osieroconym, nie uczęszczał do Koguta [1], albo też do Dłużka, przez coby znaczny zrobił ubytek arendzie Strzyżawieckiej. Chłopiec p. Henryka jedzie z powrotem do Pietniczan z wielkiem utrapieniem serca. Przystał na to do pana swego, aby (jak on mówi) *wojażować*. Pokazało się potem, że za młody na

[1] Karczmy wolnej od okupu blisko Kamieńca.

długą podróż zagraniczną, i że lepiej przestać na Antonim, starszym, dojrzalszym — chłopiec mógł sobie myśleć, że dość nam było mieć stary kocz; niedobrze więc pojmował, dlaczego i sługa miał być niemłody. Musiał jednak przystać na tę zmianę losu i wracać do domu. Tym więc sposobem wytłumaczyłem, jak wszyscy tu wyrażeni w drogę się puszczali, chociaż nie wszyscy, jak my, do Rzymu jechali.

Skoro tylko powozy nasze ukazały się na rynku, wzbudziły w licznych widzach stolicy odpowiedne podobnym ważnym wypadkom uczucia. Ukazał się też i JP. Łapa (herbu zapewne Niedźwiadek), policmajster miasta Kamieńca, na pięknym i potężnym koniu gniadym, któremu, dlatego żeby był podobny do koni w Anglii krótkie mające ogony, ogon ucięto. Policmajster, człowiek wieku nieco podżyłego, podpułkownik, w całej paradzie siedział na koniu, tj. miał szpadę, ostrogi i kapelusz z piórem, co się nie pomału przyczyniło do uświetnienia naszego wyjazdu; jakoż to znać było po gęstych kupach żydowskich, które z wielką uniżonością czapki uchylały przed tak poważną komitywą. Za miastem wstąpił gubernator na chwilę do generała obozującej tam na polach brygady, potem odprawił policmajstra na powrót do miasta z poleceniem, aby drzewa przez mieszczanów Izraelitów nad drogą sadzone lepiej były pielęgnowane i prędzej rosły. Przejeżdżając koło nowo budującego się klasztoru PP. Wizytek za miastem oglądaliśmy ziemię, w której mają być założone fundamenta z kamieni i wapna mających się tam dostawić. Kamieni już były piękne kupki. W tem okazała się zguba; mój surdut zapomniano w domu. Łaskawe braterstwo postanowiło czekać na powrót pocztyliona, który po tę zgubę został wysłany. Trwało to pół godziny, przez który czas p. Roguski, artysta podolski, podbiegłszy chyżym krokiem rekomendował interes swój, siebie artystę dojrzałego i młode artyściątka dziatwę swoją wspaniałym sercom i względom gubernatorstwa i starościca pana Henryka; znany jest ten artysta z pięknego wykonania transparentów, które ozdabia widokami krajowymi, osobliwie Podola. I chociaż JW. X. Kalasanty Czertwertyński dowodził mu błąd statystyczny, jakoby w jego widoku stawu kaczki były polskie, a rybacy po niemiecku ubrani, wszelako artysta ten tak jest dobrym patryotą, jego dzieci tyle patryotycznych wierszy deklamują,

iż mu Podolanin każdy przyznać musi, że jest dobrym nawet malarzem.

Czwartek 11 maja. Stanęliśmy w Brodach w oberży p. Pacha, dość porządnej na takie miasteczko. Mój towarzysz podróży zajął się urządzeniem kwatery, ja wstąpiłem do pobliskiego kościoła, w którym jeszcze summę zastałem. Było i kazanie dość piękne z powodu festu Wniebowstąpienia. Kościółek nędzny; zwyczaj jednak tutejszych kościołów nie mieć kaznodziej czytających swoje kazania, zdaje się bardzo dobry, bo ksiądz, jeśli czyta kazanie, to dla tego, że nie umie go, a jeśli nie umie, to choć sam go napisał i najlepiej, małe zrobi na słuchaczach wrażenie. Myśli jak najpiękniejsze, jeśli nie będą ożywione duchem i głosem mówiącego, stają się martwemi. Kto utrzymuje, że głos ludzki nie może nic przydać do mocy i piękności myśli, ten nie dość zna tajemniczy pociąg, którym Bóg obdarzył mowę ludzką; ten to przywilej człowieka, który go najwięcej od innych zwierząt odróżnia i do Stwórcy przybliża.

13 Junii. We środę tedy o 10 zrana po sześciodniowej podróży szczęśliwie do pięknego i starożytnego miasta Krakowa przybyliśmy. Wprost udaliśmy się do dawnej mojej znajomej p. Karoliny oberżystki, oberży Krotza, która nam wygodną stancyę na drugim piętrze wygotowała za cenę skromną.

14 Junii Czwartek. Boże Ciało. Ceremonia i procesya solenna na rynku dość wspaniała, tylko że damy wystrojone nadto, przed władzami Rzeczypospolitej, także w paradzie wielkiej postępującemi, pierwsze miejsce zabrały. W rzędzie i szeregu pięknym, długim księży świeckich dostrzegłem młodego Łubieńskiego [1], którego wprzódy nigdy nie widziałem. Zgadłem go po wzroku jasnym, spokojnym i jakowejś dziecinnej szczerości, którą wykazuje jego czoło zupełnie otwarte. Włosy miał na tył głowy zaczesane, na dwie połowy przedzielone, z natury kręcące się.

15 Junii. Poznałem ks. Łubieńskiego i do mszy mu służyłem w kościele Franciszkańskim. Wszelkie mnie ofiarował rekomendacye do Rzymu i na obiad zaprosił, na którym siostra jego Skarzyńska z córką i synowie, Łubieński syn nieboszczyka z pierw-

[1] Późniejszy biskup Tadeusz Łubieński.

szej żony znajdowali się. Familia ta cała bardzo przyjemna i cnotliwa. Każde z rodzeństwa ma swój charakter oddzielny, a wszyscy są bardzo prości, otwarci i pobożni. Łubieński wiele mi ciekawych rzeczy o Rzymie opowiadał. O Baccanaristach, Jezuitach etc. i radził także *Collegium Romanum*[1]. Tegoż dnia przybyła familia Brzozowskich, p. Karol z dziećmi, bardzo byli zdziwieni, że nas traf jakiś do jednej sprowadził oberży. Ci państwo do Karlsbadu jadą. Tegoż dnia także i bratowa, kochana Eliza, przyjechała. Zastałem ją u kraty, od niej się też dowiedziałem z żalem, żem się z Jędrzejem rozminął. On z Wiednia przed żoną wyjechał, zabawił kilka dni w Krakowie, a po drodze do Starej wsi wstąpił. To zboczenie jego z drogi cesarskiej było powodem naszego rozminienia się. Przez cztery dni co tu Eliza bawiła, cały dzień z sobą albo u kraty przepędzaliśmy. Bardzo wiele ciekawych rzeczy dowiedziałem się o ich podróżach po Włoszech, o sposobie, jakim ich przyjął Papież, jak był na nich łaskaw, na Jędrzeja. Kiedy go brat przy prezentacyi w nogi pocałował, a drudzy co z nim byli tego nie zrobili: powiedział mu ojciec św. na audyencyi: *J'ai rémarqué, que Vous etiez le seul d'entre les catholiques alors presents, qui avez rendu honneur à la dignité dont je suis révetue. Quant à ma personne, je sais que j'en suis indigne; mais je suis content du bon éxemple que Vous avez donné aux catholiques devant des chrétiens, qui ne sont pas de notre religion* (a było także kilku heretyków na tej prezentacyi) *et qui ont pu voir quel doit être le respect des catholiques pour la caractère sacré qu'ils voient en moi* — czyli coś podobnego. Wiele i długo mnie mówiła o innych w Rzymie znajomościach, jak z powodu rozwodu p. Ilińskiego i innych w Polsce zagęszczonych. Ojciec św. miał powiedzieć: *J'admire la bonne foi de ces gens avec la quelle ils croyent vraiments qu'ils sont divorciés.* (C. d. n.)

Ks. Jan Badeni.

---

[1] Poznałem się także z ks. Skurkowskim, dziekanem tutejszej kapituły, bardzo godnym człowiekiem, z ks. Stachowskim exjezuitą, sekretarzem biskupa krakowskiego, który mi dał ważne pisma do Rzymu, lub do oddania Internuncyuszowi Ostiniemu w Wiedniu.

LISTY Z CHYROWA.

I.

Kochany i łaskawy Panie!

Nie dziwię się temu, ani nie gniewam, że żądasz odemnie szczegółowych wiadomości o Chyrowie, nie tylko o całem urządzeniu zakładu, ale więcej jeszcze o jego duchu, celu i środkach, jakimi się posługuje, dowiedzieć się pragniesz. Zamierzając powierzyć nam chłopców swoich, masz najzupełniejsze prawo i pytać i oraz osądzić, czego się możesz po nas i po naszym zakładzie spodziewać. Chętnie więc i z całą szczerością zabieram się do odpowiedzi, której jednak wątpię czy potrafię w jednym choćby przydługim pomieścić liście. Możesz się więc spodziewać całego ich szeregu. Z góry Cię przepraszam, jeżeli kiedy popadnę w gadulstwo, aleć sprawą chyrowską nie tylko z obowiązku, ale zarazem też z szczerego serca i z całej duszy się zajmuję, a takie usposobienie, wiesz to z doświadczenia, jak mało licuje z zwięzłą formą oficyalnej korespondencyi, a raczej mimowoli prawie naprowadza na poufną gawędę, albo też w danym razie na ożywioną dyskusyę. Nie dosyć mi jednak, że cierpliwości Twojej nadużyję, ale i maleńką zamierzam popełnić niedyskrecyę. Oto cały zajęty wychowaniem licznej naszej dziatwy, nie mam zbyt wiele czasu na tak długie, jakich Twoje zapytanie wymaga, listy, a jednak nie Ty jeden jesteś ojcem troskliwym. Nadto, ledwie rok jeden upłynął, odkąd otworzyliśmy nasz „Zakład naukowy i wychowawczy św. Józefa“ w Chyrowie, a w krótkim tym czasie fakt ten, na pozór tak podrzędny, takiego nabrał rozgłosu,

że w całej dawnej Polsce podobno już nie ma zakątku tak odległego, żeby Chyrowem się nie zajmowano, owszem z dalekiej nawet zagranicy zaczynają przybywać listy i goście domagający się informacyi o naszym zakładzie. Sobie więc oszczędzę czasu i pracy, a zarazem może niejednemu jakąkolwiek oddam przysługę, jeżeli listy swoje, istotnie do Ciebie należące, drukiem ogłoszę. Bądź wreszcie, kochany Panie, i na to przygotowany, że niedyskrecyę swoją dalej jeszcze posunę, i dalsze Twoje zapytania i możliwe zarzuty tak samo jak własne swoje listy wydrukuję, i tym sposobem, zanim się spodziejesz, zmuszę Cię zaliczyć się do cechu literatów. Przystępuję wreszcie do rzeczy.

Zakład nasz jest na wskróś katolickim, i zarazem dla tego samego też (komu innemu należałoby może dodać i mimo to) na wskróś swojskim, rodzimym. Jest przedewszystkiem katolickim zakładem, bo i my, ilu nas jest w naszym zakonie, nie dla oka ludzkiego, nie czczej tylko, ale z głębokiego przekonania pragniemy nietylko wyznawać słowem i czynem świętą i jedynie prawdziwą wiarę katolicką, ale ją też w miarę łaski Bożej i sił naszych słabych popierać i krzewić, choćby po całym świecie. Pojmujesz, że do zakonu, który jak nasz, wiecznie wystawiony był na potwarze, i o wszystko co możliwe i niemożliwe, choćby nawet o skuszenie Ewy w raju posądzony, który przy każdem zaburzeniu tradycyjnem na pierwszy sztych bywał narażany, ludzie słabych przekonań i o tchórzliwem sercu nie łatwo się kwapią. A chociażby kto do niego nieopatrznie wstąpił, to w obec wymagań i ducha całego zakonu nie wytrwa, jeżeli do niego nie wniósł, albo przynajmniej zawczasu w nim nie nabył owej właściwej tylko katolikom prawdziwym, silnej i spokojnej wiary, i koniecznie z niej wypływającego hartu ducha. Wiemy sami z codziennego doświadczenia, że ta wiara tylko umie dać człowiekowi prawdziwy spokój wewnętrzny i zabezpiecza mu szczęścia tyle, ile go w tem życiu być może, a wierzymy i ufamy, że ona jedna też doprowadza do zupełnego szczęścia w życiu przyszłem; więc chybabyśmy serca ani życzliwości nie mieli dla ludzi, gdybyśmy nie pragnęli tego skarbu, który z łaski Bożej posiadamy, udzielić też innym i, o ile być może, wszystkim.

To też podobno nikt, czy życzliwy nam, czy niechętny, nie spodziewa się, aby jakakolwiek instytucya przez Zakon nasz stwo-

rzona i kierowana mogła mieć inną jak wybitnie katolicką cechę. W czem jednak może być pewna niejasność to to, co rozumieć należy przez tę „wybitnie katolicką cechę“; bo wiek nasz w miarę tego jak chełpiąc się oświatą wymaga, by wszyscy o wszystkiem rozprawiać umieli, we wszystkich też kierunkach, a najwięcej może w sprawach religii i sumienia choruje na niejasne, zagmatwane pojęcia. Otóż przedewszystkiem nie jest katolicyzmem ów sentymentalny pietyzm, który mniema, że rzewnie pobożne frazesy, pewna na nie wrażliwość, i chwilowe tą wrażliwością wywołane porywy, wystarczają aż nadto, aby nas Bogu miłymi uczynić. Nie jest też jakąś oderwaną teoryą na osobistych zapatrywaniach, przypuszczeniach lub przekonaniach opartą, którąby można dowolnie zmieniać, uzupełniać lub do okoliczności dostrajać. Nie jest wreszcie zabawką, ani strojem, któryby można według potrzeby albo i humoru raz używać, to znów zarzucić albo schować. Nie, tem wszystkiem, i jeszcze niejednem innem, czemby go ludzkie zaślepienie uczynić chciało, katolicyzm nie jest. Katolicyzm jest p r a w d ą, prawdą tak rzeczywistą, a zarazem tak żywotną, że nietylko wszędzie i zawsze w sposoby niezliczone się przejawia, ale też wszędzie i zawsze do rachowania się ze sobą przypuszcza tak dalece, że kto tej prawdy nie zna, lub się z nią nie rachuje, ten się o nią wcześniej lub później rozbije. Nie ma w tem nic dziwnego, boć tak samo dzieje się z ludźmi, którzy nie znają lub nie liczą się z prawdami i stosunkami faktycznemi, bez porównania podrzędniejszemi od prawd i faktów do dziedziny wiary należących. Ktoby nie wiedział, lub nie chciał wiedzieć o istnieniu i istocie ognia, i skutkiem tego nie rachowałby się z potęgą tego żywiołu, albo ktoby nie rozumiał, że jest i czem jest władza państwowa, rodzinna i t. p.: nie trudno sobie wyobrazić, do jakich kolizyj i niedorzeczności musiałaby go ta dobrowolna lub niedobrowolna niewiadomość doprowadzić. Otóż nauka, lub jeśli Pan wolisz, oświata wszelka ma głównie ten cel, żeby wyrabiać i szerzyć zdrowe i jasne pojęcia o prawdach i o faktach, i stosunkach faktycznych, w jakich te prawdy się objawiają; wychowanie zaś uczy i wprawia do należytego rachowania się z temi rozmaitemi prawdami i ich objawami. Oświata i wychowanie, że użyję wyrazu utartego, s e k u l a r y z o w a n e, (trafniej należałoby powiedzieć bezkonfesyjne, a dobitniej niereligijne, pogań-

skie) uczy prawdy i stosowania się do niej z pominięciem Boga, który jest źródłem wszelkiej prawdy i prawa; nauka zaś i wychowanie katolickie opiera się przedewszystkiem na Bogu i do Boga dąży, bynajmniej jednak nie lekceważy onych prawd przyrodzonych, któremi nauka i wychowanie sekularyzowane się zajmują. Zatem nauka katolicka usiłuje dać jasne i zdrowe pojęcie przedewszystkiem o tych prawdach i oraz faktach najdonioślejszych: że Bóg jest, że nie jest czemś oderwanem, ale Bogiem żywym, bo wszystko wiedzącym i wszędzie działającym, że On wszystko stworzył, a przeto wszyscy jego kreaturą jesteśmy, najzupełniej od Niego zależni; że On wszystkiem rządzi, a rządzi prawdziwie po Bożemu tj. rozumnie i konsekwentnie i spokojnie, każdą istotą martwą czy żywą, rozumną czy nierozumną, według praw i warunków, w których ją stworzył i rozwinąć się jej pozwolił. Takąż prawdą i takim faktem, na które nauka i wychowanie katolickie kładzie nacisk, jest to, że Bóg w podobny, ale nierównie doskonalszy sposób, jak każda istota rozumna, tworzy sobie sąd o wszystkiem co widzi, sąd nieomylny, wszechstronny, i zawsze sprawiedliwy — a każdy sąd jego jest skutecznym wyrokiem, z którym łączy się wymiar kary lub nagrody za wszelkie nasze i małe i wielkie przewinienia i zasługi. Takiemiż prawdami i faktami, z któremi katolickie wychowanie obznajmia i rachować się uczy, są Wcielenie, Życie, Śmierć, Zmartwychwstanie i cała nauka Syna Bożego, tudzież istnienie i cała istota Kościoła katolickiego, który tenże Syn Boży na Piotrowej Opoce postawił — dalej niezbędna i ciągła potrzeba pomocy i łaski Bożej, nieśmiertelności duszy i t. p. Gdziekolwiek zabraknie jasnych pojęć o tych prawdach i faktach, gdzie nie ma szczerego przejęcia się niemi, tam, czy to chodzi o jednostki, czy o społeczeństwo całe, nieuchronnie też brakować musi zamiłowania do prawdy, obniżają się lub całkiem giną wszelkie ideały, obniża się cały poziom umysłowy i moralny, — a natomiast wzmagać się muszą zdrożne instynkty, jakto, pomijając świadectwo Pisma św. i historyi wieków ubiegłych, stwierdzają aż nadto doświadczenia i dzieje współczesne.

Zapewne, że gdzie chodzi litylko o postęp w naukach, zwłaszcza humanitarnych i realnych, tam uzdolnienie i biegłość nauczycieli, bez względu na ich kierunek religijny obojętny, lub antyreligijny, bardzo wiele znaczą, i wcale nie przeczę, że języków, mate-

matyki, fizyki i t. p. przedmiotów więcej można się nauczyć u profesora niewierzącego, a w fachu swoim biegłego, aniżeli u wierzącego, a nie dość uczonego lub wprawnego. Bo ani wiara i pobożność, ani też niedowiarstwo i bezbożność nie stanowią jeszcze nauczyciela. Wszelako zadaniem szkół średnich (nie mam powodu rozwodzić się tu nad uniwersytetami i szkołami fachowemi) nie jest przygotowywać młodzież do pewnego z góry obranego zawodu, i dać im potrzebną do niego ilość wiadomości, ale rozwinąć ją i doprowadzić do pewnej dojrzałości tak, aby z należytą świadomością każdy mógł obrać sobie zawód odpowiedni i do niego się szczegółowo przysposobić. Czyli inaczej rzecz wyrażając, w szkołach średnich poszczególne przedmioty naukowe nie tyle są celem, ile raczej środkiem, za pomocą którego władze umysłowe mają się — o ile możności — wszechstronnie i należycie rozwinąć tak, aby w mierze indywidualności swojej odpowiedniej, każdy wyrobił sobie dostateczną wierność pamięci, bystrość w pojmowaniu, ścisłość w rozumowaniu i jasność w tłumaczeniu się. Ku temu zaś podobno więcej niż jakikolwiek inny przedmiot nadaje się nauka religii, i jakkolwiek ma ona wyższe nierównie zadanie, przecież i pod tym względem sprawdza się słowo Pisma św. *Pietas ad omnia utilis est.* Bo religia, opierając się na faktach historycznych, kształci pamięć, traktując o najciekawszych dla człowieka zagadnieniach, zaostrza bystrość, walcząc od wieków z zarzutami rozumu zaślepionego namiętnościami, wymaga ścisłości w rozumieniu i wyrażaniu się — a nadto wszystko, przedziwnem urokiem swoim budzi w sercu to gorące zamiłowanie prawdy, które jest najpotężniejszym bodźcem do niezmordowanego badania i szukania prawdy w każdym kierunku, a więc też najlepszą do wszelkiej nauki podnietą.

Wszelako nie tylko pod tymi ogólnymi względami cecha wybitnie katolicka korzystną jest dla nauki. Są niektóre przynajmniej przedmioty, których traktowanie ze stanowiska innego niż katolickiego koniecznie naprowadza na tory niezgodne z prawdą, a temsamem umysłu nie kształci, ale wykrzywia go i koszlawi. Tak w szczególności historya, wiadomo jak często, w podobny sposób jak dziennikarstwo, służy nie prawdzie, ale celom koteryjnym lub doktrynerskim. Podobnie niejeden dziennikarz zacietrzewiony w dążnościach stronnictwa, któremu czy z przekonania czy też dla zysku

służy, gotów bądź w dobrej wierze, bądź też z zupełną świadomością złego, potwarzać i szkalować choćby najzacniejszych ludzi, przekręcać najwidoczniejsze fakta. Tak też i historycy nierzadko rozszerzają przesądy i fałsze zamiast prawdy historycznej. A najczęściej popadają także w błąd również kronikarzom nowoczesnym tj. dziennikarzom właściwy, że roszczą sobie prawo wydawania sądu stanowczego o wszystkiem, mianowicie o tem czego wcale nie znają, lub zrozumieć nie są w stanie. Są obok tego oczywiście historycy poważni i sumienni; i w ogóle u badaczów źródeł historycznych przeważa spokój, rozwaga i mozolną a wytrwałą pracą wyrobiony zmysł krytyczny. Ale najczęściej w kompilacyach, począwszy od przesławnych Centuriatorów Magdeburskich, aż do tych nowszych podręczników, które już z założenia swego kompilacyami być muszą, znajdziesz aż nadto często, odpowiednio do stanowiska zajętego przez autora, tak liczne niedorzeczności historyczne, takie przekręcania faktów i potwarze, że najdzielniejsi z gadzinowców mogliby ich pozazdrościć. Jestli autor jest np. zapalonym narodowcem, to najwyższem dla niego kryteryum wszelkiej prawdy i sprawiedliwości będzie to, co jest jego ideałem, materyalna potęga i ziemski dobrobyt własnego narodu, i zapatrywać się będzie na ludzi i czyny ościennych narodów przez okulary krzywo szlifowane. Jestli autor liberałem, to obdarzy cię o instytucyach i dygnitarzach katolickich, zwłaszcza o stosunkach średniowiecznych wcale nie liberalnemi sądami i zmyśleniami, jakich sporą, ciekawą a oraz smutną wiązankę zebrał znakomity autor niemieckiego dziełka *Geschichtslügen*. Te „fałsze historyczne“, chyba Bogu jednemu wiadomo, ile już narobiły i wciąż robią i w przyszłości jeszcze narobią szkody Kościołowi i społeczeństwu, ilu jednostkom głowy zawróciły i od prostej ich drogi odwiodły. Przybrane przez rzekomych historyków w powagę pewników naukowych, wychwalane przez schlebiającą im prasę peryodyczną, spopularyzowane przez całą powódź najzupełniej niehistorycznych „romansów historycznych“ raczej z histeryą niż z historyą coś wspólnego mających, w ostatnich pokoleniach osłabiły wiarę, w wątpliwość podały odwieczne zasady porządku społecznego, a poniekąd i życia rodzinnego, nawet wiarę w ludzi i w szczerość ich zamiarów podkopały we wszystkich prawie kierunkach, poziom społeczeństw i jednostek obniżyły. Dużo potrzeba będzie pracy i nie

mało czasu, zanim te śmieci się uprzątną, zanim sumienni i dla prawdy poświęcający się historycy, których zastęp w całym świecie katolickim i u nas też Pan Bóg widocznie wskrzesza, z pod tych śmieci prawdę wydobędą i na świeczniku osadzą.

Jakoż profesorowie historyi są w położenia niemniej trudnem od kompilatorów. Obowiązani wykładać całą historyę powszechną oraz historyę kraju własnego, niepodobna aby wszystko czerpali z własnych źródłowych badań, niepodobna nawet, żeby rozprawiając o pojedyńczych epokach opierali się wciąż na odnośnych autorach prawdziwie klasycznych, ale muszą przeważnie posługiwać się podręcznikami, narażeni więc są na tę samą powierzchowność, pobieżność i stronniczość co i kompilatorowie. Odpowiedzialność zaś ich tem większa, że z powagą, jaką im w obec uczniów daje ich stanowisko, żywem słowem bez porównania potężniejszym od pisanego, podawać mają wrażliwej młodzieży przedmiot nad inne nauki gimnazyalne powabniejszy, głębiej sięgający, naukę słusznie zwaną „mistrzynią życia“. Jakiż wpływ dodatni albo zgubny wywrzeć może taki profesor na cały przyszły kierunek młodzieży.

W pewnej mierze to samo co o nauce historyi powiedzieć można także o czytaniu autorów klasycznych i wykładach literatury. A nawet, odkąd pewna część przyrodników poczęła sobie rościć prawo, aby swojemi hipotezami nie zawsze ściśle z doświadczeń przyrodniczych wysnutemi, rozstrzygać, a przynajmniej w wątpliwość podawać kwestye metafizyczne z dziedziny filozofii i zagadnienia zupełnie nadprzyrodzone, ściśle do teologii należące, — nie może już być rzeczą obojętną jakiego są, katolickiego, czy niekatolickiego kierunku profesorowie, którzy te przedmioty w szkołach średnich wykładają.

Jest jeden jeszcze szczegół, którego doniosłość doskonale wprawdzie poznajemy, ale przeprowadzić go w naszym Chyrowie nie czujemy się na siłach; jestto system naukowy. Od kilku wieków był się wyrobił system odrębny od tego, jaki się dziś prawie powszechnie w szkołach przyjął — system, który rozwinął się przeważnie w szkołach, przeważnie przez Kościół katolicki potworzonych i najdłużej w krajach katolickich przetrwawszy, otrzymał nazwę katolickiego w przeciwieństwie do systemu w nowoczesnych państwowych szkołach przyjętego. Kiedy rewolucya francuska zrywając z całą przeszłością zamierzyła świat na nowe popchnąć tory,

nieodrodne jej dziecię, liberalizm, dla zabezpieczenia sobie przyszłości, szczególnie baczne zwrócił oko na młodzież i szkoły. Usiłowania jego zostały na razie najzupełniejszem uwieńczone zwycięztwem. Posługując się taktyką sobie właściwą wydał szumne i niby nowe hasło „oświaty“, począł w siebie i świat cały wmawiać, że on jeden tylko prawdziwie chce i umie światło rozszerzać, i przechwalając siebie a szkalując i błotem obrzucając wszystko, co nie z jego powstało inicyatywy, lub nie pod jego schroniło się egidę, obałamucił umysły, i zdrowe a jasne w nich zatarł pojęcie. Po takiem przygotowaniu umysłów skonfiskował na rzecz państwa już od siebie zależnego i nadprzyrodzone prawo Kościoła i przyrodzone prawo rodziców do kształcenia i wychowania dzieci, i stworzył dwa dziwadła ze wszystkich kreacyj liberalizmu i racyonalizmu najnieliberalniejsze i najnieracyonalniejsze: państwowy monopol szkolny i przymus szkolny. Wreszcie, aby ukoronować dzieło swoje, wprowadził liberalizm do szkół upaństwowionych nowy swój system szkolny. I co dziwna, dokonało się to wszystko prawie bez walki, bez opozycyi. Bo niestety katolicy, to często — jak ci co na Golgocie ubolewali nad krzywdą Panu wyrządzoną szczerze, ale cichutko i na uboczu — ludzie rozpaczliwi, małoduszni, a przynajmniej rozpaczliwie spokojni, nie zwykli się ruszać, póki ich powódź nie pocznie unosić. Więc dopiero, kiedy poczęły szkoły na modłę liberalną urządzone już na seryo doskwierać, poczęła się we Francyi, Niemczech i Włoszech coraz poważniejsza akcya, żeby wyzwolić szkoły i szkolnictwo z pod jarzma liberalizmu na nich ciążącego. A u nas? my bo trochę daleko posunięci na wschód, więc zawsze trochę więcej czasu potrzebujemy, żeby co dobrego czy złego sprowadzić z Paryża, Berlina lub Rzymu, a do własnych pomysłów i instynktów miewamy mało pospolicie zaufania i gustu niewiele; — zresztą podobno w księgach przeznaczenia o nas napisano, że Polak dopiero po szkodzie mądry. Aleć zdaje mi się, że tej szkody, jaką przyniosły naszemu krajowi wadliwe szkoły średnie, już mamy zanadto. A cóż o ludowych szkołach powiedzieć??? chyba położę potrójny znak zapytania.

Lat temu kilka, pamiętam, na rynku krakowskim spotkałem razu jednego nieodżałowanej pamięci Józefa Szujskiego, w którym więcej niż naukę i inne niepospolite zalety ceniłem zawsze i podzi-

wiałem wielką prawość i nadzwyczajne, niemal namiętne zamiłowanie prawdy. Znałeś go Pan, zatem wiesz, jak był żywy i wrażliwy. Otóż ledwiem spojrzał na niego, spostrzegłem, że czegoś niekontent i wzburzony. I od razu podał powód: Bo, wystaw sobie, powiada, wracam z seminaryum (historycznego); któremuś z moich słuchaczów, który dopiero tego roku zdał maturę i to z odznaczeniem, dałem Długosza, a on sobie rady z nim dać nie może, pokazało się, że tak mało umie po łacinie, że ani zrozumieć, ani domyślić się nie potrafił, co sławny Długosz napisał; i to maturzysta z odznaczeniem! Skarga ta Szujskiego nie jest bynajmniej odosobniona. Ileż to razy spotkać młodych i wcale zdolnych ludzi, co przez całe lat ośm uczyli się łaciny, a ani autora łacińskiego samodzielnie czytać, ani kilku zdań poprawnie napisać nie potrafią. Nad greką pocił się taki nieborak lat sześć, a znajomości języka nie nabrał żadnej, tem mniej zasmakował w klasycznej formie greckich autorów. O matematyce zwątpił od samego początku, mówiąc sobie, że nie ma do niej zdolności, tylko tyle się przykładał i formuł na pamięć uczył, żeby dwójki nie dostać. Niemieckiego języka wcale sobie nie przywłaszczył; a polskiego? gdybym za każdy błąd gramatyczny lub ortograficzny (bo o stylistycznych ani wspominam), któryby się znalazł w pismach i listach maturzystów, dostał tylko po grajcarze na zakład Chyrowski, to chętnie za te pieniądze podejmę się popłacić długi i gmach dokończyć i jeszcze kilka takich gmachów w kraju dla dobra przyszłych pokoleń wystawić. Czyjaż w tem wina? czy profesorów? nie, i stokroć nie, bo jeśli nie wszyscy, to w każdym razie przeważna ich część szczerze dbają o dobro młodzieży, kochają swój zawód i usilnie pracują. Czy młodzież? także nie, bo nie brak im zdolności, a ślęczą nad książkami nieraz więcej, niż zdrowie znieść może. Cała przyczyna tych w ogóle nieznanych rezultatów leży głównie w nowoczesnym systemie szkolnym. Ograniczę się na wskazaniu niektórych główniejszych jego niedostatków i sprzeczności.

Pierwsza i może zarazem najgłówniejsza wada tegoczesnego systemu szkolnego jest to, że każe uczyć za wiele na raz. Według austryackiego np. planu nauk w tutejszych gimnazyach obowiązującego w pierwszej już klasie nie chłopcy oczywiście, ale dzieci zaprzęgają się równocześnie do języków łacińskiego, niemieckiego

i polskiego, do algebry i geometryi, do geografii, do historyi naturalnej, a w końcu i do nauki religii. Do tych przedmiotów przybywają stopniowo w ciągu lat szkolnych nauka historyi powszechnej, austryackiej i polskiej, języków greckiego i francuskiego, fizyka wraz z chemią i propedeutyka. Przy takiej różnorodności i mnogości przedmiotów niepodobna prawie, aby nierozwinięty jeszcze umysł ucznia nie rozstrzelił się, zbyt długie siedzenie w szkole męczy ucznia fizycznie i umysłowo nad miarę, i skutkiem tego uwaga jego nie może być tak natężona, ileby potrzeba, aby należycie korzystał z wykładu profesora: — a stąd albo potrzeba korepetycyi, albo nadmierna trudność w domowem powtarzaniu lekcyi. Inny skutek zgubny tej różnorodności i mnogości przedmiotów naukowych jest ten, że uczniowie, przynajmniej ci co średnie tylko mają zdolności, w żadnym z nich nie nabędą biegłości, ale tylko pewną ilość wiadomości, i to w ogóle nie tworzących jednolitej całości. Skutkiem tego przez całe te długie lata szkolne rzadko tylko uczeń inną z nauki swojej będzie miał satysfakcyę, jeno tę, którą mu dać mogą pochwały profesorów i dobre świadectwa. Na pożytek zaś rzetelny nie łatwo się zdobędzie, a bez tego nigdy nie nabierze ochoty prawdziwej, a tem mniej zapału do nauki, ale zostając wiecznie tylko początkującym, znudzi się i zniechęci, i wzdychać będzie za chwilą, w której, opuszczając ławy szkolne, będzie mógł zarazem wszystkie książki porzucić. Objaśnimy to na jednym lub drugim przykładzie. Z dawnego systemu zachowały tegoczesne gimnazya jako jeden z najgłówniejszych przedmiotów studya klasyczne — chociaż niestety poczęto je tak traktować, że wielu mianowicie profesorów, nie widząc z nich odpowiedniego pożytku i nierozumiejąc ich doniosłości, razporaz zarzucenia ich zupełnego się domagają. Oto, póki uczeń nie nabył takiej biegłości w językach starożytnych, aby mógł autorów gładko czytać, jakkolwiek przynajmniej ich piękność rozumieć, za ich przykładem coś samodzielnego tworzyć, z pewnością się ani do autorów, ani do studyów klasycznych nie zagrzeje. Zapewnie znasz Pan jeszcze nie jednego z tych, co za dawnego porządku pokończyli szkoły, i wiesz jak nieraz przy sposobnej chwili mimo wieku i starganych sił umieją recytować całe ody Horacego lub ustępy z Wirgilego lub Owidyusza, a to z zapałem równie wielkim jak my ludzie z starszej generacyi

wypowiadaliśmy zakazaną naówczas odę do młodości lub redutę Ordona, a z jakimi pomiędzy młodszymi teraźniejszymi tak trudno się spotkać. Aby obudzić w uczniach zapał zamiłowania do nauki, potrzeba wprzód w nich rozbudzić twórczość; ta zaś jest niemożliwą bez jakiejkolwiek biegłości, której znów, jak już wspomniałem, większa część w obec trudności z systemu wynikających nabyć nie jest zdolna. Podobnież w naukach przyrodniczych zapał sie budzi, i uczeń prawdziwe poczyna robić postępy dopiero wtenczas, kiedy nabył już pewnej wprawy w rozpoznawaniu np. okazów fauny, którą spotyka, lub zbierać zaczyna; w geometryi, nie póki uczy się dowodów z książki lub przy tablicy, ale gdy już powiodło mu się rozwiązać za pomocą nabytych wiadomości jakiekolwiek zagadnienie, z którem się spotkał w praktycznem potocznem swojem życiu, lub wynaleść jaki nowy (dla niego przynajmniej) dowód na jakieś twierdzenie. Słowem twierdzę z owym niemieckim pedagogiem: *Nicht das Wissen sondern das Können giebt Liebe und Eifer zum Studium.*

Nie wyczerpnąłem bynajmniej wszystkich niedogodności dzisiejszego systemu szkolnego, ale dotknąłem tylko te dwa najwięcej rażące, których dawny system szczęśliwie umiał uniknąć, chociaż miał także swoje niedostatki. Ale radbym jeszcze na jedną przynajmniej sprzeczność wynikającą z tegoż systemu zwrócić Pańską uwagę. Oto dla różnorodności i mnogości przedmiotów osądzono, że niepodobna wymagać, aby profesorowie w nich wszystkich byli dostatecznie biegli, i dla tego odstąpiono od dawniejszego zwyczaju „profesorów klasowych", a natomiast zaprowadzono „profesorów fachowych". Pomijam względy pedagogiczne, które najzupełniej przemawiają za instytucyą profesorów klasowych, a to o ile możności takich, którzyby mogli co roku razem z uczniami postępować z niższej do wyższej i chociażby do najwyższej klasy. Tak bywało za dawnego systemu, że jeden profesor prowadził całą klasę od infimy aż do retoryki i znów jeden przez całą filozofię; taki mógł poznać i znał uczniów swoich, wiedział od którego mógł się więcej domagać, i któremu i w czem potrzebował dopomagać i niedostatki uzupełniać; dźwigał też sam jeden całą odpowiedzialność za swoją klasę, i nie mając na kogo składać winę za niedostateczne przygotowanie i wyrobienie uczniów, tem szczerzej się przykładał

do pracy. Nie mogło też być mowy o przeciążeniu uczniów pracą domową, tak jak bywa teraz, kiedy kilku profesorów, którzy niepodobna aby wciąż między sobą się porozumiewali, zadają każdy tyle, ile uważa być potrzebnem dla swojego przedewszystkiem przedmiotu. To wszystko pomijam, ale pytam, jeżeli trudno wymagać od profesorów, a zatem ludzi już dojrzałych, wyrobionych i z książkową pracą prawie już zrosłych, aby wykładali równocześnie tyle różnorodnych przedmiotów, czyż można żądać od uczniów, a więc od dzieci, lub w najlepszym razie chłopców, aby oni tych wszystkich mądrości równocześnie się uczyli, nauczyli i przynajmniej jakkolwiek je strawili? Ale system ten obowiązuje, więc choć przeciw własnemu przekonaniu, jemu się poddajemy — jedynie co możemy, że staramy się podtrzymywać u siebie w niższych klasach profesorów klasowych — pracę około zmiany systemu, musimy Panie kochany, wam pozostawić, którzy albo stoicie u steru, lub zasiadacie w sejmie i radzie państwa. *Videant Consules.*

Masz tedy Pan kochany zamiast listu cały tom; a tego com w nim wypowiedział, tak mało, że aby wyczerpnąć przedmiot, aż strach mię bierze, wiele mnie jeszcze pisać, a Panu czytać przyjdzie. Tymczasem wytchnijmy. Bóg z wami.

Wasz sługa
Ks. H. Jackowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Z piśmiennictwa krajowego.

Ksiądz Waleryan Kalinka przez *Stan. Tarnowskiego*. Kraków. Księgarnia Żupańskiego i Heumanna.

Na ciężkie dni dzisiejsze, książka, której tytuł wypisujemy powyżej, przynosi kordyał prawdziwy, dźwignię serdeczną i najwyższą podnietę, ucząc nas mianowicie, jak nie należy nigdy wątpić ani zwątpić o pożytku i skuteczności pracy najbliższej, usiłowań pojedyńczych, osobistych trudów i poświęceń. Raz więcej w życiu ks. Kalinki spostrzegamy co może jeden człowiek wielkiego serca i silnej woli, ile nie tylko sam zdziałać potrafi, ale jak umie w koło siebie szeregować słabsze siły, zapalać wątlejsze wole, i stanowić zarazem fundament i zwornik każdej budowy rozpoczętej na chwałę Bożą i korzyść bliźnich.

Takich hetmanów wiodących ku dobremu i lepszemu potrzeba nam więcej niż kiedykolwiek, o nich się modlić należy, a z ich przykładu czerpać ochotę do znoju i walki życia... Stąd tak pożądane wizerunki zniknionych wśród powszechnej żałoby postaci. Dłuższa zwłoka w nakreśleniu takowych przysparza zapewnie materyału, pozwala przedmiot wyczerpnąć szczegółowo, ale pierwszy wyraz żalu i osierocenia bywa czasem wymowniejszym, a podobieństwo za świeżej oddane pamięci wierniejszem. Dlatego radzi witamy wczesną biografię ks. Kalinki, pióra p. Stanisława Tarnowskiego, świadka, wielbiciela, a nieraz i uczestnika prac i trudów zmarłego. W szlachetnem uczuciu, iż brak jednego wielkiego i najlepszego,

wynagrodzić należy sojuszem wielu mniejszych, lecz chętnych, spieszy on w głównych rysach podać współczesnym wzór do naśladowania i obraz pełnego zasług zawodu. Atoli bywają życia szersze, umysły wyższe, serca gorętsze, które tak żywo odzwierciadlają spółczesne cierpienia, roboty i nadzieje, że pojedyńcza biografia bądź co bądź wzrasta w dzieje całego pokolenia, w historyę nie tylko jednego człowieka, lecz bodaj i okresu, w jakim mu żyć przypadło. Oczywiście, życie męża tej miary co ks. Kalinka, bardziej od innych splatało się i wplatało w wątek wrażeń i zdarzeń bieżących. Należał do rzędu tych ludzi, którzy nigdy nie zakładają ręce, coraz to innej chwytając się roboty, w miarę jak uprzednia zwaliła się lub splątała.

Przeprowadzając go przez trzy różne okresy niezmordowanej czynności, autor misternie wskazał ów wewnętrzny proces przetrawiania się i dojrzewania, przez który przechodziło u nas tyle wyborowych charakterów. Ogniowa zaiste była to próba, ale też szlachetniejsi czystem złotem z niej wychodzili. Nie jednemu Kalince za młodu paliło się w głowie, nie on jeden wierzył w skuteczność spisków, rewolucyj i zaburzeń. Nie on jeden wytrzeźwiał kosztem najboleśniejszych rozczarowań; wielu innych zawody na dobre obłąkały lub złamały, jego miały one prowadzić coraz dalej i wyżej, uzbroić w hart niezłomny i wyrabiający się wciąż od tej pory rozum polityczny. Po szumiącej młodości, nastąpił twardy okres emigracyi, owej szkoły, która tylu znakomitych ludzi krajowi wychowała i dostarczyła. Pod okiem i przy boku jej kierowników, jął Kalinka się oswajać z arkanami międzynarodowej dyplomacyi. Ale u wstępu nowe znów czekały go zawody. Dość przypomnieć nagle zawarty po wojnie krymskiej pokój, aby wznowić w sercach ludzi tej epoki nie zagojoną ranę, która krwawi się dotąd wspomnieniem odebranego wówczas ciosu. Wszelako i owe złudzenia miały zbawienny na przyszłość wydać owoc. Bliższe zbadanie wschodnich stosunków zbudziło w duszach polskich pierwszą myśl katolickiego na owych kresach zasiewu, któryby południową Słowiańszczyznę ukształcił, pasował na przedmurze zachodniego ducha i wiary, tym razem nie od Islamu i Ordy. „Danem bywa Polakom chwytać z góry rzeczy nie codzienne, wznieść się nad pojęcia ogółu, przeczuć niejako myśl Bożą i tę myśl siłą ducha i łaski nieba w życie

wprowadzać". Słowa te ks. Kalinki w tym właśnie kierunku on sam najszczytniej miał stwierdzić, on już wtedy z pobytu na Wschodzie wyniósł myśl apostolską, która dziś osobną troskliwością papieża Leona XIII. poparta, w szerszych dojrzewa dziełach. Ale nie zaraz miał Kalinka przyłożyć rękę osobistych trudów do tego bożego pługa katolickiej na Wschodzie siejby, któraby świat od zagłady obroniła, gdy przyjdzie godzina spełnienia Jeremiaszowej przepowiedni „że od północy otworzy się złe na wszystkie obywatele ziemi" (Jer. I. 14).

Tymczasem inne jeszcze pole ową pracowitą dłonią uprawianem być miało, niwa dziennikarska, a okres ten czteroletni wydawnictwa *Wiadomości polskich*, jak był jednym z najpłodniejszych w życiu Kalinki, tak należy do najlepiej opracowanych ustępów w jego biografii. Wyraźnie piszący kosztował z owych krynic mądrości i zapału, które tryskały bijącemi ku Polsce źródłami zdrowych zasad i poglądów. Piękne to roczniki najszczytniej zrozumianego apostolstwa nowożytnego za pomocą prasy. Redaktorowie nowego pisma, liczącego zaledwie stu prenumeratorów, dla tej garstki równie sumiennie pracują, jak gdyby do tysiąców odzywać się mieli. W dniach ważniejszej pracy, donioślejszego artykułu, Sakramentami ŚŚ. zasilają się, szukają światła u stóp ołtarzy, ażeby nieść braciom najczystsze tylko ziarno dobrych rad i wskazówek. Jednocześnie owo badanie niebezpieczeństw i pokus współczesnych wiedzie Kalinkę na tory historycznego rachunku sumienia z dawnych win i obłędów. Budzi się w redaktorze dziejopis, zaczyna on budować podwaliny pomnikowego dzieła, które nas poznaniem przeszłości tyle nauczyć miało. Ale tymczasem nowa burza zagrzmiała nad krajem, większe od innych po sobie zostawiając spustoszenie. Wszystko runęło, wszystko się zapadło i przepadło — wszystko — okrom duszy. Duszę tę polską leczyć, ratować, podnosić, oto zadanie jedyne najcięższego znów okresu porozbiorowych dziejów, i ta to myśl, to przeświadczenie wyrabia w Kalince duchowne, zakonne powołanie, „ziemska gorliwość, uczciwa mierność nie wystarcza, trzeba heroizmu cnót", trzeba świętości, bo „nie ma narodu, któryby się nawrócił, lub w wierze utrwalił bez świętych". Własne słowa Kalinki wyjaśniają, na jakie on wyżyny wstępował wraz z poświęceniem się zawodowi kapłańskiemu.

I odtąd rozpoczął się końcowy okres jego życia, apostolska pielgrzymka z Rzymu do Adryanopola, stamtąd do Jarosławia, następnie do Lwowa. Świeże to dzieje, a święta zaiste pamięć, wedle pięknego wyrażenia polskiego, pokrewnego z tem, która nieboszczykom przyznaje odrazu obywatelstwo niebieskie... Pan Tarnowski szerzej omawia dwie przewodnie roboty, dwa główne zadania owych lat ostatnich, w których ks. Kalinka mnożył swe trudy, jakby w przeczuciu, że skrócone życie nie da mu czasu do zebrania wszystkich zasług i plonów, z jakiemi stanąć pragnął przed Panem.

Wytrawny znawca rzeczy polskich, profesor Jagiellońskiej wszechnicy, znakomicie ocenia i rozbiera *Sejm czteroletni*, wskazuje na nowy kierunek nadany historycznym studyom i pracom, pod wpływem Kalinki i Szujskiego, opowiada jaką męką serca dziejopis ostatnich lat Stanisława Augusta okupywał podboje prawdy, dokonywane w dziedzinie najsmutniejszej i najmętniejszej epoki naszej przeszłości, jak nietylko chciał być owej przeszłości malarzem, ale i „spowiednikiem i sędzią“, nie samej ucząc historyi, lecz zarazem „i polityki i katechizmu“, ażeby co było w nas złego poznać, poprawić, wyrzucić z siebie. A obok tego apostolstwa pióra, snuło się apostolstwo czynne, ogarniające wszystkie dziedziny narodowego ducha i pracy, aby wyłączniej poświęcić się Rusinom i tej zawiłej kwestyi, którą jedni nienawiścią chcą rozciąć, drudzy, jak ks. Kalinka, miłością chcą załatwić.

Historya internatu lwowskiego, oraz streszczenie poglądów ks. Kalinki na sprawę bratniego ludu, którego oszańcować katolicyzmem przedewszystkiem trzeba, aby i on sam nie zginął i jeszcze stał się tarczą dla innych, oto co wypełnia ostatnie rozdziały pięknej pracy p. Tarnowskiego, a powiedzielibyśmy, że jak życie apostolskiego męża coraz się wyżej podnosiło, w miarę przybliżania się do kresu, tak i pióro biografa coraz mu lepiej służy, coraz cieplejszem przy końcu ożywione tchnieniem, wymowniejsze z obranego przedmiotu wysnuwa nauki. Jaśniejszego i roztropniejszego przedstawienia kwestyi ruskiej i chrześcijańskiego rozwiązania trudności z nią połączonych, bodaj nie zdarzyło nam się spotkać.

Cóż zaś powiedzieć o prawdziwie wspaniałem domówieniu biografii, w którem skrystalizował się i żal po odchodzącym nas w najcięższej próbie szermierzu, i ból przygodny obecnej chwili,

i pokusy rozpaczne dnia dzisiejszego, zwalczone przypomnieniem słusznych powodów otuchy i nadziei. Znana i uznana powszechnie wymowa hr. Tarnowskiego, chyba nigdy w bardziej porywający nie odezwała się sposób, to też zakończenie życiorysu ks. Kalinki doliczyć można śmiało do najpiękniejszych kart tego niepospolitego pióra. Oczywiście, ostatnie słowo o ks. Kalince przez to jeszcze wypowiedzianem nie zostało. Wczesny biograf musiał z natury rzeczy potrącić o mnóstwo ludzi i rzeczy pobocznych, stworzyć ramy i tło konieczne do naszkicowania postaci współpracownika zrazu, następnie kierownika tylu rozlicznych zadań. Należy nam się jeszcze skądinąd poufniejszy wizerunek męża Bożego, wysnuty z jego korespondencyi i zapisków, z świadectw najbliższych i wspomnień braci zakonnych.

Kiedy Montalembert napisał życiorys przyjaciela, Ojca Lacordaire, niebawem pojawiła się i inna biografia wielkiego Dominikanina, tym razem pióra towarzysza i brata, Ojca Chocarne. Dwie te różnolite prace zlały się w jedną posągową całość. Montalembert przeważnie zewnętrznego dostarczył wizerunku, zewnętrzne ocenił wpływy i dzieła, Ojciec Chocarne wejrzał w tajniki duszy, odnalazł sprężyny ukryte tylu poświęceń i trudów, i odsłonił wewnętrzne dzieje, których tamte były odblaskiem i wynikiem. Życzyć nam tedy podobnego uzupełnienia pracy p. Tarnowskiego, bliższym obrazem zakonnego życia ks. Kalinki, w którym obok wytrawnego historyka i polityka, tkwił mistyk pełen zapału i żądzy świętości. Mistycyzm w dzisiejszym świata ustroju popadł w niełaskę, a jednak pono nic wielkiego zrobić niepodobna bez tego nadprzyrodzonego czynnika, który doczesne życie potęguje wspomnieniem i przeczuciem rzeczy niewidzialnych... Pewien mistycyzm nie odłączny też od zakonnego powołania i poświęcenia, wiadomo zaś jak wysoko ks. Kalinka cenił życie zakonne, jak szczytnie je pojmował, z jaką pokorą za nic ważył osobistą działalność, ubezpieczając ją raczej zbiorowemi współbraci usiłowaniami, w mądrem zrozumieniu, iż zwłaszcza u nas, gdzie wiecznie wszystko stało indywidualną pracą i znaczeniem, nie zaś instytucyami, należy właśnie na instytucyach oprzeć roboty pojedyńczych ludzi, i tem byt ich obwarować. Hr. Tarnowski potrącił zaledwie o poufniejsze strony życia zakonnika, nauczyciela, kierownika młodzieży, lekarza dusz, dość

aby tem żywsze wzniecić pragnienie zbadania ich do gruntu. Ale i szerszemi rysami dokonany wizerunek dziś starczy, by obudzić w czytelnikach gorącą cześć dla znakomitego kapłana-historyka, szczerą wdzięczność dla jego najpierwszego biografa, a co najlepsza, chęć naśladowania podobnych wzorów, tak ofiarą całego życia, jak i każdodzienną pracą, byle współpracować w dziele zbawienia nie tylko własnej duszy, lecz i duszy polskiej, zbiorowej, duszy narodu, podnoszącej się i doskonalącej w miarę przyrostu indywidualnego poświęcenia i uświęcenia, zasługi i posługi, czynności i czystości, do ogólnej sumy i kapitału cnoty, rozumu — i pokuty.

M.

O pracach przygotowawczych do historyi prawa kanonicznego w Polsce. Napisał *Bolesław Ulanowski*. Kraków. 1887 w 8° str. 99.

Powiedziano słusznie, że Kościół katolicki wykołysał, wypielęgnował grube, barbarzyńskie ludy Europy na cywilizowane społeczeństwa i narody dzisiejszej Francyi, Włoch, Anglii, Hiszpanii, Niemiec, Polski i t. d. A nie tylko dogmata jego wzniosłością swoją i pewnością niezbitą dźwignęły rozum tych ludów, dając odpowiedź na zagadnienia najpoważniejsze, na które rozum ludzki odpowiedzi nie miał, albo dawał odpowiedź błędną i fałszywą; nie tylko twarde a piękne, zacne, szlachetne zasady moralne Kościoła, z całym przyborem zewnętrznych praktyk religijnych i sakramentów wpływały potężnie, uświęcająco, na wolę, czyniąc z onych dzikich, srogich barbarzyńców, ludzi łagodnych i miłosiernych; ale cały hierarchiczny ustrój Kościoła, jego prawo wiekami urobione i z grecka kanonicznem zwane, wywierało szczególniejszy wpływ na polityczny ustrój i na prawodawstwo narodowe. I byłaby to jedna z najpiękniejszych, przyznaję, jedna z najtrudniejszych prac, wykazanie jak na podstawie prawa kanonicznego wyrabiały i kształtowały się pierwsze prawa i zwyczaje prawne poszczególnych ludów chrześcijańskich, dopokąd się nie zamieniły w ich stałe prawo narodowe, w konstytucyą, nadającą każdemu narodowi odrębny charakter. Polska, należąc do kompletu państw zachodnich, temuż prawu kanonicznemu zawdzięcza wiele swoich urządzeń prawno-politycznych i sądowych, i dlatego „dla historyi prawa polskiego niezbędnem jest stwierdzenie, jakie prawo kościelne zajmuje w obec ziemskiego prawa stanowisko, jakie urządza stosunki, jak dalece wpływa na rozwój i ukształtowanie się krajowego prawa".

Poważne to i mozolne, ale i ciekawe a pożyteczne studium, dotąd niestety nawet nie napoczęte. Dr. Ulanowski, docent prawa polskiego przy uniwersytecie krakowskim, człowiek młody, konserwatywnych zasad, Kościołowi i duchowieństwu szczerze życzliwy, znany już światu uczonemu z wielu prac ściśle naukowych, poświęcił lat kilka wertowaniu przeróżnych materyałów do kanonicznego prawa; nieszczędząc fatygi i pieniędzy, zwiedził archiwa konsystorskie we wszystkich dzielnicach dawnej Polski, robiąc z nich znaczne wyciągi, a niektóre ważniejsze dokumenta ogłaszając drukiem w publikacyach Akademii umiejętności. Po kilkuletnich tedy, sumiennych studyach przyszedł dr. Ula-

nowski do przekonania, że materyału do badań prawa kanonicznego w Polsce znajduje się w ziemiach naszych podostatkiem, że ten materyał leżał dotąd odłogiem, bo brakło inicyatora; ogrom materyału, ogrom pracy i znaczne koszta wydawnicze mogły przerazić i zrazić wielu; że jednak trudności te dadzą się przezwyciężyć — i powoli wytrwałą pracą kilku lub kilkunastu ludzi, cały ten ogrom materyału da się opanować, obrobić i w VII—X. tomach drukiem ogłosić, z niesłychaną korzyścią dla historyi narodowej, a zwłaszcza dla historyi polskiego prawa ziemskiego, *juris terrestris*. W nadziei, że się pracownicy znajdą, nakreśla Dr. U. plan całej roboty i wydaje rozprawę, której tytuł w nadgłówku położyliśmy. Rozprawa treściwa, krótka, dobrze obmyślana i jasna. Dzieli się na dwie części, część druga zawierająca trzy „dodatki“ służy za komentarz części pierwszej i daje próbkę, jak należałoby ogłaszać dokumenta, i jak one rzeczywiście służą do zrozumienia i praktyki sądowej, i stanu moralnego duchowieństwa, i wpływu kościelnych praw na uobyczajenie ludu. Obok dokumentów podanych w „dodatkach“, umieszcza autor do tekstu 1-ej części liczne notaty, wyjęte przeważnie z ksiąg konsystorskich a dowodzące prawdy twierdzeń jego; słowem: rozprawa to pracowita i sumienna.

Jakiż tedy jest plan tych „prac przygotowawczych“, do których Dr. U. pragnąłby zachęcić i znaleść jak najwięcej robotników? Plan jest ten. Dla zoryentowania się w ogromie materyału należy go rozgatunkować i podzielić na cztery grupy.

I. Statuty synodalne *a*) prowincyonalne, *b*) dyecezalne. II. Księgi sądów kościelnych *a*) acta Episcopalia, *b*) acta officialia. III. Acta actorum capituli, collegiatae. IV. Literatura naukowa i polemiczna (str. 3). Przechodzi następnie każdą grupę z osobna, dając jej charakterystykę i wykazując jej styczność, a tem samem użyteczność z badaniami dziejów Kościoła, sądownictwa, i obyczajów w Polsce, i jakąby metodą zabytki do każdej z osobna grupy należące objaśniać i ogłaszać należało (str. 3—28). Streszczać tego programu nie podobna, bo by wypadło przytoczyć cały, tak jest treściwy.

Ale i studya same, podróże do różnych miejsc, pobyt tamże, a zwłaszcza wydawnictwo odszukanych i obrobionych dokumentów — wszystko to wymaga *nervum rei*, pieniędzy — skąd ich wziąść? Dr. U. zwraca się do duchowieństwa wszystkich dyecezyj dawnej Polski — i słusznie. Ono pracowało dla nauk i pracuje dotąd z niezwykłą gorliwością i natężeniem; nie tylko książki pisze i wydaje, ale je jeszcze kupuje, liczy obecnie kilkunastu (może więcej) uczonych, mogących z najpewniejszem powodzeniem myśl przez nas rzuconą urzeczywistnić, i „słuszna, ażeby wzięło w swe ręce kierunek wydawnictw poświęconych w pierwszej linii źródłom kościelnym“ (str. 29). Niepodobna, ażeby w każdej dyecezyi nie znalazło się kilku księży, zwłaszcza w metropolii mieszkających, którzyby w archiwach dyecezyi dokumenta przejrzeli i relacyę z nich dali komisyi czy komitetowi redakcyjnemu. Komisya taka złożona być powinna z księży profesorów Uniwersytetu krakowskiego i lwowskiego, akademii duchownej i seminaryów, i z świeckich profesorów prawa kanonicznego, których mamy kilku, a są to ludzie zacni, do usług Kościoła gotowi. Znajdą się i poza gronem profesorskiem mężowie do tej pracy redakcyjnej sposobni, byle im materyału dostarczono.

A *nervus rerum*, pieniądze, skąd wydobyć? Dr. U. radzi założyć najprzód czasopismo, ogłaszające stopniowo rezultaty badań archiwalnych. Zeszyt

10 arkuszowy, licząc arkusz druku i honoraryum autorskiego po 50 złr., kosztowałby 500 złr. rocznie. Po niejakim czasie możnaby przystąpić do wydania statutów synodalnych — tom jeden 50 ark. druku (arkusz druku wraz z honor. 40 złr.), kosztowałby 2.000. Inne wydatki 300 złr., razem więc 2.800 złr. (2.500 rubli). Potrzebaby więc 700 abonentów, płacących po 4 złr. rocznie.

Czy podobna, aby na 17 dyecezyj polskich nie znalazło się 700 księży, którzyby skromną kwotę 4 złr. rocznie na cel tak zborny ofiarować mogli i chcieli? Wydawnictwo jako ściśle naukowe, sięgające XV. i XVI. wieku znajdzie wstęp wolny i do prowincyj zakordonowych. Nam się zdaje, że cyfra tu się znajdzie, ale warunek jeden, konieczny tak dla znalezienia dostatecznej liczby abonentów, jak dla przeprowadzenia całego wydawnictwa, warunek, powtarzamy, konieczny, aby Najprzewielebniejsi Księża Biskupi odezwą do swego kleru i pomocą ułatwiającą poszukiwania archiwalne zachęcili duchowieństwo i zainteresowali tą sprawą. Bez tej interwencyi polskiego Episkopatu dzieło najlepiej pomyślane nie uda się.

Ks. Stan. Załęski.

Szkice. Adam Szymański. T. I. Petersburg. 1887.

Bezbrzeżny kraj lodu i śniegu, oświecony zorzą północną, służy za tło dla obrazów p. Szymańskiego, malunek zaś tych obrazów tak prawdziwy, tak przejmujący swym realizmem i plastycznością, że czytelnik oddech tłumi w piersi, aby wsłuchać się w tę ciszę, po której głos nie zatrzymany najlżejszym ruchem powietrza mknie zamieniając się w dźwięki znanej na północy muzyki mrozu, uciszającej się dopiero, gdy wiatry z północy przynoszą lodowe mgławice i zjawisko słupów słonecznych, równie często widzianych w ziemi Jakuckiej, jak nad brzegami w wieczne prawie lody zakutej Leny.

Z ciekawością przewraca czytelnik kartki opisujące nieznane mu ziemie. Czy też o niej snuć nam będzie p. Szymański opowieści swoje...? tak i nie, bo bohaterów szkiców przywiodły w te krainy lodu rozmaite fata. Niedola tylko, straszna niedola, brata tych nieszczęśliwych w wyobraźni autora, który jako dla dzieci jednej matki czuje miłość i współczucie, nie zważając zasługa li, czy też wina tutaj je przywiodły.

Kraj ten straszny, gdzie żywioły wiodą walkę zwycięską z człowiekiem, wywiera na wszystkich zagnanych tam losem wpływ ujemny. Niewinny upada, a przestępca staje się zbrodniarzem. Zesłani do ciężkich robót w kopalniach, skazani powtórnie za przestępstwa tamże popełnione, zaludniają odległe kraje północy bez nadziei najczęściej powrócenia kiedykolwiek pod niebo rodzinne. Mistrzowskiem piórem kreśli p. Szymański te obrazy, a z nich wychylają się postacie realistyczne co prawda, ale prawdziwe, tyle mające swojskości, że żal nad niemi chwyta za serce, które by rade całe współczucie oddać tym nieszczęśliwym jednej matki dzieciom.

Nieznane jednak uczucie nas wstrzymuje, nowy jakiś ból szarpie nam pierś, miota się i żali, niepokój ogarnia. Sami się pytamy, czyby niedola nie miała w nas wywołać nieograniczonego współczucia? Po chwili dopiero myśl różnorodnością wrażeń skołatana przychodzi do wniosku, że idąc za przykładem bohaterów p. Szymańskiego, czytelnik wpadł w zwątpienie, rozpoznając wśród zamętu z trudnością wielką dobre od złego.

Przypatrzmy się bliżej, oto piękny typ Macieja Mazura, wierny jak pies sługa, nie ważący się nawet dotknąć własności wroga i wyjmujący z zasmolonej kieszeni pomiętą trzyrublówkę na ofiarę dla Przenajświętszej, ale zbrodniarz tam znowu, szewc Krawczykowski, zarabiający uczciwie na życie, z bezwiedną o złem naiwnością bierze za towarzyszkę życia piękną sybiraczkę, zawiedziony zabija ją, nie domyślając się winy — czyja wina mówiąc z autorem; dalej żyd, najidealniejszy ze wszystkich żydów, tęskniący za szaremi wróbelkami ojczyzny naszej, kończy wykrzyknikim „o Jehowo, czemuś tak niemiłosierny dla jednego z najwierniejszych Twych synów".

W te to postacie wlewa autor całe pasmo przekonań zaczerpniętych w trujących źródlach zachodu. Wpływ Darwina, Straussa, Renana i innych reprezentantów tej literatury, mieni się w utworach p. Szymańskiego, i rozsypane po książce naleciałości moglibyśmy wybrać jak ziarnka kąkolu. Nie zadając sobie tej mozolnej pracy przytoczymy sobie pierwsze, jakie nam pamięć przywodzi: „człowiek nie jest panem przyrody, ale równy innemu stworzeniu", człowiek nie jest panem swojej woli, bo rozbierając czyn zbrodniczy, pyta autor „czyja wina", każąc nam potem patrzeć w jasne, niewinne, jakby dziecięce oczy bohaterów swoich.

Pomiędzy tem wszystkiem widzimy imię Boga i wiarę prostaczków, którą p. Szymański pozostawił swoim bohaterom, nie chcąc odzierać ich z tej szaty swojskości, która właśnie jest całą ich krasą, prawdą tak nas za serce chwytającą. Na pozór ta przemieszka zwątpienia, wpleciona w te swojskie obrazy, uwydatnia tylko ich zgrozę, lecz my, świadomi źródła, nie możemy nie znać biegu, a tem samem ujścia rzeki, przez którą, po próbkach ledwie sączącego się potoku, spłynąć może cała lawina złego. Powieściopisarzowi czy noweliście nie wolno być szafarzem szkodliwych prądów, które mu łatwiej przychodzi się zaszczepić, jak filozofowi każącemu z trójnoga

Przez ową tak zwaną literaturę lekką, ile to poglądów przekonań nawet wpada do głębi duszy, duszy, która nieraz obronić się nie umie, którąby może znanego Renana lub tp. autora nie wzięła do ręki, a tu jak nieopatrzne ptasze wpada na zastawione sidła.

P. Szymański przystósował swój talent do pewnych pojęć zachodu, tam czerpał swoje filozoficzne poglądy, wyobraźnię jednak miał polską i stworzył szkice, którebyśmy mogli nazwać wyjątkowo pięknemi, gdyby nie owa zaprawa, nad którą myśliciel żalić się musi, wybierając owe ziarna kąkolu.

M. S.

Przechadzki po Rzymie. Wrażenia i wspomnienia przez *A. D.* Lwów. 1888.

W *Noworoczniku Biblioteki rodzinnej*, wydawanej, jak wiadomo, przez księgarnię K. Łukaszewicza, ukrywają się oznaczone w tytule wspomnienia, a choć dla *Noworocznika* nie mała stąd korzyść zapewne, to z drugiej strony uprzedzenie do wszelkich Kalendarzy, gotowo może niejednego zniechęcić do odczytania tych kartek. A byłaby to prawdziwa szkoda! Autorka obawia się, aby książeczki jej nie wzięli do ręki niemiłosierni ludzie i „rozbiorem nie zdyskredytowali, co byłoby nietrudnem"; obawa nie słuszna, bo wiązanka wspomnień, nie tylko „zebranych w celu podniesienia myśli", ale rzeczywiście je

podnoszących i rozgrzewających serca dla prawdy, ani nie skusi, ani nie może skusić, choćby najsurowszego krytyka, do wyszukiwania mozolnie jakichś usterek, co nie tylkoby było niemiłosiernem, ale, zdaniem naszem, bardzo trudnem. Wspomnienia spisane po prostu, stylem łatwym, a co najważniejsza, z wielką miłością dla Rzymu, z nietajoną wdzięcznością dla tej stolicy katolickiego świata, w której pobyt stał się dla piszącej ochłodą w ciężkim żalu, jak popłynęły z serca, tak też do serca trafiają. Niektóre ustępy, jak opis wizyty u O. Semenenko, lub u słynnego Dom Bosco; opis kaplicy naszego św. Stanisława Kostki; o pierwszej komunii polskiego dziecka w podziemiach św. Piotra; o mszy papieskiej, nie wyjdą pewnie prędko z pamięci czytających, a sądząc po miłem, podniosłem uczuciu, którego doznaliśmy sami przebiegając te, to smutne, to rozrzewniające, to czasem żartobliwe stronnice, — czytających powinno być i będzie bardzo wielu.

Ks. Jan Badeni.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Parcival, Faust, Job und einige andere verwandte Dichtungen. *G. Gietmann S. J.* Herder. Freiburg in Br. 1887.

O. Gietmann przygotował do druku wielkie historyczno-literackie dzieło pod tytułem: *Klassische Dichter und Dichtungen* (klasyczni poeci i poezye), którego pierwsza część zajmuje się „zagadką życia ludzkiego, według poetycznego zapatrywania się na nie". Dzieło, którego tytuł w nagłówku podaliśmy, stanowi już drugi tom tego zbioru. Pięć wielkich poematów o życiu ludzkiem, jego celach i zawikłaniach: *Boska komedya Dantego* (o której traktuje w pierwszym tomie), *Parcival*, *Faust*, *Prometeusz* i *Job* stają przed nami. Boska Komedya powstała na gruncie czystych i niczem nie zamąconych zapatrywań na świat, osnutą jest z punktu widzenia teologii i ascezy chrześcijańskiej; Parcival zrodził się z tchnących żywą wiarą, lecz spaczonych pojęć światowca wieków średnich; Faust z antychrześcijańskich poglądów nowożytnego „poganina". Te trzy poemata uosabiają erę chrześcijańską. Prometeusz i Job przenoszą nas w zamierzchłe, starożytne dzieje. Prometeusz przedstawia świadomy bunt człowieka przeciw wyższemu porządkowi i karę, jaką słusznie za to odebrał. Job — wiarę i duchową walkę tej części ludzkości, która całą nadzieję swą położyła w Zbawicielu.

Wolfram von Eschenbach, autor Parcivala, równie dla głębokich swych poglądów, jak i dla śmiałego, moralną myślą uszlachetnionego poetycznego polotu, uważany jest za największego niemieckiego poetę wieków średnich. Na to zgadzają się tak współczesne, jak i późniejsze wieki. W Parcivalu widzimy bohatera, przechodzącego wewnętrzną walkę duchową, jaką mniej więcej każdy większy talent staczać musi. Młody rycerz wyrusza na szukanie materyalnej świętości, która przedstawiać ma alegorycznie moralną świętość każdego chrześcijanina. Trzech rycerzy, których spotyka w drodze, uważa za Boga samego. Pierwszą walkę stacza z Itherem, przeciwnikiem Artusa, króla Bretańskiego, i wychodzi z niej zwycięzko. Dziecinna jego prostota znajduje przy tej sposobności bogaty materyał do pouczenia się i cenne wskazówki do postępowania w dalszem życiu. Do serca jego zawitała miłość, lecz wkrótce opuszcza żonę i na nowo w świat wyrusza. W swej podróży przybywa do twierdzy Grala, której królowa ma na sobie kamień, Gral, mający ten dziwny przymiot, że tylko człowiek żadnym brudem nieskalany, mógł go nosić; że kto stracił dziewiczość, nie mógł nawet się doń zbliżyć. Parcival nie okazał dostatecznego współczucia dla króla złożonego ciężką chorobą i dla tego wypędzają go z twierdzy; nie dość na tem, obrzucają go hańbą, która dumnego rycerza doprowadza prawie do zwątpienia o Bogu. Po blisko sześciu latach smutnych wędrówek, znajduje wreszcie Parcival drogę do Grala. Modli się przed nim i modlitwą swoją wyprasza zdrowie dla starego króla Grala, w miejsce którego sam zostaje królem.

Taka jest treść tego poematu. Najlepszem w nim jest sama mityczna treść podania o Gralu. Prześliczny, barwny opis cudów Grala i świątyni, w której go czczą, dorównuje blaskiem poezyi najpiękniejszym utworom mytologii greckiej, treścią o wiele je przewyższając. Fantazya Helenów nie wznosiła się po nad świat zewnętrzny; podczas gdy podanie o Gralu wszędzie sięga w krainy piękna nadzmysłowego; owiewa nas jakby tchnienie świata wyższego, z którego możemy wnosić o szczęściu, jakiego zażywały ówczesne narody, przeniknięte objawioną sobie przez Boga prawdą o przebywaniu Chrystusa Pana w Najświętszym Sakramencie Ołtarza. I Grecy starali się połączyć ziemię z niebem, lecz spychali

przy tem bóstwa swe do rzędu grzesznych istot ludzkich. Poezya chrześcijańska przekonaną jest o tem, że Bóg jest między ludźmi pod postacią chleba obecny, lecz na to tylko, aby człowieka podnieść do niebiańskiej czystości i doskonałości. Oko poganina nie było w stanie wznieść się ponad ziemię, prawdziwa religia natomiast zdawała się znosić granice pojęć ziemskich, otwierając ludziom niebo.

Jednakowoż dopiero jednolite przeprowadzenie wielkiej jakiej idei może nadać prawdziwemu arcydziełu najwyższą wartość. Niestety, prawie trzecia część poematu tj. 3300 wierszy nie pozostają w ścisłym związku z resztą, skutkiem czego świeckie przygody Parcivala, choć z natury swej mało poetyczne, zamieniają się w główną niejako treść poematu. Charakterystyka pojedyńczych osób wykazuje mnóstwo zalet, chociaż niektóre z nich, jak Gawan, Artus i inne, nie są dość wyraźnie nakreślone. Sztuka obrazowania, gdy chodzi o wykazanie przepychu rycerskiego, jest doskonała, a niektóre sceny, jak np. w twierdzy Grala i przygoda z łóżkiem cudownem, są prawdziwemi arcydziełami. Najwyższa zaleta poematu polega na żywym, wesołym, a nawet lirycznym nastroju Wolframa. Na pomysłach, dowcipie i natchnieniu nigdy poecie nie zbywa.

Z kolei przystępuję do drugiego autora poematu, do Fausta, ewangelii nowożytnych niedowiarków; utworu zaprawionego sporą dozą trucizny, ale bądź co bądź pomyślanego głęboko, wykonanego artystycznie. Wiara i moralność chrześcijańska muszą, niestety! wydać wyrok potępienia na przewodnią myśl Fausta.

Istotnie główny błąd dramatu tego polega na niechrześcijańskim poglądzie na świat, jaki od początku do końca poematu jest aż zbyt widoczny. Treść tego obszernego poematu stanowi wszystko, co człowiek bez wiary, łaski, Kościoła i Zbawiciela myśli i czuje, czego się spodziewa i co miłuje, do czego dąży i zmierza wśród otoczenia chrześcijańskiego świata i jemu na przekór. Brak tu przedewszystkiem jedności dramatycznej i stylistycznej, przytem na pierwszy rzut oka uderza, że pierwsza część do drugiej pozostaje w anormalnym stosunku. Właściwie nawet poemat ten podzielić by można na trzy części, które opisują i opiewają: nieświadome i niepewne popędy młodzieńcze, zmierzające do osiągnięcia jakiegoś

niejasno poznanego ideału; męskie już, lecz jeszcze idealne życie duchowe, zapatrywania starca, którego myśl nie wychodzi po za obręb życia domowego, rodzinnego i zabiegów doczesnych. Pierwsza część ma cechę liryczno-dramatyczną; młodzieniec pełen jest życia i nosi w sobie zaród do dalszego rozwoju; środkowa część poematu jest alegoryczno-dydaktyczną. Powinnaby ona odzwierciedlać kwiat najpiękniejszego duchowego rozwoju, straciła jednakowoż wiele ze swej doskonałości skutkiem drobnostkowego, za ciasnego traktowania przedmiotu, i robi wrażenie sztucznie ożywionego automatu. Trzecia część od ideałów do praktycznego prowadzi życia i pogrąża raczej czytelnika w błoto, niż go wznosi w wyższe sfery. Rozwój wewnętrzny bohatera w rozmaitych okresach jego życia ledwie poruszony i bardzo słabo umotywowany. Faust symboliczny spycha żyjącego w dramacie Fausta na drugi plan, co dramatowi za zaletę poczytanym być nie może. Dla tego Fausta nazwaćby można obrazem świata i jego kultury w dramatycznych ramach, a ponieważ odmalowanie takiego obrazu z wyraźnem wykluczeniem chrześcijańskich pojęć i ideałów było wprost niemożliwem, stąd nie dziw, że nawet pędzel Goethego nie mógł sprostać niepodobieństwu, i zamiast w jedną całość harmonijnie spływającego obrazu, dał nam tylko parę pięknych, oderwanych scen, parę wspaniałych szczegółów, ginących w pewnego rodzaju chaosie. Poeta chciał rozwiązać zagadkę życia; nie rozwiązał jej i nie mógł rozwiązać, bo umysłu jego nie oświecała jasna pochodnia wiary.

Prometeusz podobny to, a przecież bardzo różny typ: odmienne rozwiązanie zagadki. Śmiałek przekroczył zuchwale prawo Boże, i przeto zawisła nad nim ciężka zemsta wszechmocnego raczej niż najmędrszego jestestwa. Wzniosły poemat Pisma św. *Job* zajmuje się pytaniem: „dla czego cierpi sprawiedliwy?“ Pytanie to jest zagadką, której rozum ludzki rozwiązać nie jest w stanie, jeżeli wielkość cierpienia porównujemy z niewinnością i świętobliwością cierpiącego. Rozum jednakowoż w połączeniu z objawieniem dają nam na to wyczerpującą odpowiedź. Księga Joba przedstawia się nam jako wielka tragedya, rozgrywająca się w sercu i umyśle bohatera. Bóg prawdziwy Jehowa, staje w całym majestacie i wielkości, w obec której bożki Eschilesa podobne są do karykatur; słowa Jehowy przewyższają wszystko, co kiedykolwiek najdosko-

nalsza poezya przedstawić jest w stanie. Wiara w prawdziwego Boga rzuca również dobroczynne światło na życie i wszystkie jego stosunki. Podstawą Prometeusza jest fakt pierwotnego szczęścia bez cierpień, a pełna cierpień walka do oswobodzenia się z więzów cielesnych przedstawiona tu w sposób wzruszający. Lecz nie znajdziesz tu odpowiedzi na pytanie, czy ludzie i z innych powodów jak kary za przestępstwa przez tak wielkie cierpienia przechodzić muszą? A gdzież ta silna wiara, która cierpiącego na tym padole pociesza obrazem wiecznej nagrody? Gdzie nauka o modlitwie kojącej cierpienia, o pokornem poznawaniu własnego serca? Gdzie rozwój uczuć, które wywołują w człowieku sarkanie przeciw sprawiedliwości i mądrości Bożej? Gdzie wreszcie dziecięce poddanie się cierpiącego pod władzę równie dobrej jak wszechmocnej i wszechwiedzącej Opatrzności?

Podobnie jak Job, tak i Faust Goethego dąży do rozwiązania zagadek życia, lecz stanąwszy na stanowisku naturalistycznem, nie zna grzechu pierworodnego, nie zna Boga osobowego, do któregoby zanoszono modły o wyjaśnienie tej tajemnicy. Dla tego też Faust ginie pod naciskiem wewnętrznej niewytłumaczonej walki, jaką toczą ze sobą wręcz sobie przeciwne wymagania natury i życia. Jednocześnie coś go ciągnie ku górze i spycha na dół, serce jego ma iść za skłonnościami naturalnemi, a jednak i te w ustawicznej ze sobą pozostają walce. Rzuca się na to lub owo dobro doczesne, wstępuje na drogę zmysłowości, nauki, sztuki, przemysłu. Lecz zawsze zawraca z nich pełen niezadowolenia i dręczy się w ten sposób tak długo, dopóki godzina jego nie wybiła i nie stanął przed bramą niepewnej przyszłości. Puka do niej, lecz nikt mu nie otwiera. Musi zatem poprzestać na czystem przypuszczeniu, że Bóg natury przygotował dla niego na drugim świecie jakiś znośny los; jeżeliby zaś tak być nie miało, to wie, że ze śmiercią przynajmniej cierpienia życia się kończą. Sprzeczności i udręczenia wewnętrzne, jakie przechodzi cierpiący człowiek poszukując szczęśliwości wiecznej, równie wzruszająco przedstawione w Fauscie, jak i w księdze Joba, lecz w Fauscie odpowiedzi na to straszne pytanie losu: skąd to nieszczęście i dla czego? nie znajdziesz do ostatniej strony; w Jobie zagadka ta po krótkiem zawikłaniu zwy-

ciężko rozwiązana, i spokój i szczęście wracają na zawsze do duszy nieszczęśliwego.

Chociaż powyższe streszczenie dostatecznie wyjaśnia stanowisko O. Gietmanna, nie od rzeczy będzie paru uwagami streszczenie to zamknąć. Głównem zadaniem całego tego dzieła jest ocena wymienionych poezyj; mimo to autor przytoczył w krótkości niektóre ich punkta styczne. W księdze Joba okazuje się autor jako wytrawny znawca języka hebrajskiego. Chociaż niektóre objaśnienia jego nie znajdą może ogólnego uznania, to jednakowoż pracę tę z prawdziwą witamy radością. Dotąd historya literatury spoczywała w więzach protestantyzmu. Hettinger i OO. Kreiten i Baumgartner T. J. pierwszy krok uczynili do jej emancypacyi, a O. Gietmann dzieło to godnie prowadzi.

Każdy początek trudny, nie dziw więc, że tym pionierom katolickim w badaniu literatury i jej dziejów nie zbywa i zbywać nie będzie na trudnościach i przeciwnikach; w każdym razie początek zrobiony, a sami nawet niechętni i przeciwnicy przyznają, że początek ten świetnie się przedstawia i świetniejsze jeszcze rokuje nadzieje.

Ks. A. Arndt.

Monarchs I have met. By *W. Beatty Kingston*, 2 vol. London 1887.

Tak często zdarza się nam czytać korespondencye dziennikarskie o prywatnem życiu, upodobaniach i rozmowach głów ukoronowanych, że się dziwić zbytecznie nie będziemy, patrząc na tytuł zapisanej tu książki, — szczególniej gdy dodamy jeszcze, że autor, długoletni korespondent *Daily Telegraph'u* nieraz był wysyłany do stolic zagranicznych dla przypatrywania się z bliska współczesnym faktom i postaciom, mogącym nadać więcej ponęty i blasku łamom politycznego pisma. Dziennikarz też przebija pomiędzy liniami poważniejszej pracy. Stąd świadectwo współczesne p. Kingston nie może być poczytane jako historyczne źródło do biografij współczesnych monarchów: jestto gawęda, zbiór krążących anegdot, opowiedzianych udatnio i budzących zajęcie i przypuszczenie, że i one zawierają zawsze, jeśli nie całą, to choć część jakąś prawdy.

W wspaniałej tej galeryi zamieścił p. Kingston biografie, czy raczej portrety trzech cesarzy: Wilhelma niemieckiego, Franciszka Józefa austryackiego, Maksymiliana meksykańskiego; trzech królów: Wiktora Emanuela i Humberta włoskich, Karola rumuńskiego; Papieża Piusa IX., szacha perskiego Nasr ed Deen; trzech sułtanów: Murada, Abdul Agisa, Abdul Hamida i egipskich kedywów: Izmailego i Tewfika; wyjąwszy szacha, wszystkich monarchów przedstawia p. Kingston w świetle przychylnem, na pierwszym miejscu stawiając

cesarza Wilhelma, o którym wiele podaje szczegółów, zaprawianych zawsze uwielbieniem równie dla militarnych zdolności monarchy, jak dla prostoty cechującej jego obejście.

Sylwetka cesarza Franciszka Józefa wypada daleko mniej udatnie; widocznie uwielbienia swoje zlewa autor na cesarzową Elżbietę, poświęcając jej kilka rozdziałów, sławiących jej uprzejmość i rzadkie wdzięki — przypatrzył się autor austryackiej parze podczas koronacyi węgierskiej 1867 r., opisanej bardzo szczegółowo.

Następnie przechodzimy do portretu królowej poetki, Elżbiety rumuńskiej i Małgorzaty, królowej włoskiej. Do biografii tej ostatniej znowu autor dużo ma szczegółów. Jako naoczny świadek opisuje zaślubiny królowej włoskiej — a jak zawsze — wszystko wie, wszystko widział i słyszał. Podczas ceremonii miał miejsce zabawny szczegół, który pozwalamy sobie przepisać. Wchodząc do sali, gdzie król i obecni wówczas zagraniczni książęta byli zgromadzeni, księżniczka Małgorzata Piemoncka zaczepiła powłoczystą swą ślubną suknię o ostrogi któregoś z oficerów. Zrobiło się zamieszanie, oglądano się za damą dworu, któraby to uszkodzenie stroju poprawiła, gdy w tem książę następca tronu pruski, obecny wówczas przy boku króla Wiktora Emanuela, dąży do księżniczki, z pośpiechem dobywa z kieszeni safianowy *etui*, a przyklękając przed królewską oblubienicą, zręcznie odcina wydobytemi nożyczkami uszkodzoną część sukni. Oddawszy tę przysługę, skłonił się książę głęboko, schował wydobyte *etui* i poważnie na miejsce swoje przy boku królewskim powrócił. Cały dwór przejęty był uwielbieniem dla księcia, a kiedy tegoż dnia wieczór król podziękowanie swoje wyrażał, ks. Fryderyk odrzekł: wszystkie te pochwały należyćby się chyba mogły jedynie praktyczności mojej żony, która dając mi ten *etui*, zawierający nożyczki, igły i guziczki, prosiła, abym go zawsze nosił; dziś zaś, służąc księżnej Małgorzacie, dowiedziałem się, że szczęśliwy jestem mając żonę, która we wszystkiem myśli moje uprzedzić umie".

M. S.

Braunschweigische Schulordnungen von den ältesten Zeiten bis zum Jahre 1818 mit Einleitung, Anmerkungen Glossar und Register. Herausgegeben von prof. *Friedrich Koldewey*, Director des herzoglichen Realgymnasiums in Braunschweig. I. Band. Schulordnungen der Stadt Braunschweig. Berlin 1887.

Sprawa szkół, jak wszędzie tak i w Niemczech, gorące budzi zajęcie. Niedawno temu, na wezwanie historycznej komisyi królewskiej akademii ukazało się źródłowo i krytycznie opracowane dzieło: *Geschichte des Unterichtswesen in Deutschland, von den ältesten Zeiten bis zur Mitte des XIII Jahrhundert*, wydane przez Franciszka Spechta w Sztudgardzie, a oto zaczyna wychodzić nowe dzieło na ogromną skalę pod tytułem: *Monumenta Germaniae pedagogica*, mające być zbiorem rozporządzeń szkolnych, książek i podręczników w nich używanych i pedagogicznych różności z wszystkich krajów niemieckich, pod redakcyą Karola Kehrbacha. Obecny tom, będący częścią tego wielkiego dzieła, zajmuje się tylko szkolnictwem w Brunszwiku, którego opowiada dzieje z załączeniem dokumentów odnośnych. Historya szkolnictwa poczyna się od jedenastego stulecia, a sięga aż po rok 1830. W sposób zupełnie przedmiotowy

kreśli autor jasny, o ile mu to źródła umożliwiły, pogląd na rozwój szkolnictwa średniowiecznego i kończy się uznaniem dla Kościoła, który jak wszędzie w Niemczech tak i w Brunszwiku pierwsze założył szkoły. Drugi dział obejmuje księgi szkolnictwa od czasów reformacyi, aż do zagarnięcia szkół pod świeckie rządy. I tutaj nie brak historycznej objektywności. Autor dalekim będąc od protestanckich przesądów, co w „zacofanem“ średniowieczu widzą tylko wsteczność i ignorancyę, nie waha się wykazywać istotnych wad i braków w szkołach z czasów reformacyi. W dziale trzecim opowiedziane dzieje szkół od r. 1671, aż do westfalskiego pokoju, w którym to okresie trzy dawne szkoły upadają, a świeżo wzniesione, przez coraz to nowe a sprzeczne rozporządzenia, nie mogą dojść do pożądanego rozkwitu. Nie lepiej się dzieje i w czwartym okresie, sięgającym aż do czasu reformy szkół, która przypada w latach 1828—1830. Kilka zakładów naukowych zniesiono, w innych rozporządzenia rządowe wywołały tylko nieład między nauczycielstwem a uczniami.

Dział zawierający dokumenty przynależne krytycznie jest opracowany z dodaniem not bibliograficznych, ułatwiających zrozumienie pojedyńczych aktów. Cytowane tu dokumenty pochodzą przeważnie z lat 1251, 1308, 1370, 1407, 1415—1420, 1442, 1478 i 1483.

S.

Lettere di S. Alfonso Liguori fondatore della Congr. del Ssmo Redentore, *Vescovo di s. Agata de'Goti* e Dottore di s. Chiesa, publicate nel primo Centenario della sua beata morte per un Padre della Stessa Congr. Parte I. Corrispondenza generale. Vol. I. Roma 1887.

Stuletnia rocznica śmierci św. Alfonsa Liguori'ego, w zeszłym roku przypadająca, nie minęła niepostrzeżenie w świecie katolickim. Kilka nowych żywotów, zbiorowe wydanie jego dzieł i artykuły po wielu czasopismach podnoszące wieloraką a znamienitą jego działalność, uczciły godnie rocznicę zgonu wielkiego świętego, Doktora Kościoła i zakonodawcy.

O. Dilgskronn ze Zgromadzenia OO. Redemptorystów, autor obszernego i źródłowo opracowanego żywota swego świętego zakonodawcy, postanowił uczcić tę pamiątkę publikacyą innej jeszcze bogatej, a mało znanej spuścizny po nim, a to listów św. Alfonsa, pełnych—jak wszystkie płody jego pióra—głębokiej mądrości, ascezy i namaszczenia.

W skutek odezwy publicznej po dziennikach i czasopismach otrzymał wiele nieznanych dotąd listów. Zbiór ten powiększył swą zapobiegliwością, i doszedł do poważnej ich liczby, a mimo to, jak wyznaje, nie udało mu się jeszcze wszystkich odszukać, gdyż katalog listów, sporządzony z okazyi procesu kanonizacyjnego, wykazuje, że brakowało trzystu do kompletu. Listy te trojakiego są rodzaju: jedne pisane są do członków zgromadzenia przez świętego założonego, drugie do osób prywatnych, tyczą się prowadzenia ich duchownego, albo dusz im powierzonych, inne wreszcie redagowane w sprawach tak dyecezyi, którą św. Alfons zarządzał, jak wydawnictwa jego dzieł, lub też czysto prywatnej natury. Cały ten bogaty materyał podzielił wydawca na dwa działy: ogólny, obejmujący listy o rozmaitej treści i znaczeniu, pisane do członków swego za-

konu lub do innych osób Bogu poświęconych; a drugi szczegółowy, mający zawierać listy tyczące się biskupiej i naukowej działalności św. Alfonsa.

Pierwszy tom wyszedł niedawno temu z pod prasy i obejmuje w chronologicznym porządku 517 listów świętego, pisanych w latach 1730—1766. Wydanie z wielką troskliwością zostało wykonane, każdego listu oznaczone jest pochodzenie, jako odpisu lub autograffu, nadto notatki historyczne, ułatwiające zrozumienie rzeczy, tekst zaś tam tylko zmieniony, gdzie się konieczna tego potrzeba okazała, a to w nieużywanych dziś prowincyonalizmach. Dodawszy do tego świetność zewnętrzną przyznać musimy, że Zgromadzenie św. Alfonsa godnie uczciło pamiątkę jego zejścia.

B.

Z pism czasowych.

W *Czasie* pod końcem listopada wyszła w odcinku ciekawa odezwa: *W sprawie komentarza rysunkowego do dzieł Adama Mickiewicza.* Autor, hr. K. Przeździecki — o którym powiedziećby można z Telimeną, że jak „malarz Orłowski, ma gust Soplicowski“, gdyż szerokie swe wykształcenie archeologiczne i artystyczne zwraca zawsze z upodobaniem ku rzeczom krajowym — wnosi szczęśliwą myśl, żeby póki czas, póki nie wygasła żywa tradycya rzeczy i ludzi przez Mickiewicza opisywanych, zrobić zbiorowemi siłami kolekcyę wizerunków, miejsc, typów, sprzętów, ubiorów, dworków, zaścianków i wszystkich szczegółów należących do epoki przez Mickiewicza opiewanej, głównie w „Panu Tadeuszu“ i „Dziadach“, ażeby w ten sposób stworzyć nie dowolną ilustracyę, ale realistyczny, obrazowy komentarz z archeologiczną dokładnością wykonany.

„Wiadomo, mówi p. P., że żadna literatura, prócz naszej, nie posiada poematów dziejowych bardziej do Homera zbliżonych, nie przez naśladownictwo, ale przez identyczność źródła natchnienia. Gdzieindziej naśladownicy Iliady lub Odyssei zewnętrzną jej tylko formę pojmowali i przez to samo stanąć nie mogli na wysokości pierwowzoru. Mickiewicz, wielbiciel „pieśni gminnej“, gorącem sercem kochając ojczyznę i okolicę rodzinną, zapragnął postawić im pomnik trwały w poezyi, więc uczynił bezwiednie to samo, co niedościgniony dla zimnych naśladowców Homer. Co archeolodzy ro-

bią dziś dla Homera, zróbmy z pewniejszym skutkiem my, prawie współcześni dla Mickiewicza. Niech doświadczenie przeszłości będzie dla nas nauką, póki czas jeszcze".

Do udziału w wykonaniu projektowanego dzieła wzywa p. P. nie tylko artystów, ale wszystkich miłośników i znawców tych czasów i miejsc, w szczególności tych, co posiadają odpowiednie portrety, albumy z rysunkami, dokumenty familijne i t. p. Kierownictwo całej rzeczy, ułożenie stosownego kwestyonaryusza i inwentarza chciałby p. P. powierzyć Towarzystwu Mickiewiczowskiemu we Lwowie; a na punkt zborny tych materyałów wskazuje Muzeum Narodowe w Krakowie, które już wielki zapas takowych posiada.

Przyklasnąć tylko możemy całem sercem temu projektowi ze wszystkimi jego szczegółami, bo sądzimy istotnie, że należy się od nas ta przysługa, tak dla tej przeszłości uwiecznionej w naszym eposie narodowym, jak i dla przyszłych pokoleń, których ten żywy komentarz ściślej z przeszłością złączy.

W *Nowej Reformie* z d. 7 grudnia był ważny artykuł wstępny: *z Watykanu*, o którym pomówić warto. Przebieg ostatnich zajść między Stolicą św. a rządem włoskim dość wiernie skreślony, ale obecna sytuacya niekoniecznie prawdziwie przedstawiona. *Nowa Reforma* kładzie nacisk na różnicę między kwestyą rzymską, w której chodzi o władzę doczesną, a kwestyą kościelną we Włoszech, w której chodzi o rozmaite zatargi między rządem a Kościołem, o szkoły, o dziesięciny i t. p. Zarzuca zaś *N. Reforma* katolikom włoskim, że te dwie kwestye mieszają, a w ostatnej alokucyi papieskiej upatruje dowód, że sam Papież poczyna te kwestye odróżniać, kiedy żali się na rozmaite nadużycia rządu włoskiego, a o władzy doczesnej wcale nie wspomina.

Ten ostatni dowód doprawdy nieszczególny. Papież w tylu okolicznościach i świeżo jeszcze w liście do kard. Rampolli tak stanowczo sformułował wymaganie władzy doczesnej, iż nie przypuszczał pewnie, by jednorazowe jego przemówienie o innych krzywdach Kościoła dało powód *N. Reformie* do wniosku, że już tamtą

wielką krzywdę z spraw kościelnych wyłącza. Rozgraniczenie, jakie stawia *N. Reforma*, jest niedokładne. Pewna rzecz, że kwestya rzymska nie jest całą sprawą kościelną we Włoszech, ale nie stoi po za nią; kwestya władzy doczesnej jest jedną z kwestyj kościelnych. Jak Kościół pokrzywdzony został przez odebranie mu jego szkół, przez zniesienie dziesięcin bez porozumienia się z nim, tak samo Kościół, jako taki, pokrzywdzony został przez zamach na państwo kościelne i sprowadzenie zwierzchnika Kościoła do stanowiska poddanego: szkoła, utrzymanie kleru, władza doczesna papieży, są to wszystko rzeczy doczesne, należące do praw Kościoła i związane jako narzędzia z jego duchownem i boskiem posłannictwem.

Kościelne czasopismo wychodzące we Lwowie *Bonus Pastor* zamieszcza od pewnego czasu szereg artykułów p. t. *Duchowe podniesienie ludu, napisał ks. B. M.*, dotykających ważnych i wszystkich Polaków bardzo obchodzących kwestyj. Pomiędzy innemi omawia autor obszerniej w jednym z ostatnich numerów wpajanie dzieciom a nawet niemowlętom języka francuskiego, i nie mniej modne, zbyt często niepotrzebne jeżdżenie, a zwłaszcza przesiadywanie za granicą. Umieć tyle po francusku, — konkluduje autor, — aby rozumieć i być rozumianym, to każdemu pożyteczne, ale spędzać długie lata, na ćwiczeniu się w akcencie i wykwintnych zwrotach, to zbytek, którego inne narody już się oduczyły, my tylko go sobie tradycyjnie w Polsce pozwalamy, zabierając podobno zbyt wiele czasu innym ważniejszym, dziś nieraz niezbędnym naukom. Większej jeszcze nagany godnem jest postępowanie tych, co „ani chorzy, „ani oddający się naukom, ani wygnani siedzą latami pod obcem „niebem i to czasami z całą rodziną“. Uwagom tym, wypowiedzianym zresztą bez gniewów i niepotrzebnych frazesów, trudno odmówić słuszności.

Innego rodzaju, ale również ciekawe uwagi pomieściło pokrewne czasopismo *Wiadomości kościelne* w artykułach „Wrażenia z podróży“ podpisanych przez *ks. Dr. A. Trznadla*. Dla tych zwłaszcza co bliżej zajmują się studyami teologicznemi u nas i za gra-

nicą, artykuły te nie mogły minąć niepostrzeżone i istotnie wywołały już pouczającą polemikę.

Rozmaitości.

Kronika rodzinna, pismo poświęcone sprawom społecznym i domowym. Wydawnictwo to, znane już od lat kilkunastu, wychodzić będzie w roku przyszłym 1888 na tychże samych warunkach i w tymże co dotąd kierunku. Zadaniem redakcyi jest: dostarczać czytelnikom wiadomości o sprawach dotyczących praktycznego życia pracy, a mianowicie pracy kobiecej, o której podawała i podawać zamierza możliwie wyczerpujące studya; zwracać baczenie na kwestye interesu ogólnego, czy to w rzeczach naukowych, czy społecznych; zaznajamiać z najnowszemi dziełami w tym zakresie wydawanemi w kraju i za granicą, umieszczając treściwe z nich sprawozdania; dawać wreszcie zarysy ogólnego ruchu naukowego i piśmienniczego wśród ludów cywilizowanych. Mając zdawna zapewnione sobie współpracownictwo odpowiednich sił literackich, zamieszczać będzie i nadal w *Kronice* pogadanki pedagogiczne, wiadomości przyrodnicze ze świata naukowego, wieści polityczne, podróże, powieści i komedye dla teatrów amatorskich, stałe korespondencye z Paryża, Londynu i innych większych miast europejskich, wspomnienia z dawnych czasów, jako to: niewydane listy znakomitych osobistości i pamiętniki udzielane nam z prywatnych archiwów i zbiorów. Z działu tego umieściła pomiędzy innemi w roku 1887 korespondencyę księżny Izabelli Czartoryskiej z synem księciem Adamem, i wyjątki z pamiętnika jej córki ordynatowej Zamoyskiej. Drukować również zamierza w roku przyszłym niewydany pośmiertny rękopis autora „Historyi literatury polskiej“ (*Michała Wiszniewskiego*), korespondencye historyka Teodora Narbutta, opowiadanie Dra Antoniego J. *Szachin Gierej na Podolu*, Kajetana Kraszewskiego *Opowiadania z przeszłości*. Zamieści także dalsze pogadanki w związku z *Kwestyonariuszem Kroniki*, który pobudził czytelników do licznej wymiany myśli. Studya literackie hr. Stanisława Tarnowskiego i hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, drukowane w *Kronice* w ostatnim półroczu, świadczą, że dział ten nie był zaniedbany, i są niejako rękojmią, że podobnie jak wszelkie inne, utrzymanym będzie w takiej jak dotąd mierze. Jako dodatek *bezpłatny* prenumeratorowie otrzymają w roku przyszłym ciekawe *Pamiętniki* z początku b. stulecia, spisane przez autorkę „Wspomnień o Maryi Wesslównie“. W ciągu dwóch lat ostatnich wyszły w dodatkach *bezpłatnych* dwa zajmujące opowiadania z przeszłości, to jest: *Pamiętnik Maryi Wesslówny, królewiczowej Konstantowej Sobieskiej*, oraz *Przygody księcia Marcina Lubomirskiego*, według autentycznych spisane źródeł. Obie powyższe książki są do nabycia w Redakcyi „Kroniki“; nowi zaś prenumeratorowie całoroczni otrzymają jedną z nich do wyboru bezpłatnie, za dodaniem jedynie kop. 30 na przesyłkę pocztową.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kwestya rzymska w delegacyach austryackiej i węgierskiej. — Wiec katolików węgierskich. — Adres wyższej izby Badeńskiej. — Hiszpańska mowa tronowa. — Przejście lorda Lyonsa na łono Kościoła katolickiego.

„Kwestya rzymska nie jest kwestyą międzynarodową, lecz jedynie i wyłącznie same tylko Włochy interesuje“ — oto frazes powtarzany do przesytu w ostatnich kilkunastu latach w dziennikach włoskich, na trybunie parlamentarnej, na wiecach i urzędowych toastach. A przecież, mimo tak częstego powtarzania tej wrzekomej prawdy, nikt jej jakoś nie może uwierzyć, ci co najczęściej ją powtarzają, najmniej podobno jej wierzą; kwestya rzymska przy każdej sposobności staje nie przed Włochami tylko, ale przed całym cywilizowanym światem i natarczywie domaga się rozwiązania. W ostatnich paru tygodniach wystąpiła ta kwestya tam, gdzie dotychczas było o niej głucho i cicho, gdzie zdawało się, że zwłaszcza w dzisiejszych okolicznościach długo jeszcze głucho i cicho być powinno: w delegacyach austryackiej i węgierskiej. Już w komisyi zaprotestował biskup z Grosswardein, Schlauch, przeciw użytemu przez sprawozdawcę Falka frazesowi o „głębokich i powszechnych sympatyach dla Włoch“, zauważając słusznie, że stosunek Włoch do Papiestwa zadaje kłam temu wyrażeniu, zagradza drogę choćby nawet skądinąd zupełnie usprawiedliwionym sympatyom. Na pełnem posiedzeniu węgierskiej delegacyi biskup Schlauch po-

wtórzył i obszerniej rozwinął swój protest w oględnie i roztropnie obmyślanych, ale nie mniej przeto jasnych wyrazach.

„Bezwątpienia, odezwał się biskup, czuję sympatyę dla Włoch „i chętnie ją wyrażam, ale jednocześnie zastrzedz się powinienem „i muszę przed mniemaniem, jakobym wyrażając te sympatye za„pomniał lub zgadzał się na to wszystko, co się dzieje we Wło„szech od lat blisko dwudziestu, na wszystko to, co głowę mego „Kościoła głęboko dotknęło i zasmuciło. Wiem dobrze, że kwestya „ta nie stoi na dzisiejszym porządku dziennym i dla tego nie my„ślę w tej chwili poddać jej głębszemu rozbiorowi. Ale pragnę go„rąco — i niech wolno mi tu będzie wyrazić ożywiającą mię na„dzieję — aby kwestya ta doczekała się wreszcie rozwiązania, które „nie tylko ugruntowałoby nasze przymierze z Włochami, ale uczy„niłoby je o wiele ponętniejszem dla innych i bardzoby je wzmo„gniło. Dante, nieśmiertelny poeta włoski, ujrzał niby w proroczem „natchnieniu, w czasie walk Gwelfów z Gibelinami, przyszłe zjedno„czenie i wielkość Włoch; ale widział to zjednoczenie i tę wielkość „złączone najściślejszymi węzłami z dwoma potęgami tego świata: „z Papiestwem i cesarstwem. Dzisiejsze Włochy, podobnie jak „i Włochy czasów przyszłych, nie mogą z obrachowań swych wy„kluczyć tego najważniejszego czynnika, tej najwyższej na całym „świecie potęgi moralnej; potęgi, której przedstawiciel, posiadający „zupełną niezależność i wolność, tyle mógłby uczynić dla wielkości „Włoch, byłby najpiękniejszą ozdobą pięknego tego kraju, najsil„niejszą gwarancyą jego bezpieczeństwa, najszlachetniejszym powo„dem słusznej narodowej dumy. Moc potęgi moralnej daje i dać „może prawdziwą wielkość; naród włoski dojdzie wreszcie z pewno„ścią do przekonania, że łącząc się ściśle z tą moralną, wszech„światową potęgą, która mimo odrębnego swego charakteru jest „jednak ciałem z jego ciała, krwią z jego krwi: niesłychanie wzmo„gniłby się na zajętem przez siebie stanowisku wielkiego mocarstwa. „Sądzę żem dopełnił szlachetnego obowiązku, zgadzając się na „sprawozdanie komitetu, witając z radością kroki przedsięwzięte na „polu naszej zagranicznej polityki; ale wyrażając otwarcie me prze„konania i zdanie, w którem winną wierność Kościołowi memu łą„czę z szacunkiem dla Włoch“.

Te same zastrzeżenia i te same myśli, które biskup Schlauch

wypowiedział w delegacyi węgierskiej, powtórzył w delegacyi austryackiej opat Benedyktynów, Hauswirth. Węgierscy delegaci przyjęli oklaskami mowę biskupa z Grosswardein, a sam nawet liberalny sprawozdowca Falk zaznaczył z naciskiem, że „cała delega„cya wysłuchała słów biskupich z radoscią i zadowoleniem, i że „nie znajdzie się z pewnością ani jeden członek delegacyi, któryby „nie potrafił uczcić przekonania dostojnego mowcy i przytoczonych „przezeń powodów, które skłoniły go do złożenia tego oświadcze„nia". W delegacyi austryackiej prawica również podziękowała oklaskami opatowi Hauswirth'owi; natomiast członek opozycyi, Demel, wyraził obawę, aby „niepotrzebne zastrzeżenia nie stanęły na przeszkodzie potrzebnemu a pewnemu pokojowi" i zapewnił uroczyście, z pewną, nie kryjącą się a bardzo nie na miejscu ironią, że „chociaż Papież nie posiada władzy świeckiej, ma jednak zapewnione „panowanie i przytułek w sercach wszystkich wiernych, jeżeli tylko „uzna zasady i zdobycze dziewietnastego wieku". Odpowiedź Demla dała katolickiemu mowcy sposobność do ponownego zastrzeżenia się, że nie myśli bynajmniej o osłabianiu traktatów wiążących Austryę z Włochami, i że domagając się niezależności dla Papieża, nie przesądza bynajmniej pytania, w jaki sposób niezależność ta dałaby się osiągnąć.

„Wyraziłem, tłumaczył się niejako Hauswirth, najgorętsze me „życzenie, aby naczelnik Kościoła otrzymał wreszcie — nie kraj „jakiś, nie panowanie — ale spokojną siedzibę i niezawisłe stano„wisko. W jaki sposób dałoby się to przeprowadzić? Praktycznego „tego pytania dotknąć nawet nie chciałem, ale potęga i wielkość „państwa włoskiego nicby na tem nie ucierpiała, gdyby — do „czego bądź co bądź dojść może — zgodzić się chciano na jakiś „sposób umożliwiający Ojcu św. wykonywanie wysokiego poruczo„nego mu zadania bez przeszkód i bez nacisku jakichbądź innych „wpływów".

Trudno było wyrazić się oględniej; możnaby nawet sądzić, że opat Hauswirth, powodując się zresztą bardzo ważnymi względami, za nadto względnie się wyraził; a jednak mowa jego, podobnie jak mowa biskupa Schlaucha, długi czas nie dawała spokoju włoskim i nie włoskim liberałom i wolnomularzom. *Neue Freie Presse* nie wiedząc jak zmniejszyć znaczenie uroczy-

stych tych protestów, dowodziła wbrew oczywistości, a nawet wbrew wywodowi sprawozdawcy Falka, że biskup Schlauch pozostał na polu kwestyi rzymskiej zupełnie odosobnionym, a że nikt mu nie zaprzeczył dlatego jedynie, ponieważ wyraził czysto i wyłącznie osobiste swoje przekonania. Większą wagę przywiązuje żydowski dziennik do słów Hauswirth'a, wypowiedzianych, jak zapewnia, po porozumieniu się z większością parlamentarną. Wroga Papiestwu prasa włoska radaby była okryć głębokiem milczeniem obydwie mowy, tak niemile brzmiące w jej uszach, a gdy się to okazało niepodobnem do uskutecznienia, wpadła w formalny, rzecby można, zabawny chaos. *Riforma* i *Opinione* ledwie dotknęły odnośnych rozpraw w obu delegacyach zapewniając, że nie miały one żadnego znaczenia. *Tribuna* pisała: Nie można zaprzeczyć, że rozprawy te były ważne, znaczące, ale w oczy bije ich bezużyteczność. *Diritto* wystąpił z dyametralnie przeciwnem zdaniem: Rozprawy w delegacyach austryackiej i węgierskiej były bezwątpienia ważne i nowych sił dodały ultramontańskim pretensyom; śmiesznem by było ukrywać niebezpieczeństwa, ukrywające się w tych manifestacyach przeciw urzędowym, zjednoczonym Włochom. W obec tych sprzeczności, w obec głosów, które pytały, czy Austrya zamyśla wysłać swych Kroatów na oswobodzenie Rzymu, i innych które całe to bądź co bądź ważne zajście usiłowały pominąć wzruszając ostentacyjnie ramionami; wyjaśnił najprawdziwiej podobno stanowisko zajęte przez obu mowców i obie delegacye wiedeński *Vaterland:* „Katolicy nie żądają od Austro-Węgier, aby państwo w sprawie „tej miecz swój położyło na szali. Lecz słusznem pragnieniem ich „jest, aby monarchia nasza przyczyniła się do porozumienia między „Papieżem a królem. Polityka, dążąca do pogodzenia Watykanu „z Kwirynałem, nie tylko nie byłaby sprzeczną z naszą przyjaźnią „dla Włoch, lecz owszem, stałaby się bardzo silnym jej wyrazem „i dowodem".

Nie tylko w delegacyach wyrazili katolicy węgierscy co myślą i jak się zapatrują na kwestyę rzymską. Dnia 20 listopada odbył się w Peszcie olbrzymi wiec katolików, zebranych pod przewodnictwem hr. Aleksandra Karolyi, prezesa Stowarzyszenia św. Szczepana, w celu wspólnego odczytania ułożonego przez kardynała prymasa adresu Węgrów do Ojca św., z powodu jubileuszu jego

kapłańskiego i w celu jawnego zamanifestowania łączności, jednoczącej Węgry i stolicę węgierską ze stolicą Apostolską. Prócz duchowieństwa, magnatów i pań z najwyższej arystokracyi przybyli na wiec liczni radcy miejscy i obaj burmistrze Budapesztu: Kamermeyer i Gerloczy. Adres do Ojca św. ułożony w słowach podniosłych a gorących, wyliczający wszystkie dobrodziejstwa, jakie spłynęły z Rzymu na zawsze wierne Rzymowi Węgry, wywołał niesłychany entuzyazm. Nie było zwłaszcza końca okrzykom i oklaskom przy odczytaniu ustępu odnoszącego się do świeckiej władzy Papieża:

„Nie masz nikogo, coby nie spoglądał z trwogą na coraz „straszniejsze chmury zaciemniające widnokrąg; lecz my ze spokojem, „który dać może tylko głębokie przekonanie, twierdzimy i wołamy: „Dopóki niesprawiedliwość popełniona przeciw świętej, apostolskiej „stolicy nie zostanie cofniętą i naprawioną, wszystkie próby, starania i zamysły, dążące do utrwalenia powszechnego pokoju z góry „są skazane na bezpłodność i bezskuteczność. Zamieszanie i przewrót są wyłącznie dziełem człowieka; porządek i spokój są wyłącznie dziełem Bożem... Nie szukasz, Ojcze św., zewnętrznego „blasku panowania, ale żądasz wolności, bezprawnie Ci wydartej; „żądasz bezpieczeństwa i niezależności dla wzniosłej, w czysto na„wet społecznym porządku tak niezbędnej władzy papieskiej. Nie „pragniesz panować nad książętami i ludami; ale pragniesz, aby „Chrystus Pan, Syn Boży i prawda Jego, kierowała i rządziła na„rodami dla własnego ich zbawienia. Bezustannem Twem pragnie„niem i dążeniem jest: nikogo nie uniżać, a wszystkich podnosić; „nikomu nie szkodzić, a wszystkim być użytecznym..."

Nadzwyczajny zapał, wywołany temi słowami w całem zgromadzeniu, wycisnął nawet na *Neue Freie Presse* wyznanie, że każde słowo adresu, odnoszące się do niepodległości papieskiej przygłuszone było niekończącymi się oklaskami. Ale entuzyazm doszedł do zenitu, kiedy hrabia Ferdynand Zichy, złożywszy prymasowi należne podziękowanie za ułożenie adresu, oświadczył z naciskiem, że katolicy węgierscy wespół z milionami i milionami katolików wszystkich krajów i ludów proszą i domagają się wolności i niezależności dla głowy swego Kościoła. W tej chwili okazała się w całym blasku prawda słów wyrażonych w adresie, że naród węgierski, mimo

i wbrew kilku odstępcom i garstce obojętnych, nie zapomniał na historyę, przypominającą mu na każdej karcie, ile winien Kościołowi i Papiestwu, „nie podał Ojcu swojemu kielicha goryczy; żywą „wdzięczność dla świętej, rzymskiej stolicy w sercu dochował i do„chowuje".

Na innem, odpowiedniejszem mijscu, daje *Przegląd* krótki rzut oka na uroczystości jubileuszowe, których Rzym i świat cały stał się od kilku miesięcy widownią. Dla tego nie pomówimy już tutaj obszerniej, ani o wspaniałej pielgrzymce węgierskiej, — nowem świadectwie głębokiego przywiązania do Kościoła korony św. Szczepana; ani o uroczystościach na cześć Papieża urządzonych w całej niemal Austryi w dzień Niepokalanego Poczęcia, o tryumfalnym pochodzie w Insbruku, ani o życzeniach złożonych Ojcu św. za jednomyślną przez sejm Dolnej Austryi i wiedeńską Radę miejską. „Wiedeń staje się chrześcijańskim", — pisał z nietajoną radością, ale zarazem i podziwem jeden z katolickich austryackich dzienników, nazajutrz po tej uchwale, a nie do jednego tylko Wiednia słowa te dałyby się zastosować. Jubileusz papieski w niejednem miejscu, w niejednej prowincyi i kraju nawet, jakby zbudził z uśpienia drzemiące katolickie życie; tam, gdzie nieraz sądząc po powierzchni zdawaćby się mogło, że duch niewiary i obojętności wszechwładnie panuje, okazało się teraz, że to tylko sztuczna, zewnętrzna skorupa, pod którą żarzy się nie iskra, lecz potężny płomień wiary i miłości dla Boga, Kościoła i najwyższego rządzcy Kościoła na ziemi.

Parlament Wiel. Księstwa Badeńskiego zajmuje się żywo uregulowaniem wzajemnych stosunków między państwem a Kościołem. Wyższa izba badeńska w odpowiedzi na mowę tronową, zapowiadająca szereg ważnych kroków w tym względzie, umieściła następujący ustęp w adresie do tronu, a co ważniejsza, umieściła go za jednomyślną zgodą:

„I my również poznajemy i rozumiemy, jak płodnym w błо„gie następstwa jest stan rzeczy, w którym społeczeństwa religijne „pracują w rozumnej zgodzie wespół z państwem, dla osiągnięcia „najwyższych celów ludzkości. Cieszymy się, że w całym kraju czuć „się daje prąd pokojowy w tym kierunku. Wyrażamy naszą nadzieję, „że obecnie, kiedy arcybiskupstwo Fryburskie zostało już obsadzonem,

„mądrość rządu potrafi, za porozumieniem się z parlamentem, oprzeć „na trwałych i zadowalniających podstawach stosunki prawne Ko- „ścioła katolickiego z państwem".

Jak w badeńskim adresie do tronu, tak niemniej pięknie, a jeszcze może jaśniej przebija właściwe zrozumienie, jakim powinien być stosunek państwa do Kościoła, w hiszpańskiej mowie tronowej.

„Codzień większą wdzięczność, mówiła otwierając kortezy „królowa Marya-Chrystyna, winną jestem Ojcu świętemu za coraz „nowe dowody szacunku dla naszego kraju, miłości dla mnie i dla „dostojnego mego syna. Potężnie to przyczynia się do utrzymania „między Stolicą św. a rządem hiszpańskim owych ścisłych stosun- „ków, tak korzystnych równie dla Kościoła, jak i dla państwa".

Trudno lepiej zamknąć to wyjątkowo tym razem pomyślnie brzmiące, rzecby można jubileuszowe sprawozdanie, jak krótką wzmianką o nawróceniu się do prawdziwej wiary słynnego w dyplomacyi europejskiej lorda Lyonsa. Dawny ten ambasador angielski w Paryżu, serdeczny przyjaciel i krewny księcia Norfolkskiego, zwrócił się od pewnego czasu do poważnych studyów nad religią, i uczęszczać zaczął regularnie na Mszę św. do katolickich kościołów. Tymczasem, zanim lord Lyons mógł spełnić swój zamiar, z którym przed znajomymi bynajmniej się nie krył, i zrobić uroczyste wyznanie wiary, przyszła ostatnia choroba. Na łożu więc dopiero śmiertelnem został lord Lyons przyjęty na łono katolickiego Kościoła przez dawnego swego przyjaciela, a w ostatnich czasach powiernika swych studyów i zamiarów, biskupa z Southwark, a w niewiele godzin po tym akcie, opatrzony ŚŚ. Sakramentami, świat ten pożegnał. Jeśli wierzyć doniesieniom dzienników *Figaro* i *Débats*, lord Lyons, gdyby był żył dłużej, miał zająć stanowisko angielskiego pełnomocnika w Watykanie. Też same dzienniki zapewniają, że książe Norfolkski, który w połowie stycznia stanąć ma w Rzymie, wiezie ze sobą bardzo ważne propozycye odnośne do uregulowania i ustalenia przyjaznych i dyplomatycznych stosunków między Watykanem a gabinetem londyńskim. Jeśli wiadomość ta się sprawdzi, będzie to z pewnością dla Ojca św. jeden z najmilszych i najcenniejszych darów, ofiarowanych mu w dzień jego kapłańskiego jubileuszu.

Ks. Jan Badeni.

Wspomnienie z Wrocławia.

Skarbiec katedralny. — Nowo odkryte pomniki biskupów wrocławskich.

Wracając przed kilku dniami do Krakowa przez Wrocław spotkało mnie szczęście nie marzone nawet, a przyjemność nie spodziewana całkiem. Mając kilka godzin wolnego czasu zaszedłem do katedry wrocławskiej, aby się pomodlić, i kilka jeszcze małych zaznaczyć szczegółów odnoszących się do nowo odkrytych nagrobków biskupich z XIV. i XV. wieku. Sprawy te załatwiwszy, nie ośmieliwszy się zapytać nawet, czy jest rzeczą możliwą obejrzeć skarbiec katedralny, wiedziałem albowiem skąd inąd, że ten dla szczególniejszych tylko względów i w bardzo wyjątkowych razach pokazywany bywa; wiedząc, że o skarbcu katedralnym, we wszystkich monografiach i źródłowych dziełach prawie głuche jest milczenie, zaczepiony zostałem dobrotliwie od ks. kustosza kościoła katedralnego, czy nie chciałbym widzieć nieco pamiątek skarbcowych. Łaska nie mogła być dla mnie większa, a radość moja pożądańszą być nie mogła.

Dwa są na ziemi polskiej skarbce kościelne najdroższe, najzacniejsze: Częstochowski na Jasnej górze, i krakowski w katedrze na Wawelu. Oba miłującym rzeczy ojczyste a pamiątki przeszłości minionej znane są — ale przez oba te skarbce w różnych przygodach ojczyzny naszej przeszły straszne burze, rabunki wielkie, zniszczenie i ogołocenie ogromne, że dziś co zostało w nich, to tylko resztki słabiuchne, lecz i to co zostało, to do cudów opatrzności Bożej liczyć trzeba.

Tak smutne losy nie dotknęły pono skarbca katedry wrocławskiej, a świadczy o tem najwymowniej bogactwo zabytków skarbcowych, jakie znajdują się tam dotąd z różnych epok, a zachowane są pod troskliwą opieką kapituły i czcigodnego kustosza tych skarbów ks. Bystrego.

Owóż co widziałem w tym skarbcu najszczęśliwszem dla mnie zdarzeniem — niestety nie dłużej jak jednę godzinę, opiszę, tym radośniej, że jak mi oświadczono nie egzystuje dotąd żadna publikacya naukowa rzeczy skarbcowych. W katedrze wrocławskiej wła-

ściwie dwa znajdują się skarbce — jeden zachowany jest w zakrystyi kanonickiej, drugi za kaplicą św. Elżbiety fundowanej przed dwustu laty przez księcia biskupa wrocławskiego kardynała Fryderyka księcia Hessen Darmsztackiego. W skarbcu pierwszym w gotyckiej szafie w dwunastu szafkach dla każdego z prałatów i kanoników pomieszczone są starożytne kielichy gotyckie i renesansowe, jeden od drugiego piękniejszy a utrzymane tak, jakby dziś dopiero do służby Bożej przeznaczone były, a nic w tem dziwnego bo jest z czego wybierać, bo na sprawianie coraz nowych istnieje fundusz szczodrobliwy z zapisu biskupa sufragana Baltazara Litsch. Najpiękniejsze jednak kielichy są w środkowej szafce na liczbie trzynastej do celebry księcia biskupa wrocławskiego, z których jeden z XVII. wieku cudnie emaliowany arcydziełem jest sztuki złotniczej. Drugi wytworny stylu gotyckiego.

Oprócz wyżej wymienionych kielichów w drugiej wielkiej szafie skarbcowej, jest złoty kielich z XV. wieku dar kanonika Jana Hofmana († 1500); drugi włoskiej roboty kanonika Sauer († 1518) trzeci z drugiej połowy XV. wieku, wszystkie bardzo ozdobne i z bardzo pięknie dochowaną emalją. Osobliwy tu jest także kielich wielkoczwartkowy z roku 1400, *Speisekelch für Gründonnerstag*, jak mi go nazwano, z gotyckim napisem: *Der Kelch hat 6 Marck und 13 lot und hat ein XXI. Gulden Golt* (sic) i ten bodaj czy nie najstarszy, a w każdym razie najrzadszy i najcenniejszy. Z nowszych których jest wiele, najwyżej stawiam kielich wykonany w Monachium a ofiarowany przez króla bawarskiego księciu biskupowi Dieppenbrock. Imiona same, to jest ofiarodawcy i udarowanego wystarczą wyobraźni jakiej jest wartości artystycznej i realnej ta piękna pamiątka!

Z monstrancyj tu znajdujących się, jednej się tylko bliżej przyjrzałem, jest szczerozłota, ciężka a osobliwa w całem znaczeniu tem, choć nie powiem, że przez to piękną jest, iż cała jest zaemaliowana, skąd wygląda na oko jakby była z porcelany, wartość jej wielką podnosi krzyż brylantowy biskupi, zawieszony na złotym łańcuchu, dar jeśli się nie mylę, biskupa Turso († 1520).

Z innych skarbcowych przedmiotów tu przechowywanych, zwracam jeszcze, przynajmniej na niektóre, osobliwszą uwagę. I tak jest tu najprzód wspaniałe *tabernaculum*, odkute artystycznie

ze srebrnych blach w stylu *rococo*. Srebrne *antependium*, szlachetnie wykonane przez augsburgskich złotników w końcu XVII. stulecia *(getriebene Arbeit)* z historyą ścięcia św. Jana, wysokie jest 1 metr, szerokie 3 metry, a waży przeszło 2 centnary.

Szczególniejszego pomysłu kanony na wielki ołtarz w odkuwanych srebrnych ramach miejscami bogato złoconych, na srebrnych czysto wypolerowanych blachach, to wszystko co my mamy zwykle drukowane na papierze lub pergaminie, tu jest rylcem wyryte i nielowane na czarno. W trzeciej szafie zachowana jest szczerozłota statua św. Jana Ewangelisty z XVI. wieku z nader ozdobną emaliowaną podstawą.

Cztery statuy srebrne — św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangelisty, św. Jadwigi i św. Wincentego wszystkie prawie naturalnej wielkości, robota złotnicza odkuwana z XVII. wieku stylowo i szlachetnie wykuwane. *(getriebene Arbeit)*.

Dwa biskupie *lavabo* to jest tace z nalewkami, z których jedna ozdobiona jest pysznymi dwunastu medalionami bitymi, roboty niewątpliwie włoskiej i to z najśliczniejszej epoki odrodzenia. Tu wymieniam jeszcze choćby ogólnikowo mszały w srebro okute, dwa piękne pastorały biskupie, śliczne turybularze i łódki, kilka garniturów srebrnych złoconych ampułek z takiemiż tackami, starożytne lichtarze i lichtarzyki *buggia*, dzwonki i różne srebrne blachy jedne w wypukłorzeźbie, drugie ryte i cyzelowane.

Tu także szczególniejszy znajduje się portatyl z najszlachetniejszego marmuru włoskiego oprawny w srebrną złoconą blachę grawirowaną. Portatyl ten służył niegdyś jak mi mówiono, za podstawkę do monstrancyi. Jest to zabytek z XV. wieku, wewnątrz znajduje się maleńka książeczka na której spisane są charakterem gotyckim początki czterech ewangelii, a jest tam zaznaczony i ten, który to pisać kazał i ten kto pisał, przepomniałem nazwiska a rok tylko pomnę 1417.

Skarbiec drugi mieści się przy kaplicy św. Elżbiety. Szaf tam jest 4 lecz ja jednę widziałem tylko. W największej gotyckiej szafie poczet nagromadzonych pamiątek i zabytków tak jest liczny, że wyliczyć wszystkie z pamięci, bo do notat czasu nie było, nie potrafię co jednak pamiętam i zanotowałem w drodze, wyliczę:

Wspaniały srebrny krzyż ołtarzowy wysoki najmniej dwa me-

try okryty jest cały filigranową ornamentacyą florencką na kształt koronki, wyrobioną ze złota i srebra, miejscami emaliowaną i drogiemi ozdobioną kamieniami. Sam ten krzyż, gdyby nad nim zrobić było można studya naukowe a opisać go i zrysować choć niektóre ornamenta, znakomitym byłby przedmiotem do rozprawy, cenne zajmującej miejsce w historyi sztuki.

Drugi tej samej wielkości krzyż ołtarzowy czarny hebanowy bez żadnych ozdób, ma wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela Pana, z kości słoniowej wykonany z takim artyzmem i techniką, niewątpliwie w XVI. wieku, że gdy przed kilku laty ks. Dudik oglądał ten zabytek, miał oświadczyć, że to perła całego skarbca. Inny osobliwszy krzyż na którym wizerunek Zbawiciela Pana wyrzeźbiony jest i wyszlifowany z kryształu górnego, lśni się jak kamień drogi, dar to biskupa Marcina z 1585 r.

Inny znowu krzyż koralowy z wielkich egzemplarzy korali, ma wyrzeźbiony wizerunek Zbawiciela Pana i postacie św. Jana i Najświętszej Panny. Na podstawie tego krzyża jest napis: *Me fecit Spatorius Panormitanus 1682.*

Z relikwiarzy zauważyłem trzy dla nas drogie pamiątki. Relikwiarz św. Stanisława ze statuetką jego z 1465, św. Czesława z XV. wieku i św. Jadwigi z roku 1607. A nadto osobliwszy św. Jana Chrzciciela patrona katedry. Na wielkiej srebrnej złoconej misie głowa św. Jana naturalnej wielkości, arcydzieło pod względem wykonania i expressyi, na brzegu tacy biegnie napis, w tej treści, że relikwiarz ten wykonany został w Pradze roku 1611.

Cztery skrzyneczkowe relikwiarze apostołów. Dwa w formie ołtarzyków hebanowe w stylu odrodzenia, wykładane i ozdabiane srebrem, złotem, emalją. Inny złoty relikwiarz z rączką św. Jana w końcu kilka gotyckich pektorałów, z tych jeden emaljowany *(cloisonné)* z XIV. wieku; drugi przedstawiający pokłon trzech Króli z XVI. wieku.

Tyle o argenteryach. Z aparamentów kościelnych starożytnych widziałem nie wiele, dwie w stylu gotyckim mitry biskupie, robota czasów dzisiejszych, dwie czy trzy bardzo kosztowne stuły biskupie także nie stare, a kilka kompletnych bogatych garniturów do celebry biskupiej nie przechodziły XVIII. wieku.

Nowożytnych za to apparatów ogrom jest, a wszystkie jakby

dziś sprawione i faktycznie tak jest, objaśniono mnie bowiem, że uposażenie zakrystyi jest bardzo zasobne, że każdego niemal roku sprawiają się całe jednolite garnitury apparatów i jednostajnych ornatów, z procentów od znacznego kapitału, zostawionego przez biskupa sufragana Baltazara Lisch, których na inny cel obrócić nie wolno. Po sprawieniu więc dla katedry nowych apparatów i garniturów, te co używały się przez kilka lat zaledwo, rozdają się nie tylko biedniejszym ale i bogatszym kościołom całej dyecezyi.

To pobieżne zanotowanie i to przeważnie z pamięci tylko tych bogactw, jakie mieści skarbiec katedralny w Wrocławiu, każdy obznajmiony z przedmiotem przyzna, że jest niedostateczne dla tych, co interesują się sztuką i radziby coś więcej wiedzieć o tych cennych zabytkach, na teraz jednak i to wystarczyć musi, nie do nas bowiem należy dokładne naukowe opisanie skarbca katedralnego, ale do tych, co lepszą ku temu mają sposobność na miejscu a i środki po temu. O ile wiem, w tej mierze pierwszy przełamałem lody, a jak mną powodowała nie ciekawość tylko, ale cześć dla pamiątek i cel naukowy tak i w przyszłości, trzeba będzie nie na suchem tylko zregestrowaniu poprzestać, ale opis naukowy poprzeć odpowiednimi rysunkami.

Dziełem takim obdarzyłby był niewątpliwie historyę sztuki, zawcześnie niestety zmarły dla nauki Dr. Hermann Luchs. Średniowieczne pomniki szląskie wydane przez niego, rokowały, że z równą miłością a znajomością przedmiotu, zajmie się opisem zabytków skarbcowych szląskich, od katedry zaczynając. Śmierć jednakże nie użyta, przecięła pasmo dni pracowitego żywota właśnie na początku bieżącego roku.

Notatkę o skarbcu katedry wrocławskiej zamykam innym szczegółem, dla którego właściwie byłem w tym przesławnym tumie.

W miesiącu październiku ku pamięci zmarłego księcia biskupa wrocławskiego Dra Roberta Hertzoga, miała być położona w katedrze płyta marmurowa z odpowiednim napisem umieszczona zaś być miała w samym środku presbiteryum. Płyta rzeczona została przygotowana, która gdy nawiasem mówiąc ze wszystkich na pawimencie znajdujących się w katedrze wrocławskiej, jest najpiękniejsza, słów kilka poświęcić jej należy.

Płyta sama wykonana jest z najpiękniejszego szląskiego alabastrowego marmuru, wypolerowana jak źwierciadło, ma w około szeroki ornament gotycki, arabesk z wpuszczanego w marmur złoconego bronzu w kwiatony czarno nielowane, w pośrodku zaś lapidarny napis charakterem gotyckim w pięciu wierszach:

Robertus Hertzog
Princ. Epus Vratislav.
Natus XVII. Febr. 1823.
Obiit XXVI. Decembr. 1886.
R. I. P.

Litera każda złocona i wpuszczona do równi z płaszczyzną płyty, wdzięczną oku przedstawia intarsyą, która w praktycznem zastósowaniu górą stoi po nad praktykowane dotąd w głąb ryte napisy i po nad wypukłe litery przyczepiane do powierzchni płyty marmurowej. Owóż chcąc umieścić tak przygotowany kamień nagrobny, dla zmarłego księcia biskupa w miejscu obranem przez kapitułę, potrzeba było wyjąć kilka metrów kwadratowych posadzki marmurowej w presbiteryum. Stało się to, aż tu naraz pod pawimentem dostrzeżono drugą posadzkę, a w niej trzy starożytne pomniki, kamienie grobowe — a gdy po bliższem rozpatrzeniu się odczytano, że dwa z nich należą do biskupów wrocławskich: Nankera zmarłego r. 1341 i Jodoha zmarłego r. 1467, a trzeci jest biskupa lubuskiego Stefana, zdecydowano wydobyć je z pawimentu, a potem z niemi postanowić coś odpowiedniejszego.

Dnia 12 października przejeżdżając przez Wrocław, znalazłem je już wydobyte z pawimentu a oparte o ścianę w bocznych nawach katedry.

Wszystkie te nagrobkowe płyty wykute są z kamienia piaskowego, wysokie mniej więcej na dwa metry przy odpowiedniej szerokości, a wykonane w ten sposób, że w każdym postać biskupa wyryta jest na płycie bronzowej i ta do równości płaszczyzny kamienia w kamień jest wpuszczona — dziś te rysy na metalu, czas zatarł prawie zupełnie, co do napisów, te także złożone z pojedyńczych liter metalowych, w głąb kamienia wpuszczanych, aczkolwiek wiele z nich już powypadało, dadzą się jeszcze prawie w zupełności odczytać.

Opisujemy najprzód pierwszy kamień grobowy biskupa Nankera. Figura cała w pontyfikalnym stroju, ale rysy twarzy i ornamentacyi zatarte. W około gotykiem XIV. wieku, majuskułami czytamy czterowiersz łaciński w jednym ciągu bez przedziału i wierszy i wyrazów tak brzmiący:

Presul Nankerus electus Cracoviensis
Occidit hic verus translat. (us) Wratislaviensis
Mille trecentenis annis primo quadragenis
In festo pasche. Deus hunc super ethere pasce.

Data zgonu biskupa Nankera we wszystkich źródłach najdawniejszych wspominana nie jest ściśle ustalona, jedne źródła podają 10 kwietnia, drugie 11, a trzecie Wielki Piątek 1341 to jest 6 kwietnia. I tak kronika książąt polskich *(Monum. hist. pol. III.* raz podaje *IV. Idus Aprilis* to jest 10 kwietnia pag. 522, drugi raz toż samo źródło pag. 549 *III. Idus Aprilis* a więc 11 kwietnia. Za pierwszą datą *IV. Idus Aprilis* 10 kwietnia są takie źródła: kalend. krak. w Monum. Biel. II. 919. Tamże kronika szląska skrócona III. 731. Długusz *Vitae episc. Vratisl.* editio 1887, pag. 467 i *Histor. Pol.* III. 200. Wattenbach *Monum. Lubensia* p. 42. Za datą 11 kwietnia oprócz kroniki książąt pols. *Bielow. III. 549* jest jeszcze kalendarz Władysławski *Bielow. II. 942.* Nowo odkryty kamień grobowy Nankera inną odkrywa nam datę zgonu jego, to jest sam dzień Wielkiejnocy czyli 8 kwietnia. Napis pomnikowy przytoczony przez nas zamieszczony jest także przez Jana Heyne *Dokumentirte Geschichte des Bisthums Breslau* I pag. 807 z dodatkiem roku MCCCXXXXI., której na płycie grobowej niema. Natomiast nikt nie podaje drugiego jeszcze napisu, który zamieszczono na płycie Nankera wtedy, kiedy zwłoki jego wyjęto z grobu w presbiteryum, a przeniesiono do zakrystyi kanonickiej i złożono je tamże pod mensą. Napis ten ryty inicyałkami, tak brzmi: *Anno 1710 die 15 Martii ex cons...* (consilio vel consensu) *Capituli ossa Nankeri episcopi fama sanctitatis et fortitudinis ecclesiastice conspicui hinc levata et alio translata ut Acta cap.* (capituli testantur). Tam zaś, gdzie obecnie zachowane są zwłoki jego, na marmurowej tablicy jest wyryty napis: *Nankerus epus vratislavien obiit anno MCCCXLI in hoc loco sepultus.*

To przeniesienie zwłok biskupa Nankera z krypty pod presbiteryum, gdzie byli chowani biskupi do osobnego grobku w zakrystyi, miało miejsce pewnie dlatego, że o nim współczesne kroniki zanotowały, iż umarł *in odore sanctitatis.*

W dziejach kościoła polskiego śliczną jest postać biskupa Nankera — był Polak, pochodził z rodziny Werszowców h. Oksza, młodość swą i nauki przebył w Krakowie, i tu także rozpoczął karyerę duchowną w r. 1320, zostawszy biskupem krakowskim — tego zaraz roku odbył synod dyecezyalny, na którym ogłosił nader ważne statuty synodalne, dotąd jako najdawniejsze przechowane szczęśliwie. Zastawszy kościół katedralny zniszczony pożarem 1305 roku, odbudowanie onego rozpoczął od fundamentów. Gorliwy obrońca praw Kościoła i własności kościelnej, wszedłszy w konflikt z królem Władysławem Łokietkiem, chętnie przeniósł się r. 1326 na wakujące biskupstwo wrocławskie. Tu jednak na gorsze jeszcze natrafił zatargi z władzą świecką, najprzód z Henrykiem VI. księciem wrocławskim, potem z Bolkiem księciem na Münsterbergu, a w końcu z Janem królem czeskim, na którego gdy rzucił klątwę kościelną, schronić się przed nim musiał do Nissy, tam w wielki piątek roku 1341 po odprawionem nabożeństwie, obszedłszy pobożnie i boso wszystkie kościoły — zapadł na zdrowiu, a jak piszą kroniki szląskie z rozkazu Jana króla czeskiego, otruty zszedł z tego świata w sam dzień Wielkiej nocy r. 1341, tj. 8 kwietnia. Na pomniku widne są nieco ślady wizerunku jego, które porównane z pieczęciami jego posłużyłyby do odtworzenia rysów tak znakomitego w kościele polskim biskupa. Heyne *Dokumentirte Geschichte des Bisthums und Hochstiftes. Breslau* —1860, skreśliwszy żywot Nankera, I. 799—809 — na str. 808 wymienia w notce wszystkie źródła odnoszące się do jego biskupstwa, do których dodajemy: Żywot Nankera zamieszczony w Encyklopedyi kościelnej XV, str. 478—486, skreślony przez Ks. Wł. Knapińskiego.

Drugi nagrobek, drugiego biskupa wrocławskiego Jodoka de Rosenberg ma taki napis: *Anno MCCCCLXVII die XI decembris Nisse obiit Reverendus Pater in Deo Dominus Jodocus de Rosenberg episcopus Vratislaviensis hic sepultus.* Wątpliwą dotychczas datę śmierci biskupa, rozstrzyga stanowczo napis nagrobkowy — i przypomina powody, dla których i ten drugi biskup w Nisie

umiera. Było to w czasie zatargów katolików z husytami, sprawę których sądził w Wrocławiu Rudolf, nuncyusz papieski. Jodokus sprzyjający Jerzemu Podiebrad, królowi czeskiemu, nie był lubiany ani od duchowieństwa ani obywatelstwa, a kiedy jeszcze rozkazał potajemnie uwięzić proboszcza katedry wrocławskiej Jana Düstera, przed wzburzoną ludnością uchodzić musiał, chroniąc się w zamku swym Nisie i tam też życia dokonał 1467 roku dnia 11 grudnia. Opór ludności, przeciwko pochowaniu zwłok biskupa w katedrze był tak wielki, że dopiero po uwolnieniu z więzienia prześladowanego proboszcza katedralnego i za silną interwencyą panów czeskich — zezwolił legat papieski na przewiezienie ciała zmarłego biskupa i pochowanie go w grobach biskupów wrocławskich. Długosz opisuje, że biskup Jodocus postaci był okazałej i bardzo otyły, tak, że siedzący tylko sprawował funkcye biskupie, takim też w istocie przedstawia nam go pomnik nowo odkryty, należący do ciekawych monumentów XV. wieku.

Trzeci odnaleziony pomnik, jest biskupa lubuskiego Stefana, współczesnego Nankerowi, który uchodząc przed prześladowaniem możnych panów za to, że rzucił na miasto Frankfurt interdykt, w r. 1339 uchodzić musiał z Lubusza, idąc na dobrowolne wygnanie do Wrocławia, i tu zmarł roku 1345. Na nagrobku jego wykonanym w stylu i podobieństwie Nankera, na płycie grobowej taki czytamy napis:

Mille trecentis annis
quinis quadragenis
Exilio moritur Lubucensis
et hic sepelitur Stephanus antistes,
requiem cui Christe piam des.

Krótkie te wspomnienia o tych wielce interesujących zabytkach, z tak odległej epoki tem są ciekawsze, że takiego rodzaju monumentów nie mamy w Polsce, wina to czasów, które zabytki takie poniszczyły — a może też jeszcze w starych kościołach i katedrach spoczywają pod pawimentami podobne pomniki, które czas i okoliczności szczęśliwe nam odkryją. Że zaś były podobne i u nas, tego dowodem ogromna płyta, obrobiona z wapienia, pochodząca jakoby z grobu królowej Sonki (Zofii), czwartej

żony Władysława Jagiełły, leżąca dziś przy południowym portalu katedry na Wawelu, na której ślady intarsyi spiżowej widne są dotąd; dowodem pomnik z spiżowym wizerunkiem w katedrze poznańskiej, uchodzący za pomnik pierwszego biskupa poznańskiego Jordana, a który niewątpliwie jest pomnikiem jakiegoś prałata lub kanonika katedry poznańskiej z XIV. wieku, jak to wskazuje najwymowniej strój zmarłego — nie mający żadnej cechy biskupiego stroju, natomiast wszystkie znamiona kanonickiego ubrania.

Ks. I. Polkowski.

Listy o Rumunii.

III.

Znając Rumunię tylko z gazet, almanachów i z statystyk miejscowych, możnaby sądzić, że nowe to królestwo cieszy się obecnie wszystkiemi owocami współczesnej cywilizacyi, a nawet że przewyższa pod niejednym względem państwa najwięcej postępowe starej Europy. W rzeczy samej zastanawia czytelnika i prawie w zdumienie wprawia wiele tamtejszych instytucyj i zakładów, a przytem zastósowanie najświeższych ulepszeń i wynalazków. Obok wielkiej liczby szkół niższych i wyższych dla obojej płci znajdują się tamże akademie, atenea, konserwatorya, biblioteki, muzea i wszelkie inne przybytki nauki i sztuki — teatry, cyrki, hipodromy; dalej wszystkie instytucye towarzyskie, handlowe, towarzystwa ekonomiczne, geograficzne, rolnicze i t. d.; wreszcie wszystkie wynalazki i owoce najnowszej kultury, telegrafy, telefony, oświecenie elektryczne, koleje żelazne, wodociągi, kanalizacya, drenowanie, giełdy... jednem słowem wszystko to co tylko najlepszego, najpożyteczniejszego, co najpiękniejszego wynaleść zdołano, albo na co się sili obecnie Francya, Niemcy, Anglia a nawet Ameryka, znajduje się w Rumunii.

Lecz inny sąd musiałby wydać każdy, coby się chciał naocznie i na miejscu o tem wszystkiem przekonać. Może z początku olśniłyby go tu i owdzie pozory, lecz po przebyciu granicy, przy pierwszych już krokach wewnątrz kraju, spostrzegłby jak wielka różnica może zachodzić między nazwą a samą rzeczą. Imby zaś więcej badał, temby się więcej pozbywał złudzeń, niemal na każdym kroku spotykałby tylko gonienie za powierzchownością, tylko kaprys, karykaturę, anomalię i fałsz.

Ale fakt ten nie tyle zasługuje na uwagę, jako dość częsty i prawie nieunikniony w powstających dopiero społeczeństwach. Jeśli nad czem, to wartoby się nad tem zastanowić i toby należało zbadać, o ile fakt ten jest objawem i wynikiem charakteru narodowego, a o ile wypływa on ze zbiegu okoliczności czasowych, oraz do jakiego stopnia przewaga tych ujemnych czynników wzrasta, albo też zmniejsza się z biegiem czasu. Po takiem dopiero zbadaniu, możnaby słusznie wyrokować o postępie kultury w Rumunii i ocenić z większem lub mniejszem prawdopodobieństwem, do czego ona dojść może w przyszłości.

Wszystko co wiedzieć możemy o Rumunach, dokładna znajomość ich charakteru, przeszłych dziejów i ich obecnego stanu, upoważnia nas do stanowczego twierdzenia, że naród ten więcej rządzi się fantazyą, jak rozumem, więcej idzie za namiętnością, jak wolą, kocha się więcej w konkretnem zastósowaniu idei, aniżeli w jakichkolwiek abstrakcyjnych teoryach; bystro dostrzega skutków, ale prawdziwych powodów i przyczyn nie odkrywa; celuje w analizie nawet drobnostkowej, lecz błądzi w syntezie, dochodzi niekiedy do zadziwiającej rozległości idei, ale brakuje mu pojmowania dobrego rzeczy. Nie dziw więc, że naród taki daje się uwodzić blichtrem i pozorem i nie wyzwoli się z tego, aż chyba w dobie większej dojrzałości narodowego ducha. Nie mało przyczynia się do tego chętne zbliżanie się do narodów niewykształconych, a przytem chęć zresztą słuszna, wynagrodzenia pośpiechem sobie zastoju, w jakim długo pozostawali. Zważywszy wreszcie, że gonienie to za powierzchownością jest słabością powszechną dzisiejszego wieku, nie wyda się nam dziwnem, że ta przywara w Rumunii przybiera rozmiary

przewyższające wszystko, co w tym rodzaju spotkać można w innych krajach.

Pozory rzeczy zawsze mniej kosztują, niżeli sama ich istota, a stąd Rumuni, sami dość leniwi do pracy, a chciwi korzystać ze wszystkich jej owoców, żyjąc po większej części w świecie ułudy i fantazyi, uważają się za naród uprzywilejowany, który zdołał na to zdobyć w ciągu lat nie wielu, nad czem gdzieindziej trudziły się pokolenia przez całe wieki. Błąd ten fatalny wytykali im niektórzy głębsi ich myśliciele, lecz w zamian spotykały ich tylko obelgi i wyrzuty, oskarżające ich o brak patryotyzmu. Ten błąd zaś pociągnął za sobą drugi, jeszcze gorszy; stwarzanie bowiem coraz świetniejszych pozorów, uchodziło dawniej i dziś jeszcze uchodzi tu za coś wyższego od prawdziwego postępu zagranicznego. Stąd wrodzona próżność narodowa, tworząc parodye kolosalne, zatraca poczucie i zrozumienie właściwych rzeczy. Najlepiej o tem przekonywa fakt, i to nie chwilowy i przypadkowy, ale zawsze i wszędzie spotykany, a to obok największej okazałości nędza w olbrzymich rozmiarach. Turysta, który zwiedził np. *Bukarest* i obracał się w towarzystwach tego miasta, rzec może na każdym kroku, że nic lepszego nie można znaleść i w Paryżu, ale musi także wyznać co chwila, że coś gorszego nie znajdzie się u turków, samojedów lub hotentotów.

Najprzykrzejsze atoli wrażenie, robi tu powszechne i wszędzie występujące kłamstwo rzeczowe. Pod tem słowem rozumiemy nazwę rzeczy, której brakuje nietylko treści, ale nawet powierzchownego wyglądu. Kiedy to rzeczy redukują się do samej czczej woli zrobienia czegoś, do zawiązków niedojrzałych, a noszą imiona napuszone, tak że imiona te nie tylko oznaczają, ale zastępują same przedmioty. Kto chciałby tę rzecz wyjaśnić, musiałby w słowniku do każdej nazwy dodać znaczenie, jakie mieć może w Rumunii. Prawda, że słownik taki byłby satyrą, a chociaż czujemy to dobrze, iż: *difficile est satyram non scribere*, jednak nie pochwalilibyśmy jej autora, kiedy chodzi o cały naród.

O jednym jeszcze wspomnimy czynniku, który tutaj tamuje prawdziwą kulturę, a tem jest on niebezpieczniejszy, że stanowi jedną ze słabych stron nowego społeczeństwa. Mówimy tu o nie-

stałości. Nie trudno to pojąć, że stałości nie może być tam, gdzie brakuje dojrzałego sądu o rzeczach; lecz niestałość musi się stać niejako drugą naturą, skoro lekkomyślnie powzięty zamiar przywiódłszy do skutku spostrzega się, że rezultat bynajmniej nie odpowiada życzeniom i celowi swemu. Nie pozostaje wówczas nic innego do zrobienia, jak zniszczyć to, co się źle zrobiło, i tak się też tutaj prawie we wszystkiem dzieje. W niemałym bylibyśmy kłopocie, gdyby nam przyszło odpowiedzieć na pytanie: które rzeczy lub instytucye trwają w Rumunii tak długo jak w innych krajach? Zacząwszy od budowli i dróg, a kończąc na dziełach ducha ludzkiego, widzimy, że nic w Rumunii nie cieszy się trwałością, chociażby było i najlepiej wykonanem. Wszystko starzeje się prędko, wszystko się zmienia co chwila, wszystko się zaniedbuje z lekkomyślnością bezprzykładną. Sam klimat tutejszy podobnie jak i ludność kapryśny i zmienny, zdaje się sprzysięgać na to, aby nic nie utrzymało długo istnienia swego, ani kształtu. Przeszłość mało tu pozostawiła śladów i to bardzo niewyraźnych, gdyż w czasach minionych, równie jak teraz, brakowało spokoju i kultury. Teraźniejszość nie stara się o pomniki swej działalności, które związałyby ją z przyszłością; ale naród, zarówno jak człowiek pojedyńczy, ubogi tu w pamiątki, a jeszcze uboższy w dzieła, któreby mógł przekazać potomności. Pomników rzeczywistych nie ma ani jednego w ziemiach naddunajskich, czy to dzieł rzeźbionych lub wzniesionych z kamienia, czy też z utworów myśli ludzkiej; wszystko tu chwilowe i niepokaźne. A najgorsza, że tu i owdzie już zwątpienie i zniechęcenie zajmuje miejsce pierwiastkowego entuzyazmu i ruchliwej potrzeby działania, gdyż próbowano już wszystkiego i na wszystkiem się zawiedziono. Naród rumuński zwie się młodzieńczym, a mimo to okazuje już niektóre przypadłości ludów zgrzybiałych i zużytych czasem.

Ale jak wszędzie, obok złych stron znajdują się w Rumunii i dobre. Postęp godny uwagi znajduje tu dla się drogę w pośród fantazmagoryi i nieładów chwilowych. Wiele przywar dawnych znika pomimo wtargnięcia wad nowych; wiele ziarna dobrego kiełkuje pomyślnie, obok starego kąkolu. Taż sama niestałość, o której dopiero co mówiliśmy, jak przeszkadza wzrostowi dobrego, tak

też nie dopuszcza zbyt wkorzeniać się złemu. Grunt narodu jeszcze nie zjałowiał i nie zużył się, i ukryte jego siły z coraz to mniejszym oporem dają się powołać do życia duchowi czasu; społeczeństwa bowiem nowsze zbyt są powiązane między sobą wspólnymi interesami i dążnościami, aby jedno z nich mogło zatrzymać się w pół drogi; z drugiej strony zaś zawiele jest w nich sił świeżych i motorów poprawiających, aby choroba miała wziąść górę i stać się śmiertelną. Pojęcia dzieła i produkcye całego świata nieucywilizowanego zalewają Rumunię, szczególnie od czasu wprowadzenia do kraju żeglugi parowej i kolej żelaznych; a jak cudzoziemcy, pomimo chęci Rumunów utrzymania względem nich ekskluzywizmu, uczestniczą w społecznem ich życiu, tak też nawzajem Rumuni uczestniczą w społecznem życiu innych narodów. Zwiedzając obce kraje wynoszą stamtąd poglądy, doświadczenia i dążności przedtem nieznane, które starają się zużytkować w kraju własnym z różnem szczęściem; w ten sposób wyrabia się w masie nieprzeparty potok idej obcych, który pociąga za sobą całe społeczeństwo. Gdyby nie to, Rumunia znikłaby wkrótce, a może nie istniałaby już od dawna. W każdym jednak razie, gdyby dzieło odrodzenia prowadzone było od początku z większą przezornością, nie byłby się zmarnował wielki zasób sił na same tylko próby, a nagrodą tego byłaby teraz cywilizacya mniej uderzająca pozorami, ale gruntowniejsza, bo wolna od złudzeń i kryzysów.

Protestanckie misye wedle zeznań protestanta.

Dzienniki angielskie zajmowały się i żywo zajmują się po dziś dzień polemiką, wznieconą przez anglikańskiego kanonika Taylora, który na kościelnym kongresie anglikańskim wystąpił z zarzutem, że protestanckie misye w Azyi i w Afryce nie przynoszą prawie żadnych rezultatów; co smutniejsza, że przynoszą o wiele

mniejsze owoce, niż bez porównania mniej uposażone w środki materyalne, misye muzułmańskie. Szczegóły i cyfry podane przez Taylora, a następnie sprawdzone i w niektórych punktach sprostowane przez najpoważniejsze organa angielskiej prasy, brzmią istotnie zadziwiająco, a dla protestantyzmu nadzwyczaj niepochlebnie. W przeciągu ostatnich dziesięciu lat fanatyczni Muzułmanie pozyskali w Indyach trzy miliony prozelitów; protestanci pomimo hojnie rzucanych pieniędzy i półurzędowego wsparcia, zapisali w swych rejestrach zaledwie 600 Hindusów. Towarzystwo misyjne wydało w ostatnim roku dla misyonarzów protestanckich w Palestynie, Arabii, Persyi i Egipcie, około pół miliona franków; a za tę cenę pozyskało dla swych sekt jedną dziewczynę i to powszechnie znaną, jako pół-idyotkę. W Afryce Zachodniej wysiłki trzystu agentów przyprowadziły na łono protestantyzmu 306 osób.

Małe to, za małe rezultaty, mówił Taylor; ale trudno im się dziwić, jeśli weźmiemy w rachubę zupełny brak poświęcenia i ofiarności w tych, których nazywamy „naszymi misyonarzami“. Ślad w ślad za tymi misyonarzami, ludźmi bardzo nieraz podejrzanej moralnej wartości, idą kupcy, a raczej mordercy, którzy za kubek obrzydliwej wódki wyłudzają od murzynów ostatni kawałek chleba, i moralnie, a zbyt często i fizycznie ich zabijają. Czyż murzyni widząc pastorów w takim towarzystwie, mogą do nich nabrać zaufania i należną czcią ich otaczać? Protestanckie towarzystwa misyjne, zbierają rocznie około 25 milionów franków; życzyćby można i należało, aby te pieniądze marnie, jak działo się to do tego czasu nie ginęły; aby samo Towarzystwo, na którego zarząd obracano dotąd rocznie około 750.000 fr., z większym skutkiem szafowało powierzonymi sobie środkami.

Śmiała mowa Taylora odsłoniła w całej nagości jedną z krwawych, choć rzec można, z natury rzeczy wypływających, ran protestantyzmu. Protestanci pieniądze mają, ale te nie wystarczają do nawrócenia ludów i zaszczepienia w nich zasad i cnót chrześcijańskich. Misyonarzom katolickim zbyt często brak właśnie pieniędzy; roczny budżet Propagandy wynosi nie 25, lecz 5 milionów franków; a jednak jakaż olbrzymia różnica w skutkach: w Indyach,

w których bogaci i rządzący protestanci pozyskali dla siebie śmiesznie małą liczbę mieszkańców, liczy dziś Kościół katolicki blisko trzy miliony wiernych i w całem słowa tego znaczeniu gorliwych wyznawców. W walce między koranem a Ewangelią, odniesie i odnieść musi zwycięstwo Ewangelia, ale Ewangelia przez Chrystusa, nie przez namiętności ludzkie głoszona i wytłumaczona.

Druk ukończony dnia 20 grudnia 1887.

OO. REDEMPTORYŚCI W POLSCE.

Jeśli w jakim kraju Europy, to z pewnością w Polsce dobrze się działo zakonom. To też znajdowały się tutaj niemal wszystkie rodzaje anachoretów, mnichów, zakonów i kongregacyj, o przeróżnej barwie szat, zajęciu, instytucie i regułach. Przy kolebce nowo zrodzonego dla Boga narodu widzimy czynnych Benedyktynów, dalej Cystersów, Norbertanów i Miechowitów. A kiedy ci znużeni pracą i zbogaceni fundacyami zaczęli używać błogiego spokoju, jawią się do podtrzymania katolickiego ducha w narodzie nowi pracownicy — to żebraczy synowie ubogiego Franciszka, co umieli na wieki przykuć do siebie serca wszystkich, mili i wyczekiwani zawsze druhowie pod strzechą szlachecką i lepianką wieśniaczą. Z nimi niemal równocześnie przybywają do Polski, płomienni jak ogień pożerający, pełni nauki i świątobliwości, synowie Dominika. Dali Polsce patronów, dali męczenników i mężów uczonych. Dalej Karmelici obojej reguły, Augustyanie zakonni i mnisi, Paulini, Kameduli i t. d. Zresztą, któż zliczy te nazwy kapturowych, opasanych pasem lub rzemieniem, bosych i obutych zakonów; kto spamięta te klasztory obojej płci, co zasiały całą Polskę jak długa i szeroka, tych zakonników, co byli wychowawcami młodych pokoleń, towarzyszami rycerskich bojów, powiernikami sumień, przyjaciółmi i doradzcami królów i magnatów, ulubieńcami szlachty, opiekunami biednego ludu.

Pracowały zakony w Polsce i praca nagradzała im się sowicie, bo chlebem i złotem, pamięcią i wdzięcznością, ziemią i niebem. Niejedną piękną kartę dziejów naszych wypełniają wielkie

ich zasługi, poświęcenie, bohaterstwo i świętość życia. A jeśli zdarzały się z ich strony zdrożności, błędy a nawet występki, nie traciły jakoś zakony ani wziętości, ani dobrej sławy. Ojcowie nasi byli w tej mierze dziwnie tolerantnymi i pobłażliwymi, bo nieraz aż do przesady.

Jeden był tylko wyjątek w tej mierze. Benjaminek wszystkich zakonów w Polsce doznał nieprzychylności niezwykłej, surowo został on osądzony i bezwzględnie potępiony. Podejrzenia nieuzasadnione, kalumnie nieprzyjaciół przyjęto za prawdę i zdyfamowano zakon bez sądu i winy. Tymto Benjaminem nieszczęśliwym to zgromadzenie OO. Redemptorystów, znanych u nas pod nazwą Benonów lub Benonitów, co przybywszy do Warszawy w końcu osiemnastego wieku, po dwudziestoletniej błogiej działalności byli zmuszeni opuścić kraj nasz z wyrokiem banicyi na początku obecnego stulecia.

Dziś pamięć o Benonach zaginęła. Ledwo kto wie dzisiaj o ich pobycie i działalności w Polsce. Na miejscu, gdzie stał ich kościół i klasztor, dziś stoi kamienica oznaczona numerem 1877. Ich szkoły i zakłady opustoszały z ich ustąpieniem i przeszły w inne ręce albo na inne cele obrócone zostały. Pomarli ci, co byli świadkami ich cnót, co im zawdzięczali cichą pomoc w ubóstwie, pociechę w utrapieniu, zwrot na drogę cnoty, a wreszcie zbawienie wieczne. Wśród gminu miasta Warszawy i u ludu z jej okolic dopytałby się jeszcze dziś o żarliwych kazaniach, prześlicznem nabożeństwie, nadzwyczajnych nawróceniach i bezprzykładnej ich pracy i poświęceniu dla biednych i grzesznych. Tamby posłyszał rzewny lament wprost z serca wdzięcznego ludu wyrwany, a opłakujący stratę ukochanych ojców w żałosnej piosence [1].

Ale w świecie uczonym rzadko usłyszeć się daje słówko dla nich pochwały, częściej daleko uprzedzenia, jak miałem sposobność przekonać się o tem, robiąc poszukiwania w tym względzie. „Księże“ mówili mi ludzie dobrej wiary a znający historyę naszego

---

[1] Oto urywek z takiej piosenki, której w całości odszukać nie mogłem:

Widzisz o Boże, co się z nami dzieje
Nie mamy księży w Benońskim kościele,
Nie mamy ofiar, któreśmy miewali.
Choć kazaniami piersi pozrywali...

kraju, „to wiadoma rzecz, że Benoni byli zdrajcami“. Owszem jeden z dziwną naiwnością mi powiedział: „Ciekawa to rzecz Hoff-„bauera dziś kanonizują, a przecież to historycznie dowiedzionem, że byli oni „zdrajcami i szpiegami“. Prócz takich przekonań spotkać się chyba można z karykaturą wyobrażającą ich wywiezienie o jakiej wspomina Kraszewski, a jaką i myśmy mieli sposobność oglądać na ostatniej wystawie obrazów w Krakowie.

Jedynie w literaturze i historyi szukać należy wiadomości o nich, ale czy prawdziwej? Z małym wyjątkiem trzech lub czterech autorów, reszta świadectw piśmiennych zwraca się przeciw OO. Redemptorystom, i obrzuca ich zmyśloną a bezczeszczącą ich imie potwarzą. Nienasycona chciwość bogactw, szczepienie bigoteryi i fanatyzmu, oto występki jakie im przypisują, a nadto co gorsze nad wszystko, rzucają na nich grube i haúbiące podejrzenie intrygantów politycznych i zdrajców kraju, który ich gościnnie przyjął i lat kilkanaście żywił swem chlebem. Z tem anathema wywieziono ich z Warszawy dnia 20 czerwca 1808 roku, i ta plama po dziś dzień cięży na ich Zgromadzeniu.

Że taki a nie inny sąd panuje w literaturze naszej o Redemptorystach, że opinia ta niemal ogólna, tego nie trudno dowieść. Któż jest bowiem kierownikiem najzwyklejszym i najpowszechniejszym zdania o rzeczach minionych. Do jakiegoto źródła ucieka się czytająca publiczność, chcąc się na prędce poinformować o zaszłych wypadkach, zmarłych osobach i t. d. jeśli nie do encyklopedyi. Wprawdzie nieraz narzekamy na ich płytkość, stronniczość i pobieżność, lekceważymy częstokroć wiedzę z niej zaczerpaną; ale koniec końców w danym razie najchętniej i najpierwej chwytamy za encyklopedyę. A nie tylko przeciętny ogół mniej lub więcej wykształconej inteligencyi, ale nawet niejeden z mających pretensyę do szerszej wiedzy, zapomaga się na tej drodze, jeśli nie idzie o napisanie wyczerpującego w poważnem jakimś czasopiśmie artykułu, lub odczytu przed słuchaczem gruntownie wykształconym.

A cóż nam mówią encyklopedye o Redemptorystach? Biorę za najdawniejszą i najobszerniejszą a bezprzecznie w niejednej rzeczy krytycznie opracowaną, i w artykule podpisanym przez F. M. S. (Franciszka Maksymiliana Sobieszczańskiego), a więc badacza naszych dziejów ogólnie za sumiennego poczytywanego, dowia-

duje o przybyciu dwóch Redemptorystów w r. 1781 do Warszawy, którym bractwo św. Benona oddało w zarząd kościół i klasztor pojezuicki. Działalność ich w ten sposób skreślona. „W r. 1793 „szkoła Benonów liczyła 350 uczniów płci obojej. Kościół zaś „i księża odtąd Bennonami zwani takiej nabyli wziętości, iż bar- „dziej od wszystkich byli odwiedzani, mianowicie za czasów pru- „skich, kiedy sprowadzili sobie z Wiednia statuę Matki Boskiej, „pomnożyły się zgromadzenia ludu na nabożeństwa trwające w tym „kościele co dzień aż do późnej nocy. Wprawdzie władza duchowna „miejscowa starała się wstrzymać ową niezwykłą ich gorliwość, „wszelako wpływ Benonów szczególnie na lud ubogi i kobiety był „niezmierny... często też mieszali się i do spraw świeckich, „w czem niejednokrotnie narazili się władzom krajowym, stąd po- „wstało mniemanie, iż to byli ukryci Jezuici. Gdy nadto w czasie „pobytu wojsk francuskich ściągnęli na siebie podejrzenie, iż się „trudnią także i sprawami politycznemi, dekretem księcia warsza- „wskiego na żądanie dworu francuskiego uznano pobyt ich w kraju „za szkodliwy, kościół odebrano i zamknięto, księża zaś kosztem „rządu wywiezieni zostali w dniu 20 czerwca t. r. z Warszawy“ [1]. Inny późniejszy o dziesiątkę lat podręcznik podobny, taką podaje wiadomość. „W ciągłej walce z władzami rządowemi, naraziwszy „się Francuzom 9 czerw. 1808 wydalonymi zostali“ [2]. Trzecia z ko- lei znów encyklopedya tłumaczy ich banicyę gdyż „podejrzeni „o mieszanie się do spraw politycznych a nadto z uwagi, że ciągle „dniem i nocą odbywanemi nabożeństwami, więcej szkody niż po- „żytku przynoszą“ [3]. Najnieprzychylniej atoli wyraża się „Encyklo- „pedya Wiedzy ludzkiej“: „Księża ci urządzali niezwyczajne ceremo- „nie religijne, przez co pozyskali sobie zaufanie i wziętość u pobożnej „cząstki publiczności. Gdy atoli za czasów księstwa warszawskiego „zaczęli się trudnić politycznemi intrygami przeciw Francyi, przeto „na żądanie Napoleona wydalono ich z kraju“ [4].

[1] Encyklopedya powszechna. Tom III. Warszawa 1860.

[2] Adam Wiślicki. Encyklopedya powszechna. Warszawa 1871.

[3] Encyklopedya powszechna mniejsza. Tom II. Warszawa 1872.

[4] Encyklopedya wiedzy ludzkiej wydawana pod kierunkiem Redakcyi Tygodnika Illustrowanego i Wędrowca. Tom I. Warszawa 1872.

Komu wystarczają wiadomości w encyklopedyi zawarte, a nie ma szczególnej przyczyny, by zbadać bliżej tę sprawę, przychylnej opinii z tych zapisków z pewnością nie wyniesie. Nie każdemu jednak to wystarczy, niejeden radby bliżej się dowiedzieć, w jaki to sposób szczepili oni fanatyzm wśród ludu, co za zatargi mieli z rządem i władzą swą duchowną, i na jak wielką skalę prowadzili oni intrygi z obcemi mocarstwami. Trzeba się więc poradzić bardziej poważnych dzieł, historyi z owych czasów, pamiętników, monografij, a zwłaszcza miasta Warszawy i t. d.

Chociaż to czasy nie tak dawne, bo ledwo sto lat upłynęło, jak przybyli Redemptoryści do kraju naszego, a 80 mija w obecnym roku, jak byli zmuszeni ustąpić po raz pierwszy, jednak mało w tej mierze zapisków historycznych. Czasy to były smutne, wojenne, czasy rozbiorów a później dzieje księstwa warszawskiego, tryumfy Napoleona, koleje naszych wojsk, ich świetny udział w podbojach olbrzyma Zachodu zaprzątają przeważnie historyków, a w obec tych faktów, wypędzenie zakonu, złożonego po części z cudzoziemców, zbytnio w kraju nie rozwielmożnionego, schodzi do rzędu fakcików, które lekceważy historya. Jednak nie brak w tym względzie wskazówek, i krótkich w ogóle relacyj o ich wypędzeniu z podaniem powodów.

Najobszerniejszy ze wszystkich opis pobytu i działalności OO. Redemptorystów w Polsce podał Kraszewski w dziele, który zatytułował „Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta“. Kraszewski nie ma wprawdzie sławy historyka, choć pisał wiele dzieł historycznych i na tle dziejów osnuł znaczną część swych powieści. Ale zawsze to pisarz nader poczytny i dzieła jego znajdują się w rękach szerokiej publiczności. W pamiętniku tym zawierającym w sobie sylwetki kilkunastu osób z owych czasów w ogóle dość wierne, poświęcił przydłuższe wspomnienie OO. Benonom. Zgromadzenie to, wedle Kraszewskiego, założone przez św. Ignacego (sic!) jest gałęzią zakonu Jezuitów. Przybyli z Niemiec do Warszawy jeszcze za Zygmunta III. 1623 r. (a więc istnieli przed założeniem swem) i wystawiwszy kapliczkę pod wezwaniem św. Benona, rozpoczęli w niej nabożeństwo niemieckie. Z czasem z hojności królewskiej Władysława IV. i jałmużn wymurowali sobie kościółek i założyli szkółkę. Pominąwszy całą historyjkę o szynkowaniu piwa

i obrazkach św. Peregrinusa, dowiadujemy się, że w ich kościele lud „codziennie zgromadzał się do wspomnianego kościoła, w któ„rym od wschodu słońca do późnej nocy było ciągłe wystawienie „Najświętszego Sakramentu i kazań cztery, dwa po niemiecku, dwa „po polsku... Władza duchowna ściślej chciała w to wejrzeć i za„bronić XX. Benonom ustawicznego wystawiania Najśw. Sakramentu „a zarazem stwierdzić cudowność tylu razem obrazów w jednym „kościele, ale rejencya pruska, wedle swego systemu tolerująca „wszystko, wzbroniła zwierzchności duchownej śledzenia tego, z po„wodu szczególnej dla Niemców przychylności. Tak tedy XX. Be„noni wsparci protekcyą rządową, zupełną wypowiedzieli podległość „juryzdykcyi duchownej i tak potrafili umocnić u ludu przekonanie „o swej świątobliwości, że gmin fanatycznie zbierał się szczególniej „do ich kościoła nieustannie. Niewiasty, gospodynie porzucały obo„wiązki swoje w domach a całe dnie spędzały na słuchaniu nauk „i odprawianiu nabożeństwa u XX. Benonów. Ci z ustawicznych „jałmużn ciągnęli wielkie korzyści, kilkanaście dam bogatych były „poddane ich kierunkowi, całe swe dochody ze szkodą familii obra„cając na XX. Benonów. Na ostatek stali się niebezpiecznymi dla „samego rządu, gdyż najliczniejszą klasą, gminem, jak chcieli, wła„dali. Oni z całego duchowieństwa byli najbogatsi. Po zmianie „rządu pruskiego, gdy ustanowiono nowe władze polskie, XX. Be„noni przewidując przyszłość, znaczne kapitały wywieźli za granicę“ [1].

Krótko i niewyraźnie przypisują im jakąś winę „Dzieje księstwa warszawskiego“ [2]. „Jeden tylko zdarzył się czyn jawnego „i bezpośredniego wystąpienia władzy francuskiej, a tem było nie„spodziane wywiezienie XX. Benonów w czerwcu przez rezydenta „francuskiego zarządzone, a pod eskortą żandarmów francuskich „dokonane. Księża ci, którzy wywierali wielki wpływ na umysły „pospólstwa warszawskiego i w klasie uboższej licznych i żarliwych „mieli stronników, ściągnęli na siebie ten samowolny krok władzy „francuskiej z powodu korespondencyi, jaką prowadzili we wszy„stkich niemal krajach Europy z nieprzyjaciółmi Napoleona“. Rów-

[1] Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta z rękopismu wydany przez I. Kraszewskiego. Poznań 1876 str. 283—289.

[2] Dzieje księstwa warszawskiego przez Fryd. hr. Skarbka. Lwów 1886. Tom I. str. 222.

nież pobieżnie wspomina o tem Teodor Morawski[1] zresztą sumienny i bezstronny historyk: „Policya francuska odkryła jakieś zmowy „pruskie z bractwem niemiecko-katolickiem S. Benona w stolicy, „a które odziedziczyło było kościół pojezuicki i wywierało wpływ „między rzemieślnikami. Skończyło się, jak rozkazał Napoleon na „rozwiązaniu bractwa i wywiezieniu najwinniejszych do Kistrzyna".

Nieprzychylny o nich sąd wydaje „zasłużony na polu historyi, „literatury i bibliografii" Franciszek Maksymilian Sobieszczański. „Supremowano ich dekretem z d. 29 czerwca 1806 r. z powodu, „iż w postępowaniu tych księży upatrywano dążność OO. Jezui- „tów i liczne poszlaki, ku temu znajdowano". A nie chcąc tego bliżej rozwijać, cytuje z notat Magiera ustęp przydłuższy o ich powstaniu, kończący się temi słowy. „Był to rodzaj dawnych Je- „zuitów, którzy zaczęli od gorliwej służby Bożej, nowe w tym ko- „ściele wprowadzając nabożeństwa, przytem nie zaniedbując pomna- „żać dostatków swoich. Zajmowali się oni szczególnie udzielaniem „nauk duchownych, mianowicie kobietom... Lecz Benoniści posu- „nęli za daleko opiekę swoją nad tą płcią pobożną. Służące, ku- „charki zwiedzały także klasztor, składając im podług możności „rozmaite ofiary, a z tego powodu mieli nawet za rządu pruskiego „wytoczoną przed sądem sprawę... W r. 1807 przebrawszy miarę „gorliwości, gdy z obecnymi na nabożeństwie w swym kościele ofi- „cerami do przykrej przyszli rozprawy", za rozkazem rządu wywie- zieni zostali z Warszawy[2]. Jeden jeszcze pozostaje nam sąd przy- toczyć, który wyszedł z pod nader poważnego pióra. P. Władysław Wisłocki w artykule „Warszawa na początku r. 1796" przyszedłszy na Benonitów, wspomniawszy ich przybycie, i że w latach 1794/5 i 1806/7 obwinieni o szpiegostwo i spiski polityczne, wydaleni zo- stali z kraju, dodaje: „Dzisiaj bronią ich wprawdzie niektórzy od „tak ciężkiego zarzutu, choć bardzo niezręcznie, bo w braku wła- „ściwych dowodów rzuceniem całej winy na Masonów i szajkę pu-

---

[1] Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane przez Teodora Morawskiego. Poznań 1872. Tom VI. str. 87.

[2] Rys historyczno-statystyczny, wzrostu i stanu miasta Warszawy od najdawniejszych czasów aż do 1847 r. Skreślony przez F. M. Sobieszczańskiego. Warszawa 1848.

„blicznych gorszycieli“ (sic!). Nie chce, jak powiada on, rozstrzygać tej kwestyi, ale przytoczywszy świadectwo M. J. Hubego, ówczesnego dyrektora szkoły głównej kadetów w Warszawie o Bennonitach, na podstawie wiadomości, że „rosyjski jenerał von Bux„hoewden darował zakładowi z funduszów edukacyjnych dwa „kapitały, mianowicie 28.054 i 17.295 złp.“ mimochodem tak rozumuje; „otrzymali zatem Redemptoryści od komenderującego ge„nerała rosyjskiego w r. 1794/5 razem poczesną sumkę 43.349 złp., „ale jakim tytułem, autor nie powiada. W tym samym czasie „i z tych samych rąk otrzymywał także gratyfikacyę zakład chi„rurgiczny Walentego Gagatkiewicza i Michała Bergonzoniego, „który po krwawych wypadkach r. 1794 oddawał nieocenione przysługi „w przepełnionych rannymi lazaretach warszawskich, ale otrzymał „ją tylko raz szczególny i to w ilości 4000 złp.!“ [1].

Innej wzmianki napróżnobyśmy szukali po pamiętnikach, monografiach i historyach z owych czasów. Ani Wejnert w swem sześciotomowym opisie Warszawy, ani Gołębiowski i Bartoszewicz w opisie kościołów warszawskich, ani wreszcie Wójcicki w swem dziele „Warszawa i jej społeczeństwo“ nie wspominają słowem o Redemptorystach.

Ale czyż potrzeba więcej dowodów na potwierdzenie, nie mówię winy OO. Redemptorystów, ale zdania, któreśmy na wstępie wypowiedzieli, że nieprzychylną i złą opinię mają u naszych pisarzy, a ta opinia jest powszechną, gdyż tylko „niektórzy“ ich bronią! Tak jest, ten długi szereg sądów i zdań wypowiedzianych przez powagi naukowe, ogłoszony po książkach najbardziej czytanych lub źródłowo opracowanych, aż nadto potwierdza to nasze zdanie. W istocie głosem historyi, głosem niemal ogółu osądzeni i potępieni zostali, osądzeni — tak, ale czy przekonani o winie? — potępieni — prawda, ale czy nie spotwarzeni — to inne jeszcze pytanie!

Z początkiem 1786 roku trzech zakonników przybyło do Warszawy. Dwóch z nich było kapłanów, trzeci braciszek, nowicyusz. Należeli oni wszyscy do świeżo założonego Zgromadzenia OO. Re-

[1] Przegląd naukowy i literacki. Rocznik czwarty 1876, str. 917.

demptorystów, a przybyli na wezwanie Monsignora Ferdynanda Saluzzo, nuncyusza na dworze polskim, który ich sobie wyprosił u jenerała zakonu do obsługi duchownej niemieckich katolików w Kurlandyi. Najstarszy z nich bo 35 lat liczący, to Klemens Maria Hoffbauer, inaczej Dworzak zwany, rodem z Taszwic, drugi młodszy od niego o lat dziesiątek, to druh jego serdeczny, kolega ze studyów i zakonu Tadeusz Hübl, rodem Czech. Obaj przed trzema laty przybyli do Rzymu na ukończenie studyów teologicznych i nie myśląc o wstąpieniu do zakonu, dziwnem zrządzeniem Bożem zostali członkami Zgromadzenia OO. Redemptorystów. Przybywszy bowiem nad wieczorem do Rzymu, postanowili rankiem do tego się udać kościoła, którego najprzód usłyszą dzwony. I wierni postanowieniu, idą nazajutrz za głosem dzwonka, który ich prowadzi do kościółka St. Guliano. Tam ich uderza widok zatopionych w modlitwie zakonników. Skromny i nabożny ich układ przy modlitwie, schludność domu Bożego i powaga w nabożeństwie zdecydowała Hoffbauera, że wyszedłszy z kościoła zapukał do furty klasztornej, prosząc o przyjęcie. Wzdragał się zrazu jego towarzysz, ale Hoffbauer modlitwą swą gorącą do Boga uprosił mu powołanie, że nazajutrz sam pierwszy się odezwał z zamysłem zostania Redemptorystą.

Nie zawadzi tu słówko powiedzieć o samem Zgromadzeniu, tembardziej, że wielu uważa Redemptorystów za gałąź zakonu Jezuitów o odmiennym tylko stroju i nazwaniu. To błędne mniemanie utwierdziło się tem więcej, że rozszerzenie się i działalność kongregacyi przypadła na czas kasaty Towarzystwa Jezusowego. Redemptoryści, także Liguorianami zwani, początek swój wywodzą od św. Alfonsa de Liguori, Biskupa św. Agaty we Włoszech. Tenże będąc młodym jeszcze kapłanem, zapadłszy z nadmiaru pracy na zdrowiu, udał się do gór Skala na poratowanie zwątlonych sił. Bawiąc wśród ludu górskiego uderzony został i jego ciemnotą i opuszczeniem pod względem religijnym. Zrozumiał Alfons oświecony od Boga, że Boża go tutaj ręka zaprowadziła, i jemu zleca te ubogie i wzgardzone od świata dusze, aby ich sprowadził na drogę cnoty i zbawienia. Pragnieniem odtąd Alfonsa i dążeniem było założyć zgromadzenie misyonarzy, którzyby naśladując życie Chrystusa Pana w pokorze i prostocie ducha, opowiadali ubogim

ewangelię. To na samym wstępie konstytucyi poleca swym synom. „Ponieważ głównym celem zgromadzenia jest zjednoczyć kapłanów „świeckich, którzyby wspólnie żyli i usilnie starali się naśladować „cnoty i przykłady Jezusa Chrystusa Zbawiciela naszego, oddając „się przytem szczególnie głoszeniu słowa Bożego ubogim, przeto „członkowie tegoż Zgromadzenia mają się oddać na usługi ludu „rozproszonego po wsiach, a zwłaszcza pozbawionego opieki du„chownej, a to za pomocą misyj, katechizowania i re„kolekcyj". Wychowanie młodzieży, nauczanie w szkołach i duszpasterstwo leży już po za obrębem ich działalności i wyjątkowo tylko za zezwoleniem Piusa VI. zrobiono w tej mierze ustępstwo w Warszawie. Pierwszy zawiązek nowego Zgromadzenia powstał w r. 1732, a więc we dwa wieki po założeniu Jezuitów. Patrząc na owoce ich prac, potwierdził Benedykt XIV. ich instytut brevem z dnia 25 lutego 1749 r. W chwili kiedy Hoffbauer z Hüblem wstępowali, Zgromadzenie istniało prócz Sycylii, Neapolitańskiego i Benewentu, także w państwie papieskiem. Tu miało trzy domy, z których jeden był w Rzymie, do którego weszli Hoffbauer i Hübl. Gdy się dowiedział św. Alfons o ich wstąpieniu, napełniło się radością jego serce i wznosząc ręce i oczy do góry, zawołał w natchnieniu: „Ku północy w Europie wielka moc pracy „na chwałę Bożą, czeka Zgromadzenie nasze".

W krótkim przeciągu czasu stwierdzili nowo przybyli, że wstąpienie ich było opatrznościowe, pokazali się godnymi synami świętego zakonodawcy, który sam „zakochany w Panu Jezusie" pragnął, by członkowie jego Zgromadzenia byli żywymi przykładami jego boskich cnót i apostolskiego żywota. Najlepszym dowodem ich wielkiej cnoty było przyspieszenie im profesyi zakonnej, wyświęcenie na kapłanów i wysłanie obu na zaszczepienie zakonu w Austryi. Z tymto zamysłem nosił się Hoffbauer od pierwszej chwili wstąpienia i często odzywał się z tą myślą przeniesienia zakonu poza Alpy. Przełożeni i starsi kapłani zakonni, jak opowiada biograf św. Alfonsa, O. Tannoja, sprzeciwiali się temu. Śmiano się nawet z tych jak sądzono zapędów i marzeń młodzieńczych, którym ziszczenia nie rokowano. Jeden tylko żyjący jeszcze podówczas zakonodawca św. Alfons Liguori proroczym duchem przepowiedział „Pan Bóg nie „omieszka za pomocą tych dwóch rozszerzyć swej chwały w onych

„krajach. Dziś kiedy zabrakło OO. Jezuitów, te kraje są niemal „opuszczone. Ale tam inaczej trzeba będzie urządzać misye. Tam „w pośrodku luteranów i kalwinistów, więcej potrzeba kate„chizowania niż kazań. Tam trzeba wprzód *Credo* wpajać, a po„tem usposobić lud do pozbycia się grzechu. Ci dobrzy księża „będą mogli wiele dobrego zdziałać, ale będą potrzebowali więcej „oświecenia w tej mierze. Jabym chętnie do nich napisał, ale Bóg „nie chce, abym się mieszał“ [1].

I widać była w tem wola Boża, kiedy tak młodych w zakonie puszczono w świat z tak ważnem pełnomocnictwem. Pierwszym celem ich podróży był Wiedeń. Tu początkowo myślał się osiedlić Hoffbauer. Ale na złą trafił on tu chwilę. Były to właśnie czasy Józefa II., kiedy gospodarka po klasztorach odbywała się na wielką skalę. Znoszono jedne po drugich klasztory, inne skazywano na wymarcie, ocalały tylko niektóre trudniące się wychowaniem młodzieży, pielęgnowaniem chorych, albo też zajęte duszpasterstwem. Ale i nad tymi zawisła żelazna dłoń prawodawcy, uszczuplono ich dochody, wzbroniono wszelkiej zależności i odnoszenia się z przełożonymi za granicą a zwłaszcza wszelkiej łączności z Rzymem. Jak tu więc myśleć o założeniu nowego klasztoru?

W sam tedy czas odebrał O. Hoffbauer rozkaz od Jenerała zakonu, aby się udał wraz z O. Hüblem do Kurlandyi. Na wychodnem z Wiednia przyłączył się do nich dawny znajomy i towarzysz O. Hoffbauera w pierwszej pielgrzymce do Rzymu, Emanuel Kunzmann, i ochotnie oddał się na usługi zakonu. Zaniechawszy tedy zamierzonej pielgrzymki do Kolonii, do grobu ŚŚ. trzech Królów, razem puścili się przez Morawię do Warszawy.

Chudo i kuso było koło nich. Całą tak długą podróż odbyli przeważnie pieszo, gdyż nie stać ich było na najem koni. Zmęczeni i zmizerowani przedstawili się nuncyuszowi, który ich przyjął nader łaskawie i nie chciał trudzić natychmiastową podróżą. Przy pierwszym zaraz widzeniu poznał w nich nuncyusz kapłanów gorliwych i przykładnych. O. Hoffbauer zwłaszcza zrobił na nim wrażenie czło-

---

[1] P. Karl Dilgskronn. Leben des heiligen Alfons Maria Liguori II. Band S. 445.

wieka niezwykłej miary i wielkiej świątobliwości, a bliższe poznanie odkrywało coraz nowe a wysokie przymioty tej duszy wybranej. Porzucił tedy nuncyusz zamiar wysłania ich do Kurlandyi a umyślił ich zatrzymać w Warszawie, tem bardziej, że naówczas w stolicy Niemców liczono na tysiące bez żadnej zgoła pomocy duchownej. Mieli oni swój kościół pod wezwaniem św. Benona i bractwo przy nim zawiązane. Ale brakło niemieckiego kapłana tegoż imienia. Kościółek ten zbudowali niemieccy rzemieślnicy za panowania Władysława IV. pobudzeni do tego przez Jerzego Leyera Jezuitę, spowiednika królewicza Jana Kazimierza. Póki istniało Towarzystwo Jezusowe kwitła tam chwała Boża, ale od lat trzynastu, tj. od kassaty Towarzystwa, ucichło w niem nabożeństwo i kościół opustoszał. Tento kościółek umyślił nuncyusz uzyskać dla swych protegowanych. W tym celu rozpoczął pertraktacye z Jenerałem zakonu, a zarazem z królem Stanisławem. Jedno i drugie się powiodło. O. Franciszek de Paolo chętnie się zgodził na tę zmianę, a król ze swojej strony pozwolił na osiedlenie się przybyszów i oddanie im kościółka św. Benona z przytykającem doń zabudowaniem. Od tego to kościółka poszła ich nazwa Benonów lub Benonitów.

Objąwszy kościół i klasztor w posiadanie, rozglądnęli się ojcowie po nowem gospodarstwie. Kościół wymagał gruntownej reperacyi, trzy były w nim ołtarze, ale zniszczone i kurzem okryte. Ale stokroć jeszcze gorsze było uposażenie domu. Jeden stół i kilka starych stołków — oto całe umeblowanie domu. Ażeby rozpocząć nabożeństwo w Kościele, aby módz egzystować jakkolwiek i pracować, trzeba było nakładu, a tymczasem całego majątku posiadał O. Hoffbauer aż trzy talary. Było więc nad czem myśleć i głowę sobie łamać, a jednak prawdziwi synowie św. Alfonsa z radością przywitali to Betlejemskie ubóstwo i wzięli się rączo do oczyszczenia kościoła, a brat Kunzman zajął się gospodarstwem domowem. Nie mając ani pojęcia o gotowaniu, wziął na się rolę kucharza, zakupił na wstępie garnek i trochę żywności i żeby nie wydawać pieniędzy, sam wystrugał trzy łyżki z drzewa. O. Hoftbauer wiernie mu dopomagał i nieraz z kuchni udawał się wprost na ambonę. Oto jedyne szczegóły jakie nas doszły z pierwszych chwil pobytu ich w Polsce. Bieda zaglądała do nich drzwiami i oknami, niedostatek najpotrzebniejszych sprzętów i rzeczy dawał się czuć na każdym kroku,

a mimo to wesoło i z wielką ufnością w opatrzność Bożą, która cechowała O. Hoftbauera, przebywali pierwsze dnie ciężkiej próby, pewni, że w końcu Pan Bóg poradzi o swej czeladzi.

Nie mniej smutne było ich położenie towarzyskie, jako Niemców w pośród stolicy polskiej, pomiędzy ludźmi bardziej niż kiedy źle usposobionymi dla cudzoziemców. Rodową bowiem nienawiść spotęgowały świeżo dokonane zabory do tego stopnia, że początkowo żaden Polak nie zbliżył się do nich, żaden nie przekroczył progu ich domu a nawet kościoła. Idących przez ulice witano szyderstwem i przezwiskami: lutrzy, heretyki i t. d.

Ale pociechą w tych strapieniach i bodźcem do wytrwania na trudnem stanowisku była dla O. Hoffbauera myśl: „Boża to wola"! „Boża to wola" powtarzał sobie razporaz we wszystkich ciężkich przejściach i kolejach późniejszego życia, jak to zeznał jego długoletni przyjaciel O. Rinn T. J. To hasło dodawało mu zapału i siły, tem też krzepił swych towarzyszy niedoli.

Uporządzono kościółek i zaczęło się nabożeństwo, na które tylko Niemcy uczęszczali i to nie zbyt licznie. Samo przybycie dwóch obcych kapłanów nie wiele obchodziło ludność, i nie było dostatecznym bodźcem do ściągnienia większych tłumów, to też pracy nie było nadto w kościele. Począł się tedy oglądać O. Hoftbauer za jakimś zajęciem, bo na to przyszedł i tego jedynie pragnął, aby szerzyć chwałę Boga i nieść pomoc ludziom. Baczne oko jego dojrzało pole wielkiej pracy i mnogich poświęceń wymagające, a leżące zupełnie odłogiem.

W Warszawie naówczas liczącej około 130.000 ludności, jak w każdem większym mieście nie brakowało na nędzy. Ostatnie wypadki krwawe, przez które kraj przechodził, pogrążyły tysiące rodzin w nędzy i sieroctwie. Mnóstwo zwłaszcza dzieci bez rodziców, zgoła bez żadnej opieki wałęsało się po ulicach wyciągając rękę po grosz jałmużny. O. Hoffbauer ze łzami w oczach patrzał na ich nędzę, a serce mu się krwawiło na samą myśl, jaka będzie przyszłość tych dziatek. Wiedział z doświadczenia do czego prowadzi takie uliczne wychowanie, i że z tych małych, z których teraz niejedno było jeszcze może niewinnem dzieckiem, wyrosną kiedyś pasożyty, wyrzutki społeczeństwa a częstokroć zbrodniarze.

A więc podać im rękę pomocną, zająć się ich losem docze-

snym i wiecznym, pokierować ich przyszłością, stało się teraz pragnieniem a zarazem zadaniem O. Hoffbauera. Sam wiele nie miał, ale i tą odrobiną dzielił się z potrzebującymi. Co dzień przebiegał ulice i place Warszawy, zbierał obdartych, głodnych uliczników, sam ich omywał, karmił, uczył prawd Bożych. Ale cóż znaczyło nakarmienie kilkunastu głodnych, kiedy setki innych wyciągało ręce prosząc o zmiłowanie. Czem była ich nędza materyalna, wobec zupełnego opuszczenia religijnego, w obec niebezpieczeństwa w przyszłości. I w duszy zakonnika powstała myśl święta a jak na środki, któremi rozporządzał — wielka: wznieść przytułek tym małym nędzarzom obok kościoła św. Benona, zastąpić im rodziców, pokierować ich przyszłością, wychowaniem ich zająć Redemptorystów w Warszawie.

Ile więc miejsca na razie starczyło w klasztorze, pomieścił najbardziej potrzebujących, a tymczasem z towarzyszami swymi zajął się zbieraniem składek. Z miłości dla ubogich dziatek stał się dobrowolnym żebrakiem. Akty procesu beatyfikacyjnego o podobnym opowiadają wypadku, jaki się zdarzył O. Boudoin. Na jednej z takich wędrówek zaszedł do gospody. Nie zwrócili nań uwagi zatopieni w kartach gracze, aż kiedy przystąpił do jednego z nich prosząc o jałmużnę. Ten rozpalony trunkiem i grą porwał się gwałtownie od stołu i za całą odpowiedź plunął mu w twarz. Niezrażony tym brutalnym postępkiem, ale z największym spokojem ocierając twarz, odezwał się doń z miłością i pokorą O. Hoffbauer. „To dla mnie panie, a teraz proszę o jałmużnę dla moich dziatek“. Ten dziwny spokój, i ta prośba pokorna umitygowały gniew. Przeprosiwszy jak najuniżeniej O. Hoffbauera podał mu hojną jałmużnę. Owszem, jak zeznał jeden ze świadków procesu, człowiek ów przedtem występny i bezbożny, odmienił odtąd zupełnie swe życie, złożywszy dożywotnią wprzód spowiedź przed O. Hoffbauerem.

Ale bieda mimo zapobiegliwości O. Hoffbauera zaglądała jeszcze razporaz do ich domu. Kraj, a zwłaszcza Warszawa, po ciężkich przejściach wojennych, były wyniszczone pochodami wojsk, i coraz to nowemi podatkami, kwesta więc nieraz nie dopisała, a tu trzeba było nakarmić kilkudziesięciu, a jak później bywało, do kilkaset wychowańców. Zapasy się przebrały, a kupić nie było za co. Ale O. Hoffbauer nie tracił na chwilę pogody duszy. Wiedział

on dobrze do kogo się ma zwrócić i pewnym był, że ten, *który karmi ptaszki polne i daje żywność kruczętom wzywającym go*, nie da zaginąć czeladce swojej. Pewnego razu, kiedy już zabrakło wszystkiego, a nie było nadziei prędkiego poratunku, udał się O. Hoffbauer, jak zawsze w podobnych razach czynić zwykł, do kościoła na modlitwę. Uklęknąwszy przed Najśw. Sakramentem w gorącej zatopił się modlitwie. Skończywszy ją, wstał, zbliżył się do tabernakulum i lekko weń pukając: „Panie, rzecze, dopomóż, bo oto czas!“. I uspokojony na duchu wyszedł z kościoła, a w tem dają mu znać, że jakiś pan nieznajomy przyszedł do furty klasztornej i złożył znaczną jałmużnę w gotówce[1]. O tym niedostatku a zarazem i błogiem działaniu pisał nuncyusz do Rzymu. Pius VI. odebrawszy tę wiadomość przeznaczył na ten cel 100 szkudów w złocie, które im corocznie miała wypłacać propaganda.

Czas niejaki, bo rok lub dwa lata najwyżej, OO. Hoffbauer i Hübl nosili sami we dwóch cały ciężar dnia i opalenia. Ale wysoka cnota nie mogła pozostać w ukryciu. Ich nieskalane życie jako kapłanów, gorliwość w niesieniu usług duchownych, bezgraniczne poświęcenie i miłość, którą ubogim okazywali, stopiły lody uprzedzeń i poczęto z szacunkiem i uwielbieniem spoglądać na tych cudzoziemców. Lud przedewszystkiem gminny, ubodzy, sieroty przylgnęły do nich całem sercem. Nie tylko już Niemcy, ale i Polacy zaczęli się cisnąć do ich kościółka. A wszystko w nim pociągało do siebie serca wiernych. I niezmordowana praca kapłanów i schludność i ozdoba domu Bożego. Zapylony i opuszczony przedtem kościółek przekształcał się powoli w prawdziwy przybytek chwały Bożej. O. Hoffbauer pojmował doskonale, że jako kapłan winien to powołaniu swemu, aby wedle sił pomnażał cześć Bożą nie tylko wewnętrzną, ale i zewnętrzną. To też mógł o sobie powiedzieć z psalmistą; *Domine dilexi decorem domus tuae.* Miejsce uszkodzonej figury św. Benona we wielkim ołtarzu zajął piękny olejny obraz przedstawiający tegoż świętego. W jednym z pobocznych ołtarzy znajdował się obraz św. Józefa, którego uważano za pierwszego i najgłówniejszego prokuratora domu, stąd też w każdej po-

[1] Haringer. Leben des ehr. C. M. Hoffbauer S. 38.

trzebie uciekano się doń z ufnością i pomyślnym skutkiem. Największą atoli uwagę ściągał na siebie obraz „Ecce homo“, który znajdował się w zbudowanej w r. 1801 przez O. Hoffbauera kaplicy bocznej, do której się wstępowało przez 12 schodów kamiennych. Obraz ten pociągał dziwnie bolesnym wyrazem Zbawcy i grał wielką rolę w licznych nawróceniach. Wielu występnych wyznało, że samo spojrzenie na ten obraz wywoływało w nich skruchę i obrzydzenie grzechu. Inni zaręczali, że im się pokazał Chrystus Pan we śnie w takiej samej postaci i nakazał udać się do Warszawy i odprawić spowiedź przed kapłanami u św. Benona [1]. W tej kaplicy znajdowała się nadto statua Matki Boskiej bolesnej, sprowadzona z Wiednia równie od pobożnych czczona, a z powodu której wiele mieli kłopotów Ojcowie za rządów pruskich, jak to później obaczymy.

Nie tylko więc lud począł się garnąć do Kościoła OO. Redemptorystów, ale niedługo poczęli się zgłaszać i kandydaci do ich Zgromadzenia. Z początku byli to obcokrajowcy ale zamieszkali oddawna w Warszawie, a przeto znający dokładnie zarówno język niemiecki jak i polski. Jednym z pierwszych był O. Jesterheim późniejszy długoletni minister domu i zawołany muzyk, którego umiejętne kierownictwo chóru zwabiało później tysiące do kościółka św. Benona. Już w r. 1790, jak to widać z listu do O. Jenerała, liczyło Zgromadzenie sześciu księży, a byli niemi OO. Hoffbauer, Hübl, Jesterheim, Ecker, Rudolf i jeden nieznany z nazwiska.

(C. d. n.)

[1] Haringer. Leben des ehr. C. M. Hoffbauer S. 33.

Ks. Zdzisław Bartkiewicz.

CUDA I ICH ZNACZENIE W DZIEJACH OBJAWIENIA.

(Ciąg dalszy).

III.

Przyznanie Panu Bogu wolnego a bezpośredniego działania w naturze, które łatwo rozróżnić od wszelkich innych skutków, siłami przyrody sprawionych — oto rezultat naszych przedwstępnych badań. Teraz potrzeba nam poznać, jakie jest znaczenie cudów w obec objawienia, i wykazać ich związek z prawdami od Boga objawionemi, polegający na tem, że cuda są niejako pieczęcią stwierdzającą ich pochodzenie boże.

Że taki przedewszystkiem jest walor cudów, tego dowieść nie trudno. Czemże bowiem innem da się stwierdzić skuteczniej i pewniej autentyczność misyi Bożej, jeśli nie cudami? Przypatrzmy się temu bliżej. Oto jawi się wśród świata człowiek głębszą wiedzą zgoła nie uposażony, nie posiadający wyższego wykształcenia i ogłasza się posłańcem Bożym. W imię tegoż posłannictwa głosi on ludziom naukę nową, o jakiej nikt dotąd nie słyszał, naukę może nawet przeciwną wszystkim dotychczasowym zdobyczom wiedzy, nieprzyjaźną wszelkim zasadom panującej religii i moralności. Co więcej, żąda on bezwarunkowego przyjęcia tej nauki, zupełnego poddania rozumu i woli, a to pod utratą wiecznego szczęścia w przyszłości. Czyż takiego posłańca, występującego z tak wygórowaną pretensyą, mają przyjąć ludzie nie pytając się zgoła o dowody, stwierdzające jego posłannictwo. Czyż wierzący li tylko jego słowom i świadectwu, które sam sobie składa, nie postąpiliby sobie lekkomyślnie i niedorzecznie. *Qui credit cito*,

levis est corde[1] upomina mędrzec Pański. Piotr zaś święty zaleca, *abyśmy zawżdy gotowymi byli ku dosyć uczynieniu każdemu domagającemu się od nas sprawy o tej nadziei, która w nas jest*[2], a którą wiara podaje. A Paweł święty żąda, abyśmy wszystko badali, co nam jako proroctwo lub słowo Boże ogłoszonem będzie, *a wszystkiego doświadczajcie, co dobre jest dzierżcie*[3]. Zresztą i zwyczaj powszechny każe domagać się dokumentów stwierdzających taką misyę i dowodów popierających nową naukę, i uświęca tem samem prawo rozumu. Ale o inny szkopuł rozbija się tu dobra wola. Nauka głoszona w imieniu Boga jest nie tylko ponad rozum ludzki, ale owszem zdaje się mu być przeciwną. Powołać ją przed trybunał rozumu nie podobno. Lecz czyż dlatego wolno jej nie uznać. Czyż odrzucenie jej z tego tylko powodu, że jej zrozumieć i zgłębić nie jesteśmy w stanie, nie byłoby niedorzecznem? Wszakżeż w nieskończonej mądrości Bożej mieści się bezdenne i bezbrzeźne morze światłości, którego ogarnąć nie zdoła ciasne łożysko naszego rozumu. Prawdy w obec Boga jasne i zrozumiałe, mogą dla nas być tajemnicami, a mimo to nie przestaną być prawdami, choć ich nasz rozum nie dościga. Ale prawdy te przedstawione są jako przedmiot wiary, a nie badania, w razie więc nawet gdybyśmy się przekonali o ich prawdziwości, nie nabylibyśmy jeszcze przez to samo pewności, że one pochodzą od Boga. Wiary domaga się Apostoł dla prawd i tajemnic Bożych, we wierze zaś podwójny mieści się element: uznanie prawdy objawionej i uznanie, że ona od Boga pochodzi.

Jeśli zaś potrzeba jakiegoś badania i przekonania się, żeby wiara nasza nie była łatwowierną, to przedmiotem tego egzaminu nie mogą być prawdy same w sobie, ale sam fakt ich ogłoszenia, czy istotnie od Boga pochodzą lub nie. To zaś ogłoszenie ich imieniem Boga będzie rzeczą widoczną, jeśli posłannictwo apostoła od Boga początek swój bierze, i ogłoszenie tych prawd w zakres tegoż posłannictwa wchodzi. To więc oboje powinien udowodnić ten, który się posłańcem Bożym być mieni.

---

[1] Eccles. XIX. 4.
[2] I. Piotr. III. 15.
[3] I. Tess. III. 20, 21.

Ale w jakiż to sposób, lub przez co udowodni on swe posłannictwo od Boga. Czyż subjektywna jego pewność o tem, że go Bóg posyła, wystarczy do przekonania innych? Wierząc w jego prawdomówność, czyż moglibyśmy się pozbyć obawy, że nie podlegamy złudzeniu i oszukaniu, choć nie zamierzonemu, ale zawsze rzeczywistemu? Czyż ta pewność o posłannictwie Bożem nie może być owocem egzaltowanej fantazyi. Wszak sama historya objawienia wykazuje mnogie przykłady takich proroków niepowołanych, wierzących jednak silnie, że są wybrańcami Boga na ogłoszenie jego nauki. Zresztą jakie dowody przytoczy on na poparcie swej prawdomówności? Ani prostota charakteru, ani prawość życia, ani gotowość na śmierć nie daje bezwarunkowej rękojmi o prawdziwości słów jego. Zawsze można powątpiewać, czy przypadkiem nie gra tu roli interes osobisty, czy może go duma, lub jakaś inna namiętność do tyla nie oślepiła, że zupełnie albo chwilowo odstąpił od zwykłej prawości, albo ją zużytkowuje mimo swej wiedzy i woli dla dopięcia swego celu. Sama nawet gotowość na śmierć czyż nie może być fanatycznie podjętą ofiarą, której pobudki dałyby się odszukać w dumie, zarozumiałości lub żądzy przekazania swego imienia dalekiej potomności. A więc — sam posłaniec Boży nie ma nic takiego ani w osobie swojej, ani w przymiotach, ani urzędzie swoim, czemby mógł stwierdzić swoje posłannictwo, z wykluczeniem wszelkiej rozumnej a możliwej wątpliwości.

Tymczasem w świecie nawet, w rzeczach mniejszej wagi, któż da wiarę temu, co się podaje za królewskiego posłańca, jeśli urzędu swego nie udowodni niewątpliwymi dokumentami. I dlatego żaden król nie odmawia posłowi swemu listów uwierzytelniających.

Tak samo powinien Bóg tego, którego wybrał na posła swego, akredytować przed światem listem niewątpliwie boskim. Takimto listem są czyny jego wszechmocy i mądrości, te bowiem tylko przymioty Boże występują na zewnątrz, a objawy ich zdolne są wykluczyć wszelkie rozumne nawet powątpiewanie i utwierdzić ludzi w przekonaniu o interwencyi Bożej.

Władać więc musi dziełami wszechmocy Bożej apostoł, a to tak dalece, aby każdy patrząc na nie rzec musiał: nie sprawy to ludzkie, ale Boże, bo człowiek takich czynów nie jest zdolny. Nadto uposażony on być musi taką wiedzą, która przenika tajniki dale-

kiej a niedoścignionej dla oka ludzkiego przyszłości, aby każdy, wiedząc o przepowiedniach, a patrząc na ich urzeczywistnienie, zniewolonym był zawołać: tego człowiek odgadnąć nie mógł, ale *digitus hic Dei est.*

Jednem słowem moc czynienia cudów musi Pan Bóg posłańcowi powierzyć i daru proroczego mu udzielić, aby każdemu domagającemu się sprawy z jego nauki mógł powiedzieć: W imieniu Bożem przyszedłem i głoszę jego naukę, oto znaki, że mnie posłał Bóg.

A że z takiem posłannictwem łączy się niemylna prawda, gwarantuje nam nieskończona prawdomówność Boga, który, jak sam omylić się nie może, tak też i nikogo w błąd wprowadzić nie jest w stanie. Stąd znamion tych posiadać nie może ten, którego Bóg nie posyła.

Mógłby Pan Bóg z pewnością inną także drogą trafić do serc ludzkich, aby apostołowi swojemu zjednać u nich wiarę i posłuch, ale to pewna, że w obecnym porządku objawienia żadnym innym środkiem się nie posługiwał Bóg; ale cudami jedynie i proroctwami uwierzytelniał i cechował posłów swoich do świata. Uwierzył człowiek pierwszy na same słowa upadłego anioła, nie pytając o dowody, jedynie pychą się powodując, którą w nim pobudził duch zły przez fałszywe obietnice, a więc postanowił Bóg; niech się ten człowiek ukorzy i uwierzy teraz człowiekowi, nie lekkomyślnie ale roztropnie i mądrze postępując, to jest przekonawszy się, że przez usta człowiecze mówi Bóg, stwierdzając mowę swą boską swą wszechmocą i mądrością. Tento walor cudu polegający na tem, że cud uważa się za pieczęć Boską, opiera się na ogólnem przekonaniu ludzi, co widząc cud towarzyszący nowo ogłoszonej nauce, poczytują go za znak stwierdzający nieomylnie Boskie jej pochodzenie, a z drugiej strony, słysząc prawdy lub rozkazy w imieniu Boga dawane, domagają się koniecznie cudu, któryby im odjął wszelką wątpliwość, że nie podlegają oszukaniu. A to przekonanie datuje się nie od dziś, nie od wczoraj, ale tak dawne jak rodzaj ludzki. Przypatrzmy się Żydom, którym Chrystus ogłasza swą ewangelię, czyż dają wiarę jego słowom natychmiast i bezwarunkowo. Kiedy Chrystus Pan wyrzucił kramarzy i handlarzy z kościoła i odezwał się do nich z powagą prawodawcy: *Nie czyńcie domu Ojca mojego domem kupiectwa*, Żydzi domagają się cudu, którymby stwierdził

prawo występowania w imieniu Boga: *co za znak okazujesz nam, iż to czynisz*, a na to obiecuje im Chrystus Pan cud własnego zmartwychwstania.

Podobnie kiedy Chrystus Pan żądał od Żydów, aby nie szukali jedynie pokarmu cielesnego, ale onego pokarmu, który im miał podać syn człowieczy — pokarmu wiary, a przedewszystkiem wiary w Niego, sam dodaje, *albowiem tego* (syna człowieczego) *Ojciec Bóg zapieczętował.* I kiedy Żydzi pytali, cóż tedy za znak dajesz nam, abyśmy ujrzawszy go, uwierzyli tobie, Chrystus Pan, dniem przedtem nakarmiwszy cudownie kilkutysięczną rzeszę paru chlebami, łatwo mógł się na to powołać, to też Żydzi uprzedzając tę jego odpowiedź mówią: *Ojcowie nasi jedli mannę na puszczy, jak napisano, chleb z nieba dał im jeść*[1], chcąc temi słowami powiedzieć — twoje wczorajsze dzieło zanadto małe — Tyś nam dał ziemski chleb, podczas kiedy Mojżesz dał Ojcom naszym chleb niebieski — uczyń i ty coś podobnego, a uwierzymy Tobie. Cudu się więc domagają, cudu wielkiego i jawnego, aby wierzyli, że Bóg go posłał. Jak Żydzi żądają cudów, aby wierzyć mogli w posłannictwo Boskie Chrystusa Pana, tak i On sam cuda ofiaruje, aby ich do tej wiary nakłonić.

Mówiąc wyraźnie o świadectwie, którem posłannictwo swoje od Ojca mógł wykazać, powiedział: *Jeśli ja sam o sobie daję świadectwo, świadectwo moje nie jest prawdziwe,* tj. może was nie przekonać, może się wam zdawać wątpliwem. *Inszy jest, który o mnie świadczy. Albowiem uczynki, które dał Ojciec, abym je wykonał, i same uczynki, które ja czynię, świadczą o mnie, iż mię Ojciec posłał*[2]. Jakie uczynki? Oto uzdrowienie człowieka, który trzydzieści ośm lat zostawał w ciężkiej niemocy. Ten cud bowiem wywołał długie spory między Żydami, gdyż był jawnem świadectwem słów Chrystusowych, a zarazem potępieniem niewiary Żydów. Niemniej jasno wypowiedział to Chrystus Pan w uroczystość poświęcenia kościoła. Przechadzającego się po krużgankach świątyni obstąpili Żydzi pytając: *Dokądże duszę naszą na rzeczy trzymasz? Jeśliś ty jest Chrystus, powiedz nam jawnie.* A odpowiedział im

[1] Jan. 6.
[2] Jan. V. 31—36.

Jezus: *Powiadam wam, a nie wierzycie.* I na świadectwo prawdziwości słów swoich powołuję się na uczynki swoje. *Sprawy, ktore ja czynię w imię Ojca mego, te o mnie świadectwo dają... jeśli nie czynię spraw Ojca mego, nie wierzcie mi; a jeśli czynię, chociażbyście mnie wierzyć nie chcieli, wierzcież uczynkom, że Ojciec jest we mnie, a ja w Ojcu*[1].

Jaśniej jeszcze wytłumaczył, jakie to są sprawy Ojca, kiedy Filip, słysząc go mówiącego o powrocie do Ojca, przerwał mu mowę prośbą: *Panie! ukaż nam Ojca, a dosyć nam. Filipie!* powiada doń Chrystus, *kto mię widzi, widzi i Ojca; jakoż ty mówisz, ukaż nam Ojca. Albo nie wierzycie, że ja w Ojcu a Ojciec jest we mnie? Słowa, które ja do was mówię, nie od samego siebie mówię, lecz Ojciec we mnie mieszkający, on czyni uczynki,* na potwierdzenie moich słów. *Nie wierzycie iżem ja w Ojcu, a Ojciec we mnie jest. Wżdyż dla samych uczynków wierzcie*[2]. I cóż to są za uczynki, które Ojciec w Jezusie mieszkający czyni, jeśli nie uczynki wszechmocy jego?

A mówiąc o niewierze, która go spotkała ze strony Żydów, od tych, którzyby najpierw powinni mu byli uwierzyć, całą jej grzeszność z tego wyprowadza, że widzieli cuda, a przecież im wierzyć nie chcieli. *Gdybym między nimi uczynków nie czynił, których żaden inny nie czynił, nie mieliby grzechu: lecz teraz i widzieli i znienawidzili i mnie i Ojca mojego*[3]. O jakich uczynkach, o jakich to sprawach Chrystus mówi, na mocy których tak stanowczo wiary się domaga? czy to zwyczajne sprawy jego życia ludzkiego? Tak chcieliby je rozumieć niektórzy protestanccy tłumacze Pisma świętego: De Wette, Dr. Lückke, Stark, Tholuch. Ale zaiste nędzne to tłumaczenie. Chrystus Pan mówi wyraźnie o uczynkach, które sam Ojciec w nim mieszkający sprawia, że wedle natury ludzkiej nie byłby ich zdolny zdziałać, ale kiedy je sprawia, to jedynie mocą swej jedności z Ojcem.

Ale może Chrystus Pan mówił tu o objawach swojej cnoty, o wzorach życia świętego, czy może chciał przez to powiedzieć: Patrzcie na moje życie, dalekie od najmniejszego grzechu, wolne nawet

[1] Jan. XVI, 25, nast. 37, 38.
[2] Jan. XIV, 11, nast.
[3] Jan. XV. 24.

od wszelkiego cienia grzechu, czy z takiem życiem da się pogodzić brzydkie oszukaństwo w rzeczach religijnych? o tem nie myślał Chrystus, kiedy się na uczynki swoje powoływał. Powiedziawszy bowiem: *dla samych uczynków wierzcie*, dodał: *Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, kto wierzy we mnie, uczynki, które ja czynię, i on czynić będzie; i większe nad te czynić będzie*[5]. Na takie więc czyny Chrystus Pan się powołuje, które i inni ludzie wierzący w Niego działać mogą, a większe nawet od Niego. Żeby ktoś mocą wiary większe cuda działał, niż Chrystus Pan sam w życiu swojem ziemskiem, w tem nie masz żadnej sprzeczności, ale żeby ktoś swoją świętobliwością przewyższył Chrystusa Pana, który był świętym świętością samego Boga, to już niepodobno, i nie zgadza się z wyraźnemi słowami Chrystusa Pana, który powiedział, że i sprawiedliwy siedm razy w dzień upada.

Nie ma potrzeby dowodzić, że Chrystus P. sam i święci pisarze sprawami nazywają cuda i znaki. Tak Jan św. donosi o pierwszych skutkach kaznodziejstwa Chrystusa Pana. *Wiele ich (Żydów) uwierzyło w imię Jego, widząc cuda Jego, które czynił*[1], a przyczynę, dla czego tylu ludzi chodziło za Jezusem, zapominając nawet o pokarmie niezbędnym do życia, tę podaje: *widzieli znaki, które czynił nad tymi, co chorzeli*[2]. Sama bojaźń przed faryzeuszami zdradza tę prawdę, że cuda Chrystusowe skłaniały wielu do wiary w Niego: *Cóż czynimy, mówią, albowiem ten człowiek wiele cudów czyni? Jeśli go tak zaniechamy, wszyscy weń uwierzą*[3]. A mówiąc o tychże faryzeuszach, którzy nie wierzyli weń, choć tak wiele cudów czynił przed nimi, powołuje się na Izajasza proroka, który to przepowiedział: *Panie, któż uwierzył słuchowi naszemu; a ramię pańskie komu jest objawione*[4]? to jest — rzadki wierzy sprawowanemu przez nas posłannictwu, a choć ramię Pańskie swą wszechmocą je potwierdza, ledwo kto znaki te rozumie!

Jan św. upatruje w tym grzechu, że pomimo tylu cudów nie chcieli uwierzyć, powód, dla którego Bóg ich karał zupełną zatwar-

---

[1] Jan. II, 23.
[2] Jan. VI, 2.
[3] Jan. XI, 47, 48.
[4] Jan. XII, 38.
[5] Jan. XIV, 11, 12.

działością: *Zaślepił oczy ich i zatwardził serca ich: aby oczyma nie widzieli i sercem nie rozumieli* [1]. Jeśli zaś ta pogarda cudów, stwierdzających posłannictwo Jezusowe, jest tak wielkim grzechem, że ściąga na się największą karę Boga — oślepienie rozumu i zatwardziałość serca — to owe cuda muszą być najjaśniejszym i najpewniejszym dokumentem prawdziwości boskiego posłannictwa.

A nie tylko Chrystus Pan odwołuje się na swoje cuda, jako na dowód swego boskiego posłannictwa, ale nieraz ten cel wyraźnie określa, kiedy zamierza cud czynić, i opatrznością swą niejako przygotowuje zdala przedmiot do cudu. I tak np. kiedy Chrystusowi doniesiono, że Łazarz zachorował, mówi, że ta *choroba nie jest na śmierć, ale dla chwały Bożej, aby był uwielbion Syn Boży przez nią.* Później znów, oznajmując uczniom swoim śmierć Łazarza, dodaje: *radem dla was, iżem tam nie był, abyście wierzyli,* jak gdyby chciał przez to powiedzieć: dla waszej wiary śmierć Łazarza daleko większą ma doniosłość, niż gdybym będąc obecny przyprowadził chorego do zdrowia, bo w tej śmierci okaże się we mnie chwała Boża. I przystępując do grobu podniósł oczy swe w górę i rzekł: *Ojcze, dziękuję tobie, żeś mię wysłuchał, a jam wiedział, że zawsze mnie wysłuchiwasz, alem rzekł dla ludu, który około stoi, aby wierzyli, iżeś ty mię posłał. To rzekłszy zawołał głosem wielkim: Łazarzu, wynijdź z grobu* [2].

W podobny sposób postępuje Chrystus przy uzdrowieniu ślepo narodzonego. Uczniowie pytają go: *Rabbi, kto zgrzeszył, ten sam co ślepy jest, czy rodzice jego, iż się ślepym narodził,* a Chrystus im odpowiedział: *Ani ten zgrzeszył, ani rodzice jego, ale żeby się sprawy Boże w nim okazały;* jakież to sprawy boskie? cuda Chrystusa! *Mnie bowiem potrzeba sprawować sprawy onego, który mię posłał.*

Z tego wszystkiego jasno widać, że właściwy cel cudów wszystkich, nie mieści się w obrębie świata fizycznego — należą wprawdzie i one do porządku świata, ale do porządku moralnego, gdyż są w planie Boskiego panowania niezbędnym warunkiem, aby skło-

---

[1] Jan. XII, 40.
[2] Jan. XI, 4, 15, 41—43.

nić człowieka do spełnienia najświętszego obowiązku, tj. do przyjęcia religii objawionej.

Taką rolę zawsze przypisywano cudom. Wśród apologetów chrześcijańskich nie masz ani jednego, któryby nie dowodził boskiego pochodzenia chrześcijaństwa od Chrystusa przez cuda, przez uczniów jego i wiernych w Kościele zdziałane. Tak Justyn filozof, pokazując, że chrześcijanie nie grzeszą przeciw rozumowi, wierząc w Chrystusa i w Ducha świętego — dowodzi tego przez cuda i proroctwa [1]. Podobnie postępuje Ireneusz [2]. Origenes przeciwstawia Celsowi podwójny dowód prawdziwości wiary, który Apostoł nazywa (ad Corinth. I. 2. 4.) *okazaniem ducha i mocy*, okazaniem ducha w proroctwach na Chrystusie przedewszystkiem spełnionych, okazaniem mocy w cudach, które czynił [3]. A jeden z starodawnych pisarzy kościelnych, którego dzieła przez długi czas przypisywano św. Bazylemu, „wiara, mówi, nie opiera się na geometrycznych ko„nieczności ach, ale na cudach od Ducha Bożego uczynionych, z cu„dów wypływa konieczne uznanie Boskości Syna jednorodzonego“ [4].

Posłuchajmy co mówi św. Augustyn, o nim bowiem utrzymują niektórzy, że nie przywiązuje wielkiej wagi do tego dowodu. „Cóż „znaczą, mówi on, te tak wielkie i liczne cuda, skoro i on sam wy„znaje, że dzieją się nie z innego powodu, tylko aby Mu wie„rzono... Przez cuda pozyskał sobie (Chrystus) powagę, powagą „zdobył wiarę, wiarą pociągnął mnogość ludzi, mnogością doszedł „do starożytności, starodawnością utrwalił religię [5]. Całą siłę tego dowodu okazał Ryszard od św. Wiktora w klasycznie pięknej apostrofie: „Jeśli błędnem jest to co wierzymy, od Ciebie oszukani je„steśmy, gdyż przez takie znaki została nauka ta potwierdzoną, „jakie sam tylko działać zdołasz“ [6]. Siła tego dowodu pokazuje się

[1] Apol. I. n. 13, 30, 39, ss. et in Dial. n. 7.
[2] Lib. IV. c. 26. n. 1.
[3] Contra Celsum l. I. n. 2.
[4] Inter. opp. Bas. t. I. hom. in Psalm. 115.
[5] De Trinit. l. I. c. 2.
[6] De utilitate credendi n. 32.

najjaśniej z przyjęcia i zachowania chrześcijańskiej wiary pośród i pomimo wiekotrwałych walk, prowadzonych nie tylko bronią wiedzy, sofizmu i szyderstwa, ale też i bronią krwawą tyranów i pogańskich sędziów. Zaiste, patrząc na to z św. Augustynem trzeba powiedzieć. „Jeśli wiara chrześcijańska bez cudów tak wielkie zwy„cięstwo odniosła nad światem, to bezwątpienia największym jest „cudem".

Czując tę doniosłość cudów, wszyscy fałszywi prorocy innych religii usiłowali i dla swoich błędów uzyskać tę pieczęć bożą. Sami nawet reformatorowie XVI. wieku, widząc że bez nich się nie obejdzie, wytężali swe siły, aby w życiu swego mistrza wynaleść jakieś fakty, któreby można za cuda poczytać i ogłosić. A że trudno było dopatrzeć się czegoś podobnego w życiu Lutra, za największy cud ogłosili to, że jeden ubogi mnich zdołał wstrząsnąć przez tyle wieków niezwyciężonem papiestwem, i tak długo napróżno szukaną reformacyę zwycięsko ustalić.

Sama nienawiść, z którą się miota na cuda dzisiejsza filozofia materyalistyczna, nie gdzie indziej ma swe źródło, jak tylko w tej właśnie sile cudów, że stwierdzają niemylnie religię od Boga objawioną. Materyalizm nie chce uznać Boskiej religii, panteizm odrzuca objawienie nadnaturalne — nowy protestantyzm, który opanował racyonalistyczne związki protestantów (Protestanten-Verein) wyrzeka się Chrystusa, prawdziwego Boga — a wszyscy *unitis viribus* występują przeciw cudom; jedni przeczą ich możliwości, inni możebności rozeznania ich od działalności natury — bo cuda dowodzą jasno, że oprócz natury jest inna sfera przyczyn, od której sam świat zależy — bo cuda dowodzą, że istnieje objawienie prawd niedoścignętych przez rozum ludzki — bo cuda dowodzą, że Chrystus jest Synem Bożym. Słowem, boją się cudów, bo cuda zburzyłyby wszystkie te piękne ich systemy z takim mozołem nie rozumu, ale imaginacyi zbudowane, zniszczyłyby wszystkie te urojenia namiętnościom tak pożądane, które miały zastąpić na zawsze wszelką religię objawioną.

Judicia tua credibilia facta sunt nimis, mówi król prorok, mając przed oczyma te boskiego objawienia znamiona; cóż dziwnego, jeśli walka nienawistna przeciwko nim zaślepiła rozum i zatwar-

działa serce tych nowych faryzeuszów tak dalece, *ut videntes non videant et intelligentes non intelligant.* Wszystkim tym zamachom na możebność i znaczenie cudów przeciwstawia Kościół św. nieomylny swój wyrok: *Jeśliby kto rzekł, że objawienie Boże nie staje się wiarogodnem przez znaki zewnętrzne, i że przeto każdy człowiek powinien się skłaniać do wiary powodowany wewnętrznem tylko przekonaniem, albo prywatną inspiracyą — niech będzie przeklęty!* [1].

(C. d. n.)

X. Antoni Langer.

---

[1] Si quis dixerit revelationem divinam externis signis credibilem fieri non posse, ideoque sola interna cujusque experientia, aut inspiratione privata homines ad fidem moveri debere, anathema sit. Conc. Vatic. Sess. 3. de fide, Can. 3.

ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU

ODNOŚNIE DO PISMA ŚWIĘTEGO.

II. Asyryologia.

(Ciąg dalszy).

---

6. Stworzenie świata i Potop według kronik klinowych.

Stworzenie świata. Księga Enuma-elis zawiera opis stworzenia; porównanie tekstu asyryjskiego z tekstem biblijnym. — Hymn o „siedmiu złych duchach“ nawiązuje się z biblijnym upadkiem Aniołów. — W niektórych hymnach mitologicznych dostrzegają się ślady podań o grzechu pierwszych ludzi. *Potop.* Poemat asyryjski opowiadający „Przygody Izdubara“ zawiera opis Potopu. — Tłumaczenie dosłowne tekstu asyryjskiego. — Zestawienie tekstu biblijnego z tekstem asyryjskim. — Chaldejczycy nie odpisali swego dzieła od Hebrajczyków.

Drugi dopiero dziesiątek lat dobiega od czasu, w którym odnaleziono, wśród biblioteki asyryjskiej, dwa dokumenta pierwszorzędnej doniosłości, mianowicie zaś, opowiadanie o Stworzeniu świata i o Potopie.

Było to około roku 1870. Młody rzeźbiarz, Jerzy Smith, używany do pomocy przy wydawnictwie „Napisów z Zachodniej Azyi“, zwrócił na siebie uwagę Sir Rawlinsona z powodu niezwykłej przenikliwości w odczytywaniu pisma klinowego. Przy pomocy podręcznika, wydanego przez Norris'a, i słownika chaldejsko-hebrajskiego Fürst'a, poduczył się Smith tyle po asyryjsku, iż mógł rozumieć zawartość tekstów; niebawem tak daleko postąpił, iż na przedstawienie seniora asyryologów, dyrektorowie British Muzeum powierzyli mu rozpatrzenie się w bibliotece Assurbanipala. Wytrwałość brytyjska i rzeczywisty zmysł asyryologiczny dozwoliły Smithowi uporządkować 20 000 czerepów klinowych, i stosownie do

przedmiotu, jaki zawierały, podzielić je na odpowiednie działy. Jako specyalne zadanie obrał sobie do opracowania dział religijny, przeczuwał instynktowo, iż tam znajdzie ślady podań biblijnych. Nadzieja go nie zawiodła, a skutek przeszedł nawet wszelkie oczekiwanie. Dnia 3 grudnia 1872 r. Smith na posiedzeniu *Society of Biblical Archaeology* miał odczyt o odkrytym przez siebie poemacie epicznym, opisującym czyny bohaterskie Izdubara. Poemat składał się z dwunastu ksiąg, księga XI-ta zawierała opis Potopu. Odkrycie to wywarło ogromne wrażenie w świecie naukowym angielskim, a imię Smith'a zapisane zostało niestartemi głoskami w umiejętności asyryologicznej. Niebawem napotkał też Smith urywki opowiadania o Stworzeniu świata. Tak w pierwszem jak i w drugiem podaniu asyryjskiem zauważono nader uderzające podobieństwo do opowiadania biblijnego.

Smith wysyłany na dwa zawody do Mezopotamii, każdą razą wracał z nowymi odłamami klinowymi, które uzupełniały braki biblioteczne w British Muzeum [1]. Wyprawy naukowe nie odrywały go od badania tekstów: zestawiał odłamy, dokonywał tłumaczenia, i sprawozdania ze swych prac zamieszczał bądź w specyalnych czasopismach, bądź w osobnych dziełach; wreszcie w r. 1875 wydał: *The Chaldean account of Genesis*, w którem ogłosił tłumaczenie wszystkich tekstów asyryjskich, jakie znajdowały się podówczas w British Muzeum, a odnoszących się do podań religijnych.

W niniejszem zdaniu sprawy zaczniemy od rozbioru dokumentów odnoszących się do Stworzenia świata; tłumaczenia tekstów przytaczamy według najpoprawniejszych źródeł asyryologicznych [2].

Księga asyryjska *Enuma-elis* opisuje Stworzenie świata. Odwrotna strona tablicy I-ej obznajamia nas z jej pochodzeniem:

1. Pierwsza tablica (dzieła) Enuma-elis.
2. Pałac Assurbanipala, króla narodów, króla Asyryi,
3. Któremu Nebo i Tamit udzieliły uważnych uszów.
4. (jego) widzące oczy, przeglądały rytowane znaki tablic,

---

[1] Jerzy Smith zmarł w 36 roku życia w Alepie, podczas swej trzeciej wyprawy na Wschód w roku 1876.

[2] Tłumaczenie tekstów asyryjskich podajemy według nowego wydania Smith'a przez Sayce'a (1880), a również według poprawek Oppert'a, Lenormant'a i Haupt'a.

5. to pismo, którego z pomiędzy królów moich poprzedników,
6. żaden nie zauważył.
7. Tajemnice Neba, piśmiennictwo księgozbioru jak najodpowiedniej
8. na tablicach spisałem, wyryłem, wytłumaczyłem i
9. dla wiadomości mego ludu w pałacu moim umieściłem.

Księga ta pisana jest czystym językiem asyryjskim, bez żadnych akadyjskich przymieszek, a ponieważ nie wspomina wcale, iż była prostym odpisem, należy zatem ją uznać za oryginalną wersyę asyryjską, pochodzącą z VII-go w. przed Chr. Źródła jednakże, na których autor osnuwał swe opowiadanie, musiały być piśmienne, dawniejsze, prawdopodobnie chaldejskie, stamtąd bowiem pochodziły inne księgi asyryjskie, w Chaldei również odnaleziono inną wersyę o tym samym przedmiocie; wreszcie Berozus utrzymuje, iż z ksiąg babilońskich czerpał materyały do swej historyi.

Szczątki tylko księgi *Enuma-elis* doszły rąk naszych: posiadamy mianowicie pierwszą i piątą kartę; kilkanaście innych odłamów, które do niej niezawodnie należą, nie dają żadnej wskazówki, do których stronic porządkowych zaliczyć je wypada.

Kronikarz asyryjski tak rozpoczyna swą opowieść:

1. Dawniej (Enuma-elis) co jest w górze nie nazywało się niebem,
2. A co jest w dole na ziemi nie miało nazwy.
3. Otchłań bezgraniczna była ich początkiem.
4. Morze [1], które wszystko zrodziło, było odmętem.
5. Wody zostały zebrane razem. Wówczas
6. były zupełne ciemności, bez żadnego światła, wietrzna burza bez spoczynku [2].
7. Dawniej bogowie nie istnieli jeszcze,
8. żadne imię nie było nazwane, żaden los nie był przeznaczony.
9. I bogi wielkie są uczynione.
10. Bożek Lachmu, bożek Lachamu są uczynieni, i

---

[1] W tekście stoi: *mu-um-mu ti-amat*; wyraz ten złożony przedstawia pierwotny stan świata, asyryologowie tłumaczą go w znaczeniu morza. Ob. KAT², str. 6—13.

[2] Der Sinn der Phrase wäre hiernach: „Das Dunkel war noch nicht hinweggenommen", lagerte vielmehr noch über dem Chaos, und dieses der Grund, dass „ein Spross noch nicht aufschoss", wozu es eben des Lichtes und der Sonne bedarf. Diese Vorstellung von einer über dem Chaos lagernden „Finsterniss" ist durchaus in Uebereinstimmung wie mit dem biblischen Berichte, so auch mit des Berosus: *Tempus aliquando erat, inquit, quo cuncta tenebrae et aqua erant.* (Euseb. Chr.) KAT², str. 9.

11. poczęli rość w liczbę...
12. Bożkowie Assur i Kissur...
13. Wielka ilość dni i długi czas...
14. Bożek Anu...
15. Bożkowie Assur i... (brak reszty).

Ten początek opowiadania uderzające stanowi podobieństwo z drugim wierszem księgi Rodzaju. Mojżesz pisze: „A ziemia była pusta i próżna, i ciemności były nad głębokością, a Duch Boży unaszał się nad wodami". Podobieństwo rozciąga się nietylko do rzeczy, lecz nawet do samych wyrazów. Pismo św. w oryginalnym tekscie mówi, że ziemia była *tohu va bohu*, pusta i próżna; *tohu* pochodzi od *tehom*, a kronika klinowa używa w tem samem znaczeniu wyrazu *tihamet*[1].

Piąta tablica dzieła *Enuma-elis* opisuje stworzenie gwiazd, zodjaku, planet, słońca i księżyca.

1. Uczynił odpowiednie mieszkanie dla wielkich bogów.
2. Umieścił tam gwiazdy, utwierdził *lumasi*.
3. Urządził obrót roczny i podzielił na dekady (misrat).
4. Dla każdego z dwunastu miesięcy wyznaczył trzy gwiazdy.
5. Od dnia rozpoczęcia roku do jego upłynienia.

---

[1] Besides the name of the chaotic deep called *tehom* in Genesis, which is, as has been said, evidently the *Tiamat* of the Creation text, we have in Genesis the word *tohu*, waste, desolate, or formless, applied to the chaos. The correspondence between the inscription and Genesis is complete, since both state that a watery chaos preceded the creation, and formed, in fact, the origin and groundwork of the universe. We have here not only an agreement in sense, but, what is rarer, the same word used in both narratives as the name of this chaos, and given also in the account of Damascius. *The Chald. acc. of. Genesis.* G. Smith, str. 60

Infatti, il *tehom* ebraico, cioè *l'abisso* primordiale, ha il suo parallelo nel *tihamet* caldeo, che è il *mare* generatore d'ogni cosa; e nel *tihamti* ovvero *tihavti*, che presso gli Assiro-caldei fu sempre usitato per esprimere il *mare*: anzi eglino fecero del nome stesso una Dea, la *Bilit-Tihavti* che presedeva al Caos ed alla creazion dei mostri da esso generati; ed è la *Thavath* di Beroso, altrimenti detta *Omoroca*, di cui sopra abbiam parlato. Come altressì dall'ebraico *tohu va bohu* (inanis et vacua) che sembra essere stata fin dai primi tempi presso tutti i Semiti l'espressione caratteristica del Caos, gli Assiri formarono il Dio *Bahu*, o *Bau*, che è appunto il Dio del Caos. *L'imp. di Bab. e di Nin.* P. Brunengo. v. I. p. 81.

Dieses *tiamtu* ist natürlich mit dem hebr. תְּהוֹם, abgesehen von der Femininendung (vgl. assyr. *irsituv* „Erde" neben hebr. אֶרֶץ), einfach identisch. KAT². Schrader, str. 6.

6. Ustanowił mieszkanie dla bożka Nibiru, aby dnie szły według praw,
7. Aby się nie skracały i nie były przerywane.
8. Umieścił obok mieszkanie dla Bela i Hea,
9. Otworzył również wielkie wrota w rogach (świata).
10. Umocnił *Sigar* z lewej i prawej strony,
11. W pośród niego urządził schody.
12. Nannar (księżyc) postawiony został dla przyozdobienia nocy,
13. Rozkazał mu również, aby zakrywał noc a przedłużał dzień.
14. (Mówiąc): co miesiąc bez przestanku spełniaj twój okrąg,
15. w początkach miesiąca noc powinna panować,
16. rogi będą niewidzialne, albowiem niebo się odnawia.
17. Siódmego dnia niech się krąg wypełni,
18. lecz w połowie zostanie w cieniu.
19. W tym czasie słońce będzie na widnokręgu podczas twego (wzejścia),
20. Określ twój (kształt)...
21. (Odtąd) zwróć się i szukaj słońca.
22. (Wówczas) ciemności powrócą; słońce się zmieni,
23. ...szukaj jego drogi.
24. (Wschodź i) zachodź według praw odwiecznych.

Główne tło powyższego opowiadania zgadza się z opisem Stworzenia, przypadającym w czwartym dniu u Mojżesza, lecz to co pisarz natchniony wyraża krótko, mianowicie, aby słońce i księżyc służyły „na znaki i czasy i dni i lata", pisarz asyryjski, obznajomiony ze spostrzeżeniami astronomicznemi, rozszerza opisem naukowym. W całem tem opowiadaniu uderza przedewszystkiem ta okoliczność, iż w pełnej dobie wielobożności, autor mówi zawsze o Stworzycielu w liczbie pojedynczej, nadto wyrażenia, jakich używa w wierszu 13-ym, identycznie prawie odnajdują się w wierszu 18-ym księgi Rodzaju [1].

Wersya asyryjska wymienia wprawdzie rozmaite bóstwa, lecz bóstwami temi były ciała niebieskie: księżyc (Sin albo Nannar), słońce (Samas), wenus (Istar), pierwotny odmęt (Tiamat), a nadto wyraźnie zaznacza, iż one były stworzonemi. Lenormant, który badał dokładnie teksta asyryjskie odnoszące się do Stworzenia, uznaje, iż główne jego tło osnute jest na jednobożności. „Brak jest, mówi

[1] Schliesslich wird vom Monde berichtet, dass diesem die Funktion zugewiesen sei die Nacht zu erhellen: „den Mondgott liess er erglänzen, die Nacht beherrschte der"... Vgl. hierzu das biblische: „um zu herrschen über den Tag und über die Nacht". KAT². Schrader, str. 16.

on [1], w kronice chaldejskiej opowiadania o stworzeniu człowieka. Lecz wiemy przynajmniej niewątpliwie, iż ów nieśmiertelny, który *‚rękami swemi uczynił rodzaj ludzki‘*, który *‚urobił ludzkość, aby była poddaną bogom‘*, był Ea, bóg najwyższego rozumu, pan wszelkiej mądrości, *‚bóg czystego życia, kierownik nieskazitelności‘*, *‚który ożywia umarłych‘*, *‚miłosierny, dający żywot‘*. Tego nas uczą zachowane szczątki napisu, który należał możebnie do tablic kosmogonicznych. W napisach mitologicznych Ea nazywany jest najczęściej *‚panem rodzaju ludzkiego‘*, zależność zaś człowieka wyrażona jest dosadnie słowami *‚człowiek który jest jego własnością‘*.“

Jeden odłam księgi asyryjskiej opisuje stworzenie zwierząt:

1. W tym czasie bogowie na swym wiecu stworzyli...
2. . . . . .
3.... Uczynili istoty żyjące...
4. bydlęta polne, zwierzęta polne i zwierzęta pełzające.

Księga Mojżesza rozróżnia również trzy rodzaje zwierząt: „Niech ziemia zrodzi duszę żyjącą według rodzaju swego: bydło i płaz i bestye ziemne według rodzajów swoich“ [2].

Wybitna cecha zgodności w podaniach hebrajskiem i asyryjskiem polega na szeregu stworzeń cząstkowych, które następowały po sobie, a które u Mojżesza oddzielone są nazwami dni. Tak w jednem jak i w drugiem opowiadaniu w samych początkach panowały zupełne ciemności, zamęt; potem nastąpiło oddzielenie nieba od ziemi, wód od suchej, następnie stworzenie ciał niebieskich i stworzenie zwierząt. Smith mówi z tego powodu: „Pierwsza tablica jest niejako wstępem..., w piątej tablicy opisane jest stworzenie, które odpowiada czwartemu dniowi księgi Rodzaju; tablica opisująca stworzenie zwierząt jest prawdopodobnie siódmą, i odnosi się do szóstego dnia Mojżeszowego: stąd wnosić można, iż każda z tablic asyryjskich zawierała opis stworzenia dokonanego w ciągu jednego dnia, i to według porządku przywiedzionego w księdze Ro-

[1] *Hist. anc. de l'Or.*, v. I. p. 23.

[2] *Ks. Rodz.* I. 24. Diesem biblischen Berichte läuft parallel das Fragment, das sich zusammensetzt aus Nr. 345. 248. 147. KAT[2]. Schrader, str. 17.

dzaju. Według tego przypuszczenia możnaby zestawić w ten sposób obadwa opowiadania:

Wiersz	1 i 2	ks.	Rodz.		odpowiada	tablicy	1-ej klin.
„	3—5	„	„	1-y dzień	„	„	2-ej „
„	6—8	„	„	2-gi „	„	„	3-ej „
„	9—13	„	„	3-ci „	„	„	4-ej „
„	14—19	„	„	4-ty „	„	„	5-ej „
„	20—23	„	„	5-ty „	„	„	6-ej „
„	24—25	„	„	6-ty „	„	„	7-ej „
„	26 i nast.	„	„	6-ty i 7-my dzień	„	„	8-ej „ [1]

Asyryolog angielski zalicza do ksiąg o Stworzeniu świata wiele innych ułamków tablic mitologicznych, z pomiędzy których najobszerniejsze odnoszą się do powieści „o siedmiu złych duchach“, opisującej walkę dobrych duchów ze złymi.

Podanie to było spisane pierwotnie w akadyjskim języku, niektóre ustępy są tłumaczone na asyryjskie. Odłamy, które zdają się należeć do tej księgi, nie dają się uporządkować, stąd o całości nie można sobie wyrobić dokładnego pojęcia, jednakże szczegóły, jakie się w nich napotyka, tyle mają podobieństwa ze stworzeniem i upadkiem Aniołów, iż dadzą się zestawić z odpowiednim opisem biblijnym.

Istoty, które były stworzone „w niższem niebie“, są duchami, nie posiadają ciała, ani płci:

5. Nie są mężczyznami ani niewiastami,
. . . . . .
7. Nie mają żon, synowie im się nie rodzą.

Zbuntowali się przeciw Bogu i królowi:

2. Buntownicze duchy...
. . . . . .
12. Szósty był jak szalona burza, nie chciał się poddać Bogu i królowi.

Są źli:

8. Poszanowania i dobroci nie mają,
9. Modlitwy i próśb nie wysłuchują,
. . . . . .
14. Źli (są) oni, źli (są) oni.

---

[1] *The Chal. acc. of. Gen.*, str. 67.

Wszczęli walkę, postanowili wygubić ludzi:

1. Źli bogowie, posłańcy Anu swego króla,
2. Zmówili się w złych zamysłach pomagać jeden drugiemu.
3. Spisek uknuli razem...
4. Z pośrodka nieba jak burza spadli na ludzi [1].

. . . . . .

Bogowie wysyłają przeciw nim Merodacha, który, według pojęć chaldejskich, jest bożkiem drugorzędnym i bojownikiem w sprawie wielkich bogów; walczy on ze złymi duchami, i odnosi zwycięztwo.

Pieczęcie chaldejskie, sięgające głębokiej starożytności, przedstawiają podobną walkę, mianowicie Merodacha staczającego bój ze smokiem; Smith zestawia je z opisem powieści o „siedmiu złych duchach" i ciekawe robi spostrzeżenie. „Smok, pisze on [2], według rysunków, jakie znajdujemy na pomnikach, był przedstawiony jako potwór mający ogon, rogi, pazury i skrzydła, na podobieństwo szatana średniowiecznego. Cała walka między dobrem i złem, zamętem i porządkiem, znajduje odpowiedne wyrażenie w Apokalipsie (XII, 7—9), gdzie smok właśnie nazwany jest: *wielkim smokiem, wężem starodawnym, djabłem i szatanem, który zwodzi świat cały.* Ten opis jest jakby streszczeniem powieści klinowej; smok Tiamtu, walczący przeciw bogom i pobity w walce, odpowiada w najgłówniejszych punktach smokowi, którego zwyciężył Michał".

Poważni egzegeci Dr. Fischer, O. Brunengo [3] i inni uznają w tym poemacie szczątki pierwotnych podań o upadku Aniołów: główne rysy opowiadania Pisma św. odnajdują się w akadyjskiej powieści, a nawet ze zdumieniem znajdujemy jedno wyrażenie akadyjskie, zupełnie identyczne ze słowami Chrystusa Pana:

Św. Łuk. X, 18.	Kol. I, w. 23. [4]
Widziałem szatana jako błyskawicę z nieba spadającego.	Z wysokiego nieba jako błyskawica spadali.

[1] *The chal. acc. of. Gen.* str. 105 i następ.
[2] *Loc. cit.* str. 113.
[3] *L'imp. di Bab. e di Nin.* v. I., str. 86—96.
[4] Smith, *Loc. cit.*, str. 100.

Księga *Enuma-elis* nie daje nam żadnej wiadomości o stworzeniu człowieka, posiadamy jednakże różne urywki mające, zdaje się, związek z losem pierwszych ludzi. Poemat o „grzechu bożka Zu", poucza nas, iż Zu sprzeniewierzył się bogom, przywłaszczył sobie ozdoby królewskie ojca bożków, a nadto jakieś tajemnicze *umsimi*, chciał posiąść władzę i rządzić „nasieniem aniołów". Zamiary jego się nie powiodły, musiał uciekać i skryć się w swym kraju; za karę został wykluczony z towarzystwa bogów. Okruchy pozostałe z tego poematu nie dozwalają wydać stanowczego sądu, wybitniejszy nierównie związek z opowiadaniem biblijnem o upadku człowieka okazuje „drzewo święte", wyobrażone na pomnikach chaldejskich. „Spotyka się często, pisze Schrader[1], na pomnikach asyryjskich drzewo święte, podobne do cyprysu; po obu stronach stoją kapłani, trzymają oni szyszki w ręku i oddają hołd drzewu. Cyprys, jako nie ulegający zepsuciu, jest symbolem życia, wieczności.

---

[1] *Semitismus und Babylonismus w Jahrb. für prottest. Theol.*, 1875, t. I. Ob. rów. KAT², str. 28.

The Babylonian colouring of the history in Genesis, the fact that the rivers of Paradise are Babylonian rivers, and that the tree of life was familiar to Babylonian art and tradition, make it probable that we shall yet discover the Chaldean version of the Fall of Man as soon as the libraries of Babylonia have been explored. Indeed, this is made almost certain by the existence of an early Babylonian seal, now in the British Museum, on which a tree is represented with a human figure seated on either side of it, with the hands stretched out towards the fruit, and a serpent standing erect behind one of them. We know that the devices on these early seals were taken from the popular legends and myths. Smith, *Loc. cit.* str. 88, 89.

Asyryolog angielski przywodzi w swem dziele ustępy z hymnów mitologicznych, gdzie mowa jest o wężu, i nawiązuje te symboliczne pojęcia Chaldejczyków z odpowiednimi opisami biblijnymi. It is difficult, pisze on, not to compare the serpent of Genesis with this serpent of Babylonian mythology... Allusion is made in this hymn (wąż o siedmiu łbach), it will be noticed, to a fabulous serpent with seven heads, which beats the sea into waves. This serpent was originally identical with the dragon of the deep, combated by Merodach, as we shall learn from a fragment to be translated hereafter, that, is to say with the principle of chaos and darkness, called Mummu Tiamtu, „the chaos of the deep", in the account of the creation. It is also described as „the serpent of night", „the serpent of darkness", „the wicked serpent", and „the mightily strong serpent", epithets which show that it was on the one hand the embodiment of moral evil, and on the other was primitively nothing more than the darkness destroyed by the Sun, the bright power of day. (str. 87, 88).

Na trumnach znalezionych w Warce, przedstawione jest podobne drzewo, stąd wnosić mamy prawo, iż drzewo święte było symbolem wieczności, nieśmiertelności". Co więcej, na jednym z walców babilońskich przechowało się wyobrażenie drzewa wraz ze szczegółami przypominającymi zdarzenie opisane w Biblii. „Widzimy tam, pisze Lenormant [1], mężczyznę i niewiastę siedzących po obu stronach drzewa; mężczyzna ma na głowie turban, jakiego używali Babilończycy. Gałęzie drzewa są poziome, na dwóch najniższych wiszą owoce, po które wyciągają ręce obydwie osoby. Po za plecami niewiasty wyobrażony jest wąż w postaci stojącej, wsparty na ogonie. Obraz ten może służyć jako ilustracya do opowiadania księgi Rodzaju, żadne inne tłumaczenie jest tu niemożliwe". Tenże historyk przywodzi różne podania Indów, Persów, Fenicyan i Greków odnoszące się do tego samego przedmiotu, stwierdza ich uderzające podobieństwo z opisem biblijnym, a zaznacza zarazem, że Pismo św. jedynie podaje jasno i zrozumiale przyczynę, w skutek której minął *wiek złoty*. „Dogmat upadku człowieka, tak kończy Lenormant [2], z powodu złego użycia wolnej woli przez pierwszych ludzi, jest prawdą odwieczną, która tu tylko (w Biblii) z taką ścisłością jest wyrażona. To nam jedynie tłumaczy i rozwiązuje straszną zagadkę, jaka się przedstawia umysłowi ludzkiemu, a która przez żadną filozofię religijną nie została rozwiązaną".

Wreszcie „miecz płomienisty", którym uzbrojony Cherubim bronił wejścia do Raju, znajduje odnośne wzmianki w podaniach chaldejskich [3].

W księgozbiorze Assurbanipala znajduje się inna jeszcze wersya o Stworzeniu świata; jest ona odpisem z oryginału pochodzącego z Kuty. Autor opowiada zdarzenie historyczne, prawdopodo-

---

[1] *Hist. anc. de l'Or.* t. I. p. 35.

[2] *Loc. cit.* str. 41.

[3] The flaming sword, which according to Genesis guarded the approach to the tree of life is paralleled by the flaming sword of Merodach, which is explained to be the lightning. It was with this sword which is represented on the monuments as having the form of a sickle like the sword of the Greek hero Perseus, that Merodach overthrew the dragon and the powers of darkness. Smith, *Loc. cit.*, str. 86. Ob. rów. Vigouroux, *La Bible et les decouv. mod.* v. I. str. 230—247. Brunengo, *L'imp. di Bab. e di Nin.*, v. I. str. 99—108.

bnie życie jakiegoś króla, opis zaś swój poprzedza krótkiem wspomnieniem o początku świata. Opowiadanie to tak co do całości jak i szczegółów różni się od podanej poprzednio wersyi asyryjskiej, lecz wielkie ma podobieństwo z opisem pozostałym po Berozusie[1]. Okoliczność ta jest dla nas nader ważną. Ćwierć wieku jeszcze temu racyonaliści twierdzili, iż Berozus wziął swe opowiadanie z ksiąg żydowskich, chociaż on sam wyraźnie zaznacza, iż je czerpał z kronik chaldejskich; dziś, skoro już wiemy, iż w Chaldei istniało podobne podanie, szczególniej zaś, skoro wiemy, że właśnie opowiadanie z Kuty najwięcej zbliża się do opisu Berozusa, dziś tedy zarzut racyonalistów upada bezpowrotnie.

Opowiadanie chaldejskie o *Potopie* stanowi dla nas daleko ważniejszy dokument, albowiem doszło rąk naszych prawie w całości. J. Smith napotkał w bibliotece Assurbanipala poemat epiczny spisany na dwunastu tablicach, któremu dał tytuł „Przygody Izdubara"; tablice wprawdzie były w okruchach, wielu z nich niedostawało, jednakże, ponieważ znalazły się trzy egzemplarze tego dzieła, braki dały się jako tako uzupełnić. W tablicy XI-ej, która właśnie opisywała Potop, brakowało dość wielkiego odłamu; miał on zawierać, jak się zdawało, około 16-tu wierszy. Sądzono, iż ustęp ten przepadł dla nas bezpowrotnie, otóż, dziwnym a szczęśliwym przypadkiem, wśród gruzów pałacowych w Kujundżik, Smith wynalazł właśnie brakujący odłam; tym sposobem tablica XI-ta została uzupełnioną.

Tablica XI-ta zawiera sześć kolumn pisma, z tych cztery pierwsze rzecz mają o Potopie; podajemy ten ważny dokument w dosłownem tłumaczeniu[2].

✳ *Kolumna I.* 8. Szamasz-napisztim odezwał się do niego, do Izdubara. 9. Objawię Ci Izdubarze dzieje mego ocalenia. 10. i wyrok bogów... 11. Miasto Surippak, miasto, które — jak

[1] The story of the Creation transmitted through Berosus, supplies us with an account which differs entireby from the cuneiform account in the last chapter as well as from the Genesis account, and some fragments of tablets from Kouyunjik belonging to the library of Assurbanipal give a copy, mutilated as usual, of a third version which has, however, points of agreement with the account of Berosus. *Loc. cit.* str. 92.

[2] Trzymamy się tekstu Haupt'a i Sayce'a.

wiesz dobrze — leży nad Eufratem. 12. było bardzo (już) stare, i w niem gdy bogów... 13. serce zmuszone zostało do zesłania potopu, wielcy bogowie... 14. wszyscy, którzy tam byli zebrani, na czele ich ojciec Anu. 15. ich doradzca, kłótliwy Bel. 16. niosący ich tron Adar. 17. ich książe Ennugi. 17 (b). Pan niezbadanej mądrości Ea zasiadł z nimi do wspólnej (narady) i 18. postanowienie swoje oznajmił swym *Kikiszu*. Kikisz kikisz igar igar odezwał się... 19. Kikiszu słuchaj... i baczne miej oko na igara. 20. Suripakita, synu Ubara-Tutu. 21. uchodź z domu, zbuduj okręt, zaniechaj... życia. 22. życia chcą zniszczyć wszelki posiew... 23. i wprowadź życie wszelkiego rodzaju do wnętrza okrętu. 24. okręt, który zbudujesz. 25. ...łokci długim będzie. 26. wysokim zarówno jak szerokim. 27. ...i na morze, nakryj go też dachem. 28. Gdy to zrozumiałem, odezwałem się do Ea, pana mojego. 29. (Budowa okrętu) o panie, którą w ten sposób wykonać kazałeś. 30. gdy według tych rozkazów postąpię. 31. wyśmieje mnie lud i starsi. 32. (Ea otworzył swe usta i) przemówił, powiedział do mnie, sługi swego. 33. (Jeżeli z ciebie śmiać się będą) powiesz im. 34 ...kto się ze mnie naigrawa i... 35... 36... zaprawdę ja... 37... ja... firmament niebieski... 38 ... sądzić będę u góry i na dole... 39... nie zamykaj (drzwi)... póki nie nadejdzie czas, o którym cię uwiadomię. 40. (Wtedy) ...wejdź i drzwi okrętu zamknij. 41. (umieść) w środku, twoje zboże, twoje mienie. 42. twoje bogactwa, sługi twej żony i służebnice a (również) i krewnych. 43. (bydło) z pola, dzikie zwierzęta, wszystko co... 44. poślę tobie, a twoje drzwi będą ich strzedz. 45. Adrahasis otworzył usta swe i przemówił. 46. rzekł do Ea, pana swojego. 47. Nikt nie budował okrętu... 48. w niższej części okrętu zawarł... 49... niech ujrzę okręt... 50... w niższej części okrętu... 51. budowanie okrętu, któreś mi nakazał. 52. które...

Kolumna II. 1. mocny... 2. piątego dnia... wzniósł się. 3. w swym obwodzie 14... (miar) 4. 14 (miar) zawierał... z wierzchu 5. umieściłem dach nad nim... dokończyłem go. 6. wszedłem do niego szóstego czasu; podzieliłem jego przejścia siódmego czasu. 7. jego wnętrze podzieliłem ósmego czasu. 8. Otwory do wody wewnątrz porobiłem. 9. Widziałem szpary i potrzebne rzeczy dodałem. 10 trzy sary smoły wylałem na zewnątrz. 11. trzy sary

smoły (wylałem) na wewnątrz. 12. trzykroć (3.600) ludzi niosących skrzynie, którzy nieśli na głowach swych żywność. 13. dodałem jeden *saros* żywności, jakiej używają ludzie. 14. dwa sary majtkowie wzięli. 15. Dla... kazałem bić woły. 16... każdego dnia. 17... napoje, pożywienie, wino. 18... jak wody w rzece i... 19... jako piasku ziemnego i... 20... pożywienie sam umieściłem. 21... Samas... okręt był gotowy... 22... był mocny... 23... kazałem zanieść na górę i na dół... 24... zajęło dwie trzecie jego. 25. (wszystko co miałem) zniósłem; zniósłem wszystko, co tylko ze srebra miałem. 26. wszystko co (posiadałem) ze złota zniósłem 27. wszystko co miałem z nasienia żyjącego... i wszystko to. 28. zniósłem

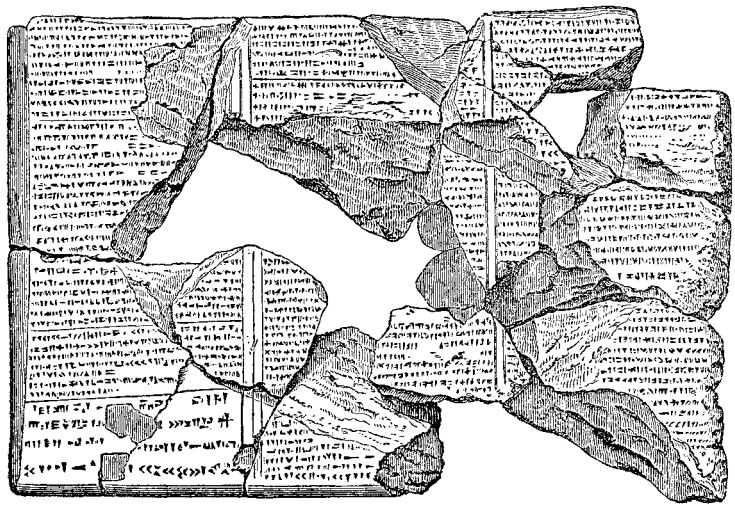

Jedna z cegiełek klinowych zawierających opis Potopu.

na okręt, wszystkim mężczyznom i niewiastom. 29. bydłu polnemu, zwierzętom polnym i wszystkim krewnym wejść kazałem. 30. Gdy więc słońce oznaczyło stanowczą chwilę. 31. odezwał się głos. (?) Wieczór zniszczenie z deszczem spadnie. 32. wstąp więc do okrętu i zamknij drzwi za sobą. 33. Czas oznaczony nadszedł. 34. odezwał się głos (?) na wieczór zniszczenie z nieba spadnie. 35. Ze drżeniem oczekiwałem zachodu słońca (tego) dnia (?) 36. dnia (który) na wstąpienie do okrętu (był wyznaczony) bałem się. 37. (Jednak) wstąpiłem na okręt i zawarłem drzwi (za sobą). 38. Bururkurga-

lowi, sternikowi... 39. oddałem okręt ze wszystkiem, co w nim się zawiera. 40. Aż oto zerwał się Mû-šêri-ina-namâri. 41. a wnętrza nieba, czarne chmury. 42. wśród których Ramâm zahuczał swym piorunem. 43. podczas gdy do walki wystąpili Nebo i Šêrzu. 44. unoszący tron po nad góry i doliny. 45. Trąby powietrzne (wiatry) puścił na wolność bóg zarazy. 46. Adar dozwala wzbierać wodom w kanałach (?) 47. Amunakî (tj. bogowie wód podziemnych) sprowadzają powodzie. 48. ziemia drży uginając się pod ich potęgą. 49. Ramâna wzdęte fale sięgają aż pod niebo. 50. gaśnie wszelkie światło.

Kolumna III. 1... niszczą ziemię, jak... 2 góra (?)... 3 które... sprowadzają, aby walczyły przeciw ludziom. 4. brat się już na brata nie ogląda, ludzie nie starają się jeden o drugiego. W niebie... 5. sami bogowie boją się potopu i 6. szukając schronienia wznoszą się do najwyższej części nieba, którą zamieszkuje bożek Au. 7. Jak psy na swojem legowisku cisną się skulone bogi do bram niebios. 8. Ištar krzyczy jak rodząca (jak byk). 9. Czysta bogini woła donośnym głosem:... 10... wszystko w szlam się zmieniło... 11. com bogom prorokowała jako (zagrażające im) nieszczęście... 12. tak zapowiadałam bogom ich nieszczęście... 13. walkę na śmierć przeciw moim ludziom zapowiadałam... 14. ja zaś nie rodzę ludzi na to ażeby... 15. byli pokarmem ryb w morzu. 16. Na te słowa rozpłakali się bogowie nad nieszczęściem Anunnaki... 17. na jednem miejscu siedzieli bogowie narzekając... 18. ze ściśniętemi wargami... przyszłość... 19. sześć dni i siedm nocy... 20. sam tylko wiatr, deszcze i burze zawisły nad ziemią... 21. z początkiem siódmego dnia ustawać zaczęła burza, deszcze, które walkę... 22. taką toczyły jak najliczniejsze zastępy wojenne,... 23. ucichły, i morze opadać zaczęło, a burze i deszcze ustały... 24. jęcząc płynąłem po morzu... 25. że mieszkania ludzkości szlam zakrył... 26. jak kłody drzewa pływały trupy. 27. Otworzyłem (okno) i gdy światło dzienne oświeciło mię, zadrżałem i usiadłem płacząc,... 29. po mojej twarzy spływały łzy... 30. płynąłem po ziemiach (zmienionych) w straszne morze. 31. naraz ukazał się kawałek ziemi, 12 miar wysoki. 32. do kraju Nizir płynął okręt. 33. na górze kraju Nizir osiadł okręt i nie ruszał się stamtąd. 34. Pierwszego i drugiego dnia był na górze Nizir... 35. (także)

trzeciego i czwartego dnia... 36. (także) piątego i szóstego. 37. z brzaskiem siódmego dnia. 38. wypuściłem gołębia. Gołąb latał tam i sam; a ponieważ, 39. nie miał gdzie spocząć powrócił napowrót. 40. wypuściłem więc jaskółkę, która latała tam i sam; ale że, 41. nie miała gdzie spocząć, wróciła napowrót. 42. wypuściłem przeto kruka. 43. kruk leciał, i gdy ujrzał, że woda opadła. 44. powrócił brodząc ostrożnie po wodzie, ale do okrętu wpuścić się nie dał. 45. wypuściłem więc wszystko na cztery wiatry, i złożyłem ofiary. 46. Zbudowałem ołtarz na szczycie góry. 47 postawiłem po siedm naczyń Adagura a pod nie... 48. podłożyłem tataraku, drzewa cedrowego i modrzewiu. 49. Bogowie wdychali dym, bogowie wdychali wonny dym. 50. jak muchy skupili się bogowie nad ofiarującym. 51. Gdy potem przyłączyła się do nich bogini Isztar. 52. podniosła w górę wielki łuk (?), który Anu zrobił według... 53. Ci bogowie. Dla ozdoby mej szyi! Nie zapomnę...

Kolumna IV. 1. Dni te, pamiętać na nie będę i nie zapomnę o nich nigdy. 2. Niech się bogowie zbliżą do ołtarza. 3. Bêl (tylko) niech się nie zbliża... 4. gdyż działał bez zastanowienia i zesłał potop... 5. i ludzi moich zniszczył. 6. Gdy wkrótce potem zjawił się bożek Bêl i ujrzał okręt, zdumiał... 7. i zapłonął gniewem przeciwko bogom i Igigom: 8. Jakaż tam dusza ocalała! Żaden człowiek nie ma zostać przy życiu wśród tego zniszczenia. 9. Na to otworzył usta swoje Adar i rzekł, odezwał się do wojowniczego Bêla. 10. Któż prócz Ea (mógł) tę rzecz wymyśleć? 11. Ea wiedział o tem i (dlatego) mógł go o wszystkiem ostrzedz. 12. Na to otworzył usta swoje Ea, i odezwał się do zbyt skorego do walki Bêla: 13. Tyś jest tym skorym do walki dowódzcą bożków;... 14. dlaczegoś jednak bez wszelkiego zastanowienia działał, sprowadzając potop. 15. Niech na grzesznika tylko grzech jego spada, rokoszanin niech skosztuje owoców rokoszu... 16. Lecz dozwól się ubłagać, i nie dopuszczaj jego zniszczenia, bądź na tyle łaskawym i nie dozwalaj... 17. Zamiast zsyłać potop, niechby były lwy przyszły i przetrzebiły rodzaj ludzki. 18. zamiast potopu, trzeba było hyeny zesłać, by część ludzi pożarły... 19. zamiast potopu, trzeba było zesłać głód, któryby zmniejszył liczbę ludzi... 20. zamiast potopu, trzeba było by bóg zarazy wyniszczył część ludzi. 21. Nie udzieliłem mu postanowienia wielkich bogów... 22. zesłałem tylko

sen na Adrahâsis i zrozumiał, co bogowie postanowili. 23. Na to upamiętał się Bêl, i wszedł do wnętrza okrętu... 24. uchwycił mię za rękę i podniósł i położył swoją rękę w moją... 26. zwrócił się do nas, stanął między nami i błogosławił nas. 27. Aż dotąd był Szamasz-napiszti człowiekiem... 28. odtąd zaś Szamasz-napiszti i jego żona podniesionymi są do godności bogów. 29. Mieszkać jednak będzie Szamasz-napiszti zdaleka, przy ujściu źródeł (strumieni). 30. Pochwycili mnie i daleko przy ujściu strumieni osadzili mię. ✻

Jakkolwiek podania o Potopie przechowały się u wszystkich ludów na całej kuli ziemskiej (z wyjątkiem rasy czarnej), a fakt ten takiej jest doniosłości, iż nader poważni historycy, ze stanowiska li tylko naukowego, przyjmują Potop jako wypadek historyczny [1], dokument jednak wyżej przytoczony mówi coś więcej. Jego zgodność z opisem biblijnym, co do całości, szczegółów, porządku wydarzeń jest tak uderzająca, iż obadwa opisy zdają się pochodzić od dwóch świadków, którzy własnemi oczyma na to zdarzenie patrzyli. Dla lepszego uwydatnienia tej zgodności zestawiam tu obok siebie obydwa teksty [2].

	Księgi klinowe.		*Księga Rodzaju.*	
	Kolumna.	Wiersz.	Rozdział.	Wiersz.
1. Rozkaz P. Boga na budowanie Korabia . .	I	21	VI	14
2. Rozmiary Korabia . .	I	24—26	VI	15
3. Rozkaz P. Boga na zachowanie istot żyjących.	I	23	VI	18—20
4. Wyliczenie ludzi i zwierząt, którzy mieli wejść do Korabia	I	42—44	VII	1—3
5. Budowa Korabia . .	II	1—9	VI	22
6. Napuszczanie smołą Korabia	II	10—11	VI	14

[1] „Potop biblijny nie jest mitem; zdarzenie to jest historycznem i rzeczywistem, a wyryte zostało w pamięci trzech wielkich szczepów: aryjskiego czyli indo-europejskiego, semickiego czyli syro-arabskiego i chamickiego czyli kuszyckiego. Te właśnie trzy szczepy podaje Biblia jako pochodzące od Noego... Zgodność podań tych ludów z opisem biblijnym jest wyraźną wskazówką ich pierwotnej jedności". Lenormant, *Hist. anc. de l' Or.*, t. I., str. 91, 56.

[2] Zestawienie to podajemy według ks. Vigouroux.

	Księgi klinowe.		*Księgi Rodzaju.*	
	Kolumna.	Wiersz.	Rozdział.	Wiersz.
7. Przygotowanie zapasów żywności	II	17—26	VI	21
8. Wejście do Korabia	II	27—32	VII 7—9,	13—16
9. Zamknięcie Korabia	II	37	VII	16
10 Początek potopu	II	40—50	VII	10—11
11. Opis potopu	III	1—4	VII	17—23
12. Czas trwania potopu	III	19—21	VII	24
13. Koniec potopu	III	21—26	VIII	1—2
14. Otworzenie okna w Korabiu .	III	27	VIII	6
15. Ustąpienie wód	III	30—31	VIII	3
16. Korab osiada	III	32—33	VIII	4
17. Obeschnięcie gruntu	III	34—37	VIII 5,	13—14
18. Wypuszczenie ptaków na zwiady	III	38—44	VIII	7—12
19. Wyjście z Korabia	III	45	VIII	15—19
20. Ofiara dziękczynna	III	46—48	VIII	20
21. P. Bóg przyjmuje ofiarę . . .	III	49—50	VIII	21
22. Obietnice P. Boga	IV	13—20	VIII	21
23. Łaski zapowiedziane przez P. Boga	IV	23—26	VIII	1, 2, 9, 12, 13.

Uderzające podobieństwo tekstów zastanawiało wszystkich, sami nawet najskrajniejsi racyonaliści nie śmieli mu przeczyć[1], lecz nie chcąc zgodzić się na wniosek, iż obadwa opisy mogą mieć swe źródło w dawnem wspólnem podaniu, woleli przypuścić, że Chaldejczycy przepisali żywcem od Hebrajczyków, albo też ci ostatni od pierwszych. Otóż ani jedno, ani drugie przypuszczenie nie zgadza się z rzeczywistością.

Berozus w swej historyi chaldejskiej zamieścił był opowiadanie o Potopie; urywki z jego dzieła zostawili nam pisarze greccy: ponieważ jego opis potopu zgadzał się w głównych rysach z opisem biblijnym, starzy racyonaliści twierdzili, że Berozus wziął swe opowiadanie z ksiąg hebrajskich. Jakkolwiek przypuszczenie było gołosłowne, sprzeciwiało się wyraźnemu zaznaczeniu Berozusa, który utrzymywał, iż wiadomości swe czerpał z kronik chaldejskich, nie można jednak było zwycięsko odeprzeć zarzutu, dopóki asyryologia nie dostarczyła stosownych do tego materyałów. Dziś, na mocy do-

[1] „Uderzające jest podobieństwo, mówi Tiele, między tem opowiadaniem a opowieścią Biblii; podobieństwo takie, że często w obudwu tekstach napotykamy też same nawet wyrażenia". *Hist. comp. des anc. relig.*, p. 194.

kumentów asyryjskich łatwo dowieść można, że Chaldejczycy nie przepisali swego opowiadania od Hebrajczyków.

Poemat epiczny o Izdubarze spisany był pismem klinowem asyryjskim i w tymże języku, za czasów Assurbanipala; pochodzi tedy z VII. w. przed Chr.: nadto rzeczą jest zupełnie prawdopodobną, iż był odpisem z dawniejszego oryginału. Niema wprawdzie o tem wzmianki na tablicach zawierających ten tekst, lecz wiele powodów przemawia za powyższem przypuszczeniem. I tak, Asyrowie na wielu pomnikach piśmiennych świadczyli, iż dzieła ich są odpisami z oryginałów chaldejskich, stąd wnosić wolno, iż poemat o Izdubarze nie stanowił pod tym względem wyjątku, tembardziej, że jak dziś stwierdzono, istniały w Chaldei podania piśmienne o Potopie. Kilka odłamów klinowych, odnoszących się do tablicy XI-ej, zostało odgrzebanych przez Rassama w Chaldei południowej. Urywki te są zupełnie zgodne co do tekstu z asyryjskiemi cegłami, lecz ryte są chaldejskiem pismem klinowem. Nadto, na licznych pomnikach chaldejskich przedstawione są różne epizody opisane w poemacie, pomniki zaś te sięgają głębokiej starożytności [1]. Wnosi stąd Smith, a zgadzają się z nim inni asyryologowie [2], że poemat o Izdubarze pochodzi z czasów akadyjskich. „Nie ulega wątpliwości, pisze on [3], iż poemat składał się pierwotnie z wielu pieśni poszczególnych, które następnie zostały spojone w jedną całość. Rzeczą jest pewną, iż początkowo spisany był po akadyjsku. Odpisy nasze z czasów Assurbanipala muszą pochodzić z oryginałów, które poprzedziły czasy Sargona i upadek epoki akadyjskiej. Sądzimy, iż

[1] The seals mostly belong to the age of the kings of Ur, and some of them are a good deal older than B. C. 2000. The principal incidents represented on them are the struggles of Izdubar and his companion Hea-bani with the lion and the bull, the journey of Xisturus, Noah or Xisturus in his ark, and the war between Tiamtu the sea-dragon and the god Merodach. There is a fragment of a document in the British Museum which claims to be copied from an omen tablet belonging to the time of Izdubar himself, but it is probably not earlier than B. C. 1600, when many similar tablets were written. *Loc. cit.*, str. 179.

[2] Spostrzeżono, że kopie Assurbanipala pochodziły z Orchoe (Erech) z wieku XVII-go. To jest najpóźniejsza epoka, jaką dziś przyjąć można; lecz według słusznego zdania Smith'a, należałoby je odnieść do dawniejszej epoki. Ménant, *Babil. et la Chald.*, p. 22.

[3] *Loc. cit.*, p. 178.

można go odnieść do roku 2000 przed Chr., albo jeszcze wcześniej". Jeżeli tak jest, wówczas nie ma już wątpliwości, że Chaldejczycy nie przepisali podania o Potopie od Hebrajczyków, albowiem, jak mówi Ménant[1], „tekst pochodzący z Orchoe jest starszym od Mojżesza o kilka setek lat. Kroniki ceglane z British Muzeum dawniejsze są od Joziasza, pisane 60 lat przed zdobyciem Jerozolimy, zagrzebane zostały w zgliszczach Niniwy trzy wieki przed urodzeniem Berozusa".

Pozostaje jeszcze druga hypoteza, którą dzisiejsi racyonaliści przypuszczają, mianowicie, że Hebrajczycy całe opowiadanie wzięli żywcem od Chaldejczyków. Ponieważ kwestya ta, obok swej ważności, związana jest jeszcze z innemi przypuszczeniami racyonalistów, rzecz całą musimy omówić w osobnym rozdziale. (Dok. nast.)

X. W. Zaborski.

[1] *Loc. cit. sup.*

ZAPISKI Z PODRÓŻY PO INDYACH[1].

I.

Na Cejlonie.

Widok ze statku. — Colombo. — Rzymscy koledzy i rzymskie wspomnienia. — Pobożność miejscowych chrześcijan. — Serenada tamulska i syngalska. — Wjazd tryumfalny. — W pałacu biskupim. — Błogi wpływ chrystyanizmu. — Miasto Colombo. — Nabożeństwo we wilię Nowego Roku. — Bracia szkół chrześcijańskich. — Misyonarskie „dzieci". — Las czy ulica miejska? — Ogród w Indyach. — Szpital i szkoła lekarska. — Muzeum miejskie. — Nasze otoczenie. — Jeszcze serenada. — Kościoły w Colombo. — Uroczystość indyjska.

Okręt nasz zawinął do portu w Colombo dnia 30 grudnia o trzeciej z rana. Natychmiast nastał nadzwyczajny ruch na pokładzie, biegano, krzątano się, nawoływano i rozkazywano wśród najokropniejszej wrzawy i hałasu prawdziwie piekielnego, albowiem

[1] Autor tych zapisków, ks. Prałat Zaleski, odbył świeżo podróż do Indyj jako sekretarz delegacyi apostolskiej mającej, po przypatrzeniu się naocznie stosunkom miejscowym, przeprowadzić konkordat zawarty z Portugalią a regulujący prawo patronatu tej korony nad Indyami Wschodniemi. Dawne przywileje, nadane Portugalczykom w innych czasach i okolicznościach, wychodziły od dawna już tylko na szkodę Kościoła katolickiego; nieszczęściem wchodził tu w grę patryotyzm Portugalczyków, a tak sprawa ta, poruszona już przed pół wiekiem, pozostawała do ostatnich czasów nierozstrzygniętą. Dopiero Leonowi XIII. udało się, nie drażniąc w niczem patryotycznych uczuć i historycznych tradycyj portugalskich, zabezpieczyć zarówno prawa Stolicy św., jak i prawidłowy rozwój katolicyzmu w Indyach. Delegacya, na której czele stał Mgr. Agliardi, wywiązała się świetnie z niełatwego swego zadania, a obecnie kwestya patronatu w Indyach stanowczo jest załatwioną.

równocześnie trzeba było wyładowywać przywiezione towary i ładować węgle. Łatwo pojąć, że w obec tego chaosu, stuku, huku, nieludzkich krzyków i ogłuszającej wrzawy, nie podobna nam już było zasnąć na nowo. Postanowiłem przeto przeczekać do rana i, ubrawszy się na prędce, wyszedłem na pomost, gdzie już zastałem Najprzewieleb. ks. delegata apostolskiego, którego ów harmider, w guście czysto cejlońskim, wybił ze snu i wypłoszył również z kajuty.

Nie zbyt korzystnie przedstawia się Colombo od strony morza; wybrzeże morskie jest tu niskie i płaskie, po prawej stronie wznosi się olbrzymia tama, ciągnąca się w głąb morza, która broni port od rozhukanych fal oceanu. Fabryki okrętowe i szereg domów o bardzo skromnej powierzchowności, oraz kilka budynków, stawianych na sposób europejski — oto obraz, jaki się nam w pierwszej chwili przedstawił; to też nic dziwnego, że patrząc nań nie nabraliśmy zbyt korzystnego wyobrażenia o tem mieście, które z daleka zrobiło na nas wrażenie małej, nędznej mieściny; spojrzawszy jednak na prawo, ujrzeliśmy ciągnący się w nieskończoność, rozległy las kokosowy, z którego wychylały się szczyty wież i katedry. A więc wśród tych wysmukłych drzew kryło się miasto, liczące 110,000 mieszkańców.

W porcie stało podówczas na kotwicy kilka okrętów większego kalibru, kilka mniejszych, oraz niezliczone mnóstwo czółen syngalskich, długich i tak wąskich, że wioślarze zmuszeni byli siedzieć na nich, jak na koniu, spuściwszy jednę nogę z jednej, drugą z drugiej strony; czółna te opatrzone są rodzajem wagi, co im nadaje równowagę i chroni od wywrócenia się. Zazwyczaj są one naładowane kokosami, bananami i innemi soczystymi owocami strefy gorącej i podpływają tuż pod okręt, by podrażnić podniebienie podróżnych, którzy jednak spali jeszcze o tym czasie. Pomost był już zajęty przez kupców, sprzedających różne przedmioty, wyrabiane pięknie z szyldkretu i pierścionki z tajnemi kryjówkami, a czatujących na pasażerów.

Około siódmej z rana przybył ks. biskup Bonjean, przyszły metropolita cejloński, w towarzystwie księży wikaryuszów z Kandy i z Jafnapatan, by powitać delegata papieskiego. Całe miasto było z tego powodu w poruszeniu i oczekiwało przybycia wspomnianego gościa w uroczystym nastroju. Rzeczywiście przyjazd tego dostoj-

nika był ważnym wypadkiem dla katolików cejlońskich, gdyż od czasów św. Franciszka Ksawerego, rozkoszna ta, pełna cudownej roślinności wyspa nie przyjmowała jeszcze ani razu legata najwyższej głowy Kościoła św.

Wszyscy myśleli, że okręt nasz przybędzie wcześniej, niż przybył rzeczywiście, spodziewano się go w wilią dnia tego, ale przeciwne wichry były przyczyną, że się spóźnił o 12 blisko godzin; niezliczone przeto tłumy zalegały przystań przez całe popołudnie, pomimo że upał był nie do wytrzymania. W tej liczbie było także wielu katolików, przybyłych umyślnie z najdalszych stron wyspy. Wypadało przeto, by Mgr. Agliardi zadowolnił ciekawą, ale przeważnie szczerą pobożność tego poczciwego ludu i odbył uroczysty wjazd do miasta. W tym celu musieliśmy czekać do czwartej godziny popołudniu. Jednak czas ten upłynął nam bardzo przyjemnie, gdyż tak biskupi jak i misyonarze tamtejsi dotrzymali nam towarzystwa, a uprzejmość ich, pouczająca i nadzwyczaj przyjemna pogadanka, skracała nam mile chwile oczekiwania.

Rozumie się, żeśmy ich zarzucali pytaniami o wyspę, o mieszkańców jej i istotnie nadużywaliśmy pod tym względem cierpliwości tych zacnych sług Bożych, ale za to dowiedzieliśmy się wiele ciekawych i pouczających szczegółów o tym pięknym kraju, a ja nauczyłem się odróżniać dwa główne szczepy tamtejsze, Tamulów i Syngalczyków.

Wszystko wzbudza w nas żywe zajęcie, gdy przybywamy do kraju obcego, tak odmiennego od naszych europejskich krajów, tem bardziej, gdy objaśnień i bliższych szczegółów o nim słuchamy z ust osób wykształconych i uprzejmych.

Miłej doznałem niespodzianki przy tej sposobności. Zaledwie przybyłem do cejlońskiego portu, spotkałem się zaraz tamże z trzema szkolnymi kolegami: ks. Sebastyanem Dalgado, kapłanem goańskim z Indyj, z którym uczęszczałem na wydział prawniczy w uniwersytecie św. Apolinarego w Rzymie, a który odznaczał się między nami nietylko odmienną barwą twarzy, lecz także niepospolitemi zdolnościami umysłowemi, — i z dwoma poczciwymi zakonnikami Oblatami: Ojcami Bullig i Bayer, którzy uczęszczali ze mną na wydział teologiczny w Rzymie. Przez trzy lata siedziałem naprzeciwko nich i patrzyliśmy się na siebie oko w oko.

Jakże miłe wspomnienie pozostawiły w pamięci naszej te piękne wykłady ks. Jezuity, Mazelli, będącego obecnie kardynałem! Ileżto rzeczy mieliśmy sobie do opowiedzenia! Czyżeśmy mogli przypuścić, że po tylu latach spotkamy się tutaj, na obcej ziemi, tak daleko od Rzymu — tak daleko od naszej ojczyzny!...

Na wykłady w uniwersytecie Gregoryańskim przychodziłem zazwyczaj razem z margrabią Misciatellim i obaj zajmowaliśmy osobną ławkę, przeznaczoną dla słuchaczy akademii duchownej. Misciatelli był wysokiego wzrostu i okazałej tuszy, ja zaś szczupły i chudy, jak palma kokosowa. Obu nas ochrzczono tedy przydomkiem „krów Faraona".

Ktoby chciał nabrać przekonania, że Rzym jest istotnie punktem środkowym i stolicą świata całego, ten niechaj się stara poznać z bliska całą tę młodzież, która uczęszcza na wykłady wszystkich czterech wydziałów uniwersytetów papieskich. W ostatnich pięciu latach zwiedziłem prawie całą Europę, od Londynu do Konstantynopola, a prawie w każdem mieście odnalazłem kolegę szkolnego ze Rzymu. Wiele, bardzo wiele wspomnień ciśnie mi się przemocą pod pióro z tych dawnych błogich czasów, że tylko wspomnę tu o tem, co mię podówczas najwięcej rozczulało i w młodocianem mem sercu głębokie i nie zatarte pozostawiło wrażenie. W niedzielę popołudniu wychodzili zazwyczaj wszyscy uczniowie na przechadzkę na Monte Pincio, lub do willi *Borghese*, i po drodze wstępowali wszyscy do Kościoła *Santa Maria del Popolo* na krótką modlitwę. Jakże się cieszyłem na tę uroczystą, dziwnie podniosłą chwilę! Około ołtarza w kornej postawie klęczała młodzież zebrana ze wszystkich stron świata. Obok białego Europejczyka klęczał ogorzały od żaru słonecznego Arab, złotoskóry Chińczyk i Etyop czarny jak heban albo Murzyn z Sudanu — dalej Amerykanin — może potomek jakiego kacyka indyjańskiego i muszkularny, olbrzymiej postawy Australczyk. W tej to świątyni wzniesionej na miejscu, gdzie spoczywały popioły Nerona..., korzyła się u stóp Jezusa Chrystusa dziatwa pochodząca ze wszystkich krain świata, o którego podbiciu nie byłby śmiał zamarzyć ten pyszny imperator, zażarty wróg i morderca chrześcijan!... A jednak Chrystus podbił wszystkie te kraje pod swe najsłodsze panowanie! Co za głęboka nauka i przestroga dla

tych, którzy prześladują Kościół święty!... Ale wspomnienia unoszą mię; wszak nie o Rzymie miałem pisać; wracam do Cejlonu.

Podczas gdyśmy czekali na pokładzie okrętu, by minął czas największego upału, chrześcijanie, pałający chęcią oglądania wysłannika Ojca św., powchodzili do łodzi i dostali się na nasz okręt. Wszyscy klękali przed nim, całowali sygnet biskupi i odbierali z rąk jego błogosławieństwo. Ojcowie przynosili ze sobą prześlicznych malców, barwy czekoladowej i kazali im całować stopy sędziwego prałata. Był to wzruszający a zarazem bardzo malowniczy i szczególny w swym rodzaju widok. Wziąłem na kolana takiego jednego, cudownie pięknego malca, imieniem Marcinka, który wcale się o to nie gniewał.

Nagle usłyszeliśmy dźwięki orkiestry. Orkiestra ta mieściła się na wielkiej łodzi i składała się z muzykantów syngalskich, którzy przybyli także na pokład naszego okrętu. Nieśli oni przed sobą sztandar, na którym znajdowało się wyobrażenie św. Jakóba Apostoła siedzącego na koniu, przybranego po rycersku, na sposób średniowieczny, z mieczem wzniesionym ponad głową. Zrazu sądziłem, że to był św. Jerzy, ale czyż można było zostać długo w niepewności, gdy pod wizerunkiem świętego umieszczono wyraźny, pięknie złotem haftowany napis: *St. James*. Poczciwi ci chrześcijanie wykonali wcale dobrze kilka utworów muzycznych, znanych mi dodobrze, gdyż słyszałem je grywane nieraz w Praterze, w Ostendzie...

Z drugiej strony okrętu urządzono nam znów innego rodzaju niespodziankę, mianowicie serenadę tamulską.

Pięknie przystrojone łodzie zbliżały się zwolna ku nam: w środku większa, do koła mniejsze. Na tychto łodziach znajdowała się orkiestra, składająca się z rodowitych Tamulców, którzy na instrumentach krajowych wykonywali utwory artystów tamtejszych. Dziwnie przejmujące były te dźwięki o tonach krótkich, urywanych — bardzo zbliżone do muzyki Derwiszów na Wschodzie — nacechowane łagodnością i rozmarzającą melancholią; całość robiła dziwne, nie dające się określić, a jednak bardzo miłe wrażenie. Łodzie te przepływały zwolna koło naszego okrętu i wkrótce okrążyły go wiankiem. Byłto wcale oryginalny i ciekawy dla nas Europejczyków widok. Ubiór członków tej orkiestry tamulskiej był dziwną mieszaniną kolorów, głównie przeważał w nim kolor biały, od któ-

rego w rażący sposób odbijały inne, jaskrawe, co im nadawało pozór papugi.

Po południu napływ ciekawych był tak wielki, że niepodobieństwem było wpuścić ich na pokład okrętu, gdyż zajmowali miejsce i przeszkadzali ładowaniu węgla. Mgr. Agliardi był zmuszony wychodzić po kilkakroć ze swej kajuty, by im udzielić swego błogosławieństwa, poczem odchodzili spokojni i zadowolnieni.

Orkiestry grały na przemian. Wyobraźcie sobie Syngalczyków w ubraniu, pozostawiającem bardzo wiele do życzenia i Tamulów ubranych we własną skórę, grających utwory Verdi'ego i Donizett'iego: *la forza del destino* i *la favorite* z akompaniamentem zbyt hałaśliwym bębnów, a wszystko to na tle uroczych lasów kokosowych... pod niebem żarzącem się brylantowymi blaskami szafiru i rubinu, a nad brzegiem oceanu, w którego spokojnych falach odbijała się majestatyczna przyroda: — a będziecie mieli choćby słabe tylko wyobrażenie o tej istnie czarodziejskiej scenie.

O drugiej z południa zaczęto bić w mieście we dzwony, a radosne ich odgłosy dolatywały aż do nas; za dwie godziny przybyła po nas łódź gubernatora, którą tenże oddał na usługi biskupów, opatrzona flagą angielską i sztandarem o papieskich barwach. Zajęliśmy miejsca w łodzi i płynęli w stronę portu, w towarzystwie niezliczonej liczby łódek i czółen, na których płynęli ci chrześcijanie, co wyruszyli byli na nasze spotkanie. Była to prawdziwie egzotyczna uroczystość. Poczciwy ten lud czynił wszelkie możliwe usiłowania, by godnie przyjąć legata Ojca świętego i objawić radość z powodu przybycia tegoż.

Niezliczone mnóstwo ludzi cisnęło się do portu, by widzieć z bliska tego niebywałego gościa. W chwili, gdy już miałem wysiadać na ląd, o małoco nie zrzucono mię w morze. Z wielką biedą udało mi się wydostać z tłumu.

Na nasze przybycie urządzono obszerny pawilon, pełen cudownej, bujnej roślinności; pomysł istotnie był bardzo piękny. To dodam, że ozdobiono ten pawilon flagami wszystkich krajów na świecie.

Wikaryusz apostolski z Colombo przedstawił Mgrowi Agliardemu adjutanta, wysłanego przez gubernatora wyspy, w celu powitania go, tudzież konsula francuskiego i wiele innych znakomitych

osób, Jego Ekscellencya Delegat zasiadł na tronie, mając po prawej ręce biskupów, po lewej zaś Mgra Ajutti'ego i mnie, i odczytano adres w języku angielskim, na który odpowiedział ks. delegat.

Przyznam się, że nie zważałem wcale na treść owego adresu, gdyż widok, jaki miałem przed sobą, pochłaniał całą moją uwagę. Jak oko sięgało, rozciągał się istny las czarnych głów, ogolonych do skóry, lub też uczesanych w osobliwszy sposób, a wszystko to ruszało się i wrzeszczało z całej siły. Gubernator przysłał był własny swój powóz dla Monsignora; dostać się do powozów było w tych okolicznościach prawdziwą sztuką, a bawiło mię widzieć wykwintną liberyę angielską stangretów, tak odbijającą od tego czarnego i prawie nagiego tłumu.

Jechaliśmy bardzo powoli wśród zbitych tłumów ludności, które na naszą cześć nie żałowały gardła, a potężne, ogłuszające ich *hurra* rozlegało się bez ustanku w powietrzu. Pomimo iż skropiono ulice, któremi mieliśmy wjeżdżać do miasta, obłok kurzawy zakrył nas całkowicie. By zatem uniknąć i pyłu i ścisku, usiłowali woźnice nasi zaciąć koni i ruszyć cwałem; ale myślicie może, że to pomogło cokolwiek? Gdzie tam! Cały ten tłum, wrzeszczący jak opętany, puścił się galopem za nami! Trzeba nam więc było zwolnić biegu i upłynęła przeszło godzina, nim przebyliśmy przestrzeń od portu do katedry.

Ulice były przystrojone w wieńce i festony z liści palmowych, uwitych z zręcznością właściwą tylko Indyanom. Przed każdym kościołem wznosiła się brama tryumfalna z kwiatów i zieleni. Po obu stronach drogi rosły drzewa tulipanowe, służące za galeryę dla tych ślicznych czarnych malców, którzy poobsiadali nawet dachy domów.

Gdyśmy przybyli na rynek, weszliśmy do pawilonu, umyślnie dla nas urządzonego, gdzie biskupi i wikaryusz apostolski przywdziali szaty pontyfikalne, poczem udaliśmy się procesyonalnie do kościoła katedralnego. U wejścia przemówił ks. biskup Bonjean bardzo pięknie po łacinie; odpowiedział mu również wymownie Mgr. Agliardi i cała ta uroczysta ceremonia zakończyła się udzieleniem wiernym solennego błogosławieństwa.

Ścisk na rynku i w katedrze przechodził wszelkie pojęcie, a jednak zauważyłem, ku wielkiemu memu zdziwieniu, że nigdzie

nie było straży policyjnej. Było wprawdzie kilku ajentów dla formy, ale ci nie mieli nic do roboty, gdyż najmniejszy wypadek ani wybryk nie zamącił spokoju publicznego, co, w obec tak licznego napływu ludności przybyłej z najdalszych krańców wyspy i tłoku nie do opisania, jest godne uznania i podziwienia.

Poganie i muzułmanie także się nam przypatrywali; było to dla nich widowiskiem nie lada. Kilku z nich weszło nawet do katedry. Pewien stary mahometanin zdołał za pomocą pięści dotrzeć aż do stóp ołtarza i gdy widział, że obecni robią znak krzyża św., czynił i on to samo.

Zaledwieśmy weszli do mieszkania biskupiego, gdy cały tłum, a głównie dzieci — wtargnął doń przemocą, wszyscy chcieli widzieć delegata Ojca św. i dopominali się o to tak natarczywie, jakby im się to z prawa należało. Śmiać mi sie chciało, ale zarazem rozczulało mię to, gdym widział, jak ten poczciwy lud krążył po całym domu swojego biskupa i gospodarował jak u siebie; wszędzie ich było pełno: zaglądali do każdego kąta, wchodzili i wychodzili swobodnie, gdzie się im tylko żywnie podobało. Skorzystałem z tej sposobności, by się im dobrze przypatrzyć. Jeden w drugiego były to piękne, typowe postacie, przybrane w białe, wełniane szaty, ujęte przepaską, które tworzyły rodzaj spodniczki. Ci, którzy się zaliczali do cywilizowanych, nosili jeszcze krótki żakiet na sposób europejski, który wdziewali na gołe ciało, prawie wszyscy mieli we włosach piękne, szyldkretowe grzebienie, Tamulowie zaś uczesani byli *à chignon*. Ale te dzieci — te dzieci! Proszę sobie wyobrazić najpiękniejszy typ małych Neapolitańczyków, którymi się tak zachwycają malarze, o rysach twarzy delikatnych i pełnych inteligencyi, z cerą barwy czokoladowej, którzy się uśmiechają do ciebie tak szczerze i z tak ujmującym wdziękiem! Bardzo im do twarzy z tą ciemną, brązową cerą, którą ożywia para dużych, figlarnych oczu o aksamitnym połysku. Zachwycające te dzieciaczki wyglądały tak skromnie i niewinnie, jak aniołki Rafaela!

Drzwi od pokojów ks. delegata były w formalnem oblężeniu. Od czasu do czasu otwierały się także i moje i wsuwała się przez nie duża czarna głowa; za chwilę chowała się, poczem znów się ukazywała, tym razem jednak z dodatkiem czekoladowych, poły-

skujących ramion, i zwolna wynurzyła się ze drzwi cała postać dobrodusznego Indyanina.

— „Czego sobie życzysz, mój przyjacielu“? zapytałem go.

— „Nic, mój ojcze“!

— „A więc dlaczegoż przyszedłeś tutaj“?

— „Dlatego mój ojcze, żeby ci się przecież przypatrzyć“!

Zrozumiałem po tem wyznaniu, że byłem czemś w rodzaju słonia lub małpy, którą obwożą po jarmarkach — i poddałem się z rezygnacyą tym niezbyt przyjemnym oględzinom. Mój towarzysz, Mgr. Ajutti, miał okno wychodzące na balkon; ale wyszedł na tem „jak Zabłocki na mydle“: bo przez cały czas pobytu było ono gęsto obsadzone głowami tych niepohamowanych ciekawców.

Na Cejlonie znajduje się 202,000 katolików. Wystarczy przejść się raz tylko przez miasto, by się przekonać, jaki dobroczynny wpływ wywiera religia chrześcijańska nie tylko na społeczeństwo w ogólności i w szczególnosci na jednostki, ale nawet i na powierzchowność człowieka. Ciż sami Tamulowie lub Syngalczycy, jeżeli jeszcze pogrążeni są w błędach pogaństwa lub mahometanizmu, mają fizyognomię nacechowaną piętnem dzikości, odstręczającej każdego. Oczy ich mają wyraz ponury i złowrogi. Przeciwnie zaś chrześcijanie krajowcy odznaczają się wejrzeniem pogodnem i łagodnem, a na ich twarzy przebija się wyraz uczciwości, dobroduszności i wewnętrznego spokoju. Z łatwością można ich rozróżnić w tłumie i nie podobna jest pomylić się pod tym względem. Popatrz się tylko na krajowca, a zgadniesz natychmiast czy jest katolikiem, czy poganinem.

Colombo jest miastem nadzwyczaj zajmującem. Po obu stronach ulic, które pozostawiają wiele do życzenia — ciągną się chaty ozdobione werandami, pod któremi mieszczą się sklepy, urządzone na sposób bardzo pierwotny. Tłumy ludzi snują się po ulicach zajętych pilnie zabijaniem czasu, na wzór europejskich swych braci „szlifibruków“, czyli jak ich teraz nazywają — pracowitych próżniaków. Powszechnie ubierają się tu wszyscy w owe legendowe batystowe lub wełniane przepaski, których długość zależy od kasty, i jest w skutek tego rozmaitą.

Ulice uważane tu za dobre, dalekie są od zasłużenia sobie na tę nazwę w pojęciu europejskiem. Są to raczej aleje pięknego

parku. Małe, wdzięcznej powierzchowności domki z pięknymi portykami, porozrzucane są wśród pysznej roślinności, głównie złożonej tu z wyniosłych palm kokosowych, krasnych drzew tulipanowych i pięknych bananów. A jaka łudząca perspektywa tych ulic!

Była to wilia Nowego Roku. Zakończyliśmy dogorywający rok uroczystem nabożeństwem w kościele. Celebrował ks. biskup z Kandy. Obszerny kościół katedralny był nabity ludźmi. Zapadający zmrok nie dozwalał widzieć cery właściwej temu ludowi i wyobrażałem sobie, że jestem w Europie...

Była to dziwnie wzruszająca chwila, gdy chór dzieci srebrzystemi głosikami zaintonował: *Parce Domine, parce populo tuo, ne in aeternum irascaris nobis!* Myśl moja zwróciła się do tych biednych pogan, którzy nie mogą korzystać z dobrodziejstw i łask płynących z wiary św.!...

W dzień Nowego Roku (1887 r.) odprawiłem Mszę św. u „Braci Szkół Chrześcijańskich", którzy utrzymują pięknie rozwijający się zakład w Colombo. Dwóch młodych nowicyuszów służyło do Mszy św. Jeden z nich był Tamulczykiem, drugi Anamitą. Dzień ten zwrócił myśl moją ku Europie, ku znajomym, rodzinie, ojczyźnie i przyjaciołom mym, których zostawiłem był w Rzymie... Następnie przypatrywałem się z wielkim zajęciem zdumiewająco pięknym okazom rysunkowym, kartograficznym i malarstwa, wykonanym przez uczniów Szkoły Braci Chrz.; europejskie nasze dzieci nie zdobyłyby się nigdy na te prawdziwe cuda cierpliwości. Pokazywano mi np. wizerunek Dzieciątka Jezus, przerysowanego ze stalorytu — wykonany z tak zdumiewającą dokładnością i tak subtelnie, że musiałem przypatrzyć mu się powtórnie, by się przekonać, że był to rysunek piórkiem, nie zaś sztucznie wykonana rycina. Mały ogródek Braci posiada piękną kolekcyę „Crotonu", którejby im mogli pozazdrościć wszyscy najsłynniejsi amatorzy europejscy.

Zauważyłem był, że wszyscy misyonarze mieli przy sobie rodzaj służącego, młodego chłopca, pochodzenia Tamulskiego lub Cyngalskiego i dowiedziałem się przy tej sposobności o bardzo pięknym, rozrzewniającym tamtejszym zwyczaju: Oto rodzice katolicy, należący do najwyższych kast, poświęcają niektóre dzieci, jak niegdyś Samuela, na usługi Kościoła św. i kapłanów. Dzieci te odznaczają się wiernością i nadzwyczajnem przywiązaniem do mi-

syonarzy, którzy nawzajem odpłacają się im miłością i nieograniczonem zaufaniem. Nie biorą one żadnej płacy i nie przyjęłyby jej pod żadnym warunkiem; nie lubią, by je nazywano służącym, zwykle dają im nazwę: „dzieci".

Gdy „dziecię" to wyrośnie w młodzieńca, wtedy powraca do domu rodzicielskiego; jeżeli jest ubogim, to misya obdarza go małym datkiem pieniężnym, tak zwanym tu „wianem" — jeżeli zaś pochodzi z rodziny zamożnej, to starają się wyrobić mu stanowisko w świecie, polecając go gubernatorom angielskim, w celu wyrobienia im posady rządowej.

„Dzieci" te, chowając się i kształcąc w domach wysokich dostojników Kościoła św. i misyonarzy, są w późniejszym czasie dobrymi ojcami rodzin, zdolnymi katechetami i wielką pomocą Kościołowi w sprawie nawracania pogan, służąc niejednokrotnie za pośredników między misyonarzami a ludem.

— „Jakże piękna ta leśna droga! — zawołałem — gałęzie drzew łącząc się tworzą ponad naszemi głowami sklepienie zielone, utworzone z liści kokosowych i..." — Ależ to nie jest droga leśna — odpowiedziano mi na to — to jedna z najgłówniejszych ulic naszego miasta, a i katedra stąd niedaleko".

— „Więc to ma być ulica? przecież gdzie spojrzę, widzę tylko drzewa i drzewa!". — Proszę przypatrzyć się lepiej, oto chaty widnieją do około, zakryte krzewami i drzewami".

Biskup z Jafna, ks. Mélizan, zaprowadził mię pewnego pięknego poranku do zakładu Braci Szkół Chrześcijańskich, położonego w uroczej okolicy, nad brzegami oceanu. Podziwiałem rozkoszną florę ich ogrodu, przedewszystkiem jednak skwapliwie wyszukiwałem dawne me znajomości z oranżeryj europejskich... Jeden z poczciwych Braci pokazał mi, tak jak u nas pokazywanoby kolekcyę bananów lub ananasów, największą osobliwość ogrodu: kilka główek kapusty i grządkę fasoli. Ileż to trudów trzeba było ponieść, by wychować te rośliny, i jak je podziwiano, gdy się przyjęły i plon wydały! Nikt z nich nie chciał nawet patrzeć na ananasy, które rosły po zakątkach ogrodu, jako chwasty, ani na wspaniałe archidee, które się piły po drzewach figowych, zakrytych od dołu do góry splotami przepysznej bignonii. Przypomniało mi się wtedy żywo to twierdzenie, że nikt nie jest pro-

rokiem w swej ojczyźnie, nawet ananasy... ale też trzeba przyznać, że nie posiadają ani w części tej soczystości, ani tego niezrównanego aromatu, jakim się odznaczają ananasy, hodowane w naszych cieplarniach.

Z zakładu naukowego Braci Chrz. udaliśmy się do szpitala, który uczynił na mnie niezwykle silne wrażenie. W rozległym parku były porozrzucane maleńkie, przedstawiające się bardzo wykwintnie domki, połączone ze sobą długiemi portykami. Każdy dom przeznaczony jest na osobny rodzaj choroby; powietrze w salach dla chorych jest czyste — świeże... O ileż przyjemniej i korzystniej dla zdrowia możnaby przebywać w tym indyjskim klasztornym szpitaliku, niż w naszych dusznych, cuchnących szpitalach europejskich. Zakonnice Franciszkanki zajmują się pielęgnowaniem chorych, i utrzymują czystość i ład wzorowy. Przełożona, pani de Guigné, opowiadała nam, że lekarze — protestanci przeważnie — zachowują się z największem uszanowaniem względem wszystkich Sióstr i czynią, co tylko jest w ich mocy, by im ułatwić ciężką i przykrą ich pracę.

Pewien stary poganin opowiadał mi z radością, że już przyjął Chrzest św., ale — jak mówił — zapomniał nieszczęściem imię, jakie mu przy chrzcie nadano,.. *Jan!* zawołała śmiejąc się poczciwa zakonnica.

Z jakiemi strasznemi chorobami ma się tu do czynienia! przyjmują tu nawet trędowatych i cierpiących na najstraszliwszą z chorób — *elephantiasis!*; biskup z Jafna udzielał ostatnich pociech młodemu człowiekowi dotkniętemu trądem, nie bał się tak bezpośredniej styczności z tym nieszczęśliwym, dotykał się go, udzielając mu ostatnich Sakramentów ŚŚ.; widok ten wstrząsnął mną do głębi...

Wyniosłem bardzo miłe wrażenie ze szpitala w Colombo i opuszczając go porównywałem go w myśli z temi ponuremi budynkami szpitalnemi w Europie, w których również pielęgnują chorych, a których samo wspomnienie przejmuje już trwogą biedakow, zmuszonych szukać w nich odzyskania utraconego zdrowia. Pewien młody lekarz zaproponował nam zwiedzenie muzeum szkoły medycznej, które rzeczywiście było warte widzenia. Przypatrywałem się

tam z wielkiem zajęciem zielnikowi, zawierającemu wszystkie odmiany herbaty i chiny, uprawianej na wyspie Cejlon.

Zwiedzanie szkoły, szpitalu Braci Chrz. i muzeum zajęło nam całe rano.

Nad wieczorem Mgr. Agliardi wybrał się razem z Mgrem Bonjean na zwiedzenie miasta i jego osobliwości. Do ich powozu wsiadłem jeszcze ja i Mgr. Ajutti. Szczególniejszą naszą uwagę zwróciło muzeum miejskie, obfitujące w okazy płodów tej wyspy. Pan Corbet, dyrektor muzeum, którego brata dobrze znałem, przyjmował i oprowadzał wszędzie delegata apostolskiego z wytworną uprzejmością.

Wycieczka nasza zakończyła się zwiedzeniem małego parafialnego kościółka, gdzie ludność przyjęła delegata z zapałem nie do uwierzenia. Dziwnie wzruszająca była ta ludowa demonstracya, w której nie było nic sztucznego, lub wymuszonego. Przytem jednak można się było nieraz uśmiać serdecznie z niektórych rzeczy, które każdemu europejczykowi muszą się wydawać zabawne. Weźmy np. dzisiejszy nasz ekwipaż pod rozbiór. Był to piękny landauer, zaprzężony we dwa kare konie. Za nami stało dwóch wyprostowanych i w pozie, której nic nie można było zarzucić, urodziwych strangretów, w białej liberyi, w białych zawojach i... boso! Woźnica był tak samo przybrany i obuty. Obok woźnicy siedział na koźle młodziutki 18-sto letni paź — tak zwane „dziecię“, oddane na usługi delegata; cudownie piękny Tamulczyk, potomek jednej z najwyższych kast w kraju, postać prawdziwie arystokratyczna, w narodowym, oryginalnym stroju; za całe ubranie starczyła mu biała opona, ściśnięta paskiem srebrnym, prócz tego miał na sobie czarny żakiet na gołem ciemnem ciele; — bez kapelusza i boso... W takiem to śmiesznem otoczeniu jechaliśmy przez najgłówniejsze ulice miasta, wśród zbitych tłumów ludności, wrzeszczących zapamiętale *hurra*! i trzeba było silić się na utrzymanie całej powagi! Ale darmo! co kraj, to obyczaj.

Przy wyjściu z kościoła chciano w celu uczczenia delegata odczytać długą przemowę, ułożoną w języku cyngalskim, lecz na szczęście uwolniono nas od tego, a tylko mała dziewczynka podała mu prześliczny bukiet. O kilka kroków dalej, zatrzymał nas w drodze oryginalny koncert. Dwie gromadki kobiet, siedzących w koło

na ziemi, trzymały ogromny bęben w środku i uderzały po nim dłonią, wydobywając tony krótkie, urywane. Pod bębnem żarzyły się węgle, mające skórze nadać większą czułość. I tą serenadą trzeba było uszy swe uraczyć, a nie była to zresztą — mimo hałaśliwości i pewnej dzikości — zbyt nieprzyjemna serenada.

We *Wtorek*, 4-go stycznia zwiedzaliśmy przez całe popołudnie tamtejsze kościoły, które nas istotnie w zachwyt wprawiły. Kościoły katolickie należą do najpierwszych budowli miasta Colombo; niektóre z nich są tak wspaniałe i okazałe, że śmiało mogłyby się znajdować w pierwszych stolicach europejskich. Katedra, o której już nadmieniłem, pod wezwaniem św. Łucyi, patronki wyspy Cejlonu, nie jest jeszcze całkowicie ukończona; jestto niezwykłych rozmiarów gmach, z piękną facyatą, będącą pełnem wdzięku naśladowaniem facyaty św. Piotra w Rzymie... Zwiedziliśmy następnie kościół św. Jakóba, św. Józefa i wiele, wiele innych. Obok katedry podobał mi się najbardziej kościół św. Józefa, jeden z najpiękniejszych kościołów, jaki mi się kiedykolwiek zdarzyło widzieć.

Z jakąż radością patrzyliśmy na ten pobożny, szczerze do Kościoła św. przywiązany lud; jakże nas cieszyło to pełne serdecznego zapału przyjęcie, jakie nam wszędzie zgotowano! Kościoły były przepełnione prawowiernymi krajowcami, zachowanie się ich podczas całego nabożeństwa, a zwłaszcza w czasie udzielania błogosławieństwa przez delegata, ze wszechmiar budujące — jak na prawdziwych katolików przystało; przy naszym wyjściu z kościoła, rozległy się okrzyki radości i potężne, hurra! Tylko Indyanie są zdolni krzyczeć tak zapamiętale i tak głośno! A cóż mówić o wystrzałach z moździerzy i ogłuszających petardach, któremi nas co krok raczono! Często miałem z tego powodu pełno piasku w oczach. Czasami powstawał koło nas taki tłum i ścisk, że byłem zmuszony wytężyć wszystkie siły, by sobie utorować przejście wśród tłumu, a nie było mi to zbyt przyjemnie ocierać się i dotykać tych nagich, wilgotnych ciał! Huk bębnów i petardy są niezbędną przyprawą każdej uroczystości i publicznego obchodu na wyspie Cejlon. Ci, którzy wpadli w największy zapał, strzelali nam tuż nad uchem z pistoletów. Rozumie się, że konie płoszyły się co chwila i kilka razy o mało nas nie uniosły; ale któżby zważał na takie bagatele?

(C. d. n.)

KS. STAN. CHOŁONIEWSKI W RZYMIE.

(Ciąg dalszy.)

Dyaryusz podróży do Rzymu. — Przyjaciele rzymscy. — Akademia duchowna. — Wycieczka do Neapolu. — Dysputy publiczne i egzamina. — Przygotowanie do święceń kapłańskich.

„*Dnia 12 lipca*[1] wyjechaliśmy do Baden..., gdzie zastaliśmy Schleglów, którzy również tu do kąpiel przybyli. Papa Schlegel zagłębił się bardziej jeszcze niż dawniej, w magnetyczne i mistyczne medytacye. Genialny to uczony, głęboki i dowcipny marzyciel, zawsze bardzo przyjemny, bo z dziwną prostotą kombinuje wszystkie swe pomysły z zasadami katolickiemi. Biedna moja głowa nie może przecież wszystkich jego teoryj pomieścić i ze sobą pogodzić. Henryk szturmuje doń coraz nowemi pytaniami. Pani Schleglowa bardzo miła staruszka, pełna dowcipu, zajmuje się ciągle dobrymi uczynkami; a rozmowa z nią bardziej mię jeszcze buduje, niż rozmowa z jej mężem, chociaż często można od niego usłyszeć bardzo piękne i wzniosłe rzeczy. W Wiedniu dotrzymuje nam towarzystwa księżna Kazimierzowa Lubomirska, słaba ciałem, ale silna dobrymi uczynkami, będąca prawdziwym wzorem pobożności. Prostota jej trafiłaby wam do serca...

Przed czterma dniami zrobiłem wycieczkę do Eisenstadt we Węgrzech, o pięć mil od Badenu, wespół z O. Libockim, rektorem Redemptorystów, który uczy mię oryentować się w brewiarzu. Przy-

[1] W tem miejscu przerwa w dzienniku; następnych kilka szczegółów wyjętych z francuskiego listu do Grocholskich z 29 lipca 1827.

patrzyliśmy się malowniczej węgierskiej ziemi, jej winnicom, górom i jednemu jeziorowi. Eisenstadt jest własnością księcia Esterhazego. Wielki zamek, kuse i brzydkie ogrody angielskiego kroju, które kosztowały miliony, bo przeniesiono do nich z wielkimi kosztami kawałki skał, wyglądającemi jak smaczne, dosyć duże biszkopty, lub *baby święcone,* i sprowadzono wodę parowemi pompami... Dziś w niedzielę, byliśmy na prześlicznem kazaniu O. Veith'a; wielki to kaznodzieja".

30 sierpnia[1]. *Wiedeń.* „Dwadzieścia kąpieli w Baden nie zaszkodziło mi, a może z czasem, jak się spodziewam, wywrze jaki skutek na nieszczęśliwe reumatyzmy. Stary Kossakowski, sekretarz ambasady rosyjskiej w Rzymie, który jadąc do Petersburga tutaj się zatrzymał i nuncyusz Spinola, opatrzyli mię listami rekomendacyjnemi... Dziś o 9-tej rano powieszono nieszczęśliwego Jaroszyńskiego. Henryk poszedł na miejsce stracenia; ja widziałem go tylko trzy dni temu, kiedy stawiono go pod pręgierzem dla gapiącego się ludu. Przykro było nań patrzeć, tyle w postaci jego przebijało się niepokoju, którego nie mogła zamaskować wyuczona teatralna poza. Poczciwi Redemptorzyści chcieli go do wieczności przysposobić, ale wolał jakiegoś kapelana wojskowego, z którym prędko, po huzarsku się załatwił. Wybrałem się do niego, do więzienia z Henrykiem i kochanym naszym Podolaninem, Wołodkiewiczem, który bawił z nami u wód dla zdrowia żony; widzieć się z nami nie chciał. Niech Bóg nie wypuszcza nas z swej opieki, bo zawsze i wszędzie, tylko *pierwszy krok kosztuje*".

W Wenecyi zatrzymali się nasi podróżni dwanaście dni[2], chodząc po Kościołach i galeryach obrazów i przysłuchując się śpiewom gondolierów. Służący tymczasem: Antoni i Daniel, nieczuli na piękności włoskiej natury, bardziej byli czuli na wspaniałe winogrona, których nie żałowali sobie, popijając je wodą. Poezya zemściła się srodze na tych zbyt konsekwentnych zwolennikach praktycznego realizmu, nasyłając na nich, niebawem po wyjeździe z Wenecyi, po-

---

[1] Do *Cecylii Chołoniewskiej* list francuski i do *Mik. Grocholskiego* list polski.

[2] Od przybycia do Wenecyi dzienniczek zmienia się w urywkowe, lakoniczne notatki, które staranniejszego obrobienia nigdy się już nie doczekały.

tężną febrę, która parę jeszcze razy przed przybyciem do Rzymu dała się biedakom we znaki. Chcąc nie chcąc trzeba się było dziesięć dni zatrzymać w Ferrarze, zwiedzając ciekawości miejskie: biblioteki, w których należało podziwiać rękopisma Tassa i Ariosta; więzienie Tassa, noszące jeszcze świeże ślady spełnionych tam dziwactw Byrona; wreszcie klasztor Jezuitów, w którym z nadzwyczajną radością przywitał rodaków i codziennie długie godziny spędzał z nimi na rozmowie, wygnany przed dziesięciu laty z ojczyzny O. Kuczyński „święty prawdziwie człowiek“ [1]. W Bolonii nowa czekała niemniej miła niespodzianka. Mezzofanti, umiejący już wówczas około czterdziestu języków, dowiedziawszy się o przybyciu Polaków, pobiegł do nich czemprędzej na polską gawędkę, przyjemność, do której nie tak często nadarzała mu się sposobność. Ponieważ Mezzofanti żywo interesował się literaturą i poezyą polską, Henryk Grocholski posłał mu jeden z najnowszych sonetów Mickiewicza, za który uczony lingwista podziękował skomponowanym przez siebie polskim wierszykiem. Czy wierszyk ten, czy rozpaczliwe narzekania sług wzdychających za polską kuchnią, i odżywiające się w ten sposób własne wspomnienia, czy coraz pilniejsze wczytywanie się w Mickiewiczowskie sonety, rozbudziły w Chołoniewskim na nowo obumarłą poetyczną żyłkę: dość, że w Forli chwycił za pióro i wylał swe gastronomiczne żale i skargi w humorystycznym wierszyku:

Zrozpaczonego włoską kuchnią Polaka [2]

SONET DO BARSZCZU

Potworna metamorfoza sławnego sonetu A. M.

„Niemnie, domowa rzeko moja i t. d.“

Barszczu, domowa zupo moja, gdzież są rury,
Z których szpik wyciskałem w usta niemowlęce,
Któremi potem dzielne uzbroiwszy ręce,
Tęschnemu żołądkowi zabijałem kury?

W tobie, pulchna słoninka, chlubna z swej urody
Lubiła się przeglądać w mięsnych uszek gronie;
Tu obraz jej malowny w srebrnej misy łonie,
Łyżką nieraz mąciłem, zapaleniec młody.

[1] Do *Grocholskich*. Loreto 18 paźdź. 1827.
[2] Pisma pośmiertne t. II. 150.

Barszczu, domowa zupo! gdzież są smaczne soje,
A z niemi tyle szczęścia, łakoci tak wiele —
Kędyż jest na pieczyste miłe z sokiem cielę?

Gdzież milsze burzliwego miodku niepokoje?
Kędyż jest wódka moja? gdzie tatarskie ziele?
Wszystko przeszło — ach! czemuż nie przejdą łzy moje?

Przejeżdżając przez Loreto, niepodobna się w niem było dni kilka nie zatrzymać. Tu znowu Antoni i Daniel z większą pewnie radością, niż panowie ich na Kuczyńskiego i Mezzofantiego, natrafili na księdza, który mógł ich zrozumieć i wyspowiadać. Obaj nieboracy z trudnością na nogach się trzymali, a choć Chołoniewski, sam już teraz układał im „speiscetle włoskie", nie zawsze mógł przypilnować dokładnego wykonania swych przepisów, i jeszcze z oczu nie stracono Loretańskiego domku, a już powtórzyła się dawna smutna zwrotka: „Antoni ledwo łazi, a Daniel ma tercyannę".

„W Tolentynie[1], pisze w liście do Grocholskiego, odwiedzi-„liśmy kościół dość piękny, Twego, kochany Mikołaju, wielkiego „patrona. Mury korytarzów klasztornych całe zamalowane cudami „tego świętego. Przed jego ołtarzem i grobem, msze na twoją in-„tencyę były zmówione. Z Tolentino do Foligno jest naszych siedm „mil, a tutejszych czterdzieści trzy. Wjechaliśmy w Apeniny, okryte „lasami z krzewów, czyli drzew, które naszym treibhauzom tylko „są wiadome, tak dalece, że i erudycya p. Henryka, w botanice „znakomita, nie raz doznawała wielkich utrapień. Urwiska skał po „nad bystrymi potokami i piękne drogi murowane, szerokie, wzdłuż „tych przepaści wijące się, bardzo się nam podobały, chociaż deszcz „zaczął nas moczyć. Ale kasztanki nieczułe na te romantyczne wi-„doki, bardzo sobie Apeniny sprzykrzyły; nakoniec trzeba było na „największych górach wziąść pocztę. Stanęliśmy godzinę przed zacho-„dem słońca w Casenuove, małej wioszczynie między górami. Karczma „niegodziwa; dziesięć wiorst czyli mil do Foligno, choć godzina „tylko do zachodu. „Próbujmy szczęścia", rzekł p. Henryk. „Pędź „przyjacielu!" Pędziliśmy nieźle, bo wszystko było z góry, lecz ta-„kie przykre Apeniny, że mimo najśliczniejszej drogi, trzeba było

[1] Do *Grocholskich*. Rzym. 30 październ. 1827. List polski.

„co moment hamować i to nas w noc zapędziło. Coraz pytamy się „jak daleko; a miasta nie widać. *Ciemno*, miesiąca nie ma, „wjeżdżamy w wąwozy i lasy oliwne; dzwony tylko zdala odezwały „się, zapowiadające *Ave Maria*, po której we Włoszech nie dobrze „na drodze się bawić; przecież stawać musieliśmy dla ustawicznego „hamowania. *Co to będzie? Co to będzie?* Ale ten dzwon *Ave* „*Maria* dzwoniący, przepędzał wszystkie strachy; szczęśliwie, choć „późno w nocy, zajechaliśmy do Foligno, porządnego miasta... „*Kacap*, koń dyszlowy, podbił się nieco przez sympatyę z Danie- „lem, który gniewa się na febrę, na Włochy i na Antoniego, wy- „mawiającego mu, że pozwala febrze, aby go trapiła“...

„Spoleto, miasto stare, położenie bardzo wspaniałe, pełne „dawnych szczątków po Rzymianach i Gotach... Ale tych wspo- „mnień, szczątków, rozwalin, tradycyj klasycznych, romantycznych, „uczonych, literackich, wojennych, tyle cudzoziemiec znajduje, prze- „stąpiwszy tylko nogą granicę włoską, takim się staje erudytem „*nolens volens*, bo *Ciceroni* jak belfery krzyczą mu wszędzie nad „uszami: *Vedi Signor! vedi! Ecco! Ecco!*, że po kilkuniedzielnem „podróżowaniu we Włoszech, osoby jak ja, mniej rzeźwego i by- „strego umysłu, w rodzaj osłabienia władz duchowych popaść „mogą. Tylu rzeczom dziwować się trzeba, tyle rzeczy wielbić „i wychwalać, tyle oglądać, tylu się przysłuchiwać, że nakoniec „radby człowiek, aby mniej było pięknych rzeczy do widzenia, albo „przynajmniej nie tyle w krótkim czasie. Ile razy przyjeżdżamy do „nowego miasta, wzdychając mówię do p. Henryka: *Ah! voilà* „*encore des belles choses à voir.* To czyste barbarzyństwo z mojej „strony, ale szczera prawda. Szczęściem od Spoleto do Rzymu nie „ma znacznych miast. Jak przychodzi czasami otworzyć naszego „*Guide Neugebauer*, z strachem patrzymy, czy wiele zapowiada cie- „kawości, bo to my przez dwa miesiące tak *ciekawi*, a to nie „żart...

„*W Otricoli* pierwszy raz przejechaliśmy Tyber sławny. Tu „z miasteczka ukazał się nam, jak wstążka, rozwinięta wzdłuż naj- „ślicznieszej doliny, Apeninami opasanej, które to mają do siebie „właściwego, że się okazują zawsze, jakby umyślnie w amfiteatr „ułożone... Tu także znaleźliśmy jeden punkt z widokiem bardzo „podobnym do tego, który nad Dniestrem mieliśmy na owej górze

„wysokiej, gdzie klasztor odwiedzaliśmy w skale wykuty. Tylko, „że Tyber nie taki bystry, ani tak szeroki, jak Dniester. Stąd na „noc stanęliśmy w miasteczku *Civita Castellana*, bardzo podobnem „z położenia do Kamieńca, tylko mniejszem; lecz podobne skały „i urwiska i wjazd przykry. Radbym przecież tutejszy most na „przepaści przez Rzymian zbudowany, na model do Kamieńca „przesłać, bo na podobnem miejscu godziłoby się u was most po- „stawić...

„Droga publiczna pyszna. Mogliśmy być tego dnia w Rzymie, „aleby to było późno bardzo, a tak się niegodzi wjeżdzać do „Rzymu. Postanowiliśmy więc z cierpliwością, nie bez zasługi po „dwumiesięcznej mozolnej podróży w *Monte Rosi*, ostatniej gospo- „dzie o trzydzieści wiorst od Rzymu, wcześnie zanocować. Niewy- „powiedziana to dla mnie była pociecha, tak blisko być Rzymu. „Mało w nocy spałem, wyglądając jutrzenki pożądanej; na ogro- „mne transporta indyków żywych, w paradnych kojcach do Rzymu „wiezionych z zazdrością patrzałem, że nas wyprzedzały. Nakoniec „przy pomocy Boskiej wczoraj, 29 października, o godzinie szóstej „z rana, — Daniel zdrowszy, konie dobrze odpoczęły, Antoniego „dyarya trochę ustała; — wytaczamy kocz, ja i konie zaprzęgam, „byle tylko mię już do Rzymu dowiozły. Jedziemy tak żywo i ka- „sztanki poczciwe tak prędko do sił przychodzą po jakiejkolwiek „wygodzie, iż mi się zdało, żeśmy ze Lwowa dopiero wyruszyli, „kiedy byliśmy już na tym wzgórku, z którego cały Rzym ma być „widno. Wołam ustawicznie to na Daniela, to na Antoniego: „*A widzicie co?* to stawać każę, to p. Henryka do patrzenia na- „mawiam, to do perspektywy się biorę. Napróżno! deszcz, mgła! „Daniel powiada: *At! widno jakieś wsie.* Ja na to się niecierpli- „wię. Anteni go poprawia: „*Ja dawno baczył jakojuś wieżu we- „łyku*“. — „*Jedź dalej!*“ bo napróżno upatruję. I tak pomimo „najszczerszej chęci, dla deszczu i mgły, a potem gęstych wąwo- „zów, nic się nam Rzymu nie ukazało, aż póki pod same domy „przedmieścia nie podjechaliśmy. Tu się niebo wyjaśniło; kasztanki „pędem z pagórka się puściły; pierwszy raz wtedy dopiero ujrza- „łem kopułę św. Piotra. Nie zdała mi się bardzo wielka, ani taka, „jakąm ją sobie wystawiał i dotąd się nie zdaje, chociaż byliśmy

„już w kościele, ale to robi iluzya optyki i wielkich stosunków „budowli rzymskich, które tu oko otaczają".

„O wpół do ósmej zrana stanęliśmy na pysznym placu *Del „popolo*, pod bramą *Del popolo* marmurową. Zapytano o paszport, „potem nas do *dogany* przez pół godziny wielką ulicą *Corso* pro„wadzono. Tym sposobem przyjechaliśmy po pod sławną *Colonna „Antonina*, a przed dawną świątynią Piusa Antonina, a teraźniej„szą *doganą*. Daniel na kasztanki: *Prr!* krzyknął z wielkim try„umfem, że je aż do samego Rzymu doprowadził, bom mu to „zawsze do serca przygadywał... Po obiedzie, acz znużeni, pobie„gliśmy na pocztę i tam mieliśmy szczęście znaleść listy Cesi i wa„sze... Nieczytając, pobiegliśmy do Watykanu; tam u grobów św. „Piotra i Pawła, tych bohaterów świata chrześcijańskiego, modły „moje niegodne ofiarowałem za was wszystkich, za każdego z oso„bna kilka pacierzy mówiąc. Dziękuję Ci, kochany Mimie, za Twój „piękny list, tak długi, tak pełen dobrych rad. Masz bardzo racyę, „że mi każesz pamiętać o stracie czasu i wystrzegać się zasadzek „złego ducha. To głos prawdy i przyjaciela; obym takiego wszę„dzie znalazł!"

Rosyjski ambasador w Rzymie, Grzegorz Gagaryn, dowiedziawszy się o przybyciu polskich podróżnych, zajął się nimi natychmiast z uprzedzającą grzecznością, zaprosił raz na zawsze do swej loży w teatrze, ofiarował się wprowadzić ich na arystokratyczne rzymskie salony, a choć widać było, że projekta Chołoniewskiego nie zupełnie trafiają mu do przekonania, zanadto był grzecznym, aby zdziwienie swoje zbyt wyraźnie objawić. W kilka godzin po pierwszej dłuższej rozmowie, przysłał Gagaryn swym protegowanym bilety zapraszające na wielki wieczór do ambasadora francuskiego, księcia de Laval Montmorency. Wymówić się było tem trudniej, że Chołoniewski poznał był jeszcze księcia przed kilkunastu latami w Paryżu; rad więc nie rad wyciągnąć musiał szambelański mundur na dnie kufra ukryty i zrezygnować się na parogodzinne kłanianie się rzymskim i w Rzymie bawiącym znakomitościom. „Olbrzymie salony ambasady francuskiej[1] były prze„pełnione; wszystko tu ma większe niż gdzieindziej rozmiary, wy-

[1] Do *Grocholskich*. Rzym 11 listopada 1827. List franc.

„jąwszy ludzi, którzy jedni tylko, tych samych są, co gdzieindziej „rozmiarów. Sześć już lat temu, kiedy byłem ostatni raz na tego „rodzaju recepcyi, ale przekonałem się, że ta gałęź cywilizacyi „europejskiej w niczem od tego czasu nie rozwinęła się i nie zmie„niła. Ciągle jedno i to samo w kółko: wiele pań siedzi jedna „obok drugiej z lekko znudzoną miną, a w pośród tego amfiteatru „z toalet, stoją i trącają się gromady mężczyzn, którzy nie mają „ani czasu, ani miejsca, ani chęci do jakiejkolwiek dłuższej roz„mowy, bo ciągle płynące strumienie uniformów, fraków, księżych „płaszczy i czerwonych czapeczek, ani na chwilę zatrzymać się nie „dadzą na jednem miejscu. Przypływ ten i odpływ unosi cię ze „sobą, mimo twej woli i wiedzy po przez wszystkie sale, aż do „ostatniego pokoju, i dopiero kiedy dojrzysz kilka figur francuskiego „kontredansu, przypominasz sobie, że jesteś u francuskiego amba„sadora, bo zresztą salon w Rzymie niczem się nie różni od salonu „w Paryżu, lub Petersburgu. Znaczna ilość sutann i czerwonych „pończoch nadaje jeszcze jedynie tutejszemu towarzystwu pewną „wyłączną, bardziej poważną postać. Naliczyłem dziewięciu kardy„nałów na tym balu. Przedstawiono mnie młodemu, pobożnemu, „bardzo tutaj popularnemu kardynałowi Odescalchi. Miałem dla „niego listy; długo i poczciwie rozmawiał ze mną o Jędrzeju i Eli„zie i bardzo ich chwalił..."

Z Polaków, więcej niż przyjaźnie, bo z prawdziwie macierzyńską miłością przyjęła Chołoniewskiego znana w całym Rzymie i powszechnie poważana matrona, księżna Stolnikowa, Dorota Czartoryska [1], której najmłodsza córka Celestyna wyszła była za spokrewnionego z Chołoniewskim, Stanisława Rzyszczewskiego. „Stara księżna „Czartoryska [2] mieszka w klasztorze Urszulanek. Dźwięk jej głosu przy„pomina mi Cesię. Bardzo jest żywa, podobna do córki swej Rzy„szczewskiej, rozmawia z dowcipem i ogniem. Wygląda na wielką „panią; bardzo nabożna, bardzo grzeczna; sama nam zaproponowała, że nas kardynałom zarekomenduje". Raz zawiązane stosunki już się nierozerwały; w czasie pobytu w Rzymie Chołoniewski sta-

[1] Dorota Barbara z Jabłonowskich Czartoryska, wdowa po Józefie Klemensie, księciu z Klewania na Korcu Czartoryskim, stolniku W. litewskim.

[2] Do *Grocholskich*. 11 listop. 1827. List franc.

łym był gościem w skromnych pokoikach księżnej Doroty; później częste listy, wzajemne prośby o rady, i modlitwa nie dozwoliły ostygnąć tej pięknej, prawdziwej przyjaźni. Za cicerona ofiarował się Chołoniewskiemu, dobrze znany w polskiej kolonii w Rzymie, ksiądz Zajączkowski; z przyszłym trybem życia, z zwyczajami rzymskich seminaryów i akademii zaznajamiał go ksiądz Scipion, który wespół z księdzem Łubińskim odbył był studya w zostającem pod dyrekcyą Jezuitów *Collegium Germanicum*. Młody Kazimierz Czetwertyński, stojący właśnie w tej chwili na rozstajnej drodze i będący mniej więcej w tem samem stadyum życia, w którem znajdował się Chołoniewski w czasie pobytu swego w Paryżu, dopełniał w tym czasie tego poufnego kółka najbliższych przyjaciół, różnymi losami przypędzonych do Rzymu, a odnajdujących tutaj jakby drugą wspólną ojczyznę, mających sobie codzień tyle rzeczy do powiedzenia *po polsku*.

Będąc w Rzymie, pragnął Chołoniewski przedewszystkiem widzieć Papieża i otrzymać jego błogosławieństwo; dzięki uprzejmości Gagaryna nadspodziewanie prędko spełniły się te jego życzenia. „Jedynastego listopada[1] mieliśmy szczęście być prezentowa-„nymi Ojcu św. Było nas wszystkich siedmiu na audyencyi: pięciu „Rosyan, dwóch nas Polaków. Wprzód zawołał Ojciec św. księcia „Gagaryna samego, który przez kwadrans bawił u niego; potem „nas zawołano, t. j. księcia Gorczakowa, który tu przybył na miej-„sce Kossakowskiego; p. Wielhorskiego, kamerherra petersburskiego; „Krywcowa, sekretarza ambasady; Naryszkina młodego; mnie i Hen-„ryka. Weszliśmy razem, jeden po drugim, jak szyldwachy na „wartę. Książe Gagaryn prezentował nas wszystkich po kolei; ja „byłem trzeci w rzędzie. Ci panowie co przedemną szli, w rękę „Ojca św. całowali, nisko bardzo kłaniając się razy kilka; ja zaś „z Henrykiem padliśmy mu do nóg z wielką radością. Ojciec św. „przyjął nas stojąc bez piuski i bez stuły, w białej zwykłej swej „sukni. Dobrze tego dnia i zdrowo wyglądał. Słuszniejszy ode mnie, „chudy, zda się mieć lat 60, ale ma ich 68. Twarz łagodna, dow-„cipna i pańska, uśmiech bardzo przyjemny i pobożny. Kiedym

[1] Do *Grocholskich*. Rzym. 28 listopada 1827. List polski.

„przypadł do nóg Ojca św. lukta się wszczęła. Papież mię ręką „niedopuszczał, mówiąc z wielkiem przymileniem: *La prego, La „prego*; musiałem więc kilka razy od jego świętej ręki umknąć; „nakoniec gdym upatrzył chwilę sposobną, nie uspiał mię ręką za- „trzymać i miałem szczęście krzyż św. na jego szanownych nogach „ucałować. To wielka pociecha!: *Tu es Petrus etc.* Gdy się pre- „zentacya skończyła, Ojciec św. rzekł do wszystkich ogółem:

„*Tutti questi Signori parlano senza dubbio l'italiano, per- „chè i Russi e i Polachi parlano con gran facilità tutte le lingue* [1]".

„Obróciwszy się potem do księcia Gagaryna: *La ringrazio „molto per la conoscenza, che mi ha procurato* [2] i na tem się skoń- „czyła audiencya rosyjska. Nakoniec poprowadził nas książe Gaga- „ryn do kardynała sekretarza stanu, Della Somaglia, który także „bardzo mile o Polakach wspominał. Książe Gagaryn bardzo ła- „skaw na nas, woził nas po ambasadorach. Henryk na wszystkie „strony zapraszany; moje interesa *pryncypalne* także nie źle idą"...

Najważniejszym z tych *pryncypalnych* interesów, było w tej chwili rozstrzygnięcie pytania, obijającego mu się zresztą raz po raz o uszy: „Do którego seminaryum wstąpić zamyślasz? Czy do *akademii duchownej*, w której niedawno jeszcze temu przebywali dwaj: Jan i Michał Szczyttowie i Korsak [3]; czy z Łubieńskim i Sci- pionem, do *niemieckiego kollegium*, czy może do *rzymskiego kolle- gium*, w którem Wiktor Ożarowski studya odbywa? Samemu nie łatwo było się zdecydować; bardzo więc rozumnie udał się Chołoniewski po radę do dawnego swego protektora Ostiniego i do do- świadczonego w drogach Bożych Jezuity, O. Rosavena, którego obrał sobie za duchownego przewodnika. Obaj zgodzili się, „żem „już za nadto stary [4], abym potrafił się nagiąć łatwo do ściślejszej „feruły w innych seminaryach, i że przeto zrobię najlepiej wstępu- „jąc do Akademii duchownej, gdzie prócz większej wolności co do

[1] Wszyscy ci panowie umieją bezwątpienia po włosku, bo Rosyanie i Polacy z wielką łatwością mówią wszystkimi językami.

[2] „Bardzo panu dziękuję, żeś mi dał sposobność zrobić tę znajomość".

[3] Korsak umarł w Rzymie; Michał Szczytt wstąpił do Jezuitów i umarł w wielkiej świątobliwości, jak świadczy jego życiorys napisany w języku włoskim.

[4] Do *Grocholskich*. Rzym 29 listopada 1827.

„reguły, w domu dają wszystkie kursa, a nawet mieć można go-„dziny wolne dla lekcyj partykularnych, jeśliby ich kto zażądał. „Taka to jest więc ta *Academia Ecclesiastica*, założona przez Pa-„pieżów dla samej szlachty, która duchownemu stanowi chce się „poświęcać. Ponieważ w papieskim państwie wszystkie wyższe „urzędy są w ręku duchowieństwa, stamtąd więc tak na duchowne, „jak i na świeckie urzędy wychodzą *subjecta*. Kardynał Pacca jest „protektorem; Papież teraźniejszy był w niej wychowanym. Ma ona „przytem prawo udzielania po dostatecznym egzaminie, stopnia „doktorskiego w nauce teologicznej i prawie kanonicznem. Tam „zdecydowałem się wstąpić; proście Boga, aby moją nieudolność „pobłogosławił".

Ostini zawsze jednakowo żywy i uczynny, ledwie dowiedział się o decyzyi swego protegowanego, poprowadził go sam i przedstawił prefektowi, czy raczej, jak go nazywano: prezydentowi *Akademii duchownej*, Sinibaldiemu. „A będziesz się mógł poddać regu-„laminowi? zapytał tenże bez ogródek. Jeśli tak, to sam postaram „się u Ojca św., aby ci pozwolił wstąpić do Akademii". Jakoż za kilka dni doniósł, że Papież daje najchętniej swe pozwolenie i błogosławieństwo, a kiedy i Gagaryn, który z początku robił pewne trudności i chciał, aby Chołoniewski jako urzędnik dworski poczekał na cesarskie pozwolenie z Petersburga, przyrzekł tymczasem patrzyć przez palce na księżą sutannę i prosił tylko, aby w gazetach nic o całej tej rzeczy nie pisano; nie stała już na drodze żadna poważna przeszkoda, aby ostatecznie pożegnać się z szambelańskim mundurem, z balami u ambasadorów i rzymskich książąt. W czasie ośmiodniowych rekolekcyj odbytych w Gesù pod kierunkiem O. Rosavena, zerwała się chwilowo wielka burza pokus, ale Chołoniewski zbyt już często przedsiębrał podobną żeglugę, zbyt doświadczonego miał sternika, aby kierując się jego radami, i własnem doświadczeniem, narażonym był na zatonięcie. Jakoż po burzy nastąpiła cisza, a choć pozostało jeszcze pewne drżenie serca, pewien niepokój: Jak to dalej będzie? to przecież gdy 13 grudnia odprowadzony „tryumfalnie" przez Henryka Grocholskiego i księdza Scipiona, zajął nasz seminarzysta przeznaczone sobie dwa pokoje w *Akademii duchownej*, pełną piersią odetchnął swobodnie,

jak człowiek co po długiej, męczącej podróży, dojrzy wreszcie zarysowujący się zdaleka, lecz wyraźnie cel, do którego dążył.

W pierwszych miesiącach pobytu w *Akademii* odświeżył sobie Chołoniewski w pamięci i uporządkował w głowie główne filozoficzne zasady; następnie przykładać się zaczął bardziej wyłącznie do teologii i wnet spostrzedz mógł z radością, że nauki nie idą mu tak tępo, jak się tego z początku obawiał. Sympatyczni profesorowie: Fornari, Vezzardilli dodawali mu ducha; prywatne lekcye, płacone po osiem skudów za dwadzieścia godzin, dozwoliły mu niebawem w naukach z kolegami się zrównać; regulamin był łagodny, a kiedy raz w pierwszych dniach pobytu w *Akademii*, Chołoniewski mimowoli go przekroczył, to roztropny Sinibaldi wyjął go od zwykłej kary i dozwolił okupić się kawą i likierem, zafundowanym po obiedzie dla wszystkich akademików. To też już po dwóch tygodniach, zanotowuje sobie Chołoniewski w dzienniczku: „Zaczynam się orjentować; strachy mijają"; i zaraz nazajutrz: „Niepokój się zmniejsza"; i w parę dni później: „Uspakajam się coraz bardziej". Prawda, że kiedy znowu trzeba było zasiąść do jakiego egzaminu, a jeśli na czem to na najrozmaitszych egzaminach w *Akademii* nie brakowało —; kiedy miał mieć teologiczną dysputę, lub odczytać musiał w czasie obiadu, wypracowaną przez siebie rozprawę, to znowu dawny strach wychodził z kryjówki i nielitościwie pastwił się nad biedakiem. „Jak przyjdzie gadać *en public*, żartował sam „ze siebie[1], to mi serce bije i krew do głowy bije: to są spazmy, „Mości Dobrodzieju". „Mały to czyściec, poważniej pisał do sio- „stry[2], który zawdzięczam w części wielkiej irytacyi nerwowej, po „matce odziedziczonej, bo wiesz, jak matka nasza na nerwy cier- „piała; a w części olbrzymiej miłości własnej, niecierpliwiącej się, „że nauki tak wolno, po ślimaczemu lizą. Kiedy mam w szkole od- „powiadać, to nieraz mi serce bije jak żakowi. Napisałem już po „łacinie jedną rozprawę, ale jak pomyślę, że trzeba ją będzie od- „czytać przed kilkunastu słuchaczami, czerwienię się jak rak z wzru- „szenia. Prawdziwie, doskonała to materya do upokorzenia się, „gdybym tylko z niej umiał korzystać. Koledzy śmieją się nieraz

[1] Do *Grocholskich*. Rzym. 1 grudnia 1828. List polski.
[2] Do *Cec. Chołoniewskiej*. 29 listop. 1828. List franc.

„z mych strachów i ja sam się z nich śmieję, dopóki nowego ataku „nie dostanę".

Między kolegami tymi znajdowali się: hr. Bindangoli; hr. della Porta „tęga głowa", jak Chołoniewski w nawiasie notuje; książę Carraciola; hr. Piccolomini; hr. Emaldi; hr. Della Torre; książę Medici; Virgili „tęgi teolog i mój przyjaciel"; Volponi „dobry, bo bardzo łaskaw na mnie". Po obiedzie, zwłaszcza w zimie, schodzili się wszyscy na rozmowę do pokoju Chołoniewskiego, do którego nie mniej jak uprzejmość gospodarza, ściągał ich obficie palący się ogień na kominku. Gawędka toczyła się wesoła; ognia dodawała jej młodość, bo choć i sam Chołoniewski raczej był młodym, niż starym, to jednak w kole kolegów wyglądał jak poważny patryarcha. „Wielu z moich towarzyszów[1] mógłbym być ojcem, „bo najstarszy z nich ma 28 lat, a są co mają tylko ośmnaście". Im dobrze dysputować, wraca znów do tego samego, jak upiór jaki na każdym kroku niepokojącego go, raz po raz na stół wracającego przedmiotu, im dobrze i dysertacye pisać i ze mnie żartować „ale „kiedy w wydrukowanym programie dysertacyj, które tu się co „tydzień odbywają w przytomności kardynałów w materyach albo „prawnych albo teologicznych, znalazłem już swoje imię z wyzna„czonym już historycznym tematem na miesiąc *Juli* tego roku, tak „znowu fanaberya niepospolita i zarozumiałość wzdrygnęła się na „samą myśl tylko wystąpienia z uszami króla Midasa. Oj! dobre „to, dobre przeprawy; dopiero to się zobaczyło, wiele to pokory, „małego o sobie rozumienia, rezygnacyi człowiek przez tak długi „czas uzbierał; dopiero to się przekonało, że póki okoliczności nie „zmuszą do ekspensy, człowiek niedbały nigdy nie wie, ile ma ka„pitału. Wtedy się z sobą rachuje, kiedy go w kluby wezmą, wtedy „tylko zaczyna cokolwiek poznawać, jaką ma w kieszeni monetę. „I ja się teraz po wszystkich kieszonkach macam i znajduję miedź, „tam gdzie mi się zdało, że było cokolwiek srebra".

Z zapałem przedsięwzięta, z natury swej niełatwa nauka, sprzymierzyła się z niepotrzebnemi wzruszeniami, którym rozum napróżno wstępu zakazywał i na wspólkę, wezwawszy jeszcze na pomoc niezdrowy dla cudzoziemca rzymski klimat, uczyniły w krótkim czasie

[1] Do *Grocholskich* 16 stycznia 1828. List polski.

niejedną silną szczerbę w zdrowiu Chołoniewskiego. W pierwszych miesiącach żartował sobie wprawdzie z Grocholskiego, że większe ma od niego wygody, bo choć niema pieca, lecz za to ma słońce włoskie[1]; lecz wkrótce przyszedł do przekonania, że obok pięknego, zimowego słońca, bardzoby się nieraz przydał, stary przyjaciel, niepiękny, ale wygodny piec podolski. Kominek pieca nie mógł zastąpić, a w dodatku nabawił swego właściciela, nieroztropnie się z nim przyjaźniącego, bardzo silnego zapalenia oczu, które cofnęło się dopiero, przed zwykłą rzymską kuracyą, silnem puszczeniem krwi; — kuracyą, która z początku bardziej niż sama choroba przeraziła chorego. Puszczenie krwi pomogło na oczy; na coraz silniejsze osłabienie nawet rzymscy doktorzy nie poradzili ulubionych sobie pijawek, ale natomiast zalecili najmocniej wyjechać co prędzej z Rzymu na parę przynajmniej tygodni, aby odetchnąć innem, zdrowszem powietrzem.

Chołoniewski posłuchał i wyjechał na parę tygodni do Albano, ale kiedy na uroczystość Bożego Ciała powrócił do Rzymu, mógł się przekonać, iż do zdrowia nie zawsze da się zastósować głoszona przezeń teorya, wedle której „o cielsko troszczyć się nie trzeba, bo koło skrzypiące, daleko i długo chodzi“[2]: rad nie rad zgodzić się musiał na użycie radykalniejszej kuracyi w celu usunięcia złego, a zwłaszcza w celu uspokojenia nerwów, rozstrojonych gorączami i zbyt natężoną pracą.

„Morichini doktór mój[3], prezydent Sinibaldi i spowiednik „Rosaven każą mi do Neapolu na miesiąc lub dwa pojechać; pod„reperowawszy zdrowie wrócę do Tivoli, w okolice Rzymu, aby przez „czas wakacyj nadgrodzić to, co się teraz traci na nauce“. Był to najlepszy plan; wprawdzie nie tylko nauki, lecz bardziej jeszcze wycieńczona kasa silnie przeciw niemu protestowała; lecz Chołoniewski miał tyle rozumu, że zważał raczej na „kosztowne“ zdrowie i rady dobrze życzących, niż na te nie w porę przychodzące skrupuły i protesta.

„Czternastego czerwca, donosił z Neapolu zaniepokojonym po„przednimi listami Grocholskim[4], ruszyłem z Kaziem Czetwertyń-

[1] Do *Grocholskiego*. Rzym. 25 stycznia 1828.
[2] 8 listop. 1828.
[3] Do *Grocholskich* 14 czerwca 1828.
[4] Neapol 24 czerwca 1828. List polski.

„skim z Rzymu, w sobotę, na godzinę przed północą, publiczną, „dość wygodną karetą... Jadąc całą noc, bo to jedyny sposób „jazdy we Włoszech w gorąca, zastaliśmy nazajutrz mszę w Velle- „tri. Kraj smutny Kampanii rzymskiej, ustąpił ślicznej krainie... „Błota pontyńskie w lecie tak się ładnie wydają, jak i Śniwodeckie „i Bohowe w Janowie; wszystko jak okiem zajrzysz pięknie zie- „lono. Z niedzieli na poniedziałek po wypoczęciu kilkogodzinnem „w *Molo di Gaeta* noc całą przeleciawszy, bo poczty włoskie wy- „borne, stanęliśmy w tym to raju neapolitańskim o 11 z rana, „w poniedziałek, 16 czerwca. Kazał nam doktór dla gorąca z Rzymu „wyjechać, ale tu nas lepsze jeszcze dogoniło. Za to mamy ulgę ze „strony morza i mamy kwaterę wygodną nad golfem. Tu już „w głowie się kręci, i ani sposób opisać ileby się chciało, tego „wszystkiego, na co się nam tak przyjemnie patrzeć z balkonu od „rana do wieczora. Oto: wyspa Capri, cała zatoka morska, Wezu- „wiusz etc. etc. Dobrze bardzo Kazio mówi, że to miasto tak „umyślnie stworzone na to, żeby głupie w niem życie prowadzić. „Tyle tu zmysły mają łakotek niewinnych, że myśl wydaje się „człowiekowi o tyle tylko potrzebną, aby wiedział o tem, że żyje. Tu „dopiero *Dolce far niente* w całej swojej *grandiosità* daje się widzieć, „tak jak religia katolicka w Rzymie. ...Zdybałem dawną znajo- „mość dyplomatyczną, JP. Fontona, który z moim *abateckim fra-* „*kiem* nie mógł się zaraz zorjentować, a mnie się zdaje, że tak „całe życie chodziłem. Noce bezsenne mię często trapią i zawroty „głowy; zresztą nie źle się mam i życie prawdziwie *Lazarońskie* „prowadzimy, w którem charakterystyczną pozycyą jest leżenie do „góry brzuchem. Kazio jest moim kasyerem, nieodstępnym *Achate-* „*sem* i wielką dla mnie pociechą; modlimy się razem i przystępu- „jemy równie często do ołtarza Pańskiego".

Lazarońskie życie dobre na dni parę; dłużej chociaż z konieczności prowadzone umysłowi czynnemu musi się stać wstrętnem. To też po miesiącu słodkie *Far niente* przemieniło się w gorzkie; Chołoniewski patrzeć już nie chciał ani na Wezuwiusz, ani na neapolitańską zatokę, ani na w dali w promieniach słonecznych i we mgle ukazujące się, jakby zaczarowane wysepki. „Obrzydł mi py- „szny Neapol[1], bo się w nim moja wola nie dzieje, która była, aby

[1] Do *Grocholskich*. 24 lipca 1828.

„książką się bawić, ale Boska, która jest, aby cierpieć i cicho sie-„dzieć. Nie ma więc na to innej medycyny, jak cierpliwość". I rzeczywiście pomogła wypróbowana ta medycyna, bo kiedy minęły tropikalne gorąca, zdrowie wróciło samo ze siebie i dozwoliło zająć się znowu książkami, z któremi tem energiczniej odnowić trzeba było chwilowo przerwaną znajomość, że groźne upiory, przedstawiające się w postaci publicznej dysputy teologicznej i aż trzech odrębnych egzaminów przed wyższemi święceniami: subdyakonatem, dyakonatem i kapłaństwem, pukały do drzwi dopraszając się wstępu.

Kilku przyjaciół, znając stan nerwów Chołoniewskiego, wyjednać mu chciało, aby egzamin przed subdyakonatem odbyć się mógł nie wespół z innymi, lecz osobno, z pominięciem urzędowych ceremonij i formalności. „Ofiary tej[1], pomimo, iż nie dla mnie „pierwszego zrobionoby podobny wyjątek, nie przyjąłem, bo ser-„decznie nie cierpię jakiegobądź rodzaju przywilejów i staram się „ściśle trzymać wspólnych dla wszystkich reguł". Egzamin zresztą nie był trudnym, ale choćby był o wiele trudniejszym i przykrzejszym, czemże by to było w porównaniu do wewnętrznej pociechy, którą Bóg mu serce przepełniał, a którą pewnie i temu w szczególności zawdzięczał, że tak szczerze i ochoczo, bez żadnych ulżeń i zastrzeżeń nosić pragnął raz wzięte jarzmo Pańskie. „W samą Wielką sobotę opisywał nowo wyświęcony, uroczystości i wrażenia tych na całe życie pamiętnych dni[2], kardynał Zurla wyświęcił mię na subdyakona. Do „święceń różnych stanęło nas koło dwustu; do wyższych ośmdziesięciu „sześciu. Kiedy ubrano mię w albę, uczułem taką słodką a spo-„kojną radość, taką wdzięczność dla Pana, że ci tego wyrazić nie „potrafię. Zdawało mi się, że ten łaskawy, Boski nasz Mistrz daje „mi do rąk nie tylko łaskę przyjmowanego teraz Sakramentu, ale, „że nadto wkłada na mnie pierwszą ową szatę niewinności na chrzcie „otrzymanej... Prawdziwie w *suknię wesela* Bóg mię ubrał: *indu-„mentum laetitiae*, jak wyraża się rytuał rzymski, którego modlitwy „w uroczystych tych chwilach idą prosto do serca i przepełniają „duszę jakimś niewypowiedzianym majestatem, właściwym tylko „Kościołowi Chrystusowemu".

---

[1] 7 kwietnia 1829. List franc.

[2] Do *Grocholskich* 30 kwietnia. Wtorek Wielkanocny 1829. List franc.

Przygotowania do egzaminu przed dyakonatem przerwała, zostawiając również w sercu najmilsze wspomnienia, uroczysta audyencya udzielona całej Akademii duchownej, przez zasiadającego dopiero od półtora miesiąca na stolicy papieskiej Piusa VIII. „W tym „momencie[1] wracamy z audyencyi Ojca św., który całą naszą aka„demię z prezydentem na czele raczył dziś przypuścić do pocało„wania nóg swoich. Było nas wszystkich ośmnastu. Przyjął nas sie„dzący na krześle w białej sukni, bez mucetu purpurowego. Leon „XII. choć chorobą zmęczony, niezmiernie coś delikatnego i pań„skiego miał w całej postaci; ten Ojciec św. ma coś więcej pa„tryarchalnego i ojcowskiego w twarzy. Kolory żywe, oko bystre, „włosy srebrne, podobny do *Jüngling mit den Silberhaaren*, „uśmiech pełen życia i wesołości serca. Po prezentacyi każdego „z osobna, kazał nam powstać i miał do nas nauczkę przez dzie„sięć minut. Nie możesz sobie wystawić, jak wdzięczny jest taki „kaznodzieja! Mówił po włosku z wielką słodyczą i tym afektem „rodzicielskim, który wprost do serca przenika, bo temu monarsze „pokoju wszystkie dzieci zarówno są miłe. Na tę stolicę św. nie „z lada sercem zasiąść się godzi; trzeba je mieć jak morze. W tym „momencie koledzy moi notują tę alokucyę... Zakończył, oświad„czając, że nam z całego serca apostolskie daje błogosławieństwo; „klękliśmy więc znów wszyscy. Po błogosławieństwie, gdyśmy wy„chodzili, powtórnie dał sobie nogi całować. Ja nie mogłem wy„trzymać, żebym mu po kilka razy nóg nie całował. Z niewypo„wiedzianą dobrocią (jak to nieboszczyk ojciec, kiedy mówił cza„sem: *Mon enfant!* ściskając nas), położył mi rękę na głowę: „*Bravo, bravo! Polacco!*“

„Dziś z rana, donosił znów Chołoniewski w niespełna miesiąc „później pod datą 13 czerwca[2], w kościele Lateraneńskim, kardynał „Zurla rękę kładł na niegodną głowę moją i wyrzekł: *Accipe Spi„ritum Sanctum*[3]. Dziś mi dał w ręce księgę Ewangelii i powie„dział: *Accipe potestatem legendi evangelium in Ecclesia Dei tam*

[1] Do *M. Grocholskiego* 19 maja 1829. List polski.
[2] Do *Grocholskich.* 13 czerwca 1829. Wilia św. Trójcy. List polski.
[3] Przyjm Ducha świętego.

„*pro vivis quam pro defunctis*[1]. Dziś dana mi jest moc udzielania „wiernym Przen. Krwi Pana mojego najukochańszego Jezusa Chry„stusa, jeśliby księdza zabrakło, kazania i chrzczenia solennie z po„ruczenia wyższej władzy duchownej. Dziś zostałem dyakonem Ko„ścioła katolickiego. Jaka godność, ale jakie nieodpowiednie jej moje „życie przeszłe i teraźniejsze. Dziękujcie więc Panu za mnie, *quia* „*fecit mihi magna qui potens est*[2]. Rekolekcye dziesięciodniowe „odbyłem w najpiękniejszem miejscu, jakie siobie wystawić może„cie, na górze *Coelium* w klasztorze OO. Passyonistów wśród ga„jów cyprysowych. Z okna rozwaliny Kolloseum, pałaców Cezarów „i inne obrazy znikomości świata jednym rzutem oka objąć można „było. Zdala błyszczą gmachy Rzymu, pomniki świetne, wystawione „prostym i pokornym rybakom. Co dzień przed oczyma miałem „przykłady życia pokucie i rozmyślaniu męki Pańskiej poświęco„nego. Zakonnicy Passyoniści są jedni z najściślejszych w tym „kraju... Wszystkich przykładem raczej, niźli wymową uczą mą„drości krzyża, która głupstwem jest dla świata. Ale *homo carna„lis non percipit quae sunt spiritualia*[3]: tegom się bardziej niż „kiedy własnem doświadczeniem w tych niewielu dniach nauczył". Bądź co bądź nie wiem, pisał w innym króciutkim bileciku do szwagra[4], „czy tobie wielka wstęga tyle przyjemności zrobiła, ile „mnie stuła, kiedym ją pierwszy raz jako dyakon wdział na po„przek". „Egzamin *ad presbyteratum*[5] na pierwszego *Septembra* „naznaczony; dzień święcenia nie zaraz nastąpi, ale jak miarkuję, „po willegiaturze: to zależeć będzie od kard. Odescalchi, który „z wielką uprzejmością życzy sobie, abym z rąk jego przyjął świę„cenie. Tymczasem strach na Stacha starego w grzechach, młodego „w nauce".

„Piętnastego *Augusta* zaczęły się wakacye; koledzy po wię„kszej części rozlecieli się, jak ptaszki z klatki. Żal trochę, bo się

---

[1] Przyjm władzę czytania ewangelii w Kościele Bożym, tak za żywych jak i za umarłych.

[2] Albowiem uczynił mi wielkie rzeczy, który możny jest. (Łukasz I. 49).

[3] Człowiek cielesny nie pojmuje tego, co jest Ducha Bożego. (I. List do *Korynt.* II. 14.

[4] Do *M. Grocholskiego* 1829.

[5] Do tegoż 22 sierpnia 1829.

„człowiek przyzwyczaił żyć *in communitate*“. Samemu Chołoniewskiemu zdawało się może na chwilę, że tego roku potrafi w Rzymie mimo skwarów nad książką wysiedzieć, ale roztropniejszy ks. Rosaven, despotycznie „zdecydował, że pierwej odpocząć i przewie„trzyć się trzeba“ [1], a potem już i nauka raźniej pójdzie i dusza lepiej się będzie mogła łączyć z Bogiem na modlitwie. Milsze Bogu posłuszeństwo niż ofiara, powiedział sobie nasz *Staś Dyakon*, jak teraz w listach się podpisywał, i nie namyślając się już dłużej puścił się 12 września z „poczciwym“ ks. Zajączkowskim, na pobożną peregrynacyą do Assyżu, Monte Corona, Alwerni i t. d.

„O piątej z rana, czytamy w dzienniczku [2], ruszyliśmy z Rzymu „*wetturinem*. Mieliśmy dwóch podróżnych Rzymian; powóz ciasny, „towarzystwo przyjemne, wetturin licznymi obdarzony talentami. „Śpiewał arye z Rossiniego, wiersze i sonety deklamował, erudycyą „się popisywał: tragedyą Dantego, Jerozolimą, Petrarką; zapewniał, „że matka Romulusa była Agrippa, na co nie chciał przystać je„den z podróżujących; nie źle przytem jechał. Stanęliśmy na popas „w nędznej lokandzie, samotnie położonej wśród Kampanii rzym„skiej, jak rozbitego okrętu ułamek wśród morskiej przestrzeni. „Aż do samej Civita Vecchia ciągnie się to morze spustoszenia po „nad prawdziwem morzem“. W każdem miasteczku biskup, jego kapelan, lub przełożony miejscowego klasztoru przyjmował gościnnie podróżnych, raczył ich czekoladą i radami na dalszą drogę. Tak jadąc powoli, ale wygodnie, to wetturinem, to czasami biskupim powozem; gawędząc z jednymi o książkach Lamennais'go, z innymi o rozbójnikach, których tradycya żywo tkwiła w pamięci mieszkańców; z innymi jeszcze o freskach, posągach, obrazach; pasąc oczy widokiem tych fresków i obrazów, pięknych i zachwycających, ale mniej jednak pięknych i zachwycających niż oblany południowem światłem obraz włoskiej natury, zwiedzili polscy turyści jakby w przelocie Viterbo, Montefiascone, Orvietto, Siennę, zabawili kilka dni w Florencyi, gdzie słynny ks. Sebastyan Ciampi,

---

[1] Do *M. Grocholskiego* 10 września 1829.

[1] W dzienniczku tym zatytułowanym: *Podróż do Sanktuaryów* a bardzo lakonicznie prowadzonym, brakuje kilku ostatnich stronnic, niedopisanych, lub prawdopodobnie zatraconych.

były profesor literatury starożytnej w Warszawie, długo i dużo rozpowiadał im o sobie, o Warszawie i historyi polskiej; pomodlili się serdecznie w słynnych na cały świat chrześcijański świątyniach, które były właściwym celem ich pielgrzymki, i odświeżeni, zagrzani na duchu oglądaniem pamiątek po tylu wielkich i świętych mężach, w drugiej połowie października wrócili do Rzymu. Za kilkanaście dni nastąpić miała dla Chołoniewskiego najważniejsza chwila w życiu: święcenia kapłańskie, cel długich marzeń i gorących pragnień, uwieńczenie wytrwałej pracy naukowej, i niemniej wytrwałej pracy nad sobą samym. Jeśli kiedy, to przed tą stanowczą chwilą, należało się obejrzyć wstecz po za siebie i nakreślić czy raczej wydoskonalić plan działania na przyszłość; to też ledwie Chołoniewski zajechał przed swe pomieszkanie, i złożył w niem podróżną walizkę, bezzwłocznie skierował kroki do dobrze już sobie znanego klasztoru Passyonistów i tu w czasie dziesięciodniowych rekolekcyj korzył się przed Bogiem, a rozpamiętywując życie Jezusa, prosił gorąco: Daj mi się stać kapłanem wedle Serca Twego!

(Dok. nast.)

Ks. Jan Badeni.

LISTY Z CHYROWA.

II.

Kochany Panie!

Nie pozwalasz mi po porządku pisać o naszym zakładzie Chyrowskim, ale żądasz przedewszystkiem objaśnienia, dla czego ustanowiliśmy w Chyrowie dwa oddziały — tańszy i droższy? i czy nie obawiamy się, aby taki podział nie oddziałał niekorzystnie na rozwój powierzonej nam młodzieży? Chętnie stosuję się do pańskiego życzenia, tem więcej, że wiem, iż nie mało w kraju jest zacnych ludzi, którym ten podział się nie podoba, i którzy nawet napierają na nas, abyśmy w tej mierze zaprowadzili radykalną zmianę, i jednolitą dla wszystkich naszych uczniów ustanowili opłatę i miarę utrzymania.

Wiesz już, Panie kochany, z naszego programu, że opłata w tańszym oddziale wynosi 250 złr., w droższym zaś 500 złr. rocznie, czyli 25 i 50 złr. miesięcznie, za które uczniowie mają całe utrzymanie (włączając w to lekarza domowego i pranie bielizny) i naukę we wszystkich przedmiotach obowiązkowych, do których zaliczamy też język francuski i gimnastykę. Na inne wydatki jako to: ubranie, przybory szkolne, książki, lekcye prywatne, korepetycye i t. p. powinni rodzice złożyć w zakładzie dla każdego chłopca w tańszym oddziale po 50 złr., w droższym po 100 złr. Depozyta te służą nam zarazem za kapitał obrotowy, którego skądinąd nie posiadamy, a bez którego zakład żadną miarą obejść się nie może. Co miesiąc rodzice otrzymują rachunek z wydatków na rzecz ich

dzieci zrobionych — co miesiąc też, przysyłając miesięczną ratę za utrzymanie, powinni depozyt pierwotnie złożony na nowo uzupełniać. Odbierając zaś chłopca z zakładu dla jakiegokolwiek powodu, mają rodzice też niezaprzeczone prawo odebrania swojego depozytu.

Co do utrzymania zaś chłopców taka między obydwoma oddziałami zachodzi różnica. Najprzód co do wiktu, który w oddzielnych podaje się refektarzach: w oddziale droższym daje się na obiad zupę, dwie potrawy z mięsa i trzecią z jarzyny lub mączną; na kolacyę również zupę i dwie potrawy, z których jedna mięsna. W dni postne ilość potraw ta sama. W tańszym oddziale na obiad daje się zupę i dwa dania, z których jedno jest z mięsa, na kolacyę zupę i jakąkolwiek potrawę mięsem tylko ubraną. Co do pomieszczenia, mają uczniowie droższego oddziału, w zasadzie przynajmniej, cokolwiek przestronniej w sypialniach, salach naukowych i rekreacyjnych i w refektarzu. Mówię *w zasadzie*, bo w rzeczywistości, na razie przynajmniej, póki nieukończymy całego gmachu, mieścimy ich jak możemy bez szkody dla ich zdrowia fizycznego i moralnego, ale nie tak jak to zamierzyliśmy i jak to uczynimy, skoro tylko Pan Bóg pozwoli ostatecznie uporać się z budową. Stykają się chłopcy dwóch oddziałów tylko w szkole i na nabożeństwach. Druga jeszcze różnica pochodzi stąd, że oddział droższy jest nierównie mniej liczny od tańszego. Każdy z tych oddziałów traktowany jest jako odrębna całość; stanowią one właściwie dwa odrębne, chociaż obok siebie istniejące i do jednej szkoły uczęszczające konwikty. Dla prowadzenia zaś chłopców w jednym i drugim oddziale, prócz głównych przełożonych, którzy są wspólni, wszędzie przeznaczona jest prawie równa ilość księży. Zatem idzie, że księża w droższym oddziale mogą się łatwiej i więcej szczegółowo zajmować każdym chłopcem z osobna, niż to możliwem jest w tańszym. Zresztą we wszystkiem innem, więc co do ubrania, sposobu obchodzenia się przełożonych i profesorów z chłopcami, pielęgnowania chorych i t. d. nie ma żadnej między temi dwoma oddziałami różnicy.

Jasna rzecz, że nie ma ścisłej proporcyi pomiędzy opłatą, a tem co chłopcom dwóch oddziałów za nią dajemy. Jakiż tego powód i usprawiedliwienie? Oto, powziąwszy myśl otworzenia nowego zakładu wychowawczego, liczyliśmy się przedewszystkiem

z stosunkami i potrzebami kraju. Nie mieliśmy na celu zakładu dla warstwy najuboższej, żeby z pośród niej wyprowadzać młodzież na wyższe szczeble społeczne. Brak funduszów odpowiednich nie pozwala nam choćby zamarzyć o tego rodzaju zakładzie, jakkolwiek wcale nie wątpię, że pośród ubogiej młodzieży naszego kraju po wsiach i po miasteczkach wiele wyśmienitego jest materyału, i niejeden talent rokujący najpiękniejsze nadzieje, którym się zająć prawdziwą byłoby zasługą.

Zresztą nie sądzę, aby można było tej właśnie warstwie na roścież otworzyć przystęp do szkół średnich, póki nie ma możności dopomóc im do ukończenia szkół wyższych, i co równie jest ważne, a w dzisiejszych warunkach bynajmniej nie łatwe, — do uczciwego dorobienia się stanowiska, zapewniającego chleb powszedni. Byłoby to, tak mnie przynajmniej się zdaje, nie dobrodziejstwem ani dla jednostek, ani dla społeczeństwa, ale prostem mnożeniem proletaryatu, zawsze niezadowolnionego i zawsze wichrzącego.

Ale też najzamożniejszych warstw naszego społeczeństwa, zakładając Kolegium Chyrowskie, nie mieliśmy na oku, przynajmniej nie w pierwszym rzędzie. Chętnie to wyznaję, że względem wielu rodów naszych pańskich i szlacheckich mamy prawdziwe obowiązki wdzięczności, i to nie tylko za wielkie owe fundacye, któremi w ubiegłych wiekach Zakon nasz wspierały, z których jednak już nic prócz wdzięcznej zawsze pamięci nam nie pozostało, ale i za niejedną jałmużnę i niejedno poparcie moralne, użyczone nam w nowszych też czasach. To też chętnie gotowiśmy im służyć, czem możemy, bez sprzeniewierzenia się naszemu hasłu *Ad majorem Dei gloriam.*

Ale liczba tych rodzin, któreby swe dzieci u nas wychowywać chciały, nie jest tak wielka, żeby wypełnić zakład wychowawczy i wyłącznie im poświęcić z większą chwałą Bożą pracę tylu księży, ilu prowadzenie dzisiejszych studyów wymaga. Większa chwała Boża tam pospolicie bywa, gdzie się zaspokaja gwałtowniejsza potrzeba i na większe rozmiary. Zamożniejsze zaś rodziny, choć równie religijnego potrzebują dla dzieci wychowania, mogą łatwiej własnemi środkami o nie się postarać.

Otwierając Zakład Chyrowski, pragnęliśmy przedewszystkiem oddać przysługę rodzinom miernie zamożnym; — mieliśmy na oku naszą szlachtę i właścicieli dóbr, osiadłych na niewielkim okrawku

ziemi, albo na majątku choćby większym ale zadłużonym, myśleliśmy o tylu urzędnikach i innych, co z swojej nauki i ciągłej pracy umysłowej takie tylko ciągną dochody, że z każdym groszem dobrze liczyć się muszą, o naszych przemysłowcach, kupcach i mniejszych kapitalistach, którzy nieraz w prawdziwie krwawych zapasach z wrogą i niesumienną konkurencyą ciągłą muszą toczyć walkę o byt. Tradycye ich rodzinne i położenie społeczne zmuszają ich myśleć o wyższem dla dzieci swoich wykształceniu, i nie mogą poprzestać na szkołach normalnych i wychowaniu li tylko domowem, chociażby nawet mieli dosyć odwagi, żeby (co zdaje mi się byłoby nieraz wcale pożądanem i roztropnem): część swych dzieci przeznaczyć do przemysłu lub innego zawodu skromnego wprawdzie, ale przeto niemniej pożytecznego i potrzebnego. Oni, i wszyscy w podobnych z nimi zostający warunkach, wyjątkowo tylko mogą się oderwać od zawodowej swojej pracy tyle, ileby potrzeba dla dobra synów podrastających; matka, choć zawsze kochająca, ale często za słaba, a częściej jeszcze — o czem z chlubą wspominam — za mało doświadczona, aby w obec wyrafinowanego dzisiejszych czasów zepsucia, zdołała ustrzedz syna od złego, lub go wydobyć z upadku, a znaleść wiernego pomocnika, któremuby można chłopca bezpiecznie powierzyć, brak znajomości, a więcej jeszcze brak funduszów tego nie pozwala. To też powszechne jest narzekanie, że młodzież, z tych właśnie warstw pochodząca, coraz to więcej w szkołach jest narażoną na utratę wiary i skażenie obyczajów, że brak im serca, zapału i ideałów, że rzadko tylko wyrabia się w nich zamiłowanie pracy i prawdziwe poczucie obowiązku. A jednak z szeregu tej to młodzieży przeważnie wychodzą ci, co w ręku swem będą dzierżyć przyszłość kraju i społeczeństwa: kapłani, nauczyciele, urzędnicy, lekarze, adwokaci i t. d. Zarazem tej młodzieży zawsze było i będzie najwięcej. Tu więc szerokie jest pole dla pracy prawdziwie potrzebnej i pożytecznej. Bo nie tylko dla osobistego ich szczęścia doczesnego i wiecznego, nie tylko dla spokoju ich rodzin, ale i dla pomyślności kraju i społeczeństwa niesłychanie wiele zależy na ich starannem, o ile być może, wychowaniu. Temu więc zadaniu poświęcić tyle, ilebyśmy zdołali, pracy i zachodu, sądziliśmy i sądzimy, że będzie prawdziwie z większą chwałą Bożą i z największym pożytkiem dla Kościoła i miłej ojczyzny. Wychować za

pomocą Bożą jak najwięcej naszej młodzieży w duchu Bożym na ludzi rozumnych i dzielnych, oto myśl nasza przewodnia, oto ambicya nasza, która nas parła, gdyśmy się porwali na dzieło przechodzące pod wielu względami siły nasze, ale które ufamy, że Bóg jak je rozpocząć pozwolił, tak też szczęśliwie da go nam dokonać. Wiemy, że u nas stan średni, czyli tak zwana inteligencya, rozporządza w ogóle bardzo szczupłemi środkami materyalnemi. Jeżeli kto ma 2—3000 złr. rocznego dochodu, to już uchodzi za wcale szczęśliwego. Mało który ma więcej, bardzo wielu mniej, i częstokroć znacznie mniej. Nie wielkie to rzeczy jak na wymagania dzisiejsze, i obecne, od kilkudziesięciu lat już trwające obniżenie pieniędzy. Nieraz nawet trudno pojąć, jakim sposobem tak szczupłe dochody wystarczają na potrzeby rodziny, składającej się z pięciu, sześciu i więcej głów. Z tem położeniem chcieliśmy i musieliśmy się liczyć, jeżeli nie mieliśmy od razu zwichnąć naszego dzieła i zamiaru. Więc ustanowiliśmy opłatę o ile możności niską, tak niską, że przy skrzętnej jedynie administracyi wystarcza na utrzymanie dziatwy nam powierzonej. Na utrzymanie naszych księży, na spłacenie znacznych długów, zaciągniętych na rzecz budowy, albo na jakiekolwiek oprocentowanie kapitału w budowę włożonego podobno nikt nie przypuści, abyśmy mogli coś znaczniejszego z tej pensyi oszczędzić.

Potrzeby te skądinąd należy pokrywać. Na pomoc państwową oglądać się nie mogliśmy, już to dla prądu wciąż jeszcze panującego, a szkołom wybitnie katolickim choć może nie wrogiego, ale w każdym razie niechętnego, już też dla tego, że niezdrowym nam się być zdaje ten kierunek, który każe wszędzie i zawsze apelować do skarbu państwa. Udawać się do sejmu z prośbą o stałą subwencyą nie zdawało nam się być na czasie w chwili, kiedy finanse krajowe bez tego już są nad miarę zapomogami i dodatkami do podatków obarczone. Żeby uzyskać kapitał potrzebny na budowę w warunkach o ile możności korzystnych, i tem samem zmniejszyć przyszłe ciężary, traktowałem też z ówczesnym marszałkiem ś. p. Zyblikiewiczem o przeniesieniu pewnych stypendyów szkolnych na Chyrów. Wydział krajowy zawiaduje, jak wiadomo, wcale znacznemi kapitałami fundowanemi na rzecz uczącej się młodzieży. Niemała część tych kapitałów pochodzi z czasów Rzeczy-

pospolitej i była pierwotnie przez fundatorów przeznaczona na utrzymanie młodzieży w bursach istniejących przy owczesnych gimnazyach, tj. kolegiach Bazylianów, Pijarów, Jezuitów i t. d. Przedstawiłem marszałkowi, że zamiar owych fundatorów był niewątpliwy, aby młodzież ta chowała się w internatach i pod rygorem zakonnym, że więc, póki nie było na to sposobu, słusznie mógł Wydział nadawać te stypendya uczniom zostającym pod czyimbądź dozorem, ale że teraz, skoro w Chyrowie nadarza się sposobność ściślejszego wypełnienia woli fundatorów, należałoby o tem pomyśleć. W końcu zwróciłem na to uwagę, że precedens w praktyce naszej urzędowej tak niesłychanie zawsze ceniony, stworzył już w tej mierze arcyksiąże Ferdynand d'Este, niegdyś namiestnik Galicyi, kiedy tych kapitałów swego czasu użył na wyposażenie konwiktu szlacheckiego u św. Mikołaja we Lwowie, pod kierownictwem Jezuitów założonego. Był ś. p. Zyblikiewicz przedewszystkiem człowiekiem prawym, ale też i dla sprawy Chyrowa dobrze usposobionym, więc po swojemu gorąco projektem tym się zajął. Niestety, po niedługim czasie obaj nabraliśmy przekonania, że w ówczesnych przynajmniej warunkach projekt ten był niewykonalny. Czy teraz dałoby się to przeprowadzić, niech kto zechce dochodzi, dla mnie i dla Chyrowa kwestya ta już podrzędny tylko ma interes. Poddawano nam projekt urządzenia loteryi; ale w przekonaniu, że nasz kraj i bez tego na manię loteryi choruje, projektu tego nawet nie rozbieraliśmy. Radzono nam wreszcie odwołać się do dobroczynności prywatnej i zorganizować stałe składki. Ale pomijając to, że niepodobna przecież wciąż i na wszystkie strony się naprzykrzać żebraniną, by też na cele najszczytniejsze, nie chcielibyśmy opierać tak ważnej instytucyi na chwiejnej podstawie ciągłej subwencyi. Wolimy, trzymając się wiekowej naszej tradycyi zakonnej, polegać na Bogu i własnej pracy, a wtedy i Bóg pomoże i ludzie nie opuszczą, i stworzą się rzeczy dobre i trwałe. Natomiast powiedzieliśmy sobie, że są poważne powody, aby pracę naszą i zachody za darmo i z zupełnem zapomnieniem na własne potrzeby ofiarować na rzecz tych, którzyby inaczej z naszej pracy korzystać nie mogli (a może po części nawet nie chcieli). Ale nie ma żadnej słusznej przyczyny, dla którejbyśmy to samo mieli czynić względem tych, co z pracy naszej korzystać chcą, ale ofiarności naszej nie potrze-

bują. Dla pierwszych ustanowiliśmy oddział tańszy, a obok niego dla drugich, których w pracy naszej pominąć nie możemy i nie chcemy — oddział droższy. Oto historya genezy tych dwóch oddziałów. Masz w niej, kochany Panie, zarazem odpowiedź na swoje zapytanie, dla czego tak znaczna jest różnica w opłacie między jednym i drugim oddziałem? Bo w tańszym dajemy mieszkanie i pracę naszą za darmo i niejako w dodatku, w droższym żądamy za nie odpowiedniego wynagrodzenia. A przyznasz, spodziewam się, że to wynagrodzenie nie jest wygórowane. Wszak wiadome, że po domach zamożniejszych, nie mówiąc wcale o dworach magnackich, nauczyciel domowy wyższą zwykle pobiera pensyę (prócz utrzymania całego), niż te rocznych 500 złr., których my się za chłopca domagamy; a umieszczenie na lepszych lub więcej poszukiwanych stancyach, po większych zwłaszcza miastach, kosztuje 800—1000 złr. i więcej. Uboczne wydatki zaś na ubranie, książki, przybory szkolne i t. p. wszędzie mniej więcej bywają te same. Zatem krzywdy materyalnej nikomu nie wyrządzamy, a jeżeli się sprawdzi nasze obliczenie, że na trzech uczniów w oddziale tańszym będziemy miewali jednego w droższym, potrafimy zakład Chyrowski z łatwością utrzymać i należycie go rozwinąć, nie żądając (rozumie się po ukończeniu budowy) żadnej już ani publicznej, ani prywatnej pomocy pieniężnej.

Układając cały ten plan, jednej głównie obawialiśmy się trudności. W społeczeństwie, w którem podobno za mało jeszcze zapomniano dawnego: *szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie,* nie byliśmy zupełnie pewni, czy nie znajdzie się zbyt wielu takich, co fałszywym powodowani wstydem, powiedzą sobie, że do droższego oddziału dzieci swych oddać nie mogą, a do tańszego nie chcą — i koniec końców wcale ich nam nie powierzą. Tymczasem, dzięki Bogu, stało się całkiem przeciwnie. Czy to przykład dwóch lub trzech rodzin, o znanych w całym kraju nazwiskach, które z pewnością nie dla względów materyalnych, ani poziomych, pospieszyły z oddaniem synów swoich do oddziału tańszego, czy też wrzawa przeciw podziałowi przez nas w zakładzie wprowadzonemu przez parę dzienników w imię równości podniesiona, czy wreszcie inne jakie, których dopatrzyć się dotychczas nie umiałem przyczyny; dosyć, że w krótkim bardzo czasie, powstał w opinii wcale silny prąd prze-

ciw naszemu podziałowi na dwa oddziały w ogóle, w szczególności zaś przeciw umieszczaniu uczniów w oddziale droższym.

Pomijam kwestyę pieniężną. Nie jakobym chciał w siebie, lub w kogokolwiek, Panie kochany, wmówić, że ona jest mało znaczącą, lub że o nią wcale nie dbamy. Nie, tego bynajmniej nie twierdzę; ale owszem sądzę, że jeżeli przełożeni zakładu potrzebują z całą swobodą umysłu i serca oddać się wychowaniu i wykształceniu młodzieży nam powierzonej, to też muszą być o ile możności wolni od troski o byt materyalny i rzeczy doczesne. To zaś byłoby rzeczą niemożliwą, jeżeliby wszyscy konwiktorowie mieli taką tylko pensyę składać, jaka się w tańszym konwikcie opłaca. Gdyby się zaś ta pensya miała dla wszystkich podwyższyć, znaczna część naszych uczniów musiałaby dla braku funduszów opuścić zakład, którego działalność tem samem znacznieby się ścieśniła, znacznieby się obniżyła. Bo udaremniłby się w wielkiej części cel główny, który jest zabezpieczyć o ile możności znacznej liczbie młodzieży mniej zamożnej, obok odpowiedniego wykształcenia, wychowanie w katolickiej wierze i obyczajach.

Ale to wzgląd uboczny — główna kwestya, czy istniejący w Chyrowie podział uczniów na dwa oddziały nie jest szkodliwym dla młodzieży, a tem samem, przynajmniej w następstwach swoich, i dla społeczeństwa. Pan kochany w liście swoim pytanie to postawiłeś, ale żadnych zarzutów szczegółowych przeciw temu podziałowi nie podniosłeś. Przytoczę więc te, które dotychczas słyszałem lub czytałem, oraz odpowiem, dlaczego żaden z nich mnie nie przekonał, a w końcu dodam niektóre uwagi swoje i uzasadnię nasze zapatrywania i nadzieje, jakie do tego podziału przywiązujemy. Nikogo, a więc i Pana kochanego nie możemy, ani nie myślimy zmuszać do tego, abyś nam synów swoich powierzył. W jakimkolwiek kierunku stawamy do pracy, nie rościmy sobie prawa do przywileju. Owszem, w każdej pracy pragniemy współzawodnictwa, bo na tem pospolicie i sprawa zyska, i my też zyskamy, bo współzawodnictwo zmusza i nas do więcej natężonej pracy. Jeden tylko stawiamy warunek, *modo praedicetur Christus*, by rzecz prowadzono po Bożemu. Więc byleś, mój Panie kochany, dzieci swoje wychowywał po Bożemu, zgoda na wszystko; oddaj dzieci swoje, gdzie znajdziesz ku temu warunki według Twego przekonania najodpowiedniejsze, my o to

pretensyi do Ciebie żadnej mieć nie będziemy, ani jawnej, ani ukrytej. Nie całkiem przeciwnie, ale jednak trochę inaczej ma się rzecz, jeżeli chodzi o umieszczenie Twych dzieci w oddziale droższym, albo tańszym. Wiem, że nie potrzebujesz i nie chcesz szczędzić wydatków na ich wychowanie, że wydać paręset złr. rocznie mniej albo więcej nie stanowi dla Ciebie kwestyi, nie mówię obojętnej, ale pierwszorzędnej, z tego jednak nie wynika, abym miał się domagać koniecznie umieszczenia Twych chłopców w oddziale droższym. Zdanie swoje otwarcie i sumiennie wypowiem; wy ostatecznie zdecydujecie; bo na Was jako na rodzicach, na pierwszem miejscu ciąży odpowiedzialność za wychowanie, a poniekąd też i za przyszłość i za zbawienie Waszych dzieci.

Pierwszy więc zarzut, z którym zdarzyło mi się spotkać, podniosła już lat temu parę *Gazeta Narodowa*, że zamierzamy tym podziałem uwydatnić kastową różnicę stanów, wskrzesić i spotęgować antagonizmy społeczne. Słów oczywiście nie pamiętam. Zresztą nie chodzi mi o polemikę i *Gazetę Narodową*, ale o sam zarzut. Tyle wiem, że hasła te *kastowa różnica stanów* i *antagonizmy społeczne* często obijały mi się o uszy.

Czyż może w obecnych przynajmniej czasach w ogóle jeszcze na seryo być mowa o *kastowej* różnicy stanów, a mianowicie o wyłącznie uprzywilejowanej kaście szlacheckiej? Zapewne, zdaje mi się, że we wszystkich narodach, a tem więcej u nas szczera miłość ojczyzny i jej przeszłości koniecznie się łączy z pewną czcią dla rodów historycznych, które mimo wybryków wyrodnych jednostek, przez wieki całe były jej chlubą i podporą, i dla tej szlachty, która krwią swoją wysłużyła nam najzaszczytniejsze nasze w obec Boga i ludzi miano przedmurza chrześcijaństwa. Można też niepodzielać, a nawet serdecznie nienawidzieć onego pesymizmu, który całą naszę szlachtę w czambuł potępia, od wszelkiej odsądza przyszłości i skazuje na zupełną zagładę. Można nawet starać się i pracować nad regeneracyą szlachty, aby zarzuciła to przez co upadła, a imała się tego, z czego była niegdyś urosła. Ale myśleć na seryo czyto z upragnieniem, czy też z obawą o wskrzeszeniu **kasty** szlacheckiej, byłoby chyba rzeczą nie mądrą, kiedy ta szlachta, jak indziej tak i u nas, nie tworzy już stanu odrębnego, ale jest tylko prostą nazwą zbiorową, mającą może jakieś jeszcze znaczenie w towarzyskich,

ale nie w społecznych i państwowych stosunkach. W szczególności zaś w Chyrowie, gdzież jest choćby najmniejszy ślad aspiracyj szlacheckich, a cóż dopiero kastowo-szlacheckich, kiedy nie dzielimy chłopców naszych na oddziały szlachecki i nieszlachecki, ale na droższy i tańszy, i kiedy w tańszym oddziale nie brak dobrych i świetnych nawet nazwisk szlacheckich, tak samo jak w droższym też nie brak nazwisk mieszczańskich, lub całkiem w kraju naszym nowych. Zresztą, o ile znam ludzi, wygórowane pretensye, a więc i duch kastowości w młodych zwłaszcza umysłach wytwarza się przeważnie z mniemania, że drugim imponują. Imponowanie to rozmaicie się objawia. Bismark, by użyć przykładu świeżego, jest niewątpliwie osobistością imponującą, i liczba tych, którym imponuje, jest z pewnością bardzo wielka. Jedni z nich gotowi mu w oczy i po za oczy pochlebiać, każdę jego słowo uważać za wyskok rozumu lub dowcipu, każdy czyn jego wychwalać jako genialnie pomyślany i energicznie wykonany; innych postać jego onieśmiela i każe im we wszystkiem *jurare in verba magistri*, innych wręcz upakarza i stąd do gniewu przywodzi, że im czują się bezsilniejszymi, tem więcej się przeciw niemu miotają i zgrzytają. To jedno wszyscy oni mają sobie wspólnego, że w obec tej postaci, która im imponuje, tracą miarę, spokój i rozwagę, i przestają być samymi sobą. Otóż niema obawy, aby nam w Chyrowie nasi panicze czemkolwiek imponowali. Bo kapłana, a tem więcej zakonnika, samo powołanie broni od tego, aby mu ktokolwiek nad miarę imponował. W Zakonie rekrutującym się z wszystkich bez wyjątku warstw społeczeństwa, w którym każdy przy samem już wstąpieniu musi porzucić wszystko co miał i czem był na świecie, panuje zupełna równość. Nie urodzenie, nie mienie, które kto posiadał, nie karyera, jaką przeszedł, ale jedynie cnota, przydatność, a ostatecznie wola Boża rozstrzyga o nim i stanowisku jego.

To też w praktyce mogę Pana kochanego upewnić, że w obchodzeniu się z chłopcami naszymi żadnej nie robimy różnicy ze względu na urodzenie, majątek lub stanowisko ich rodziców. Nie widziałbym w tem nic zdrożnego, gdyby przypuszczam, jakiemu Kiejstutowiczowi tchórzostwo lub Zawisze kłamstwo zganiono stosunkowo więcej niż innym, albo gdyby którego chłopca leniwszego napędzano do pracy tem napomnieniem, że rodzice nie mogą mu

dać ani majątku, ani nazwiska, więc sam się ich dorobić musi. Boć, jeżeli trzeba napominać, któż nie dobiera napomnień takich, które najlepiej trafią do przekonania chłopca. Znając, o ile można naszych uczniów, widzimy różnice pomiędzy nimi zachodzące w zdolnościach, charakterze, w siłach tak fizycznych jak moralnych i t. d. i wszystkie te różnice staramy się należycie uwzględniać; owszem, oględnie oczywiście, i o ile to jest możliwem, pragniemy odgadnąć całą przyszłość naszych dzieci, i stanowisko jakie kiedyś każde z nich prawdopodobnie zajmie, aby módz niem tem praktyczniej pokierować, boć nie dla szkoły, ale dla życia te dzieci wychowujemy. Ale czy który jest sławetny, czy urodzony, dla wszystkich bez różnicy jednaka jest sprawiedliwość i wyrozumiałość, i każdemu bez różnicy poświęcamy według zasługi tyle opieki, i pracy, i serca, na ile tylko zdobyć się umiemy.

Same więc przez się dwa te oddziały żadnem nie grożą niebezpieczeństwem. Ale inaczej nieco ma się rzecz względem dzieci zamożnych rodzin umieszczonych w tańszym oddziale. Zwyczajna to rzecz, że chłopiec starszy, dostawszy się w towarzystwo młodszych, malcom tym imponuje i nad nimi przewodzi. Pospolicie nie ma stąd żadnej szczególnej szkody, bo to jest zgodne z porządkiem Bożym, że sam wiek już daje pewną przewagę. Ale mniej, a raczej wcale nieuprawniona jest przewaga chłopca bogatszego nad uboższymi, a jednak tak niesłychanie łatwo jest o nią. Nie z teoryi, ale z doświadczenia to mówię: chłopcy z zamożniejszych pochodzący rodzin, umieszczeni w oddziale tańszym nie w obec naszych księży, ale w obec kolegów znajdują się w położeniu wyjątkowem, — imponują im, a często z obopólną szkodą, a bardzo rzadko z jakimkolwiek pożytkiem. Nam zaś stąd przybywa nie mało zachodów, kłopotów, a może i zmartwienia. Gdy są równi z równymi, może wprawdzie pomiędzy nimi wyrodzić się pewna wzajemna admiracya wspólnej nad drugimi wyższości. Niezbyt trudno jednak temu zapobiedz, i wtedy między sobą się ścierając nawzajem się polerują. Na cały ten zarzut nie warto dłużej odpowiadać, gdyż w gruncie rzeczy nie ma on żadnej podstawy.

Druga zato obawa, czy podział na oddział tańszy i droższy nie wywoła pomiędzy młodzieżą wzajemnych niechęci, które mogłyby się później wyrodzić w antagonizmy społeczne i tak już wszystkie prawie

społeczeństwa nurtujące, zasługuje w każdym razie na rozbiór poważniejszy. Z góry odpowiadam, że obawy tej zgoła nie podzielam. Przyznaję, że dzieci nam powierzone nie byłyby dziećmi, albo musiałyby nie mieć natury ludzkiej z wszystkiemi jej słabościami i namiętnościami, gdyby w nich nie miała między innemi odezwać się chwilami fałszywa struna, w jednych zazdrość, chęć wyzyskiwania drugich, u drugich buta, lenistwo i chęć używania. Ale od tego nikt dzieci ustrzedz nie zdoła. Pan Kochany dotychczas wychowywałeś synów swoich w domu; z pewnością ani z Twoich, ani z ust matki nigdy nie usłyszały, że jesteście zamożni, zamożniejsi od wszystkich kmieci, a nawet i od wielu obywateli sąsiednich. Czyż tego jednak nie wiedzą, nie czują? Gdybyście, Wni Państwo łaskawi, dla oszczędzenia dzieciom pokus wynikających z przeświadczenia o własnej zamożności, jak najstaranniej unikali wszystkiego, co w nich tę świadomość obudzić może, gdybyście poprostu kryli się przed nimi z swoim majątkiem, przecież zamiaru swego byście nie dopięli. Wcześnie spostrzegą różnicę zachodzącą między ich własnem, a położeniem innych dzieci, stąd wcześnie pojawiać się poczną skutki tej świadomości, skłonność do buty i pogardliwego obchodzenia się z sługami, ociąganie się od pracy, i uganianie za zabawą i przyjemnościami. A dzieci Waszego ekonoma mieszkającego tuż pode dworem, patrząc na wasze dzieci, choćby tylko z daleka, tak samo rozpoczną i przejdą szkołę życiową; bez cudzej pomocy poznają różnicę między ubóstwem a bogactwem, uczyć się poczną przeceniać bogactwo i utyskiwać na swoje ubóstwo, a za tem pójdą wszystkie pokusy, o których już poprzednio wspomniałem. To co twierdzę o Twoich dzieciach, kiedyś i Ty, mój Panie kochany, przechodziłeś, a i teraz jeszcze podobno nieraz przychodzi ci ścierać się z pokusami z położenia Twojego społecznego i majątkowego wynikającemi. I po całym świecie wciąż ta sama historya. Więc po co się łudzić płonną nadzieją, po co się kusić o rzeczy niemożliwe, i chcieć ukrywać przed dziećmi, czego ukryć niepodobna, skoro się tylko rozwijać i zastanawiać poczynają. Więc jakaż na to rada? Bywają pokusy, o których kto nigdy nie wiedział, ten najszczęśliwszy, a w obec których ten tylko bezpieczny, kto od nich ucieka. Ale są też innego rodzaju pokusy, (a o tych tu właśnie mowa) o których Pa-

wel św. pisze, że ktoby miał ich całkiem uniknąć, musiałby chyba wyjść za światy. Tym, najbezpieczniejsza śmiało zajrzeć w oczy, i mężnie a wytrwale się z niemi potykać. O tamtych niechby dzieci nie wiedziały, by też najdłużej; o tych zaś potrzeba je pouczać, oświecać, i do walki z niemi zawczasu zaprawiać.

Jak w lesie nie znajdziecie dwóch równych sobie drzew, na wszystkich drzewach całego świata dwóch równych sobie liści, bo Pan Bóg nie posługuje się fabryczną robotą, tak też między ludźmi nie ma i nie będzie bezwzględnej równości. Opatrzność Boska wszelkie swoje dary, jak siły, wzrost, zdrowie i długość życia, zdolności i talènta i t. d., tak samo też majątek i ubóstwo ludziom w różnej rozdaje mierze. Tej różności żadne ustawy, żadne hasła, żadne antagonizmy ani przewroty nie zniosą. Ta nierówność jest jednym z owych faktów danych, przeciw którym kto wojuje, daremnie się szamota. Poddać się im po Bożemu, liczyć się z nimi rozumnie, dostrajać się do nich potrzeba, a wtenczas, ale też dopiero wtenczas zamiast antagonizmów i kataklizmów można się spodziewać prawdziwej harmonii społecznej. Oto w Chyrowie z powodu tych dwóch oddziałów mogą się zdarzać, i z pewnością będą się niekiedy zdarzać pomiędzy konwiktorami jakieś wybryki i uchybienia, tak samo jak z powodu różnicy w położeniu majątkowem zdarzają się mniejsze i większe zajścia pomiędzy uczniami, po wszystkich szkołach i zakładach. Ale czyżto tak wielkie nieszczęście? czyż stąd, że chłopcy, jakto bywa pomiędzy chłopcami, po swojemu między sobą się kiedy niekiedy przemówią, że odezwą się w nich razporaz jakieś zazdrostki i niechęci, czyż dla tego należy już przybrać się w złowrogi strój Kassandry, i zapowiadać niechybne antagonizmy społeczne, a może nawet wojny domowe? Nie, tak trwożliwego serca nie jesteśmy. Wiemy, że dzieci tylko, nieraz nawet bardzo dobre dzieci, rodzice nam powierzają — ale nie przypuszczamy, aby one były już ludźmi wyrobionymi i doskonałymi, bo w takim razie nie potrzebneby już było wychowanie. Jesteśmy więc przygotowani na różne ich uchybienia i niedostatki, których bynajmniej lekceważyć nie myślimy; czuwać, pouczać, a w miarę potrzeby przycierać rogów, a za łaską Bożą chłopcy pozbędą się złego, ujarzmią swoje namiętności i wyrosną na ludzi. Ale przeceniać trudności to znaczy je pomnażać; a w to bawić się nie mamy zamiaru.

Zresztą dla naszego zakonu taki podział jednego konwiktu na dwa oddziały nie jest rzeczą nową. Jezuici w ogólności, a ja w szczególności żadnej nie mamy skłonności, aby na polskiej właśnie młodzieży, jakby *in anima vili* robić dopiero jakieś szczególne i zbyt ryzykowne eksperymenty. Kiedy powzięliśmy zamiar wystawienia nowego na wielkie rozmiary konwiktu, pragnęliśmy też stworzyć coś rzeczywiście dobrego. Więc żeby korzystać z obcego też doświadczenia, wybrałem się w podróż, i zwiedziłem wcale poważną liczbę konwiktów w Austryi, Francyi, Anglii i Belgii. We wszystkich znalazłem wiele dobrego, ale szczególnie uderzył mnie dobrym duchem i znakomitymi rezultatami konwikt we Feldkirch w *Vorarlbergu*. Zakład ten istnieje od lat trzydziestu, miewa około 400 uczniów przybywających po największej części z Niemiec, gdzie w obec kulturkampfu szkoły jezuickie stały się niemożliwemi. Wrażenie, które stamtąd odniosłem, było takie, że gdyby Pan Bóg był mię stworzył Niemcem, i obdarzył mię pięćdziesięciu synami, wszystkich ichbym tam wychowywał; bo byłbym pewny, że przynajmniej czterdziestu pięciu z nich wyrośnie na uczciwych ludzi, a reszta, choćby zboczyć miała z dobrej drogi, przynajmniej w późniejszym wieku wspomni na młode lata, odnajdzie wpojone zasady i nawróci się. A że wrażenia moje zgadzają się z rzeczywistością, na dowód tego niech wystarczy jeden szczegół, że wcale pokaźny zastęp dawnych uczniów z Feldkirch stał się nie poślednią podporą owego Centrum niemieckiego, które tak znakomitym jest wzorem dla katolików i konserwatystów, a podobno też dla poczciwych ludzi wszystkich narodów i krajów. We Feldkirch zaś, tak samo jak w Chyrowie, jeden jest konwikt podzielony na dwa oddziały — droższy i tańszy, z tą tylko różnicą, że oddział droższy jest liczniejszy od tańszego, bo i Niemcy są krajem zamożniejszym niż nasza Galicya i cała w ogóle Polska. Rezultaty zakładu we Feldkirch od trzydziestu lat dowodzą, że taki podział bynajmniej nie jest tak zgubny i groźny, jakby w nas chciano wmówić. Czy zaś natura dzieci polskich jest tak odmienna od natury dzieci niemieckich i o tyle od niej gorsza, że co tamtym służy, albo przynajmniej do dobrego nie przeszkadza, to nasze dzieci miałoby psuć i gubić, niech o tem rozprawia kto chce, ja temu po prostu nie wierzę, bo dzieci i młodzież naszą znam i kocham; a i dzieci i młodzież nie-

miecka nie jest mi ze wszystkiem obca, bo za młodu sam między nią przez długie lata się chowałem.

Co więcej, same wady narodowe, jakie tkwią w dzieciach polskich, znajdą, jak ufamy, w tem urządzeniu zakładu pewną przeciwwagę; — i to mieliśmy osobliwie na oku, gdyśmy się na ten podział zdecydowali. Główną wadą narodową, z którą walczyć przychodzi przy wychowaniu, jest lenistwo, niechęć do nauki. Lenistwo to najtrudniej pokonać u dzieci z zamożniejszych rodzin, które sobie zwykle wyobrażają życie jako zabawę i wystawiają sobie, że nauki i egzamina nie są im koniecznie potrzebne. Dla tego to w zakładach wyłącznie z zamożniejszej młodzieży się rekrutujących daleko trudniej jest o pracowitość i powodzenie w naukach. A gdy nadomiar mała jest liczba uczniów w każdej klasie, (jak być musi w takich zakładach), wcale nie łatwo jest zapał naukowy podniecić i utrzymać. U dzieci zaś niemajętnych rodzin wszystko się na to składa, że wcześnie rozumieją potrzebę pracy, i stąd też przeciętnie z większą pilnością do tej pracy się garną. Gdy więc dzieci tej drugiej kategoryi siedzą na ławkach szkolnych, obok tych pierwszych, to oddziaływać musi (i w Chyrowie już oddziaływa) na całą klasę, dodając jej życia, pilności, szlachetnego współzawodnictwa w nauce. Z drugiej strony dzieci z zamożniejszych rodzin, choć w mniejszej ale zawsze w znaczącej liczbie, zasiadające na tej samej ławce szkolnej, przynoszą zwykle z domu delikatniejsze wychowanie i dodają całej szkole lepszego tonu. Gdy nadto nam się uda, jak się spodziewam, ująć w ręce i wyzyskać obustronnie te elementa dodatniego współzawodnictwa, to niezawodnie oba działy konwiktu więcej na tem zyskają, aniżeli gdyby każdy stanowił zakład całkiem odrębny.

Ostatecznie, by z całej tej kwestyi wyprowadzić wniosek praktyczny, albo masz, Panie kochany, do nas to zaufanie, że trudnościom wynikającym z podziału konwiktu na dwa oddziały potrafimy zaradzić, i owszem wyzyskać je na korzyść naszych wychowańców, albo zaufania tego nie masz. W pierwszym wypadku nie przysyłaj nam swoich dzieci, i nie myśl że tem nas obrazisz, lub jakąkolwiek uczynisz ujmę; *c'est à prendre ou à laisser.* W drugim wypadku jeżeli masz dostateczne do zakładu zaufanie, i decydujesz się dzieci swoje nam powierzyć, to chciałbym, abyś

powiedział to, co niedawno temu ktoś mi napisał. Dwóch chciał on nam oddać synów, ale jeden z nich miał już lat 14, a zatem młodszego tylko przyjąć mogłem. Donosząc mi o tem, że przyszle młodszego, ubolewa on, że nie może oddać nam i starszego, ale i tem się pociesza, że „nie z prawem, powiada, ale do prawa przychodzę". To znaczy, chceszli Pan kochany korzystać z naszego zakładu, pogódź się z nim takim jakim on jest, a nie żądaj byśmy czemprędzej zmienili, cośmy dopiero co postanowili. Wszak w dawnej Rzeczypospolitej wiadomo, że wtenczas najgorzej dziać się poczęło, kiedy najwięcej poczęto sejmikować i laudy bez końca uchwalać, bo począwszy od króla aż do ostatniego kmiotka nikt już nie mógł się doprosić egzekucyi. Zresztą po długim dopiero i dojrzałym namyśle urządziliśmy Chyrów takim jakim jest; więc słuszna byśmy też bez długiego i dojrzałego namysłu w ważniejszych przynajmniej rzeczach niczego nie zmieniali. Na tem z pewnością i zakład i wychowańcy jego wyjdą najlepiej.

Kończę, zasyłając serdeczne życzenia. Bóg z Wami

wasz

Ks. H. Jackowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z zeszłorocznej literatury małoruskiej.

Pięćdziesięcioletnia rocznica *Rusałki dniestrowej;* Prof. Dr. Emil Ogonowski: *Literatury małoruskiej Tom I.; Watra;* Iwan Franko: *Poezye część I.;* Wydawnictwo kobiece: *Perszyj winok;* Ludwik Adolf Stauffe-Siemiginowicz: *Kleinrussische Volkslieder.*

Kiedy niespełna w trzydzieści lat po pierwszym rozbiorze Polski cała zadnieprzańska Ukraina zachwycała się dziełem Iwana Kotlarewskiego, trawestyą Eneidy — a Hrehory Kwitka Osnowianenko zbierał żywe typy i odtwarzał wierne charaktery ludowe w swoich znakomitych powieściach, słowem, kiedy pierwsi ukraińscy koryfeusze małoruskiej literatury wprowadzają dźwięczną ukraińską mowę w utwory ducha swego, to równocześnie na Rusi, pozostającej pod zaborem austryackim, głucho jeszcze i ciemno. Jak życie polityczne Rusi tętniało zawsze raźniej w pobliżu macierzy grodów ruskich, Kijowa, tak też i odrodzenie duchowe małoruskiego narodu pojawia się najpierw nie w prowincyach bliższych zachodniej cywilizacyi i zachodniej oświaty, ale znów tam, skąd wyszły pierwsze prądy, gdzie powstały pierwsze zawiązki łączące Ruś południową w jedno państwo przynajmniej na tak długo, dopóki siłą ujemną stosunków wewnętrznych nie stała się ona ofiarą nieszczęśliwego rozkładu na drobne księstwa udzielne i dopóki w skutek tego jej kosztem nie wzmogły się dwa nowe państwa, a mianowicie wielkie księstwo litewskie i wielkie księstwo suzdalsko-moskiewskie.

Na Rusi następnie rozwija się życie duchowe w dwóch kierunkach. Piśmiennictwo, aczkolwiek obfite, karłowacieje pod wpływem bizantynizmu i cerkiewszczyzny, i reprezentuje literaturę kasty, lud zaś żyje swojem odrębnem, duchowem życiem, a to krystalizuje się w jego cudownych legendach, kazkach, przypowieściach i przysłowiach, wreszcie w owych cudownych dumach i pieśniach, którym w słowiańszczyźnie całej li tylko pieśni serbskie dorównać mogą.

Nie dziw też, że do tej bogatej skarbnicy narodowej zajrzano najpierw na Ukrainie. Tu w pojęciu „kozaczyzna“ wytworzył się pierwszy słowiański demokratyczno-liberalny ustrój, tu też słowo pieśni ludowej święci swój tryumf wcześniej, aniżeli w odległych ziemiach halickiej Rusi. W chwili pierwszego rozbioru Polski Ruś czerwona była o wiele uboższą od swej naddnieprzańskiej siostrzycy. Dawno już pozbawiona rodów wyższych, które, jako dawno spolszczone, różniły się od ludu nietylko narodowością, ale i obrządkiem, nie miała Ruś halicka prawie żadnej inteligencyi. Duchowieństwo ruskie w dyecezyach lwowsko-kamienickiej i przemyskiej różniło się od ciemnej masy tylko znajomością sztuki czytania i pisania, podczas gdy na Ukrainie zadnieprzańskiej, osobliwie zaś w okolicach Charkowa, Połtawy, Kijowa pozostało wiele rodów kozaczych, a stąd i wiele inteligencyi świeckiej. Duchowieństwo Rusi halickiej dźwiga się z upadku swego dopiero pod rządem austryackim. Dopomagają mu w tem stanowczo przychylne rozporządzenia cesarzowej Maryi Teresy i nieocenione reformy Józefa II. W roku 1787 uzyskują Rusini w Galicyi kilkanaście katedr ruskich we Lwowie na wydziale teologicznym i filozoficznym; tak zwane duchowne seminaryum jeneralne lwowskie staje się pierwszą instytucyą zasilającą nieustannie gr. kat. cerkiew ludźmi wyższego wykształcenia. A jednak z tej licznej falangi, służącej skądinąd wiernie powołaniu stanu swego, przez długie jeszcze lata nie poczuwa się nikt prawie do służenia sprawie narodowej. Księża ruscy długo jeszcze, bo prawie aż do roku 1850, mówią i piszą prawie tylko po polsku, próbki druków ruskich, które zaczęły się pojawiać dopiero po roku 1818, pisane po największej części czystą, a z reguły łamaną cerkiewszczyzną, pierwszem zaś zjawiskiem, pierwszą próbką, a raczej promykiem zwiastującym rusińskiej literaturze w Galicyi inną

epokę, był króciuchny, bo tylko trzyzwrotkowy wierszyk napisany i wydrukowany we Lwowie w r. 1833 na cześć urodzin cesarza Franciszka I. Oda ta, której autorem był późniejszy główny redaktor „Rusałki dniestrowej“, poeta Marcyan Szaszkiewicz, została po wydrukowaniu w lot rozchwyconą, a pierwszy ten występ młodziutkiego poety, co odważył się pierwszy dla wyrażenia uczuć swoich użyć żywego języka ludu, był może dla niego i najpiękniejszą chwilą w życiu.

Marcyan Szaszkiewicz urodził się w r. 1811 we wsi Kniażu pod Złoczowem, gdzie ojciec jego był proboszczem. Do szkół normalnych chodził w Złoczowie, a do gimnazyum w Brzeżanach. W r. 1829 zapisał się we Lwowie na filozofią niższą i już wtedy, jako przyszły słuchacz teologii św., przyjętym był do seminaryum duchownego. Chciał jednak wypadek, że Szaszkiewicz, otrzymawszy pewnego dnia pozwolenie wyjścia „na świat“, opóźnił się nieco z powrotem, a za to spotkała go sroga kara. Wydalony ze seminaryum walczy przez trzy lata własną pomocą o byt, ale zarazem pracuje nad swojem wykształceniem. W bibliotece uniwersyteckiej i w zakładzie Ossolińskich zapoznaje się z utworami współczesnych uczonych słowiańskich. Będąc naocznym świadkiem kipiącego pod ów czas życia wśród młodzieży polskiej, zamarzył poetyczny i gorącem sercem obdarzony Marcyan pod wpływem „Córy sławy“ nieśmiertelnego Kollara o rodzimej literaturze małoruskiej w Rusi halickiej. Poznawszy się z Tadeuszem Wasilewskim, właścicielem Kniażego a zarazem gorącym sławianofilem, przy jego pomocy zapoznaje się Szaszkiewicz z Janem Kauleckiem, profesorem literatury czeskiej, a obaj ci ludzie, dostarczając Szaszkiewiczowi nowości literackich z piśmiennictwa czeskiego i ukraińskiego, wpływają w ten sposób jeszcze bardziej na jego gorące pragnienia.

Znając osobiście Wacława z Oleska, pierwszego zbieracza pieśni ludowych ruskich w Galicyi, zapoznaje się on jeszcze przed ponownem wstąpieniem do seminaryum (w r. 1833) z Jakóbem Głowackim i Janem Wagilewiczem, późniejszym przyjacielem ś. p. Augusta Bielowskiego, znakomity Wagilewicz i Głowacki zostają później również przyjęci do seminaryum, i w skutek tego utworzyła się trójka, której Ruś halicka zawdzięcza ową Rusałkę, pierwszą próbę w kierunku odrodzenia swej literatury i w kierunku złącze-

nia tejże z literaturą ukraińską. Pod wpływem trójki tej zakipiało w seminaryum inne życie. Wymowny i sympatyczny Marcyan zyskuje rychło sympatyę nieograniczoną u kolegów. Znaczenie jego wzmaga się po wydrukowaniu wyżej wspomnianej ody na cześć cesarza Franciszka I. W r. 1836 odważa się pierwszy Szaszkiewicz na pierwszą mowę w języku narodowym w obec starszyzny seminarzyckiej i pierwsze kazanie po rusku w cerkwi św. Jura, gdy tego samego dnia, wbrew woli przełożonych, dwaj inni towarzysze Szaszkiewicza wygłosili ruskie kazania w dwóch innych ruskich cerkwiach lwowskich. Julian Wieliczkowski mówił w cerkwi wołoskiej, a późniejszy poeta, klasyk Mikołaj Ustyanowicz, ojciec żyjącego poety i malarza, Kornela Ustyanowicza, w cerkwi św. Paraskewii.

W r. 1837 złożono „Rusałkę Dniestrową“. Z początku miała ta książka nosić miano „Zorja“. Szaszkiewicz postarał się do niej o portret Bohdana Chmielnickiego i napisał biografię tego hetmana; prócz tej pracy mieściło się w rękopiśmie kilkanaście utworów „ruskiej trójki“, kilka pieśni ludowych i wreszcie dwie rozprawy naukowe: jedna jako wstęp do ludowych pieśni napisana przez Jana Wagilewicza, a drugą napisał Szaszkiewicz, krytykując rozprawę Józefa Łozińskiego, drukowaną w Przemyślu r. 1835 pod tytułem „ruskoje wesile“ po rusku, ale łacińskiemi czcionkami.

Gotowy rękopism posłano do cenzury wiedeńskiej, ale że Kopitar, ówczesny cenzor słowiańskich książek, nie był upoważnionym do recenzyi dzieł w języku ruskim, więc rękopism wraca napowrót do autorów; gdy zaś i nowomianowany cenzor ruski we Lwowie, profesor teologii moralnej na uniwersytecie, ks. Benedykt Lewicki „Zorji“ ze względu, że pisaną była w języku ludowym i ortografią fonetyczną, drukować nie pozwolił, „ruska trójka“ nie tylko że upadła na duchu, ale dostała się, jako garstka nowatorów, pod nadzór policyi. Odbyła się nawet u Szaszkiewicza rewizya, ale ta nie wykryła nic złego; gdy zaś po stronie młodej i czynnej trójki stanął konsystorz, wówczas Szaszkiewicz, Głowacki i Wagilewicz próbują szczęścia na nowo.

Wyrzuciwszy rozprawę o Chmielnickim i uzyskawszy materyalną pomoc od Mikołaja Wereszczyńskiego, księdza i dyrektora szkoły głównej w Kołomyi, w kwocie 400 złr., udali się do serb-

skiej młodzi na uniwersytecie peszteńskiem i wreszcie tu w drukarni uniwersyteckiej, wydrukowano obcięty rękopis „Zorji“, pod tytułem „Rusałka Dniestrowa“ — ale w ciężką i nieszczęśliwą chwilę.

Z 1000 egzemplarzy posłał Serb Petrowicz 900 egzemplarzy do Lwowa a 100 do Wiednia. Lwowska cenzura wydaje ponownie nieprzychylny wyrok, policya konfiskuje cały nadesłany nakład „Rusałki“, która wydobywa się z pod tej konfiskaty aż po roku 1848. W Galicyi rozeszły się tylko te egzemplarze, które były przesłane do Wiednia. Szaszkiewicz, Wagilewicz i Głowacki dostają się znowu pod nadzór policyi, nadzieje ich zostały powtórnie zniszczone.

Taka była geneza pierwszej gwiazdki z horyzontu odrodzenia duchowego halickiej Rusi. Główny motor w tej całej sprawie, Marcyan — zgnębiony na duchu, bo i krytyka, napisana przez sławnego w swoim rodzaju obrońcę cerkiewszczyzny książkowej, Józefa Lewickiego, przyjęła „Rusałkę“ jak najgorzej — kończy seminaryum i rozchodzi się z towarzyszami swoich najszczytniejszych porywów. Ożeniwszy się zostaje księdzem, ale nielubiany przez Michała Lewickiego, ówczesnego metropolitę a późniejszego kardynała, cierpi bardzo i pod względem materyalnym, co znów przyspiesza u niego wybuch piersiowej choroby. Słaby i niedostatkiem nękany Marcyan, pracuje jednak ciągle na polu literackiem, w osobnej rozprawie broni ruskiego pisma, tłumaczy wiele pieśni serbskich, tłumaczy z czeskiego „Sąd Libuszy“ i „Królodworski rękopis“, tłumaczy „Słowo o pułku Igora“ i pismo święte i pozostawia też wiele oryginalnych lirycznych poezyj, (między niemi trzy polskie) prawdziwych pereł małoruskiej literatury.

Przed śmiercią, która nastąpiła w r. 1841, więc w trzy lata po wyświęceniu, miał nieszczęśliwy poeta jedyną pociechę, że na Ukrainie górował już sławą Szewczenko. Ś. p. Marcyan odczuł, że to, czego on nie spełnił wskutek zawiści losu, tego dokonają pieśni nieśmiertelnego autora „Kobzarza“, że rozwój literatury małoruskiej w duchu narodowym ostać się musi.

Z towarzyszy ś. p. Marcyana żyje jeszcze tylko Jakób Głowacki, który później zebrał prawie wszystkie pieśni ludowe w Galicyi wschodniej, na Rusi węgierskiej i na Bukowinie. Ożeniony w roku 1841, wyświęca się Głowacki w r. 1843; do roku 1846 chodzi po wikarówkach, w r. 1846 zostaje kapelanem w Chmielo-

wej, ale już 12 grudnia 1848 r. otrzymuje nominacyę na profesora uniwersytetu lwowskiego dla literatury ruskiej. Niezwykle czynny i bystry napisał wiele gramatycznych, etnograficznych i archeologicznych rozpraw naukowych, w językach ruskim, polskim, rosyjskim, czeskim, a nawet niemieckim. W r. 1868 powołany przez rząd rosyjski na prezesa archeograficznej komisyi do Wilna, osiada w mieście tem stale, a nie porzucając literalnie pióra na chwilę, interesuje się żywo wszystkiem, cokolwiek dotyczy jego ziemi rodzinnej.

Najcięższym może był los trzeciego towarzysza „ruskiej trójki“ i trzeciego redaktora „Rusałki Dniestrowej, ś. p. Jana Wagilewicza, któremu znakomity powieściopisarz, Jan Zacharyasiewicz, poświęcił tak serdeczne wspomnienie w zeszłorocznym *albumie dla Stryja* (Muza czy Meduza; kartka z moich wspomnień str. 49). Niezwykle wrażliwy, ale nadzwyczaj zdolny i sympatyczny Wagilewicz wyświęcił się dopiero po długich korowodach w r. 1846 tj. w 35 roku życia swego. Z Niestanic, gdzie był administratorem parafii, wyjeżdża namówiony przez grono polskiej młodzieży do Lwowa, aby tu objąć redakcyę gazety „Ruskij Dnewnyk“, której zadaniem było podtrzymywać interesa i dążności polskie na Rusi. Mimo całej niezawisłości poglądów swoich, którą umiał utrzymać w redagowaniu tego czasopisma, ściąga na siebie wiele nieprzyjemności, wreszcie bojąc się surowości konsystorza, przechodzi na protestantyzm. Opuszczony przez dawnych przyjaciół, zostaje z żoną i dziećmi bez środków do życia; jakiś czas utrzymuje się z korekty, z tłumaczeń, po troszę zaś i ze swoich prac uczonych. W tym czasie zaprzyjaźnił się z uczonym historykiem i tłumaczem „Słowa o połku Igora“, Augustem Bielowskim, ceniony przez niego dopomagał mu w jego historycznych pracach aż do śmierci, która zakończyła jego okropną nędzę dnia 10 maja 1866. Z pism jego pozostało bardzo mało. Oprócz dwóch pięknych ballad „Madej“ i „Żulin i Kalnia“ pozostało wiele rzeczy niedokończonych. Przechowało się też wiele listów z jego korespondencyi z Pogodinem, z którym i Głowacki korespondował. I w tej korespondencyi jednak umiał Wagilewicz zachować całą niezawisłość poglądu na sprawę żywotną swego narodu.

Idee Szaszkiewicza podnoszą po r. 1848 autorowie albumu

„Halickiej Zorji". „Rusałka" uwolniona z konfiskaty zostaje rozchwytaną, i zawzięty krytyk, Lewicki, pisze wręcz przeciwną ocenę znaczenia Szaszkiewicza w literaturze małoruskiej.

Jakiś czas, bo do r. 1861, niejasna jeszcze sytuacya stanowczego odrodzenia literatury polepszoną zostaje przez cały szereg w duchu narodowym i pod wływem pieśni Szewczenki redagowanych pism peryodycznych, z których najważniejszemi były: „Wieczornice", „Niwa", „Chata", „Meta", „Prawda" i „Słowo" pod redakcyą Dziedzickiego w latach od założenia do 1866. W r. 1866 po nieszczęśliwej bitwie pod Sadową podnosi głowę żywioł wsteczny i nienarodowy, z którym narodowcy walczą bezustannie w czasopiśmie „Prawda". Walka ta nabiera większego znaczenia, gdy obóz narodowców, zorganizowany w r. 1880 przez ś. p. Włodzimierza Barwińskiego, łączy się silnie i ściśle pod egidą politycznego „Diła" i literackiej, trzeciej z rzędu „Zorji", założonej przez uczonego profesora Emila Partyckiego, obecnie zaś będącej własnością towarzystwa imienia Szewczenki.

Ta trzecia „Zorja" wystąpiła najpierwsza z dowodem święcenia jubileuszu „Rusałki Dniestrowej". Dnia 20 listopada z. r. ukazała się ona w potrójnym numerze, który od pierwszej do ostatniej stronnicy zapełniony szczelnie artykułami wielkiej literackiej wartości, poświęconemi pamięci Marcyana Szaszkiewicza. Ta trzecia „Zorja", jedyne dotychczas literackie czasopismo na Rusi, stała się ogniwem łączącem wszystkie wybitniejsze siły literackie. Redagował ją od r. 1880—1886 sam założyciel, prof. Emil Partycki. Z początkiem roku 1886 odstąpiona na własność towarzystwa Szewczenki pozostawała przez rok jeden pod redakcyą dra Emila Kalitowskiego, obecnie zaś kieruje redakcyą sympatyczny autor kilku bardzo udatnych komedyi jako to: „Na dobroczynne cele"; „Ojciec na zrękowinach", „Sokolęta", „Zły dzień" i „Szlachta chodaczkowa", tudzież autor kilku pięknych noweli, prof. Hrehory Cegliński. W latach 1884 i 1885 wydała „Zorja" kilkanaście tomów osobnego wydawnictwa „Biblioteki Zorji", króre wraz z wychodzącą z „Dilem" biblioteką najznakomitszych powieści i romansów powiększyło znacznie ilość książek przeznaczonych dla lektury potocznej w języku rodzinnym. Przez szpalty „Zorji" przechodzą z reguły wszystkie ważniejsze nowości literackie, stałymi jej współpracownikami

są: dwaj bracia Aleksander i Józef Barwińscy, prof. Szarawiewicz, bracia Kalitowscy, Dr. Emil i Hieronim, Emil Partycki, Hrehory Cegliński, Julian Celewicz, Michał Podoliński, Piotr Skobielski, Włodzimierz Szachewicz, Daniło Łepki, Kornel Ustyanowicz, Konstanty Łuczakowski, Jerzy Fed'kowicz, Daniło Młaka Worobkiewicz, Anatol Wochnianin, Bazyli Ilnicki (Denys), Iwan Franko, Hilary Grabowicz, Włodzimierz Maślak, Włodzimierz Kocowski, Włodzimierz Lewicki (Łukicz), Aleksander Borkowski; z ukraińskich pisarzy: Iwan Nieczuj Lewicki, Aleksander Koniski; z kobiet: Ołena Pcziłka, Julia Szneider (Ulana Krawczenko), Natalia Kobryńska, Helena Hrycaj; byli zaś jej współpracownikami dwaj nieodżałowanej pamięci ludzie, z których ś. p. Kornel Zakliński rokował najświetniejsze nadzieje jako historyk, a ś. p. Leon Wasyłowicz jako nowelista.

Przez szpalty „Zorji" przeszła piękna tragedya prof. uniwers. dra Emila Ogonowskiego „Halszka Ostrożska" i tegoż samego autora, który w slawistyce przez napisanie dzieła „Studien auf dem Gebiete der ruthenischen Sprache" pozyskał miano powagi — pierwszy tom literatury małoruskiej, obejmującej dzieje piśmiennictwa ruskiego, od czasów najdawniejszych aż do wystąpienia Iwana Kotlarewskiego z trawestyą Eneidy w ostatnich latach zeszłego wieku. (Istorja literatury ruskoi, napysaw Omelan Ogonowskij; czaśt. I. Lwiw 1887. Nakładom towarzystwa imeny Szewczenka 8⁰, stron XVI+426).

Światły i nadzwyczaj pracowity autor przedstawia szczegółowo z właściwą sobie sumiennością w tem najnowszem dziele swojem cztery pierwsze epoki literatury ruskiej, a mianowicie: I. epokę słowiańsko-ruską od czasów najdawniejszych aż do r. 1240, tj. do napadu tatarów na Ruś; II. epokę od 1240—1386, tj. do złączenia południowo-zachodniej Rusi z Polską; III. epokę od 1386, tak zwany okres polsko-ruski aż do założenia mohylańskiej akademii w Kijowie r. 1632 i IV. epokę scholastyczną od r. 1632—1789. Omówienie każdej epoki poprzedzone jest ogólnym historyczno-literackim poglądem, zaś na początku dzieła znajdujemy gorącą patryotyczną apologię literatury małoruskiej, bo ona jedynie ma prawo rościć sobie pretensyę do tej literackiej przeszłości, do tych pomników, które dają najwymówniejsze świadectwo, że Ruś — nawet w cza-

sach zawisłości politycznej — żyła odrębnem życiem duchowem, miała osobną cywilizacyę, osobny ustrój społeczny.

W chronologicznym porządku omawia autor działalność każdego pisarza, omawia pomniki, kroniki, rękopisy traktując rzecz źródłowo na podstawie ogromnej erudycyi. Odkładając obszerniejsze sprawozdanie z dzieła tego na później, dziś zaznaczymy tylko, że przez wydanie I. tomu tej literatury zapełnił uczony autor wielką lukę w organicznej pracy narodowej Rusinów, dając młodzieży, a w ogóle narodowi dzieło, które może służyć będzie jako wyborny podręcznik do studyów dalszych nad dawniejszemi dziejami ruskiego piśmiennictwa. W bardzo krótkim czasie wyjdzie II. tom tego dzieła, obejmujący literaturę epoki piątej, od r. 1789 aż do dni naszych, zaś w trzecim tomie, który okaże się przy końcu następnego roku poświęci autor trudy swoje poezyi ludowej, w czem zresztą dotychczas nieocenione zasługi położyli już dwaj inni małoruscy uczeni: prof. kijowskiego uniwersytetu, Włodzimierz Antonowicz, i były profesor tegoż uniwersytetu, Michał Dragomanów.

Z innych nowości literackich wypada nam wymienić najpierw zbiorowe wydawnictwo „Watra“ (ognisko), wydane w Stryju przez Wasyla Łukicza (Włodzimierza Lewickiego). Sam wydawca umieścił w tem wydawnictwie pierwszą monografię o węgierskiej Rusi, pracę, która wymagała nadzwyczaj wiele trudu, polegającego przedewszystkiem w zebraniu potrzebnych materyałów. Z tej części wywiązał się też autor pomyślnie, wyzyskawszy wszystko, co się na razie wyzyskać dało, mniej może udała się autorowi zewnętrzna strona tej bądź co bądź ważnej i ciekawej pracy. Nie masz w niej dobrej metody przedstawienia rzeczy; autor czasem zanadto subjektywny, daje się unosić patryotycznemu zapałowi i tem może szkodzi swej monografii. Jeżeli jednak ten usterk ze względu na uczciwą tendencyę godzi się autorowi wybaczyć, to na wadę pierwszą, o tyle mniej nacisku kłaść można, ile że autor nie jest historykiem z zawodu, i że w skutek tego szkoły pewnej wymagać trudno.

Z kilkunastu poezyj odznaczają się wyższym polotem: dumka Szewczenki „do siostry“ — następnie dwa historyczne śpiewy przedwcześnie zmarłego poety Stefana Rudańskiego „Mazepa“ i „Pa-

wło Połubotok", dwa piękne sonety Ulany Krawczenko, wreszcie Fed'kowicza „Nowa Sicz".

Oprócz kilku krytycznych i biograficznych szkiców mieści w sobie „Watra" także siedm utworów beletrystycznych.

Weteran małoruskiej literatury, *Daniło Mordoweć*, zachwyca czytelnika przedstawieniem dziecięcej wiary ludowej w obrazku: „A zawsze Przeczysta". *Iwan Nieczuj Lewicki* w misternie obmyślanej bajce: „Dwaj bracia" rozwinął myśl przysłowia: „prawda wywyższa, a kłamstwo gubi". W humoresce: „Po maturze" ośmieszył *Włodzimierz Łuczakowski* niewczesne swaty studenta. *Aleksander Koniski* przedstawił typ człowieka, co zrażony do świata i do ludzi, szuka spokoju w dobrowolnem osamotnieniu na wsi — zaś *Opanas Myrnyj* (pseudonim) skreślił w drastycznym obrazku „Łowy" stosunek dwojga małżonków, z których „on" o tyle był nieszczęśliwym, że szalejąc z miłości do „niej", przekonał się nagle i niespodzianie o tem, iż stał się mimowolnym właścicielem przyprawionych rogów. Wreszcie nie bez pewnych zalet jest powieść: „Misya", w której Iwan Franko, autor osobnego również w r. z. wydanego zbiorku poezyj pod tytułem: „Z gór i nizin" przedstawił z pewną tendencyą zwichnięte marzenia misyonarza, wysłanego w sprawie unickiej na Podlasie. Naturalistyczny koloryt, któremu autor od pewnego czasu hołdować zaczął, starając się wyrobić mu prawo obywatelstwa w literaturze swego narodu, a którym też posługiwał się on i w tej powieści, rozminął się z celem realnego przedstawienia rzeczy. Dzielne pióro, które już nie jednym utworem zapisało na kartach narodowych wyraźnemi zgłoskami imię dzierżącego je, Iwana Franka, tym razem niezupełnie posłusznem było woli swego kierownika, bo wola ta osłabioną została już przez domieszkę wyraźnej tendencyjności. Utwory Franka, jednego z najzdolniejszych w młodszej generacyi literatów, są wtedy tylko bez zarzutu, skoro Franko pisząc je stoi na stanowisku objektywnego obserwatora bądź cierpiącej ludzkości, bądź życia i jego tajników, bądź walki, jaką to życie toczyć musi, chcąc się przy swojej egzystencyi utrzymać. Zasłużony tłumacz „Fausta", bezsprzecznie jeden z najzdolniejszych nowelistów małoruskich, autor wielu ciekawych naukowych rozpraw, zresztą publicysta, etnograf, statystyk, poeta staje się tyle razy wrogiem dzieł własnych, ilekroć tylko pisze cokolwiek z pewnym

z góry ułożonym planem. W skutek takiego przymusu siebie samego poronił Franko dłuższą powieść swoją „Zachar Berkut“, w której bohater Zachar, żyjący w XIII. stuleciu, wbrew epoce, w której żyje, wbrew otaczającym go stosunkom, deklamuje na temat podziału pracy i kapitału, jak pierwszy lepszy przespołeczniacz zachodnio-europejski ze szkoły Lassala. Z tych samych przyczyn nie pozyskał Franko sympatyi dla wielu swoich poezyj, z których każda może być perłą filozoficznej myśli, ale nigdy łzą serca. Każda z nich prawie nosi na sobie ślad sztucznego opracowania i w formie i w treści, jakiej sobie życzył autor, to też każda nie zagrzewa, ale raczej ziębi lub oddala od siebie czytelnika sztywnością. Po każdej znać to, że autor nie uważa siebie kapłanem sztuki, ale raczej panem, któremu ona służyć winna do propagowania jego zadań i jego dążności. Nieprzychylny traktowaniu sztuki ze stanowiska idealizmu, probuje metody realistycznej, ale nie umie się utrzymać w odpowiednich granicach; raz popada w naturalizm zakrawający na sposób Zoli, ale po większej części sam sobie przeczy, idealizując do nieskończoności kreślone postacie lub charaktery, lub wreszcie idealizując jakąś świetną przyszłość dla zwycięstwa swoich idej po dniach stanowczego, radykalnego przewrotu i w życiu duchowem i w życiu społecznem w łonie ludzkości, wśród której na teraz nie widzi on prawie nic dodatniego.

Otóż i krótka charakterystyka prądu, którym podąża wyżej wspomniany autor „Misyi“ i poezyi „Z gór i z nizin“. W poezyach pierwszego tonu zabłąkał się autor aż pod gnijące pnie, pod któremi wylęga się robactwo idealistów, w poezyach tonu drugiego ominął autor linię rzeczywistego poziomu. Z nizin wzięty poemat „Pańskie żarty“. Epoka, na której rzecz osnuta, przestudyowana należycie, bo autor napisał dawniej już monografię obszerniejszą o wypadkach z r. 1846 i 1848, artystyczne obrobienie przedmiotu posiada jednak wiele braków nawet pod względem niektórych form językowych, pominąwszy już zidealizowane postacie ruskiego księdza, zidealizowaną i nienależycie uzasadnioną akcyę komisarza, niemca, i niemiłosiernie rażący żargonowy sposób mówienia tego przedstawiciela rządu. Obok wielu misternie pięknych opisów mieszczą się ustępy najzwyczajniejszej rymowanej prozy, a temat wzięty ze sfery

walk politycznych musiał przechylić Franka na szalę stronniczości, czego poeta epik stanowczo wystrzegać się powinien.

Żargonowe ustępy włożone w usta komisarza miały może pójść na karb realizmu, lecz realizm taki efektu nie wywoła. Udała się tylko autorowi charakterystyka ruskiego ludu, tę traktuje on *con amore*, z uczuciem godnem syna ludu, i ten punkt to najjaśniejsza strona „Pańskich żartów".

Większej wrzawy w świecie literackim i w ogóle na całej Rusi narobiło wydawnictwo, na które złożyła się poważna ilość piór kobiecych pod egidą pań Oleny Pcziłki i Natalii Kobryńskiej, znanych w literaturze małoruskiej już nie od dzisiaj.

„Perszyj winok", bo taki tytuł nosi ów almanach zapełniony od początku do końca utworami autorek, z których nawet najmłodsze wielkie rokują nadzieje. Z prac naukowych celują dwie rozprawy pani Kobryńskiej: „o ruchu kobiecym w czasach najnowszych" i „stanowisko kobiety na Rusi w chwili obecnej". Z powieści na pierwszym planie stoi bezsprzecznie powieść Pcziłki „Towarzyszki", a tuż obok niej nowele Kobryńskiej, Michaliny Roszkiewicz, Izydory Nawrockiej, Anny Barwinek i t. d. Ulana Krawczenko stoi znów na czele poetek, bo jej sonety to prawdziwe łezki współczucia z niedolą mniejszego brata i z cierpiącą ludzkością.

Zanadto wiele miejsca musielibyśmy poświęcić temu, gdybyśmy chcieli omówić dokładnie ten ogromny i bogaty materyał, który mieści się w tej pierwszej równiance zbiorowej literatek Rusinek. Z przeważnej części tych utworów czuć życzenie: *światła dla ludu, a postępu i więcej patryotyzmu dla sfer inteligencyi.* W innych pracach dostrzedz można rodzaj pewnego kosmopolityzmu, a w innych znowu ów sentymentalizm, cechujący pierwsze utwory rusińskich powieściopisarzy, skreślone na tle życia ludu. Zawsze jednak u stołu narodowej pracy zjawiło się nad 20 sił nowych, sił, na które, jak powiada w recenzyi swojej Hrehory Cegliński, nie liczyła dotychczas ani polityka, ani nauka.

„Perszyj winok" powitano z wielką radością, sympatya ta powinna być bodźcem dla głównych redaktorek do wydania w najbliższej przyszłości drugiej takiej równianki. W ogóle ruch umysłowy na Rusi zatacza czem raz szersze koła, a nie ma dnia prawie, żeby w tej, do niedawna tak jeszcze ubogiej literaturze nie pojawiła się

jakaś poważna nowość, która rozbudza czem raz bardziej narodowego ducha, napawając go otuchą stanowczego i pewnego zwycięztwa.

Taką nowością np. jest świeżo, bo równocześnie z niemieckim przekładem „Dziadów“ Mickiewicza, wydrukowany przekład niemiecki wielu ludowych pieśni i wielkiej liczby utworów bukowińskiego poety (Daniła Młaki) Izydora Worobkiewicza. Przekładu dokonał Ludwik Adolf Staufe-Siemiginowicz i wydał go w Lipsku pod tytułem: *Kleinrussiche Volkslieder*, metrisch übersetzt von L. A. Staufe-Siemiginowicz. 8°, stron XX+256. Kołomyjki, dumki, szumki, te prawdziwe cacka ludowej ruskiej literatury ustnej, oddane w przekładzie z taką sumiennością, że dorównuje oryginałowi najuzupełniej. W niektórych pieśniach naśladował autor i rym i rytm w sposób bardzo szczęśliwy.

W. M.

Поезіі. Володимір І. Масляк. Том І. Стр. 150. 8°. Краків. 1886. (Poezye *Włodzimierza J. Maślaka.* Tom I.)

Są to istotnie poezye, w najlepszem tego słowa znaczeniu, a poezye małoruskie, więc tęskne, rzewne — jednem słowem dumki. A choć dwie tylko noszą ten tytuł, wszystkie jednak są niemi co do nastroju. Są to poezye co do ducha i treści, co do formy, co do języka.

Miłość, ta sprężyna wszystkich uczuć i namiętności ludzkich, słusznie może być uważaną za duszę poezyi. Nią też i serce autora dumek jest przepełnione, i dlatego tak urocze wylewa piosnki. Bo czyż nie urocza swą miłością ku rodakom jest ta np. modlitwa:

Błogosławi Boże weś lud mij jedynyj
Wkrainu szeroku moju
Wkrainu dałeku, wdowiciu bezdolnu
Sirocku Ruś — Neńku światu.
. . . . . .
Błogosławi Boże — na deń woskresenia
Mij tichyj, mij szczyryj weś lud,
Naj win procwit'jaje, naj win pokryplaje
I serce i duszu i hrud'. (str. 1.)

Albo dumka: „Oj koby to!“

„Oj koby to de dystaty
Tych kryłeć sokoła,
Obletiwby swit szyrokij,
Zemłeńky dowkoła...
Nazbirawby soncia łucziw
Błesku samocwitu
Na obnowu tym chatynam
Sczo w tuman spowyti
. . . . . .
De takoje more
Szczob wodycia z neho wziata
Dała lik na gore
Nisby wodu po krapelci
Meż lud mij izbrannyj.

Rozduwawby tuju rosu
Nemow witer rannyj,
Oj na kożde newełyczke,
Nyzońke wikonce...
Najby smutok prohoniała
Nacze chmaru sonce. (str. 15).

W „Prośbie“ poeta nazywa siebie burlakiem, ale mówi, że jego dola jest, aby się za swój lud zastawiał, aby pomagał zerwać światłem ciemnotę, która ten lud okryła. Żyć dusza pragnie i wszystka krew w żyłach poecie kipi, dla Rusi, dla świętej, dla tego ludu tylko żyć, jemu wieniec dobra zwić, złamać męki jego, to namiętność poety, a dumka jest matką jego prac i władczynią życia.

W innej znów dumce poecie:

„Chciałoby się żyć, by w piersiach ludu
Nadzieję, otuchę zaszczepić,
By ludzkość miłością pociągnąć do trudu
I Boga czynami wielbić. (str. 93).

Pod względem wysokiego nastroju ducha i siły wspaniała jest pieśń „Radbym ja“. To coś jak „Oda do młodości“, tylko w szatę dumki przybrana, a tak ją kończy poeta:

„O Boże mój dobry, tak mię w piersiach pali
By serce pożary trawiły.
Czemuż ciężaru ciała ze mnie nikt nie zwali,
Czemu ja nie mam tej siły
By tam zalecieć w daleki ten świat,
W tajniki przestworów bez miary
I stamtąd wróciwszy na ziemię znieść kwiat
Miłości, nadziei i wiary. (str. 119).

Cennym przymiotem tej miłości, która się w tych piosnkach przejawia, jest to, iż nigdzie się w niej nie odzywa fałszywa nuta nienawiści. Poeta nie należy do tych, którzy nie umieją inaczej wyrazić miłości dla swoich, jak tylko objawiając nienawiść dla drugich.

Co do wewnętrznej, ogólnej treści tych dumek, to jest ona bardzo rozmaita: przeważnie erotyczna, a więc liryczna, ale są też opisy, jest i „Ballada“, chociaż więcej z tytułu, bo treści brak pierwiastka cudowności. Jest i satyra („Dziwak“, „Zgorszona“, „Nowe prawo“), i tragiczność: („Za chlebem“, „Podwójna sława“ i t. p.), nie brak i humoreski („W lasku“, „Wola Boża“, „Tak to lubię“ i t. p.), i nareszcie coś w rodzaju elegii („Inna moda“). Do zalet treści też trzeba zaliczyć tę wielką znajomość Rusi na całem jej obszarze, gdyż od kozaków ukraińskich, aż do ruskich górali karpackich, — i wszystkich jej warstw społecznych, od burłaka aż do arystokratycznego kryłoszanina; z temi wszystkiemi i okolicami i ludźmi można się w tych poezyach spotkać.

Pod względem formy — uderza dziwna swoboda rymu, przy wielkiej akuratności rytmu. Niekiedy dwa wiersze w strofie się rymują, a drugie dwa nie. Czasem w regularnym i stałym rymie jakaś końcówka nie odpowiada poprzedzającej; a jednak to bynajmniej nie razi ucha. Jest to widocznie skutek wielkiej śpiewności i poetyczności samego języka, i sprawia na czytelniku wrażenie pewnej naturalności i swobody. Porównywając zwłaszcza tę tak miłą i łatwą prozodyę z nadzwyczaj trudną i wymagającą francuską, ruskiej przyznać trzeba znakomitą wyższość pod najgłówniejszym względem niekrępowania poetycznej myśli.

Język zaś ruski w tych poezyach występuje w całym blasku swej rodzinnej prostoty i wdzięku. Cała ta niezgrabność, jaką zwykle w nim upatrują zupełnie znika, a pozostaje tylko naturalna delikatność polnego kwiatu. A tak jest malowniczy, że wyrazy zdają się umysłowi podawać nie już ideje, ale same rzeczy konkretne. Ot np.:

„U bany na cerkwi
Dzwinoczok dzwenyt'
I ptaszky stychajut'
I zirka łełyt'...
Diwczatko rusiawe, łelija — kałyna,
Preczystuju Diwu ta Bożoho Syna
Wmoliaje, błahaje — mołytwa łetyt'
Pid nebo weczyrne... dzwinoczok dzwenyt'.
. . . . . .
Dowkoła zełeno,
Nastała wesna,
A maty iz polia
W chatynu wwijszła
Ohoń zapałyła, weczeru zwaryła
I neju ditwory i myża hostyła;
Ditwora mołytwu tycho bubonyt',
A hołos dzwinoczka wiknom homonyt'"!

W czasach tak smutnych dla poezyi jak nasze, kiedy rozmaite pozytywizmy, darwinizmy i socyalizmy amputują skrzydła temu biednemu aniołowi, lub, co gorsza, demonem mu być każą; — pojawienie się takich prawdziwych i serdecznych poezyj, bardzo mile orzeźwia zmęczonego ducha. Jeden tylko, nie tak zarzut, jak żal do autora mieć możemy, tj. że pisząc o ludzie i do ludu tak głęboko religijnego jak Ruski, nie dał temu uczuciu dość żywotności i ciepła, czyli, wyrażając się więcej poetycznie, że ze struny uczuć religijnych nie wydobył dość pełnych i głębokich dźwięków, do zupełnej harmonii z innemi.

Z literatury kalendarzowej. Wszystko się na świecie doskonali, nawet kaledarze tak pod względem literackim, jak pod względem praktycznej użyteczności do coraz większej dochodzą perfekcyi. W przeszłym numerze wspomnieliśmy o pięknym i pierwszym w swoim rodzaju Noworoczniku Biblioteki Rodzinnej. Tym razem pominąć nie możemy bez honorowej wzmianki *Kalendarza Katolickiego*, wydanego staraniem i nakładem „Katolickiej księgarni" Dr. Wład. Miłkowskiego. Przedewszystkiem należy mu się ta honorowa wzmianka dla wielu starannie zebranych, pożytecznych, często niezbędnych informacyj i wiadomości, których gdzieindziej napróżnobyśmy szukali. Na pierwszem miejscu umieszczony dokładny spis kardynałów różnych kongregacyj rzymskich, sekretaryatów, nuncyatur, ambasadorów uwierzytelnionych przy Stolicy Apostolskiej. Dalej następuje spis archidyecezyj i dyecezyj na ziemiach polskich, ich biskupów i członków kapituł katedralnych. Wydawca uważa pięknie a nie bez słuszności Kościół w ziemiach polskich za niepodzielony, i dlatego szereguje wszystkie dyecezye i ich biskupów, seminarya i duchowne akademie nie

wedle mapy politycznej rozbiorami utworzonej, ale jedynie wedle kościelnej hierarchii. Nowością, a nowością nader pożyteczną jest po raz pierwszy ogłoszony dokładny podział całego Krakowa na parafie. „Kto dłużej mieszkał „w Krakowie, pisze Wydawca, komu przychodziło zmieniać kilkakroć mieszka„nie, przekonać się mógł z doświadczenia, jak przykrym, czasem bolesnym „stał się ten brak objaśnienia przynależności do Kościoła parafialnego". Nic prawdziwszego; sami z tego rodzaju skargami nieraz spotkaliśmy się; a obecnie szczerze jesteśmy *Kalendarzowi* wdzięczni, że tym skargom zapobiegł.

W literackiej części zamieścił *Kalendarz: słowo o kapłańskim jubileuszu Leona XIII.* przez Dr. A. *Sasa;* krótką historyę koronacyi cudownego obrazu N. P. *Maryi Kalwaryjskiej* (z wizerunkiem); miły wierszyk: *W Wigilią,* kończący się tak zawsze, a zwłaszcza dziś dla nas potrzebnem upomnieniem: *Miej wiarę i nie trać nadziei;* życiorysy dwóch biskupów przebywających dziś w Krakowie: A. Stanisława *Krasińskiego* i Pawła *Rzewuskiego* (z wizerunkami); parę opowiadań bądź oryginalnych, bądź tłómaczonych, między któremi zwraca uwagę milutka powiastka: *Gdybym miała miliony!* Jak widzimy treść literacka bogata i ze smakiem dobrana, nie ustępuje tak starannie zredagowanej części informacyjnej.

Wreszcie stary *Kalendarz Czecha,* liczący już 57-ą zimę swojej egzystencyi, łączy z konserwatyzmem, odpowiednim jego wiekowi i tradycyom, rozumną postępowość. Tegoroczny jest znowu znacznie powiększony, a powiększony dobremi praktycznemi rzeczami. Dział literacki, jak zawsze doborowy. Piękny wierszyk Szujskiego „Spotkanie", ciekawe zapiski historyczne o gimnazyum św. Anny Dr. Leńka, o zamku Tęczyńskim ks. Dr. Smoczyńskiego, kronika krakowska z roku 1887-go, zapisująca tym razem ważniejsze wypadki, kronika żałobna (szczęśliwie pomyślana innowacya), i t. p. Wreszcie szematyzm krakowski, ten najcenniejszy dział kalendarza Czecha jest znowu w tym roku niektóremi szczegółami wzbogacony. Aby był jeszcze praktyczniejszy życzylibyśmy jeszcze więcej adresów: i tak kiedy podane są adresy urzędników kolejowych, tem bardziej podaneby być mogły adresy adwokatów, budowniczych krakowskich etc. Pod względem formy i elegancyi wydania kalendarz Czecha nic nie pozostawia do życzenia.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Z literatury francuskiej.

Pierwszorzędne znaczenie książek i literatury francuskiej. — Poezya. — Trzy szkoły poetyczne. — Zapiski Wiktora Hugo. — Publikacye historyczne. — Allard: „Histoire des persécutions". — Tolerancya chrześcijan w III. wieku; jej przyczyny według wyjaśnień Allarda; przekształcenie się prześladowania religijnego polityczne. — Dwie książki o niewoli Piusa VII. — Literatura napoleońska: zbyt czarne i zbyt jasne portrety. — Marya Ludwika a królowa Westfalska. — Wspomnienia, pamiętniki, pogadanki, korespondencye.

Choć pogrom Francyi strącił ją z przewodniego stanowiska w równowadze europejskiej, z utratą politycznej przewagi nie po-

zbyła się ona, nie zrzekła wpływowego znaczenia w dziedzinie umysłowości wszechświata. Przoduje po dawnemu na polach nauk ścisłych, sztuk pięknych i międzynarodowego piśmiennictwa. Na skrzydłach języka, który sobie zdobył kosmopolityczną uniwersalność, płody myśli francuskiej w lot obiegają całą kulę ziemską, nie zawsze licząc się z przywiązaną do tak szerokiego zakresu działania odpowiedzialnością. Już przed laty jeden z głębszych myślicieli francuskich powtarzał: *Tout mauvais livre écrit en français est une déclaration de guerre à l'Europe.* Dziś, z ułatwieniem komunikacyi nie samej Europie krzywdę i klęskę zadaje zła książka po francusku napisana. Nie brakuje ich niestety! i w najświeższym okresie literatury, ale wynagrodzenia i okupu nie daleko szukać, tak zawsze obfitym i poważnym bywa plon znaczących, ciekawych i dobrych publikacyj francuskich. W tem mrowisku rozbujałej czynności i rodzajności, nie trudno o ziarnka kadzidła, o najczystszą pszenicę, o najzdrowsze zboże. W doraźnym przeglądzie całorocznego literackiego ruchu i plonu, może nie jedną nową książkę nieumyślnie pominąć nam przyjdzie, trudno bowiem myślą i pamięcią ogarnąć tak obfite żniwo. Będzie to atoli poniewolne opuszczenie, wbrew usilnym staraniom, aby choć w luźnem sprawozdaniu ująć główne tętna bieżącej literatury francuskiej.

Wypadałoby je zacząć od odgłosów poezyi, milknącego za dni naszych języka bogów. I w Francyi nie lepiej się dzieje. Rymopisów wprawdzie zastęp duży, poetów nie widać, natchnienia zabrakło. Forma zwykle wykwintna aż do maniery, treść natomiast pozostaje jałową i ubogą, a taki rodzaj poezyi, właściwej epokom upadku i rozstroju, nie zdolen ani duszy uskrzydlić, ani też ukoić serca. Obecnie rozeznać można we Francyi trzy kierunki, trzy szkoły — jeżeli poezya może w ogóle na podobne rozklasyfikowanie się zgodzić. Osobne grono tworzą poeci natury, tak zwani pejzażyści, którzy nieraz w udatnych wierszach opiewają wiecznie młodą i świeżą przyrodę. Pseudo-klasycy skupiają się w około starego poganina, p. Leconte de Lisle, który niedawno, u wstępu w progi akademii, złożył jaskrawe wyznanie niewiary. Trzecie wreszcie koło tworzą poeci duszy, oczywiście duszy nowożytnej, chorej, znękanej, błądzącej po manowcach. Hetmanem tego odcienia pokrewny Mussetowi Sully Prudhomme. Franciszek Coppée do

żadnego z powyższych oddziałów załączyć się nie da. Talent niezaprzeczony, obecnie chromieć też zaczyna, uganianiem się za potoczną niezwyczajnością. Ogólnie biorąc, plon poetyczny w tym roku dziwnie jest lichy, jedni to zmilknięcie lutni przypisują materyalizmowi epoki, drudzy, może i słusznie utrzymują, iż na nasz okres przypadło rozwielmożnienie się muzyki, kosztem wszelkich innych głosów, z krzywdą pieśni i słowa... Nerwowe usposobienie ludzi spółczesnych, spotęgowana ich wrażliwość i drażliwość łatwo wytłumaczy ową przewagę muzyki, znaczącą dni nasze rozstrojone.

Nim zejdziemy z Parnasu, zatrzymać się należy choć chwilkę przy pośmiertnej książce poety, acz ta jest prostą napisana prozą. Ale proza Wiktora Hugo nie ustępuje jego wierszom, i w niej ukazuje się on stale, jako jeden z pierwszorzędnych mistrzów słowa Francyi. Czciciele zmarłego w późnej sędziwości wieszcza, skwapliwie ogłaszają jego pośmiertną spuściznę, nie zawsze bacząc, azali przysporzą mu przez to chwały. Wątpliwą mianowicie jest rzeczą, czy świeżo wydane zapiski p. t. *Choses vues*, zasługiwały na rozgłos im przez fanatyków poety nadany. Wiktor Hugo miał zwyczaj w osobną tekę składać codzienne notatki z bieżących wrażeń i zdarzeń. Lubownik nadzwyczajnych tytułów, zbiór ten nazywał: *Tas de pierres* „Kupa kamieni“. Rzucane i gromadzone przez pół wieku kamienie urosły w górę, która atoli dziś zaledwie mysz urodziła. Darmo tu bowiem szukać źródłowych wiadomości lub nowych szczegółów. Nowego nic, a fałszywego wiele, niebacznie lub z umysłu wplecionego w dorywcze zapiski, które przedewszystkiem uwydatniają słabości arystokratyczne człowieka, hołdującego na starość demokracyi i pospólstwu. Ten chorąży i trębacz równości dbał dziecinnie o tytuły nobilitarne, choćby sfałszowane, a krytycy udowodnili, iż przyswoiwszy sobie zupełnie samowolnie tytuł *wice-hrabiego*, nie mniej fantastycznie skleił całą legendę szlachecką rodziny, nie mającej żadnego do patrycyatu prawa.

Niemcy dzielą poetów na *subjektywnych i objektywnych*. Szekspir n. p. jest objektywnym, bo darząc swoje kreacye właściwą indywidnalnością, nigdy w nie własnej osobistości nie wciela. Typem skończonym poety subjektywnego pozostanie zawsze Wiktor Hugo. Kogokolwiek on opiewa, zawsze tylko siebie odzwierciedla w piśmie i słowie. Dla tego rozmowy przytoczone w *Choses vues*

tracą na wiarogodności, bo samemże nadużyciem antytezy wskazują dosadnie, że są czysto hugonowskim fabrykatem. Drobiazgowość szczegółów posunięta do ostatnich granic, zwłaszcza w opisywaniu odzieży i stroju ludzi „widzianych“ w tej lub owej okoliczności. Może był to środek wyrycia w pamięci przemijającego wrażenia, za pomocą kroju i barwy surduta, sukni, a nawet krawaty lub chustki do nosa...

Dziedzina publikacyj historycznych zawsze najbujniej się przedstawia. To nowe pojawiają się książki i prace, to dalsze ukazują się tomy rozpoczętych poważnych wydawnictw. Osobno należy się wzmianka trzeciej księdze znakomitego dzieła Pawła Allard: *Histoire des persécutions*. Tom ten obejmuje ostatnie III-go wieku prześladowania, według dokumentów archeologicznych, na których pracę swą opiera uczony autor. Prześladowania chrześcijan w owym okresie naznaczone są jednakową usystematyzowaną i rozważną zawziętością, zmierzającą nietyle do zgładzenia pojedyńczych wyznawców nowej religii, ile do zniszczenia samegoż chrześcijaństwa, którego rosnąca potęga niepokoi despotyczny cezaryzm. Wszelako rdzenne różnice już wtedy biją w oczy, mimo trwającego na pozór niezmienionego ucisku. Namiętności ludowe, zwrócone tak nienawistnie przeciw chrześcijanom w dwóch pierwszych wiekach, teraz stygną widocznie. Jeśli za panowania Antoninów procesa chrześcijan wtedy się tylko trafiały, gdy się znalazł donosiciel, powtarzały się one często, tak zajadłą była niechęć ogółu do nowej wiary. Nieraz nawet rozszalałe pogaństwo w ulicznych zamieszkach rzucało się na chrześcijan i cesarze widzieli się w konieczności miarkowania ludowych namiętności, które zakłócały porządek publiczny. W trzeciem stuleciu stan rzeczy inaczej się przedstawia. Ogół zobojętniał na prześladowanie chrześcijan. Dawny okrzyk: *Christianos ad leones!* z rzadka się już tylko odzywa, chyba w dni klęsk publicznych, gdy lud cierpieniem podrażniony, szuka na kim się zemścić, dobiera sobie ofiar zadośćuczynienia. W zwykłym atoli czasie nie widnieje już dawna zawziętość, owszem, nie rzadko znajdują się objawy współczucia lub uszanowania. Żydzi znieważają i lżą idących na śmierć męczenników, lud rzymski usuwa się i milczy. Prześladowanie przestało być walką między wszystkiemi umysłowemi, moralnemi i społecznemi siłami starego świata z jednej

strony, a świętym uporem i oporem chrześcijan z drugiej. Lud zeszedł z placu boju, zostawiając na nim wyznawców nowej wiary w obec samych tylko władz urzędowych lub powag filozoficznych. Od połowy trzeciego wieku, a mianowicie w ostatnich onego latach, ucisk chrześcijan nie jest już wynikiem uczuć i porywów tłumu: prześladowanie zatraca swój charakter religijny i ludowy, aby przybrać cechy wyłącznie polityczne.

Stąd też zmienia się gruntownie prawodawstwo dotyczące chrześcijan. Nie potrzeba już donosicieli, aby akcyę przeciw nim rozpocząć. Edykt cesarski urzędowo zagaja nowe prześladowanie, ogłasza wyznawców Chrystusa wrogami państwa. Z urzędu tedy trybunały swemi wyrokami dosięgają chrześcijan, nie czekając na świadectwa niepotrzebnych odtąd delatorów i oskarżycieli. Samże ustrój państwowy rzymskiego cesarstwa nie cierpiał w swem łonie innych religij jak te, które był upoważnił. Chrystyanizm aż do edyktu Medyolańskiego nie mógł się dobić tytułu: *religio licita;* owszem, pozostawał wciąż w rzędzie wyznań wzbronionych: *religio vetita.* Skądże więc owe okresy względnego pokoju, którymi od czasu do czasu cieszył się Kościół? Oto tłumaczenie, jakiego nam udziela p. Allard. Wiadomo jakiem poważaniem w starym Rzymie otaczano związki pogrzebowe, t. zw. *Collegia funeraticia.* Pod pozorem takich związków gmina chrześcijańska osłaniała byt swój i cmentarzyska. Otóż targnięcie się na szanowane powszechnie stowarzyszenia byłoby nieraz wywołało oburzenie i wzburzenie umysłów. W zwykłym zaś czasie, rządy cesarskie wzdrygały się przed niepotrzebnem drażnieniem tłumów. Stąd bywały epoki, w których władze rzymskie, zamykając oczy na wyznanie, widziały w gminie chrześcijańskiej tylko *collegium funeraticum,* korporacyę, nie religię. Bywał to poniekąd *modus vivendi,* nie ustępujący nic z zasad, do czasu miecz w pochwie zostawiając. Polityka dzisiejsza zna owe półśrodki i pozorne załatwiania w gruncie istniejących sporów. Wystarczała atoli najmniejsza zmiana w usposobieniu panującego, aby rozwiać warunki złudnego pokoju. Odrazu spostrzegano się wtedy, iż chrześcijanie nie tworzyli wyłącznie stowarzyszenia wzajemnej pomocy. Cóż gotujecie przeciw państwu pod pozorem religii? pytano ich, doraźnie upatrując w tolerowanym przez pewien czas związku pogrzebowym, taran niebezpieczny, przeciw istniejąa-

cemu rządowi zwrócony. Ludzie, którym chodziło jedynie o swobodne rozdawanie jałmużn, oraz wolność sumienia i modlitwy, w urzędowym języku nazwani byli nieprzyjacielami społeczeństwa, ojczyzny i rodu ludzkiego, a pobożne ich zbory piętnowano mianem spisków.

Początek nowego tomu dzieła p. Allard'a nawiązuje się do końca ostatniego. Wizerunek Decyusza, ciemięzcy chrześcijan, zamykał tom drugi: typ to zakutego Rzymianina na starą modłę, przeprowadzającego upornie reakcyę społeczną i religijną, która była jego ideałem. Innym był Waleryan, zrazu chrześcijanom przychylny, później ulegający zabobonnym obawom słabego umysłu, a nareszcie chciwy dostatków, których w ubogim kościele się domyśla i zagarnąć pragnie. Jeśli za Waleryana trafiają się odstępstwa, są to wyjątkowe upadki, nie widać onych hurtownych apostazyj, które zasmucały Kościół za czasów Decyuszowego ucisku. Ale bo w roku 250 prześladowanie następujące po przydłuższym pokoju, zdybało chrześcijan nieprzygotowanych, niby żołnierzy uśpionych w obozie; w r. 257 zastanie ich uzbrojonych na nowe zapasy, zahartowanych niedawną próbą i gotowych mężnie potykać się w arenie.

To przekształcenie się religijnego prześladowania na polityczne stanowi treść nowego tomu wyczerpującej *Histoire des persécutions* p. Allarda. Rozpoznajemy pierwotny kształt wszystkich późniejszych *kulturkampfów*. Niniejszy tom doprowadza nas do wstąpienia Dyoklecyana na tron Cezarów. Świt lepszych czasów jeszcze krwawy, lecz już widoczny, i ostateczny tryumf Kościoła się zbliża.

Ale żadna epoka bez ucisku, bez walki, bez męczenników się nie ostanie w rocznikach wojującego Kościoła. Szesnaście wieków rozdziela XIX. wiek od III., a i nasze stulecie od samegoż początku ma swe osobne martyrologium, w którem zapisani i następcy św. Piotra. Odkrycie nowych dokumentów i źródeł pozwoliły lepiej zbadać dzieje uwięzienia Piusa VII w Savonie. Hrabia Mayol de Luppé i p. H. Chotard, każdy w osobnej pracy dorzucili pęk światła do aureoli wieńczącej tego namiestnika Chrystusowego w samotnej i bolesnej jego kaźni. Trzeba rozczytywać się w szczegółach, aby zmierzyć całą zgrozę jego położenia, całe okrucieństwo bezwzględne owego cesarskiego orła, *aquila rapax* — wedle Malachia

szowej przepowiedni, który wyżerał mu serce codziennym, wyczerpującym siły uciskiem. Cóż wspanialszego nad opór słabego starca wśród ogólnego ukorzenia, i upokorzenia całego świata! A zarazem jak zdumiewające sprawia wrażenie nieprzerwalność rządów katolickiego świata, z po za krat i wart i straży policyjnych! Stłumiony głos papieża rozchodzi się daleko, oryentuje sumienia, uczy, kieruje i zawsze się znajduje jakaś ukryta, uboga, nieraz i maluczka sprężyna, która rady, rozkazy i orzeczenia Piotrowego następcy wyniesie i rozniesie. Ale ilekroć się ujawni jaki nowy dowód tej nieprzerwalności rządów Kościoła, cezar nowy i jego narzędzia mszczą się surowszem z jeńcem obchodzeniem. Nie mogąc złamać ducha, posuwają się aż do łamania ciała, w nadziei, że wtedy duch ubezwładniony oporu zaniecha. Pod koniec przydłuższego więzienia Pius VII. zapadał niekiedy w jakąś senną nieprzytomność, stwierdzający domysł coraz bardziej usprawiedliwiony i upewniony, że go stopniowo zatruwano morfiną.

Akta męczeńskie uwięzionego papieża jak wraz przysposabiają czytelnika do przeczytania i przyjęcia wizerunku Napoleona, świeżo nakreślonego, a raczej jaskrawo namalowanego przez historyka rewolucyi, p. Taine. Niezawodnie musiało być coś potwornego, nieludzkiego, bodaj i nadludzko szatańskiego w charakterze olbrzyma; atoli nowy jego portrecista przesadził pono w jednostronności samychże ciemnych barw i rysów. Studyowanie zbrodni i szałów rewolucyi przyuczyło Taine'a do posługiwania się samemi superlatywami, skrajnemi i jaskrawemi wyrażeniami; upoił się własnym stylem, i już nie zdolen ocenić przesady słowa, nawet kiedy chciałby unikać przesady zdania. Nie zmniejszył przeto postaci i legendy napoleońskiej, choć miał tego zamiar widoczny; przyznał mu owszem jakąś anormalną, rozkielznaną, lucyperową siłę i potęgę, i mnóstwem w nieładzie przytoczonych szczegółów uwydatnił raczej ponure fatum uosobione w tym nowym biczu Bożym, przez Opatrzność zesłanym, aby świat zepsuty przeorać krwawo żelaznym pługiem wojny. Obóz Bonapartystów srodze się oburzył na bezwzględność wydanego sądu. Książe Napoleon sam podjął się obrony postaci idei i tradycyi napoleońskiej. Książka jego p. t.: *Napoléon et ses détracteurs*, zarzuca Tainowi korzystanie z mętnych źródeł, pominięcie wojennej strony i chwały nowego Cezara, nareszcie wadli-

wość metody, nie zdolnej szerszych objąć rysów, ogarnąć dziejową wielkość, bo na to potrzeba mieć duszę, a materyalista jej istnienia zaprzecza, i z drobiazgowością entomologa przykłada szkiełko badawcze i nóż anatoma do ciała, nie zaś do ducha historyi. Cokolwiek bądź, z tego ostatniego zdań starcia nie trysnęła rozstrzygająca iskra prawdy. Z obu stron rzecz nie dość bezstronnie, nie dość objektywnie traktowana. Jednemu postać Napoleona służy za taran do rozbicia rewolucyi, której był synem, dla drugiego stanowi ona sztandar cezaryzmu, wywieszony bodaj w osobistych, ambitnych widokach. A tymczasem pełny, podobny i prawdziwy wizerunek Napoleona jeszcze pozostaje do zrobienia, że zaś wciąż przybywa materyału z wyłaniających się materyałów, które się dotąd po prywatnych i państwowych kryły archiwach, zadanie to z każdym rokiem przystępniejszem i możliwszem się staje, choć nigdy łatwem nie będzie.

W istocie zdawałoby się, iż pewien prąd tajemny głównie powiał w stronę pierwszego cesarstwa, mnożąc odnośne wydawnictwa, które się wzajemnie uzupełniają lub uwydatniają. Jednocześnie ukazała się w Wiedniu korespondencya Maryi Ludwiki, w Sztutgardzie listy księżniczki Katarzyny Wirtembergskiej, małżonki króla westfalskiego Hieronima. Wyższość teraz tej ostatniej jeszcze bardziej promienieje w świetle niezaszczytnych dla żony Napoleona porównań. Księżniczka wirtemberska, podobnie jak arcyksiężna austryacka, miała zawrzeć związek koniecznością polityczną nakazany. Było to po spisanym w Tylży pokoju. Upokorzony król Frydryk nie wiedział jak córce przedstawić nie miłe jej i sobie projekta; księżniczka Katarzyna odgadła jego zakłopotanie, zrozumiała trudności położenia, i z właściwem swemu charakterowi poświęceniem okazała ojcu chętną gotowość przystania na wszystko. Poświęcenie to i słodka uległość hasłem być miały całego jej życia. Ujęta niemal ojcowską dobrocią Napoleona, przywiązała się gorąco do nowych swych stosunków, pokochała nawet szczerze przeznaczonego sobie męża, owego najpospolitszego z Bonapartych. Gdy słońce powodzenia nad cesarzem zagasło, a upadek głowy rodziny pociągnął za sobą ogólną katastrofę, król wirtembergski ofiarował córce schronienie, oczywiście kosztem rozwodu. Odmówiła, szlachetnej ojcu udzielając odpowiedzi: „Nie opuszczę małżonka, którego mi

dałeś, gdy miał tron i koronę. Dzieliłam jego powodzenia, dzielić będę i nieszczęścia".

Gdy Marya Ludwika po upadku Napoleona, sama wróciła do Wiednia, babka jej, królowa obojga Sycylii, która więcej niż ktokolwiek miała prawo nienawidzieć cesarza i cieszyć się jego pogromem, powtarzała, iż wnuczce nie pozostaje nic innego, jak na prześcieradłach spuścić się z okien Burgu, i potajemnie do męża pospieszyć. Marya Ludwika takiej wielkoduszności nie zaznała.

Nieraz igraszki losu wywodzą na wyższe stanowisko istoty, których mierność uwydatnia się tragicznością przeznaczeń, a pospolitość nigdy nad poziom się nie wzniesie, ani w obcowaniu i społeczności z geniuszem, ani w okolicznościach iście epicznych. O ile listy królowej Westfalskiej są barwne i zajmujące, odźwierciedlając po szczególe wielką bądź co bądź dziejów epokę, o tyle korespondencya Maryi Ludwiki jest czczą, dziecinną, drobiazgową. Typ to skończonej dobrze wymustrowanej grzecznej lalki, wyuczonej kilku języków, muzyki, rysunku — i rozsądku — tłumiącego nawet serce, nawet pamięć. Żaden powiew wielkości ani ofiary nie przebiega tych kart potocznych i poufnych. Kochała Napoleona — dopóki go widziała, poszła za niego chętnie, wesoło, wcale nie w jakiej wyższej myśli okupienia pokoju świata. Kazali jej później o nim zapomnieć — i zapomniała, tak zupełnie, tak stanowczo, że i świat jednaką wypłacił jej się monetą, i gdy w r. 1847 umarła, nie wiedziano już nawet, że oblubienica Cezara dotąd w ustronnem państewku Lukki panowała i żyła.

Świeżo wydany pamiętnik hr. Falloux uzupełnia obraz tej płytkiej istoty, która w zacieśnionych i niższych warunkach życia znajdowała się w właściwszym żywiole, aniżeli gdy zasiadała na tronie świata. Poślubiwszy z kolei dwóch ochmistrzów dworu swego, hr. Niepperga i hr. de Bombelles, Marya Ludwika wiodła w Lucce spokojne dni zapomnienia. Nigdy jej myśl ni rozmowa nie błąkały się w stronę świetnych życia początków, żaden portret Napoleona, żaden wizerunek księcia Reichstadt'u nie zdobił komnat pałacu. Było coś wstrętnego w tej niepamięci tak łatwo zdobytej, nie wywalczonej, lecz przyjętej i wyrozumowanej.

Hrabia Falloux w swych pamiętnikach przeważnie bliższe omawia czasy, a zwłaszcza z gorącem uczuciem opisuje zbudzenie

religijne młodzieży po r. 1831, pod wpływem wymowy O. Lacordair'a i Montalembert'a, a bardziej jeszcze za pomocą czynnego miłosierdzia, zszeregowanego w konferencyach św. Wincentego. Zacność piszącego dodaje wartości jego świadectwom, a mnóstwem szczegółów, rysów, anegdot, pamiętnik ten należy do najbarwniejszych tego rodzaju publikacyj. A namnożyło się ich co nie miara w ostatnim roku! Uboższa w myśli epoka chętnie się karmi spuścizną poprzedniego okresu, chętnie w przeszłość znużone teraźniejszością zawraca oko. Po pamiętnikach księcia de Broglie, sięgających pierwszego cesarstwa, aby następnie dać nam genezę głośnej za Ludwika Filipa szkoły politycznej t. zw. doktrynerów, po miłem opowiadaniu z lat młodych hr. Haussonville, otrzymaliśmy zapiski p. Ernesta Legouvé p. t.: *Soixante ans de souvenirs.* Pogadanka to o ludziach i rzeczach wchodzących przeważnie w zakres sztuki. Autor dramatyczny, miłośnik śpiewu i muzyki, przedewszystkiem nas zapoznaje z artystami, których znał bliżej i częściej widywał. A ci znajomi i przyjaciele nazywali się Rubini, Lablache, Malibran, Rachel, Berlioz i t. p. Własne doświadczenia, ewolucye smaku i mody, wszystko to misternie opisane, ślicznym językiem i stylem, co w dzisiejszych czasach zaniedbania formy, na osobne zasługuje uznanie. Pod koniec roku obfity ten dział pamiętnikowy urósł jeszcze wspomnieniami sławnego ministra restauracyi, p. de Villèle, i czterdziestoletniemi zapiskami Lesseps'a, który, odkąd został akademikiem z łaski Suezu i Panamy, snać chce i piórem to nowe dostojeństwo zatwierdzić.

Dla nas osobne znaczenie mają pamiętniki ks. Adama Czartoryskiego, oraz jego korespondencya, w francuskiem wydaniu świeżo ogłoszona. Nie jest to wprawdzie nowość dla polskich czytelników: Bronisław Zaleski wyzyskał pamiętniki w swym żywocie ks. Adama, korespondencyą z cesarzem Aleksandrem p. de Mazade już przed dwudziestoma pono wydał był laty. Obecna całość zwróciła uwagę i przychylność poważniejszych czytelników i krytyków francuskich, uwydatniając raz więcej jednolitość haseł i ofiarności w tem wspaniałem życiu, które mimo bolesnych odmian losu, tak harmonijnie nie zboczyło nigdy od wytkniętych sobie w młodości torów i celów szlachetnych.

Pełne wydanie korespondencyi hrabiego Józefa de Maistre ma

także pamiętnikowy charakter, odbiciem życia i duszy tego znakomitego myśliciela. Listy jego do dzieci własnych, pisane podczas przydłuższego rozłączenia, stawiają go w rzędzie najznakomitszych wychowawców, a obok głębokich poglądów iskrzą się dowcipem. Bywają nie doszłe w historyi spotkania, których nigdy dość o dżałować nie zdołamy. I tak z korespondencyi de Maistre'a ujawnia się gorące jego życzenie, aby poselstwo petersburskie zamienić na paryskie, i spojrzeć oko w oko wielkiemu nieprzyjacielowi dawnego ustroju Europy — Napoleonowi. Intrygi dworu sardyńskiego nie dopuściły tego zetknięcia, które może byłoby za sobą ważne pociągnęło następstwa, bo zaiste, tak genialny przeciwnik rewolucyi, jakim był de Maistre, godzien był i zdolen prawdę powiedzieć spadkobiercy onegoż przewrotu. Kto wie, na jakie tory „słowo w dobrej powiedziane chwili" byłoby pchnęło rydwan losów?...

Korespondencya hr. de Maistr'a zawiera takie skarby myśli, uczucia, zdrowych zasad i poglądów szerokich, iż powinnaby zająć miejsce poczesne w każdym domu, w każdej bibliotece, jako podręcznik życia, obok tych kilku nie licznych książek, stanowiących podwaliny moralnego pokarmu i potrzeb, które się wiecznie odczytuje, a zawsze z pożytkiem i rozkoszą.

Pamiętniki żony Chateaubriand'a i obszerniejszy pamiętnik o pani de Lamartine, dają nam poznać dwie niezwykłe postacie niewieście, zgaszone blaskiem małżonków. Poeci zwykli kochać i opiewać żony bliźniego, o swoje mało dbając. Chateaubriand ani za życia, ani w zagrobowych zwierzeniach nie był sprawiedliwym dla towarzyszki swej, osoby wcale niepospolitej, która dotąd żyje w rocznikach miłosierdzia Francyi, a w pamiętnikach przedstawia się sympatycznie. Kochanek Elwiry znalazł w żonie istną muzę, która talentem i rozumem ścigała go na wyżynach i opromieniała mu życie pięknem. Ocenił ją i kochał, ale nie opiewał, a może potrzebniejszą od muzy w kłopotach majątkowych i finansowym nieładzie, który zatrul mu drugą życia połowę, byłaby mu rządna, pospolitsza i bardziej po ziemi stąpająca małżonka.

Czy w tak podniosłem towarzystwie godzi się wspomnieć nazwisko rewolucyonisty Clusereta? ale i on wstępuje w dziedzinę literacką z pamiętnikowym zwojem, w którym przywódzca anarchistów lży niemiłosiernie spólników rozboju i rozpusty, niepodej-

rzanem o stronniczość piórem, kreśląc wizerunki głównych sprawców komuny, które wypadają strasznie, obraz rozkielznania najniższych chęci i skłonności: *C'étaient tous des jouisseurs*, pisze po krótce bez ogródki *jenerał* hord, które próbowały zniszczyć Paryż.

Naprzeciw tych *jouisseurów* warto postawić piękne dwie postacie, przedwcześnie pracą stargane. W Karolu Graux poznajemy duchowne powinowactwo z świeżo u nas zmarłym a nieodżałowanym Drze Hanuszu. Ta sama u obu żelazna pracowitość, ta sama cześć dla nauki, jednaka skromność i prostota, obrany nawet kierunek podobny, bo w zakresie filologii rozwinięty. P. t. *Mélanges Graux*, uczeni wszelkich narodowości złożyli hołd pamięci młodego uczonego, splatając go z prac różnej treści, na których czele postawiono pełną rzewnej doniosłości biografię trzydziestoletniego młodzieńca, któremu krótkie życie starczyło na zostawienie po sobie obfitego plonu pracy i trwałej pamięci. Grousset jeszcze wcześniej odszedł, skromniejszą miał sławę, szczuplejszą spuściznę, atoli w jego *Oeuvres posthumes*, podobnież nie brak głębszej nauki archeologicznej, zwłaszcza w dziedzinie starożytności chrześcijańskiej, a snopek pogrobowych poezyj wonniejszym jest od wielu głośniejszych spółczesnych pieśni. I Graux i Bené Grousset przedstawiają ów dodatni typ ideału człowieka, jakim bywają Francuzi, kiedy się ich przyrodzone zalety narodowe na gruncie szczerze katolickim rozwiną.

Na dwóch tych wdzięcznych postaciach, tak korzystnie odbijających od zbyt wielu swych towarzyszów, zakończamy tą razą ten z natury rzeczy niedokładny przegląd francuskiej literatury przeszłorocznej, choć ostrzegamy, że nawet dział historyczny jeszcze nie skończony. Nie nasza w tem, ale *Przeglądu* wina — wina, co prawda, wspólna z wielu innemi czasopismami — że zbyt skąpe miejsce wyznacza swym współpracownikom, i to zmusza ich do dzielenia przedmiotu, który w jednym numerze podany lepiejby się podobno przedstawił i lepsze o całości dał wyobrażenie. Ale próżne to żale! Radzi nie radzi odkładamy dokończenie naszego sprawozdania do jednego z najbliższych zeszytów.

M.

Z pism czasowych.

Przegląd Polski mieści na czele styczniowego numeru artykuł p. Tarnowskiego, który cała Polska powinnaby nietylko przeczytać, ale przemedytować. Takiego wyjaśnienia rządów Leona XIII., spokojnego, trzeźwego, przejrzystego, skreślonego z tej wyżyny, na którą tylko chrześcijański historyk wspiąć się może — było nam potrzeba. I oto je mamy.

Po krótkim, z wdziękiem literackim skreślonym życiorysie Leona aż do jego wstąpienia na tron papieski, autor wchodzi śmiało i szczerze w jego rządy i politykę; żadnej, by też najtrudniejszej i najdrażliwszej kwestyi nie pomija; nie sądzi Papieża bo, jak słusznie mówi, nikomu w świecie to prawo nie przysługuje, ale przekłada fakta w rzeczywistem obramieniu ich okoliczności i motywów — i czytelnik najuprzedzeńszy się dziwi, jak się wszystko po prostu i racyonalnie tłumaczy, jak Leon XIII. w każdej okoliczności powodował się dobrem dusz i Kościoła, jak kierował się zawsze w wyborze dróg i środków niepospolitą roztropnością, jak osięgał rezultaty takie, jakie były do osiągnięcia. Autor nie wmawia w siebie, ani w czytelnika, żeby wszystko, co Leon XIII. zrobił i robi, miało mieć jakąś cudowną, niechybną skuteczność; uznaje, że korzyści jakie się odniosło kosztowały drogo, że na wielu punktach można się słusznie obawiać jeszcze gorszych następstw — ale pokazuje, że gdyby Papież nie był obrał tych dróg, gdyby nie był użył tych środków, niebezpieczeństwa groziły jeszcze bliższe, następstwa byłyby jeszcze gorsze. Słowem Leon XIII. w całych rządach swoich okazuje się „człowiekiem niezwykłej miary". Ale wielu wymaga właśnie, żeby Papież nie był człowiekiem. Nietylko wierzący, ale nawet ci, co wszelki element nadnaturalny odrzucają, dziwną niekonsekwencyą chcieliby, żeby Papież był aniołem, z mocą cudów w ręku, i żeby jakimś nadludzkim sposobem rządził Kościołem. Otóż Opatrzność Boska tego nie chciała, i w tem właśnie okazuje się jej cudowność, że olbrzymie brzemie urzędu papieskiego kładzie na prostego człowieka i przez ludzkie środki i rozumy kieruje zwycięzko Kościołem.

Po takim przeglądzie rządów i dyplomacyi Leona XIII. autor przedstawia nam jego działalność nauczycielską. Prócz obrony materyalnych warunków bytu i praw Kościoła, przypadała Papieżowi „obrona Kościoła w każdym umyśle, w każdem sumieniu z osobna, wprowadzenie na nowo jego zasad i nauk w świadomość, w krew i szpik kości naszych społeczeństw... To druga połowa dzieła, i ta w której Leon XIII. okazuje się może większym niż w pierwszej". Tu przechodzi autor po kolei wspaniałe encykliki Leona XIII. i pokazuje, jak się z nich buduje jednolity całokształt nauki, której wiek XIX. potrzebował: o filozofii i o historyi, o kwestyi socyalnej i o małżeństwie, o ustroju państwa i o boskiej konstytucyi Kościoła. A prócz tego kompleksu wielkich zasad, encykliki do pojedyńczych narodów, do Francyi, do Węgier, do Niemiec i t. d., wskazują z taktem i wyrozumiałością, ale i ze stanowczością, jak te zasady mają być do czasów i miejsc stosowane.

Kończąc ten obraz najwyższego pasterstwa Leona XIII. i towarzyszącego mu odrodzenia się Kościoła, autor stawia sobie pytanie: „jakie jest w tych okolicznościach naszego narodu stanowisko i obowiązek"? Konstatuje zgodnie z prawdą, „że ku religijnemu odrodzeniu i u nas zrobił się krok znaczny". W warstwie oświeconej choć liczebnie jest mniej wiary i pobożności niż było dawniej, zdarza się za to „nowość dawno niewidziana: katolickie wykształcenie, znajomość religii i wyrobiona jej świadomość, uczucie wzmocnione przekonaniem". Wszelako nie powinniśmy sobie robić iluzyi, bo nam wiele niedostaje, i w powszechnym ruchu odrodzenia katolickiego jesteśmy zacofani. Z zewnątrz grozi nam, a w wielu miejscach już dosięga, religijne prześladowanie; wewnątrz toczy się i u nas jak wszędzie walka z Kościołem, choć miarkuje się w swych zapędach i w formach, przez wzgląd na uczucia narodowe. Otóż w obec tych niebezpieczeństw zachowujemy się zbyt biernie i leniwo; brak u nas czujności i pilności, brak energii w obronie naszej wiary, zasad i przekonań. „Dozwalamy spokojnie i leniwo, żeby zewnętrzne „niebezpieczeństwa rosły, nie bacząc na to, że one przygotowują „nas pomału i nieznacznie, ale niewątpliwie, do zupełnej niezdol„ności oporu w razie prześladowania".

Brak nam następnie „zgodności między teoryą a praktyką, wyznaniem a postępowaniem". Tu przedewszystkiem nawołuje autor,

„aby młodzież lepiej w tej mierze kształcić, niż się wykształciło obecne pokolenie: „żeby dzieci nie rosły w tem wrażeniu i wyobrażeniu, „że co katolickie, to gorsze; że książka naukowa napisana w duchu „katolickim musi być tendencyjna i przekręcona; że teraźniejszości „dobro i postęp reprezentują przeciwnicy Kościoła; że w przeszłości „sprawę dobrą mieli znowu zawsze oni, a nie Kościół... Na ta„kich przesądach chowały się całe pokolenia i tak nimi przesiąkły, „że dziś trudno nam wypocić tego merkuryuszu, czy jodu. Otóż mło„dych trzeba zawczasu od nich chronić i domowym wpływem wy„chowania i dostarczanych książek ten wpływ uprzedzać, a ten „przesąd zwalczać".

Po drugie, w imieniu tejże konsekwencyi w katolicyzmie żąda autor większego doboru w tem co się u nas czyta. Słusznie mówi, że mamy tu w ręku walny środek do tamowania złych wpływów, a sami im pomagamy, czytając, a bodaj i szerząc, książki i pisma szkodliwe; „póki nas nie spłoszy grube bluźnierstwo, zamykamy „oczy na małe, jak mówimy, zboczenia w dążnościach autora lub „redaktora; zupełnie tak, jak żeby w ogrodzie bać się większych „zwierząt, które mogą złamać drzewo, a nie mieć za złe myszy, „które podgryzają korzenie".

Po trzecie, kreśląc w głównych rysach żywotność i działalność katolików innych krajów, wzywa nas autor, żebyśmy choć na małe rozmiary brali udział w tem życiu i w tych dziełach, żebyśmy się nie uchylali od powszechnych zjazdów katolickich, żebyśmy osobliwie przy tym jubileuszu zdobyli się na świętopietrze i na pielgrzymkę do stolicy świętej taką, na jaką nas tylko stać.

Kończy się ten artykuł rzutem oka na zagadkową przyszłość świata, który się w tej chwili w coś niewiadomego przeobraża — i rzewnem wspomnieniem o Łokietku, który „wydziedziczony „i prześladowany, poszedł na pierwszy jubileusz w r. 1300... a po„tem mu jakoś Bóg poszczęścił"...

Każde powiedzenie prawdy jest przysługą dla społeczeństwa, ale wypowiedzenie prawd tak doniosłych, w chwili kiedy są tak potrzebne, i w sposób tak głęboki a serdeczny, jest prawdziwem dla kraju dobrodziejstwem.

Po tym artykule Przeglądu Polskiego jakżeż liche i przykre robi wrażenie artykuł *N. Reformy* równocześnie, tj. 3 stycznia na czele gazety umieszczony. W chwili, kiedy cały świat oddawał najwyższy hołd Ojcu św., N. Reforma nic innego do powiedzenia nie znalazła, jak powtarzać wciąż jedne i te same narzekania na „politykę utilitarną papieża". Na 3 saś stronnicy telegram (oczywiście prywatny telegram N. Reformy), donoszący o „krzykach i demonstracyach politycznych" w czasie mszy papieskiej, o „strasznym, z niebezpieczeństwem życia połączonym ścisku, który spowodował wiele wypadków nieszczęśliwych", o „iluminacyi, która słabo wypadła" — i to w chwili, kiedy już cały świat wiedział, i same liberalne gazety doniosły, że uroczystość papieska odbyła się z wspaniałym porządkiem, pokojem i entuzyazmem. Reforma źle wybrała chwilę. Niechże za pokutę przeczyta artykuł p. Tarnowskiego o „utilitarnej polityce" Papieża, i „opis jubileuszu papieskiego" w niniejszym numerze *Przeglądu Powszechnego*.

Kuryer Krakowski zamieścił pod końcem zeszłego roku, od 24 do 30 grudnia szereg ciekawych i ważnych artykułów z podpisem „Jasieńczyk" o stosunkach narodowościowych w królestwie Polskiem. Autor zna widocznie grunt i fakta doskonale, nie poprzestaje na powierzchownych utyskiwaniach, ale podgląda życie społeczne, wprowadza do szkoły i chaty, do dworu i do plebanii, wytyka socyalne rezultaty, chce nie tylko rodaków dokładnie o losach królestwa uwiadomić, ale też „niezależnych Rosyan", którzy w najlepszej wierze prawią o „złotym moście", poinformować o prawdziwym stanie rzeczy. Nie ma wątpliwości, że jestto ważne i potrzebne zadanie. Prawda nie może się przebić ani w prasie kongresówki, ani w rosyjskiej, dla rozmaitych powodów, — w tutejszej zaś prasie wylewa się zwykle tylko nadmiar uczuć, tam hamowanych. „Stąd „nic dziwnego, mówi autor, że w szpaltach tych bezstronnego sądu „znaleść nie można, że w nich więcej wykrzykników, aniżeli faktów, „że w niejednem znajdzie się przesada, i że ostatecznie korespon-„dencye te przedostawszy się w tłumaczeniu do dzienników rosyj-„skich znowu nic nie wyświetlają, tylko jątrzą czytelników rosyj-„skich. Istny *circulus vitiosus*".

Autor więc tych artykułów, podejmując takie przedmiotowe omówienie i zestawienie rzeczy, rzetelną położył zasługę; skoro jednak pisze dla tych co nie znają tych stosunków z bliska, i nawet dla obcych, których nic nie boli, byłoby do życzenia, żeby pisał jeszcze bardziej szczegółowo, konkretnie i spokojnie.

Warszawskie ***Kłosy*** zyskały, jak wiadomo, bardzo wiele pod nową redakcyą. Tem śmielej przypuścić możemy, że chyba przez pomyłkę zakradła się do konserwatywnego pisma reklama dla płodu zgrzybiałych lat autora *Życia Jezusa*. W numerze z 29 grudnia minionego roku w artykule „Kronika powszechna“ podpisanym przez pseudonim *Starża*, czytamy następującą notatkę:

„Wielkie obudziła zajęcie *Historya Izraela*, którą ostatnimi „czasy ogłosił Ernest Renan. Sięga on do skarbnicy swej erudycyi, „i doprowadziwszy po trzydziestoletniej pracy do końca gmach „rozwoju chrystyanizmu, daje nam obecnie jego przedsionek, roz„twiera wiodące do niego propilee“.

Przypuścić oczywiście musimy, że p. Starża nie wiedział kim jest Renan i jaki kierunek jego dzieł, inaczej zamiast powiedzieć, że Renan buduje 30-letnią swą pracą gmach chrystyanizmu, byłby chyba powiedział, że 30-letnią pracą burzy chrystyanizm aż do ostatnich podwalin.

Podobne reklamy dla *Historyi Izraela* odezwały się równocześnie w różnych pismach, najrozmaitszych odcieni; to daje do myślenia, że podobna agitacya na wielkie rozmiary, jaka przed 20-stu laty wprowadziła w świat *Życie Jezusa*, i teraz się powtarza. To też konserwatywne i chrześcijańskie redakcye powinnyby się mieć na baczności, żeby im nie podsunięto złego towaru.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Obchód jubileuszu papieskiego.

Uroczystości jubileuszowe w Austryi. — Adres uniwersytetu krakowskiego. — Wiece jubileuszowe w Niemczech. — Mowa Windthorsta. — Msza papieska u św. Piotra. — Otwarcie wystawy watykańskiej. — Hołdy królów i ludów. — Pielgrzymki. — Mowa Ojca św. do pielgrzymów włoskich. — Prasa zagraniczna o jubileuszu i jego znaczeniu. — Prasa włoska. — Nieudane kontrmanifestacye. — Złożenie z urzędu syndyka Rzymu, księcia Torlonii.

Spodziewano się i wiedziano już od roku, że uroczystości spowodowane pięćdziesięcioletnim jubileuszem kapłańskim Leona XIII. będą prawdziwie katolickie: powszechne, wspaniałe, szczerą miłością natchnione; a jednak obchód tego jubileuszu w całym katolickim świecie przewyższył najśmielsze nawet nadzieje. Hymn miłości i czci dla Papiestwa i Papieża, jak pięknie wyraziło się jedno z pism katolickich, rósł z dnia na dzień, ogarniał coraz inne kraje, aż wreszcie w ubiegłych dopiero co tygodniach, dotarłszy do ostatnich zakątków ziemi, rozbrzmiał tak donośnie, uroczyście a rzewnie zarazem, że zdawało się, jakby się zmienił w jakąś zapowiedź czy przedsmak obiecanego, a daj Boże bliskiego tryumfu Kościoła. Niepodobna dzisiaj skreślić dokładnego obrazu katolickich tych uroczystości: tem trudniej jeszcze ująć w harmonijną całość wrażenie, jakie uroczystości te, manifestacye i hołdy w całym świecie wywołały; nie kusząc się więc i tym razem o zamknięcie w zbyt ciasnych ramach olbrzymiego katolickiego ruchu, obejmującego świat cały, a który w Rzymie i w rzymskich uro-

czystościach najświetniej się uwydatnił; zadowolnijmy się kilku rysami, kilku szczegółami, mogącymi dać o całości jakiekolwiek przynajmniej wyobrażenie.

Austrya, najbardziej dziś może katolickie mocarstwo, powinna była w wielkiej tej międzynarodowej manifestacyi zająć jedno z pierwszych miejsc i rzeczywiście je zajęła. W solennych nabożeństwach odprawianych w dzień Nowego Roku po wszystkich katedrach i kościołach, wzięły urzędowo udział władze cywilne i wojskowe. Olbrzymi tum św. Szczepana we Wiedniu pomieścić nie mógł dygnitarzów, urzędników, generałów, członków najwyższej arystokracyi; ministeryum stanęło niemal w komplecie; oddział wojska w pełnej paradzie tworzył szpaler od bram katery aż do presbiteryum. Tego samego jeszcze i następnego dnia podążyli wszyscy wyżsi dostojnicy kościelni, dworscy i państwowi, ministrowie, arcyksiążęta, następca tronu z arcyksiężną Stefanią, obecni we Wiedniu ambasadorowie, między innymi perski, rosyjski, angielski, do pałacu nuncyatury złożyć swe życzenia Papieżowi na ręce nuncyusza Galimbertiego. Nie tylko większe miasta, ale mnóstwo miasteczek zajaśniało wieczorem w dzień Nowego Roku rzęsistą iluminacyą. Bardziej jeszcze znaczącemi były adresy i telegramy z wyrazami winnej czci wysłane do Papieża od sejmów i bardzo wielu rad miejskich. Dobry przykład, dany przez wiedeńską radę miejską, znalazł naśladowców we wszystkich prawie stolicach prowincyj austryackich; w Tryeście nie przeszedł wprawdzie odnośny wniosek, ale i tutaj nawet liberalna większość zastrzegła się, że nie dlatego wotuje przeciw wysłaniu adresu do Ojca św., jakoby chciała się usunąć od hołdów składanych ojcu chrześcijaństwa, i nie uznawała wielkich jego osobistych zasług, ale dlatego jedynie, aby adresu tego nie wytłumaczono przypadkiem, jako wotum zaufania dla rządów hr. Taafego. Mniejsza o wewnętrzną wartość tej racyi; charakterystycznem jest, że liberali Triestu, zawstydzeni widocznie po niewczasie śmieszną pozycyą przez siebie zajętą, w obec jednomyślnych manifestacyj w całej monarchii, poczuli się do dania tego rodzaju wytłumaczenia. Linc uczcił jubileusz, wotując na cześć Papieża hojną jałmużnę dla ubogich miejskich. Sejm zalcburski przeznaczył w tejże samej myśli 10.000 złr., dla mającego powstać w tem mieście katolickiego uniwersytetu. Nie wspominamy o pię-

knym adresie naszego sejmu, o uchwałach lwowskiej i krakowskiej rady miejskiej; znane one są dobrze z gazet codziennych; tu przytaczamy tylko prześliczny adres do Ojca św. od uniwersytetu Jagiellońskiego, ułożony przez byłego rektora Stan. hr. Tarnowskiego, a dotąd jeszcze w pismach publicznych nie ogłoszony. Adres ten brzmi:

Ojcze święty!

Z całym katolickim światem pospołu, my niżej podpisani Rektor i Profesorowie uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, składamy u stóp Świątobliwości Waszej wyznanie wiary naszej, hołd naszego posłuszeństwa i przywiązania.

Jeżeli bowiem wszyscy wierni wielbią przedwieczną Miłość i Mądrość za to, że ster Piotrowej łodzi w ręce Waszej Świątobliwości złożyła, i proszą gorąco, by on jak najdłużej w ręku tem pozostał, tedy szczególnie przystało to tym, których Bóg do służby swojej, pod formą nauczania i wychowania młodzieży powołał.

W długim albowiem szeregu namiestników Chrystusowych jaśniejesz, Ojcze święty, nie tylko szczególnem nauk zamiłowaniem i znajomością, ale co większa, szczególnym darem i łaską do nauczania i wskazania jak wiedza ludzka przyrodzonymi środkami rozwijać się i wzmagać ma prawo, a z prawd Bożych objawieniem zgadzać się ma nie tylko obowiązek, ale i wszelką możność. W naszych zaś czasach, kiedy nauki zbyt często przeczenie prawd bożych biorą za samą istotę swoją i cel, potrzebą jest jedną z pierwszych równie dla Kościoła jak i dla świeckiego społeczeństwa, naukę na nowo chrześcijańskim duchem przejąć i ożywić, iżby rozumy prawdziwem światłem oświecała, a wole ludzkie do Bożego królestwa skłaniała i prowadziła.

Wielekroć wypowiedziałeś, Ojcze św., że tego od nauki żądasz: wielekroć przypominałeś jej, że chrześcijańską być winna, ale zarazem gruntowną i po ludzku wszechstronną, jeżeli Bogu i ludziom służyć ma prawdziwie i skutecznie. Chcąc zaś nadać jej podstawę niewzruszoną i gwiazdę przewodnią, wskrzesiłeś z martwych, rzec można, zapomnianą filozofię wielkich doktorów Kościoła, pamiętną Encykliką *Aeterni Patris*. Krzewicielem też nauki wśród Kościoła, odnowicielem nauki chrześcijańskiej wśród świeckich, zwać Cię będą i sławić — tuszymy — wieki potomne.

Tuszymy — a oświadczamy zarazem, że w tem wielkiem dziele wedle sił naszych dopomagać czujemy się powołani i obowiązani. Pięć wieków liczy sobie nasz uniwersytet, najstarszy a jedyny w tych stronach Europy. A jak niegdyś pod powagą Urbana V. powstał, tak dziś przed powagą Leona kornie się kłoni, i z czystem sumieniem może rzec, że lepsze czy gorsze, sławniejsze czy nieznane przebywał lata i koleje, nigdy się Bogu i Jego na świecie Namiestnikowi nie sprzeniewierzył.

W tej wierności też wytrwać ma postanowienie i składa przyrzeczenie. Ciebie zaś, Ojcze święty, który tak mądrą opieką a gorącą miłością otaczasz naukę, którego pierwsze na stolicy św. publiczne słowo było błogosławieństwem udzielonem katolickim uniwersytetom Francyi, Ciebie prosimy, ażebyś i ten nasz, stary, zasłużony, wierny, a narodowi naszemu srodze, jak wiesz, uciśnionemu i drogi i potrzebny bardzo, pobłogosławił, iżby w duchu Bożym a ludzkiej gorliwej pracy trwał nadal i rósł na pożytek Kościoła i świeckiej ojczyzny swojej: — prosząc Boga zarazem, iżby Świątobliwość Waszą w najdłuższe lata raczył zachować i dał Ci, Ojcze święty, patrzeć na to, co Wasza Świętobliwość w Brewe swoim (z 1-go października 1887) jako pragnienie serca swego określa; na „zgodę chrześcijańskich książąt, nawrócenie grzeszników, „wytępienie herezyj, i podwyższenie Kościoła".

Do słów tego adresu wznawiającego, tylko w piękniejszej podobno zewnętrznej szacie, najpiękniejsze tradycye naszej prastarej polskiej, a zawsze katolickiej *Alma mater*, nic dodać nie podobna. Dzięki Bogu, kraj nasz zajął przynależne mu miejsce w wielkiej katolickiej manifestacyi; oświadczył gorąco i głośno a jednomyślnie przez usta jedynych dziś swoich uprawnionych przedstawicieli, że wespół z całą rodziną katolickich ludów zna swe obowiązki względem Głowy Kościoła i do spełnienia ich się poczuwa.

W katolickich Niemczech obchodzono jubileusz papieski w dzień św. Szczepana, 26 grudnia. Prócz uroczystości kościelnych odbyły się tego dnia w bardzo wielu miastach olbrzymie katolickie wiece, na których znani mowcy, księża i świeccy, opowiadali zgromadzonym życie Leona XIII., uczyli czem było i jest Papiestwo, wyjaśniali ważność i znaczenie kwestyi rzymskiej. Najwspanialszy jeśli nie najważniejszy, z tych wieców odbył się w Kolonii; w po-

chodzie z katedry do olbrzymiej sali miejskiej przeznaczonej na wiec wzięło udział około stu korporacyj ze swymi sztandarami i odznakami, a gdy prezes wiecu, August Reichensberger, odczytał adres z życzeniami dla Papieża, nie było końca radośnym okrzykom. Wieczorem miasto zajaśniało iluminacyą, a na bankietach, urządzonych przez stowarzyszenia katolickie, sławiono w natchnionych toastach wielkiego i mądrego Papieża.

Wiecowi w Hanowerze dodała blasku i znaczenia mowa Windthorsta. Sędziwy przewódzca *Centrum* zastanawiał się ze zwykłą sobie wymową nad moralną potęgą Papiestwa i dzisiejszem smutnem położeniem Ojca św., zamkniętego w swym pałacu, nie mogącego z zupełną swobodą i wolnością wykonywać w całej pełni zwierzonego mu od samego Boga posłannictwa. Taki stan rzeczy trwać dalej nie powinien, nie może; katolicy świata całego mają obowiązek domagać się zasadniczej zmiany w tej mierze, zmiany przeprowadzenia nie wojną, nie materyalną siłą, ale wspólnem a ciągłem głoszeniem i wyjaśnianiem, jak niezbędnem jest przywrócenie Papieżowi zupełnej, należnej mu wolności. Nie podobna, aby prawda ta wreszcie nie zwyciężyła i w czyn się nie przemieniła, jeśli wszyscy przy każdej sposobności, jednomyślnie powtarzać będziemy: Żądamy wolności dla Papieża, żądamy wrócenia mu zagrabionej własności.

Podobne, w tymże samym duchu wygłoszone mowy rozbrzmiewały o tej samej niemal godzinie w tysiącznych salach, kościołach, katedrach. W protestanckich Niemczech dały się słyszeć potężne słowa Windthorsta; protestanckiej Anglii zwiastował kardynał Manning z ambony Kensingtońskiej katedry „dzień radości i tryumfu „dla wszystkich katolików, którym na widok wielkiego Papieża „i niezłomnej siły Papiestwa musi serce żywiej uderzyć, muszą „usta wznieść Bogu dziękczynne i pochwalne hymny". Co dziwniejsze, w uroczystościach jubileuszowych wzięli udział nie tylko katolicy, ale i protestanci. Pewien wysoki dostojnik kościoła anglikańskiego posłał Ojcu św. książkę z przed dwustu laty p. t. *List pasterski apostolskich wikaryuszów w Anglii w r. 1688*, a na wspaniałej, papieskimi herbami ozdobionej oprawie umieścił następującą dedykacyę: „Jego Świątobliwości Papieżowi Leonowi XIII. z najgłębszą czcią i najszczerszemi życzeniami, ofiaruje Robert Karol

„Jenkias, Rektor z Lyminge, kanonik z Canterbury“. Pastor anglikański, rabin węgierski, muzułmańscy książęta afrykańscy, pogańscy dostojnicy azyatyckich królestw wyrażali swe hołdy i słali swe dary; jak, a przynajmniej podobnie jak w Dublinie, Londynie, Hanowerze, Wiedniu, tak obchodzono jubileusz w Pekinie, Konstantynopolu, Petersburgu, Warszawie, Waszyngtonie, Bogocie. Równie w Konstantynopolu jak i w Petersburgu rząd wydelegował jednego z wysokich dygnitarzy dla uczestniczenia w nabożeństwie. Ze wszech stron częścią nadeszły, częścią nadchodzą entuzyastyczne opisy tego wielkiego tryumfu, który w całym świecie, nie w jednem państwie lub kraju miał miejsce, i o którym dlatego właśnie z całą słusznością można było powiedzieć, że podobnego mu jeszcze świat nie widział.

Tryumf ten z natury rzeczy najpiękniej i najświetniej uwydatnił się w Rzymie. Nie będziemy opisywać papieskiej mszy jubileuszowej w kościele św. Piotra, ani drugiej niemniej uroczystej mszy w pięć dni później również w najpierwszej tej bazylice świata przez Ojca św. odprawionej; naoczni świadkowie opisali w codziennych naszych gazetach te wzniosłe chwile, a opisali tak rzewnie a dokładnie, że jedynie chyba powtórzyćby ich słowa należało. „Wy„chodzę z ceremonii, pisze korespondent *Figara*, o wiele podnio„ślejszej i wspanialszej od wszystkich, które kiedykolwiek widziałem; „z ceremonii, która bezwątpienia zaznaczy pamiętną datę w dzie„jach Kościoła. Uczestniczyłem w Taborze dziś rządzącego Papieża, „w prawdziwej apoteozie Papiestwa; dla odmalowania tego widoku, „któremu podobnego nie znaleść, trzebaby poezyi Danta lub słów „Bossueta... Śmiałem było to przedsięwzięcie, ale najzupełniej się „udało, i powiedzieć można bez obawy przesady, że okrzyki, które „wstrząsnęły dziś marmurowemi ścianami bazyliki, rozejdą się po„tężnem echem aż na kończyny świata“.

Nie mniej wspaniałem było otwarcie przez Ojca św. watykańskiej wystawy, jedynej z pewnością w swym rodzaju, z samych darów powstałej. Ojciec św., odpowiadając na przemowę prezesa wystawy, kardynała Schiaffino, wyraził wzruszonemi słowami swą wdzięczność wszystkim dawcom i położył nacisk na właściwe a wielkie znaczenie tej manifestacyi:

„Ojcowskie nasze serce napełniło się słodką radością, widząc,

„jak cała wielka rodzina katolicka, zapragnęła uczestniczyć w we-
„selu naszego jubileuszu wyrobami talentu, dziełami natury, sztuki,
„przemysłu wszelkiego rodzaju. I cieszymy się i głęboko jesteśmy
„wzruszeni, przywodząc sobie na pamięć wspaniałomyślność boga-
„tego i ubogiego, książąt i ludów najbardziej ucywilizowanych i naj-
„dzikszych krajów, którzy wspólnie przygotwali tę wspaniałą wy-
„stawę darów; przywodząc sobie na pamięć, że wiele z tych darów
„jest owocem długich a ciężkich ofiar, poniesionych sercem radośnem
„i ochotnem. Bardziej jeszcze pocieszająca jest świadomość, że
„każdy z przedmiotów złożonych nam przez synów naszych, żywo
„świadczy o przywiązaniu do Stolicy Apostolskiej, o poświęceniu
„się dla powagi, którą piastujemy, o czynnej dla nas miłości; po-
„dobnież nieskończona rozmaitość i liczba tych darów opowiada
„i głośno zaświadcza wspólność uczuć poruszających sercami ofia-
„rodawców: widomy to znak przedziwnej onej jedności, jednej
„z najpiękniejszych prerogatyw katolickiego Kościoła. W ten spo-
„sób ta wystawa przybrała wielkością swą i znaczeniem odrębną
„cechę i bardzo wysoką wartość w oczach wszystkich jasno na
„rzeczy patrzących. Dla tego też oświadczając zadowolenie nasze
„i wdzięczność dla wszystkich, którzy przyczynili się do tej mani-
„festacyi, obejmującej i streszczającej wszystkie inne manifesta-
„cye ze czci ku Najwyższemu Pasterzowi urządzone, otwieramy
„z radością w obecności waszej wystawę watykańską w dniu tym,
„przypominającym pobożność i ofiarność królów-mędrców".

Jak przy mszy jubileuszowej, tak przy otwarciu wystawy otaczało Ojca św. około czterystu arcybiskupów i biskupów ze wszech stron przybyłych. Prawie wszyscy panujący wysłali nadzwyczajnych posłów z życzeniami, własnoręcznymi listami i darami. Z kolei przyjmował Ojciec św. na osobnych audyencyach: posła austryackiego, ks. Lichtensteina; posła portugalskiego da Silva Ferrao de Carvalho Martens; posła hiszpańskiego, margrabiego de la Vega de Armijo; posła belgijskiego ks. d' Ursel; posła greckiego arcybiskupa Marango; posła chilijskiego Dalmoceda; posła niemieckiego hr. Brühla; posła angielskiego ks. Norfolkskiego; posła francuzkiego hr. Lefebure de Béhaine; posła holenderskiego br. Van Brienen; posła badeńskiego p. Fagemanna... Cesarz rosyjski i wielcy książęta Paweł i Sergjusz, ministrowie Giers i Tołstoj nadesłali tele-

gramy; szach perski, król rumuński, książe czarnogórski listy z życzeniami... Lecz dla czegóż, nasuwa się naturalne pytanie, żaden z panujących, nikt nawet z najbliższej rodziny panujących do Rzymu nie podążył, aby osobiście złożyć Ojcu św. swe hołdy? „Wiele „dworów, odpowiada na to pytanie *Correspondance Politique*, pra„gnęło okazać swą cześć dla Ojca św., wysyłając do Rzymu ksią„żąt z krwi królewskiej. Cesarz brazylijski bawiący obecnie w Cannes „miał nawet zamiar przybyć osobiście do wiecznego miasta. Ale „dobre te chęci, które nie mało podniosłyby blask uroczystości ju„bileuszowych, przejść nie mogły w wykonanie z powodu dwor„skich i etykietalnych trudności, nagromadzonych przez pobyt w Rzy„mie króla włoskiego. Kilka rządów obawiało się nadomiar wzbudzić „niechęci w Kwirynale... Ten fakt ilustruje dobitnie i raz jeszcze „wykazuje całą anormalność obecnego położenia Papieża; anormal„ność dwóch najwyższych rządów, zamieszkujących to samo miasto".

Miasto książąt i królów, którym względy polityczne zamknęły bramy do Rzymu, nadciągnęły i przez długie jeszcze miesiące nadciągać będą liczne pielgrzymki katolickie, niby olbrzymie deputacye poszczególnych krajów i ludów. Z Francyi przybyło dwa tysiące pielgrzymów; z Anglii pięciuset; druga pielgrzymka węgierska, złożona przedewszystkiem z uczonych, profesorów, literatów, jeśli w zewnętrznej świetności i liczbie nie dorównała pierwszej pielgrzymce, to ze względu zwłaszcza na znakomite osobistości biorące w niej udział, wypadła nieomal jeszcze poważniej i wspanialej... A to dopiero przednie straże tej wielkiej armii pielgrzymów z północy i południa: z Hiszpanii, z ojczyzny naszej, z Meksyku, ze Stanów Zjednoczonych, którzy w najbliższych miesiącach mają zawitać do wiecznego miasta.

Trzeciego stycznia stanęło około tysiąc delegatów włoskich komitetów jubileuszowych pod przewodnictwem stu biskupów w wielkiej sali książęcej; z prawdziwie południowym zapałem powitali Papieża, mowę jego przerywali entuzyastycznemi okrzykami, a gdy już po udzielonem błogosławieństwie jeden z pielgrzymów zawolał *Oremus pro Pontifice nostro Leone*, z tysiąca wzruszonych, pełnych łez piersi odezwała się liturgiczna modlitwa za Ojca chrześcijaństwa — aby Bóg go nam strzedz, prowadzić i zachowywać raczył.

Mowa Ojca św. wypowiedziana z nadzwyczajną energią i wzruszeniem musiała istotnie wstrząsnąć aż do głębi sercami słuchaczów.

„Znajdowali się zawsze, gromił i żalił się Papież w Piusowym „stylu, jak nie bez pewnej słuszności o mowie tej powiedziano — „niewdzięczni synowie, nawet między tymi, którzy zrodzili się na „łonie katolickiego Kościoła; znajdowali się zawsze tacy, co zapoznawając dobrodziejstwa płynące na świat z Papiestwa, walkę przeciwko niemu za cel życia sobie obrali. A mówiąc o naszej tylko „epoce, oto mamy przed sobą prawdziwy spisek, z niezrównaną „chytrością uknuty, a dążący do oczernienia Papiestwa i przedstawienia go jako wiecznego wroga Włoch. Wy, drodzy synowie, nie „tylko nie słuchaliście tego niedorzecznego oskarżenia, któremu uroczyście kłam zadaje historya wszystkich wieków, lecz owszem, zapragnęliście złożyć szczególne dowody czci i przywiązania do Papiestwa... Wiemy dobrze, że właśnie dla tych uczuć, przez obowiązek wam podyktowanych, zarzucają wam brak miłości dla ojczyzny, pragnienie jej zguby, dążenie do jej ruiny. Niechaj was „nie niepokoi, drodzy synowie, to nierozumne oskarżenie. Co jest „prawdą, to, że najczystszą i najwspanialszą chwałą Włoch jest „Papiestwo. Co jest prawdą, to, że jeżeli Włochy połączą się z Papiestwem, natenczas jako są mu najbliższe, tak i najpierwsze zaczerpną z zbawczej jego mocy, a wszystkie katolickie ludy, po całym świecie rozprószone, czcić i kochać je będą... Co jest prawdą „to, że Włosi zjednoczeni z Papieżem i pragnący jego niezależności dopełniają nietylko czynu, będącego obowiązkiem katolików, „lecz nadto o wiele więcej i lepiej, niż wszyscy inni, mają na sercu „prawdziwe dobro swej ojczyzny".

„Uważcie tylko, co się w tej chwili dzieje. Okoliczność „w sobie samej nic nadzwyczajnego nie mająca — jubileusz nasz „kapłański — poruszył światem całym. Nie tylko katolicy lub osoby „prywatne, ale panujący i książęta, rządy i publiczne zgromadzenia „współzawodniczą we wzięciu udziału w tej jubileuszowej uroczystości, w okazaniu nam swych uczuć pełnej czci miłości i przywiązania. Bezwątpienia, znać w tem rękę Opatrzności Bożej, posługującej „się i kierującej najzwyklejsze zdarzenia, narzędzia najmniej sposobne ku chwale Kościoła. Ale właściwej przyczyny tego faktu szukać należy w nadzwyczajnem znaczeniu Papiestwa, owej latarni

„morskiej jasno świecącej, którą Bóg postawił w pośrodku narodów, „aby je prowadziła na drodze zbawienia; w samej naturze owej „powszechnej władzy, nieokreślonej granicami czasu i miejsca, żyjącej i władającej i wtedy, gdy wszystko w ruiny się rozpada; „czerpiącej w samychże prześladowaniach coraz większą chwałę i moc. „Jakiż naród nie uważałby sobie za szczęście i zaszczyt dać na łonie swoim schronienie tej Boskiej instytucyi? I przeciwnie, czyż „to nie prawdziwe szaleństwo, dążyć do jej poniżenia i umniejszenia, uważając sposób i warunki jej istnienia za kwestyę czysto „wewnętrznego porządku, obchodzącą jeden tylko kraj i jeden naród? Czy nie jest niegodnem i sromotnem, chcieć ją zgnębić i upokorzyć i to tam właśnie, gdzie jej stolica się znajduje; stawiać „przeszkody jej wolnej, a dobroczynnej działalności; poddawać ją „pod rozkazy i czynić zależną od woli jednego rządu, lub jednego „parlamentu. Nie, — katolicy świata całego, dbający o wolność swej „głowy i wszyscy ci, którym leży na sercu sprawa porządku i dobra społeczeństwa ludzkiego, nigdy tego znieść, nigdy na to przyzwolić nie mogą".

Żywą ilustracyą słów i skarg papieskich, krótkiem niejako streszczeniem anormalnych stosunków w Rzymie istniejących, było zachowanie się urzędowych i masońskich Włoch w czasie uroczystości jubileuszowych. Wśród powszechnego wesela, wśród tysiącznych okrzyków: „Niech żyje Leon XIII."; wśród międzynarodowego tryumfu zgotowanego Papiestwu, jedne Włochy, — Włochy Humbertów, Crispich i Boviów — stały osamotnione, nie mogąc w tryumfie tym brać udziału, nie mogąc mu również i nie śmiejąc przeszkodzić. Prasa całego świata powitała gorącymi artykułami watykańskiego jubilata; opisywała z zajęciem i sympatyą jubileuszowe manifestacye i uroczystości. Angielski *Daily Telegraph* naszkicowawszy postać Leona XIII. „tego władzcy pełnego filantropii, męża „mądrego, który od pierwszych dni swego panowania zalał świat „cywilizowany mnóstwem dobrodziejstw", maluje z szczególnem staraniem i upodobaniem przyjęcie w Watykanie księcia Norfolkskiego, oprowadza czytelników po wystawie watykańskiej, a wreszcie wyraża przekonanie, że stosunki dyplomatyczne z Papieżem, „stosunki przerwane przed trzema wiekami, z wielką nieraz szkodą „dla naszej ojczyzny, na nowo w najbliższym już czasie zostaną na-

„wiązane". Podobną nadzieję, nawiązując ją również do misyi księcia Norfolkskiego, wyraził *Spectator*, a następnie *Standard;* bardzo rozpowszechnione, poważne pismo *Nineteenth Century* poszło krok dalej, wystawiając wojnę Włoch przeciw Papiestwu, jako wojnę wynikłą z nienawiści do chrześcijaństwa i wszelkiej objawionej religii. Rosyjski *Nord* sławi z powodu papieskiego jubileuszu pojednawczą politykę Leona XIII., która, zdaniem tego dziennika „do tego sto- „pnia wzmocniła blask i powagę Papiestwa, że Watykan przemienił „się niebawem w nowe centrum europejskiej polityki". Berliński *Reichsbote*, jeden z najbardziej i najjawniej wrogich katolicyzmowi dzienników, przyznać jednak musi, opisując wspaniałe uroczystości jubileuszowe, że „katolicy mają racyę z pociechą i ze słuszną dumą „na nie spoglądać". „Leon XIII., odzywa się z kolei *République* „*Française* w dłuższym, bardzo charakterystycznym artykule, nie „zrezygnował z żadnej pretensyi Kościoła: tego nie chce i nie może. „Kościół uczy, że wyrósł z Boskiego początku; musi więc tutaj „przedstawiać bezwzględność; nigdy nie wda się w kompromis „z zasadami. Ale Kościół wie również, że stanąwszy z woli mistrza „swego pośród ludzi, cierpliwie powinien znosić ich błędy, grzechy, „nawet prześladowania... Pomiędzy Papieżami bieżącego wieku „żaden nie otrzymał w równym stopniu, co Leon XIII., cennego „daru, który umie godzić rzeczy boskie z ludzkiemi, Kościół ze „światem, Papiestwo z współczesną cywilizacyą". Nawet radykalna *Lanterne* w podobnym odzywa się tonie; „Widok, który obecnie „w Rzymie się przedstawia, te tak wybitne świadectwa olbrzymiej, „dziś jeszcze w całej pełni istniejącej potęgi Papiestwa, dowodzą, „że kwestya rzymska nie została pogrzebana, wznowić muszą tę „kwestyę z większą siłą niż kiedykolwiek przedtem. P. Crispi za- „nadto jest sprytnym, aby nie miał tego zrozumieć... Król Hum- „bert, słuchając w swym pałacu okrzyków, dochodzących z Waty- „kanu, smutną musiał przebyć godzinę, rozmyślając gorzko nad „swojem osamotnieniem w tej chwili, w której Papieża otoczyły „wszystkie pompy i honory należne udzielnemu władzcy i po cichu „powiedział sobie zapewne: „Nie on jest więźniem, ale ja"...

Takim wspólnym chórem zabrzmiała cała prasa: rosyjska, angielska, republikańska, protestancka; jeden tylko w chórze tym odezwał się ton niezgodny, a odezwał się w dziennikach masońskich

„zjednoczonych“ Włoch. Z początku znać tylko było w ogóle w tych dziennikach żywe rozdrażnienie; korciło je widocznie zainteresowanie się w całym świecie papieskim jubileuszem; korciło je, że, jak jeden z rzymskich dzienników dowcipnie się wyraził, tylko Włochy i... Gwatemala nie biorą urzędowo udziału w jubileuszu; jednego dnia skarżyły się wespół z *Tribuną*, że za wiele i aż do przesytu wszędzie o tym jubileuszu piszą, a następnego dnia znowu z tąż samą *Tribuną* na czele umieszczały długi artykuł „o chwalebnem osamotnieniu Włoch w jubileuszowych uroczystościach“; udawały obłudnie, że cieszą się z całego tego ruchu, jako dowodzącego niezależności i wolności Stolicy Apostolskiej, a jednocześnie wyrzucały i dawały jasne wskazówki Austryi, że jako państwo zaprzyjaźnione nie powinnaby pozwalać u siebie na manifestacye z samej natury rzeczy przeciw Włochom skierowane. Prawdziwą tę komedyę, w której obłuda nie umiała zawsze utrzymać na wodzy wewnątrz nurtującej złości, przerwała i zakończyła mowa papieska do pielgrzymów włoskich. Od tej chwili prasa włoska zerwała krępujące je dotąd jakiekolwiek względy prostej przyzwoitości, i już bez maski rzuciła się na „wczorajszego, jutrzejszego i dzisiejszego wroga“, na „watykańskiego sępa“. *Riforma* odkryła światu straszny spisek katolicyzmu przeciw Włochom, choć przecież, jak jej z zasłużoną ironią przypomniano, dopiero co zaręczyła czytelnikom, że wszystkie a wszystkie manifestacye na cześć Papieża nie mają żadnego głębszego znaczenia; są tylko prostą grzecznością i niczem więcej. „Py„tać nie myślimy, pisała taż sama *Riforma* w innym artykule, czy „słowa papieskie odpowiadają prawdziwym uczuciom Leona XIII., „lub czy może otoczenie jego podsunęło mu je i moralnie zmusiło „do ich wypowiedzenia... Bądź co bądź Włochy skarżyć się nie „mogą, że Papież wyraża się słowami stojącemi w sprzeczności z fa„ktami i logiką“. *L'Italie* wystąpiła przeciw „sprawiającemu wciąż nowe kłopoty i trudności watykańskiemu *gościowi*“. *Fanfulla* i *Tribuna* użalały się, że Papież w dniu tak solennym zniżył się do polemiki, „choć skądinąd cieszyć się należy, bo ostatnia ta „gwałtowna mowa, stanowczo zażegnała niebezpieczeństwo pojedna„nia Watykanu z Kwirynałem“.

Głębokie rozdrażnienie, wywołane uroczystościami jubileuszowemi nie znalazło dosyć pokarmu i ulgi to w wściekłych, to w szy-

derczych głosach wolnomularskiej prasy; kontrmanifestacya, urządzona na cześć Wiktora Emanuela, zrobiła absolutne fiasko, tak, że król Humbert, czując widocznie śmieszność tej urządzonej prawdopodobnie za jego pieniądze komedyjki, nawet pokazać się manifestantom nie raczył; odzywające się czasem po ulicach okrzyki: „Precz z pielgrzymami!“ na nikim najmniejszego wrażenia wywrzeć nie mogły; okólnik *Wielkiego Wschodu* hiszpańskiego, zachęcający hiszpańskie loże wolnomularskie, aby wysłały do króla Humberta telegram, prawdopodobnie... *z kondolencyami*, jak się ktoś dowcipnie wyraził, — wywołać mógł tylko i wywołał ironiczny uśmiech; w jakiż sposób powetować sobie wszystkie te przykrości i zawody, gdzie znaleść ofiarę, którąby można oddać na łup trapiącemu gniewowi? Ofiarą taką stał się, najniewinniejszy zresztą w świecie, syndyk Rzymu, liberalny książe Torlonia. Wypełniając obowiązki człowieka dobrze wychowanego, udał się książe Torlonia do kardynała Wikarego i na jego ręce złożył swe prywatne, *osobiste* życzenia i wyrazy hołdu dla Ojca św. Zdawałoby się, że nikt, ale najmniej rząd, nie miał prawa i nie powinien był mieszać się, a choćby pytać o przyczynę tego kroku: tymczasem upłynęło zaledwie kilkanaście godzin od wizyty syndyka rzymskiego, a król Humbert na wniosek całego ministeryum podpisał dekret składający Torlonię z jego urzędu.

Trudno było o krok bardziej niepolityczny, okrywający bardziej śmiesznością „kwirynalskiego gościa“ i jego doradców. Sam książe nic właściwie nie stracił; przed radą miejską powołał się niemniej dowcipnie jak złośliwie na słynny telegram Humberta, „o szczęśliwej, zbliżającej się okoliczności“ papieskiego jubileuszu; odebrał jednego tylko dnia, około 20.000 kart wizytowych, Rzymian i cudzoziemców, pragnących mu w ten sposób objawić swe sympatye; otrzymał na domiar sprzeczności czy śmieszności całej tej historyi zapewnienie „osobistej przyjaźni i sympatyi“ króla Humberta; a przerzucając dzienniki, mógł łatwo się przekonać, jak nagle urósł w powszechnej opinii, która jednogłośnie niemal stanęła i stoi po jego stronie. „Nie należy dawać Watykanowi tego „rodzaju pociech, ostrzega i gniewa się Bonghi w *Fanfulla*; łatwo „domyśleć się, jakie zadowolenie zapanować musiało w Watyka„nie, że rząd włoski wybrał sobie właśnie tę chwilę, chwilę, w któ-

„rej Papiestwo otrzymuje tyle hołdów ze wszystkich części świata, „dla jawnego okazania zagranicznym rządom, w jakich stosunkach „żyje z temże Papiestwem... Teraz dopiero w całej pełni czujemy „brak Depretisa; za jego życia do czegoś podobnego nie byłoby „przyszło". „Usunięcie księcia Torlonii, zauważa *Nord*, wydało się „wszystkim środkiem gwałtownym, stojącym w sprzeczności nie „tylko z myślą, ale i z wyraźnem brzmieniem praw gwarancyjnych. „Krok ten wywołał głębokie wrażenie, a dzienniki liberalne, jak „np. dawny organ Depretisa, *Popolo Romano*, nie zawahały się „i otwarcie go potępiły"...

Podobnież wszystkie, jakkolwiek jeszcze szanujące się dzienniki potępiły i potępić musiały udzielenie dymisyi, lub zawieszenie w urzędowaniu kilkunastu syndyków, którzy wespół z setkami tysięcy katolików podpisali petycyę do parlamentu, domagającą się niezależności dla Papieża. Czyż to niejawne, a krzyczące prześladowanie, pytano się zewsząd z najzupełniejszą słusznością; czyż to nie podeptanie kardynalnych praw konstytucyjnych? Mniejsza o to, odpowiada *Diritto, Riforma* i pokrewne im duchem pisma; klerykalizm zbytnie wzrósł w siły w ostatnich latach; zgnębić go musimy, a do zgnębienia go musimy używać odpowiednich środków. Czyż więc prześladujemy katolików? O nie! to oni nas prześladują...; my choć z bolem serca bronić się musimy... — Nie chce się wierzyć własnym oczom, czytając takie i tym podobne zdania, wyrażenia, artykuły; zawsze ta sama historya: nie wilk owcy, lecz owca wilkowi wodę mąci.

Tak więc pojednawcze usiłowania Leona XIII. nie trafiły we Włoszech na grunt dobry. Właśnie w ostatnich świątecznych dniach, w chwili, w której królowie i narody z całej kuli ziemskiej składały hołd i cześć Piotrowemu następcy, zawrzała na nowo głośniej niż kiedykolwiekbądź, chwilowo zawieszona walka między katolickiemi a wolnomularskiemi Włochami, między prawem a siłą. Kiedy i czy prędko prawo i prawda brutalną siłę zwycięży, trudno przewidzieć; ale, że zwycięży, to pewna, a nową rękojmią, zadatkiem, a spodziewać się można, że i jutrzenką tego zwycięstwa jest wspaniałe objawienie się w uroczystościach jubileuszowych, olbrzymiej, świat cały obejmującej moralnej potęgi Papiestwa.

Ks. Jan Badeni.

Listy o Rumunii.

IV.

Romunia pod względem ziemi jest bezwątpienia jednym z krajów najhojniej od natury obdarzonych, tak co do obfitości i rozmaitości płodów, jakie wydawać może, jak co do wszelkich naturalnych warunków mogących ułatwić komunikacyę. Siły produkcyjne tego kraju spoczywały prawie aż do niedawnych czasów bezczynne, a ludność też krajowa pogrążona w barbarzyństwie, mało miała potrzeb do zaspokojenia.

Warunki bytu politycznego Wołoszczyzny i Mołdawii poprawiły się od czasu traktatu Adryanopolskiego. Ustawa organiczna 1832 r. pierwszem była urządzeniem, które z jednej strony zapewniło krajowi temu porządek i spokój, z drugiej otworzyło Rumunom szersze do działania pole. Wielkiem dla nich dobrodziejstwem stała się żegluga parowa, otwarta przez austryackie Towarzystwo żeglugi na Dunaju, oraz przez *Lloyd Triesteński*. Wynikał stąd daleko większy ruch wywozu, zaczem i powiększenie produkcyi zboża. Wzmógł się również przywóz rękodzieł zagranicznych; życie na sposób europejski szeroko przyjęło się w kraju, cena ziemi nagle podniosła się, i nie mała liczba domów handlowych zagranicznych osiedliła się u przystani Dunaju. Pod rządami książąt narodowych, a głównie pod panowaniem Aleksandra Kuzy, który złączył w ręku swem rządy obu Hospodarstw, otwarto kilka dróg komunikacyjnych wewnętrznych, powstało kilka zakładów kredytowych prywatnych, kraj otrzymał poczty regularne i telegrafy. Znacznie później dała się widzieć w Rumunii rzeczywista sieć dróg komunikacyjnych i kolej żelaznych, w rozmaitych kierunkach zmierzających do granicy; pojawiają się wielkie zakłady ekonomiczne, publiczne i prywatne, początkuje przemysł krajowy, w rolnictwie, wprowadzają się ulepszenia, handel zagraniczny znacznie się rozszerza, ruszają się wielkie przedsiębiorstwa budowli publicznych w znaczniejszych miejscowościach kraju. Wszystko to rozwija się za panowania Karola księcia *Hohenzollern-Sigmaringen* obecnie króla Karola I., a więcej jeszcze odkąd wskutek wojny

1877 r. ustalone zostały ostateczne losy Rumunii. Wojna ta szczęśliwa mniej przyniosła strat ekonomicznych, niżeli możnaby przypuszczać, ponieważ kraj był ochroniony od działań wojennych nieprzyjacielskich. Okupacya zaś rosyjska, ograniczona do pewnych punktów i poddana przepisom zawartych konwencyj, w miejscu niedogodności przyniosła zyski, które napełniły pusty skarb państwa i wzbogaciły wielu ludzi prywatnych.

Kto chce nabyć przeświadczenia, niech przejrzy tablice porównawcze rocznego obrotu handlu, a obaczy jak wzrastała ciągle masa wartości w obiegu, a zatem i bogactwo absolutne kraju. Przy czem wyznać należy, że wzrost ten był i jest jeszcze bardzo dalekim od tego, czegoby można według zasad oczekiwać; tudzież mało pocieszający jest stosunek cyfry dzisiejszej najwyższej produkcyi, do cyfry najwyższej konsumpcyi.

Bo też faktycznie, główne źródło produkcyi, rolnictwo, pozostaje zawsze jeszcze na stopniu niepomiernie niskim; czy się zwraca uwagę na względną szczupłość obszarów zajętych pod uprawę, czy na metodę i sposoby jakiemi uprawa się posługuje, wszędzie wpada w oczy anachronizmem. Wiele gałęzi przemysłu pomocniczego przy rolnictwie, jak np. jedwabnictwo, są tylko próbami od parady, bez rzeczywistej wartości. Drogi komunikacyjne w porównaniu z drogami innych krajów bardzo wiele zostawiają do życzenia. Natura obdarzyła ten kraj wspaniałym systemem kanalizacyjnym z rzek łatwo spławnych, które przerzynają kraj równolegle aż do głównej arteryi Dunaju, ale praca ludzka nie wyzyskała tego daru przyrody i w zupełnem zostawia go zaniedbaniu. Nie może się też spodziewać postępu produkcya rozmaitych wyrobów mających związek z rolnictwem, dopóki trwa dzisiejszy sposób wydzierżawiania i dopóki lepsza organizacya własności ziemskiej nie ułatwi potrzebnego jej podziału i przechodzenia z rąk do rąk; nadewszystko zaś, dopóki państwo, które skutkiem konfiskat jest głównym w kraju właścicielem ziemskim, nie przestanie wydzierżawiać ziem na krótkie termina, co też czynią prywatni właściciele, aby swobodnie oddawać się próżnowaniu w mieście, albo też wzięte z góry dochody trwonić wśród uciech stolic europejskich.

Przemysł górniczy nie istnieje wcale, wyjąwszy kopalnie soli na rzecz skarbu państwa, do czego użyci bywają więźniowie. Nie-

które rzeki, jak np. Aluta (Oltu) toczą piaski złotodajne, z których żyje tylko kilka gromad Cyganów, bogate kruszce, o których mówi się od wieków, spoczywają zawsze nietykalne, i do dzisiaj nawet nie były przedmiotem żadnych studyów poważnych. Rumunia jeszcze przed rozbudzeniem się narodowego życia miała w zawiązku własny przemysł rękodzielny, ograniczony wprawdzie do bezpośrednich potrzeb ludzkości, i primitywny co do sposobów wytwarzania, ale mogący być zawiązkiem dalszego rozwoju, gdyby użyto ku temu odpowiednich środków. Tego nie uczyniono, i teraz wyginął ten przemysł do szczętu, zabity przesadnemi wymaganiami konsumentów, konkurencyą zagraniczną, a nadewszystko złem i uciążliwem opodatkowaniem.

W najnowszych czasach roztrząsa się w licznych i gorących rozprawach myśl utworzenia wielkiego przemysłu narodowego. Izby zajmowały się tem wielokrotnie. Ale darmo; aby zrodzić nowe siły w narodzie i sam charakter jego zmienić, potrzeba czegoś więcej niż improwizować prawa i regulamina, niż wotować doryweze zapomogi i obciążać produkcyę zagraniczną ogromnemi cłami protekcyjnemi. Szermierze nowych doktryn ekonomicznych lepiejby zrobili, gdyby zastanowili się rozważnie, azali nie ma jakiejś pośredniej drogi, jakiegoś przejścia, między zupełnym brakiem przemysłu, a nagłem i ryczałtowem przekształceniem kraju rolniczego na kraj rękodzielniczy. W każdym razie, wiele tu jeszcze pozostaje do rozważenia, wiele do doświadczenia, zanim użyte ku temu celowi środki moralne i ekonomiczne, prywatne i rządowe, zdołają choć szczupłą liczbę ludności zwrócić do fabryk, rzemiosł i handlu, o ile tego dobrobyt kraju wymaga. Sama nawet klasa rolnicza nie da się prędko doprowadzić do tego, aby godnie odpowiadała swemu zawodowi; miłość pracy nie jest pewnie główną cnotą ludu rumuńskiego; kraj cierpi niedostatek rąk i sił roboczych; przyczem aż nadto często spostrzega się, że ręce i siły marnieją w próżnowaniu, albo też oddają się lekkim zajęciom, ułudą pracy. Kto nie należy do majętnych, mogących żyć z własnego dochodu, ten stara się żyć kosztem państwa, i wszyscy dobijają się posad rządowych.

Powiedzieliśmy, że kraj cierpi niedostatek rąk. Niedostatek ten spotyka się w dwojakiem znaczeniu. Najprzód faktem jest niezaprzeczonym, iż ludność Rumunii stosunkowo jest za mała, zwa-

żywszy rozległość kraju i żyzność ziemi, mogącej wyżywić podwójną i potrójną liczbę mieszkańców. Dalej, studya demograficzne sumiennie prowadzone przez niektórych uczonych, a szczególnie przez Dr. Feliksa, naczelnika służby zdrowia w Bukareszcie, dowodzą, że ogólna cyfra narodzonych zostaje w stosunku najniepomyślniejszym do ogólnej cyfry zmarłych; tak, że po wsiach słaby zaledwie spostrzega się przyrost roczny ludności, w miastach zaś przeciwnie objawia się stały coroczny ubytek, chociaż zamaskowany przez napływ nowych mieszkańców. Nie wyda się to dziwnem, jeśli weźmiemy na uwagę smutne warunki hygieny publicznej, zabójcze grasowania epidemij i chorób endemicznych, szczególnie tyfusu, ospy, dyfterytu i febr bagniskowych. Wyjątek wszakże stanowią zamieszkali w kraju Żydzi, u których przyrost coroczny ludności jest znaczny i regularny; a to dowodzi oczywiście, iż przyczyny pomienionego zjawiska przypisać należy więcej ludziom, jak naturze kraju.

Żydzi stanowią tu znaczną część ludności cudzoziemskiej, choć zresztą w kraju tym roiły się zawsze różne narodowości: Bulgarowie, Serbowie, Grecy, Ormianie, Węgrzy, Niemcy, Polacy i inni. Ów zaś jaki taki przemysł, handel krajowy, datujący się z epoki minionej, był wyłącznie eksploatowany przez te obce narodowości. W naszych czasach poszła w te ślady pewna liczba krajowców, ale z nie dość pomyślnemi rezultatami. Co do znaczenia wymienionych narodowości w składzie społeczeństwa krajowego, to wyjąwszy Żydów, stanowiących jak zawsze rozkładowy i pasożytny czynnik, powiedzieć trzeba, iż ludność ta napływowa, wypożyczona niejako od różnych krajów Europy, była i jest dla Rumunii najdzielniejszym zasobem, mogącym dostarczyć jej wielką sumę sił żywotnych dla podniesienia jej dobrobytu, dla zastąpienia braku rąk, kapitałów i inteligencyi; nadewszystko dla pouczenia i podniesienia ludności miejscowej, przykładem pracowitości i dzielności. Zdaje się tedy, iż najpospolitsza przezorność, oraz przykład innych państw, powinny były skłaniać Rumunię do dawania zachęty żywiołom tak cennym dla kraju, i do ściągania ich w większej jeszcze liczbie, starając się przytem ułatwić ich asymilacyę i przyswojenie ich zupełne krajowi. Jeżeli zaś znajdowano to upakarzającem dla narodu, że obejść się bez obcych nie może, to przewadze ich przeciwstawić wypadało nie co innego, tylko emulacyę i konkurencyę. Ale to

wszystko nie wchodziło w rachunek taniego patryotyzmu: wolał on raczej podniecać przeciwko nim uprzedzenia ludu, gnębić ich i wyzyskiwać wprowadzanemi raz po raz ustawami exkluzyi i ucisku. W ten sposób wszystka ludność cudzoziemska została postawiona w stanie ciągłej walki, tak z krajowcami jak i z władzami administracyjnemi kraju. A w takim stanie rzeczy, nie mogąc wiele liczyć na sprawiedliwość sądów, cudzoziemcy co najzdolniejsi i najuczciwsi stracili zaufanie do Rumunii i wprzód jeszcze nim zostali usunięci, ograniczyli swą działalność, albo też zaniechali wielu przedsięwzięć użytku publicznego, w których Rumuni nie pospieszyli zapewnie ich zastąpić.

Oto są rozmaite przyczyny, które w części paraliżowały, w części opóźniły rozwój produkcyi a przeto i wzrost bogactwa krajowego. Nadomiar oszczędność, ten niezbędny czynnik bogactwa, a w tym stanie ekonomicznym nadewszystko potrzebny — w Rumunii wcale nie egzystuje; to właśnie stanowi największą klęskę ekonomiczną kraju, iż zbytkowna nieprodukcyjna konsumpcya pożera krajowe zasoby. Lecz to przedmiot obszerny, który wypadnie nam omówić w osobnym liście.

V. B.

Z Berlina.

Na dynastyczne stosunki rodziny panującej w Prusach zwracają się od kilku miesięcy z większą niż poprzednio uwagą oczy całego świata. Świat przywykł do myśli, że za rządów obecnego cesarza nie będzie już wojny, gdyż starzec, jedną prawie nogą w grobie stojący, nie zechce już nowego krwi przelewu; nadto żywiono nadzieję, że humanitarne poglądy cesarzewicza Fryderyka Wilhelma będą Europie zwiastunem drogiego pokoju, a Niemcom dozwolą na rozwój swobodniejszy stosunków wewnętrznych. Ale nadzieja ta niemal zupełnie zniszczała. Nadchodzą wprawdzie z San Remo wieści pomyślniejsze, ale urzędowy organ pruski nie odwołał jeszcze pierwszej dyagnozy lekarskiej, wprawdzie niektórzy twierdzą, że *Staatsanzeiger* ze względu na powagę przyszłego cesarza

Niemiec nie mógłby odsłaniać prawdziwej natury cierpienia jego: ale dopóki nie będzie stwierdzonem ustąpienie choroby, trudno o nadzieję.

Uwaga Europy zwróciła się wśród tych warunków na najstarszego syna cesarzewicza, księcia Wilhelma. Wiedziano o nim, że jest zaentuzyazmowany wielkością księcia Bismarka, że jest tem, co w Niemczech nazywają „ciętym oficerem", że nie cierpi angielszczyzny, choć jego matka jest Angielką, o czem się Niemcy nieraz z przekąsem odzywają. Publicznie nie występował książę Wilhelm dotąd w żadnym wybitniejszym kierunku politycznym; stosunkowo bywał częstym gościem ks. Bismarka, którego nawet w Friedrichsruhe odwiedził z powodu jakiegoś jubileuszu urzędowego. Małżonka księcia Wilhelma, z domu szlezwiskiego, prowadzi życie skromne przy ognisku domowem, zajęta wychowaniem czworga dzieci. Liberalni Niemcy zarzucają jej, że jest bigotką, gdyż w podróżach lub wycieczkach letnich nie lubi słuchać kazań liberalnych pastorów, lecz sprowadza sobie kaznodziejów odznaczających się protestancką prawowiernością. Niezwykłe wrażenie zrobiła obecność księcia na zebraniu u hrabiego Waldersee, na którem znajdował się także znany kaznodzieja nadworny i antysemita Stöcker. Zebranie to nabrało w ostatnich tygodniach tak wielkiego znaczenia, że niepodobna o niem zamilczeć.

W Berlinie istnieje tak zwana „misya wewnętrzna", której zadaniem ma być rozbudzenie życia religijnego po rodzinach protestanckich. Spełnienie tego zadania nie łatwe z powodu niewiary i zobojętnienia powszechnego ludności, zarażonej socyalizmem, oddanej rozwiązłości i pijaństwu, zepsutej przez długie prześladowanie religijne i wyśmiewanie wszelkiej religii przez prasę i widowiska publiczne. Zadanie to podjęli ludzie z obozu nielicznego ortodoksów, z Stöckerem na czele. Agenci jego odwiedzają rodziny, zachęcają je do zawarcia ślubów w kościele, do ochrzczenia dzieci, wskazując gdzie te akty bez opłaty wszelkiej mogą być dokonane, pobudzają do udziału w nabożeństwie, rugują prasę liberalną i żydowską, wspierają ubogie rodziny, i wpływają także na wybory do dozorów kościelnych, do rad miejskich, do sejmu i parlamentu w duchu prawowierności protestanckiej, antysemityzmu i konserwatyzmu. Przez to samo już zraziła sobie ta misya stronnictwa liberalne, postępowe

i żydowskie, a trzeba pamiętać, że te stronnictwa w Berlinie samym rej wodzą. Zrazu natrząsali się postępowcy i Żydzi z Stöckera, ale wkrótce poczęli go nienawidzieć, kiedy nabrali przekonania, że wpływ jego wzrasta, i że działalność jego Bismarkowi jest na rękę. Pod ostatnim względem zaszła pewna zmiana, odkąd żelazny książe począł obawiać się, że stronnictwo zachowawcze dąży do wpływów politycznych, i gotowe byłoby do działania w porozumieniu z nienawidzonem mu centrum. Przyboczny organ księcia Bismarka nieraz zwracał Stöckerowi uwagę, że winien ograniczyć swą działalność na pole wyłącznie religijne.

Misya ta protestancka groźną jest dla tutejszej ludności katolickiej, a to z powodu, że znaczna część katolików żyje w małżeństwach mięszanych. Agenci Stöckera usiłują pozyskać potomstwo z takich małżonków, którzy zgadzają się, by dzieci swe wychować w religii katolickiej. Ażeby ocenić niebezpieczeństwo, trzeba znać fanatyzm tych agentów, natręctwo ich, a nadto pamiętać, jaką pokusę dla biedniejszej ludności stanowią znaczne fundusze, jakiemi Stöcker rozporządza. Pragnąc na nowy rok zasilić swą kasę misyjną, projektowali Stöckeryanie rozmaite zabawy pod opieką pań protestanckich, ale niepomyślny stan zdrowia cesarzewicza przeszkodził temu: potrzeba więc było inaczej poradzić sobie. Prawdopodobnie pod wpływem małżonki swej zainteresował się książę Wilhelm misyą wewnętrzną, i pragnął przez bogatsze rodziny niemieckie poprzeć działalność agentów Stöckera. W porozumieniu tedy z cesarzem i własnym ojcem zwołał książę poufne zebranie, które odbyło się w salonie hrabiego Waldersee. Zaproszenie otrzymały nie tylko osobistości znane z konserwatywnych zapatrywań i z przywiązania do zasad religijnych, ale także kilku polityków, należących do umiarkowańszych liberałów, i jeden z najbogatszych bankierów. Zaznaczyć warto, że pierwszy burmistrz Frankfurtu nad Menem, poseł Miquel, odgrywający ważną rolę w obozie narodowców liberalnych, podróżował z umysłu w owe dni, kiedy go zaproszenie dojść miało: otrzymał je w rzeczy samej dopiero po zebraniu. Miquel nie chciał widocznie zrazić sobie księcia odmową, a z drugiej strony nie było mu na rękę pracować razem z Stöckerem. Na temto zebraniu zgodzono się jednomyślnie na wsparcie misyi protestanckiej. Najciekawszym szczegółem jest jednakowoż to, że książe Wilhelm w przy-

dłuższem przemówieniu rozwodził się nad potrzebą religii dla mas ludowych i nad koniecznością pozyskania mas protestanckich dla „Kościoła“, oczywiście protestanckiego: zdaniem księcia będzie to najskuteczniejsza walka przeciwko anarchizmowi.

Temu wszystkiemu nie mieliby i liberalni Niemcy nic do zarzucenia, gdyby nie nazwisko Stöckera. Fanatyczny ten przeciwnik Rzymu, uważający się za drugiego Lutra, nie mógł tymczasem być pominiętym w sprawie, na czele której od lat się znajduje. Obecność jego spowodowała jednakowoż najprzód dzienniki żydowskie, które pierwszą wiadomość o zebraniu całem podały, do namiętnych wycieczek z obawy, że książe Wilhelm, w przeciwieństwie do cesarzewicza, przejdzie do obozu antysemitów. Wycieczki przeciwko księciu pruskiemu wywołały obronę ze strony prasy zachowawczej i prawowiernej. Niektóre dzienniki (*Kreuz-Ztg.* stanęła ostrożnie na uboczu) anektowały wprost dla siebie przyszłego cesarza Niemiec i rozwodziły się nad polityką wewnętrzną w taki sposób, jakby spodziewały się kiedyś większy na nią wywierać wpływ. Ta postawa prasy, wypowiadającej zapatrywania skrajnych zachowawców protestanckich, mianowicie kaznodziejów, rozjątrzyła nie tylko liberalne stronnictwo, lecz także i wpływowe sfery rządowe, które manewrowały w tej sprawie bardzo ostrożnie. Zrazu umieściła *Norddeutsche Allg. Ztg.* kilka cierpkich artykułów przeciwko Stöckerowi. Sądzono w kołach dziennikarskich, że większa ruchliwość jego dla tego jedynie została skrytykowaną, aby zbyt hałaśliwem występowaniem na zgromadzeniach politycznych nie psuł pięknej zgody między narodowcami liberalnymi a rządem. Nie przypuszczano jednak, aby strzały te godziły we wyżej stojącą osobistość. Dziś nie ulega to już wątpliwości. Rządowej prasie chodziło i chodzi o to, aby pouczyć księcia Wilhelma, jako przyszłego cesarza Niemiec, że bezwarunkowo nie powinien dopuszczać do większego wpływu Stöckera i ludzi podobnie pod względem religijnym usposobionych. Prasa rządowa usiłowała uśmierzyć obawy żydów, żydofilów i liberalnych protestantów, dowodząc, że nie ma niepodobieństwa, by kiedykolwiek członek rodziny Hohenzollerów mógł zapomnieć o wolnomyślnych w religijnym względzie tradycyach rodziny królewskiej. Kiedy umysły dostatecznie zdawały się przysposobione, nastąpiła główna napaść w *Post.* Organ ten tłumaczy księciu Wil-

helmowi, że wyższe warstwy społeczne w Niemczech czują największą odrazę do bigoteryi (Muckerthum und Stöckerei); jeśliby więc partyę Stöckera dopuszczono do odegrania w Niemczech roli ważniejszej, toby się od takiej polityki odwróciły szerokie sfery społeczne, i nie tylko rozpadłoby się obecne stronnictwo rządowe, lecz w ogólności Niemcom zagroziłoby niebezpieczeństwo. Śmiały atak — ani słowa!

W obec takiego wystąpienia organu ministeryalnego, nie dziw, że i inne dzienniki wzięły udział w pouczaniu księcia Wilhelma; odznaczyła się między niemi także *Kölnische Ztg.* pokazując, że południowe Niemcy całkiemby oziębły w stosunku do Prus, gdyby tu miała brać górę bigoterya. Takie postępowanie prasy do najwyższego stopnia zgorszyło *Kreuz-Ztg.*, główny organ zachowawców. W pierwszym artykule, poświęconym tej sprawie, zwróciła się ona wprost do ks. Bismarka, aby on, jako najlojalniejszy sługa tronu, gromkim swym głosem skarcił pisarków rządowych. Tym czasem organ ks. Bismarka powtórzył wywody *Post* i podobnych dzienników, a później skarcił nawet gazety zachowawcze, że nie chciały uznać słuszności owych wywodów. Kanclerz zresztą podobno poprosił cesarza Wilhelma, aby wnuka swego powstrzymał od zbyt bliskich stosunków z Stöckerem i jego stronnictwem.

Wszystko to wielce zadowolniło dzienniki liberalne i żydowskie, zwłaszcza kiedy jeden z rządowych dzienników wyraźnie oświadczył, że ks. Wilhelm miał powiedzieć, że on nie jest antysemitą. *Kreuz-Ztg.* krzyczała w niebogłosy, że książe tego nie powiedział, mianowicie nie w takim związku, jak ów dziennik rządowy rzecz przedstawił, ale rządowy telegraf pośpieszył roznieść po całych Niemczech owo zaparcie się tendencyi antysemickich. Że inspiratorom *Post* chodziło przeważnie o wycieczkę przeciwko ortodoksom i tak zwanej bigoteryi, widać z tego, że organ ten nie zarzuca Stöckerowi bynajmniej antysemityzmu: owszem organ ten ma w tym względzie jeszcze skrajniejsze niż sam Stöcker zapatrywania. Słuszność ma *Post* w tem, że wyższe warstwy społeczne wielki wstręt mają do bigoteryi; ale trzeba o tem wiedzieć, że przez bigoteryę rozumieją tu wszystko, co się gdzieindziej nazywa praktyką chrześcijańską. Organ rządowy trzyma się zasady Bismarka, że chrześcijaństwo jest

dobrą rzeczą, byle religia nie rościła pretensyi do kierowania czynnościami człowieka, a mianowicie, że religii nic do polityki.

Napaści prasy rządowej na Stöckera oburzyły jego zwolenników, stanowiących stronnictwo chrześcijańsko-socyalne. Partya ta obejmuje drobnych urzędników i rzemieślników, przyznających się do zapatrywań ortodoksów i przeważnie także do antysemityzmu; zwolennicy jej pragną przytem uchodzić za rządowców, stąd przy wyborach popierają kandydatów rządowi miłych. Stronnictwo Stöckera obchodziło w pierwszych dniach stycznia 10-letnie istnienie swoje. W ciągu tej uroczystości wystąpili prawie wszyscy mowcy (mianowicie Stöcker sam, poseł i dawniejszy amanuensis Bismarka, radca Hahn, profesor ekonomii narodowej przy uniwersytecie berlińskim Wagner, również poseł) przeciwko zaczepkom rządowych dzienników. Stöcker zaznaczył, że stronnictwo dotychczas dopiero agitacyą zajmuje się, że jednakowoż dąży do tego, aby jako partya ludowa przystąpić do akcyi politycznej. Zaznaczywszy, że antyżydowski i antypostępowy ruch w Berlinie nie może istnieć w oderwaniu od partyi chrześcijańsko-socyalnej, oświadczył on, że wszelki dziennik, który śmie przeciwko temu występować, podarty będzie przez zwolenników jego. Grzmiące oklaski towarzyszyły tym słowom, a wśród komersy Stöckeryanów uchwalono wreszcie adres do księcia Wilhelma. Ciekawiśmy, czy i jaka na to nastąpi odpowiedź.

Na zebraniu u hrabiego Waldersee uchwalono, że komitet, na czele którego stanął minister Putkamer, ma pomyśleć o zebraniu znacznych funduszów na cele misyi Stöckerowskiej. Dotychczas nie wiadomo jeszcze, czy komitet działalność swoję rozpoczął.

X.

Towarzystwo św. Wojciecha w Tarnowie.

Otrzymujemy z Tarnowa następującą korespondencyę:

Od lat kilkunastu pojawił się w całej środkowej Europie (a głównie w Niemczech i Włoszech) prąd reformatorski na polu muzyki kościelnej, zmierzający ku temu by liczne niewłaściwości, których się tak kompozytorowie jak i wykonujący dopuszczać poczęli, usunąć i muzyce kościelnej powrócić charakter dawny, jej

tylko właściwy i z zasadami obrządku kościelnego zgodny. Na drodze podjętej ku temu celowi, przyświecają reformatorom wielkie imiona Grzegorza wielkiego, Palestryny, Orlanda di Lasso, Vittorii, Etta i innych. Duch ten, który w Niemczech i Włoszech ogarnął znaczne zastępy muzyków i doczekał się aprobaty Stolicy apostolskiej poczyna się i u nas pojawiać.

W historyi naszej ojczystej muzyki kościelnej słyną mężowie wielkiego geniuszu i wielkiej zasługi jak Gomółka, Zieliński, Szamotulski, Gorczycki i wielu innych. Nie małą też rolę odegrała pieśń pobożna w życiu naszych przodków tak domowem jak publicznem. Wskrzesić zapomniane znaczenie tej pieśni, oczyścić muzykę kościelną z licznych niepotrzebnych naleciałości niezgodnych z jej pięknością, podnieść ogólne zamiłowanie do tych szczytnych płodów natchnienia i sztuki — oto zadanie jakie czeka wszystkich miłośników muzyki kościelnej.

Około spełnienia tego zadania krzątą się z prawdziwym zapałem i powodzeniem ks. Dr. Surzyński w Poznaniu a w ostatnich miesiącach powziął Najprzewielebniejszy ks. biskup Łoboś myśl zawiązania odpowiedniego temu celowi Towarzystwa w swojej tarnowskiej dyecezyi. Na jego to wezwanie zgłosiło się około 400 osób (kapłanów i świeckich) gotowych do przystąpienia do rzeczonego Towarzystwa. Powołana przez ks. biskupa rada, ułożyła statut, który c. k. Namiestnictwo reskryptem z dnia 25 listopada 1887, l. 72563 zatwierdziło, zaś ks. biskup Łoboś objął najwyższy zarząd i protektorat Towarzystwa, które się zawiązało p. w. „Towarzystwo św. Wojciecha“ w Tarnowie.

Towarzystwo to ma obejmować całą *dyecezyą tarnowską* i dążyć do podniesienia śpiewu i muzyki kościelnej, a w szczególności pielęgnować śpiew choralny, ludowy i figuralny oraz muzykę figuralną według przepisów kościoła katolickiego. Pomieniona rada zwróciła uwagę swoją przedewszystkiem na pielęgnowanie *śpiewu ludowego* przez podniesienie umysłowego poziomu organistów, jako bezpośrednich przewodników ludu w śpiewie, na *założenie szkoły organistów* w Tarnowie, oraz na *wydawnictwo śpiewnika ludowego*. Dowiadujemy się, że sprawa założenia szkoły organistów jest już w toku i że Towarzystwo wydało już własnym nakładem pierwszą część śpiewnika kościelnego zawierającą pieśni na adwent i kolendy. Śpiewnik ten rozesłano członkom Towarzystwa bezpłatnie; nie człon-

kowie mogą go nabyć po cenie bezprzykładnie niskiej, bo po 10 cnt. Wydanie odznacza się obok zgrabnego i eleganckiego formatu i dobrego papieru dokładnością i czystością melodyi, poprawnością tekstu i wybornemi wskazówkami co do rytmu i tempa, ułatwiającymi znakomicie wzorowe wykonanie tych pieśni. Rada zajęła się również sprawą *organizacyi orkiestry katedralnej* w Tarnowie, w tym celu, by już w najbliższym czasie mogły zabrzmieć w katedrze tej wspaniałe utwory wielkich mistrzów. Dnia 22 listopada 1887 w uroczystość św. Cecylii, wykonali członkowie Towarzystwa św. Wojciecha wielką mszę Mozarta nr. 6. Motet Menegal'ego „Jesu Salvator Mundi" — i Affertorium Etta „Tui sunt coeli". Zaś dnia 1 stycznia b. r. z okazyi jubileuszu 50-letniego kapłaństwa Ojca św. Leona XIII. w czasie Sumy, którą celebrował w assystencyi swojej kapituły, kleru i reprezentacyj wszystkich c. k. władz politycznych jakoteż autonomicznych ks. biskup Loboś, wykonało toż Towarzystwo św. Wojciecha w katedrze tarnowskiej Mszę solenną Bernarda Hahna nr. 6, oraz kilka kolend polskich w układzie czterogłosowym na chór mięszany i „Te Deum" Kemptera z orkiestrą. Dodajemy tutaj, że każdy katolik może zostać *członkiem czynnym* tegoż Towarzystwa, jeźli płaci rocznie 1 złr.; a członkiem wspierającym, jeźli płaci co najmniej 1 złr. Członkom *czynnym* i *wspierającym* przysługuje obok zwykłych w towarzystwach przyjętych praw, przywilej pobierania *bezpłatnego* wydawnictw Towarzystwa.

Nie potrzebujemy — zda nam się — polecać czytelnikom naszym sprawy podjętej przez rzeczone Towarzystwo i zachęcać wielu słowy do najlicznicjszego przystępowania do tegoż (zgłaszać się należy w kancelaryi konsystorza). Sprawa sama się zaleca a podnosimy tu tylko, że jest poniekąd patryotycznym obowiązkiem naszym, dziś, kiedy zewsząd na imię polskie uderzają, przywrócić dawny blask i świetność tej pieśni pobożnej, z którą na ustach nasi ojcowie szli na nieprzyjaciela, i która jeszcze w nie dawnej przeszłości była wyrazem narodowej niedoli. Rada złożona ze znanych w naszem mieście miłośników muzyki kościelnej daje też rękojmię, że sprawa świeżo przez nią podjęta, znajdzie w nich gorliwych obrońców i rozkrzewicieli. Szczęść Boże!

Druk ukończony dnia 24 stycznia 1888.

NAUKA RELIGII W GALICYJSKICH SZKOŁACH ŚREDNICH.

Luźne uwagi byłego katechety.

Rok 1849 stanowi datę pamiętną w dziejach publicznej edukacyi austryackiej. „Zarys organizacyjny“, obowiązujący po dziś dzień, a zatwierdzony postanowieniem cesarskiem z 16 września 1849, zarządził wcielenie dwuletniego kursu filozoficznego do gimnazyum, z nauk ściśle filozoficznych zachował jednak tylko psychologię empiryczną i logikę formalną, etykę zaś i metafizykę wykreślił z rzędu przedmiotów wykładanych w gimnazyum, natomiast położył nacisk na wiedzę materyalną uczniów w dziedzinie nauk matematyczno-przyrodniczych. Różnica między dawniejszem a teraźniejszem urządzeniem gimnazyów austryackich na tem jeszcze polega, iż przed rokiem 1849 powierzano profesorowi całą naukę w jednej klasie, obecnie zaś wykładają nauczyciele w rozmaitych klasach ten przedmiot wyłącznie, do którego uzyskali naukową kwalifikacyę: nauczyciele klasowi ustąpili miejsca nauczycielom fachowym.

Według urzędowych oświadczeń[1], nowoczesne gimnazyum austryackie nie ma zgoła cechy wyznaniowej; i rzeczywiście, skoro posady nauczycielskie na mocy ustaw są dostępne dla wszystkich obywateli państwa, bez różnicy wyznania, nie może być mowy o tem, aby całe wychowanie gimnazyalne odbywało się w duchu wyznania jednego. „Religia“ zajmuje miejsce bardzo skromne w teraźniejszych szkołach średnich; jestto jeden z wielu przedmiotów nauki, nic więcej.

[1] Ob. Bericht über das oesterr. Unterrichtswesen. Wien, Hölder. 1873 I. Theil, S. 153.

To przeobrażenie edukacyi gimnazyalnej musiało pociągnąć za sobą zmianę w nauczaniu religii katolickiej. Plan, uchwalony przez Biskupów austryackich na konferencyi odbytej w r. 1849, wychodzi z zasady, że w gimnazyum niższem trzeba dla zainteresowania młodzieży przedstawiać prawdy wiary z rozmaitych punktów widzenia. Po treściwem wyłuszczeniu zasad wiary i moralności w klasie I. następuje przeto, jako uzupełnienie katechizmu, wykład obrzędów kościelnych w klasie II.; na klasę III. IV. przypada historya Objawienia Bożego w starym i nowym zakonie. We wyższem gimnazyum rozszerza się i gruntuje wiedzę religijną uczniów przez wykład dogmatyki ogólnej (apologetyki) w klasie V., dogmatyki szczegółowej w klasie VI., etyki w klasie VII. Zakończenie stanowi historya kościelna w klasie VIII.

Ten plan został w Galicyi zmieniony w ten sposób, że liturgikę przesunięto z klasy II. do IV. Według niego urządzono też naukę religii w gimnazyach realnych i szkołach realnych z tą zmianą, iż w szkołach realnych, liczących obecnie klas siedm, bierze się dogmatykę ogólną i szczegółową w jednym roku, tj. w klasie V.

Jakież owoce praktyczne wydaje edukacya religijna teraźniejszych szkół średnich w Galicyi? Inteligencya galicyjska wychowana według nowego systemu, nie ma wyraźnej niechęci do Kościoła i jego przedstawicieli: bierze udział w nabożeństwie kościelnem, jeśli przyzwoitość, względy służbowe lub racye patryotyczne tego wymagają; chętnie ustępuje księżom pierwszeństwa w zebraniach towarzyskich; przy sposobności uchwala adres do Ojca św. Ale czy większa jej część odmawia pacierz, czy odprawia spowiedź wielkanocną, czy w ogóle ma jakie żywo odzywające się potrzeby religijne? Ślady życia prawdziwie chrześcijańskiego rzadko się pojawiają w warstwach wykształconych naszego społeczeństwa, a z praktycznym indyferentyzmem idzie w parze nie tyle niedowiarstwo, ile raczej gruba niewiadomość kardynalnych prawd objawionych. Jeżeli zaś tak jest, to niesłusznie składanoby całą winę i odpowiedzialność na naukę religii, udzielaną w naszych szkołach średnich; są tutaj w grze czynniki rozliczne, których zrównoważyć nie potrafi praca katechetów.

Ale czy systemowi, jakiego się trzymamy w udzielaniu religii uczniom szkół średnich, nic nie można zarzucić? czy jest on możli-

wie najdoskonalszy? czy pewne zmiany nie przyczyniłyby się do osiągnięcia pomyślniejszych, niż dotychczasowe, rezultatów? Odpowiedzią na te pytania zajmuje się u nas poważny szereg memoryałów, artykułów dziennikarskich i rozpraw [1], napisanych przeważnie przez katechetów uczących w szkołach średnich. Do najcenniejszych prac w tym kierunku należy rozprawa ks. Szymona Zuzaka umieszczona w programie gimnazyum sanockiego r. 1884 i świeżo ogłoszona drukiem rzecz ks. lic. Karola Zoellera p. t.: „O planie nauki religii w naszych szkołach średnich". Uważne czytanie prac wspomnianych nastręczyło mi kilka uwag, które podaję do wiadomości w tem rozumieniu, że dyskusya nad tym przedmiotem ważnym jest pożądaną i niezbędną do rozjaśnienia i załatwienia poruszonych kwestyj. „Mniemania wysuwają się naprzód, jak pionki na szachownicy: mogą być pobite, ale spełniły swoje zadanie, skoro rozpoczęły partyę, która zostaje wygraną". Wychodzę z założenia, że nie należy być nadto pochopnym do projektowania zmian w obowiązującym planie, bo jakkowiek jego twórcy uważali go za rzecz tymczasową, prowizoryczną [2], to przecie istnieje on już 38 lat, ma więc za sobą powagę wieku, świat się doń przyzwyczaił, a wszelka „zmiana zwyczaju, chociaż się zaleca pożytkiem, sprawia zamęt nowością" (św. Aug.). Słusznie przeto mogą się domagać gruntownego uzasadnienia proponowanych zmian Najprz. XX. Biskupi — a od nich zależy decyzya.

Po tej wstępnej uwadze przystępuję do przedstawienia dezyderatów, odnoszących się do nauczania religii w gimnazyum niższem.

I.

Najważniejszym przedmiotem udzielanym w gimnazyum niższem jest bezsprzecznie nauka katechizmu. Katechizm to streszczenie

[1] Wymienia je Zuzak w rozprawie: Nauka religii w szkołach. Sanok 1884, str. 3 i 4.

[2] We wstępie, poprzedzającym plan, znajdują się te słowa: „Die neue Einrichtung der Gymnasien hat von der Hand die Geltung eines Entwurfes, welcher seine Bestättigung oder theilweise Berichtigung von der Erfahrung erwarten muss. Bis zu dem Zeitpunkte der entgiltigen Feststellung wird man auch über die Verbesserungen, deren der Religionsunterricht bedarf, Erfahrungen gemacht haben, welche zur Erzielung möglichst vollkommener Uebereinstimmung den Weg bahnen werden".

zwięzłe a zupełne nauki katolickiej, którego poszczególne słowa i zwroty tak dokładnie zostały odważone, że ta książka zawiera w sobie najczystszą esencyę dogmatów wiary i obyczajności chrześcijańskiej. Jest to kodeks wiary i moralności, do którego każdy inny przedmiot nauczania religijnego winien się odnosić jako do swego początku i celu. Uczeń zaś powinien katechizm objąć pamięcią, rozumem, wolą i sercem, powinien prawdy katechizmowe pamiętać, zrozumieć, ukochać i zrobić niewzruszoną modłą życia. Aby się to stało, potrzeba, iżby prawdy katechizmowe znalazły w katechecie biegłego i gorliwego o chwałę Bożą tłumacza. Wszakże katechizm posługuje się mową dla dzieci niezrozumiałą, trudną, tajemniczą, mową Kościoła św. „Uczyć katechizmu to znaczy wprawiać młodzież do rozumienia i poprawnego władania językiem Kościoła, tym językiem wzniosłym, jedynym, nieśmiertelnym, który nie ustanie, gdy wszystkie inne języki ustaną, bo wyraża prawdy wieczne i głosi między ludźmi słowa królestwa niebieskiego„ (Dupanloup). Równie ważne — jak zrozumienie — jest dla ucznia przyswojenie sobie odpowiedzi katechizmowych dokładne, dosłowne. Jeżeli katechecie nie wolno odstępować od sposobu mówienia ustalonego w Kościele, to tem bardziej uznaniu i chwilowemu natchnieniu młodzieży nie można zostawić doboru wyrazów, określających pozytywną naukę Kościoła. Coraz powszechniejsza na to zgoda [1], i sprawę po tem, co o niej napisano, można uważać za ubitą i załatwioną — w teoryi. W praktyce zaś przedstawia się ona inaczej, przynajmniej u nas. Są katecheci bardzo sumienni, którym braknie odwagi, żądać od młodzieży dosłownego wyuczenia się na pamięć katechizmu. I nie można się temu dziwić. Katechizm używany w naszych gimnazyach nie zostaje w związku z książką przepisaną dla szkół ludowych, nie opiera się na niej jako na swojej naturalnej podstawie. Trzyma się innego porządku w pytaniach, ma swój język (nie zawsze poprawny), daje odmienne (częstokroć nie dość ścisłe) definicye. Dostaje się zatem do rąk uczniów jako rzecz zupełnie nowa. Wyuczenie się na pamięć takiej książki wymagałoby niesłychanego trudu. A czy się ta praca

[1] Por. Dupanloup, Entretiens sur le catechisme. Paris. Douniol 1869 p. 133; Stöckl, Lehrbuch der Pädagogik. Mainz. 1873 S. 338; Ohler, Lehrbuch der Erziehung § 190—198; Zoeller str. 5.

opłaci, skoro po roku nauki, już się więcej do katechizmu nie wraca, a młodzież, zanim przyjdzie do studyowania dogmatyki, gdzieby się jej przydała wiedza katechizmowa, ma czas zupełnie wystarczający do zapomnienia tego, co, choćby najdokładniej, zostało przyswojone w klasie I. Słusznie powiada ks. Zuzak (str. 79): „katechizm dla szkół średnich powinien zawierać dosłownie tekst cały, zawarty w katechizmie przepisanym dla szkół ludowych, on musi być tylko rozszerzonym i gruntowniejszym katechizmem ludowych szkół... katechizm, używany w szkołach ludowych, z temi samemi pytaniami, z tym samym podziałem na części, a co najważniejsza, z temi samemi definicyami, znajdować się powinien w obszerniejszym dla szkół średnich katechizmie". Temu żądaniu przedwcześnie zgasłego katechety stanie się według wszelkiego prawdopodobieństwa zadość w niedalekiej przyszłości [1]. Wtedy zaś wymaganie odpowiedzi, dosłownie zgodnych z katechizmem, nie obarczy młodzieży pracą nad siły, bo nauka nie będzie mozolnem wbijaniem w pamięć formuł nowych, lecz stanie się w znacznej części powtórzeniem rzeczy już znanych uprzednio.

Że nauce katechizmu należy poświęcić najgłówniejszą uwagę, że w metodzie nauczania na to baczyć potrzeba, iżby uczeń wszystkie władze swej duszy oddał na usługi nauce Zbawiciela, więc nie tylko rozum i wolę, lecz także pamięć, że prawdziwego po-

[1] Ks. Maryan Morawski T. J., obecnie profesor dogmatyki w uniwersytecie Jagiellońskim, przełożył właśnie na język polski katechizm Deharb'a najmniejszy i średni. Manuskrypt zostaje w ręku Władz. Poprawność językową i dogmatyczną poręcza imię tłumacza i stanowisko jakie zajął we współczesnej literaturze filozoficzno-teologicznej. Jeżeli ten przekład zostanie zaprowadzony w galicyjskich szkołach ludowych, to sądzę, że ks. Morawski zechce uwieńczyć swą pracę i zapewnić jej trwały pożytek przez przekład większego katechizmu, któryby oddał znakomite usługi w szkołach średnich. W ten sposób piekąca kwestya podręczników szkolnych, o ile dotyczy katechizmów, zostałaby pomyślnie rozwiązaną. Mielibyśmy *jeden* katechizm na wszystkich stopniach nauki szkolnej: katechizm najmniejszy stanowiłby niezmienne jądro, a katechizm średni wszedłby cały ze swoim układem i swemi określeniami w ramy katechizmu większego. Byłato myśl szczęśliwa, że tłumacz, zamiast kusić się o napisanie oryginalnego dzieła, wolał poprzestać na dobrem przełożeniu Deharb'a, który ma ustaloną reputacyę w sferach kompetentnych, celuje porządkiem logicznym i metodycznym i, co jest rzecz najważniejsza, układem swoim nadaje się tak dobrze do obecnego ustroju szkół naszych.

żytku z pracy tak uczniów jak katechety dopiero wtedy spodziewać się będzie można, gdy zamiast dwóch lub trzech katechizmów wejdzie w życie jeden, starannie opracowany, katechizm prowincyonalny, z którego dokonane wyciągi dosłowne mogą nosić miano katechizmu mniejszego i średniego: to wszystko przyznaję i zapewne także przyzna w przyszłości każdy zajmujący się na seryo sprawą wychowania religijnego. Niezgoda rozpoczyna się dopiero wówczas, gdy na porządku dziennym staje pytanie: w której klasie uczyć katechizmu? Obecnie zdaje się przeważać zdanie, że tę naukę wypada rozłożyć na dwie klasy, ponieważ za dni naszych zanadto osłabione zostało poczucie potrzeby religii, jako czynnika nadprzyrodzonego w życiu państw i społeczeństw, a tem samem i w szkolnem wykształceniu młodzieży, aby myśleć nawet można, by w szkołach średnich większą liczbę godzin przeznaczono na naukę religii. (Zoeller str. 11). Bezimienny autor artykułu ogłoszonego w Wiadomościach kość. n. 24, r. 1880 uważa za najodpowiedniejszą po temu klasę II. i III., ks. Zuzak klasę I. i II., ks. Zoeller klasę III. i IV. Na dnie tych niezgodnych projektów leży jedno, wspólne wszystkim życzenie: więcej katechizmu! Życzenie to spełnić w ten lub inny sposób nakazuje interes wychowania religijnego młodzieży. Jeden rok dla katechizmu a trzy lata dla tego, co stanowi katechizmu okrasę, ilustracyą, uzupełnienie, to nie jest stosunek normalny.

Ale jaki sposób przywrócenia katechizmowi praw jemu przynależnych wydaje się najodpowiedniejszym? Ks. Zuzak z planu obecnie obowiązującego nie zostawia kamienia na kamieniu, a potrzebę tego radykalnego przewrotu motywuje bardzo słabo, do gruntu zaś zepsuł swoją sprawę tem, iż chce mieć w niższem gimnazyum historyę kościelną, przedmiot tamże dotychczas nie wykładany, gdy już samo wymaganie dwóch lat nauki dla katechizmu wywołuje ambarasujące pytanie, co począć z historyą star. i now. zakonu, jakoteż z liturgiką, mającemi za sobą tytuł faktycznego posiadania. Za pomysłem Ks. Zoellera (i anonima z n. 24 Wiadom. kość. 1880) przemawia ta okoliczność, że uczeń w klasie III., dla większej dojrzałości umysłowej, łatwiej zdoła niż w klasie I. przejrzeć „zasłonę niecałkiem dotychczas zrozumiałych wyrazów, przykrywającą głębię prawd objawionych“, pojąć „ich doniosłość, ich

organiczny związek, ich piękność, ich siłę" i wytworzyć w sobie to wewnętrzne *gaudium fidei*, o którem mówi Apostoł. Atoli propozycya Ks. Zoellera natrafia na przeszkody wcale poważnej natury. „Nauka katechizmu — to są własne słowa Ks. Zoellera — ... nigdy nie odstąpi od tego, bo odstąpić nie może, by... całość prawd objawionych dosłownie przez ucznia została przyswojoną" (str. 5). Owoż, jeżeli od ucznia w klasie I. i II. wymagał katecheta jedynie zapamiętania treści zawartej w historyi biblijnej, a pozwalał, czego nie pozwolić nie można, wyrażać się własnemi słowami, to uczeń ten, doszedłszy do klasy III., ciężki a świeżo włożony obowiązek dosłownego wyuczenia się na pamięć odpowiedzi katechizmowych będzie uważał za ucisk niesprawiedliwy, któremu stawi opór tem energiczniejszy, iż z wzrastającą siłą wzrasta też poczucie siły. Nadto, jeżeli „ta odrobina wiedzy religii, którą uczniowie w ogólności do szkół średnich przynoszą, jest tak małą, wiotką i prawie nieuchwytną, że katecheta szkół średnich nie ma... nauki... ani na czem oprzeć, ani do czego nawiązać (str. 9), to zdaje mi się, iż trzeba w takim razie rozpocząć naukę od tego, co dla duszy i jej zbawienia najniezbędniejsze, od tego, co chrześcijanin przyszedłszy do używania rozumu wiedzieć i wierzyć powinien *necessitate medii et necessitate praecepti*.

A czy nie możnaby zachować ogólnych ram planu obecnie obowiązującego, a przecie poświęcić więcej czasu nauce katechizmu, niż się to praktykowało dotąd? Sądzę, iżby się to uskutecznić dało. Liturgika wiąże się z nauką katechizmu o łasce, o modlitwie, o sakramentach św. i sakramentaliach. Powtórzyć ten dział katechizmu w czasie przeznaczonym na liturgikę, tego plan nie żąda wyraźnie, ale też nie zabrania, a względy dydaktyczne doradzają Podobnie łączy się historya nowego zakonu z przeważną częścią składu apostolskiego, a historya zakonu starego, mianowicie zaś ustęp o ustawodawstwie Mojżeszowem, z nauką katechizmu o dziesięciorgu przykazań Boskich.

To mnie nakłania do zaproponowania następującego rozkładu materyału naukowego na poszczególne klasy niższego gimnazyum:

1. Na klasę I. przeznaczam, zgodnie z planem, katechizm cały. Wstępujący do gimnazyum katolik jest przedewszystkiem uczniem Chrystusowym, nie wypada zaś nazywać się uczniem Chry-

stusa, a nie znać jego nauki. Za umieszczeniem w klasie I. katechizmu raczej, niż historyi biblijnej, przemawiają względy pedagogiczne i dydaktyczne. Wiele na tem zależy, aby dzieciak zaraz u wstępu do szkoły średniej poznał, że naukę traktować trzeba poważnie. Takich uczniów mamy w klasach wyższych, jakich sobie przysposobimy w klasie najniższej. Otóż katechizm nierównie więcej przynagla uczniów do skupionej uwagi i wytężonej pilności niż historya. Wykład historyi odbywa się w formie dłuższego opowiadania, wykład katechizmu nosi cechę konwersacyi, w której cała klasa żywy bierze udział. Pytania i odpowiedzi są krótkie, łatwo katechecie przepytać w godzinie choćby dwudziestu uczniów, uczeń więc nie czuje się nigdy bezpiecznym, przywyka do uwagi, nie spuszcza się na to, że był pytanym. Oprócz tego nie trzeba zapominać, że względnie najpotulniejszym i najpilniejszym bywa uczeń świeżo wstępujący do zakładu, sprawia to urok nowości, jaki ma dla niego szkoła średnia, i wymowne upomnienia rodziców, którym wysoka opłata szkolna i wydatki łożone na książki jakoteż inne przybory naukowe, dały wysokie wyobrażenie o cenie nauki; jeżeli tedy chodzi o dosłowne przyswojenie sobie katechizmu, to przeforsować to żądanie najłacniej w klasie I. Ale czyż nie nabyli „światli a doświadczeni katecheci przekonania, że katechizm nie da się wyczerpnąć w klasie I.“? (Zuzak str. 80). Nie przeczę, że trudno przerobić gruntownie w jednym roku, przy dwóch godzinach nauki, wszystkie pytania, zawarte w katechizmie czy Schuster'a czy Deharb'a większym. Lecz to również pewna, że można, ograniczywszy się na omówieniu pytań najgłówniejszych, dać uczniom z końcem roku całość zaokrągloną wiedzy katechizmowej, wystarczającą, by młody chrześcijanin, wedle upomnienia Pisma św., *żył z wiary* [1], *stał we wierze* [2], *złemu sprzeciwiał się we wierze* [3]. Czy dla dopięcia tego celu przejdzie katecheta pytań dwieście (po 3—4 na godzinę), czy trzysta (po pięć na godzinę) lub więcej, to zależy od zdolności, uwagi, liczby uczniów, a stanowi o tyle okoliczność mniejszej wagi, że później znajdzie się sposobność uzupełnienia tego, co musiało być pominięte w klasie najniższej. Nie żądam więc rzeczy niepodobnych, nie naglę do szkodliwego pośpiechu. Dobry katecheta to Jakób Patryarcha, pielgrzymujący na czele mnogiej drużyny do ziemi obie-

[1] Rzym. I. 7. [2] I. Kor. XVI. 13. [3] I. Piotr. V. 9.

canej. Rozumiem, że choć mu pilno, zwalnia nieraz kroku, że z Ezawem, przywykłym do raźnego pochodu, nie chce razem podążać, z obawy, iż skutkiem umęczenia padną mu dnia którego dzieci, owce i cielęta [1].

2. Na klasę II. przypadłaby historya św. starego zakonu *i gruntowne przerobienie, na podstawie katechizmu, nauki o przykazaniach boskich i kościelnych, o grzechu, cnocie i doskonałości chrześcijańskiej.* Wyobrażam sobie rzecz tak, że katecheta w dwóch pierwszych miesiącach roku szkolnego opowie dzieje starego zakonu aż do ogłoszenia dekalogu na górze Sinai. Potem nastąpi nauka wspomnianej części katechizmu i potrwa mniej więcej cztery miesiące. Zostanie jeszcze cztery miesiące na dokończenie dziejów starego zakonu. W opracowaniu podręcznika dla historyi tak nowego jak starego testamentu, trzebaby w pierwszym rzędzie uwzględnić zasadę, że historya biblijna jest dla katechizmu, że stanowi naukę pomocniczą, a katechizm naukę główną, że więc wszystkie ustępy z biblii, na które się powołuje katechizm, powinny się znaleść w podręczniku biblijnym [2]. Co do typiki starego zakonu, to nie można nie pisać się na zdanie Deharb'a [3], że skuteczną tamę racyonalizmowi kładzie wpojenie w umysły młodociane tej prawdy, iż od wieków istnieje jedna tylko i jedyna religia prawdziwa, objawiona od Boga, której alfą i omegą, węgłem i szczytem jest Jezus Chrystus. Sądzę jednak, że cel, o który chodzi uzyskany zostanie łacniej, jeżeli się zestawi w jeden ogólny obraz główniejsze przedobrażenia Zbawiciela i jego dzieła, niż gdy się bierze, jak to bywa pospolicie, każdą figurę z osobna w ciągu opowiadania historycznego. Stosowne zakończenie podręcznika dla historyi starego zakonu stanowiłby paragraf, przedstawiający w dziejowym porządku ważniejsze proroctwa mesyańskie. Katecheta znowu, traktując historyę starego lub nowego zakonu, winienby, zdaniem mojem, mniej dbać o zapełnienie głów dziecięcych wiadomościami archeologicznemi

[1] Gen. XXXIII. 13.

[2] Ks. Fryderyk Friess podjął się zestawienia wszystkich biblijnych historyj i przykładów, o których jest wzmianka w średnim katechizmie Deharb'a. Owocem tej pracy jest jego „biblia dla dzieci“ (Kinderbibel) o 112 numerach ze starego a 141 numerach z nowego testamentu wziętych. Książka wyszła u Pusteta w Regensburgu r. 1876.

[3] Erklärung des kath. Katechismus, 4 Bd. (Religionsgeschichte), Vorrede.

i etnograficznemi, a więcej dążyć wytrwale ku temu, iżby uczniowie ukochali cnotę i wytworzyli sobie sąd jasny a zdrowy o zadaniu i powinnościach życia. Boć minął ten czas, kiedy nieprzyjaciele krzyża Chrystusowego akcentowali potrzebę moralności, aby pod tą maską przybraną bezpieczniej i z większem powodzeniem nacierać na wiarę. Dzisiaj etyka katolicka równie a może więcej narażona jest na pociski, niż dogmatyka. Beletrystyka i wrzekomo naukowe „dzieje cywilizacyi“ balamucą sumienie do reszty. Niechże historya św. będzie lekarstwem działającem przeciw tej truciznie.

3. Dla klasy III. przeznaczam historyę nowego zakonu i *wykład dwunastu artykułów wiary*. Dzieje nowego test. aż do nawrócenia św. Pawła byłyby osnową nauki w kursie pierwszym, w drugim należałoby uporać się ze składem apostolskim w czterech miesiącach, na miesiąc ostatni przypadłby obraz dziejowy Kościoła we wieku apostolskim na tle biografii św. Pawła. Czas potrzebny dla katechizmu w tej klasie tak samo jak w poprzedniej oznaczam w przybliżeniu. Tu i tam punkt ciężkości leży w nauce katechizmu, wzgląd na jej gruntowność rozstrzyga ostatecznie kwestyę, w jakich rozmiarach ma się odbywać opowiadanie historyczne [1].

4. Dla klasy IV., zostaje liturgika *wraz z nauką katechizmową o łasce, sakramentach św. i sakramentaliach, o ofierze Mszy św. i modlitwie*. Wiadomo, że głosy bardzo poważne oświadczają się za wykreśleniem liturgiki, jako przedmiotu oddzielnego a domagają się, aby wcielić do nauki katechizmu główne i istotne części liturgii. „W tem dopiero połączeniu... abstrakcyjne prawdy katechizmowe zyskają na wyrazie konkretnym i na uzmysłowieniu praktycznem, liturgia zyska na pogłębieniu dogmatycznem i na treści wewnętrznej“ (Zoeller str. 11). „Nauka liturgii zyska na tem, gdy się ją łącznie traktować będzie z katechizmem, boć katechizm i li-

[1] Czy publiczna działalność Chrystusa P. ma być przedstawiona w porządku rzeczowym, jak to czyni ks. Dąbrowski w swoim podręczniku, czy też w porządku chronologicznym, jak się tego domaga ks. Zoeller (str. 10), o to się tutaj nie spieram. Nadmieniam tylko, że ugrupowanie faktów w porządku chronologicznym może być przeprowadzone jedynie na podstawie prawdopodobniejszych albo mniej prawdopodobnych przypuszczeń i hipotez; że zaś w nauce gimnazyalnej, miejsce znaleść winno to wyłącznie, co pewne i niewzruszone, temu chyba nikt nie zaprzeczy.

turgia, to dusza i ciało“ [1]. Czcigodni wnioskodawcy jasno okazują, że nie zrozumie liturgii, kto wpierw nie poznajomił się z katechizmem, ale ich wywody nie rozstrzygają pytania, co lepiej zaradza potrzebom duchowym naszej młodzieży, czy systematyczna liturgika, czy okazyonalne poruszanie kwestyj liturgicznych w nauce katechizmu. Ku poparciu mojego projektu, o ile się odnosi do nauki w klasie IV., niech przemówią następujące powody: *a*) Chrześcijaństwu przysługuje nie mniej predykat piękna jak prawdy i dobra. To piękno religii Chrystusowej w całej pełni uwidocznia się w kulcie katolickim i dochodzi do naszej świadomości, skoro potrafimy — pośredniczy tu liturgika — objąć duchem całość kultu katolickiego, pochwycić jego myśl przewodnią, wyrozumieć związek organiczny części jego składowych. Już zaś w usposobieniu ludzi wielka bywa rozmaitość: dla jednych największy urok ma prawda, drudzy na pierwszym planie stawiają dobro, innych wreszcie, a jest ich nie mało, interesuje głównie rzeczy w ogóle, a chrześcijaństwa w szczególności piękno. Tem się tłumaczy wielkie powodzenie i zbawienny wpływ, jaki wywierała niegdyś książka Chateaubriand'a: *Génie du christianisme*, tu szukać należy ludzkiej przyczyny zbliżenia się do pojęć katolickich i licznych nawróceń, dokonanych ostatnimi czasami w Anglii, skutkiem tak zwanych ruchów puzeistycznego i rytualistycznego [2]. Jeżeli więc nauka religii w szkole średniej ma *się stać wszystkiem dla wszystkich*, *aby wszystkie zbawić* [3], to winna też okazać w systematycznej liturgice całą krasę i ozdobę kultu katolickiego. W klasie IV. nauka taka przysporzy duszom tem większego pożytku, że młodzież jest już dosyć rozwiniętą, aby mieć oczy otwarte i serce przystępne dla piękna. *b*) Nie zapominajmy, że chłopcy, którzy doszli do klasy IV., to bądź co bądź nasza inteligencya w zarodku. Ogół zaś inteligencyi grzeszy obecnie zaniedbaniem ćwiczeń religijnych, które, jak pochodzi ze zwątlenia wiary, tak prostą drogą wiedzie do niedowiarstwa. Jeżeli z czasem ma być lepiej, to w przy-

---

[1] Sprawozdanie komisyi w sprawie reformy szkół średnich powołanej przez Akademię Umiejętności str. 134.

[2] Por. Brückmann, Ritualistische Bewegung in England, Wiesbaden 1882.

[3] I. Kor. IX., 22.

szłej inteligencyi kraju, w uczniach szkół średnich, trzeba cucić i rozwijać ducha pobożności, zachęcać do modlitwy, nakłaniać do żywego udziału w nabożeństwie kościelnem, przynaglać do przyjmowania Sakramentów św. Jestto jeden z głównych celów, który wytknąć sobie powinien katecheta zatrudniony w szkołach średnich. Im więcej świat przesiąkły i zatruty naturalizmem, stroni od praktyk religijnych, tem głębiej wszczepiać należy w serca młodzieży poczucie ich potrzeby. Od tego, czy młodzieniec posiada lub nie posiada ducha pobożności, zależy cały kierunek życia późniejszego. Tyle człowieka, ile zamiłowania Bożego; bez łaski i tego, co łaskę daje, nie ma życia nadnaturalnego; ale zdroje łask wówczas chyba najniezbędniejsze, kiedy wyrostek przestaje być dzieckiem, kiedy zakipią namiętności, instynkty nie dobrze się zbudzą, a rozum za słaby, by je utrzymać na wodzy. Uratowany jest młodzieniec, który się modli i godnie przystępuje do św. Sakramentów. Jedno i drugie nastąpi pod wpływem nauk katechizmowych, którym wtoruje liturgika [1], prawiąca o piękności, pożytkach i zacności modlitwy publicznej i prywatnej.

Z tego, com właśnie powiedział, łatwo poznać, jaką treścią chciałbym widzieć wypełnionym podręcznik liturgiczny, przeznaczony dla użytku młodzieży szkolnej. Wprawdzie liturgia w znaczeniu kościelnem oznacza właściwie cześć *zewnętrzną*, według norm stałych oddawaną Bogu, za wiernych i w połączeniu z nimi, przez osoby hierarchiczne, występujące w imieniu i zastępstwie niewidomej głowy Kościoła, Jezusa Chrystusa. Ale w znaczeniu szerszem, może być synonimem czci Bożej tak wewnętrznej jak zewnętrznej, i w tem znaczeniu użyłbym wyrazu, gdyby mi przyszło układać liturgikę dla

[1] W nauce katechizmu wolno katechecie poruszyć i omówić sprawy liturgiczne, ale w katechizmie samym na pytania i odpowiedzi z dziedziny ścisłej liturgiki nie ma miejsca. Katechizm tem stoi i stąd idzie jego powaga, że nic nie zawiera nad to, co jest przedmiotem *fidei divinae et ecclesiasticae*. „Der Katechismus — powiada ks. Stockl l. c. str. 334 — ist eine kurze und bündige Zusammenfassung des gesamten Inhaltes der christkatholischen Religion in Form von Fragen und Antworten. Der Katechismus soll daher nicht dazu dienen, die religiösen Wahrheiten zu begründen oder eingehend zu erklären: er soll nur den positiven Inhalt der Religion in geordneter Stufenfolge kurz, klar und bestimmt darlegen".

młodzieży, uczęszczającej do szkół średnich. Więc rozwinąwszy pojęcie czci Bożej i uzasadniwszy jej konieczność, pomówiłbym wyczerpująco o akcie zwyczajnym czci Boskiej tj. o modlitwie, jej znaczeniu dla życia chrześcijańskiego i skuteczności. Nauce o modlitwie myślnej czyli rozmyślaniu należałoby się tutaj szczegółowe uwzględnienie [1]. Po rozdziale o czci Bożej wewnętrznej nastąpiłby drugi o czci zewnętrznej czyli liturgika w ścisłem pojęciu słowa. Tu na pierwszem miejscu pomówićby wypadało o Kościele, jako mistycznem ciele Chrystusowem i rozwinąć te myśli:

Po wniebowstąpieniu Zbawiciel stał się dla wiernych swoich na ziemi niewidzialnym wprawdzie, ale bynajmniej nie obcym i dalekim. Wszakże obiecał, że *będzie z nimi po wszystkie dni, aż do skończenia świata* [2]. Przez łaskę usprawiedliwiającą, którą nam Zbawiciel wysłużył, ścisły wytwarza się związek między sprawiedliwymi a Chrystusem Panem, oni *są w Chrystusie Jezusie* [3], *Chrystus w nich jest* [4], *oblekli się w Chrystusa* [5]. To połączenie nie jest ani osobowem, ani też moralnem jedynie, ale realnem, choć tajemniczem, mistycznem. Wyższego rzędu unia istnieje między Zbawicielem a stanem kapłańskim. *Qui ordinantur, Christo incorporantur* [6]. Tymi, co otrzymali święcenia kapłańskie zastępuje się Zbawiciel, jako *lepszego testamentu pośrednik* [7], a raczej używa ich

[1] Nauka ta praktyczne owoce przyniesie dopiero wtedy, gdy się uczniom da sposobność wypróbowania swych sił i zużytkowania nabytej wiedzy w ćwiczeniach piśmiennych. W szkołach pruskich zadają katecheci uczniom co semestr po kilka wypracowań piśmiennych na temat religijny. Nie wiem, czemu u nas nie możnaby zażądać od uczniów w klasie IV. i następnych, by co kursu na podstawie tego, o czem dowiedzieli się z wykładu katechety lub egzorty, ułożyli jednę lub dwie medytacye ze ścisłem zachowaniem wypróbowanej metody św. Ignacego. Czy wielu z uczniów zasmakowałoby w tem ćwiczeniu i nieodłącznej odeń lekturze duchownej tego nie przesądzam. Ale choćby się uzyskało tyle tylko, żeby młodzież szkolna z własnego doświadczenia przekonała się, iż *frequens meditatio est carnis afflictio*, że modlitwa jest pracą, a życie kontemplacyjne zakonów nie jest próżniactwem: to trud katechety i uczniów jużby był sowicie wynagrodzony.

[2] Mat. XXVIII. 20.

[3] Rzym. VIII. 1.

[4] Rzym. VIII. 10.

[5] Gal. III. 27.

[6] Honorii Augustodun. Sacramentarium cap. 24.

[7] Żyd. VIII. 7.

jako sługi swoje *(ministri Christi)* i narzędzia, przez które spełnia swój nieustający urząd arcykapłański i zbawienie ludzi sprawuje. Kościół to ciało mistyczne, którego Chrystus Pan głową a sercem ofiara eucharystyczna. Wszystkie czynności liturgiczne wykonywa w pierwszym rzędzie niewidoma głowa Kościoła, Jezus Chrystus; kapłani i lud wierny zajmują stanowisko drugorzędne [1].

Po tem wstępnem słowie, okazującem w świetle jasnem a prawdziwem, bo dogmatycznem: znaczenie, wagę i doniosłość kultu katolickiego, można wejść w szczegóły i rozprawiać o miejscach, czynnościach, czasach św. W nauce o miejscach św. należałoby umieścić treściwy a popularny wykład o sztuce chrześcijańskiej. Ilustracye, wybrane np. z dzieła Jakoba: „Die Kunst im Dienste der Kirche“, podniosłyby pożyteczność książki. W nauce o czynnościach św. pominąłbym szczegóły drobniejsze i to jedynie poruszył, co samo wpada w oczy i wkłada w usta pytanie: Co to znaczy? Ponieważ zaś obrzędy św. mają dla nas wartość z dwojakiego głównie tytułu, raz, że na każdym z nich uwisła, iż tak powiem, kropelka krwi Chrystusowej, a powtóre, że są drogą pamiątką i spuścizną po ojcach naszych we wierze: przeto w porównaniu z podręcznikami, dotychczas u nas używanemi, pragnąłbym, aby nowa liturgika szkolna mniej miała dowolnej symboliki, a więcej reminiscencyj historycznych. W nauce o czasach św., z okazyi wielkiego postu, dobrzeby było przez wzgląd na panującą dziś wszechwładnie zmysłowość i spowodowane nią błędne zapatrywania, przedstawić gruntownie ze stanowiska prawa natury i prawa chrześcijańskiego niezbędność postu, a w ogóle umartwienia.

Oto w krótkości modyfikacye planu obecnie obowiązującego, które, wedle mego zdania, jak są pożądane z jednej strony, tak z drugiej wystarczą, aby o tyle, ile można w danych warunkach, osiągnąć cel, wytknięty nauce religii w niższych klasach szkół średnich.

Wniosek mój, w zgodzie z powszechnem życzeniem katechetów, zapewnia katechizmowi miejsce naczelne, uczeń nie rzuca go w kąt po ukończeniu klasy I., lecz korzysta zeń we wszystkich

---

[1] Por. Thalhofer, Liturgik. Freiburg 1883. T. I. §§. 2-gi i 15-ty.

niższych klasach i przechodzi go dwa razy: raz w całości, drugi raz partyami, podobnie jak się to dzieje w gimnazyach pruskich. To zaś jest projektu mojego zaletą główną, iż nie tyka ogólnych ram planu dotychczasowego, łatwo więc da się przeprowadzić, bo skrócenie i przeróbka podręczników dla historyi św. i liturgiki mniej z pewnością czasu zajmie, niż rozwlekła a nieuchronna korespondencya z władzami rządowemi, którąby spowodowały zmiany tak daleko idące, jakie proponują XX. Zuzak, Zoeller i inni.

W ogólnym zarysie przedstawia się mój plan wychowania religijnego młodzieży, uczęszczającej do niższych klas gimnazyalnych lub realnych, jak następuje:

Celem szkolnego wychowania religijnego jest zachowanie w młodzieży, podtrzymanie i rozwinięcie *wiary*, która *działa przez miłość* [1].

Środki temu celowi służące są: wspólne ćwiczenia religijne i nauka religii.

Zadaniem więc tej nauki jest:

a) W klasie I. obznajomienie uczniów z najgłówniejszemi dogmatami wiary i moralności, aby wiara z nierozwiniętej stała się rozwiniętą *(explicita)*.

b) Tę wiarę zachować od skażenia, to zadanie dalszego nauczania. Ku temu służy w klasie II. gruntowanie w młodzieży zasad etycznych przez naukę katechizmową i historyę św., bo *Deus non deserit, nisi deseratur*, do utraty wiary dochodzi się przez opór stawiony łasce i gwałt zadawany sumieniu, dla czego upomina Apostoł: *Milites in eis bonam militiam, habens fidem et bonam conscientiam, quam quidam repellentes circa fidem naufragaverunt* [2].

c) Ale powinności jest wiele, i zachodzą między niemi kolizye. Godzi je matka i królowa cnót wszystkich, związka doskonałości — miłość. Miłość Bożą w sercach młodzieży urabiać, to zadanie nauki w klasie III. Ku temu służy historya św. nowego zakonu, bo nic tak skutecznie nie rozpłomienia żaru miłości Bożej,

[1] Gal. V, 6.
[2] I. Tym. I, 18, 19.

jak plastycznie uprzytomniony żywot Boskiego Zbawiciela, służy też temu celowi nauka o składzie apostolskim, bo każdy artykuł daje nam jaśniejsze pojęcie o Bogu, gruntowniejsze zaś poznanie Boga wiedzie do gorętszej miłości.

d). Z rzędu powinności chrześcijańskich wypada wyjąć i uwydatnić te powinności, które duch czasu ignoruje, których wykonywanie lub zaniechanie daje powód do bolesnego podziału katolików na praktykujących i nie praktykujących. Zachęcanie uczniów do świętego przestrzegania tych obowiązków jest tem ważniejsze, że odnoszą się one do środków dających łaskę Bożą. Zadaniu temu służy nauka katechizmowa o łasce, Sakramentach św., sakramentaliach, modlitwie i liturgika.

Na tem kończy się okres pierwszy wychowania religijnego, ile ono leży w ręku katechety; okres drugi przypada na czas, który przepędza młodzież w klasach wyższych. (C. d. n.)

Ks. Zygmunt Lenkiewicz.

ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU

ODNOŚNIE DO PISMA ŚWIĘTEGO.

II. Asyryologia.

(Dokończenie).

---

7. Niezależność opowiadania biblijnego o Potopie od kronik klinowych.

Racyonaliści ćwiertują każdą z ksiąg Mojżesza, każdy ich rozdział i wiersz nawet, na części, których autorstwo przypisują różnym pisarzom. — Wrzekomi Jahwici i Elohici. — Niezgoda racyonalistów jest wystarczającą odprawą ich uroszczeń. — Zestawienie opowiadań o Potopie mniemanego Elohity i domyślnego Jahwity z opowiadaniem klinowem. — Wynik tego zestawienia. — Zakończenie.

W pierwszych zaraz wiekach chrześcijaństwa Pismo św. wystawione było na zarzuty i napaści heretyków, Nazarejczycy i Manichejczycy odrzucali częściowo Stary Testament; w wiekach średnich Bogomilcy utrzymywali, iż jest „ad diaboli mentem conscriptum“. W wieku XVII-ym T. Hobbes, Spinoza, van Dale i inni zaprzeczali Mojżeszowi autorstwa Pięcioksięgu. Encyklopedyści potępiali w czambuł całe Pismo św. Przeczenia te gołosłowne w ogóle, nie poparte żadnymi dowodami, nie wystarczały już dla wieku XIX-go, w którym obudził się duch krytyczny; nowocześni racyonaliści oddali się badaniu języków semickich, i studyom dziejowym, i na mocy dopiero filologii i historyi wyprowadzali odnośne wnioski. Podstawy ich naukowe były niezaprzeczenie pewne, gruntowną znajomością przedmiotu przyczynili się do wyświecenia wielu ciemnych stron Pisma św., jednakże, ponieważ wychodzili z założenia, że Biblia nie jest dziełem natchnionem od Ducha św., od-

rzucali *a priori* wszelkie zdarzenia nadnaturalne, cuda i proroctwa, rozumowanie ich było *petitio principii*, a stąd wnioski musiały być i są błędnymi. W niniejszej rozprawie o tyle tylko potrącimy o twierdzenia racyonalistów, o ile one dotyczą ich przypuszczenia, że Hebrajczycy wzięli podanie o Potopie od Chaldejczyków.

Mojżesz w swym Pięcioksięgu dla Imienia P. Boga używa podwójnego wyrażenia: Jehowa albo Jahwe i Elohim. Zauważyli to byli już Ojcowie Kościoła i nad tem się zastanawiali [1], lecz J. Astruc, w drugiej połowie XVIII-go w., wpadł na myśl, iż prawodawca Izraela mógł używać do redakcyi swego dzieła podwójnych dokumentów, spisanych przez jakiegoś Jahwitę i Elohitę [2]. Myśl tę pochwycili racyonaliści: Eichorn, De Wette, Ewald, Vater, Gesenius i inni, lecz w swych wnioskach poszli o wiele dalej. Ponieważ nie w każdym wierszu przychodzą wyrazy Jahwe i Elo-

---

[1] Argumentari tibi videor, Hermogene. Naviter nobis Scriptura patrocinatur, quae utrumque nomen ei distinxit et suo tempore ostendit. Nam *Deus* quidem, quod erat semper, statim nominat: In principio fecit *Deus* coelum et terram; ac deinceps quamdiu faciebat, quorum Dominus futurus erat, *Deus* solummodo ponit: Et dixit *Deus*, Et fecit *Deus*, Et vidit *Deus*, et nusquam adhuc *Dominus*. At ubi universa perfecit ipsumque vel maxime hominem, qui proprie *Dominum* intellecturus erat, *Dominus* etiam cognominatur. Tunc etiam *Dominus* nomen adjunxit: Et accepit *Deus Dominus* hominem, quem finxit, Et praecepit *Dominus Deus*. Ac exinde *Dominus*, qui retro *Deus* tantum, ex quo habuit cuius esset. Nam *Deus*, sibi erat rebus autem tunc *Deus*, quam et *Dominus*... *Tertull. adver. Hermog. 3.* (M. 2, 199, sq.) — Ob. rów. S. August., *de Gen. ad liter.* 11 (M. 34, 382). S. Chrys. *In Gen. hom.* 14, 2. (M. 35, 112).

[2] Używając wyrażenia *Jahve* zamiast *Jehowa* trzymamy się O. Cornely. „Quoniam, pisze on, nomen divinum יְהוָה non suis, uti decuit, sed vocabuli אֲדֹנָי vocalibus a Massorethis instructum esse constat, genuinam ejus pronuntiationem יַהְוֶה (Jahve) retinere malumus, ideoque nomina *Jahvista*, *opus jahwisticum* etc. posthac usurpabimus". *Curs. Scrip. Sac. Int. spec.*, v. II. p. 23.

Jak brzmiał ten wyraz w ustach Mojżesza i Aarona, słuszną robi uwagę X. W. Smith, pozostanie dla nas tajemnicą. I pisze dalej: „Greek and Roman literature represent it as Ἰαώ, Ἰαβέ, Ἰευώ, *Jahvo*, *Javoh*. Clericus gives his suffrage for *Jahavoh*, Delitzsch clings to *Jahavah*, Gesenius and Ewald have adopted the Samaritan form, and write *Jahve*, Böttcher considers *Jahvah* more ancient, and Fürst *Jihve* or *Jehve*. Hupfeld in his last work gives us the unpronounceable form *Jhvh*. (The book of Moses, London, 1868, v. 1, pref. XI).

him, należało więc urobić jakieś prawa, według których możnaby rozróżnić, według stylu, pracę jednego autora od drugiego. Ukuli te prawa uczeni filologowie niemieccy, lecz cóż się okazało? Oto nie wystarczył już jeden Jahwita i jeden Elohita, trzeba było przypuścić więcej autorów. Przyznano zatem autorstwo Jahwicie II-mu, i Elohicie II-mu, i to nie wystarczało; powołano innego Jahwitę, który zakrawał na Elohitę, i Elohitę, który naśladował styl Jahwity[1], słowem cały Pięcioksiąg, a raczej Sześcioksiąg (dołączono bowiem i księgę Jozuego) podzielono na pewną liczbę części, z których każda przez innego autora, w różnych czasach, była napisaną, kompilacya zaś ostatnia miała przypadać na czasy niewoli babilońskiej.

Pierwszy dowód przeciw racyonalistom jest ich własna niezgoda: skoro nie zgadzają się sami ani co do liczby pisarzy, ani co do czasu redakcyi, ani co do autorstwa tej i owej części dzieła, wnieść należy, że ich wrzekome prawa filologiczno-historyczne są urojone, a przynajmniej źle zastosowane, a w każdym razie wnioski ich są błędne.

I tak: nie ma zgody co do liczby pisarzy. Tuch przypuszcza *dwóch* autorów, De Wette *trzech*, Hupfeld, Schrader, Nicolas *czterech*, — *pięciu* Vaihinger i Dillmann, *sześciu* lub *siedmiu* Noeldeke i Knobel, *bardzo wielu* Ewald i inni.

Taka sama różnorodność zdań panuje co do epoki ostatecznej redakcyi Pięcioksięgu. Delitzsch, Kurtz odnoszą tę redakcyę do czasów Jozuego, Staehelin do czasów Saula, Bleek do Dawida, Tuch do Salomona, Knobel do Jozyasza; Schrader sądzi, że redakcya przypada na niewolę babilońską, Wellhausen kładzie ją za Ezdrasza, Reuss nieco przed Aleksandrem W., a Seinecke twierdzi, iż dopiero za Machabeuszów.

---

[1] O. Knabenbauer S. J. zamieścił w *Stimmen aus Maria Laach*, 1873, IV. p. 364, obszerną rozprawę o tym przedmiocie; Ob. rów. Flunk, *Innsbr. Zeitschrift*, 1885, p. 693. Delitzsch w *Comm. über die Gen.*, E. 4. str. 591 i nast. Schrader w *Einl.* str. 276 i nast., ciekawych używają wyrażeń dla rozróżnienia autorów. I tak: „Geflissentliche Nachbildung", „theilweise nach elohistischem Vorbild", „mit noch erkennbarer elohistischer Grundlage", „mit elohistischen Bestandtheilen verschmolzen" „mit elohistischem Rahmen", „mit elohistischer Unterschrift" „der Eingang ist durch die überarbeitende Hand des prophetischen Erzählers hindurchgegangen", „eine Glosse des Jahvisten", „Jahve aus Elohim verändert", „jahvistisch überarbeitet", etc.

Co się tyczy poszczególnych ustępów Pięcioksięgu, racyonaliści są również jedni z drugimi w sprzeczności. I tak: ustęp z *Ks. Rodz.* VI, 1—8 Hupfeld przypisuje Jahwicie, Schrader jedną jego część przyznaje pisarzowi kapłańskiemu, drugą prorockiemu, Delitzsch zaś autorowi, który nie był ani Jahwitą ani Elohitą. Inny ustęp z tejże księgi: VII, 23, Tuch, Staehelin, Delitzsch uważają za elohicki, Dillman zgadza się na to tylko co do drugiej połowy wiersza, lecz Noeldeke i Wellhausen mają go za jahwicki, Schrader zaś widzi w nim pisarza prorockiego. Podobnie się rzecz ma co do innych ustępów. Sami racyonaliści stwierdzają, iż nie ma pomiędzy nimi dwóch, którzyby się godzili na jedno [1].

Zresztą samo rozkawałkowanie Pięcioksięgu na tyle części i cząsteczek sprawia, iż zlepienie ich w jedną całość wydaje się niemożebnem. Wystawmy sobie bowiem ostatecznego redaktora Pięcioksięgu zajętego kompilacyą: Przed nim rozwinięte są rękopisy licznych autorów, pisze właśnie rodz. XIII. księgi Rodzaju. Wypisuje najprzód z Jahwity ww. 1, 4, 7d, 10c. d, 13—17, 18c [2]; następnie z Elohity I-go ww. 6, 11b, 12b; z Elohity II-go następujące wiersze: 2, 3, 5, 7a. b. c, 8—10a. b. e, 11a, 12c, 18a. b.; resztę zaś dopełnia bądź z innych nieznanych autorów, bądź z wiadomości, jakie sam posiada. Taka praca byłaby nader uciążliwa, lecz w przykładzie, który tu zaraz podamy, urzeczywistnienie jej wydaje się niemożebne. W księdze Liczb (XIII, 25—33) znajduje się ustęp o wysłańcach Mojżeszowych do ziemi Chananejskiej, dla zasięgnienia o niej wiadomości. Oto jakie trudności miał główny

---

[1] Kuenen. *Hist. crit. des livres de l' A. T.* trad. p. Pierson, Paris, 1866. t. I. p. 113.

Vatke przyznaje niezgodę, pociesza się jednak tem, że Pięcioksiąg jest zburzony. „Alle bisherigen Untersuchungen vom kritischen Standpunkte aus haben noch kein allgemein anerkanntes, evidentes Resultat geliefert, und wer die Schwierigkeit der Sache kennt, wer da weiss, wie viel leichter es ist, negativ, als positiv zu verfahren, wird sich darüber nicht wundern; *wer aber durch die abweichenden Meinungen der Gelehrten abgeschreckt werden sollte, kann sich dabei beruhigen, dass in der Ausscheidung der elohistischen Stücke alle Kritiker der Hauptsache nach übereinstimmen*". *Hist. krit. Einleit.* Bonn, 1886, S. 269.

O. Cornely robi tu uwagę: „Miram sane consolationem, quod ‚critici' in *destructione* consentiant atque destructio Pentateuchi dicatur esse *caput rerum!*".

[2] Głoski a, b, c, d... oznaczają części wiersza biblijnego.

redaktor, przytaczamy tu O. Cornely[1]: „Elohita I-y rozpoczął opowiadanie i napisał w. 25, Elohita II-gi dodał 26a; następnie kolejno po sobie pisali obydwaj Elohici: I-y, 26b, c., II-gi, 26d., I-y, 26e., II-gi, 26f. i 27a. Ustąpiono miejsca Jahwicie, aby także coś dodał, lecz on dopisał tylko kilka wyrazów, mianowicie 27b.; Elohita II-gi zmuszony był dodać 27c., 28 i 29a. Wraca Jahwita, pisze 29b. i oddaje pióro Elohicie II-mu, który zamieszcza 30 i 31, poczem Elohita I-y kreśli 32 i 33a. Przerwał mu Jahwita w połowie i zrobił dopisek 33b, opowiadania dokończył Elohita I. kilku wyrazami 33c, d.“ O. Cornely stawia pytanie: „czy ci *krytycy* piszą to poważnie, czy tylko żarty z nas stroją?“

Rozkawałkowanie Pięcioksięgu i w ogóle całego Starego Zakonu na pisarzy jahwickich i elohickich nie jest rzeczą dowiedzioną, wydaje się niemożebną i nawet pomiędzy samymi racyonalistami nie jest tak powszechnie przyjętą, jak temu niektórzy, w naszych pismach, zbyt naiwnie zdają się wierzyć[2]. Egzegeci katoliccy nie przeczą, że Mojżesz mógł używać do swego dzieła różnych podań ustnych i piśmiennych, jakie wówczas istniały wśród potomków Abrahama[3], lecz na mocy właśnie historyi i filologii do-

---

[1] *Curs. Scrip. Sac. Introd. spec. in V. T. L.* v. II., p. 114.

[2] Znany racyonalista francuski Maurycy Vernes w zeszycie czerwcowym (1887) *Révue philosophique,* str. 623, wypowiada zdanie, które warto zapisać. „Podział na czas przed-proroczy i czas proroczy (od VIII—VI w.) jest ułudnym i obronionym być nie może. Nazwijmy rzeczy po imieniu, choćbyśmy przez to wywołali niezadowolenie w szeregach egzegetów, którzy wyniki zupełnie nieuzasadnione przyjmują za niewątpliwe. W Pięcioksięgu rozróżniają oni trojaki rodzaj dokumentów, które stosownie ułożone dały początek tekstowi tradycyjnemu: dokument jehowito-prorocki, dokument deutoronomiczny i dokument wreszcie elohito-kapłański. Wyobrażono sobie, iż pierwszy można odnieść do IX-go albo do VIII-go w. przed Chr., drugi do VII-go, trzeci do V-go w., to jest do czasów odbudowania świątyni. Lecz to wszystko nie jest pewne, i nie jest powszechnie przyjęte bez zastrzeżeń; cały ten podział polega na kombinacyach niemających jeszcze dowodów ustalonych“...

[3] Si de sola Genesi ageretur atque Moyses ipse antiquiora fragmenta vel documenta collegisse et in unum opus secundum certum finem apte conjunxisse diceretur, opus vix esset hanc questionem attingere. Sua enim auctoritate liber historicus non privatur, si antiquis documentis nititur aut etiam antiquis documentis vix ac ne vix quidem mutatis compositus est. Haec olim fuit Astrucii, primi documentorum inventoris, primorumque ejus asseclarum sententia, quae utcunque tolerari potest; atque nos quoque unum alterumve

wodzą, iż rozdrabiania racyonalistów racyonalne nie są, w obec nauki i logiki utrzymać się nie dadzą [1]. W obecnej rozprawie nie idzie nam całkiem o wykazanie błahości hypotezy racyonalistów, chcemy ich pobić ich własną bronią, i *dato non concesso*, że Biblia jest zlepkiem różnych pisarzy, pokażemy, że Hebrajczycy nie wzięli swego opowiadania o Potopie od Chaldejczyków.

Opowiadanie Potopu w księdze Rodzaju zajmuje cztery rozdziały, mianowicie VI, VII, VIII i IX-ty; imię P. Boga często jest wspominane i różnie wyrażane: czasami Elohim, lub Ha-Elohim, czasami Jahwe, w jednym nadto wierszu przychodzi Jahwe i Elohim (VII, 16). Wiersze, gdzie przychodzi Jahwe, należą do Jahwitów, gdzie Elohim — do Elohitów, tonie robi trudności racyonalistom, lecz kto był autorem owego wiersza gdzie Jahwe i Elohim stoją obok siebie? De Wette rozwiązał ten węzeł, „wiersz ten jest wtrąconym", twierdzi i koniec. Dowodów na to nie ma on żadnych, a nadto, rzecz dziwna, że tak wyraźnego fałszerza żaden z przepisywaczy żydowskich nie spostrzegł, żaden tego wiersza nie opuścił, znajduje się we wszystkich manuskryptach żydowskich, co więcej, znajduje się w kronice klinowej chaldejskiej! [2]. Są inne jeszcze trudności. Jakim autorom przypisać wiersze, które nie zawierają wyrazów ani Jahwe ani Elohim? O tem ma stanowić styl, a również i sens, a ponieważ rzecz ta zależy przedewszystkiem od podmiotowego zapatrywania, ponieważ *quot capita tot sensus*, stąd skoro jedni przypisują pewne wiersze Jahwitom, inni w tych samych wierszach widzą rękę Elohitów. I tak De Wette jest zdania, że wszystkie

---

scriptum documentum a Moyse in Genesi componenda adhibitum esse non negamus. Cornely, *Curs. Scrip. Sac., Introd. spec.*, v. II. str. 97.

[1] Znaczniejsze dzieła egzegetów katolickich, którzy ten przedmiot traktowali są następujące: O. Cornely S. J. *Cursus Scrip. Sac. Introductio*, Parisiis 1887, str. 97—127; Welte *Nachmosaisches*, str. 82 i nast; O. Knabenbauer S. J. *Der Pentateuch... (Stimmen aus M. Laach*, 1873, t. IV. str. 365 i nast.), *Katholik*, 1873, I., str. 162 i nast.); Flunk, *Innsbr. Zeit.* 1885, str. 595; Vigouroux, *Manuel bibl.*, I. str. 291; Kaulen, *Einleit.* str. 167; Ubaldi, *Introductio*, I. str. 508; Zschokke, *Hist. sac.* A. T. str. 547.

[2] „A które weszły (do korabia), samiec i samica ze wszystkiego ciała weszły, jako *Elohim* przykazał, i zamknął go *Jahwe* z nadworza" ks. Rodz. VII. 16.

W kronice chaldejskiej na tablicy XI-ej, opowiadania Izdubara, kolumna II. w. 37 czytamy: „Wszedłem do korabia i zamknąłem drzwi".

wiersze od 9 do 22 w rozdz. VII, ks. Rodz., pochodzą od Elohitów; Colenso utrzymuje, że wiersze 15 i 16-ty należą do Jahwitów. Według De Wette Elohici byli autorami wierszy 1—19, roz. VIII-go; Colenso temu się sprzeciwia; według niego w. 1—5 i 14—19 należy przypisać Elohitom, wiersze zaś 6—13 Jahwitom. Słowem, jak gdzie indziej tak i w opowiadaniu o Potopie panuje niezgoda między racyonalistami. Lecz choćby nawet godzili się na jedno, choćby nawet przypuścili jednego Jahwitę i jednego Elohitę, co byłoby najpożądańszem dla obrony ich systemu, i wówczas jeszcze nie jest prawdą, aby Hebrajczycy czerpali swe opowiadanie o Potopie z kronik chaldejskich. Przytaczamy tu zestawienie podań Jahwity i Elohity z opisem klinowem, według wzoru podanego w dziele G. Smith'a [1].

	Księga Rodzaju.		*Kron. chald.*
	Elohita.	*Jahwita.*	
1. Zapowiedź Potopu	VI. 11—13.	VI. 5—8.	I. 12—23.
2. Rozkaz budowania korabia	VI. 14—16.		I. 20—27.
3. Co miało wejść do korabia	VI. 19—21.	VII. 2, 3,	I. 41—43.
4. Rozmiary korabia	VI. 15, 16.		I. 25, 26.
5. Mowa Xisuthrus'a			I. 45—52.
6. Budowa korabia	VI. 22.	VII. 5.	II. 2—24.
7. Wylanie korabia smołą	VI. 14.		II. 10, 11.
8. Zapasy żywności nagromadzone w korabiu	VI. 21.		II. 12—20.
9. Początek Potopu	VII. 10—12.	VII. 10.	II. 14.
10. Zagłada człowieka	VII. 21, 22.	VII. 23.	III. 2—15.
11. Trwanie Potopu	VII. 12, 24.	VII. 17.	III. 19—21.
12. Odpływ wód	VIII. 1.	VIII. 2.	III. 21—23.
13. Otworzenie okna		VIII. 6.	III. 27.
14. Korab' osiada na górze	VIII. 4.		III. 33—36.
15. Wypuszczenie ptaków na zwiady		VIII. 6—12.	III. 38—44.
16. Rozkaz opuszczenia korabia	VIII. 15—17.		
17. Wyjście z korabia	VIII. 18, 19.		III. 45.
18. Budowa ołtarza i złożenie ofiary		VIII. 20.	III. 46—48.
19. Przyjęcie ofiary		VIII. 21.	III. 49.
20. Potop nie powtórzy się	IX. 11.	VIII. 21, 22.	IV. 15—20.
21. Przymierze	IX. 9—11.		IV. 26.
22. Tęcza jako rękojmia przymierza	IX. 13—17.		III. 51, 52.
23. Grzechy były powodem Potopu	VI. 11—13.	VI. 5—7.	IV. 14, 15.
24. Noe ocalony dla swej sprawiedliwości		VI. 8., VII. 1.	IV. 16.
25. Przeniesienie Patryarchy (Enocha)	V. 24.		IV. 28—30.

[1] *Chald. acc.*, str. 304—305.

Powyższy wyciąg poucza nas, że opowiadanie Elohity o Potopie stanowi pewną całość, mogło było istnieć samodzielnie tak, jak się obecnie przedstawia; toż samo da się powiedzieć o opowiadaniu Jahwity: lecz tak w jednem jak w drugiem brak jest szczegółów, które znajdują się w podaniu chaldejskiem — stąd wnieść należy, że ani Jahwita, ani Elohita nie musieli znać kronik chaldejskich, a zatem swych wiadomości z nich czerpać nie mogli. Ten wniosek takie ma cechy widoczności, iż racyonaliści, dla uchylenia go przypuszczają, że dawniej istniało pełniejsze opowiadanie Jahwity i Elohity, a ostatni dopiero redaktor poobcinał je i skleił w obecną całość. Wybieg ten racyonalistów odeprzeć łatwo; najprzód nie dają, bo nie mają na swe twierdzenie dowodów, następnie gdyby tak było, gdyby opowiadanie tak Jahwity jak i Elohity było niegdyś zupełnie pełne, gdyby każdy z nich dawał wszystkie szczegóły, z jakiej przyczyny wrzekomy redaktor byłby obcinał i sklejał? Czyż nie byłoby przezorniej dać jeden tylko dokument, a tym sposobem nie wystawiać swej kompilacyi na rozpoznanie po stylu dwóch autorów, na odkrycie swego fałszerstwa!

Zresztą jakkolwiek uderzające jest podobieństwo między opowiadaniem chaldejskiem i biblijnem o Potopie, zachodzi jednak między niemi różnica wybitna. I tak nie ma w nich zgody co do rozmiarów korabia, co do ilości osób, które tam znalazły ocalenie, co do trwania Potopu; pismo klinowe nie wspomina o czystych i nieczystych zwierzętach, natomiast między zapasami napojowymi wymienia wino, tymczasem Pismo św. wyraźnie zaznacza, że dopiero po Potopie Noe tłoczył wino i doświadczył jego skutków. Opuszczamy inne różnice, lecz wspomnieć musimy o najgłówniejszej, która zarazem jest zasadniczą. Dajemy tu głos ks. Vigouroux[1]: „Gruntowna nauka i wzniosłe pojęcia teologiczne, jakiemi jest nacechowane opowiadanie biblijne o Potopie, stawiają to ostatnie nieskończenie wyżej od opowiadania chaldejskiego... W księdze hebrajskiej ukazuje się nam Bóg jako jedyny, sprawiedliwy, mądry, wszechpotężny, miłościwy. Przeciwnie, co widzimy w podaniu z Erech? Oto różnorodni bożkowie, podlegli ludzkim namiętnościom, w ciągłych swarach między sobą, przejęci trwogą na widok

[1] *La Bible et les découv. moder.*, v. I. p. 293.

burzy, *jak psy na legowisku cisną się skulone bogi*[1]". Ta uderzająca różnica między opowiadaniem biblijnem i chaldejskiem jest powodem, że protestanci, racyonalistycznego nawet zakroju, przyznają, że Hebrajczycy nie przepisali swego opowiadania od Chaldejczyków [2]. Lenormant ze stanowiska li tylko bezstronnej krytyki stwierdza, że: „obecnie nie można utrzymywać, jakoby opowieść biblijna była tylko poprawnem i oczyszczonem z naleciałości wydaniem opisu babilońskiego; teksty te nie pochodzą jeden od drugiego, lecz obydwa mają początek w dawnem podaniu... z epoki dość odległej od czasu, w którym opowiadanie chaldejskie zostało zredagowane" [3].

Skoro zaś wynik ten rzeczywiście racyonalny uznać należy za prawdę, jasną jest wówczas rzeczą, że chaldejska opowieść o Potopie przyniosła nader ważne świadectwo wiarogodności odpowiedniej opowieści biblijnej [4].

---

[1] Kolum. III. w. 7.

[2] Bonnet, doktór teologii protestanckiej pisze: (*Les découv. assyr.* str. 83). „Jakim sposobem stać się to mogło, żeby autorowie dokumentów biblijnych, jeżeli je spisywali podczas lub po niewoli, szczególniej zaś jeżeli je zapożyczali wprost z Chaldei, żeby ci autorowie mogli je do tego stopnia przeobrazić, nietylko z punktu widzenia pojęć religijnych i moralnych, lecz nadto pod względem faktów? Dlaczego panowałaby tam taka niepewność co do położenia geograficznego Raju? Dlaczego Hasisadra, główna osoba potopu chaldejskiego, nazwany jest Noe? Dlaczego góra Nitsir zowie się Ararat? Skąd pochodzą różnice w tych dwóch opowieściach? Jakim sposobem Izajasz mógł mówić o Noem, skoro znał tylko Hasisadra, a szczególniej skoro miał jedynie na myśli to opowiadanie?... Liczne i doniosłe różnice, jakie spostrzegać się dają między opowiadaniami, wymagają koniecznie długiego czasu, w ciągu którego, podania słowne zachowując grunt rzeczy, uległy zmianom w szczegółach. Nie można ani na chwilę przypuszczać, żeby autorowie biblijni mieli przed oczyma teksty asyryjskie, ani nawet żeby znali dokładnie ich treść".

[3] *Les premières civilisations*, t. I. p. 51–52.

[4] The great value of the inscriptions describing the Flood consists in the fact that they form an independent testimony to the Biblical narrative at a much earlier, date than any other evidence. Smith, *The Chal. acc.* p. 303.

Przedstawiliśmy treściwie odkrycia dokonane w Egipcie i Mezopotamii, w ogólnych zarysach dotknęliśmy wniosków, jakie stąd wyprowadzone zostały dla egzegezy biblijnej. Pomniki odgrzebane w pustyniach libijskich i mezopotamskich dały świadectwo prawdzie. Źródła historyczne Egiptu i Chaldei wykazały wzrost, rozwój i upadek kultury, lecz żadnych śladów pierwotnej dzikości człowieka. W czasach najdawniejszych, czterdzieści czy piędziesiąt wieków przed naszą erą, ludy z nad Nilu i Eufratu nietylko były głęboko religijnemi, lecz znały i wyznawały jednego Boga, wierzyły w nieśmiertelność duszy, w nagrody i kary pośmiertne, w zmartwychwstanie ciał; ich pojęcia etyczne, oparte na sankcyi najwyższej, szły w parze i w związku z pojęciami religijnemi. Ponieważ niema żadnych śladów, aby te pojęcia religijne i moralne wytwarzały się były z czasem i stopniowo, przeciwnie, ponieważ są dowody, iż w najdawniejszej dobie były one najczystsze, i najwznioślejsze, należy stąd zawnioskować, iż od P. Boga pierwotnie objawionemi zostały. Też same źródła wykazują dalej, iż z postępem kultury pojęcia religijne i moralne ulegały przeobrażeniu, a natenczas kiedy cywilizacya materyalna w Memfis, Babilonie i Niniwie stanęła na najwyższym szczeblu rozwoju, pojęcia te zupełnie spaczonemi zostały: wytworzyła się wielobożność, sprosne kulty i moralność barbarzyńska — stąd wniosek drugi, iż potrzeba było człowiekowi nowych i silniejszych środków do spełnienia swego zadania, potrzeba było nowego Objawienia. Święta nasza księga pozyskała nadto nadspodziewanie nowe dowody zewnętrzne swej autentyczności. Egiptologia i Asyryologia stwierdziły wiarogodność w najdrobniejszych szczegółach opowiadania biblijnego, w wielu miejscach wyjaśniły je i uzupełniły; ostatnia nadto przyniosła nam swe zapiski o Stworzeniu świata, a szczególniej o Potopie, które są jakby kartami wyjętemi z Pisma Św. Jak na początek więcej od nich żądać nie mogliśmy.

Egiptologia a szczególniej asyryologia są jeszcze w młodocianej swej dobie: wiele ze znaków obrazowych egipskich i akadyjskich oczekuje odczytania, więcej jeszcze jest niepewnych; tysiące napisów nagromadzonych w muzeach europejskich są jeszcze nie tknięte, a ileż znajduje się nadto w grobach Egiptu i w tell'ach południo-

wej Chaldei! Mnodzy uczeni wytrwale pracują[1], i codziennie niemal nowe nabytki przysparzają wiedzy. Rzecz godna zastanowienia: jakkolwiek między Egiptologami i asyryologami znajdowali i znajdują się katolicy, przeważną jednak ich część stanowią protestanci, i racyonaliści; tym ostatnim należy największa zasługa w odkryciach i postępie tychże nauk, a i egzegeza biblijna najwięcej im zawdzięcza, choć wbrew ich woli i chęci[2]. Jak wszystkie herezye, które P. Bóg dopuścił na swój Kościół, przyczyniły się do lepszego wyjaśnienia i określenia dogmatu, tak i usiłowania racyonalistów biblijnych, którzy w imię nauki chcieli zadać cios śmiertelny Księdze Objawionej, umiała Opatrzność obrócić przeciw nim samym. *Digitus Dei est hic.* Napróżno Balak wzywał proroka Balaama, by złorzeczył Izraelowi, Balaam błogosławił mu: *Azaż mogę co innego mówić jedno co Pan każe*[3]. Nauka jest służebnicą Bożą, wezwana na świadka, nie może mówić jedno tylko co Pan każe, co jest prawdą — daje świadectwo autentyczności Pismu św.

X. W. Zaborski.

---

[1] O. Strassmajer doniósł nam, parę miesięcy temu, iż dotąd odczytał 850 napisów Nabonida; a takich napisów z tejże jednej epoki znajduje się 50.000 w samym British Muzeum. Świeżo opuściło prasę dzieło: *Inschriften von Nabonidus, König von Babylon, von den Thontafeln des Britischen Museums copirt und autographirt*, von J. N. Strassmajer S. J. 160 autogr. pages. Czasopismo angielskie *The Bab. and Orien. Rec.*, N. 11, p. 191 pisze: „This work, which comes from the new Publishing House of E. Pfeiffer, of Leipsic, is perfect in form and finish. Of all those Assyriologists who have attempted to autograph texts, Strassmaier is by far the most successful"...

[2] Nihil quoque hoc nostro tempore intentatum est relictum a rationalistis, ut internis, quas vocant, rationibus libros nostros fidem non mereri demonstrarent; undecunque variae lectiones sunt conquisitae, vocum omnium significationes phrasiumque constructiones rigidissimo examini sunt subiectae, res omnes doctrinaeque, quae aut explicite referuntur, aut obscure innuuntur, sunt collectae, excussae, inter se comparatae — eum solum in finem, ut libros nostros sibi ipsos contradicere ostenderent eosque in minutissimas partes discerptos destruerent. At hic quoque indefessus rationalistarum labor, si eorum finem spectas, vanus et irritus prorsus fuit, Ecclesiae autem utilissimus. Cornely. *Op. cit. sup.* pp. 731, 732.

[3] *Ks. Liczb*, XXIII., 12.

SŁOWO O NASZYCH STATYSTYKACH EKONOMICZNYCH.

(Z powodu poruszonej sprawy szpitali).

(Z nad Sanu).

Gdym czytał sprawozdania z posiedzeń Sejmu galicyjskiego ze stycznia 1888 r., zastanowiły mię dwie mowy miane prawie równocześnie, a wykazujące obfitemi datami statystycznemi, jak daleko w tyle pozostaliśmy po za krajami dalej ku zachodowi położonemi. Jedną mowę wypowiedział członek Wydziału krajowego, Dr. Hoszard, w sprawie przejęcia na fundusz krajowy szpitala w Żywcu, i wykazał w niej jasno, jak mało Galicya ma szpitali w stosunku do swej ludności, jeżeli ją porównamy z Czechami, Tyrolem, Niższą Austryą; jeszcze niekorzystniej wypadł stosunek łóżek w szpitalach na głowę ludności. Drugą mową, mianą w sprawie nadużyć w Kulparkowie, wykazał poseł Hausner o ile gorzej pod względem wygody i opieki są obłąkani traktowani u nas niżeli w Anglii, Francyi, etc.

Argumenta obydwu mówców były wymowne i na ścisłych liczbach oparte. Cóż bardziej przekonywującego w naszym wieku jak cyfra? Narzucało mi się jednak natrętne pytanie: czy nie należałoby w tej kwestyi jeszcze innych cyfr uwzględnić, o których w całej tej rozprawie mowy nie było? kiedy chcemy ocenić, cośmy powinni czynić dla szpitali w naszym kraju, czy dosyć porównywać powierzchnie, ludność i liczbę szpitali w Galicyi z takimiż czynnikami w Czechach i Tyrolu? Czy dosyć zestawiać szczupłe zaopatrzenie naszych zakładów z bogatemi zasobami obcych? Mnie

się zdaje, że należałoby jeszcze zestawić pożywienie zdrowych mieszkańców naszego kraju z pożywieniem innych z nim porównanych krajów, czyli: wykazać, ile przeciętnie mieszkaniec Galicyi, a ile mieszkaniec Czech, Tyrolu, Niższej Austryi konsumują: mięsa, piwa, kawy, cukru i t. p. artykułów, które według dzisiejszych pojęć nie są zbytkiem, ale potrzebnem pożywieniem człowieka. Postawienie tego kryteryum wydaje mi się niezbędnem we wszystkich porównaniach, jakie czynimy między tem co mają obcy, a tem co u siebie zaprowadzić pragniemy.

Wiem, że naszym szpitalom wiele nie dostaje, nawet rzeczy prawdziwie potrzebnych choremu. Ale jeśli dla podania potrzebnej szklanki wina choremu, trzeba odjąć od ust biednemu wyrobnikowi ostatni kawałek chleba i narazić jego dziatwę na śmierć głodową — to można się zawahać. Przykro myśleć, że niejeden chory umiera dlatego, że nie znajduje miejsca w szpitalu, albo że nie ma w nim potrzebnej dla jego zdrowia wygody. Ale to uczucie politowania dzieli się, kiedy się zwraca na to uwagę, że w naszej biednej Galicyi tysiące ludzi, wrzekomo zdrowych, cierpi głód — i tysiące rok rocznie z głodu umiera. To zdaje się niemożliwem, a jednak tak jest w rzeczywistości i łatwo o tem przekonać się każdemu, kto bliżej chce się przyglądnąć naszym stosunkom po wsiach, a nawet i po miastach.

Biorę tylko jedną klasę ludzi, bardzo u nas liczną, tak zwanych chałupników. Biedak taki, gdyż inaczej o nim wyrażać się trudno, ma żonę, kilkoro dzieci, często starych rodziców, i całej tej gromadce musi dostarczać najniezbędniejszych potrzeb do życia. Posiada on wprawdzie chatkę, którą albo odziedziczył, albo z resztek spuścizny sobie postawił, ale też i na niej kończy się cały jego majątek, bo liche sprzęty w chacie nie przedstawiają prawie żadnej wartości. Chata ma jedną izbę, bo dwie byłyby niesłychanym zbytkiem przy zwiększającym się zaraz podatku domowym. Niejeden z naszych ekonomistów, zaprowadzony do takiej izby, gdyby ujrzał w tej ciasnej, niskiej, zadymionej i brudnej przestrzeni bez podłogi, duszących się 6, 8 albo i więcej mieszkańców, powiedziałby, że to nie izba, ale nora, ja jednak zatrzymam nazwę „izba“, gdyż ta nazwa jest przyjęta przez ustawę o podatku domowo-klasowym. Wszyscy mieszkańcy tej chatki chcą i muszą jeść, ale nie wszyscy

są w stanie na jedzenie zapracować. Dzieci są za małe, rodzice za starzy, żona nie może odstąpić dzieci, musi wszystkich obszyć, oprać i jaką taką strawę im uwarzyć. Cały więc ciężar utrzymania tej gromadki, mniej lub więcej licznej, spada na barki właściciela chaty, któren oprócz niej ma tylko dziesięć zdrowych palców i niemi musi szukać środków na zaspokojenie wszystkich potrzeb do życia. Przypatrzmy się bliżej kapitałowi, jaki praca tego człowieka repre zentować może. Jest on wieśniakiem, o żadnem rzemiośle nie ma pojęcia, i tylko w pracy około roli musi szukać zarobku. W żniwa praca jego ma największą wartość, dziennie może zarobić i 50 ct., chociaż nie we wszystkich okolicach; żniwa jednak trwają krótko 6—8 tygodni, najdłużej zaś trwa zima, w czasie której zapłata dzienna spada i do 15 ct. Sądzę więc, że bez przesady jako przeciętny dzienny zarobek w ciągu roku można przyjąć cenę 25 ct., a praktyczni gospodarze przyznają mi, że i ta jest raczej za wysoka.

Rok ma wprawdzie 365 dni, gdy jednak obliczymy: niedziele, święta, dni szarwarku, wart w gminie, i inne jeszcze obowiązkowe zajęcia, niezostawiając na nieprzewidzianą słabość lub możliwe bezrobocie i dnia jednego, pozostanie w roku 280 dni roboczych, które po 25 ct. przynoszą dochodu 70 złr., mówię siedmdziesiąt złr. na utrzymanie sił i zdrowia pracującego i na dostarczenie środków do życia całej rodzinie. Nie cały jednak ten kapitał idzie na utrzymanie rodziny, wszak jest chata, od której trzeba opłacić podatek domowy w najniższym wymiarze tj. . . . . 1 złr. 75 ct.

do tego 31% dodatku krajowego
„ „ 12% powiatowego na szkołę
„ „ 3% „ drogowego
46% . . . . . — złr. 81 ct.

razem . . 2 złr. 56 ct.

do tego ? % dodatek indemnizacyjny
„ „ ? % „ powiatowy
„ „ ? % „ gminny
„ „ ? % „ konkurencyjny etc. etc.

w końcu 1 złr. taksy, jeżeli właściciel jest wolny od służby wojskowej.

Gdy zliczymy te wszystkie daniny, można śmiało twierdzić, że

z budżetu 70 złr. idzie 5 złr. na konieczne daniny, w tych autonomiczne wynoszą około 1 złr. 50 ct. to jest 6 dni ciężkiej pracy.

Z pozostałych 65 złr. trzeba odziać i wyżywić całą rodzinę, o kurowaniu się w razie słabości ani myśleć, bo i czemże opłacić lekarza i aptekę? W takiem gospodarstwie głód i chłód jest gościem codziennym, i można śmiało twierdzić, że w takiej rodzinie, jak rok długi, nikt sobie nie podje do syta. Drzewo opałowe dla tych ludzi należy do najuciążliwszych wydatków, bo kupno jego wymaga na raz kapitału kilku złr., a za przywiezienie trzeba bogatszemu sąsiadowi kilka dni odrabiać, żyjąc przez ten czas z uzbieranych oszczędności, albo na kredyt. Mleko — to zbytek niesłychany, nie pojawia się ono w chacie, chyba dzięki szczodrobliwości dziedzica, lub łasce bogatszego sąsiada. I cóż dziwnego, że w zimie, gdy wynędzniała pierś matki nie daje niemowlęciu dostatecznego pokarmu, gdy mleka z nikąd dostać nie można, gdy matka zajęta gospodarstwem domowem nie może własnem ciepłem niemowlęcia ogrzewać, że takie niemowle umiera z głodu i chłodu.

Takich wypadków bez przesady można liczyć na tysiące, a łatwo panom statystykom to sprawdzić, bo prawie wszystkie niemowlęta, a przynajmniej $^3/_4$ części tych, które umierają z braku sił żywotnych, to są ofiary głodu i chłodu.

Zapuściwszy się w statystykę, pozwolę sobie zrobić dalsze jeszcze zestawienia: przeciętnie można liczyć na gminę 5 chałupników, co uczyni przy 6000 gminach w Galicyi 30.000 takowych, a licząc ich rodziny w przecięciu po 5 głów dostaniemy 150.000 nieszczęśliwych, wiecznie głodnych, wiecznie nędznych, których lada przeciwność, jak drożyzna, bezrobocie, słabość, lub nawet chwilowe zapomnienie się ojca rodziny, setkami o śmierć głodową przyprawia.

Niżej jeszcze od tych nędznych chałupników znajdują się tak liczni po naszych wioskach „komornicy“, którzy ani schronienia własnego nie mając, dzielić muszą z jakimś gospodarzem lub chałupnikiem jego nędzną izdebkę, w zamian za co dzielą się jeszcze z nim swym nędznym zarobkiem. A obok tych wszystkich proletaryuszów wiejskich jest w Galicyi 10 razy więcej takich, którzy mają wprawdzie kawałek ziemi, ten kawałek jednak dzięki liberalnym tendencyom naszych ustawodawców, którzy na nieograniczoną

parcelacyę zezwolili — jest tak małym, że stan majątkowy ich właścicieli mało co się różni od stanu chałupników.

Otóż w kraju, gdzie tyle jest nędzy, gdzie corocznie setki — jeżeli nie tysiące mrą z głodu, gdzie dziesiątki tysięcy wiecznie są głodne, gdzie krocie tysięcy są pozbawione wszelkiej opieki lekarskiej dla zupełnego braku funduszów — w takim kraju należałoby, ażeby ustawodawcy, robiąc studya statystyczne, przedewszystkiem jak najdokładniej zbadali stosunki wewnętrzne, z tych sobie zdali sprawę, a potem dopiero, ciągnąc paralelę z krajami mającemi większy dobrobyt, wysnuwali wnioski, co dla nas niezbędne. Bo na teraz tylko o n i e z b ę d n y c h potrzebach myśleć nam wolno.

Ten pewnik daleko i po za kwestyą szpitali sięga. Zapatrując się na inne kraje, zachciewa nam się także kosztownych instytucyj naukowych i artystycznych, „okazałych gmachów“ na szkoły, na zakłady dobroczynne i t. d. Rzecz pewna, że żadnego z tych celów w gospodarce kraju pominąć nie możemy, atoli w ocenianiu tych potrzeb i miary, w jakiej zadosyćuczynić im mamy, nie powinniśmy zapominać o tem kryteryum porównania dobrobytu naszego kraju z innemi, które nam w oczach świecą. Zostając jednak na teraz przy poruszonej kwestyi szpitali, uznaję, że szpitale są konieczne, że kraj winien takowe zakładać i utrzymywać, a jednak i w zakładaniu i utrzymaniu tak pożytecznych instytucyj musi być pewna granica, gdy chodzi o wydatki i o nakładanie nowych na kraj ciężarów. Na krocie jeżeli nie na miliony można liczyć tych mieszkańców naszego kraju, którzy choćby najlżejszego podwyższenia ciężarów publicznych znieść nie byliby w stanie, choćby za tę cenę można o $^1/_{10}$ % więcej słabych w szpitalach pomieścić; bo mogłaby, jak się powiedziało, przyjść chwila, gdzieby biedacy, oddając ostatni kęs chleba na podatek, płacili swem życiem za szklankę wina podaną choremu w szpitalu.

Dr. W. K.

OO. REDEMPTORYŚCI W POLSCE.

(Ciąg dalszy).

Z Polaków, którzy się zgłosili z chęcią wstąpienia, pierwszym był młodziutki, bo zaledwo trzynaście lat liczący, Jan Duklan Podgórski. W roku 1794 złożył on profesyę zakonną, a w 1797 r. został na kapłana wyświęcony. Był to rzadki talent naukowy, a zwłaszcza niepospolitym darem wymowy obdarzony. Już w osiemnastym roku życia, począł on jako dyakon występować na ambonie z wielkiem powodzeniem. Gruntowny a przystępny jego wykład, gorące a serdeczne jego kazania, wszędzie gdzie się tylko później pojawił, zwabiały tłumy ludu, który pytającym się, czemu się tak cisną na jego kazania, odpowiadał z prostotą: „Bo co człowiek od tego księdza usłyszy, to tak w głowie zostanie, jakby czopem zabił“. Niezmordowany pracownik, blisko pięćdziesiąt lat strawił na misyach i pracach apostolskich. Gorący miłośnik Zakonu, nie przyjął ofiarowanej sobie stolicy biskupiej w Bukareszcie, po dwukrotnem wydaleniu Zgromadzenia z kraju wciąż myśląc o nowem jego zaszczepieniu na ziemiach polskich, umarł w Krakowie r. 1846 jako proboszcz Zwierzyniecki, nie przestawszy być jednak Redemptorystą.

Drugim wybitnym kaznodzieją polskim był O. Blum, także Blumenau zwany. Ale to nie było jego prawdziwe nazwisko, bo jak z ust wiarogodnych słyszeliśmy[1], O. Blum był rodowitym Polakiem i zwał się właściwie Kwiatkowskim. Do Zgromadzenia wstąpił on już jako kapłan. „Potężnym kaznodzieją“ nazywa go X. Prusinowski, „dzielnym mistrzem moralności“ Brunner, a „znakomitym mowcą“ Haringer. Kazania jego ogromny wpływ wywie-

[1] Tak nam powiadał Najprz. ks. prałat Scipio, dawny i serdeczny przyjaciel O. Podgórskiego. Tenże najuprzejmiej udzielił nam wiele cennych szczegółów, tyczących się działalności OO. Benonów.

rały, a z drugiej strony ściągały na mowcę i cały klasztor oburzenie i prześladowania złych i przewrotnych.

Widać, że prace OO. Benonów w Warszawie i dalszy miały rozgłos, kiedy nawet z dalekiej Francyi w 1795 r. aż czterech zgłosiło się kandydatów, prosząc o przyjęcie: Józef Passerat, Mikołaj Lenoir, Vennelet i Lamercier. Pierwszy zwłaszcza znakomitym był nabytkiem dla Zgromadzenia. Jeszcze we Francyi będąc zamyślał on poświęcić się stanowi duchownemu, ale spełnieniu zamiarów przeszkodził wybuch wielkiej rewolucyi. Wtrącony do więzienia, a niedługo potem oswobodzony, poniewolnie zaciągnięty został do wojska, gdzie się z czasem dosłużył stopnia wielkiego tambora i kwatermistrza. Ale skoro się tylko sposobność nadarzyła, umknął za granicę, by swój pierwszy zamysł do skutku doprowadzić. W Würzburgu, gdzie uczęszczał na teologię, doszła go wieść o Redemptorystach w Warszawie, i niezwłocznie pospieszył za głosem Bożym. Wierny naśladowca cnót swego mistrza duchownego O. Hoffbauera, był też później spadkobiercą jego urzędu, jako wikaryusz generalny w Niemczech. Drugi z kolei Lenoir, był we Francyi profesorem hebrajskiego języka, biegłym był nadto w chaldejskim, syryjskim i greckim języku, a do tego fachowym matematykiem. O cnocie jego w Zgromadzeniu chlubne złożył świadectwo O. Hoffbauer w liście do jenerała zakonu, nazywając go „mężem wielkiej cnoty“. W klasztorze św. Benona przetłumaczono mu z przezorności nazwisko na język niemiecki i pod nazwiskiem Schwarza znanym był w Warszawie.

Na czele zaś domu OO. Redemptorystów stał O. Hübl, za konnik zarówno wielkiej nauki jak cnoty. „Głęboki teolog, pisze „o nim X. Prusinowski, mianowicie w Ojcach św. szeroko obczy„tany, biegły znawca dziejów świeckich i kościelnych, prócz staro„żytnych języków, świadomy do płynnego używania języków: cze„skiego, niemieckiego, polskiego, francuskiego i włoskiego, autor „dzieła o logice i metafizyce, kaznodzieja zarówno do polskiego jak „niemieckiego nauczania gotowy“. W dyecezyi przez cały niemal czas pobytu swego w Warszawie był jednym z dwunastu egzaminatorów dla kandydatów święceń kapłańskich i starających się o aprobatę do słuchania spowiedzi, a kilka lat ostatnich egzaminatorem prosynodalnym. Dla jego gruntowności i sumienności przy

egzaminach zwano go pospolicie hyblem. Komu więc dobrze poszły egzaminy przed innymi egzaminatorami, straszono go O. Hüblem. „Czekajno, czekaj, mawiano takiemu, dostaniesz się pod hybel, „ten cię dopiero przyhybluje“ [1]. W domu był do końca życia swego rektorem. Pełen miłości i troskliwy o każdego wysłużył sobie chlubną nazwę: matki Zgromadzenia. Jako spowiednik był on niezmordowany, a przytem pełen roztropności i słodyczy, pociągał do siebie wszystkich, pobożni prałaci i wysoka szlachta u niego się przeważnie spowiadali. Jak powszechną miłość posiadał on w Warszawie, najlepiej pokazało się po jego śmierci.

Padł on ofiarą swej gorliwości i miłości bliźnich. Kiedy bowiem w czasie przemarszu wojsk francuskich przez Warszawę zachorzało wielu żołnierzy z włoskiego pułku, a nie było kapłana, któryby im mógł udzielić ostatniej pociechy religijnej, arcybiskup napisał do O. Hübla, jako znającego język włoski, prosząc go, by się nimi zajął. Ten acz sam od dłuższego czasu chory, mógł się słusznie wymówić, nie zwlekał jednak ani chwili, pospieszył do szpitala epidemicznych, słuchał spowiedzi i zaopatrywał konających. Ale niedługo sam uległ zaraźliwej chorobie. Czternaście dni przeleżał w ciężkim tyfusie pasując się ze śmiercią, której uległ wreszcie dnia 4 lipca 1807 r.

Ledwo się rozeszła wieść o jego śmierci, a już stanęli u jego zwłok arcybiskup ówczesny Raczyński i sufragan jego, Grzegorz Zacharyaszewicz, aby wyrazić O. Hoffbauerowi swoje współczucie i pomodlić się za duszę zmarłego. Nadto rozkazał arcybiskup, aby przez trzy dni następne we wszystkich kościołach Warszawy dzwoniono przez pół godziny, po trzykroć na dzień. Co tylko żyło znakomitszego w mieście: wojewodowie, kasztelani, senatorowie spieszyli do furty klasztornej, zobaczyć raz jeszcze i pożegnać po raz ostatni swego ojca duchownego. Świec do katafalku i na pogrzeb zniesiono przeszło 500. Cała prawie Warszawa wyruszyła na jego pogrzeb, i z wyrazem prawdziwego smutku towarzyszyła złożeniu zwłok do grobu, oddając hołd cichej cnocie ubogiego zakonnika.

Tak więc małe zrazu, jak ziarnko gorczyczne, Zgromadzenie OO. Redemptorystów zaczęło się wzmagać i rozrastać w potężne

[1] Cl. M. Hoffbauer und seine Zeit vom S. Brunner. Wien 1858.

drzewo. We dwadzieścia lat liczył zakon członków 46, z tych 37 w Warszawie, czterech w Lutkówce, pięciu w Mitawie. I gdyby nie dziesięciolecie pruskich rządów, które ołowiem zaciężyły na Zgromadzeniu, tamując wszelki jego rozwój, byłoby ono o wiele liczniejsze. A choć byli wśród nich ludzie różnej narodowości, to jednym ożywieni duchem. „Mogę powiedzieć, pisze O. Hoffbauer „do jenerała zakonu [1], że widzę u wszystkich swoich współbraci „wielkie przywiązanie do naszego instytutu, bo jak sam nic tak nie „kocham na świecie jak Zgromadzenie, tak o nic więcej się tak nie „staram, jak ażebym w swoich współbraci przelał tę miłość do „kongregacyi i naszego powołania. I widzę, że z łaską Bożą „u wszystkich bez wyjątku, tkwi to silne przedsięwzięcie, raczej „życie w ofierze położyć, aniżeli uczynić cośkolwiek, coby mogło „być ze szkodą Zgromadzenia. Dzięki składam bez przestanku „Bogu, że w ciągu wielu lat żaden się dotąd nie sprzeniewierzył „powołaniu ani w Warszawie, ani w Kurlandyi". A w liście do ks. Baala, kanclerza księcia biskupa z Chur, Karola Rudolfa Buol-Schauensteina, składa chlubne świadectwo swoim podwładnym: „Tyle zaręczyć mogę Waszą Przewielebność, że instytut u nas „wszędzie się zachowuje" [2].

Młody zakon pełen zapału i siły pod dzielnym przewodem takiego mistrza, jakim był O. Hoffbauer, jak rycerz do boju, rwał się do poświęceń na chwałę Boga, do pracy w winnicy Pańskiej — a czas był wielki po temu — *żniwo było wielkie, ale robotników mało.*

Smutny nader przedstawia obraz Polska za panowania Stanisława Augusta. To lew przez długie wieki niegdyś groźny przed światem, teraz pozbawiony sił, dręczony śmiertelną niemocą pasuje się z ciężką agonią. Nieraz jeszcze błyśnie okiem i podrzuci się gwałtownie, jakby chciał przekonać i siebie i innych, że gotów się dźwignąć, że pragnie żyć, i może do sił dawnych dojść, ale niestety — to tylko wysiłki przedśmiertne: byt polityczny narodu pol-

---

[1] Dnia 11 lipca 1801 r.

[2] Z 12 grud. 1806. Haringer str. 103.

skiego już zachwiany, a w organizmie — rozkład niemal ogólny. Nie mam zamiaru kreślić w całości opłakanego stanu ginącej Rzeczy pospolitej, dwóch tylko ran dotknę, a to niewiary i rozluźnienia obyczajów, które w stolicy koncentrującej niejako w sobie życie narodu najboleśniej się objawiają. Jedno i drugie to owoc nowej oświaty, która spłynęła do nas z Francyi. „A była to oświata, jak „pisze Szujski [1], czasów Woltera, Russa, Lamettriego, d'Argens'a, „d'Alamberta i Diderota, oświata walcząca z pozytywną religią „i starym ustrojem społecznym, walcząca dowcipem raczej i satyrą, „niż głębokością, a przez to lekka, popularna, przystająca łatwo do „umysłu powszechności. Ludzie, którzy się jej chwycili, znaleźli się „w jaskrawem przeciwieństwie z wiarą i tradycyą przeszłości“ ... Sekty wrogie Kościołowi poczęły się krzewić. I nie dziw, przykład zły działał z góry, na tronie siedział ukoronowany „Salzynat“ członek loży niemieckiej „Rose de croix“, a najznakomitszego rodu panowie i panie poczytywały sobie za zaszczyt należyć do tajnych związków, posiadać w nich stopnie i tajemnicę przysięgą osłoniętą, na której się częstokroć całe masoństwo kończyło. Przy podkopanej w umyśle, a częstokroć i w sercu wierze, musiała naturalnym wypływem rzeczy ustać i praktyka religijna, a namiętność brała górę. Surowa obyczajność chwiać się i runąć musiała, odkąd pozbawioną została jedynej swej podwaliny — wiary. „Niedouczone „mędrki nowej daty rzucili się na gołoledź niemoralnego życia mo„dnego, w odmęcie, którego zwyciężyć nie mogli, wyzuli się „z wiary, sumienia i poczucia obowiązków obywatelskich [2]...“ I tu przewodził i świecił przykładem wyniesiony za miłostki z W. księżną moskiewską, głowa narodu król Stanisław. „Rozpustę pe„tersburgską, pisze ks. Kalinka, zaszczepił Stanisław August „w Warszawie“ [3]. A spółczesny króla Karpiński mówi w pamiętniku swoim: „Obyczaje króla zepsuły stolicę i osłabiły śluby małżeńskie. Piękniejsze kobiety w mieście dawały sobie tony większe „niżby należało, bo każda z nich wspomniawszy, że była czasem „królową, chciała potem zawsze wielowładnie rozkazywać. W War-

[1] Dzieje Polski przez J. Szujskiego. Tom IV. str. 548.
[2] Tamże.
[3] Pamiętniki z XVIII. wieku. Str. LXI.

„szawie, śmiało można powiedzieć, dziesięć razy więcej było rozwo-„dów niż w Polsce i całej Litwie. Nawet już w zwyczaj między „możnymi pisania ślubnych intercyz weszło, że która strona rozwo-„dzić się miała, powinna była drugiej zapłacić pewną sumę". A Kra-szewski kreśląc obraz ówczesnego społeczeństwa: „Małżeństwa, pi-„sze, kojarzą się i zrywają dodniowe, miłość jest dla wszystkich „zabawką, a święte dawniej węzły nie krępują nikogo, król ma „niezliczone z kolei kochanki, wśród których najpierwsze imiona „Rzeczypospolitej się mieniają... Szalona namiętna gra zajmuje „dnie, wieczory, noce... grają wszyscy, panowie, panie, słudzy, „dzieci. Poniński przegrywa miliony, Massalski swe dochody bi-„skupie, inni aż do sumienia" [1]. Jednem słowem brak wiary a czę-sto ateizm, rozpasanie bez granic, najgrubszy epikuryzm połączony z cynizmem i podłotą, oto obraz nie Polski ale jej stolicy.

A w obec tego upadku wiary, rozluźnienia obyczajów, jakąż rolę gra ona *sól ziemi*, ona *światłość świata*, co przykładem swoim i słowem ma ludzi upominać, uświęcać i prowadzić do Boga? Niestety! smutno wyznać, ale ówczesne duchowieństwo niczem się nie różniło od społeczeństwa, z którego się rekrutowało i wśród którego żyło. „Nie można zaprzeczyć, pisze ks. Kalinka, że jak na „tylu innych polach naszej służby publicznej, tak i w kościele pol-„skim liczne były uchybienia i zaniedbania. Zakony z wyjątkiem „Misyonarzy i Teatynów stały w ogólności dość nisko pod wzglę-„dem duchowym i umysłowym; kler wyższy po kilka beneficyów „w ręku trzymający, obowiązkami swoimi mało się zajmował, bi-„skupi, prócz niewielu, słabej wiary, sprawom świeckim przeważnie „oddani, bardziej polorem i łatwością życia, niż gorliwością o do-„bro Kościoła błyszczeli"... [2]. Aż zgroza wspomnieć, co to byli za biskupi, tacy Podoscy, Poniatowscy, Młodziejowscy, Massalscy. A cóż mówić o niższem duchowieństwie, o zakonach, w których dezercye, apostazye i żeniaczki były niemal na porządku dziennym.

Wśród tej ogólnej deprawacyi stolicy i jej klas wyższych, staje w Warszawie O. Hoffbauer. Iście Boże zrządzenie. Ostatnia to legacya Boża do narodu ginącego. Podobnie jak ludowi Izraelskiemu

[1] Polska w czasie trzech rozbiorów przez J. I. Kraszewskiego. Tom I.
[2] Sejm czteroletni przez ks. Wład. Kalinkę. Tom II.

dawał Bóg przewódzców, królów i mężów wedle serca Bożego, którzy przez cały przeciąg istnienia ich królestwa, zwracali ich na drogę prawą, wymiatając im na oczy zdrożności i występki, a kiedy się królestwo poczęło chylić ku upadkowi, zsyłał Bóg proroków z przepowiednią niechybnej zguby, z wezwaniem do pokuty; tak samo i Polsce dawał przez kilka wieków króle mądre i roztropne, kapłanów iście natchnionych, ale kiedy zbytek i swawola górę brać poczęła, jawili się od czasu do czasu mężowie, co głosem ostrzegawczym smutny koniec narodowi zapowiadali. Szereg tych proroków rozpoczyna Skarga, wołający na stany sejmowe: „Leczcież tę chorą swoją matkę, „tę miłą ojczyznę i Rzeczpospolitą swoją"! Wytykał on śmiało niemoce i grzechy rozpowszechnione w całem państwie, zachęcał do poprawy, a w przeciwnym razie groził niewolą, poniewierką i całym szeregiem tych ucisków i klęsk, które od stu lat stwierdzają jego Jeremiaszową o Polsce przepowiednię. Ale przebrzmiał ten głos, jak wiele innych, co po nim to samo zwiastowali, zaczęło się zbliżać fatalne sprawdzenie zapowiedzianej ruiny — obce mocarstwa dzielić się poczęły krainami Polski. W ostatniej tedy niemal dobie, gdyż po pierwszym już rozbiorze, jawi się ostatni poseł Boży, któremu Bóg objawił przyszłe koleje narodu — O. Hoffbauer. M. Cecylia Chołoniewska, która była jednym ze świadków przy procesie kanonizacyjnym, zeznaje, że tenże raz po Mszy św., odprawując dziękczynienie, zdawał się być w zachwyceniu. Oczy jego zalały się łzami, a z piersi dobywały się jęki stłumione, choć usta milczały. Po niejakim dopiero czasie, jakby ockniony ze snu głębokiego, zawołał z nadmiarem boleści: „O nieszczęsna Polsko, jakież „to klęski wiszą nad tobą, jakież to zbrodnie popchną cię do upadku! „Toniesz cała we krwi i mordzie"... Więcej nie można było zrozumieć[1]. I często można było słyszeć z ust jego podobne żale nad przyszłą dolą nieszczęśliwego narodu, któremu niekiedy znowu lepszą wieszczył przyszłość[2].

Przyszedł on do Warszawy, jak on prorok Jonasz do Niniwy

---

[1] M. C. Chołoniewska, fundatorka klasztoru Wizytek w Kamieńcu, po ciężkich prześladowaniach ze strony rządu, wygnana z kraju przybyła w 90 roku życia do Lwowa, gdzie przed kilku laty umarła.

[2] Haringer str. 150.

głosić pokutę i wzywać do niej ludność miasta. W tem przeświadczeniu o konieczności przebłagania Boskiego Majestatu i konieczności expiacyi za tyle występków niewiary i swawoli, otworzył, skoro tylko siły Zgromadzenia pozwoliły, wieczną misyę w kościele św. Benona.

Zważywszy dobrze, co to jest misya, jakie jest zapatrywanie się Kościoła, który się nią tylko jako praktyką niezwykłą posługuje, nadto jakiego wysiłku pracy do jej odprawienia potrzeba; z drugiej zaś strony wiedząc jakim duchem był ożywiony O. Hoffbauer, tego rozpoczęcia misyi trwającej nie miesiąc, nie rok, ale lat kilkanaście, inaczej zrozumieć niepodobna, jak tylko, że było ono dziełem natchnienia Bożego. Cóż bowiem innego mogło znaczyć to wystawienie ciągłe Najśw. Sakramentu, ta bezprzerwna adoracya Boga w pośród nas przebywającego i to wreszcie przypominanie nieustanne sądów Bożych i wieczności, jeśli nie ono Jonaszowe wzywanie do pokuty? Nie był to zaprawdę poryw chwilowej gorliwości, gdyż tenby się zużył i strawił w niedługim czasie. Nie był to sposób odprawiania nabożeństwa konstytucyami Zgromadzenia nakazany, albo zwyczajem zakonu uświęcony. Owszem, jak z listów O. Hoffbauera widać, jenerał zakonu uprzedzony o tem skądinąd, robił mu w tej mierze przedstawienia, na co odpowiedział O. Hoffbauer, że podjął się tego środka po długim dopiero namyśle, i tłumaczy przyczynę, która go do tego skłoniła: „Potrzeby tutejszego „ludu są ogromne“ [1]. Snać i tego zdania była władza duchowna, która przecież miała moc powstrzymać te tak nadzwyczajne nabożeństwa. A przecież ani biskupi, ani nuncyusz bawiący naonczas w Polsce nie oparli się temu. Owszem ten ostatni w liście do jenerała zakonu wyliczywszy wszystkie prace OO. Benonów w Warszawie: „Ja przynajmniej, pisze, nie miałbym odwagi radzić Oj„com, aby coś z owego nabożeństwa zaniechali, owszem bałbym „się sprzeciwiać woli Bożej i psować dzieło jego radą podobną“ [2].

[1] Haringer str. 48, list z 12 czerwca 1801 r.

[2] Haringer str. 48. Jan Klemens Maria Hoffbauer wik. gen. Zgromadz. Przenajśw. Zbawiciela spisał ks. Prusinowski. Grodzisk 1864 str. 21. Klemens Maria Hoffbauer und seine Zeit von Sebastian Brunner. Wien 1858 str. 52.

W pierwszych latach pobytu swego w Warszawie, ponieważ ani O. Hoffbauer, ani jego towarzysz nie władali dostatecznie polskim językiem, ograniczali swą działalność na kazaniach niemieckich i słuchaniu spowiedzi, tak Niemców jak Polaków, ale skoro tylko liczba ich cokolwiek się pomnożyła, rozpoczęli swą działalność na wielką skalę.

Wczas z rana kończyły się duchowne ćwiczenia, medytacya i poranne modlitwy tak, że z uderzeniem godziny piątej udawali się kapłani do konfesyonałów. W tymże czasie jeden z młodszych księży rozpoczynał naukę katechizmową dla służących, wyrobników i wszystkich tych, co tylko poranną chwilę mogą poświęcić Bogu i zbawieniu duszy swojej. Po skończonej nauce wychodziła Msza św., na której lud śpiewał po polsku. Po niej miewał zwykle kazanie O. Blum. Opierając się na niedzielnych ewangeliach, przechodził w roku całą naukę wiary i moralności. W czasie znowu wotywy, śpiewał chór dziewic z bractwa św. Józefa łacińską Mszę św. na głosy, po której było kazanie w języku niemieckim, które zwykle miewał sam O. Hoffbauer.

Przytoczywszy jakiś ustęp z niedzielnej epistoły, na tle ich wykładał tajemnice wiary, w sposób przystępny dla wszystkich, a jednak tak gruntowny, że i ludzie uczeni chętnie spieszyli na jego wykład. Przydłuższe nawet jego kazania nie nużyły słuchaczów, co radzi go słuchać jak najdłużej, niechętnie widzieli zbliżający się koniec jego mowy. Wielka wiara, jaką był ożywiony i gorąca jego miłość ku Bogu tchnęła z każdego słowa, działała na umysły, poruszała serca. Dowody jego, obok prostoty i jasności z jaką je rozwijał, pokazywały głęboką znajomość pisma św., Ojców Kościoła, biegłość historyi, a przedewszystkiem znajomość serca ludzkiego. Często zwykł mawiać na wstępie. „Dziś będę mó„wił tak poprostu, że mnie będą mogły zrozumieć nietylko pro„staczkowie, ale nawet dziatki, aby mnie nikt potem nie oskarżał „przed trybunałem Bożym: nie rozumieliśmy twoich słów“ [1]. Kardynał Rauscher i arcybiskup wiedeński jego penitent i częsty słuchacz jego kazań powiada o nim: „Jako kaznodzieja budził on po„dziw, nie uczył się on retoryki, brakowało jego mowie krasomow-

[1] Haringer str. 200.

„skiej sztuki, z pisarzy, którzy niemiecką mowę wykształcili, „z pewnością nie czytał on żadnego, owszem nie władał nawet bie„gle językiem swoich słuchaczy, a jednak występował jako uczeń „tego, który gdy mówił, to jako mający władzę. Nigdym nie sły„szał kaznodziei, któregoby słowa tak głębokie robiły wrażenie [1]. „Umiał on, opowiada O. Rinn T. J., umysłom bożej unkcyi udzie„lić, że wszyscy zbudowani byli, a najwykształceńsi i wsławieni „mężowie odzywali się: Jedno słowo z ust jego wystarcza mnie „na cały tydzień". Tylko na ambonie, mówi o nim kanonik Veith, „popuszczał wodze swej gorliwości, a wtedy gorzało oblicze jego „i zdawał się zachwycony jak Serafin, jego mowa była jak płomień „pożerający, który zapala serca, jak miecz, który przeszywa dusze. „To też wśród kazania jego panowała głucha cisza pomiędzy „licznymi słuchaczami. Z wytężoną uwagą słuchano słów jego. Czę„sto znów takie wzruszenie opanowywało jego słuchaczy, że nie „mogli płaczu i jęku powstrzymać, a co więcej, Bóg tak błogosła„wił jego mowie, że sprowadzała liczne, a nadzwyczajne nawróce„nia, każdy widział w nim działanie Ducha św., które go na am„bonie oświecało i napełniało" [2].

W czasie kazania niemieckiego odprawiał jeden z kapłanów mszę św. w bocznej kaplicy dla nierozumiejących języka niemieckiego, a zwłaszcza ludu okolicznego, którego zawsze pełno było w kościele. Po kazaniu następowała uroczysta suma. W święta i dnie większych obchodów celebrowali ją biskupi albo prałaci, w dnie powszednie najczęściej odprawiał ją sam O. Hoffbauer. Suma odbywała się zawsze z wystawieniem Najśw. Sakramentu, a podczas niej przygrywała na chórze orkiestra z dobranych muzyków, którzy dobrowolnie swe usługi ofiarowywali kościołowi. Samych skrzypków bywało niekiedy do 24. Codziennie prócz kapłanów Zgromadzenia odprawiało tu do dwudziestu innych kapłanów Msze św. Krótki przeciąg czasu dzielił nabożeństwo popołudniowe od rannego. Zaledwo czas mieli kapłani odetchnąć, posilić się i zmówić pacierze i to trzeba się było spieszyć, bo o drugiej zaczynał

[1] Haringer str. 199.
[2] Summ. pag 120—121.

lud godzinki śpiewać, w czasie zaś postu Gorzkie Żale a wpół do czwartej zaczynało się kazanie niemieckie i nowa praca po konfesyonałach, trwająca do późnego wieczora. Po nieszporach z wystawieniem Najśw. Sakramentu opuszczali Niemcy kościół a zapełniała go ludność polska. O. Podgórski miewał wtedy zwykle kazanie, a tematem jego mów były prawdy wieczne. Potem z kapłanem na czele odprawiała się droga krzyżowa, po niej wieczorny rachunek sumienia, kończący się aktami i modlitwami stosownemi, zamykał całodzienne nabożeństwo.

W taki to sposób odprawiano codzień służbę Bożą przez cały rok. To też jak pisze ks. Prusinowski, „przez wszystkie dni ca„łego roku kościół księży Benonów nigdy nie był pustym. Ołtarze, „spowiednice, kazalnica, chór, wszystko zajęte. Jedni wychodzili, „drudzy przychodzili, a każdy odchodził pouczony i zbudowany, „często oczyszczony i uświęcony przed Bogiem“ [1]. A jeśli w dnie powszednie, tak uroczyste odbywało się nabożeństwo, cóż mówić o świętach, w których występował kościół z całem bogactwem aparatów, ozdób, światła. Zwłaszcza w dzień Bożego Ciała wspaniały roztaczał się widok, kiedy Kościół rozgorzał od światła i napełnił się wonią najpiękniejszych kwiatów, co splecione w girlandy, wieńce, bukiety zdobiły ołtarze i ściany kościoła. Mnóstwo dzieci ustrojonych w biel rozpoczynało procesye, dwanaście paniąt w złotogłowiu rzucało kwiaty przed Sanctissimum, drugich dwanaście przebranych za cherubinów towarzyszyło im, dwunastu kleryków z kadzielnicami, kapłani w kosztownych ornatach poprzedzali celebransa, nad którym sześciu dygnitarzy niosło baldachim kosztowny. Był to dar i robota najznakomitszych matron warszawskich, na którym samego złota było na 6.000 franków. Świetne a poważne nabożeństwo jakżeż nie miało podnosić ducha obecnych do Boga, wabić okazałością przechodniów, porywać zwłaszcza serca ludu polskiego, co z dalekich stron gotów ciągnąć, znieść głód, pragnienie i wszelką niewygodę, byle uczestniczyć w „pięknem nabożeństwie“. „W tym „roku, pisze O. Hoffbauer w liście z dnia 19 sierpnia 1800, z nad„zwyczajną wystawnością obchodziliśmy uroczystość Bożego Ciała. W zeszłym roku celebrował J. Eks. Monsignore Litta sumę przy

[1] Ks. Prusinowski str. 17.

ogromnym natłoku ludzi, przez siedem następnych dni urządziliśmy „małą misyjkę, którą zakończyliśmy w oktawę błogosławieństwem „papieskiem. Udzielił go O. Hübl, który przy tej sposobności po „raz pierwszy kazał po polsku. Lud płakał w czasie tego tak gło„śno, że kaznodzieja musiał po kilkakroć swą mowę przerywać, „a ludu było trzy razy więcej, niż kościół może zwykle pomieścić“ [1].

A zbożna, gorliwa, posunięta aż do ostateczności, aż do zapomnienia o sobie praca Ojców niosła też błogie owoce. W r. 1796 rozdano w kościele św. Benona komunij 48.777. Z r. 1799 na 1800 wzrosła liczba o 10.000, a w 1807 a więc ostatnim roku przed wydaleniem Zgromadzenia z Warszawy, liczba komunij przenosiła 104.000. „A byłoby ich nierównie więcej, pisze O. Hoffbauer do „jenerała Zakonu, gdybyśmy wszystkim mogli usłużyć i gdyby ko„ściół nasz więcej mógł ludzi pomieścić w sobie“ [2].

Oprócz własnego obsługiwali jeszcze OO. Redemptoryści kościół świętego Krzyża na ulicy Zakroczymskiej w Warszawie, którego im zarząd r. 1796 zleciła władza duchowna. Przytem rok rocznie urządzali oni rekolekcye ludowe w kościele św. Andrzeja, przy wielkim udziale wiernych i kazali niemal po wszystkich kościołach Warszawy [3].

W obec upadku ówczesnego kleru, nader trudno było w Warszawie o dobrych spowiedników zakonnic w licznych klasztorach zostających. Kierunek należyty tych dusz Bogu poświęconych, większego wymaga jak dla innych wiernych światła, wprawy i znajomości głębszej życia duchownego; z drugiej zaś strony opieka duchowna nad zakonnicami kosztuje wiele mozołu i czasu. Upadający od znoju apostolskiego OO. Redemptoryści, pod naciskiem władzy duchownej i nalegań opuszczonych pod tym względem zakonnic, musieli przyjąć na siebie i ten ciężki a w obec szerszej pracy niewiele pożytku niosący trud i to nie w jednym, ale czterech klasztorach PP. Sakramentek, Wizytek, Karmelitanek i Augustyanek [4].

---

[1] Haringer str. 40.
[2] Tamże str. 149.
[3] Tamże str. 45. Prusinowski str. 18
[4] Tamże str. 149.

Tymczasem w kościele św. Benona, praca szła zwykłym trybem. „Żądny zbawienia lud, jak zeznaje M. Cecylia Chołoniewska, „napływał doń, aby Bogu hołd złożyć i uczestniczyć w boskiem „zmiłowaniu, które się tam objawiało. Kościół był zawsze przepełniony, a konfesyonały oblężone". Prócz Polaków i Niemców, którzy tu mieli własne nabożeństwa i Francuzi, których znaczna liczba w różnych czasach tutaj przebywała i Włosi, słowem wszystkie niemal narodowości Europy znajdowały u św. Benona chętną pomoc duchową. Co więcej, działalność ta, obejmująca wszystkie warstwy społeczeństwa, tuląca do serca, co wzgardzone i podłe przed światem, rozciągała się nawet na innowierców.

W czasie dziesięciolecia rządów pruskich, wzrosła znacznie liczba protestantów w Warszawie przez napływ urzędników, co z całemi familiami przesiedlali się z Brandenburgii do Polski. Kazania niemieckie a przedewszystkiem wytworna orkiestra w czasie sumy, ściągała wielu do kościoła św. Benona. Przed sumą kazał jak zwykle O. Hoffbauer, a mowa jego robiła na nich ogromne wrażenie. Ludzie ci, znając religię katolicką tylko z książek w protestanckim duchu pisanych, ze szkalowań i napaści pastorów i wrogów Kościoła, słuchając kazań O. Hoffbauera, zdumiewali się nad jej podniosłością. Teraz przedstawiała im się katolicka religia w świetle nadziemskiem prawdy przez Boga objawionej, uznawali jej niezmierną wyższość nad protestancką, i w niejednej duszy budziło się pragnienie zabezpieczenia swej wieczności. Tacyto przychodzili co raz częściej do kościoła, wiedzeni już nie samą ciekawością, nie dla nacieszenia się artyczną grą na chórze, jak to z początku bywało, ale w szczerej chęci, aby lepiej poznać religię katolicką i zbadać, gdzie się właściwie prawda znajduje. A nie tylko do kościoła, ale wielu przychodziło do rozmownicy klasztornej, chcąc się rozmówić z O. Hoffbauerem, by więcej jeszcze w tym względzie zasięgnąć światła i pewności. Nie ociągał się O. Hoffbauer z tą posługą duchowną, a miła, spokojna i gruntowna jego cnota, występowała wybitniej w bliższem zetknięciu się, budziła doń ufność i jednała mu serca protestantów. Wkrótce okazała się za szczupłą rozmownica klasztorna i musiano wynająć obszerniejszy lokal w pobliskim domu, w którym się zwykle spora liczba protestantów zbierała [1]. Owocem tych dysput i rozmów

[1] S. Brunner str. 74.

religijnych był powrót co miesiąc kilku osób, a nawet całych familij protestanckich na łono kościoła katolickiego [1].

Inną znowu niwę uprawiał O. Mikołaj Lenoir, w Warszawie na Schwarza przechrzczony. Zdarzyło się, że się kilku Żydów zgłosiło do Ojców z pragnieniem chrztu. O. Lenoir dawny profesor języków wschodnich, a przytem znawca talmudu, podjął się ich przygotować do przyjęcia wiary św. Wnet rozeszła się po mieście wieść o jego znajomości talmudycznej i coraz więcej Żydów cisnęło się do furty klasztornej na dysputy. Nawet rabini przychodzili z wątpliwościami. Wtedyto występował O. Lenoir z biblią w ręku i całym arsenałem wiedzy, wykazując im boskość Chrystusa Pana. A tak się poczciwy Ojciec zapalił tą swoją misyą, że myślał nawet porzucić Warszawę i udać się do Jerozolimy, aby tam na miejscach zarówno świętych dla chrześcijan jak żydów opowiadać tym ostatnim Mesyasza. Wielu z nich w istocie przekonał i pociągnął do Kościoła, ale nierównie więcej odchodziło od niego z plemiennym uporem, nie chcąc uznać prawdy mimo najoczywistszych dowodów. Apostolstwo to zresztą nie świetne przyniosło owoce, jak wspominają życiopisarze O. Hoffbauera. Z ochrzczonych, część tylko nawróciła się szczerze, inni, jak się to zwykle dzieje przy nawróceniach żydowskich, pozostali katolikami tylko z imienia, nie zaś w życiu i czynach [2]. Ale zawsze ważny to szczegół, bo pokazuje wszechstronność pracy OO. Benonów w Warszawie.

Walnym czynnikiem w rozszerzeniu oświaty płynącej do nas z Zachodu, były książki a przedewszystkiem powieści i romanse francuskie, które w oryginałach, przeróbkach i tłumaczeniach zalewały Polskę, chciwie rozchwytywane i czytane. Byłto jeden ze sposobów, którymi zagłuszano uczucia boleści i smutku, jakie się budziły na widok nieszczęść narodowych. Baczny na wszystko O. Hoffbauer, przewidział szkody niepoczciwej lektury i sam i przez kaznodziei swoich, występował przeciwko zasadom i poglądom nowym, zbijając je ze stanowiska wiary i moralności. Przestrzegał wszystkich a najbardziej rodziców i wychowawców, żeby się strzegli i sami a szczególniej młodzież sobie powierzoną, przed tą trucizną. Owszem,

[1] Haringer 45, Brunner 74.
[2] Tamże.

umyślił złemu prądowi wręcz przeciwdziałać. W tymto celu, jak opowiada M. Cecylia Chołoniewska, założył on kongregacyę pod wezwaniem N. P. Maryi, której zadaniem było szerzenie dobrych książek [1]. Pierwszeństwo oddając swojemu św. zakonodawcy, jego dziełka ascetyczne, gruntowne a prawdziwą pobożnością tchnące, zalecał wszelkimi sposobami swoim słuchaczom. Dla Niemców łatwiej to przychodziło, bo już istniały niemieckie tłumaczenia wielu dzieł św. Alfonsa. W Polsce nie wiedziano zgoła, albo bardzo mało o pismach tego doktora Kościoła. Moralne kazania jego wyszły w r. 1783 w polskim przekładzie, którego dokonał ks. Dominik Waluszewicz. Za inicyatywą O. Hoffbauera wzięli się OO. Blum i Podgórski do tłumaczenia i o ile wiemy trzy dziełka św. Ligouri'ego: „Nawiedzenia Najśw. Sakramentu“ [2], „Miłość dusz“ i „Wieczne prawdy“ jeszcze z końcem przeszłego wieku rozeszły się po Polsce.

Nie długo nie sama już Warszawa, miała być areną działalności Ojców. Nie zapominał O. Hoffbauer o Kurlandyi, dla której początkowo przybył do Polski. Skoro tylko wzrosło Zgromadzenie, wysłał w kilka lat po objęciu kościoła św. Benona, trzech kapłanów i dwóch braci do Mitawy. Przy kościele św. Józefa osiadłszy, rozpoczęli oni Bożą orkę. Bliższych wiadomości nie mamy stamtąd, ale wyobrażenie o skuteczności ich prac mogą dać listy O. Hoffbauera: „Nasi Ojcowie widocznie zdobyli sobie tam wielkie zaufanie „u ludu, skoro nawet wielu luteranów przychodzi do nich z oddali. „Przynosząc im swoich chorych, proszą natarczywie, aby Ojcowie „kładli na nich ręce i błogosławili im. Także i dzieci swoje starsze „prowadzą, prosząc o błogosławieństwo dla nich“ [3]. W rok zaś później, kiedy już zaciążyła nad Zgromadzeniem żelazna dłoń rządu pruskiego, nie mogąc im w pomoc przyjść, przez nadesłanie świeżych sił, użala się nad ciężką ich dolą z nadmiaru trudów misyonarskich: „Ojcowie nasi, pisze, muszą uledz pod nawałem prac, „jeśli się ich dłużej tam samych pozostawi“ [4].

---

[1] Haringer str. 49.
[2] Drugie wydanie okazało się już w Polsce w 1792 r.
[3] 15 list. 1795. Haringer str. 46. Brunner str. 54.
[4] Z 26 lipc. 1806, Haringer 57.

Oprócz Mitawy otworzono stacyę misyonarską w Lutkówce pod Warszawą. W wielu dyecezyach Królestwa polskiego, istniały osobne fundusze na odprawianie misyj, które z upadkiem Towarzystwa Jezusowego, leżały bezużytecznie. Po roku 1790 trzech Ojców zaczęło swe wycieczki misyjne. A zaledwie się tą pracą zajęli, powiada ks. Prusinowski, taka w całej archidyecezyi obudziła się do misyj ochota, że dla niedostatecznej liczby misyonarzy nie wszędzie można było wymaganiom uczynić zadosyć [1]. W sześćdziesiąt lat jeszcze po ich wygnaniu z Warszawy jeden z wyższych dygnitarzy duchownych polskich, zeznał przy procesie kanonizacyjnym, że na miejscach, w których odbywały się misye OO. Redemptorystów, pomimo licznych przemian i przewrotów, znać było owoce ich pracy: większą moralność, częste przystępowanie do ŚŚ. Sakramentów [2].

Trudno zaiste pojąć, jak OO. Redemptoryści mogli podołać tak szerokiemu a trudnemu zadaniu. Przecież ci ludzie nie byli ze stali, skąd się więc u nich brały siły do tylu trudów, a to przez lat blisko dwadzieścia. Praca apostolska, częstsze zwłaszcza kazania, katechizowanie i słuchanie spowiedzi, wymagają pewnej swobody umysłu, fizycznego i moralnego spokoju i koniecznym jest przy nich zapał, ten „skory duch“, który wreszcie ustać musi, kiedy „ciało mdłe“. To też, wierzyćby się dziś poprostu temu nie chciało, gdyby nie było piśmiennych a wiarogodnych świadectw.

Na piękną zaiste kartę w dziejach Polski, a zwłaszcza miasta Warszawy, zasłużyli sobie OO. Benoni za swoje tyloletnie poświęcenie, za rozliczne trudy apostolskiego życia. Słusznie spotkała ich najwyższa na świecie nagroda, bo pochwała z ust Namiestnika Chrystusowego, Piusa VI., który wyrzekł o nich: *in questi si vede transfuso il zelo del loro fundatore* [3]. Widać, że się w nich przelał duch ich założyciela. A przecież to była tylko część pracy, której się oddawali w Warszawie, jak to zobaczymy. (C. d. n.)

Ks. Zdzisław Bartkiewicz.

[1] Prusinowski str. 18.
[2] Sum virt. str. 64.
[3] Haringer str. 67. Prusinowski str. 14.

KS. STAN. CHOŁONIEWSKI W RZYMIE.

(Dokończenie).

Święcenia kapłańskie. — Pierwsza Msza św. — Towarzysze i przyjaciele rzymscy. — Mickiewicz. — Wieczory u Dominikanów. — Podróż z O. Venturą. — Dziennik podróży po Sycylii. — Wieniec doktorski. — Powrót do kraju.

Jakie uczucia przepełniały duszę dobrego wojownika za sprawę Bożą, kiedy w dzień Wszystkich Świętych klęcząc przed ołtarzem pałacowej kaplicy kardynała Odescalchiego, brał z ręki tego dostojnika Kościoła i doświadczonego starszego przyjaciela, insygnia nowej swej godności,[1] kiedy otrzymywał władzę pośredniczenia między Bogiem a ludźmi w Przen. Ofierze, sprawowania sądów nad sumieniami ludzkiemi? Zwyczajem swoim skreślił Chołoniewski historyę dnia tego i wyjaśniającą ją „mapę swego serca“ w długim liście do siostry zakonnicy, ale list ten przez tyle rąk z kolei przechodził, że wreszcie jedna tylko jego cząstką ocalała wśród długiej tej, a niebezpiecznej podróży, choć i jedna ta przechowana stronniczka dosyć wskazuje jak szczęśliwym był nowo wyświęcony kapłan i jak Bogu dziękował, że mu dozwolił dobiedz do zamierzonej mety [1].

„Otóż, co się stało tego dnia z twym bratem *łajdakiem*. „Rzuciłem ci tylko jakby parę kawałków niezgrabnie oderwanych „z tej ślicznej ceremonii, wzniosłej i majestatycznej jak wszystko, „co Kościół ustanowił, a którą możesz sobie lepiej uprzytomnić „z *Rituale Romanum*. Wstyd mi, żem się w taki długi wdał opis;

[1] List francuski; wyrazy podkreślone po polsku.

„Tobie jednak te szczegóły nie będą obojętne, a nie mogłem na so-
„bie przenieść, aby się z Tobą nie podzielić tem, co na zawsze
„w mem sercu pozostanie wyrytem. Po odprawieniu modlitw dzięk
„czynnych i kiedy już kardynał Odescalchi złożył szaty pontyfikalne
„i przeszedł do swych apartamentów, zaprosił nas wszystkich na
„czokoladę, sorbety i lody, śniadanie któremu tutaj poddać się mu-
„sisz. Panie weszły drugiemi drzwiami. Skorom tylko przeszedł przez
„próg, kardynał podszedł ku mnie, powinszował mi najczulej, a po-
„tem rzekł: *Bisogna guadagnar l' indulgenza*[1] i musiałem świę-
„temu temu biskupowi dać ręce do ucałowania. Później wszyscy
„obecni, jeden po drugim ręce mi całowali, na pierwszem miejscu
„kochana, czcigodna Czartoryska. *To wielka konfuzya była.* Sie-
„dliśmy do śniadania, *ale mnie się więcej płakać chciało, niż jeść.*
„Dziwnem też mi się wydało zrządzenie Opatrzności (albo nazwijcie
„to przypadkiem) że wyjąwszy księży i Czartoryskiej, wszyscy inni
„obecni mężczyźni i kobiety byli konwertytami: hr. Marya Woron-
„cow, Mistres Millingen z córką, malarz Veith syn pani Schległo-
„wej z pierwszego małżeństwa. Panie te były takie poczciwe, że
„na moją intencyę, podczas Mszy komunikowały; Woroncowa spła-
„kała się jak dziecko".

„Nazajutrz odprawiłem pierwszą Mszę św. w podziemiach Ko-
„ścioła św. Piotra, na grobie Apostołów. Niepodobna wam odmalo-
„wać nadziemskiego czaru tego miejsca. Ani jeden promyk dzienny
„tu nie przedostaje się; płoną tylko kandelabry i marmurowe lampy,
„odbijając złoto ołtarza i gorejące na nim światło. Dano mi ornat
„ciężki od złota i haftów; kielich, który nie tak łatwo było można
„podnieść. Przełożony Missyonarzów, Roberti, i ks. Zajączkowski
„asystowali mi. Nie wiedziałem, czy na ziemi, czy na innym jakim
„świecie się znajduję, ale pomimo tego przypominam sobie dobrze,
„że ani o Tobie, ani o wielu innych w *Memento za żywych* nie
„zapomniałem. Odtąd codzień Mszę św. odprawiam bądź w Aka-
„demii, bądź w *S. Maria Maggiore,* cacku prawdziwem. Dziś mia-
„łem za Ciebie Mszę w Kościele św. Cecylii, na grobie tej męczennicy.
„Ukochany, poczciwy Scipio towarzyszy mi zawsze w tych wy-

[1] Należy zyskać odpust.

„cieczkach, odprawia Mszę zaraz po mnie, *i nawzajem sobie służymy,* „*z wymówką, że on za moich we Mszy się modli, a ja za jego kre-* „*wnych. Dziś więc także dla Cesi była jego Msza.* W ten sposób „pielgrzymowaliśmy już do pokojów św. Ignacego i św. Stanisława „Kostki, przemienionych w Kaplicę".

„Nie dziwnoż Ci, Kochany Bracie, pisał Chołoniewski w parę „dni później do szwagra[1], że ten Twój Stach, zestarzały w złych „nałogach, księdzem został? Dziś przy łasce Boskiej już trzynastą „Mszę odprawiłem w kościele Lateraneńskim; przy każdej przy- „chodzą mi w usta imiona wasze w Memento. Jaka to dla mnie „pociecha, obok wielkiego postrachu, mieć czem wywiązywać się „wam za tyle dowodów miłości. *Fecit mihi magna, qui potens* „*est*[2]...

„Powiadasz, że nie wiesz, kiedy powrócę. Ja sądzę, że byle „wola Boża w tem była, (a dotąd mniemam, że jest), to prędzej „może to nastąpi, niźli myślimy. Czas jest wielki okpiwacz: to bie- „gnie, to lizie stósownie do poruszeń serc naszych; w końcu ukaże „się, że bieży mocno i porywa z sobą drogie chwile zaniedbane, „lub użyte z korzyścią dla wieczności. *Non defrauderis a die bono* „*et particula boni doni non te praetereat*[3], to codzień chciałbym „mieć przed oczami, oraz pamiętać na ten napis piękny, którym „widział pod szczątkami rzeźb i malowideł starej szkoły włoskiej „w Florenckiej jednej kaplicy[4]: *Omnia praetereunt, praeter amare* „*Deum.* Tak, Mimie drogi, przyjdzie czas, że się zjedziemy przy „pomocy Boskiej i znowu się rozjedziemy; to w smutku, to w we- „selu, to w ucisku, to w nadziei, przebieżemy tę krótką i niespo- „kojną podróż życia tego, nakoniec i tenże sam czas dla nas na „zawsze się skończy, a miłość Chrystusa nigdy i na żadnem miej- „scu się nie skończy".

Więc choć się serce rwało do swoich, do kapłańskiej pracy na rodzinnej ziemi, to wiedząc, że czego się w Rzymie nie nauczy, tego na Podolu nie będzie ani czasu, ani sposobności się uczyć,

---

[1] 17 Listopada 1829. List polski.
[2] Uczynił mi wielkie rzeczy, który możny jest.
[3] Ekkl. XIV. 14.
[4] Wszystko mija, prócz miłowania Boga.

nakazać trzeba było sercu milczenie i dalej dzień po dniu zbierać nowe skarby rozumnej pobożności i pobożnością zaprawnej nauki, a bardziej jeszcze uczyć się, jak tych skarbów z korzyścią używać, w jaki sposób, hojną dłonią między ziomków je później rozdzielać. „Zostawszy księdzem[1], skarżył się, jestem jak ten, któremu skarb wielki danoby w ręce, a on przez głupstwo nie umiał go użyć". Szlachetna żądza pracowania nad rozszerzeniem chwały Bożej, żądza potęgowana w każdem rozmyślaniu, w każdych zwłaszcza rekolekcyach, odpowiadała na te skargi: Kiedy nie umiesz to się ucz; to pytaj innych od siebie mędrszych; to módl się i staraj wszelkiemi siłami, abyś został odpowiedniem narzędziem w ręku Bożem. Tak, to mój obowiązek, powtarzał sobie Chołoniewski i nim się powodując odrzucał jak pokusę, wszelką myśl o przyspieszeniu wyjazdu z Rzymu, a przygotowując się energicznie do doktoratu z teologii, coraz częściej i doskonalej z Bogiem obcując i zapoznając się z drogami wiodącemi do wyższej chrześcijańskiej doskonałości, korzystał z niewielu pozostałych chwil i pewnej większej swobody, jaką mu teraz zostawiono, aby w poufnej rozmowie z dobranymi przyjaciółmi zaczerpnąć światła, zagrzać serce, zapytać o niejedną praktyczną wskazówkę i radę.

Takim przyjacielem i więcej niż przyjacielem, bo powiernikiem wszystkich uczuć, marzeń i zamiarów na przyszłość, był na pierwszem miejscu, młodszy o kilka lat od Chołoniewskiego, ziomek jego, ksiądz Scipio. Od pierwszych dni przybycia Chołoniewskiego do Rzymu, wspólnie zwiedzać poczęli chrześcijańskie i pogańskie pamiątki wiecznego miasta; obaj poszli razem na Mszę Papieża i obaj się na niej podobno rzewnie spłakali; obaj przy świetle księżyca oglądali Kolosseum; a wróciwszy do domu z tego rodzaju nabożnych zarazem i artystycznych wycieczek, długie trawili godziny, to udzielając sobie doznanych wrażeń, to zastanawiając się poważnie, w jaki sposób służyć Bogu i wszystkie czynności do tego jedynego celu kierować. W dzienniczku wraca raz po raz utarty frazes: „Długa pogawędka z Scipionem"; nie dziw, że kiedy ks. Scipio ostatniego czerwca 1830 opuszczał Rzym wybierając się w drogę

[1] Do M. *Grocholskiego*, 18 stycznia 1830.

do Krakowa, nie obeszło się bez głębokiego, łzami zapieczętowanego żalu. Nieco inaczej, choć również dobrze i serdecznie ukształtował się stosunek z ks. Zajączkowskim. Żarliwy ten, czasem, jak w dysputach z Mickiewiczem, aż do pewnej szorstkości żarliwy kapłan, marzył o założeniu w Polsce stowarzyszenia zajmującego się drukowaniem dobrych książek; znajomym sobie kardynałom, zwłaszcza kardynałowi *de Gregorio* przekładał potrzebę, aby Ojciec św. w osobnej encyklice zagrzał polskich biskupów do energiczniejszej walki z nie katolickiemi prawami o małżeństwie; a kiedy kardynał zażądał memoryału na piśmie, z takim zapałem wziął się do pracy, że bez chwili zwłoki chciał opuścić Rzym i popędzić wespół z ks. Chołoniewskim do Polski, dla zasięgnięcia na miejscu dokładniejszych informacyj. *Est tempus tacendi, est tempus loquendi* odpowiedział Chołoniewski na te nieco zbyt sangwinistyczne nalegania i ani myślał dla wielce problematycznych korzyści, schodzić z jasno wytkniętej drogi. Swoją jednak drogą głęboko czcił i kochał gorliwego kapłana podobnie, jak czcił i kochał uczącego się wówczas w Seminaryum *Rzymskiem* Wiktora Ożarowskiego, jak chętnie obcował z całą liczną, chwilowo lub stale bawiącą w Rzymie kolonią polską: młodymi Sapiehami, Alfredem i Arturem Potockim, Władysławem Sanguszką, Adolfem Grocholskim, Henrykiem Rzewuskim, a zwłaszcza z gościnną, w dziejach literatury naszej dobrze znaną rodziną Ankwiczów, „u której, notował w dzienniczku, wszyscy „przebywający tutaj Polacy regularnie się schodzimy".

Czy u Ankwiczów, co najprawdopodobniejsza, czy gdzieindziej spotkał się po raz pierwszy Chołoniewski z znanym już sobie dobrze z dzieł i opowiadań Rzewuskiego autorem *Krymskich sonetów*; dość, że niezadługo po przybyciu Mickiewicza do Rzymu, bardzo się doń zbliżył, a niebawem w ścisłem słowa znaczeniu, zaprzyjaźnił. W dzienniczku czytamy od czasu do czasu notatkę: „U Mickiewicza wizyta", lub znowu: „U Ankwiczów wszyscy Polacy się schodzimy; Mickiewicz". I w listach do rodziny lakoniczna wzmianka [1]: „Mickiewicz poczciwy często mnie odwiedza". Niemniej niestety lakoniczne wzmianki w korespondencyi samego Mickiewicza. „Z Polaków nowo przyby-

[1] Do M. *Grocholskiego*, 1 stycznia 1831.

„łych, donosi poeta Odyńcowi [1], jest tu hr. Rzewuski dawny mój „znajomy dobry z Petersburga i Krymu, o którym Tobie nieraz „gadałem. Z nim i z ks. Chołoniewskim (teraz bardzośmy się zbli- „żyli) najwięcej czasu trawię". W jakim kierunku i nad jaką materyą toczyły się długie te pogadanki; co zawierała w sobie późniejsza poufała a częsta korespondencya Mickiewicza z Chołoniewskim, tego nawet w przybliżeniu podać nie jesteśmy w stanie, bo wszystkie przez długi czas starannie przechowywane listy Mickiewicza, w krytycznej chwili przez zbytnią może ostrożność zostały zniszczone, a o listach Chołoniewskiego i ślad zaginął. Z nawiasowo tylko tu ówdzie rzuconych słówek w listach p. Ankwiczowej, księżnej Zenejdy Wołkońskiej, Odyńca i innych, przekonujemy się, że dwaj przyjaciele mimo oddalenia i odmiennych losów nie stracili się z oka i co więcej znaczy, że niejedna różnica w zdaniu i sądzie nie wpłynęła nigdy na oziębienie raz zawartych stosunków.

Innym znów przyjacielem, o którym Chołoniewski słusznie z Mickiewiczem powtarzał:

Szczęśliwa przyjaźń, świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi,

był Dominikanin z klasztoru *Supra Minervam*, głośny kaznodzieja, O. Jabalot. Piękną postać tego zakonnika odmalował Chołoniewski w pisanych dużo później *Wieczorach i przechadzkach rzymskich* [2], które stósownie do pierwotnego planu zwać się miały *Wieczorami dominikańskiemi* i zawierać w sobie, wedle wzoru danego przez słynne *Wieczory Petersburskie*, przystępne, głównie na nauce św. Tomasza oparte wyjaśnienie, wielu najpraktyczniejszych i najważniejszych filozoficznych i teologicznych zagadnień. Forma dyalogu najbardziej zawsze Chołoniewskiemu odpowiadająca i tutaj bardzo dobrze i zręcznie jest użytą; tem większa szkoda, że autor napisawszy tylko dwa „Wieczory" i tytuł trzeciego, przerwał raz na zawsze pracę tak pożyteczną a tak świetnie się zapowiadającą. Lecz odłamek ten nie jest bez wartości, bo przenosi nas jakby żywcem do skromnej dominikańskiej celi, na odbywające się tu raz po raz umysłowe uczty; wskazuje na kilka przynajmniej ścieżek, po któ-

[1] Rzym. 19 listopada 1830. Wydanie paryskie 1870. Tom I.
[2] Pisma zbiorowe t. II. str. 189—284.

rych szły w tym czasie myśli młodego teologa, na kilka punktów, koło których obracały się naukowe jego prace.

W pierwszym „Wieczorze“ rozmowa rozpoczyna się od dominikańskiego habitu, który wśród skwarów letnich ciężyć by powinien i naturalnie przechodzi na określenie i dokładniejsze zastanowienie się nad zakonnem powołaniem. O. Jabalot, pochodzący widocznie z polskich Zabłockich, jak mu ks. Stanisław żartobliwie dowodzi, wyciąga Summę św. Tomasza i na niej swe argumentacye opiera, a przytem zeszedłszy raz na temat sobie ulubiony, nie szczędzi pochwał dla anielskiego doktora. „Niewyczerpana to materya dla „każdego uczonego z rzędu synów św. Dominika. Więc i ja trochę „przez grzeczność, a trochę szczerze zacząłem wtórować tym świę„tym panegirykom: ale jak to bywa, kiedy komu nie idą rzeczy „wedle myśli, jęła mi się też pokusa niby *more academico* kontro„wać i rzekłem ledwo nie z przekąsem: Wielki to był święty „i wielki filozof na swój czas“.

Można sobie wystawić, jak się O. Jabalot musiał obruszyć na taką herezyę: „Cóż kochany panie rozumiesz przez to: *na swój „czas?* Czy może, że w naszym wieku filozofia św. Tomasza na nic „się nie przyda, że na nasze czasy postępu *(del progresso)* za stara „i scholastyczna; słowem *sapit aliquid tenebrarum medii aevi*[1]*?*

„Ot, brednię powiedziałem, wyznał otwarcie ks. Stanisław, ale „za to się nie gniewajcie, bo to tylko przypomnienie tysiącznych „żartów i skarg, jakich się na scholastyków nasłuchałem, kiedy „przeciwnie w uszach mi jeszcze tętnią pochwały Lockego i Con„dillaka“.

Szczere to przyznanie się do winy rozpogodziło oblicza Dominikanów i sprowadziło rozmowę na błędne wychowanie młodzieży, której niby w imię nauki podawane magiczne formuły zaciemniają rozum i zagradzają mu drogę do światła. „Kiedy mu pleban wy„kładał Pismo Boże, wierzył biedny młodzieniec, że Bóg z niczego „świat stworzył, że Opatrzność Jego do końca wieków nad rodza„jem ludzkim w miłosierdziu czuwa. Przybywając do Akademii do„wiaduje się na kursie chemicznym, że materya jest wieczną; w geo-

[1] Trąci cokolwiek ciemnotą wieków średnich.

„logii, że albo nie było potopu powszechnego, albo przeciwnie było „kataklizmów z pół kopy; w historyi powszechnej, że człowiek za„wsze był dobrym, coraz będzie lepszym — a zatem nie potrzebuje „Zbawiciela... W tem zamieszaniu umysłowem wielce dręczącem, „bo duch ludzki szuka pokoju w prawdzie, wymagają po biednym „uczniu, aby porządnie szykował swe myśli rozhukane, jak młode „rumaki..., żądają po nim, ażeby imaginacyę, napływem obrazów „najżywszych rozkołysaną, rozum zarozumiałością nadęty, brał w ciasne „kluby zimnych prawideł kunsztownej logiki, albo zimniejszych „jeszcze formuł matematycznych". Czyste niepodobieństwo! Zrobiono rozwód z wszelką powagą, z wszelką wiarą, a teraz ni stąd ni zowąd każą się tysiącom rozumów kłaniać kilku śmielszym rozumkom, które ogłosiły, że wynalazły niezależność rozumu, a w rzeczy samej wymagają dla swych teoryj, bez porównania bardziej ślepego posłuszeństwa, niż Kościół dla dogmatów wiary. „Na mocy swego monopo„lium oświaty narzucają samowolnie młodym umysłom swoje apophte„gmata, aksyomata i dogmata naukowe: niema ratunku dla młodzieży, „musi przyjąć warunki pod którymi umiejętność jest im obiecaną, albo „w nieczynności gnuśnieć i być pośmiewiska i wzgardy celem. Każą „jej rozlatywać się na niezliczone kursa i objekta w jednym roku „tłumnie wykładane bez odpoczynku dla ucznia, bez przejścia lo„gicznego z jednego przedmiotu na drugi, bez poprzedzającego po„siłku przygotowanych wiadomości. Jest to prawdziwe polowanie, „szczwanie za nauką. Kto zręczny i silny myśliwiec, ten trafi cza„sem na zwierzynę jaką; niedołężni i trwożliwi błądzą i giną w le„sie nieporządnych wyobraźni, wśród wrzasku i hałasu ochotników „na łowy; bo w takowym systemacie szkolnym o to najbardziej „idzie, aby umysły na świat wychodziły, pod jednostajną wyrazistą „barwą uniwerzyteckiego ducha"...

Ależ, nieśmiało pyta ks. Stanisław, czyż wszystko to właśnie, co tak gorliwie zarzucasz nowym systematom wychowania: zmącenie myśli, przygłuszanie ducha, czyż to nie charakterystyczne cechy średniowiecznej scholastyczności?

Nie trudna była na to odpowiedź. Wykazawszy czem właściwie jest okrzyczana scholastyka i że dlatego wszyscy ci, którym idzie o zamącenie prawdy, taką do niej czują odrazę, bo w tem zwierciadle zbyt wyraźnie by na jaw ich sofizmata wystąpiły, prze-

chodzi jeden z obecnych Dominikanów w krótkości całą historyę scholastyki, chętnie przyznając, że i ona jak każda rzecz ludzka, miała swe zboczenia, rozkwit i przekwit. Lecz jaki to był bujny i piękny rozkwit, jak wysoko i prosto w niebo wtedy myśl ludzka się wzbijała, o tem przekonać się może każdy, kto sam zagłębić się spróbuje w dzieła chrześcijańskiego geniusza: św. Tomasza z Akwinu.

Ks. Stanisław niedawno był dopiero wstał od dzieł Anielskiego Doktora; nie dziw, że posłyszawszy to imię zapomniał na z dawnych lat tętniące mu w uszach szyderstwa ze średniowiecznej mądrości, a nawet na rolę przybraną chwilowo, widocznie na przekorę Dominikanom. „Bądź co bądź wyznać muszę, zawołał z niehamowanym „już zapałem, że ja pomiędzy utworami rozumu ludzkiego, nic po„dobnego nie znam jego *Summie*. Wspaniałość zarysu całego sy„stematu teologicznego, ukształcenie organiczne wszystkich jego części „i ścisłość naukowa w roztrząsaniu najsubtelniejszych kwestyj me„tafizycznych, daleka od wszelakiego jałowego mędrkowania, — su„mienność w przywodzeniu najboleśniejszych zarzutów, — jasność „w ich wykładzie, — a nadewszystko jakowaś niewysłowiona ci„chość ducha unoszącego się wysoko po nad ciężkie chmury błędu, „rozpraszającego je samą tylko mocą światła wyższej krainy; to „wszystko zupełnie odróżnia od innych metodę św. Tomasza. Dzi„wna rzecz! owe logiczne, potężne ujęcie wszystkich podrzędnych „pomysłów w jedną organiczną całość, owa sumienność i ścisłość „naukowa —, wszystkie zalety, o które teraźniejsza niemiecka filo„zofia tak mozolnie się dobija, wystawione są jakby na wzór w tym „samym św. Tomaszu, na którego dzieła filozofia ta, począwszy od „czasu reformy, z uśmiechem pogardy patrzała, — pod piórem jego, „szermierstwa analizy, dyalektyki i syntezy, w których rozum filo„zoficzny największy swój tryumf zasadza, nie wydają owego przy„krego szczęku broni umysłowej, którą pycha zaostrzyła. Walki te „rozumu z błędem pod dowództwem geniuszu jego, nie ranią, ani „upakarzają przeciwników: są one stanowcze, lecz ciche i wspa„niałe; — styl jego głęboki, jasny i przeźroczysty, podobny do po„godnego morza, w którem uważne oko może na dnie dosięgnąć „drogą konchę perłową“ ...

Jedna mię tylko trapi pokusa, przyznaje ks. Chołoniewski

w dalszym toku rozmowy, dlaczego prace św. Tomasza w naukach przyrodzonych tak są słabe i błędne? Bo nauki te, odpowiadają Dominikanie, w jego wieku niemal jeszcze nie istniały, bo później dopiero podłożono pod nie kamień węgielny doświadczenia. Chwaląc św. Tomasza nie myślimy twierdzić, że wszystko pojął i wszystko wyczerpnął; zgodzimy się i na to, że „styl jego przedziwny „pod względem dobitności, siły i zwięzłości, nie mógł być podobnym do stylu Bemba, Mureta i Maffeiego“ ... Ale niechże ci, któ„rzy tak z tego się gorszą, „wezmą w rękę którego z najsławniejszych „filozofów szkoły niemieckiej. Tutaj zaraz jesteśmy wprowadzeni do „istnego labiryntu terminów dziwacznie potworzonych; postępujący „czytelnik wśród tych kolczatych parkanów myśli, po coraz krętszych „i ciaśniejszych ścieżkach, niema wytchnienia. A każdy z ich autorów „filozoficznych ma swój odrębny labirynt, właściwą terminologią, która „ogromem i potwornością daleko przewyższa wszystkie podobnego ro„dzaju koncepta scholastyków najwybujalszych. Ci przynajmniej umieli „się godzić na znaczenie i wartość tychże samych wyrazów: w te„raźniejszej zaś rzeczypospolitej filozoficznej, każdy autor jest sa„moistnym despotycznym twórcą nietylko systematu i myśli w nim „panującej, ale i języka filozoficznego. Dla pojęcia więc dzieła, „trzeba przedewszystkiem prosić autora o jego *lexicon* filozoficzny, „uczyć się jego mowy — i tak z każdym; a dla porównania je„dnych autorów z drugimi, trzeba się uczyć języków każdego „z osobna, lubo wszyscy tym samym, niby germańskim dyalektem „piszą. *O che torre di Babel!*“.

Przyjaciele nasi długoby jeszcze rozprawiali, gdyby dzwonek klasztorny wzywający na wieczerzę nie przypomniał, że człowiek nie tylko z duszy, ale i z ciała złożony, i że „samą scholastycznością nakarmić go trudno“. Następnego wieczora O. Jabalot zaczął opowiadać wzruszającą historyę o młodej Biankinie, świętej prawdziwie dzieweczce a siostrze jednego z kolegów ks. Stanisława w akademii duchownej; lecz zanim dokończył tego wzruszającego, dziwnie pięknie i idealnie skreślonego epizodu, znów nielitościwy dzwonek rozpędził rozmawiających. „Więc do jutra“. „Do jutra“, przyobiecali sobie przyjaciele i prawdopodobnie obietnicy dopełnili. O. Jabalot uzupełnił rozpoczęte opowiadanie, potem wywiązała się znów pe-

wnie filozoficzna dysputa; ale jak się to opowiadanie skończyło, o czem toczyła się dysputa; do jakiego wspólnego celu jeśli nie w rzeczywistości to w książce przynajmniej, wszystkie te dysputy miały się kierować: wiele było rzeczywistych „wieczorów", a wiele być miało spisanych; — o to samego autora i pozostałych po nim papierów, próżno pytać; a własnych teoryj i domysłów podawać się nie opłaci, choćby dla tego, aby nie wpaść w błąd tylekroć przez Chołoniewskiego schłostanych, z własnego „ja" świat i jego dzieje wytwarzających, filozofów niemieckich.

Bądź co bądź i z tych ułamków mamy już pewne wyobrażenie o stosunku do O. Jabalota i paru z jego zakonnych towarzyszów. W rozmowie z Dominikanami zagłębiał się w najgłębsze tajniki teologii; z Jezuitami: Rosavenem i na krótki czas przybyłym do Rzymu O. Landesem rozprawiał o filozofii; z Veithem i Schlesserem, wielkim przyjacielem Wernera o literaturze; z Overbeckiem oglądał kościoły i galerye, zachwycał się gotowymi już obrazami, jak poglądami i projektami wiekiego mistrza. W równie bliskich stosunkach pozostawał ze słynnym kaznodzieją a zarazem generałem Teatynów, O. Venturą. Przyjaźn ta dawniej już zawiązana, ścieśniła się zwłaszcza w czasie letnich miesięcy 1831. Chołoniewski namyślał się właśnie, gdzie ma tego roku wakacye przepędzić, kiedy jak burza wpadł do niego młody Medici, pytając czyby wespół z nim, z O. Venturą i z tegoż synowcem, nie zechciał wybrać się do Neapolu. Z największą chęcią, odparł grzecznie Chołoniewski [1], choćby nie dla Neapolu, to dla samej przyjemności jechania w tak dobrej kompanii. Za kilka godzin wszystko było do drogi gotowe i „o pierwszej po północy, notuje Chołoniewski w dzienniczku, ru-„szyliśmy z Rzymu. Szczęśliwie bardzo stanęliśmy w Velletri z rana; „po złej kawie, wesoło, wśród officyum, *De Profundis* i dobrych „rozmów strawiliśmy czas aż do Fondi, gdzieśmy zajechali w po-„łudnie. Lecz pokazało się, że *lasciapassare* ani Mediciemu ani „Venturze nie pomogło; trzęśli nas trzy godziny nielitościwie; ja „nic nie miałem, dla tego *lasciapassare* nie potrzebowałem. To „nas spóźniło bardzo, w niebezpiecznych miejscach przejeżdżaliśmy „nocą"...

[1] Cała podróż do Neapolu i Sycylii wedle dość obszernego dzienniczka, pisanego po polsku.

„*18 sierpnia* o 9 z rana zmęczeni gorącem, a co bardziej cia-„snotą powozu dla nóg, stanęliśmy w Neapolu. Naprzeciw generała „Ventury, wyjechał jego prokurator generalny. Tak byli grzeczni, „że mi pozwolili noc jedną w klasztorze przebyć. Ten dzień prze-„spany i zmitrężony".

„*19 sierpnia*. Msza św. na grobie św. Kajetana. Wizyta pani „Woroncow, która rada mi bardzo, chce, żebym w jej domu sta-„nął i codzień na obiedzie bywał... Przez te całe dwa tygodnie „życie dość cicho przepędzam. Wizyty u Ventury, który zajęty „i karessowany od ministrów. Msza św. codzień w *S. Pascale:* „medytacya w domu; obiad u pani Woroncow; kąpiel w *Villa „Reale;* spacer wieczór i różaniec... Od M. wziąłem książki...; „ciekawe także są gazety, które z ciężkością dostaję. Wahałem się „co mam robić, czy siedzieć tu, czy z Venturą do Sycylii jechać; „wszędzie ekspens i strata czasu. Mniejsza mi się jednak zdała „strata czasu z Venturą jechać. Miałem na tę intencyę Mszę św. „i stanęło na tem, że jadę z Venturą"...

15 września. „Zrana, o czwartej puszczamy się z Giarre na „mułach, do sławnego kasztana rosnącego na ramionach Etny. Pię-„kne i czyste, jak łza, niebo; jutrzenka pyszna i prawdziwie *różowa,* „jak ją poeci opisują. Przebywszy piękne sioła, położone między „lasami winogradowymi i oliwnymi, stajemy u kasztana pożądanego. „Z daleka wygląda jak chałupa okrągła naszych pobereźników, ga-„łęziami zieleniejącemi się okryta. Jest to prawdziwe *monstrum* „między drzewami.

16 września. „Zjeżdżając z wzgórzów Etny dziwnie piękny „widok. Płaszczyzna tak jak nasza Ukraina, zboża dostarcza całej „Sycylii, a niegdyś i Włochy i Grecyę karmiła... Ogromne niby „rzeki lawy czarnej, zachowały formy dziwaczne płynu spierającego „się i burzącego się; zda się morze uchwycone w chwili, kiedy „wzdyma swe fale. Czarne te i twarde bałwany, okropnie przera-„żają pośród najpiękniejszej na około wegetacyi: to jak kazanie „o piekle wśród balu... Zdybaliśmy Teatyna, rektora *Collegium „nobilium* Kataneńskiego; wziął nas do karety i zawiózł na kwaterę. „Wspaniały budynek w kwadrat; podwórze w koło; pawiment py-„szny; marmurowe kolumny; mury jak forteczne; sale ogromne. „Mile nas przyjął staruszek i dał pyszny apartament każdemu".

„Zapomniałem wspomnieć o szczególniejszym zwyczaju sycy-
„lijskim witania się nawzajem: *Benedicite;* wszyscy jakiego bądź
„urzędu, charakteru, wieku lub stanu, o błogosławieństwo są pro-
„szeni, wszyscy drugich o błogosławieństwo proszą. To *Benedicite*
„po ulicach tak słychać, jak w Rzymie: „Sługa", „Sługa Pański".

17 września... „Czeka na nas z karetą poczwórną pan Cape.
„Wszystkie te honory dla Ventury, który tu ma krewnych i przy-
„jaciół między panami. W Sycylii zakonnicy jeszcze panują. Uda-
„jemy się do Benedyktynów; pałac, nie klasztor... W południe
„przybywa generał Ventura. Po południu przysyła nam powóz książe
„Valsavoja; p. Cape, ani D. Luigi, synowiec biskupa, karetą nie
„traktują nas, bo zajęci generałem Venturą. Wizytę oddajemy księciu
„Valsavoja; zastajemy go na podwórzu, bardzo *en negligé;* zdał
„mi się portyerem swego pałacu, ale bardzo nas kordyalnie przy-
„jął. Nadszedł młody. Z nim plan zrobiliśmy zwiedzenia wierzchoł-
„ków Etny; mamy w niedzielę, na godzinę przed północą wyjechać,
„a wieczór we wtorek wrócić. Starzy księża nam odradzają. Rektor
„powiada: Przeczytajcie opisanie; to dość"!..

18 września... „Wyjeżdżamy na przeciwko biskupa Orlando,
„wracającego z wizyty dyecezyi, który nas do swej karety bierze
„i wjeżdżamy do jego pałacu tryumfalnie. Żali się na jeden klasztor
„panieński; sprawę z nim toczy i przegrywa, jak Kamieniecki,
„Wszędzie jedna bieda".

19 września... Po obiedzie wybraliśmy się z O. Culterą
„w dalszą podróż na Etnę, na dwóch mułach dobrych, z przewo-
„dnikiem na trzecim mule, opatrzonym też prowizyą żołądkową.
„Trochę przed zachodem słońca przybywamy do Nicolosi, ostatniej
„wioski strefy kwitnącej Etny. Kazali się nam opatrzyć dobrze
„w płaszcze, kaftany i t. d. Mieliśmy listy od Valsavoja do p.
„Gemmettaro, uczonego właściciela i mieszkańca tej wioski. Grze-
„cznie nas przyjął: dziwił się, że nam *Muletier* wyperswadował,
„że podróż tę odbędziemy w 24 godzinach. Śmiał się z racyi tego
„i wiele rezonował o Etnie. Oryginał nie mały; misternie o wulka-
„nie tymże gada, jakby młodzik o swojej kochance; tłumaczy jak
„może, eksplozye lawy i rozmaitość jej biegu, nie zgadza się w wielu
„rzeczach z innymi uczonymi, osobliwie z Ferrarą; zwiedził, zmie-
„rzył i wydał plan kanału podziemnego lawy, który przed nim nie

„był przystępnym. Ci panowie pięknie tłumaczą wszystko, co jest „skutkiem eksplozyi wulkanicznej, działania lawy i kształtu grun- „tów utworzonych mocą tych wyrzutów; lecz skoro dotknąć przy- „czyny samych wulkanów i sposobu, w jaki wnętrze te siły olbrzy- „mie przygotowują ten płyn misterny, wszyscy się uśmiechają mi- „sternie, przyznając jednak grzecznie, że dotąd rzecz jest w sekrecie".

Wicher, mgła i deszcz nie dozwolił naszym turystom dostać się na szczyt Etny; prawdę mówiąc Chołoniewski nie zbyt się pogniewał na ten niepomyślny zwrót rzeczy, a idąc choć nieco późno za radą doświadczonego rektora, zadowolnił się oglądnięciem bardzo szczegółowego i dokładnego planu Etny. W Katanii czekał już na podróżników Ojciec Ventura obiecując sobie, że Chołoniewski tego jeszcze dnia będzie mógł mu towarzyszyć do Syrakuzy; ale zmęczony tylu niewygodami i tylu pięknościami polski turysta, wyprosił sobie aby mu dozwolono wypocząć choć kilkanaście godzin i dopiero w środę 22 września wsiadł z nietajoną obawą do niezbyt wygodnie przedstawiającej się lektyki, przez dwa muły niesionej. „Trzeci muł niesie przewodnika i część pakunku; czwarty muł „wszystkie nasze rzeczy i chłopca małego. Drugi przewodnik pie- „szo idąc długą laską, jak tyczką wiechciową, pogania tylniego „muła. Na mułach, jak na cerkwi ruskiej, muzyka z dzwonków. „Muły i przewodniki spiesznym idą krokiem; ustawicznie wołają „na muły i dzwonki ustawicznie dzwonią. W lektyce ciasno na „nogi i głowy nie ma gdzie zeprzeć. Ruch nie jest tak zły jakem „sobie wyobrażał. Niesłychanie złe miejsca bezpiecznie przebywa „się. Jechaliśmy stepem Katanii, potem dobry kawałek drogi nad „morzem brodziliśmy, tak że bałwany obijały się o piersi; wszy- „stko to dla mułów, aby w piasku nie tonęły. Przybyliśmy na po- „pas do oberży; polskie nasze karczmy są pałacami w porównaniu. „Podjadłszy trochę na zimno — na gnoju — z prowizyj nam danych, „wpadamy po trzech godzinach kołysania się na ślad starożytnej „drogi. Przy spuszczaniu się z góry pięknie się ukazuje Syrakuza „na wyspie nieco górzystej z wspaniałemi bramami, mostami i słynną „fortyfikacyą z czasów Karola V. Naprzeciw nam wyjeżdżają ka- „retą dwaj OO. Teatyni".

Dzięki towarzystwu O. Ventury składano Chołoniewskiemu w Syrakuzie prawdziwie książęce honory. Biskup przysłał mu swój

powóz do dyspozycyi, i zaprosił na wielki obiad „bez końca“; brat Ventury, poważny kanonjk, kazał podziwiać z kolei wszystkie ciekawości miasta i co mniej jeszcze było zabawnem, zmuszał do „nudnych wizyt również bez końca“. Co gorsza, nie tylko w Syrakuzie trzeba się było poddać tym nie upragnionym honorom. Dobrze jeszcze, kiedy jak przed bramami Piazza, tylko deputacya Teatynów czekała na przybywających; lub jak w Caltanisetta, Jezuici podejmowali suto podróżnych w klasztorze, w którym niegdyś Ventura jako Jezuita część młodości przepędził; w Palermo nie udało się wyjść tak obronną ręką.

1 Października. Piątek. „Wyjeżdżamy nocą z *Valle lunga* „o drugiej po północy. Trakt murowany; przecież każą nam *lek-* „*tykjery* co trzy mile wysiadać przez przywiązanie do mułów... „Cały ten kraj piękny, bo góry lasami oliwnymi okryte; widoki ro- „mantyczne; tu i owdzie ruiny zamków. *Muletier* jeden młody uka- „zał mi zdala wioski, mówiąc z intrygującą miną: *La sono i par-* „*rini maritati* [1]. Są to albańskie kolonie wyznania grecko katolic- „kiego. Spodziewał się wielkiego zadziwienia po mnie, ale na „próżno. Szczęściem dla nas trafił się próżny fiakier wracający do „Palermo; ugodziliśmy się z nim, a wziąwszy ważniejsze rzeczy, „przesiedliśmy się do niego we czterech. Stanęliśmy w ostatnim „*borgo* przed Palermo. Tu wszyscy męzkiej płci familii Ventury „czekali na nas: ojciec, bracia i stryjowie. Przesiedlamy się do pa- „radnego landa, olbrzyma, jakiegom jeszcze nie widział, bo nas „dwanaście osób szeroko w nim siedziało w koło jak w wianku. „Liberya galonowana. Tak się rozpoczął nasz tryumfalny wjazd. „Na przedmieściu czekała na nas kareta galowa, kardynalska „z ośmioma karetami innemi. Do kardynalskiej karety wsiadł ge- „nerał Ventura z sekretarzem; jam został w drugiej z ojcem jego, „staruszkiem bardzo miłym. Nie koniec na tem. Kiedyśmy przez „*Toledo* tutejsze przejeżdżali, liczne kupy Palermitanów witały i czap- „kowały Venturze; cieszy ich to, że Teatyni, którzy w Sycylii „pierwszą rolę i słusznie grają, Sycylijczyka wreszcie po trzystu „latach, za generała dostali. Przy kościele stanęła karawana; wy- „siadł pierwszy Ventura; taki się tłum zrobił, że nam ciężko za

[1] Tam są księża żonaci.

„nim było wejść. Lud się usunął do Wielkiego Ołtarza, gdzie mu „*Sanctissimum* wystawiono i *Te Deum* śpiewano. Ojciec Ventury „z wielką radością odpowiadał i wskazywał *Il Generale* wszystkim „dopytującym się go z pospólstwa; wszyscy wiedzieli, że był Je„zuitą, bo tak głośno jeden drugiemu jego biografię opowiadał. Po „błogosławieństwie przeszliśmy do zakrystyi, w której czekały na „Venturę: siostry, siostrzenice i matka Cultrery. Wielkie ewiscera„cye radości kobiecej. Familia ta bardzo poważana i uchodzi za je„dną z owych, co słyną z staroświeckiej pobożności i poczciwości. „Tylko cośmy weszli do naszych kwater i mnie dano elegancką „celkę, jakiej jeszczem nigdy nie widział dotąd, z najwykwintniej„szemi wygodami, zaraz musieliśmy się udać do klasztoru Domi„nikanek, gdzie u kraty czekały dwie zakonnice, siostry Ventury. „Potem pojechaliśmy do familii Cultrery, gdzie zastaliśmy całą fa„milię: siostry, siostrzenicę, wnuki, zakonnicę Dominikankę w ha„bicie dla polepszenia zdrowia poza klasztorem siedzącą jakiś czas: „to rzecz zwyczajna w Sycylii".

17 października.... „Nic nowego. Tęskno mi za Rzymem i za krajem".

Dziennik odtąd codzień lakoniczniejszy; Chołoniewskiemu już nie tylko patrzeć na sycylijskie widoki i pałace, ale i pisać o nich się nie chciało. Wprawdzie nie samymi tylko widokami w tym czasie się karmił. Cały szereg niepokaźnych, ale bitem pismem w Neapolu i Palermo zapisanych kajecików, a zawierających obszerne wyciągi z Ojców Kościoła i słynniejszych kaznodziejów włoskich, najlepszem jest świadectwem, że teolog nasz nie należał do zwolenników słodkiego *Far niente*, nawet w rozkosznem królestwie obojga Sycylii, nie tracił ani na chwilę z oka głównego swego celu, a rozrywki przeplatając poważnemi studyami, nigdy nudom nie dozwolił na seryo u siebie zagościć; lecz zawsze poważna praca stała i stać tu mogła tylko na drugiem miejscu, a Chołoniewskiemu pilno było, aby co prędzej wrócić jej przynależne, pierwsze stanowisko. Z prawdziwem więc zadowoleniem, siadł 23 października na okręt, mający go odwieść do Neapolu...

Całą smutną zimę z 1831 na 1832 spędził Chołoniewski monotonnie przy książkach, gotując się do egzaminu doktorskiego; i najmilsze to jeszcze były te chwile spędzone przy książce, w sa-

motnym, cichym pokoiku, bo skoro kiedy spotkał się zwłaszcza z jakim znajomym rodakiem i o wiadomości z kraju zapytał, z bardziej pochyloną głową wracał do domu i poczciwemu dzienniczkowi z nową jakąś bolesną wieścią musiał się zwierzać.

„*22 lipca* w Czwartek, odbył się akt solenny w uniwersytecie „rzymskim, *Sapienza*, zaproszeni byliśmy na $8^3/_4$ z rana... Pełna „wielka sala i kandydatów i spektatorów. Po kwadransie ukazały „się kolegia: teologiczny, prawniczy, medyczny, filozoficzny, filolo„giczny, każdy w stosownych kolorach i togach; świeccy księża „i zakonnicy rozmaitych zakonów. Przybył po nich i kardynał Ka„merling Galetti. Sala przybrana w adamaszki. Kardynał zasiadł „na podwyższeniu, kollegia na ławach kobiercami okrytych, w dwóch „rzędach ustawionych. Bardziej ku środkowi siedzenia dla kandy„datów; na samym środku stolik z księgami, z biretem i pierście„niem. Wszyscy miejsca zasiedli; nam kazano zbliżyć się do tronu „kardynalskiego, przeczytano *proffessionem fidei* i każdy z osobna „złożył stosowną przysięgę na Ewangelię. Potem kardynał odczytał „krótką przemowę po łacinie. Jeden z kolegium prawniczego, ad„wokat konsystorza papieskiego, stanął pośród kandydatów prawa „i po krótkiej alokucyi zwyczajnym obrządkiem dotknął biretem „głowy każdego, pierścieniem palca, dał władzę przemawiania z ka„tedry przez roztwarcie księgi i uściskanie. Toż z nami zrobił p. „del Signore, delegowany od kolegium teologicznego; z medykami „profesor medycyny i t. d. Każdy z nich do swoich kandydatów „odpowiednią miał mówkę... I to się dość żwawo i prędko od„było. Najwięcej ubawiła wszystkich alokucya profesora medycyny. „Między innemi rzekł do swoich nowo-uwieńczonych doktorów: *Do„ctores estis, sed adhuc docendi; nolite igitur respicere ad pauxil„lum quae scitis, sed potius ad infinita quae ignoratis*[1] i to z twa„rzą ponurą i surową. Potem imieniem wszystkich nowych dokto„rów *Pasquazi* z prawa podziękował i zakończył upominając „pobożnie, jak umiał najlepiej (boć laik), abyśmy niezapominali, że

[1] Jesteście doktorami, ale jeszcze uczyć się wam należy; nie uważajcie więc na tę kroplę wiedzy, ale raczej na to nieskończone morze, o którem nie macie wyobrażenia.

„*laurea w niebie* przyjemniejsza nam będzie, jak ta w *Sapienza* „pozyskana; na co się bardzo chętnie zgodził każdy, zwłaszcza, że „wielkie gorąco wzmogło się i coraz nieznośniejsze nam było przez „godzinę całą czytanie listy wszystkich nagrodzonych i rozdawa„nie medalów. Z sali przeszli wszyscy do kościółka akademickiego, „gdzie mszę śpiewano i *Te Deum*. Wszystko to trwało dobre trzy „godziny".

Towarzysze Chołoniewskiego z Akademii duchownej, pozyskawszy doktorski wawrzyn, mieli otwartą drogę do najwyższych kościelnych godności; jeden z nich, Della Porta, otrzymał nawet jeszcze przed doktorskim dyplomem, nominacyę na papieskiego szambelana i jako taki towarzyszył nieraz Papieżowi w przechadzkach, z których później budujące a ciekawe anegdoty kolegom opowiadał. Chołoniewskiemu, jak opowiada rodzinna tradycya, miano również otworzyć bardzo świetną perspektywę na przyszłość, zachęcając go usilnie, aby pozostał w Rzymie; jako zadatek przyszłych godności i zaszczytów otrzymał już teraz krzyż maltański i został szambelanem papieskim. Świetne imię, znajomość świata, bliskie stosunki z wyższemi sferami zarówno w Rosyi, jak w Polsce; dawniejsza dyplomatyczna służba w Petersburgu, nie mówiąc już o ważniejszych przymiotach serca i umysłu, uzdolniały go bezwątpienia do zajęcia wybitnego stanowiska w hierarchii kościelnej. Ale ja, pisał do rodziny, nie na profesora, ani na jakiegoś dostojnika, ale na prostego księdza się kieruję; pragnę pracować u swoich i dla swoich, między tymi, między którymi Pan Bóg mię postawił. W tej myśli przyjechałem do Rzymu; a pobyt w Rzymie jeszcze mię bardziej utrwalił w powziętym zamiarze. A więc teraz, za łaską Bożą zebrawszy w Rzymie, ile się dało, zasobów duchownych i naukowych, podążę do was czemprędzej obrabiać ziemię od Boga mi wyznaczoną; na Podolu użyczony mi talent może przynieść jakieś owoce; w Rzymie jeślibym go nie zmarnował, to w każdym razie niepotrzebniebym tylko zawadzał godniejszym i rozumniejszym.

Nie wszyscy podobno godzili się na te zapatrywania i wnioski; ale Chołoniewski, choć całą duszą przywiązał się do Rzymu, rzymskich przyjaciół, kościołów i pamiątek, był w tym względzie niewzruszony. Dzień wyjazdu naznaczony był 30 września, różne przeszkody przewlekły ten termin aż do 13 października. Smutne było poże-

gnanie; Chołoniewski ściskając ostatni raz kardynała Odescalchiego i O. Landesa rzewnie się rozpłakał. „Trudne, zapisuje w dzienniczku, było rozstanie się z tylu dobrodziejami, z grobami św. Apostołów Piotra i Pawła po tylu odebranych tu dobrodziejstwach“. Wreszcie usadowiono się w powozie; obok Chołoniewskiego usiadł ksiądz Ożarowski, naprzeciw zajęło miejsce dwóch księży rzymskich, jadących do Bolonii czy Medyolanu. Ksiądz Ożarowski, podobnie jak Chołoniewski, wracał do Polski. Ciężko było obu przyjaciołom na sercu, kiedy po raz ostatni spojrzeli na kopułę św. Piotra, znikającą poza wzgórzami; żal ten osładzała wspólna modlitwa, wspólne pobożne czytania, wspólnie układane projekta i plany, jak znajomość, cześć i miłość Bożą w ojczyźnie głosić i rozszerzać. Z przeszkód, które w zamiarach tych mogły ich spotkać, nie bardzo sobie zdawali sprawę, a choć wiedzieli, że bez przeszkód i trudności się nie obejdzie, to myśl o tych trudnościach raczej rozpalała, niż oziębiała szlachetny ich zapał. Ktoś trzeci, obojętny, słuchając tych rozmów i zamiarów, możeby się był z politowaniem uśmiechnął; skutek okazał, że choć obaj żarliwi kapłani, nie dopięli zapewne wszystkiego, co sobie wymarzyli i zamierzyli, to przecież wspólna ich usilna praca przyniosła błogosławione owoce, bez porównania obfitsze, niż tego się było można po ludzku spodziewać, a ślady pracy tej po dziś dzień jeszcze podobno nie zupełnie zaginęły.

Ks. Jan Badeni.

CUDA I ICH ZNACZENIE W DZIEJACH OBJAWIENIA.

(Dokończenie).

Ważne powody zmuszają, abyśmy głębiej jeszcze roztrząsnęli cel cudów, w jakim je zwłaszcza Chrystus Pan czynił. Mówią bowiem niektórzy, a między nimi i Fichte, że Chrystus Pan nie działał cudów dla tego, aby sobie wiarę zjednać u ludzi, ale jedynie, aby zwrócić uwagę słuchaczów na swoją naukę. Ciekawe w istocie tłumaczenie.

Ale posłuchajmy odpowiedzi na to z ust samego Chrystusa. Skoro Jan św. usłyszał we więzieniu o dziełach Chrystusowych, posyła doń dwóch z uczniów swoich z zapytaniem: *Tyś jest, który masz przyjść, prorok wielki, od wieków przepowiedziany Mesyasz, czyli innego czekamy.* A odpowiadając Jezus rzekł im: *Szedłszy odnieście Janowi coście słyszeli i widzieli. Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim ewangelię opowiadają. A błogosławiony jest, który się ze mnie nie gorszy*[1]. Czyż więc Chrystusowi działającemu cuda chodzi tylko o uwagę słuchaczów, skoro na wyraźne pytanie, czy jest posłem Bożym od proroków przepowiedzianym, odwołuje się do cudów, mówiąc, że one dadzą na to odpowiedź stanowczą? A cóż znaczą słowa, któremi kończy swą odpowiedź: *Błogosławiony jest, który się ze mnie nie gorszy.* Oto jakby chciał powiedzieć: Błogosławiony ten, który nie znajduje przeszkód do wierzenia moim

[1] Matt. XI. 2—6.

słowom w tem, co się jemu we mnie nie podoba, w tej świętości i czystości obyczajów, której wymagam, w pogardzie świata i jego dóbr, w miłości krzyża, która jest pierwszem mojem przykazaniem, w tej wysokości niedoścignietej tajemnic, które ogłaszam, ale mojemi dziełami przekonany o mojem posłannictwie, Bogu się poddaje ochoczo z rozumem i sercem, by przyjąć z moich rąk Jego objawienie [1]. W jakiejże intencyi pisarze św. wspominają o cudach, czy dlatego jedynie, aby skierować uwagę swych czytelników na nauki Chrystusowe? Nie, św. Jan daje inną zupełnie odpowiedź mówiąc: *Wiele i innych znaków uczynił Jezus przed oczyma uczniów swoich, które nie są w tych księgach napisane, abyście wierzyli, że Jezus Chrystus jest Syn Boży, a iżbyście wierząc żywot mieli w imię Jego* [2].

Dla wiary więc były uczynione cuda, dla wiary były też i napisane. Ale może Chrystus P. przez cuda chciał pokazać jedynie swoją dobroć i miłosierdzie, gdyż wszystkie cuda noszą na sobie dobroczynny charakter, łagodzą nędzę ludzką cielesną lub duchową, ocierają łzy smutku i boleści, wracają zdrowie i życie, przynoszą żywot doczesny i wieczny?

W istocie był i ten cel cudów, ale nie jedyny, nie główny, ani najwyższy. Chociaż Chrystus w sercu swojem mieści nieprzebrane skarby dobroci i miłosierdzia, nigdy jednak nie mówi czyniąc cuda, że one mają być dowodem miłości jego, ale zawsze wskazuje na swoje posłannictwo od Ojca, w to mają ludzie wierzyć, przekonani o niem cudami, a do tej wiary dopiero przywiązuje najwyższe dobrodziejstwo — żywot wieczny. Po cudownem wyleczeniu chorego nad sadzawką Betsaidą, faryzeuszom gorszącym się, że to czynił w szabbat, tłumaczy, że działa to mocą Ojca swego, w imieniu najwyższego Majestatu, prawodawcy samego, który przecież zna siłę prawa swojego, jego treść i moc obowiązującą. I dla tego wymaga dla siebie podobnej czci, jaką oddają ludzie Ojcu. Cześć ta, to wiara: *Zaprawdę*, kończy Chrystus Pan, *powiadam wam, iż kto słowa mego słucha a wierzy onemu, który mnie posłał, ma żywot wieczny i nie przyjdzie na sąd, ale przeszedł z śmierci do żywota* [3].

---

[1] Cf. Kleutgen. Theologie der Vorzeit t. 2. n. 176.
[2] Jan. XX. 30, 31.
[3] Jan. V. 24.

Cuda Chrystusowe były dziełami miłosierdzia i inaczej być nie mogło. Cuda Jego nie mogły być próżnym objawem Jego wszechmocy, choćby w celu dobrym, ale musiały odpowiadać Jego naturze, a dla tego przedmiot cudów musiał być godnym i zgodnym z tą naturą i jego posłannictwem. Naturą — Boska miłość, a całą treścią posłannictwa Chrystusowego — miłosierdzie. Więc w zakresie dobroci i miłosierdzia musiały się zawierać jego cuda.

Inny pogląd na cel cudów nasuwa nam jedna uwaga Kanta, którą za nim Frohschammer powtarza. Według Kanta, postępować wedle praw religijnych, które w sercu ludzkiem są napisane, wtedy jedynie, kiedy się na potwierdzenie ich dzieją cuda, byłoby grzechem nie do darowania. Wielka w tem prawda — ale nieloiczna konsekwencya, którą z niej wyprowadza *niemiecki myśliciel.*

Istnieją w istocie prawa religijne, które sam rozum dyktuje, albo posługując się słowami Kanta, które palcem Twórcy w sercu są wyryte — a na potwierdzenie ich wystarcza światło rozumu i nie potrzeba żadnych zgoła cudów. Ale czy prócz tych, nie masz już żadnych innych praw religijnych, których Bóg nie wycisnął na sercu ludzkim palcem twórczym, których sumienie swym naturalnym głosem mu nie dyktuje, ale które nakazuje sam Bóg swem nadnaturalnem objawieniem? Czy nie potrzeba dla tych praw wyższego stopnia cudów na ich potwierdzenie. Oto pytanie, na które odpowiedź przecząca jest nieloiczną.

I w rzeczywistości, jak są prawdy, które rozum mocą naturalnej siły myślenia pojmuje i tak przenika, że nie potrzebuje skądinąd potwierdzenia, tak też w porządku moralnem są obowiązki, które wypływają z pojęcia Boga i własnej istoty, a objawiają się naturalnym sumienia głosem w głębi serca. Jak owe prawdy, tak i te powinności noszą w samych sobie pieczęć swej prawdziwości i zobowiązania. Jak słońce się uwydatnia swojem własnem światłem i nie potrzebuje bynajmniej innego światła, aby było widzialnem, tak i prawdy i powinności tego porządku naturalnego są widzialne swoją własną jasnością naturalną — dla nich cudów nie potrzeba — dla nich cudów się domagać byłoby w istocie grzechem. Ale cudów potrzeba leży w innym, wyższym zakresie prawd i powinności, w zakresie nadnaturalnego porządku.

Bóg bowiem w swej nieskończonej dobroci, dobrowolnie powołał człowieka do bytu nowego, do którego on nie miał w naturze swojej żadnego usposobienia przedwstępnego, żadnej skłonności, żadnej żądzy, żadnej zasługi. Pan Bóg zakreślając człowiekowi cel nieskończenie wyższy od tego, który mu przeznaczył w stworzeniu natury ludzkiej, musiał mu zarazem dać i odpowiednie siły, wskazać drogi wiodące doń i dostarczyć środków do osiągnięcia tegoż celu. A w takim też razie musiał go zobowiązać nowemi prawami, aby do tego celu usilnie dążył. A podobnie jak cel ten przewyższa nieskończenie naturę ludzką, tak i wszystkie siły, drogi i środki do niego, są wyższe nad te, które prowadzą do dopięcia naturalnego celu, a stąd też i prawa te nowe, muszą też nieskończenie przewyższać cały zakres praw naturalnych.

A że człowiek przez życie moralne ma zmierzać i osiągnąć ten cel, musiał go Pan Bóg zaznajomić z tymi środkami i prawami. Ale w jakiż sposób miał go o tem pouczyć? Oto o celu człowieka naturalnym i powinnościach z niego wypływających, oznajmił Bóg człowiekowi przez objawienie naturalne, dając mu z jednej strony przyrodzone światło rozumu, z drugiej strony roztwierając dlań księgę natury, z której może człowiek wyczytać istotę Boga, swój stosunek do Niego, a zatem i prawa, jakie go względem Boga zobowiązują. Ale podniesienie do celu nadnaturalnego, jako czyn dobrowolny Boskiej dobroci, nie ma w naturze stworzonej żadnego fundamentu, żadnego zarodku, a stąd też i nie da się wyczytać z tej księgi natury. Koniecznem więc było objawienie — nadnaturalne — gdyż cały ten stan jest nadnaturalnym. To objawienie musiało się przedstawić człowiekowi jako niewątpliwie głos Boży, aby go skłonić do przyjęcia tych praw i obowiązków nowych.

Mógł Pan każdemu człowiekowi objawić to w nadprzyrodzony a jednak tak jasny sposób, że nie pozostałoby najmniejszej wątpliwości, że Bóg doń przemawiał. Ale tego sposobu Pan Bóg nie użył, ale wybrał sobie posłów, którym zwierzył owe prawdy i powinności nadnaturalne, każąc je głosić całemu światu. Aby zaś świat mógł w tych słowach ludzkich poznać słowo Boże, musiał Bóg do tych słów ludzkich dodać niewątpliwą cechę Bożą, aby każdy był w stanie powiedzieć: zaprawdę to Bóg do mnie prze-

mawia. Znamionami temi — to dzieła Bożej wszechmocy i wszechwiedzy, to — cuda i proroctwa.

W mowie Bożej, jak się ona nam przedstawia w ciągu wieków, dwojaki się mieści element, ogłoszenie zewnętrzne prawd i tajemnic Bożych, które się dzieją przez usta posłańców, niby przez widzialne organa, i dzieła wszechpotęgi, przez które nadaje Bóg znamie swojej Boskości temu obwieszczeniu ludzkiemu. Podobnie jak król nietylko przez usta swych posłów przemawia, ale przepychem jakim ich otacza, znać daje, że słowa ich jego są rozkazem; tak samo nietylko wolę swoją objawia nam przez swoich apostołów, ale zarazem otacza ich arsenałem swojej potęgi [1], aby wykazać i stwierdzić boski charakter ich mowy. Dlategoto Tomasz św. mówi: „Bogobojny wierzy człowiekowi, nie o ile on jest człowie„kiem, ale o ile Bóg przezeń mówi, o czem przekonać się można „z nieomylnych oznak (cudów)“ [2].

Posłańcy Bozi stają jako świadkowie prawdy Bożej im powierzonej, ale nie sami tylko, bo Pan Bóg „społem z nimi świa„dectwo składa przez znaki i cuda i rozliczne moce i rozdawanie „Ducha św. według woli swojej“ [3].

Cuda więc są częścią istotną Boskiej mowy, przez którą On nam w przebiegu wieków swoje tajemnice i prawa obwieszcza. Mowa ta jego leży w zakresie nadnaturalności, a cud w tym porządku jest niezbędnym elementem do jego istoty i do jego piękności harmonijnej.

Z podniesieniem człowieka do stanu nadprzyrodzonego i cały świat zmysłowy został niejako wciągnięty w tę sferę. Przez to samo, że ciało nasze ma zmartwychpowstać i niebieskiej chwały zażywać, cała materya, która w ciele ludzkiem niejako streszczona jest, dziwnie wywyższoną została. Łaska Boża, która się przez ŚŚ. Sakramenty udziela sercom ludzkim, przenosi owe widzialne i zmysłowe znaki w sferę nadprzyrodzoności. Słowem, w celu i rozlicznych środkach, które się odnoszą do nadprzyrodzonego życia człowieka,

---

[1] S. Aug. ep. 102 ad Deogratias, q. 6. n. 33. Cf. Card. Franzelin de actu fidei.

[2] S. Thom. 3 dist. 23. q. 2. art. 2, sol 2 ad 3.

[3] Żyd. II, 4. Cf. Dziej. ap. XIV. 3.

bierze udział natura widzialna. Inaczej, gdyby w źródle tego życia wyższego, tj. we wierze pominiętym był zupełnie świat materyalny, brakowałoby w szeregu tych wywyższeń nadnaturalnych ogniwa łączącego. Tak jest — w dziełach wszechmocy przekraczających zakres natury, które nam wiarę, jako „rozumną służbę“ umożliwiają, uwydatnia się niby zmysłowo całe wywyższenie człowieka, które we wierze zaczyna kłaść owe wielkie fundamenty, na których się wznosi cały gmach świętości i chwały w niebiesiech. Cała natura, wedle rozrządzenia Stwórcy, służy człowiekowi nietylko w życiu jego ziemskiem, ale zarazem i w tem życiu niebieskiem, które na tej ziemi ma prowadzić, aby dostać się do królestwa wiekuistego. Nadnaturalna działalność Boża w podniesieniu człowieka przelewa się i na naturę materyalną, wciągając ją do współudziału w tej pracy, która w cudach ma swój początek, a w chwale wiecznej dopełnienie. Cud więc nie sprzeciwia Boskim przymiotom, ale najpiękniej dostraja się do tego porządku, który mądrość Boża ustanowiła, aby człowieka uczynić zdolnym i godnym wiecznego życia na łonie Bożem.

W końcu przejdźmy pokrótce niektóre zarzuty nowszej filozofii, usiłującej całą tę kwestyę zaciemnić. Najprzód posłuchajmy Lessing'a. Bystry ten myśliciel, za rozumowanie swoje o doniosłości cudów w stosunku do prawd objawionych, nie zasługuje sobie wcale na miano wielkiego krytyka. Lessing twierdzi, że przypadkowe prawdy historyczne, jakimi są cuda, jeśli je za prawdziwe uważamy, nie mogą być dowodami koniecznych prawd racyonalnych, gdyż nie ma i nie może być między nimi a prawdami żadnego stosunku ani łączności. Jakiż bowiem związek może zachodzić między zmartwychwstaniem Jezusa a prawdą n. p. że Bóg jest w Trójcy jedyny, a zatem jakiż węzeł łączy przypuszczenie owego faktu historycznego z obowiązkiem uznawania tej prawdy. Tak Lessing. Zaiste w porządku przyczyn sprawczych nie ma żadnej łączności między cudami a prawdami, które mają potwierdzać; zmartwychwstanie Jezusa nie jest przyczyną, że Bóg jest w Trójcy św. jedynym; wskrzeszenie córki Jaira, pomnożenie chleba w pustyni galilejskiej i t. p. nie są przyczynami, od których zawisło istnienie prawd objawionych. Lecz oprócz tej łączności czyż nie może istnieć inny związek

między cudami a prawdami objawionemi? Z tego co powiedzieliśmy wyżej łacno wysnuć odpowiedź jasną i pewną.

Prawda, że cuda są fakty przypadkowe, nie konieczne, nie było bowiem konieczną rzeczą, żeby P. Jezus rozmnożył chleb, żeby ciemnego od urodzenia obdarował wzrokiem, żeby Łazarza wskrzesił i t. d., ale te wszystkie czyny przypadkowe, jako i same zmartwychwstanie Jezusa, mają najściślejszy związek najprzód z posłannictwem Jezusa, a konsekwentnie i z prawdami, które nam mocą swego posłannictwa do wierzenia podał. Według intencyi bowiem cudotwórcy, nie są czem innem jak tylko znakami, któremi stwierdza Boski charakter swego posłannictwa, a zatem i Boski charakter tych prawd, jakie objawia. Ta łączność zaś między cudami a naukami głoszonemi, wynikająca z intencyi cuda czyniącego, nieomylne dają świadectwo o prawdziwości nauk ogłoszonych, zasadza się bowiem na tej koniecznej i nieomylnej prawdzie, że Bóg nie może czynami swej wszechpotęgi potwierdzać orzeczenia oszusta. Bóg poręcza dziełami swej wszechmocy prawdomowność swego posłańca, ta zaś rękojmia przedstawia się nam jako natchniona (stara szkoła powiedziałaby „informata“) nieomylnością i prawdomównością samego Boga, temi koniecznemi własnościami Bóstwa, bez których jego istoty nawet pojąć nie można. Istnieje więc w porządku loicznym poznawania, konieczny węzeł między cudami a prawdami objawionemi; a stąd wypływa konieczna łączność między cudami a obowiązkiem wierzenia prawdom przez te znaki zatwierdzonym. Bóg bowiem jest absolutnym naszym Panem, któremu i rozum i wola nasza bezwzględną winny uległość. Jeśli więc on sam występuje jako nasz nauczyciel, to nam nie wolno odrzucać tych nauk, choć ten sposób pouczania nas łasce Jego tylko zawdzięczamy. Jednak obowiązek ten bezwzględny przyjęcia nauk Bożych wtedy dopiero nas nagli, kiedy posiadamy niemylną pewność, że Bóg do nas przemówił; o czem nas cuda dopiero przekonywają, dlatego też cuda, które tylko od Boga pochodzić mogą, wkładają na nas obowiązek wierzenia tym prawdom, które zatwierdzają. Więc i z naszą powinnością wierzenia prawdom objawionym, cuda mają istotną łączność. Ta sama odpowiedź wystarczy dla innych nowoczesnych filozofów, a przedewszystkiem dla Hegla, który uważa ten sposób potwierdzenia prawdy cudami za nierozumny, mniema bo-

wiem, że konieczne i duchowe rzeczy, jakiemi są wszelkie prawdy, nie mogą być dowiedzione faktami, które pod zmysły podpadają, a w rzeczywistości nie są czem innem, jak faktami wyłącznie przypadkowymi, czyli innemi słowy, że to co w wyższym jest porządku nie może być udowodnione tem, co z natury swojej do niższego należy porządku [1]. Z takim zarzutem występują również Schelling [2], de Wette [3], Ammon [4], Collins [5] i inni *minorum gentium*.

Na to jednę pozwalamy sobie uczynić uwagę, że cudami, tymi faktami przypadkowymi, nie myślimy bynajmniej udowodnić bezpośrednio prawdziwości nauki objawionej, byłby to rzeczywiście sposób dowodzenia nierozumny, ale oparci na cudach dowodzimy prawdziwości innego faktu przypadkowego, t. j. faktu, że nie kto inny, lecz Bóg do nas przemówił, te lub owe prawdy nam objawiając. Prawdziwości zaś nauk samych w sobie dowodzimy inną prawdą konieczną: — że Bóg — istotna Prawda — w swej nauce, którą raczy ludziom udzielać, ani sam się mylić, ani też nas w błąd wprowadzać nie może. Zdaje się, że Hegel *et consortes* nigdy nie zwrócili uwagi swej na to, co Kościół przez cuda chce udowodnić. Inny zarzut, z którym racyonaliści [6] występują przeciw znaczeniu cudów — zawiera się w samych słowach Chrystusa Pana, który często gani tych, co wierzyć nie chcą, nim cudów nie ujrzą [7], chwali zaś owych, co i bez cudów Mu wierzą [8], często żądającym cudów odmowną daje odpowiedź lub milczeniem ich prośby zbywa, jak sobie np. z Herodem postąpił, a najczęściej, gdy cud jaki uczynił, zabraniał uczniom swoim, aby o nim nie mówili.

Ale czy można przypuszczać, że Chrystus Pan temi słowy odbiera cudom swym wszelkie znaczenie, jakie mają w stosunku do do tych prawd, które chce, aby z bezwzględną przyjęli wiarą? Za-

---

[1] Hegel, Religions philosophie. I. stron. 150, II. 160 st.

[2] Methode des acad. Stud. st. 203.

[3] Kurzgefasst. Kommentar zu Joh. V. 36.

[4] Ausführlich. Unterricht in d. christl. Glaubenslehre I. s. 109.

[5] A discourse of the grounds and reasons of the Christian religion. Lond. 1724. p. 37.

[6] Wegscheider § 48. De Wette. Biblische Theologie § 222. Rousseau, Lettres de la Montagne. Part. I. lett. 3.

[7] Jan IV., 48.

[8] Jan XX., 29.

prawdę, gdybyśmy to przypuszczali, musielibyśmy też w słowach Chrystusa otwartą przypuścić sprzeczność. Jak to bowiem można te słowa pogodzić z owym tak często powtarzanym wyrzutem, którym niedowiarstwo Żydów potępia? *Gdybym był nie przyszedł, a nie mówił im, nie mieliby grzechu; lecz teraz nie mają wymówki z grzechu swego.* I dodaje powód wielkości tego grzechu mówiąc: *Gdybym między nimi uczynków nie czynił, których żaden inny nie czynił, nie mieliby grzechu; lecz teraz widzieli, i nienawidzili i mnie i Ojca mojego*[1]. Gdyby więc cuda nie miały żadnego znaczenia dla wiary, czyżby można z taką pogardą odzywać się o tych, co wierzyć nie chcieli, mając przed sobą tak jasne dowody prawdomówności Chrystusa? Gdyby w cudach żadnej nie było łączności, czyżby św. Jan mógł skończyć swoją Ewangelię następującemi słowy[2]: *Wiele i innych znaków uczynił Jezus przed oczyma uczniów swoich, które nie są w tych księgach napisane. A te są napisane, abyście wierzyli, że Jezus jest Syn Boży: a iżbyście wierząc żywot mieli w imię Jego.*

Cóż więc odpowiemy na owe słowa Chrystusowe, z jakimi występują przeciwnicy cudów?[3] Naprzód: przygania Chrystus Pan ludziom słabej wiary, dla których nie wystarczają cuda, które świadczyli im inni, którzy na własne je oczy widzieli, lecz żądali cudów nowych, odrębnie dla siebie uczynionych, któreby mogli ujrzeć na własne oczy. Dla tego gani *niedowiarstwo i zatwardzenie serca* uczniów swoich, którzy nie chcieli wierzyć Jego zmartwychwstaniu, przeciw świadectwu innych, co go widzieli, żądając żeby się im samym pokazał[4], a przeciwnie chwali tych, którzy nie widzieli, a pomimo tego uwierzyli[5]. Dla tego gani słabą wiarę owego królika, który prosił go o uzdrowienie syna swego umierającego mówiąc: *jeśli znaków i cudów nie ujrzycie, nie uwierzycie*[6]. Poznał bowiem Chrystus chwiejącą się jego wiarę żądającą cudu, któryby własnemi

[1] Jan XV., 22, 24

[2] Jan XX., 30, 31.

[3] Zob. Kleutgen, Theologie der Vorzeit tom 3. N. 180, i nast. Deutiger. Religiöse Erkenntniss, t. 2. s. 316 i nast.

[4] Mark. X., 14.

[5] Jan XX., 29.

[6] Mark. XII., 39.

ujrzał oczyma: *Panie, zstąp pierwej niż umrze syn mój.* A wtedy dopiero, kiedy Chrystus jego prośbie zadość uczynił, słaba jego wiara zmienia się w silną i pewną, *uwierzył on sam i cały dom jego.* Ta niepewność wiary po tylu innych cudach zasłużyła na naganę.

Odmawia Chrystus cudów swoich tym, którzy się ich domagają ze złą wolą, albo z próżnej ciekawości. Tak postąpił z faryzeuszami. Widzieli oni uwolnienie opętanego od złego ducha. Rzesze ludu ze zdumieniem powtarzały, czy tenli nie syn Dawidów? a faryzeusze pełni zazdrości słysząc to odpowiedzieli: On nie wygania czartów jedno w imię Belzebuba, a od Chrystusa innego znaku się domagali, na co Chrystus P. odpowiada: *Rodzaj zły i cudzołożny znaku szuka, a znak nie będzie mu dan, jedno znak Jonasza proroka* [1]. Bóg jest panem absolutnym, nie skąpi jednak łask swoich, szafuje hojnie dobrodziejstwami swojej wszechpotęgi więcej nawet, niż ludzie żądają, ale w tem wszystkiem czyni zadość własnej woli, nie stosując się do zachcianek, z jakiemi ludzie w swem zuchwalstwie przed nim występują. Odmawia faryzeuszom owego cudu, jakiego się w zuchwalstwie swem domagali, ale obiecuje im daleko większy i wspanialszy, cud własnego zmartwychwstania. Nie zaspokaja gorszącej ciekawości ludzkiej, ale sam daje tyle, ile wystarcza, aby słowom Jego wierzyć mogli. Herodowi odmawia cudu, bo nie chciał próżnej jego ciekawości zadowolnić. Dwór Heroda wyższą chełpiący się ogładą, nie myślał wcale uwierzyć w posłannictwo Chrystusa, miał go raczej za zręcznego kuglarza i pragnął zobaczyć Jego sztuczki, myśląc może, że łatwo im będzie wykryć fortele Jego zręczności, może też kierował Herodem zamiar samolubny, by go pociągnąć na swoją stronę i wszystką Jego sztukę przed pospólstwem na własne, polityczne cele zużyć. Chrystus zaś nie chciał służyć ani ich dumnej ciekawości, ani ich politycznym dążnościom, i dlatego niema dla nich nic innego, jak tylko milczenie.

Jeśli tajemnicą nie raz ukryje swoje cuda, a zakazuje aby o nich nie mówiono, to w tem postępowaniu najświętsze miał zamiary. Chciał być dla nas nauczycielem wszelkich cnót, przedewszystkiem zaś pokory, dla tego w ustroniu wyświadcza dobrodziej-

[1] Math. XII., 39.

stwa swej potęgi, unika zgiełku ludzi, aby uniknąć ich pochwał, nie raz widzi w rzeszach go otaczających chęć okrzyknięcia Go Mesyaszem, królem, lecz ponieważ to nie zgadzało się z celem, w jakim na świat przyszedł, unika okazyi, by nie dozwolić rzeszom zamiarów w czyn wprowadzić, może nie raz widział, że wrogowie gotowi przyspieszyć chwilę Jego śmierci, lecz ponieważ godzina Jego jeszcze nie przyszła, usuwa się sam, wypływy swej dobroci tamuje, aby nimi nie dopełnić przed czasem miary ich zazdrości i nienawiści. Tak Chrystus Boską Swą roztropnością kieruje czynami swej potęgi, aby we wszystkiem była wypełniona wola Ojca. Jeśli zaś z niezbadanych wyroków mądrości Bożej ukrywa niektóre cuda przed światem, to zato mnóstwo innych spełnia przed oczyma tysięcy ludu. Wiedział dobrze, że kiedyś miał przyjść czas, w którym cuda Jego mogły i miały być ogłoszonemi, wtedy sam oznacza uczniom swoim chwile, w których będą mogli je ogłaszać, jak uczynił z przemienieniem swojem na górze Tabor.

Oto zarzuty, które mają zbić ważność cudów w dziejach Boskiego Objawienia. Widać, że filozofia teraźniejsza i pod tym względem zbyt jest ubogą, jak w ogóle wszędzie, gdzie przeciw religii występuje. Gdyby w jakiejkolwiek innej dziedzinie wiedzy z takimi występowała argumentami, na śmiechby się tylko naraziła, ale ponieważ rozchodzi się o religię, to wszystko dobre, nienawiść bowiem w takim razie uprawnioną jest do zastąpienia siły argumentów.

X. Antoni Langer.

ZAPISKI Z PODRÓŻY PO INDYACH.

(Ciąg dalszy.)

W piątek rano udaliśmy się na zwiedzenie słynnego klasztoru buddhystycznego, świątyni, mieszczącej w sobie drogocenną relikwią — ząb Buddhy...

Jakże potężne szczęki musiał posiadać biedny ten Buddha, kiedy świętemi zębami swemi mógł zaopatrzyć wszystkie świątynie w Indyach i Chinach!

Bliskość świątyni zapowiadała wspaniała balustrada kamienna, okalająca jezioro, nad którem się wznosił ów święty budynek.

Dwa rzędy żebraków, ciemnych, kulawych, i przeróżnych kalek, stały przed bramą, podobnie jak u nas przed kościołami po wsiach lub miejscach odpustowych. Niebawem stanął przed nami jakiś człowiek, który nas uprzejmie wprowadził do środka. Wzdłuż całego głównego budynku ciągnął się mur, na którym znajdowało się wyobrażenie wszystkich mąk i katuszy piekielnych. Jeden z tych strasznych obrazów przedstawiał człowieka ukrzyżowanego, którego dwóch dyabłów rąbało zawzięcie siekierami. Jeden szczegół ubawił mię niewymownie: w Europie malują zwykle dyabła czarnym, tu zaś, gdzie ludzie są prawie czarni, mogłoby to razić miłość własną i ubliżać godności osobistej krajowców, wszystkie przeto dyabły owego buddhystycznego piekła były zielone lub niebieskie.

Wprowadzono nas do przedsionka owej słynnej kaplicy mieszczącej w sobie ząb Buddhy, i oświadczono nam bardzo grzecznie, że musimy wprzód chwilkę poczekać. Nie gniewałem się wcale o to opóźnienie, gdyż, dzięki jemu, mogłem się swobodnie i dokładnie przypatrzeć miejscu, w którem się znajdowałem. Kaplica ta była

— „Przyznaj sam Eminencyo, czy katolicy, a zwłaszcza księża, nie doznają modląc się roztargnienia?“

— „Zapewne, że doznają i to bardzo często“.

— „Panowie, proszę was zapamiętać sobie dobrze słowa ks. Biskupa; a czy doznają też pokus niekiedy?“

— „Tak jest, doznają, a zwłaszcza gdy się modlą“.

— „Proszę pamiętać, co ks. Biskup mówi! A teraz, posłuchajcie co powiem: Od dziecka wychowano mię w najściślejszem przestrzeganiu praw Mahometa. Nigdy nie zdarzyło mi się jeszcze zaniedbać modlitwy i mogę was zapewnić, panowie, że modląc się, nie doznaję nigdy roztargnienia. Wśród modlitwy myśl moja zajęta jest Bogiem wyłącznie i nie mogę pojąć, jak można modląc się myśleć o czem innem. Co się tyczy pokus... tych nie doznawałem nigdy. Przyznajcie panowie, czyż to nie jest oczywistym dowodem, że nasza wiara jest lepszą od katolickiej?“

— „Niekoniecznie“, odezwał się biskup.

— „Czyżbyś miał co do zarzucenia moim dowodom, Eminencyo?“

— „Zapewne, jeżeli na to pozwolisz“.

— „Bardzo proszę“, zawołał Pasza skwapliwie.

— „Bądź tak łaskaw powiedzieć mi, Ekscelencyo, skąd po„chodzi roztargnienie nasze przy modlitwie, które na nieszczęście „wydarza się nam tak często?“

— „Ależ to jasne jak słońce, że od dyabła“.

— „Panowie, proszę zapamiętać sobie dobrze słowa Jego „Ekscelencyi! A kto nas kusi, gdy się modlimy?“

— „Któżby, jak nie dyabeł?“

— „Tak jest, dyabeł, lecz w jakimże celu wyrządza on nam „to wszystko?“

— „Łatwo się tego domyśleć: oto chce was wyrwać niebu „i zabrać was z sobą do piekła“.

— „Panowie! proszę pamiętać, co mówi Jego Ekscelencya!“

— „A teraz posłuchaj Ekscelencyo! my katolicy jesteśmy „dziećmi Boga, przeznaczeniem naszem jest dostać się kiedyś do „ojczyzny naszej niebieskiej; a zatem dyabeł usiłuje wszelkiemi „sposobami pozbawić nas tego szczęścia, sprawia nam roztargnie„nia, kusi nas i nie szczędzi żadnych trudów, by nam przeszkodzić

„w wykonywaniu praktyk jedynie prawdziwej wiary naszej, by nas „odwrócić od Boga. Wy zaś poganie, nieszczęśliwi, należycie już „do niego, jesteście niezaprzeczoną własnością jego, po cóż więc „miałby sobie zadawać trud kuszenia was jeszcze?...“

Stary Pasza przyjął ze śmiechem ostrą tę replikę i rzekł:

— „Tym razem udało ci się pobić mię na głowę, Eminen„cyo! na przyszłość muszę się uzbroić w silniejsze argumenta“.

I istotnie, tak jak mówił ów Pasza, rzadko kiedy daje się spostrzedz, by Buddhysta lub Mahometanin odwrócił się kiedy, lub był roztargniony przy modlitwie, a ktoby nie rozumiał istotnego stanu rzeczy, ten mógłby się zbudować postawą i całem zachowaniem się ich podczas modlitwy. W rzeczy samej, dyabeł ich nie potrzebuje kusić, jego to bowiem, a nie Boga czczą i wyznawają tak żarliwie.

Ze świątyni udaliśmy się do klasztoru. W jednej ze sal, na pół ciemnej, jak w ogóle wszystkie świątynie Indyjskie — pokazano nam szafkę oszkloną, napełnioną przedmiotami, należącemi do czci religijnej. Z tych najwięcej zajął mię mały srebrny tryptyk artystycznie wykonany, w którym mieścił się posążek Buddhy, rznięty z kryształu górnego. Dziwna to rzecz i godna uwagi, że rzeźbiarze i snycerze indyjscy nadają wszystkim swym Buddhom ten sam wyraz twarzy. (C. d. n.)

Ks. Władysław Zaleski.

— „Przyznaj sam Eminencyo, czy katolicy, a zwłaszcza księża, nie doznają modląc się roztargnienia?“

— „Zapewne, że doznają i to bardzo często“.

— „Panowie, proszę was zapamiętać sobie dobrze słowa ks. Biskupa; a czy doznają też pokus niekiedy?“

— „Tak jest, doznają, a zwłaszcza gdy się modlą“.

— „Proszę pamiętać, co ks. Biskup mówi! A teraz, posłuchajcie co powiem: Od dziecka wychowano mię w najściślejszem przestrzeganiu praw Mahometa. Nigdy nie zdarzyło mi się jeszcze zaniedbać modlitwy i mogę was zapewnić, panowie, że modląc się, nie doznaję nigdy roztargnienia. Wśród modlitwy myśl moja zajęta jest Bogiem wyłącznie i nie mogę pojąć, jak można modląc się myśleć o czem innem. Co się tyczy pokus... tych nie doznawałem nigdy. Przyznajcie panowie, czyż to nie jest oczywistym dowodem, że nasza wiara jest lepszą od katolickiej?“

— „Niekoniecznie“, odezwał się biskup.

— „Czyżbyś miał co do zarzucenia moim dowodom, Eminencyo?“

— „Zapewne, jeżeli na to pozwolisz“.

— „Bardzo proszę“, zawołał Pasza skwapliwie.

— „Bądź tak łaskaw powiedzieć mi, Ekscelencyo, skąd po„chodzi roztargnienie nasze przy modlitwie, które na nieszczęście „wydarza się nam tak często?“

— „Ależ to jasne jak słońce, że od dyabła“.

— „Panowie, proszę zapamiętać sobie dobrze słowa Jego „Ekscelencyi! A kto nas kusi, gdy się modlimy?“

— „Któżby, jak nie dyabeł?“

— „Tak jest, dyabeł, lecz w jakimże celu wyrządza on nam „to wszystko?“

— „Łatwo się tego domyśleć: oto chce was wyrwać niebu „i zabrać was z sobą do piekła“.

— „Panowie! proszę pamiętać, co mówi Jego Ekscelencya!“

— „A teraz posłuchaj Ekscelencyo! my katolicy jesteśmy „dziećmi Boga, przeznaczeniem naszem jest dostać się kiedyś do „ojczyzny naszej niebieskiej; a zatem dyabeł usiłuje wszelkiemi „sposobami pozbawić nas tego szczęścia, sprawia nam roztargnie„nia, kusi nas i nie szczędzi żadnych trudów, by nam przeszkodzić

„w wykonywaniu praktyk jedynie prawdziwej wiary naszej, by nas „odwrócić od Boga. Wy zaś poganie, nieszczęśliwi, należycie już „do niego, jesteście niezaprzeczoną własnością jego, po cóż więc „miałby sobie zadawać trud kuszenia was jeszcze?...“

Stary Pasza przyjął ze śmiechem ostrą tę replikę i rzekł:

— „Tym razem udało ci się pobić mię na głowę, Eminen„cyo! na przyszłość muszę się uzbroić w silniejsze argumenta“.

I istotnie, tak jak mówił ów Pasza, rzadko kiedy daje się spostrzedz, by Buddhysta lub Mahometanin odwrócił się kiedy, lub był roztargniony przy modlitwie, a ktoby nie rozumiał istotnego stanu rzeczy, ten mógłby się zbudować postawą i całem zachowaniem się ich podczas modlitwy. W rzeczy samej, dyabeł ich nie potrzebuje kusić, jego to bowiem, a nie Boga czczą i wyznawają tak żarliwie.

Ze świątyni udaliśmy się do klasztoru. W jednej ze sal, na pół ciemnej, jak w ogóle wszystkie świątynie Indyjskie — pokazano nam szafkę oszkloną, napełnioną przedmiotami, należącemi do czci religijnej. Z tych najwięcej zajął mię mały srebrny tryptyk artystycznie wykonany, w którym mieścił się posążek Buddhy, rznięty z kryształu górnego. Dziwna to rzecz i godna uwagi, że rzeźbiarze i snycerze indyjscy nadają wszystkim swym Buddhom ten sam wyraz twarzy. (C. d. n.)

Ks. Władysław Zaleski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

Przegląd najważniejszych prac na polu historyi kościelnej wydanych r. 1887.

Concilien Geschichte nach Quellen bearbeitet von Carl Joseph von *Hefele*, fortgesetzt vom J. Cardinal *Hergenröther*, VIII. Band. Freiburg i. B. Herder. 1887. str. IV. 896. 8°. Mrk. 9·60. — *Die Revolution* seit dem sechszehnten Jahrhundert im Lichte der neuesten Forschung, von *Wilhelm Hohoff*. Freiburg i. B. Herder. 1887. 8°, str. IV. 759. Mrk. 9. — *Geschichte der katholischen Kirche im neunzehnten Jahrhundert* v. Dr. Heinrich *Brück* I. Bd. Geschichte der kath. Kirche in Deutschland. I. Mainz. Kirchheim, 1887. 8°, str. XIII. 478. Mrk. 6. — *Lehrbuch der Kirchengeschichte* von F. X. *Kraus* 3 Aufl. Trier. Lintz. 1887. 8° str. XIII. 837. Mrk. 9. — *Lehrbuch der Kirchengeschichte* von Dr. F. X. *Funk*. Rotenburg. Bader. 1886. 8° str. XVI. 563. Mrk. 5. — *Preussen und die kath. Kirche* v. *Jul. Bachem*, 5. vermehrte Aufl. Köln. Bachem. 1887. 8° str. XII. 207. Mrk. 3. — *Geschichte des Kulturkampfes* in *Preussen-Deutschland* von Dr. Paul *Majunke*. Suplementheft. Padernborn. Schöningh, 1886. 8° str. 573—682. — *Dissertationes selectae* in historiam ecclesiasticam, auctore B. *Jungmann*. Tomus VII. et ultimus. Ratisbonae. Pustet, 1887. 8° str. 475. Mrk. 4·20. — *De sacerdotio* libri sex J. Chrysostomi, mit Anmerkungen herausg. v. C. *Seltmann*. Paderborn. Schöningh. 1887. 8° XV. str. 215. Mrk. 2·50. — *Doctrina duodecim Apostolorum*, Canones. Apostolorum ecclesiastici ac reliquae doctrinae de duabus viis expositiones veteres, ed. adnotationibus et prolegomenis illustravit, versionem latinam addidit Fr. X. Funk. Tubingae. Laupp. 1887. 8° str. XVII. 116. Mrk. 5.

Książki wydane z powodu jubileuszu Pap. Leona XIII. *Ks. Dr. Korytkowskiego: Arcybiskupi gnieźnieńscy, Prymasi i Metropolici polscy* od r. 1000 aż do dni naszych. Nakład Kuryera Poznańskiego. — *Ks. Dr. Kantecki*. Poezye Aureliusza Prudencyusza Klemensa. Poznań. Drukarnia Kuryera Poznańskiego, 1888. 8° str. XVI. 207. Mrk. 3. — *Ks. Dr. Pawlicki*, kongres katolicki w Trewirze. Kraków 1887, str. 23.

Sprawozdania roczne z najważniejszych publikacyj na polu historyi kościelnej, które piszący, przez czas pewien, dawał w *Wiadomościach katolickich* lwowskich, a niniejszem na nowo podejmuje, zamierzają zaznajomić czytającą publiczność z bieżącą literaturą, ale bodajby i drugi cel zdołały osiągnąć, tj. obudzić przeświadczenie, że to właśnie pole jest u nas, bodaj czy nie najbardziej zaniedbane. Wystarczy na poparcie tego twierdzenia wskazać na ten fakt, doprawdy nie pocieszający, że podczas gdy jubileusz Leona XIII. wywołał w Niemczech 8 książek i broszur, o których jeszcze niżej wspomniane będzie, u nas nie wyszedł z pod prasy ani jeden, choćby życiorys, i wyjątek tylko stanowi mała broszurka p. t. *Pamiątka 50 letniego jubileuszu* kapłaństwa J. Św. Leona XIII. Odezwa do czcigodnych współbraci i ludu polskiego. Lwów 1887. (20 ct.)

Inaczej natomiast przedstawia się działalność pisarska na polu historyi kościelnej w innych krajach, mianowicie w Niemczech, gdzie rok ubiegły obfity jest nawet w monumentalne prace. W ich rzędzie należy niewątpliwie na pierwszem miejscu stawić VIII. tom historyi koncyliów biskupa Hefelego, który wydając w r. 1874 tom VII. swojego znakomitego dzieła, oświadczył, że dalej prowadzić go nie będzie. Wtedy podjął się dalszej pracy kolega w urzędzie profesorskim, Dr. Józef Hergenröther. Ale spełnienie tej obietnicy budziło pewne obawy, bo Hergenröther zajęty był przygotowaniem do druku swojej trzytomowej historyi kościelnej (1876—1880), a nim jeszcze zdążył dzieło wydać, powołany został (1879) przez Papieża Leona XIII. na kardynała do Rzymu. Jeśli zajęcie biskupiego urzędu w Rotenburgu, nie pozwalały Hefelemu kontynuować dzieła, to tem bardziej należało się obawiać przerwy w pracach dostojnego purpurata, tem więcej, że krótko po przesiedleniu się do Rzymu rażony został paraliżem na prawą rękę i zapadł na oczy. Rozliczne nadto zajęcia w kongregacyach i prefekturze archiwów watykańskich, które z powodu „motu proprio“ Leona XIII.: *Saepenumero considerantes* (18. VIII. 1883) zostały otwarte i musiały być dla publiczności urządzone: byłyby dostatecznie zwłokę wytłumaczyły. Tymczasem żelazna pracowitość kardynała wszystko przemogła. Nie tylko wydał już tymczasem po raz trzeci swoją historyę, nie tylko olbrzymie przedsięwzięcie regestów Leona XIII. doprowadził już w IV. zeszycie w r. 1886 do końca kwietnia 1514 r., ale potrafił

jeszcze znaleść czasu tyle, aby zbierać i mnożyć materyały do dalszego ciągu *Concilien Geschichte*, której tom VIII. ukończył w czerwcu, a wydał w październiku p. r.

Ale choć w pracowitość każdy wierzył, to jednak drugą jeszcze wyrażano obawę, a mianowicie tę, że kardynał Hergenröther ma styl ciężki i sposób pisania, któryby raczej „nabity“ niż zwięzły nazwać można, podczas gdy Hefele dawał w swoich 7 tomach poprzednich potoczysty i jasny wykład historyi Kościoła, na tle soborów i synodów. Ale i ta druga obawa, okazała się płonną, bo podczas gdy w swojej historyi kościelnej liczył się autor z objętością książki i widocznie starając się o zwięzłość, nieraz myśli należycie nie rozwinął, co musiało na szkodę jasności opowiadania wpływać: tutaj natomiast ustawał ten wzgląd i przez to samo potoczystość opowiadania znacznie zyskała.

Praca ta obejmuje na 896 stronach nie wielki tylko okres dziejów kościelnych, a mianowicie czas pomiędzy synodem Bazylejskim, a V. soborem Lateraneńskim. Dzieli się na dwie księgi (50 i 51 całego dzieła). W pierwszej omawia autor najpierw skutki synodu Bazylejskiego i soboru Florenckiego, przytacza synody za następnych papieży, odbywane w różnych krajach aż do śmierci pap. Aleksandra VI. Pomiędzy synodami, odbytemi za pap. Eugeniusza IV., wspomniany też jest synod w Łęczycy r. 1441 (miejsce to Hefele (C, G. VII. 388) nazwał Lencicz, tutaj (str. 11—12) nazwane jest *Lencics*) z powołaniem się na *W. Fabisza:* Wiadomość o synodach, *Bulińskiego:* Historya Kościoła i *Heyzmana:* tom IV. Starodawnych pomników prawa polskiego. Cytaty są fatalne, bo mniejsza o to, że zamiast *ł* jest zawsze *t*, ale kto się domyśli, że np. *ponziki* ma znaczyć *pomniki*, a *prowineyonalnych* ma znaczyć prowincyonalnych, że *Traby* ma znaczyć Trąba. Ale i samo streszczenie w kilku zdaniach jest błędnem. Hefele (l. c.) zbył cały stosunek Polski do Kostnickiego synodu w 10 wierszach i powiedział nieprawdę, że Jagiełło z Witoldem herezyę husycką popierali; tutaj opowiedziano w 18 wierszach stosunek Polski do synodu Bazylejskiego. Więc bardzo tego nie wiele, a to co powiedziano, że arcybiskup Wincenty trzymał z Bazylejskim synodem „dem der Erzbischof Vinzenz anhing“, nie zgadza się z prawdą, bo Wincenty II. Kot był przez Eugeniusza IV. (1437 r.) zatwierdzony,

a na synodzie w Łęczycy (1441 r.) oświadczył się właśnie przeciw antypapie, wybranemu przez synod Bazylejski i kapelusza kardynalskiego, który mu tenże Feliks V. ofiarował, nigdy nie używał[1]. O całym stosunku uniwersytetu krakowskiego do synodu Bazylejskiego nie masz tu ani wzmianki, chociaż *Codex diplomaticus* uniwersytetu zawiera mnóstwo dokumentów do tej sprawy się odnoszących, mianowicie w II. i III. części[2].

Wszelako pamiętając na zasadę, że krytykuje się tylko to, co jest, a nie to coby się mieć chciało, rozumiemy też dobrze, że dzieło takie musiałoby urosnąć do olbrzymich rozmiarów, gdyby dokładną wiadomość o wszystkich synodach prowincyonalnych podawać miało. Księga 51 dzieli się na dwa rozdziały, z których pierwszy (str. 392—550) obejmuje krótki pontyfikat Piusa III., wybór i pontyfikat Juliusza II., zatarg jego z Wenecyą, Ferarą i Francyą, oraz zborzysko Pizańsko-Medyolańskie; przygotowania do soboru V. Lateraneńskiego i pierwszych jego pięć sesyj. Nadto synody partykularne, odbyte za pontyfikatu tegoż papieża, w Niemczech, Anglii, Francyi. Dwa synody w *Wilnie* (1502 r.) i w *Łęczycy* (1507 r.) są tu tylko wspomniane z tą uwagą, że polskie synody przed r. 1510 nie są bliżej znane (str. 539). Natomiast jest tu (str. 541—542) dokładniejsza wzmianka o synodzie ruskim w Wilnie (1510 r.), zwołanym przez metropolitę Józefa II. Sołtana. Autor podaje (za Peleszem) kanony tegoż synodu i, opierając się na Raynaldzie, Theinerze i Pichlerze, omawia w 9 wierszach stan ówczesny cerkwi Ruskiej i przeciwstawia go daleko gorszemu położeniu cerkwi Moskiewskiej. Wspomina także Helenę, żonę króla Aleksandra, i dodaje, że mąż jej ze strachu przed teściem musiał ją przy schizmatyckiej wierze pozostawić. Kto tej historyi nie zna, ten się z takiej wzmianki niczego nie nauczy, kto ją zna, ten nie może na to streszczenie się pisać. Powiedziano tu wprawdzie, że metropolita Józef był Unii przychylny, ale trzebaby dodać, że był więcej niż przychylnym, bo nie tylko podpisał adres do pap. Syxtusa IV., wysłany r. 1476 przez metropolitę Mizaela, księcia na Pstrugu, z poselstwem do Rzymu, ale sam zostawszy metropolitą

[1] Cfr. Długosz. Opp. ed. Przeździecki I. 373.
[2] Kraków. 1873. Pars II. Kraków. 1880. Pars III.

przesłał pap. Aleksandrowi VI. wyznanie wiary i prosił o zatwierdzenie na stolicy[1]. Bulla Aleksandra VI.: *Altitudo divini officii* i świadectwo, jakie Karamzyn (V. 296) wystawia metropolicie, że „wszystkiem stwierdzał, iż papież jest głową chrześcijaństwa", dowodzą, że Unia na Rusi wtedy *de facto* była zaprowadzona i to nie po raz pierwszy, ale że się rozbiła o brak zrozumienia jej potrzeby w ówczesnym episkopacie polskim. To prawda, że Aleksander, król polski, nie myślał żony swej Heleny nawracać do Unii, ale nie ze strachu przed teściem (aus Furcht vor dem Schwiegervater), wolność wyznania jej pozostawiał, bo list jej, pisany do ojca (zachowany w aktach komisyi archeograficznej T. I.) świadczy zupełnie o czemś innem, a wojna z Moskwą r. 1503 dowodzi, że zięć tak dalece przed teściem strachu mieć nie potrzebował.

Drugi rozdział (51 księgi) traktuje o wyborze i początkach pontyfikatu Leona X., dalsze sesye i zakończenie soboru Lateraneńskiego, ugodę z Francyą i konkordat, układy z kościołem wschodnim, wypadki polityczne r. 1516, nareszcie kościelno-polityczne wypadki pomiędzy r. 1517—1520, a więc spór Reuchlina i początki wystąpienia Lutra, śmierć Maksymiliana i wybór Karola V. Od str. 810—867 jest dodanych 50 dokumentów, oczywiście jeszcze nigdzie nie drukowanych, a dokładny rejestr (str. 869—883) zamyka całe dzieło, przynoszące zaszczyt nietylko dostojnemu autorowi, ale i narodowi, który wydaje ludzi, tak żelaznej i niezmordowanej pracowitości.

Do takich ludzi zaliczyć też niewątpliwie należy *Wilhelma Hohoff'a* i to kto wie, czy nie w większej jeszcze mierze, niż dostojnego kardynała, a to z tej przyczyny, że Hergenröther jest w Rzymie, przy samym źródle historycznem, jakiem archiwa watykańskie nazwać się godzi; natomiast Hohoff jest proboszczem, w odludnej miejscowości, płaskiej, nudnej Westfalii, gdzie „czerwona ziemia" rodzi olbrzymie chłopy, gorliwe katoliki, ale gdzie plebani oddawna już mają bardzo okrojone dochody. Przed 6 laty wydał tenże *Hohoff* broszurę p. t.: *Protestantismus und Socialismus* (Paderborn 1881), która czasu swego wywołała rozgłos niemały, ale jak wszelkie broszury, zapadła w zapomnienie. Teraz

[1] Theiner. Mon. Pol. Lith. II. nr. 296, nr. 300.

urosła ta broszura do dzieła o 759 stronach. Jej celem i zamiarem jest dowieść prawdy twierdzenia, wypowiedzianego przez Leona XIII. w encyklice: *Diuturnum illud teterrimumque bellum*, że t. zw. reformacya XVI. wieku jest przyczyną nowoczesnych rewolucyj i socyalizmu.

Nie da się zaprzeczyć, że historyografia katolicka przeszła, od chwili gdy Janssen rozpoczął wydawać swoją historyę ludu niemieckiego, (której pierwszy tom rozszedł się już w 14 wydaniach) z defenzywy do ofenzywy. Teraz już protestanci się bronią, od kiedy Ranke'go historya reformacyi zalicza się do rzeczy przestarzałych, na polu historyi. Prawda, że protestantom, a nawet niektórym „katolikom" nie chce się to jeszcze w głowie pomieścić. Dla tego np. profesor historyi w Królewcu, *Tschackert*, (Evangelische Polemik gegen die römische Kirche. Gotha, 1885) powiedział o Ojcu św. Leonie XIII., że „gorzej niż uczeń jezuicki Leon XIII, jeszcze nikt nie oczernił ewangelickiego kościoła". Więc Hohoff zabrał się do pracy, aby to, co w broszurze nadmienił, teraz obszernie udowodnić. Janssen, z natury rzeczy tylko współczesne źródła przytacza, Hohoff natomiast kompiluje dowody ze wszystkich autorów niekatolickich i liberalnych, czystej wody, których jeśli o stronniczość kto posądzi, to pewno nie o stronniczość na stronę katolickiego Kościoła. Oni wszyscy kolejno dowodzą prawdy słów papieża co do Francyi, Anglii, Niemiec i wreszcie Rosyi. Ile było potrzeba czasu, zabiegów, starań i pracy, żeby to wszystko zebrać i ze słów tych niepodejrzanych świadków, złożyć historyę nowoczesną, tego domyślić się tylko można z tego dzieła. Są tu tysiące cytatów, niektóre może nieco za długie i — jak słusznie zauważono [1] — może byłoby lepiej, gdyby w tekscie podane były petitem, ale cytaty te pochodzą nieraz od autorów, których niejeden bibliograf nawet nie znał z nazwiska. Autor włada językiem francuskim i angielskim i zdumiewające oczytanie pokazuje w literaturze tych dwóch narodów, nie mówiąc już nic o literaturze historycznej niemieckiej.

Kierunek jego pracy jest głównie socyalny, bo też rozwój społecznej rewolucyi autor zamierzył przedstawić. Odnośnie do Ro-

[1] Historisch-politische Blätter. 100. 4. 1887. p. 310.

syi, musiał się ograniczyć na tem, co pisano w trzech znanych mu językach, albo co na te języki zostało tłumaczone. Jakaż to olbrzymia różnica dokonała się w umysłach niemieckich, w przeciągu lat 40, skoro z taką pracą odważył się ksiądz katolicki wystąpić! Kiedy w r. 1841 wydawał *K. Riffel* swoją historyę kościelną, a właściwie historyę reformacyi (Christliche Kirchengeschichte der neuesten Zeit, Mainz 1841) wtedy usprawiedliwiał się w przedmowie, że mówiąc prawdę, nie myśli zakłócać konfesyjnego spokoju. Tak jeszcze wówczas nieśmiało odzywali się katolicy! Po nim przyszedł *J. Döllinger* i w trzech tomach[1] ocenił dzieło reformacyi z ust i świadectw samych reformatorów, ale ten już nie wspominał o żadnej obawie. Teraz po *Janssenie* przybrał *Hohoff* ton bezwzględnego mówienia i nieobwijania w bawełnę nagiej prawdy. Katolicy przetrzymawszy *kulturkampf*, mogą tem śmielej mówić prawdę w oczy tym, którzy sami się przyznają do tego, że ich kościół bez opieki państwa ostać się nie może, a żadnego prześladowania niezdolen wytrzymać. Taki kościół nie może też społeczeństwa ratować przed socyalną rewolucyą, bo ona wyrosła na jego zasadach. Tego właśnie dowodzi Hohoff swoją niezmiernie pracowitą książką.

3) Seminaryum duchowne w Moguncyi, zawdzięczające utworzenie swoje znakomitemu biskupowi *Colmarowi* (1802—18), które pod zarządem znanego autora dogmatyki *Liebermanna* wydało takich uczonych teologów jak *Klee*, dostojników jak kardynał *Geissel*, który napisał historyę katedry w Spirze, jak niedawno zgasły biskup strasburski *Räss* i *Weis* biskup spirski: cieszy się i dziś profesorami doborowymi. Ks. Dr. *Henryk Brück*, o którego książce mamy tu mówić, dał się najpierw poznać podręcznikiem historyi kościelnej, który w stosunkowo krótkim czasie już trzech doczekał się wydań (3 ed. Mainz. Kirchheim 1884. Mark. 10, 80). Oprócz tego wydał Brück kilka prac historycznych, mianowicie historyę kościelnej prowincyi górnego Renu, historyę religijnego wychowania w Niemczech w XV. wieku, historyę tajnych stowarzyszeń w Hiszpanii i t. d. Jest to więc autor w pracy niestrudzony.

---

[1] Die Reformation, ihre innere Entwickelung und ihre Wirkungen. Regensburg. 1846.

Obecnie zapowiedział pracę na większą skalę tj. historyę kościelną XIX. wieku, a pierwszym tomem rozpoczął historyę kościoła w Niemczech, którą doprowadził dopiero do układów pojedyńczych państw niemieckich ze Stolicą Apostolską o konkordaty, a więc — mniej więcej do 17 roku naszego stulecia. Jest to pierwsza tego rodzaju praca, wyczerpująco i źródłowo traktująca przedmiot, o tyle ważniejszy, że często bardzo fałszywie bywał przedstawiany. Brück pisze oczywiście w duchu, jaki przystoi katolikowi, a tembardziej duchownemu, który tem mniej powinien chować swoją chorągiew do kieszeni, im jawniej wywieszają nieprzyjaciele Kościoła swoje złowieszcze sztandary. Pod tym względem nawet *Kraus*, profesor historyi kościelnej we Fryburgu, przyszedł do lepszego przekonania. Uczeń szkoły *Janistów*, nazwanej od *Janusa*, wydanego w czasie Soboru, wydał Kraus podręcznik historyi kościelnej w takim duchu, że wywołał przeciwko sobie książkę p. t.: *Der Liberalismus in der Theologie und Geschichte*[1]. Uczony autor *Roma sotteranea* (II. ed. Freiburg i B. 1879) i wydawca *Realnej encyklopedyi starożytności chrześcijańskich* (2 tomy. 8° str. 1019. Freiburg i B. 1882—1886), wziął sobie do serca rozmaite uwagi prasy katolickiej, nawet takie, których słuszności nie przyznawał, i teraz świeżo wydawszy trzecie wydanie swojego podręcznika, opuścił wszelkie wyrażenia, które zaczepiono, a które czyniły tę książkę nieprzydatną dla użytku młodych teologów. Resztki tego zwyczaju „Hofteologów“ józefińskich, którzy o papieżu gorzej wyrażali się niż protestanci, pokutowały w tej książce Krausa, która zresztą zręcznym układem treści i bogactwem literacko-krytycznego aparatu może zajmować niepoślednie miejsce pomiędzy podręcznikami, przeznaczonymi do wykładów uniwersyteckich. Na tem polu nie braknie jednakże w Niemczech konkurencyi, a podręcznik *Funka*, profesora w Tubindze, ma ważne zalety: krótkiego i zwięzłego streszczenia najważniejszych faktów i — co także w rachubę wchodzić musi — ma zaletę taniości. Funk znany jest przeważnie ze swych prac na polu patrystyki i jeszcze niżej o nim będziemy mówili.

---

[1] Eine theologisch-historische Kritik der Kirchengeschichte des Professors Dr. Kraus, von *Dr. Joseph Schroeder*. Trier. 1883. 8°, str. 181.

Wracamy tymczasem do książki Brücka, od której zrobiliśmy zboczenie. Historya Kościoła w Niemczech XIX. wieku jest nad wyraz smutna. Aby ją przdstawić w należytem świetle, musiał oczywiście autor na wstępie cofnąć się do historyi Febronianizmu i kongresu w Ems (1786), oraz ocenić wpływ rewolucyi francuskiej na kościelne stosunki w Niemczech. Rewolucya zniweczyła księstwa duchownych elektorów, którzy papieżowi pierwiej sztorcem się stawiali, sami gorszące prowadzili życie i pierwsi też padli ofiarą t. zw. „sekularyzacyi“, którą arcybiskup Moguncki sam popierał. Stany niemieckie zgromadzone w Ratysbonie zniosły recesem (r. 1803) nie tylko księstwa duchowne, ale poddały też dobra biskupie i opackie tej operacyi, którą wówczas eufemitycznie „sekularyzacyą“ zwano. Jaka „dotacya“ została w to miejsce wyznaczona, jakie stanowisko w obec tego nowego bezprawia zajął papież i jakim sposobem starano się to usprawiedliwić: to wszystko opisuje Brück na 118 pierwszych stronach swej pracy. Stosunki kościelne w pojedyńczych państwach i pojedyńczych dyecezyach zajmują drugi rozdział dzieła (128—232 str.). Trzeci ustęp (do str. 340) zajmuje się dziejami reorganizacyi dyecezyj i wstępnych układów, które pojedyńcze państwa ze stolicą apostolską, celem zawarcia konkordatów, zawiązywały; dwa ostatnie zajmują się sprawami ówczesnych szkół, w których Kościół wyszydzano, i nauk teologicznych, które były pod klątwą józefińskiego ducha; a wreszcie sprawą służby Bożej, do której rządy się wtrącały, wydając rozporządzenia, wkraczające w wewnętrzne sprawy Kościoła, a nawet artykuły wiary.

Z tego wyszczególnienia poznać można, że sama historya Kościoła w Niemczech obejmie kilka tomów. Dzieje tutaj opowiedziane doprowadziły Kościół w Niemczech do takiego stanu upadku, i poniżenia, że autor (str. 466) słusznie go do upadku Jerozolimy przyrównuje, ale i w tym upadku okazała się żywotna siła Kościoła i sprawdziły się słowa św. Hilarego[1]: *hoc enim ecclesiae proprium est, ut tunc vincat cum laeditur, tunc intelligatur cum arguitur, tunc obtineat cum deseritur.*

4) Najnowsze dzieje Kościoła w Prusiech doczekały się w Niemczech kilku opracowań, przyznać sobie jednak możemy, że pierwszą

[1] De Trinitate, VII. 917.

historyę po polsku dała wprawna ręka wytrawnego pisarza w *Przeglądzie Polskim* [1]. Historya ta, przetłumaczona na język francuski, choć nie koniecznie szczęśliwie, była pierwszem źródłem informacyi dla Kuryi rzymskiej. Podobno też za to odbiła się na autorze nieubłagana ręka tego, który ją pierwszy podał do zgody, spostrzegłszy, że łatwiej gromić armie zbrojne, niż bezbronny, ale stały we wierze Kościół katolicki. Odtąd postąpiła już ta historya o lat 12 naprzód, a u nas nie przyszło nawet do drugiego wydania i kontynuacyi wyżej wymienionej znakomitej pracy. Przewyższyli nas pod tym względem Niemcy, bo książka *Jul. Bachem*, o której tu mówić zamierzamy, doczekała się w przeciągu 3 lat już piątego wydania, mimo to że i *Dr. Paweł Majunke* wydał w tym czasie swoją historyę „kulturkampfu“ [2], a potem zeszyt dodatkowy (dziesiąty), w którym (str. 573—682) doprowadził opowiadanie swoje aż do naszych dni.

Obie te historye mają swoje odrębne cechy i zalety, ale obie się nawzajem uzupełniają. Obaj autorzy, jako posłowie do parlamentu niemieckiego, brali udział w gorących rozprawach, gdy prawa „majowe“ Kościołowi katolickiemu narzucano, ale Majunke, jako naczelny redaktor *Germanii*, a następnie autor „autografowanej korespondencyi“, którą wszystkie katolickie dzienniki w Niemczech drukowały, patrzał na niejedno z innego stanowiska i z innej strony, niż Bachem. Ulegając następnie woli swego biskupa wrocławskiego, księcia biskupa Herzoga, porzucił parlamentarną arenę zupełnie i przeniósł się na probostwo, gdzie znalazł i czasu i notatek w swej tece dosyć, aby napisać historyę, z którą jego pracowita a zdolna działalność i jego imię tak ściśle się zrosło. Jego historya uwzględnia też więcej dyplomatyczną stronę „walki kulturnej“, a jego artykuł w sprawie systematu, zamieszczony w *Historisch politische Blätter* [3] dowodzi, że Majunke w sprawach sytuacyi politycznej nawet lepiej się oryentował niż Windhorst, na któ-

[1] *Obecne prześladowanie religii katolickiej w Prusach.* Kraków, 1876, str. 438.

[2] *Geschichte des „Culturkampfes“ in Preussen-Deutschland.* Paderborn u. Münster. 1886, str. 572.

[3] *Die Entscheidung in der Septennatsfrage, der Hl. Stuhl und die Centrumspartei.* Hist. polit. Bl. Tom 99, r. 1887, zeszyt VI. str. 485—492.

rego żądanie podobno głównie arenę polityczną opuścić musiał. Mnóstwo dokumentów i depesz nadaje też książce Pawła Majunke długotrwałą wartość.

Natomiast Bachem traktuje sprawę przeważnie historycznie i poświęca historyi Kościoła w Prusiech aż do r. 1870 pierwszych 78 stron. Ale to, co tu powiedziano, jest raczej krótkim tylko szkicem, w którym poświęcono stosunkowi Prus do Kościoła w ziemiach polskich zaledwie jednę i to nie całą stronę. Dziś, kiedy pod tymże samym tytułem, co i Bachem, wydał *Lehmann* już pięć tomów publikacyi z berlińskiego archiwum [1], moglibyśmy żądać, aby o stosunku Prus do Polski więcej wiedziano. Bachem nic nie wspomina o traktatach Welawsko-Bydgoskich (1657), przez które do Brandeburgii zostały wcielone Prusy królewskie i dwa polskie powiaty: Lemborski i Bytowski, chociaż mówi o przyłączeniu księstwa Jülich-Cleve (1614) do Brandeburgii, a następnie i Szląska (1740). Ale autorowi chodziło widocznie tylko o jasne i wyraźne naszkicowanie polityki kościelnej, jakiej się elektorzy brandeburscy, następnie „królowie w Prusach“, wreszcie królowie Pruscy i cesarze Niemieccy od wieków stale i zasadniczo trzymali. Dla tego nie chciał się zapewne gubić w szczegółach i dla tego całą dobę dziejów Kościoła w Prusiech, od zatargu o małżeństwa mieszane (1837), aż do rozpoczęcia najnowszego prześladowania (r. 1870), opowiedział na 17 stronach (61—78). Całą historyę t. zw. walki kulturnej podzielił Bachem na cztery ustępy: w pierwszym opowiada dzieje najgorętszej walki (1870—1879). Jest to czas, który liberalne gazety nazywały rozkosznym, który jednakże w tak świetnym blasku pokazał zgodę, jedność i stałość wszystkich katolików, poddanych berłu króla pruskiego. Przyczyny, które skłoniły rząd pruski, albo co prawie to samo znaczy, kanclerza niemieckiego, do odwrotu (w r. 1879) i następne dzieje układów do r. 1883, aż do przywrócenia *modus vivendi* (r. 1886), opowiedziane są w dwóch ustępach (str. 110—154). Ostatnie dwa lata (1886—1887) i obecny stan Kościoła w Prusiech (str. 154—204) obejmują dwa ostatnie ustępy.

Co stanowi wartość tej pracy, zresztą niezbyt wielkiej, że

[1] *Preussen und die kath. Kirche seit 1640.* I. Theil. Leipzig, 1878, II. Theil 1881, III. Theil 1882, IV. Theil 1883, V. Theil 1885.

w tak krótkim czasie piątego doczekała się wydania? Jest to przejrzystość wielka układu, jasność opowiadania i to właśnie, że nie jest przeładowana szczegółami. Od kiedy *Siegfried* wydał akta, odnoszące się do „walki kulturnej“ [1] może każdy, kto bliżej się chce zapoznać z temi smutnemi dziejami, łatwo pojedyńcze dokumenta mieć pod ręką. Nie potrzeba więc obciążać książki cytatami. Dla tego też praca Bachema sprawia wrażenie, jakby jednym tchem była napisana, a w zakończeniu zwraca autor słusznie uwagę na to, że tradycyjna polityka pruska w obec Rzymu nigdy się nie zmieniała, chyba z krótką przerwą panowania Fryderyka Wilhelma IV. Tego właśnie chciał dowieść autor swoją pracą, i dla tego też dał jej taki właśnie, a nie inny tytuł.

5) Kiedy w r. 1880 Ks. Bernard Jungmann, profesor historyi kościelnej w uniwersytecie w Lowanium, wydał pierwszy tom swoich *Dissertationes selectae in Historiam Ecclesiasticam*, wtedy przyjęto tę pracę z pewnem niedowierzaniem, już dla tego samego, że autor do owego czasu wykładał dogmatykę, a historyą kościelną wcale się nie zajmował. Ale szybko po sobie idące tomy pojednały z nim krytykę, bo autor wprawdzie nowych, źródłowych badań i odkryć nie dawał, ale skrzętnie zbierał dotychczasowe rezultaty naukowej krytyki i w 6 tomikach doszedł do czasów reformacyi Lutra. Teraz w siódmym tomie skończył swą pracę, to znaczy, że w jednym tomiku zamknął dzieje trzech ostatnich wieków, bo dziewiętnastego nie dotknął wcale. Jest to niemiła niespodzianka, której autor nie tłumaczy, bo nie dał żadnej przedmowy, i my też wytłumaczyć jej nie potrafimy.

Jest tutaj sześć dysertacyj, z których pierwsza (37) mówi o początkach pseudoreformacyi i jej dalszych losach (str. 1—57), druga traktuje historyę soboru trydenckiego (str. 57—128), a trzecia mówi o reformacyi Kościoła przez wykonanie uchwał trydenckich (str. 150—204). Dwie następne poświęcone są sprawie Janssenizmu i Gallikanizmu (str. 217—377), a wreszcie szósta i ostatnia (42, z rzędu) mówi o papieżach XVIII. wieku, o masonach, o febronianizmie, józefinizmie i zniesieniu Towarzystwa Jezusowego (str. 378—419).

---

[1] *Actenstücke betreffend den preussischen Culturkampf, nebst einer geschichtlichen Einleitung.* Freiburg i B. 1882, 8°, str. 441.

Krytyk nie ma prawa żądać od autora, żeby to lub owo pisał, więc trudno wymagać od Jungmanna, żeby dał więcej rozpraw, skoro uznał za stosowne poprzestać na tych, które w VII. tomie ogłosił; ale wolno wytknąć dysproporcyę w założeniu całego dzieła. Bo jeżeli w 36 rozprawach doszedł do XVI. wieku, jeśli ostatnią w VI. tomie poświęcił stosunkom kościelnym pod koniec XV. w. i głównym przyczynom, które utorowały drogę t. zw. reformacyi, to nikt nie mógł przypuszczać, że w jednym tomiku resztę dziejów zamknie. Przez to samo staje się dzieło całe urwane i niedokończone. Rozprawy zamieszczone w ostatnim tomie są wprawdzie dosyć wyczerpujące i oparte na najlepszych pracach i drukowanych źródłach, ale wolno ubolewać, że tego jest tak mało. Powiedzieliśmy już, że w rozprawach swoich nie dawał Jungmann nic nowego, ale cechowały je dwie rzeczy: jasność wykładu i grunt dogmatyczny. Dla tego właśnie szkoda, że w zamiarze nie wytrwał.

6) Przed 2 laty zamieścił piszący w *Przeglądzie Powszechnym* rozprawkę o nowo znalezionej *Nauce* dwunastu Apostołów. Wtedy już w ciągu jednego roku doczekała się *nauka* pięciu wydań, kilku tłumaczeń i rozpraw. Obecnie wzrosła liczba ich do 200 — u nas natomiast nikt o tem więcej nie pisał. To wielkie zainteresowanie się dokumentem najstarszych wieków chrześcijaństwa, świadczące tak pochlebnie o ruchu umysłowym w Niemczech i Francyi, spospowodowało X. Fr. X. *Funka*, profesora historyi kościelnej i patrologii w Tubindze, do wydania ponownego *Nauki* w oryginale greckim z tłumaczeniem łacińskiem, do czego dodał tekst kanonów apostolskich, księgę VII. konstytucyj apostolskich, dwa rozdziały z listu Barnaby (18—20), gdzie mowa jest o „dwóch drogach", oraz fragment łaciński z X. czy IX. wieku, który zawiera ustęp o „dwóch drogach", podobny do tego, który się znajduje w *Nauce 12 Apostołów*. Jeśli się rozważy, że i katolicy i protestanci pisali 200 rozpraw o *Nauce*, to łatwo zrozumieć, ile krytycznej akrybii, ile staranności musiał dołożyć Funk, aby tekst poprawny wydać. Obszerną i gruntowną znajomość dziejów starożytnego Kościoła i całej starożytnej literatury, pokazał też wydawca w prolegomenach i przypiskach. Rzecz to niezmiernie ważna pod wielu względami i niewątpliwie godna takiego ściśle naukowego badania. Dosyć bowiem wspomnieć, że *Harnack*, któregośmy w naszej rozprawce

„papieżem protestanckim“ nazwali, dowodził na mocy *Nauki*, że biskupi i dyakoni nie mieli w starożytnym Kościele wcale liturgicznego urzędu, tylko administracyą i nauczaniem się zajmowali. Teraz zaś, w ostatniej rozprawie swojej o *Nauce*[1] przyznaje, że biskupi i dyakoni mieli charakter liturgiczny, tj. że ofiary sprawowali — a to jedynie na mocy jednej partykuły οὖν („Nauka“ rozdział 15. w. 1), na której znaczenie zwrócili mu inni krytycy uwagę. To wyznanie protestanta, który tryumfował, że protestancka zasada *ministerii verbi* była jedynem zadaniem biskupów w starożytnym kościele, świadczy dostatecznie, jakiej wagi jest *Nauka 12 apostołów* dla historyi kościelnej, dla egzegezy biblijnej i dla apologetyki.

Z pola Patrologii dwa jeszcze należy wspomnieć wydawnictwa z minionego roku. Pierwszem jest *Corpus scriptorum eccles. latin.*, wydawnictwa akademii umiejętności w Wiedniu, nakładem Gerolda, którego tom XII., zawierający pisma św. Augustyna z krytycznym komentarzem *Fr. Weihricha*, wyszedł świeżo z druku. Drugie wydawnictwo, godne wszelkiego uznania, jest książka kanonika wrocławskiego, X. *Karola Seltmann*. On sam wyznaje na wstępie, że dawniejszy jego profesor, a teraz współkanonik X. prałat Lämmer, zachęcił go do tej pracy. Wziął się też do niej sumiennie, bo chcąc dokonać wydania krytycznego tekstu, porównywał wszystkie dotychczasowe wydania i tłumaczenia i zaopatrzył tekst swój w komentarz krytyczny. Ale co więcej znaczy, skorzystał z tego wspaniałego traktatu „*O kapłaństwie*“ św. Jana Złotoustego, aby w przypiskach dodać praktyczne uwagi z pastoralnej praktyki dla młodych kapłanów. To wszystko sprawiło, że niewielka zresztą praca, urosła do rozmiarów dużej książki, o cenie dosyć wysokiej. Ale ona daje podwójne świadectwo, a mianowicie świadczy o uczoności autora, i o jego zaufaniu do duchowieństwa, że tekst grecki jest dlań przystępny i że od tak poważnej lektury nie stroni. Jak zaś praktyczne są pastoralne nauki *Seltmanna*, dodawane w przypiskach, niech świadczy choć jedna. Św. Chryzostom[2]

[1] Real-Encyklopädie für protestantische Theologie, Tom XVII. str. 656—675.

[2] De sacerdotio III. 9.

mówi o wtrącaniu się kobiet do rządów Kościoła. Do tego dodaje *Seltmann* uwagę w języku niemieckim: (str. 95 n. 5). „Na szczęście minęły te czasy, w których się kobiety wtrącały do wewnętrznych sporów kościelnych i to niestety, nie bez rezultatu. Nie będziemy tu przytaczali przykładów z historyi kościelnej, jedno zwrócimy się do teraźniejszości z zapytaniem, o ile zarzuty Świętego nas by mogły dotyczyć. Znane są bowiem przykłady, że kobiety na plebaniach przywłaszczyły sobie nieprzyzwoitą władzę, albo nad wikaryuszami, albo nawet nad proboszczami" i t. d. Uwagi i nauki tego rodzaju podnoszą praktyczność lektury prześlicznej pracy „o kapłaństwie", która bodajby u nas, choć tylko w polskiem tłumaczeniu, mogła się znajdować w ręku każdego kapłana.

7) Wyjątkowy w dziejach Kościoła objaw czci dla osoby papieża wywołały sekundycye Leona XIII., a piśmiennictwo w Niemczech nie pozostało też poza tym powszechnym ruchem. W pierwszym rzędzie należy stawić wielce pożyteczne wydawnictwo Herdera w Fryburgu, którego drugi zeszyt opuścił prasę i obejmuje wszystkie alokucye i encykliki tego papieża, (1887—8 str. 196. Mrk. 2). Zeszyt ten zawiera orędzia i przemówienia papieskie pomiędzy 1881 a 1885. Do łacińskiego tekstu dodane jest doskonałe tłumaczenie niemieckie, dokonane przez prof. Hettingera. Inne tego rodzaju zbiorowe wydanie pism i orędzi papieża Leona XIII. w 2 tomach jest znanej drukarni św. Augustyna w Brugge [1]. Zbiór ten jest od fryburskiego obszerniejszy, ale akta są tylko w oryginale łacińskim lub włoskim. Za to na marginesie podana jest krótko treść każdego ustępu, a nadto dodane są trzy rejestry, tj. spis rzeczy wedle materyi, potem indeks alfabetyczny imion i rzeczy, a wreszcie trzeci rejestr ułatwia wyszukanie tematów, które Papież w swoich aktach omawia. Dla teologów jest ta książka niezmiernie pożyteczna, dla historyi kościelnej niezbędna. Trzecie wreszcie zbiorowe pismo, jest *Behringera* wydanie poezyj Papieża Leona XIII. [2]. Do łacińskiego tekstu poezyj dodał Behringer tłumaczenie niemieckie. Inskrypcyj jest 12, poezyj 38, z tych 6 po

[1] Ssmi Dni Leonis PP. XIII. Allocutiones, Epistolae, Constitutiones atque Acta praecipua. Vol. I. 1878—1882. Vol. II. 1883—1887. 8°, XVI., 336 str. i 350 str. Mrk. 5.

[2] Leonis XIII. P. M. Inscriptiones et carmina. Regensburg. Pustet, 1887, 4°, str. 207.

włosku. Wszystkie ułożone są chronologicznie, (oprócz dwóch). Poprzedza zaś ten zbiór rozprawa *O. Valle T. J.* (str. 8—29), który poezye Ojca św. stawia na równi z najlepszymi poetami nowszej łaciny, a wiadomą jest rzeczą, że równie klasycznym językiem jak Leon XIII., mało kto dzisiaj w Europie władać potrafi.

Z pomiędzy życiorysów Leona XIII., napisanych z powodu zbliżającego się z nowym rokiem jubileuszu, pierwsze niewątpliwie miejsce należy się książce Amerykanina *Dr. B. O'Reilly*, którą z pozwoleniem autora na niemieckie przetłumaczył *Dr. J. Weinand*, nauczyciel gimnazyalny w Neuss [1]. Bogactwo szczegółów biograficznych miał O'Reilly prawie z pierwszej ręki, bo od brata samego Ojca św. Książka zaś wydana tak pięknie i starannie, że aż miło ją wziąść do ręki. Zdobią ją nadto ryciny, których oprócz portretu Ojca św. jest 23 na osobnych kartonach, reszta wpleciona w tekst. Ale co prawda, ryciny te stósowały się też do każdej innej książki, opisującej Rzym. Dość powiedzieć, że np. *Famiglia pontificia* przedstawia przyboczny dwór pap. Piusa IX, a nie Leona XIII. Mimo to ta książka z piękną oprawą jest doprawdy 20 marek warta. Tłumacz natomiast powiększył tekst o tyle, że nie tylko uzupełnił go i całkiem prawie przerobił, o ile się odnosił do stosunków kościelnych w Niemczech, ale doprowadził samo opowiadanie o pół roku dalej (od jesieni 1886 do lipca 1887). Książka zyskała przez to na całkowitości, ale stała się też pod ręką tłumacza tak serdecznie nudną i ciężką, jak tylko niemieckie książki być potrafią.

O innych mniejszych biografiach Leona XIII. wspomnieć wystarczy mimochodem. Już przed 10 laty wydał *Msgr. de Waal*, dyrektor Campo Santo w Rzymie: *Leobuch* (Monaster 1878), w której to książce opisał młodość i działalność kardynała Joachima Pecci, przed wstąpieniem na stolicę apostolską. Ta książka służyła też obecnie za źródło, z którego czerpali najnowsi biografowie wszystko, nawet błędne daty, ale bądź co bądź napisano tych biografij kilka i to bardzo tanich [2], one poszły pomiędzy ludzi, a o to przecie głównie chodzi przy popularnych publikacyach.

---

[1] Tłumaczenie wyszło w Kolonii, Bachem. 1887, 4⁰ str. XXIV., 474. Mrk. 12.

[2] T. J. *Schwerdt*, Papst Leo XIII. Ein Blick auf seine Jugend u. seine

Wreszcie *last not least* pozostała nam nie wielka książka, bo tylko 72 strony zawierająca, ale napisana świetnem piórem znanego ekonomisty, który się kryje pod pseudonimem *F. Albertusa* [1]. „Niechaj te wyrazy służą na to, aby dołączyć choć jeden liść wdzięczności do tego wieńca, który wszystkie wierne dzieci Kościoła pragną Ojcu św., w dniu jego jubileuszu, u nóg złożyć". Taki zamiar wypowiada znakomity autor w krótkiej przedmowie do swej pracy, która sama przez się piękny wieniec tworzy. Olbrzymi wpływ Leona XIII. na współczesne i państwowe stosunki, jest tu przedstawiony z taką znajomością rzeczy, z taką jasnością wywodów, a niezbitą siłą argumentacyi, że streszczać tej książki nie można, tylko ją trzeba polecić każdemu. Autor słusznie wychodzi z tego przekonania, że Papież Leon XIII. przedewszystkiem „socyalnym Papieżem" musi być nazywany, a kwestyę socyalną uważa Albertus za główną oś, około której wszystkie sprawy europejskie się obracają. Ktoby tę książkę na polski język dobrze przełożył, tenby prawdziwą przysługę oddał naszej publiczności i tym politykom pomiędzy nami, którzy znaczenia władzy świeckiej papieża nie chcą, czy nie mogą należycie ocenić.

Polityka Leona XIII. jest odmienną od tej, której się trzymał Pius IX., ale nie jest zasadniczo przeciwną. Tamta była polityką ludów, ta jest polityką gabinetową; tamta wychodziła z zasady, że ludy mają uprawniony współudział w rządach, ta — przy zmianie stosunków i okoliczności — liczy się z tem, że bezpośrednie znoszenie się z rządami jest tem potrzebniejsze dla Kościoła, im głośniej podnosi głowę negacya wszelkiej władzy. Obiedwie polityki, w obydwóch kierunkach są zgodne ze zwierzchniczą władzą papieży, których powołaniem jest: łączyć wszelkie czynniki społe-

Dichtungen. Zum 50 jährigem Priesterjubiläum des hl. Vaters. Augsburg. Schmid. 1887. 8° str. 112. Mrk. 1, 20. — *Dr. Jos. Galland*, Papst Leo XIII. Paderborn, Schöningh. 1888. 8°, str. 80 z portretem Pap. Mrk. 1. — *Hub. Schummacher*, Kleines Leo-Buch, Münster, Aschendorf, 1887. 8°, str. 160. Mrk. 0,60. — *Ant. Schöpfleutner*, Papst Leo XIII. Wien. Norbertus Druckerei, 1887, 8°, str. 78 z portretem, Mrk. 0,50. — *Dr. F. A. Muth*, Kleines Leo-Buch. Breslau. Goerlich, 1887. 8°, str. 32. Mrk. 0,32.

[1] Die socialpolitische Bedeutung und Wirksamkeit des hl. Vaters Leo XIII. Münster. Schöningh. 1888. 8°, str. 72. Mrk. 1,00.

cznej organizacyi do wspólnego działania i dążenia ku wyższym celom ludzkości i Kościoła. Z tego punktu widzenia ocenia politykę Leona XIII. Albertus i to drugi powód, dla któregoby warto tę książkę na polski język przetłumaczyć.

8) Tyleśmy pisali o publikacyach obcych, że z prawdziwą przyjemnością zwracamy się do swoich. Zły byłby ten krytyk, któryby duchowieństwo polskie stawiał, pod względem płodności naukowej, niżej w obec Niemców i Francuzów, a nie brał na uwagę naszego odmiennego położenia. Kto rozważy tę trudność, z jaką każdy druk z zaboru pruskiego lub austryackiego dostaje się do Królestwa i Zabranych krajów, jeśli w ogóle zdoła przejść przez *furculas caudinas* cenzury warszawskiej; kto rozważy to, że na całą Polskę mamy tylko dwa wydziały teologiczne i jedną akademię duchowną, której profesorowie po polsku pisać wcale nie mogą; a natomiast weźmie na uwagę, że pisma i książki w Niemczech mają nieograniczone pole zbytu, pomiędzy kilkudziesięciomilionową ludność, i że wydziałów teologicznych jest kilkanaście: ten może pragnąć, aby było lepiej, ale sądzić musi łagodnie. Za to tem większe uznanie należy się pracownikom takim, jak *Ks. Korytkowski.*

Być oficyałem tj. naczelnikiem konsystorza archidyecezyi i załatwiać tysiączne sprawy, co tydzień jeździć na konferencyę z arcybiskupem do Poznania, pracować w konfesyonale, prowadzić dom otwarty i gościnny, a jednocześnie wydawać takie dzieła jak: *Liber Beneficiorum Jana Łaskiego*[1] — przytem zadawalniać się tylko tem, żeby koszta druku się zwróciły, o nagrodzie materyalnej nie myśląc wcale, i pracować nocami nad olbrzymią pracą, z kłopotem czy druk się pokryje: na to potrzeba wielkiego zamiłowania w pracy, i wielkiego serca. *Arcybiskupi Gnieznieńscy*, obejmią cztery tomy 4° i trzeba było to dzieło wydawać drogą prenumeraty. Dotąd zapisało się 157 prenumeratorów. Śledziliśmy ich nazwiska w *Kuryerze Poznańskim* i znaleźliśmy nazwisk z Galicyi zaledwie kilka. Przeważną większość stanowi duchowieństwo Wielkopolskie. Prawda i to, że cena 60 marek za 4 tomy

[1] Gniezno 1888. 4°, tom I. str. XVI. 714, tom II. str. 552, *Prałaci i kanonicy katedry Metropolitalnej Gnieznieńskiej.* Gniezno, 1883. 4°, tom I. str. X. 546 i 262, tom II. str. 651. tom III. str. 599. tom IV. str. 632.

przechodzi „kongruę“ nie jednego duchownego w Galicyi, zwłaszcza, że konieczna potrzeba czytania nie wchodzi w rachubę przy obliczaniu „fasyi“, ale drukarnia *Kuryera Poznańskiego* wydaje dzieło zeszytami po 2 marki i w ten sposób ułatwia jego nabycie. (Zeszytów będzie 40).

Pisać dziś już recenzyę takiego dzieła, gdy dopiero siedm zeszytów jest w ręku publiczności, byłoby może zawcześnie, ale zapisać je na poczet roku przeszłego, godziło się już teraz.

Opowiadają o poecie, który Moniuszce ułożył libretto do „Halki“, że nie prędzej tego dokonał, póki go kompozytor nie zamknął u siebie na parę tygodni. *Ks. Dr. Kantecki* został także zamknięty, ale nie na to żeby pisał, tylko za to, że pisał w *Kuryerze Poznańskim* jako redaktor, nie miłe dla rządu pruskiego rzeczy. Redaktorzy w Prusiech są traktowani na równi ze zwyczajnymi przestępcami, jedzą ze wspólnego kotła. Zależy to tylko od łaski prokuratora, jeśli więźniowi pozwoli mieć książki i gazety, które sam oznaczy. Tej łasce zawdzięczamy, że Ks. Kantecki mógł się zająć w celi więziennej w Gnieźnie, gdzie go na trzy miesiące zamknięto, tłumaczeniem poezyj katolickiego poety, Prudencyusza. Dziwnie się to składa na świecie! Ks. K. jest filolog z powołania, i r. 1874 wydał w Monasterze w Westfalii łacińską rozprawę o tymże poecie, celem uzyskania stopnia doktora filozofii. Ale nim egzamina poskładał, już się zapoznał z kozą, za „nieprawne“ wykonywanie czynności kapłańskich, więc o urzędzie profesorskim nie było co marzyć. Potrzebowało go społeczeństwo do tej pracy redaktorskiej, której niewdzięczne brzemię lat 13 dźwigał, aż w celi więziennej u „dawnego znajomego“ Prudencyusza ochłody i osłody poszukał. Nie pierwsze to zresztą tłumaczenie, którego Ks. K. dokonał i ogłosił. Językiem włada doskonale tak łacińskim jak polskim, a i wiązana mowa nie sprawia mu trudności. Tutaj tłumaczył wierszem białym, ale rytm stósował do miar, których używał w swoich poezyach Prudencyusz.

Po raz pierwszy odezwały się echem polskiej mowy pieśni łacińskiego poety, który przez całe wieki średnie był tak ulubiony, że arcybiskup koloński, Brunon, w połowie X. wieku († 965) rozesłał po jednym egzemplarzu jego poezyj do każdego z Kościołów swojej archidyecezyi. To też rękopisów jego zachowało się do na-

szych czasów dwa razy więcej, niż wszystkich poetów klasycznych, a wydano go drukiem przeszło 70 razy. Nawet w klasztorach żeńskich, w których język łaciński był w średnich wiekach znany, czytywano Prudencyusza „Psychomachią".

Jest to poeta współczesny największym Ojcom Kościoła Zachodniego: Atanazego, Ambrożego, Hieronima i Augustyna, których nauka opromieniła koniec IV. i początek V. wieku. On sam pod koniec IV. wieku porzucił wysokie dostojeństwa, jakie piastował na dworze cesarza Teodozyusza (prawdopodobnie ze śmiercią tego znakomitego cesarza 395 r.), i odtąd osiadłszy w Rzymie, oddał się wyłącznie pobożności. W jego poezyach odbija się też obraz ówczesnych dni: wiara, modlitwy, obrzędy, zwyczaje, walki Kościoła, wszystko tutaj zostawiło ślady i piętno niestarte. Słusznie więc można mówić, że bez tego poety nieznane byłyby nam te czasy, tak jak bez Tertuliana, byłby nam III. wiek chrześcijaństwa prawie obcy.

Tłumacz wybrał tylko trzy utwory Prudencyusza: dwa treści modlitewnej: *Kathemerinon* (hymny na codzień), *Peristefanon* (o wieńcach męczenników) i jeden z polemicznych, tj. *Psychomachią* (walka duszy przeciwko herezyi), który na pierwszem miejscu położył. Każdy z tych utworów poprzedził wstępem historyczno-krytycznym (objaśniającym treść i okoliczności, które towarzyszyły powstaniu poematu, przyczem uwzględnił dokładnie odnośną literaturę). W obec tego znowu musimy sobie przypomnieć, że nikt nie ma prawa żądać od autora więcej nad to, co dał; ale mimowoli nasuwa nam się uwaga: że *Psychomachia* jest ostatnią z trzech poematów, tworzących polemiczną trylogię przeciwko Pryscylianistom. Mianowicie w *Hamartigenii* (o powstaniu grzechu) są przecudne ustępy o następstwach i skutkach grzechu. Warto było i te przetłumaczyć. Natomiast można się zupełnie godzić na to, że tłumacz opuszczał niektóre ustępy hymnów mianowicie w *Kathemerinon*, gdzie dygresye rozwlekłe psują proporcyę i harmonię całości. Dobrze zrobił, że opuścił np. w *Peristefanon* (pieśni o męczennikach) hymn X. na cześć św. Romana, umęczonego w Antiochii, który jest właściwie całą rozprawą polemiczną o 1.000 wierszach, ale żałujemy bardzo, że opuścił hymn V. na cześć św. Wincentego dyakona (umęczonego r. 303 w Saguncie), bo to hymn dziwnie uroczy

w opisie męczeństwa i cały wysoce poetyczny. Gdyby piszący nie bywał z tłumaczem tyle razy w życiu na wozie i pod wozem i gdyby to było po chrześcijańsku, toby w literackim egoizmie gotów się posunąć do tego życzenia: aby tłumacz z łaski prokuratoryi pruskiej znowu znalazł *niedobrowolne otium* na uzupełnienie dzieła tak znakomicie dokonanego. Ale jeszcze inne i to lepsze życzenie wolno objawić, a mianowicie, żeby czytelnicy rozkupili nakład cały, a wtedy tłumacz w drugiem wydaniu uwzględni nasze życzenia, choć książka urośnie do większych rozmiarów i do większej ceny. W tem przekonaniu, że tego się doczekamy, nie podajemy próbek tłumaczenia, ani bliżej nie rozbieramy treści poematów, nie chcąc przedłużać i tak zbyt długiego naszego sprawozdania.

Pozostaje nam jeszcze w końcu wspomnieć o broszurze *ks. Dr. Pawlickiego*, która opisuje ostatni kongres katolicki w Trewirze. Zjazd sam może niejednemu znany z gazet, ale opis jego jest świeży i plastyczny, wycieczka na pole archeologii (str. 20—23), do której starożytny Trewir dawał sposobność, świadczy o gruntownej znajomości tego przedmiotu, a co najważniejsza, przypisując tę pracę J. Eksc. Pawłowi Popielowi i przytaczając swoją rozmowę z J. Eksc. Windthorstem (str. 19) porusza autor ważną kwestyę, że i Polacy powinni koniecznie brać udział w tych zjazdach katolików niemieckich. Ani słowa: ale czy katolicy w Galicyi nigdy nie zdobędą się na tyle odwagi, aby sami kiedy zjazd zrobili? Czy może taki zjazd niepotrzebny, dla tego że wszyscy tu są katolikami i nawet p. Hausner nazywa się w sejmie lwowskim „wiernym synem Kościoła“, ale przeciwko „ultramontanom“ kopie kruszy?

Ks. Dr. Chotkowski.

Sylwetki i szkice literackie, przez *Maryana Gawalewicza*. Kraków. 1888. Nakładem księgarni Żupańskiego i Heumanna.

Pilnym czytelnikom zwłaszcza warszawskich czasopism dobrze znane te „Sylwetki i szkice“; i im i bardziej może jeszcze tym, którzy z warszawskiemi wydawnictwami mniej są obznajomieni, miłym pewnie będzie tomik zawierający ciekawe artykuły i szczegóły, tak rozrzucone po różnych tygodnikach i nie-tygodnikach, że kto wie, czy najżarliwszym nawet zwolennikom sympatycznego autora łatwoby przyszło odrazu je odszukać. Pierwsza sylwetka przedstawia nam melancholicznego śpiewaka *Wiesława;* to hołd złożony Brodzińskiemu przed dwoma przeszło latami, w pięćdziesięcioletnią rocznicę jego śmierci. Obok jakby dla kontrastu występuje autor słynnych *Ramotek*, August

Wilkoński, „chirurg filozofii, kawaler krzyża naturalnego“, jak zwykł się był na swoich pracach podpisywać. Czytając wesołe *Ramotki*, trudno domyślać się, jak wiele ich twórca miał do przecierpienia; wiele smutków i kłopotów głośnym śmiechem przygłuszał. Już nie tylko troska o jutro, ale nędza prawie zaglądała do pokoiku humorysty; a tymczasem, nie zważając na jej obecność, trzeba było śmiać się, a co dziwniejsza, Wilkoński śmiał się z rzeczywistym humorem, i śmiechem dręczącą biedę choć na parę godzin wyganiał. Podana przez P. Gawalewicza korespondencya autora *Ramotek* z redaktorem Biblioteki Warszawskiej, ciekawe i miłe rzuca światło na stosunek i rzewne niemal przywiązanie humorysty do pisma, które dowcipem jego okraszało swe poważne stronnice.

W rozbiorach dwóch tragedyj Szekspira: *Antoniusz* i *Kleopatra* i *Makbet*, znać nie tylko znajomość, ale zwłaszcza miłość dla dzieł niezrównanego poety, mniejsza o to, czy zwał się „Szekspirem“, czy „Bakonem“. P. Gawalewicz studyując Szekspira nie dał się pojmać w ciężką niewolę nie kończącym się niemieckim komentatorom: nie przedstawia nam filozoficznych zagadnień, nie wyszukuje mozolnie błędów i usterek; nie wykłada lekcyi historyi, czy geografii, nie tłumaczy dla czego Szekspir pisał tak, a nie inaczej, dla czego tyle a nie więcej scen, osób i wierszy umieścił; lecz patrzy poprostu w piękno i nam je pokazuje. Prawdziwa to zasługa, a dziś nie tak łatwa, jakby się to może na pozór zdawało.

B.

Nowelle przez *A. J. Sękа*. Kraków. Nakład księgarni Żupańskiego i Heumanna. 1888.

Pewne czasopismo, zdając przed kilku tygodniami bardzo zresztą pochlebne sprawozdanie z tych nowell, wyraziło obawę, aby autor nie wpadł w *przyszłości* w pesymistyczną manierę. Obawa, zdaniem naszem, niesłuszna, a p. Sęk nie potrzebuje się obawiać dopiero w przyszłości wpadnięcia w manierę, bo wpadł już w nią nieszczęściem, a jeżeli niezaprzeczony skądinąd talent z tej przepaści go nie wyprowadzi, to z pewnością nastręczy niezadługo obfitego materyału do bardzo pesymistycznej nowelli o zdolnym powieściopisarzu, lub dajmy na to malarzu, który tak wszystko czarno malował, że wreszcie ludzie, na widok tych ciągle i jednostajnie czarnych obrazków — niby plam na płótno rzuconych — miasto płakać, śmiać się zaczęli.

Albo, czyż może Sęk, przebierając wszelką dozwoloną, i jakkolwiek jeszcze artystyczną miarę w pesymizmie, chciał tylko napisać satyrę na wychodzących już dziś nieco z mody pesymistów, — szczęściem, że pesymistów tylko na papierze? Takby się prawie zdawało, przypatrując się kolekcyi nakreślonych przez autora postaci. *Franek Żołnierzak* został ostatnim nicponiem; „młody a starcem był prawie“; jego pan wraca ze stolicy „wybladły, poduszkami obłożony“. Bohater drugiej powiastki kończy ordynaryjną kradzieżą. Emilia i Karol, młodzi małżonkowie, mają wszelkie warunki, aby być wesołymi i szczęśliwymi; a jednak męczą się tylko pytaniami: „dla czego tyle marzeń bywa niewyśnionych.., dla czego rzeczywistość zamienia dnie w lata?“ -- Biedny, niewinny *Stróż* pada zalany krwią, a jego zabójca zostaje pasowany na obrońcę sprawiedliwości. *Znachorkę* Ignacową jakiś oryginalny wójt wsadza bez żadnej dobrej

racyi do więzienia, właśnie kiedy spieszyła po lekarstwo dla chorej córki, która tymczasem kona w boleściach. *Justysia* zapala ze zemsty stodołę i sama w płomieniach śmierć znajduje. Dawny stróż szkolny, *Paweł Rydz*, to tylko pamięta i tem się w starości pociesza, że bić może jak zawsze, i że tego mu przecież nikt nie zabroni. Bohaterowie dwóch ostatnich nowellek: *Wojtek* i *Dziedzic* padają z ręki morderców.

Wszak dość posępna galerya i w samem nawet streszczeniu monotonna, a cóż dopiero bez streszczenia?...

B.

Żywot św. Antoniego z Padwy z zakonu Braci Mniejszych świętego Franciszka z Assyżu. Przez *O. Prokopa Kapucyna.* Warszawa. 1888. Mała 8-a. Str. 282.

Ksiądz Prokop, znany z wielu już prac swoich na polu hagiografii polskiej, nowym ją wzbogacił przyczynkiem.

Niniejszy żywocik św. Antoniego, zaczerpnięty jest z bardzo poważnego źródła, bo z „Acta Sanctorum" Bollandystów; odznacza się zaś miłą prostotą, tak właściwą owym czasom żywej wiary, w których żył ten święty, a która jest zarazem wybitną cechą zakonu, którego szanowny autor jest członkiem. Lecz i dziś dzięki Bogu ta żywa i prosta wiara nie zupełnie wygasła, a ludzie nią przejęci znajdą bez wątpienia w tym żywocie miły dla duszy pokarm.

Przewodnik (większy) do Reguły III. Zakonu św. Franciszka Serafickiego, etc. Wydał *Brat Albert* III-go Zakonu św. Franciszka. Kraków, 1888. Str. XL. 381, in 8-o. Cena 1,50.

Kiedy Leon XIII. między środkami zaradczemi przeciwko moralnemu upadkowi dzisiejszego społeczeństwa i grożącemu niebezpieczeństwu socyalizmu wymienił Trzeci Zakon św. Franciszka, wielu stawiało sobie pytanie: jaki może mieć stosunek wskazany środek do rzeczonego celu? Pytanie to pochodziło z nieznajomości właściwego ustroju i ducha tej prastarej kościelnej instytucyi. W mniemaniu dosyć u nas rozpowszechnionem, zeszła ona do rzędu tych rozlicznych bractw pobożnych, które z dniem każdym powstają i upadają, a religijno-socyalnej doniosłości w tej instytucyi wcale nie upatrywano. Otóż temu brakowi znajomości Trzeciego Zakonu zapobiega świeżo wydana książka przez Tercyarza świeckiego, na podstawie najlepszych źródeł i pod kontrolą teologów napisana. Brat Albert utrzymuje, że niepowodzenie, jakiego doznało i doznaje wiele tercyarskich kongregacyj, pochodziło stąd, że urządzano się w nich dowolnie, poprzestając na osobistych zdaniach ojców dyrektorów, a nie wnikając w treść ducha pierwotnej reguły św. Franciszka. W niektórych podręcznikach Trzeciego Zakonu ta reguła wcale się nie znajduje, w innych bywa mylnie i to w ważnych punktach przetłumaczoną, gdy tymczasem, zdaniem autora, ta reguła pierwotna pozostaje i pozostać ma zawsze podstawą i prawidłem wszystkich kongregacyj Trzeciego Zakonu, a późniejsze konstytucye papieskie aż do Leona XIII. są tylko jej komentarzami ograniczającemi w pewnych punktach jej przepisy, ale nienaruszającemi w niczem jej zasad i ducha. Obszerny wstęp, z ciepłem przekonania i pobożności napisany, kreśli pięknie cel, potrzebę w świecie i charakter tego „zakonu świeckiego". Zaczem idzie krótki katechizm, bo znamie

pełnienie obowiązków chrześcijanina jest niezbędną podstawą dążenia do doskonałości, do której Trzeci Zakon prowadzi. Następuje pierwotna reguła Trzeciego Zakonu z bullą Mikołaja IV po polsku i po łacinie, potem również w dwóch językach konstytucya Leona XIII., z regułą do potrzeb dzisiejszych czasów zastósowaną. Wreszcie zamieszcza autor wykład tej reguły na podstawie klasycznego dzieła francuskiego Kapucyna, Ojca Hilarego: Manuale tertii Ordinis. Na końcu znajdujemy ceremoniał przez św. Kongregacyę obrzędów zatwierdzony, wiadomości o różnych nabożeństwach Tercyarzom zaleconych, i piękne nauki z dzieł św. Franciszka wybrane.

Wydanie jest bardzo staranne i eleganckie. Życzyć tylko możemy, ażeby to dziełko rozeszło się szeroko i trafiło zwłaszcza do rąk duszpasterzy i przewodników duchownych.

Ks. M. M.

O chrześcijańskiem wychowaniu dzieci. Sześć nauk *ks. Władysława Chotkowskiego* św. Teol. doktora i prof. w Uniw. Jagiel. Wydanie drugie. Poznań, nakładem autora, 1887.

Imie autora znanego ze świetnych występów kaznodziei, a przytem wyczerpanie zupełne pierwszej edycyi w krótkim stosunkowo czasie, najlepszem tych kazań zaleceniem i dowodem, że stosują się do potrzeb obecnych.

Do wypowiedzenia ich dwojaki powód natchnął autora. Życzenie najprzód teraźniejszego Ojca św. Leona XIII., który w r. 1879 polecił kaznodziejom włoskim, aby wychowanie dziatek obrali sobie za temat nauk wielkopostnych. Drugi powód, to potrzeba miejscowa, miłość Kościoła i kraju, a stąd obawa o przyszłe pokolenie dziatek wielkopolskich, które tem większej potrzebują opieki Kościoła i rodziny, im więcej wrogich czynników sprzysięga się na odebranie im wiary, a w następstwie na zatracenie miłości ojczyzny. Odkąd bowiem szkoła odciętą została od Kościoła, cały ciężar i odpowiedzialność za wychowanie bogobojne dziatek spadło przeważnie na rodziców, tych naturalnych wychowawców, nauczycieli i Aniołów Stróżów swoich dzieci. Do nich więc zwraca się w swoich naukach kaznodzieja i, wykazując najpowszechniejsze błędy wychowania, podaje odpowiedne wskazówki, aby wedle nich postępując, trudne to zadanie spełniali po Bożemu.

W pierwszem kazaniu stawia mowca rodzicom przed oczy całą ich odpowiedzialność za wychowanie dziatek, która ich skłonić powinna do rozpoczęcia dzieła od najwcześniejszych lat. W czterech następnych traktuje cztery przyczyny zguby dziatek, tj. rozpieszczenie ich, krnąbrność i pychę, zmysłowość i lubieżność, a wreszcie zaniedbanie strony religijnej, a błędom tym przeciwstawia konieczność hartu chrześcijańskiego, zaprawianie do pokory przez karcenie wczesne i nauczanie prawd wiary połączone z praktyką religijną. Szósta nauka przechodząc potrzebę naukowego wykształcenia, wskazuje rodzicom ich stanowisko w obec szkoły nowoczesnej.

Nauki swe oparł kaznodzieja na Ewangelii, tak, że trzy matki i trzej ojcowie którym Chrystus Pan w czasie ziemskiego pobytu swego dziatki ich wskrzesił i uzdrowił, służą za tło do kazań, i przez to rzecz stała się więcej zajmującą i zyskała na powadze i unkcyi Bożej. Obok gruntowności wykładu, znajomości przedmiotu i piękności stylu, widnieje z tych kazań i praktyka zdobyta doświadczeniem, na czem rzecz wiele zyskuje.

Z.

Einleitung in die heiligen Schriften Alten und Neuen Testaments. *Dr. F. Kaulen.* Freiburg i/Br. Herder. 1887. Pag. 599.

Przed wydaniem tej książki nie było pracy, któraby tak doskonale, krótko a jasno zestawiała wyniki wszystkich nowszych badań na tem tak bogatem polu. Jeszcze przed ostatecznem ukończeniem, dzieło to, a raczej pierwsze jego zeszyty, drugiego doczekały się wydania. Jest ono ozdobą nauki katolickiej, gdyż cały materyał samodzielnie i wyczerpująco w niem opracowany, w skutek czego niejedna zawiła kwestya, jeżeli nie zupełnie rozjaśniona, to przynajmniej w nowem czytelnikowi przedstawiona świetle. Dzieło całe podzielone na trzy części, traktujące o natchnieniu i kanonie, o autentyczności ksiąg starego Testamentu i o autentyczności ksiąg nowego Testamentu.

Nauka o „natchnieniu" naturalnie uwzględnioną jest o tyle tylko, o ile służy za podstawę do nauki o kanonie. Stąd Kaulen rozbiera znaczenie tego pojęcia, nie rozwodząc się szerzej nad jego rozciągłością i szczegółowymi jego objawami. Samodzielne i oryginalne są zapatrywania autora na kanon Żydów. palestyńskich. Chociaż nie godzimy się bezwarunkowo na wszystkie zdania autora, to w każdym razie oryginalnie podane wytłumaczenie podwójnego kanonu hebrajskiego na szczególną zasługuje uwagę. Pierwotnie według Kaulena i deuterokanoniczne księgi należały do kanonu palestyńskiego. Wywody o różnych tłumaczeniach Pisma św. znakomicie są podane; wszelkie pochwały zbyt mało by tu mówiły. Kaulen, który od lat kilkudziesięciu wykłada Pismo św. i posiada wybornie języki wschodnie, porównywał tłumaczenia te z pierwotnymi tekstami, skutkiem czego przyszedł do nadzwyczaj ważnych i ciekawych rezultatów. Ta jedna część byłaby dostateczną, aby dziełu Kaulena dać pierwszeństo przed wszystkiemi innemi tego rodzaju pracami.

Zadaniem *części szczegółowej* jest dowieść autentyczności każdej poszczególnej księgi, przy czem względnie należy jej treść i sposób powstania. Metoda autora jest wszędzie jasna, choć nigdzie jasność gruntowności nie wyklucza. Rozprawę o każdej z kolei księdze poprzedza dokładne jej streszczenie, wywód naukowy, o jej autorze. Po takiem wykazaniu *zewnętrznej* wiarogodności księgi, wykazuje autor *wewnętrzną* jej wiarogodność i zbija podnoszone przeciw niej zarzuty. Sposób druku wielce do jasności się przyczynia. Na czele stawia autor zdania krótkie, lecz pełne treści, jako tezy, poczem następują dowody tychże małemi wydrukowane czcionkami. Zdaje nam się jednakże, że wiele ważnych ustępów powinno było zostać umieszczone w tezach, na które dziś czytelnik mimowoli za mało zwraca uwagi. Jest to punkt, który pod względem praktycznym nadzwyczajnej jest doniosłości.

Nie zapuszczając się w odrębne wywody, zauważyć w ogóle musimy, że wstęp może nieco za wiele miejsca zajmuje. Natchnienie i kanoniczność ksiąg nie dadzą się wywieść z dowodów wewnętrznych (Por: *Kaulen* str. 5, 182, 169, 270, 265 i inne — *Ubaldi. Introductio* i *Cornely. Introductio I.*). Czy księga jakaś jest natchnioną, lub nie, o tem tylko objawienie przez Kościół św. podane pouczyć nas może. Zadaniem nauki przedwstępnej nie jest zatem podawanie nam dowodów natchnienia i kanoniczności, lecz udowowodnienie z naukowych źródeł kościelnych, że to, czego Kościół uczy, zgadza się zupełnie z nauką, zapatrywaniem i obrządkami synagogi (o ile to w ogóle możliwe), a szczególnie z nieprzerwanymi zwyczajami i nauką Kościoła katolickiego, i że w treści tych

ksiąg nie znachodzi się nic takiego, coby uniemożliwiało fakt, że księgi te rzeczywiście powstały pod wpływem natchnienia Bożego.

Nie mniejszą zasługą dzieła Kaulena jest krytyczne zestawienie źródeł, z których błędy wkraść się mogły, tak do rękopisów jak i do tłumaczeń. Pan autor przy wstępie do Pentateuchu nie rozbierał szczegółowiej zarzutów, jakie przeciw wiarogodności tych ksiąg podnoszą, to przeciwnie, przy nowym testamencie punkt, który racyonaliści obecnie najwięcej zaczepiają, tj. wewnętrzne powody jego wiarogodności, nadzwyczaj dobrze opracowany i wyświetlony. Odpowiedź na zarzuty przeciw wiarogodności ksiąg Pentateuchu za mało może stosunkowo zajmuje miejsca; natomiast wewnętrzne dowody wiarogodności ksiąg nowego Testamentu, na które z prawdziwą namiętnością uderzyli nowsi racyonaliści, dobrze przedstawione i wyświetlone, chociaż na tym punkcie Kaulen, niektórym nowszym pisarzom np. Cornelemu nie dorównuje. Treść pojedyńczych ksiąg nowego Testamentu tak starannie przez autora podana, że raczej na nazwę komentarza zasługuje. Z podanej treści ewangelii poznać można na pierwszy rzut oka odrębne właściwości każdego z ewangelistów.

Nie będziemy się wdawać w krytyczną ocenę każdego po szczególe punktu, tem bardziej, że jak mocną żywimy nadzieję, wkrótce opracowanie wstępu (z licznemi zmianami) w polskim języku czytelnikom przedłożyć będziemy mogli. Tym sposobem dzieło to, o którem warszawski *Przegląd katolicki* wespół z znanemi *Stimmen aus Maria Laach:* „Jest to znakomite dzieło katolickiej wiedzy teologicznej, nacechowane gruntowną znajomością przedmiotu i głęboką, czystą wiarą“ i „wszędzie największe katolickie powagi naukowe hołd należny mu złożyły“ stanie się przystępnem i dla naszych kół, i stanie się, jak się spodziewać można, znakomitym podręcznikiem zwłaszcza dla księży i teologów polskich.

Ks. A. Arndt.

Robert Grosseteste, Bischof von Lincoln, von *Dr. Joseph Felten*. Freiburg im Breisgau 1887.

Znany, niespracowany autor darzy nas obecnie piękną kartą z dziejów dawnej Anglii, życiorysem męża, nie wiele znanego a często zapoznanego, bo uważanego niesłusznie za poprzednika Wikleffa.

Z mnóstwa dokumentów zebranych przez Feltena wynika, że Grosseteste zgrzeszył nieraz zbyt gorącym charakterem, czasami nie jasno, a nawet fałszywie rozumiał swą powinność, ale bądź co bądź nie zasłużył sobie na złą sławę, którą w znacznej części nie swemu życiu, ale życiopisarzom swym zawdzięcza.

Grosseteste urodził się w 1175 w hrabstwie Suffolk, z bardzo ubogich rodziców, tak ubogich, że w młodości żyć nieraz musiał o żebranym chlebie. Pomimo tego dostał się do uniwersytetu Oksfordzkiego, studyował Pismo św., teologię, prawo i medycynę, nie zaniedbywał literatury, tak że niebawem sam mógł się stać założycielem szkoły OO. Franciszkanów w Oksfordzie, a zwróciwszy na siebie powszechne uznanie, otrzymał nominacyę na kanclerza uniwersytetu. Niebawem, po śmierci bł. Hugona Burgundzkiego (1235), zasiadł znany i ceniony kapłan i uczony na biskupiej stolicy w Lincoln.

Ciężki swój urząd rozpocząć musiał nowy biskup od bardzo przykrego

sporu z kapitułą, która zupełnie niemal z pod władzy biskupiej chciała się usunąć. Jeszcze gorętsze i trudniejsze walki staczać trzeba było z królem Henrykiem III., ściągającym bezprawnie z kościołów coraz to inne podatki i daniny, i mieszającym się w niewłaściwy sposób do wyboru biskupów. W r. 1250 udał się Grosseteste do Lugdunu, gdzie przebywał wówczas Papież Innocenty IV. i wręczył mu tamże słynny memoryał aż w zbyt żywych wyrazach zredagowany, o konieczności pewnej reformy, zwłaszcza w życiu i obyczajach duchowieństwa. Papież kazał odczytać memoryał na publicznym konsystorzu, a nie zrażony bynajmniej ostrym tonem biskupa, zachował mu dawne względy.

Doctor Lincoliensis, jak go zwali współcześni, z zapałem oddawał się nauce, a z pod pióra jego wyszły cenne na owe czasy dzieła: *Summa Roberti Lincoliensis*, *Etyka*, *Teologia mistyczna* nie straciły po dziś dzień jeszcze pewnej wartości; w każdym razie z ksiąg tych widać, jak bardzo mylą się ci, którzy w gorliwym a uczonym katolickim biskupie widzieć by chcieli poprzednika Wikleffa. Biskup Grosseteste, mąż hołdujący cnocie aż do heroizmu, surowo, powtarzamy raz jeszcze, patrzył na współczesne wybryki; zbyt gorączkowo może toczył walkę z pewnymi klasztorami, ale do Kościoła głęboko był przywiązany; pragnął nie buntu Lutrowego, lecz reformy wprowadzonej później przez Sobór Trydencki.

Ks. A. Kraetzig.

Academia Cesarea Romano-Catholica Ecclesiastica Petropolitana. Anno academico 1887—1888. Petropoli 1887. In 4-o, str. 56.

Druga to już praca historyczna Szanownego Rektora tejże Akademii. Jestto właściwie tylko program wykładów akademickich z listą profesorów i alumnów; lecz jedno i drugie zajmuje ledwie 5-tą część całości — reszta zaś, zawiera bardzo cenną co do treści i dokumentów monografię historyczną.

Szanowny autor, korzystając z przysługującego sobie, jako rektorowi cesarskiej akademii prawa wolności druku, daje nam zupełnie przedmiotowy i dokładny obraz dawnego „Seminaryum głównego w Wilnie“. „Trwało ono, mówi, zaledwie lat 20, ale w tym krótkim czasie najrozmaitsze przechodziło koleje“, a w roku 1883 zamienionem zostało na obecną „Akademię duchowną“. Dowiadujemy się z tej monografii ze zdziwieniem, że Jozefinizm aż tak daleko na wschód, tj. do Wilna zapuszczał swoje korzenie, ale również z tej pracy widzimy, że gruntu przyjaznego dla siebie tam nie znalazł. Mnóstwo też tu znajdujemy szczegółów odnoszących się do najwybitniejszych postaci i instytucyj owego czasu i owych krajów. A wszystko to oparte na źródłach, z których z pewnością nikt jeszcze nie korzystał. I tak, o alumnacie papieskim Grzegorza XIII. w Wilnie, o Tadeuszu Czackim, o działalności Kolegium katolickiego w Petersburgu; ks. Adam Czartoryski, Jezuici, Dominikanie, Kartuzi i w ogóle zakony; Nowosilców, Siestrzencewicz i Pelikan (rektor uniw. Wil.): wszystko to żywo się przesuwa przed oczyma, powiązane w jedną całość zajmującem opowiadaniem. Przytem język łaciński przybiera pod piórem *Magnifici Rectoris* lekkość prawie języków nowożytnych. Jednem słowem, jestto ważny przyczynek do historyi Kościoła w Litwie, a jak nam szanowny autor obiecuje, nie będzie ostatnim.

Z pism czasowych.

Z Ateneum:

Wer den Dichter will verstehen,
Der muss in Dichterslande gehen.

Słowa Goetego do p. Porębskiego, który się porwał do ocenienia oryginalnego rękopisu z literatury średniowiecznej: *Miracles de Nostre Dame par personages*, w Ateneum z lutego b. r. Chcąc dzisiaj omawiać utwory XIV. w., trzeba inaczej znać i rozumieć one czasy, mieć inną dozę erudycyi i literackiego smaku, niż p. Porębski zdradza. Ciekawym, jakby też p. Porębski skrytykował owe *Fioretti* franciszkańskie, w których kwiat krytyków rozkoszuje? Znalazłby w nich zapewne same „śmieszności“ i zdrożne „fantazye mnichów“.

W *Miracles* p. P. znajduje głównie — zgorszenie. Wydobywa z nich kilka okazów prawdziwie nie *koszer*, i konkluduje kaznodziejską dyatrybą przeciwko niemoralności tego dzieła i tych ludzi i całego tego wieku, a głównie oczywiście duchowieństwa. „To nie *Assomoir* Zoli! — pisze z uniesieniem — to religijne mi„steryum, potępiane może w tej formie przez Kościół, ale wynikłe „z długiego wpajania w umysły nauki o nieograniczoności skarbnicy „łask, i wyszłe b ą d ź c o b ą d ź pośrednio lub bezpośrednio z fan„tazyi mnichów. Świadczy ono, że wieki średnie stały stokroć ni„żej od naszych, dzięki u n i e w o l n i e n i u swobody sądu człowie„ka, zahamowaniu jego naturalnych sądów etycznych. Wpływem „tym został uniemoralniony nie sam człowiek tylko; jak widzieliśmy, „także Niebo. Toć Minos i Radamantys w podziemiu sprawiedliwiej „ważyli ludzkie żądze i winy, surowiej porównywali grzech z za„dośćuczynieniem!“.

I o cóż się p. Porębski tak świętym oburzeniem unosi? O to mianowicie, że osnową tych misteryów jest zwykle jakiś upadek grzeszny, — potem, w krytycznem położeniu, ucieczka grzesznika do Matki Boskiej — następnie cudowna interwencya Matki Boskiej, ratująca winowajcę od kar i następstw zbrodni — w końcu pokuta w murach klasztornych. I tak, ze zgorszeniem pana P., grzechy ucho-

dzą bezkarnie i Niebo chrześcijańskie okazuje się niesprawiedliwszem od Minosa i Radamantysa!

Być może, jak słusznie uważa p. Porębski, że autor tych misteryów nie uszedł swego czasu nagany Kościoła za nierozsądne szafowanie miłosierdziem Bożem; i dla tego może później nie doczekał się druku. Ale dziś któż na niego ten kamień rzuca?... Gdyby ów obskurny autor sceniczny mógł był przewidzieć, że jego ramota wypłynie na widownią w naszym czasie, kiedy literatura teatralna i powieściowa na wielką skalę usprawiedliwia grzeszników, nawet bez pokuty, owszem, zasadniczo uniewinnia niemoralność, lub zgoła różnicę zła i dobra ignoruje — i że dziś właśnie zarzucą jego utworowi niemoralną dla złego pobłażliwość, i upatrzą w tym utworze dowód, że wieki średnie stały moralnie „stokroć niżej od naszych“ — gdyby, mówię, autor „Miracl'ów“ był to przewidział, byłby się niezawodnie uśmiał homerycznie i napisał dla swojej sceny jedno „cudo“ więcej.

Jeżeli p. Porębski chce „bądź co bądź“ dowieść, że średnie wieki stały tak bardzo nisko pod względem moralnym, a nasze tak wysoko, to radzę mu gdzieindziej szukać dowodów, niż w literaturze obu epok. A jeśli naprawdę chce wiedzieć, jaka była nauka moralna owych mnichów z XIV. w., niech jej szuka, nie w pokątnym repertuarze teatralnym, ale w ich Summach teologicznych, z których się do dziś dnia „pośrednio lub bezpośrednio“ etyki uczymy.

W końcu jeszcze jedna uwaga. Nie wiem jakiego szan. autor jest wyznania, ale pisząc dla naszego społeczeństwa o wierze średnich wieków i naszej, powinienby w każdym razie mieć dla nas tyle uszanowania, ileby miał dla Turków pisząc o Mahomecie — nie powinienby np. Matki Boskiej i Chrystusa Pana nazywać „bogami“, jak to czyni w wierszu następującym po przytoczonym wyżej ustępie. Takich wyrażeń i takiego tonu jest niemało w tym artykule. To za wiele — nawet w „Ateneum“.

Ks. M. M.

Rozmaitości.

Nowa Biblioteka uniwersalna, o której w pierwszych chwilach jej istnienia w *Przeglądzie* pisaliśmy, rozpoczęła drugi rok swego istnienia i — wyznajemy to z nie małą pociechą — sprawdziła wszystkie nasze nadzieje, a obaw z jednym, przypadkowym, jak sądzić chcemy, wyjątkiem nie ziściła.

W pierwotnym programie, który widocznie układano zbyt pospiesznie, pojawiły się tytuły dzieł wątpliwej wartości i moralności; szczęściem program ten w zupełności przeprowadzonym nie był, a mamy moralną pewność, że przeprowadzonym nie będzie. Dotychczas wyszły i wychodzą w *Bibliotece*: *Szajnochy* „Bolesław Chrobry i odrodzenie się Polski za Wład. Łokietka“ i „Opowiadanie o królu Janie III.“, *Bodzantowicza* „Zawsze Oni“; *Dantego* „Boska Komedya“; *Konarskiego* „O religii poczciwych ludzi“; *Bałuckiego* „Pan Burmistrz z Pipidówki“. Nazwisko ostatniego z wymienionych autorów i jego powieść (o drugiej, krótkiej powiastce tegoż pisarza wspominać nie chcemy, bo mniemamy, że dodaną ona chyba była w ostatniej chwili dla zapełnienia wolnego półarkusza), psuje miłą harmonię *Biblioteki*, i odstręczyć może niejednego czytelnika i prenumeratora. A żałowaćby tego należało tem bardziej, że *Biblioteka* taniością dotąd u nas niemal nieznaną i treścią — z tym jednym wyjątkiem — wybraną dobrze i starannie, ma przed sobą wielkie a wdzięczne pole działalności i w każdym prawie domu polskim, staćby się mogła zawiązkiem pięknej a użytecznej biblioteczki. To też życząc najlepiej energicznemu Wydawcy, z prawdziwą radością przekonujemy się z krótkiego programu rozesłanego na rok bieżący, że odtąd *Biblioteka* w każdego ręku i na każdym stole: w probostwie, dworkach i pałacu, będzie mogła się znaleść bez uszczerbku dla kieszeni, — bo na 4 złr. rocznie stać i mniej majętnych, — a nie tylko bez uszczerbku, ale i z pożytkiem dla serca i głowy.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wniosek szkolny ks. Liechtensteina. — Agitacya przeciw wnioskowi. — Petycye za wnioskiem. — Pielgrzymki do Rzymu. — Projekt postawienia pomnika dla Giordano Bruno.

Pytano się oddawna: Czemu w Austryi, w kraju wyłącznie niemal i bądź co bądź szczerze katolickim, nie wytworzyła się w parlamencie ani jedna grupa, któraby interesów Kościoła i religii katolickiej zasadniczo broniła; czemu i dziś jeszcze, choć tyle lat już upłynęło od ustąpienia liberalnego, niechętnego Kościołowi rządu, istnieją przecież nienaturalne prawa, trwają, zdawałoby się niemożliwe stosunki przez „liberalne“ rządy ludom państwa austryackiego nałożone? Czemu, pytano zewsząd i kiedy wreszcie przełom stanowczy na lepsze nastąpi; kiedy szczerzy katolicy austryaccy, idąc za wzorem katolików niemieckich, zażądają wspólnie a energicznie, już nietylko chwilowej, z łaski niby danej tolerancyi, ale uznania jawnego swych praw świętych, wydartych sobie przez niewielką liczbę wolnomularskich doktrynerów? Najsłuszniejszym tym żądaniom i pytaniom dał wyraz i w pewnej przynajmniej części odpowiedział na nie świeżo postawiony wniosek szkolny księcia Liechtensteina, pierwsze, jak należy się spodziewać, ogniwo w szeregu reform, których stosunki i prawodawstwo austryackie, dziwnym trafem lepsze jeszcze nieraz w praktyce, niż w teoryi, gwałtownie się domagają.

Wniosek ks. Liechtensteina, odnoszący się wyłącznie do szkół ludowych, a zawarty z umysłu w dość ciasnych ramach, aby przeprowadzić go można bez zmiany obowiązującej konstytucyi, a zatem prostą większością parlamentarną; płynie z dwóch następnych fundamentalnych zasad: wychowanie dziecka opierać się powinno na religii; szkoły nie mogą we wszystkich krajach koronnych tego samego i ściśle w ten sam sposób uczyć, lecz stosować się powinny do wymagań i potrzeb każdej w szczególności prowincyi. Pierwsza z tych zasad jasno jest wyrażoną zaraz w pierwszym ustępie projektowanego prawa, a w kilku następnych bliżej została rozwiniętą:

1) Zadaniem szkoły ludowej jest wespół z rodzicami i w zastępstwie rodziców wychować dzieci, wedle nauki wyznawanej przez nich religii, i w nauce tej, jakoteż w niezbędnych elementarnych wiadomościach kształcić ich i pouczać".

5) Na rodzicach lub zastępcach cięży obowiązek udzielania własnym lub opiece swej powierzonym dzieciom odpowiedniego wychowania i wykształcenia, dla szkół ludowych prawnie przepisanego. Nie można ich jednak zmusić, aby dzieci ich pobierać miały w szkole wychowanie i wykształcenie, nie odpowiadające naukom wyznawanej przez nich religii.

6) Staranie, kierunek i dozór nad nauką religii i ćwiczeniami religijnemi w szkołach ludowych i seminaryach nauczycielskich jest zadaniem Kościoła, a w danym razie pewnego zgromadzenia kościelnego.

Zarazem mając wzgląd na wychowawcze zadanie szkoły, Kościół, a w danym razie odnośne zgromadzenie kościelne, wykonywa wspólny nadzór nad całą szkołą. Kierownicy i nadzorcy szkół ludowych i seminaryów nauczycielskich, tudzież plany nauk we wszystkich tych zakładach mają zastosować się i dopomagać do skutecznego spełnienia zadania przypadającego w udziale Kościołowi, względnie pewnym stowarzyszeniom kościelnym ...

8) Posady nauczycielskie w szkołach ludowych i seminaryach nauczycielskich są zarówno dostępne wszystkim austryackim obywatelom, których życie moralne od wszelkich plam jest wolne, którzy wyznają tę samą religię co i dzieci, mające być od nich kształcone i wychowywane; którzy wreszcie przy objęciu posady w szkołach publicznych udowodnią, stosownie do istniejących w tej mierze prawnych przepisów, pedagogiczne swe uzdolnienie, a co się tyczy nauczania religii katolickiej, wykażą się także wymaganą *Missio canonica.*

Art. III. Niniejsza ustawa nie narusza regulaminu, wydanego z najwyższego rozporządzenia z dnia 25 czerwca 1867 r. a odnoszącego się do założenia krajowej rady szkolnej dla królestwa Galicyi i Lodomeryi i W. księstwa krakowskiego. Zmianę tego regulaminu może tylko odnośny sejm uchwalić.

Wniosek ten, którego najgłówniejsze i najbardziej nas tutaj zajmujące ustępy podaliśmy, podpisało 32 posłów, między innymi członek koła polskiego, ks. Świeży. Jak z treści przekonać się nie

trudno, wniosek domaga się tylko rzeczy, których już nie tylko katolik, ale każdy ceniący swą religię i do niej przywiązany, ma prawo żądać i żądać musi; domaga się przepisów, mających zapobiedz coraz straszniejszemu brakowi wiary i idącemu ślad w ślad zdziczeniu obyczajów między młodzieżą. Nie ma prawie dnia, w którymby zwłaszcza wiedeńskie dzienniki nie podawały zastraszających przykładów tego zdziczenia i nie wylewały nad niem łez prawdziwych czy obłudnych. Zdawałoby się więc, że wszyscy bez wyjątku zgodzićby się powinni, jeśli już nie na wszystkie szczegóły proponowanej reformy, to przynajmniej na myśl jej przewodnią, na konieczność obmyślenia skutecznego lekarstwa, mogącego zaradzić dzisiejszym niezdrowym, a w następstwach zgubnym stosunkom szkolnym. I stałoby się tak zapewne, gdyby austryaccy żydzi i liberali nie rozumieli w gruncie równie może dobrze, jak sam ks. Liechtenstein, że jedynem skutecznem lekarstwem na wzbierające złe, byłoby właśnie przywrócenie religii i kościołów i należnego mu wpływu na młodocianne serca i umysły. To jedyne lekarstwo, lecz takie lekarstwo, powiedzieli sobie, bardziej nam jeszcze wstrętne, niż sama choroba, i z zapałem, godnym lepszej sprawy, obwołali formalną krucyatę przeciw niecnym „klerykałom“, którzy zrzucając zbyt długo i zbyt cierpliwie dźwigane jarzmo, odważyli się głośno przypomnieć, czem jest i powinna być religia dla człowieka i zażądać dla katolickich dzieci katolickiej szkoły.

Na alarm uderzyło naturalnie najprzód i najgłośniej żydowskie dziennikarstwo. Słuchając wściekłych głosów takiej *Neue Freie Presse* lub *Deutsche Zeitung*, sądzićby można, że groźny jakiś, znienawidzony nieprzyjaciel wtargnął w granice państwa, pali, rabuje i monarchię austryacką chce w kawały rozedrzeć. „Książęcy „rewolucyonista, Liechtenstein, woła patetycznie *Deutsche Zeitung*, „rzucił zuchwałą ręką palącą się głownię w obowiązujące dziś pra„wodawstwo szkolne, a czarni jakóbini w habitach i frakach tań„czą dokoła ognia miłą sobie *carmagnolę*. Nie tylko całe dzisiejsze „szkolnictwo przybraćby musiało odmienną postać przez tę Liech„tensteinjadę, lecz cała Austrya dzisiejsza, mocarstwo jakkolwiekbądź „przynajmniej duchowi czasu odpowiadające, zmieniłoby się w za„pleśniałe państwo konkordatowe“. „Ks. Liechtenstein, grozi i prze„strzega *N. Fr. Presse*, nie wie sam może jak straszne jabłko

„niezgody rzucił dziś w parlamentarnej izbie. Dlatego bez odwłoki „i pierwszego zaraz dnia, wręcz mu oświadczamy: Gdyby przyjść „miało do ostateczności, gdyby rząd nie okazał się dość silnym „i nie mógł przeszkodzić temu zamachowi na wszystko, co jest „cennem, drogiem i świętem dla Austryaka, natenczas bądź co bądź „zamachowi temu przeszkodzi opozycya. Natenczas wniosek Liech- „tensteina rozsadzi albo dzisiejszą większość, albo dzisiejszy par- „lament!“.

Wniosek uderzył widać w punkt ważny; wpadł w samo gniazdo os, kiedy takie niepohamowane, a bodaj czy taktycznie zręczne gniewy wywołał. Groźba formalnie rzucona; cel jasno określony. Do dopięcia tego celu, do zastraszenia, a jeśliby się dało, to do obalenia rządu, rozwinięto olbrzymią agitacyę, nie bardzo, co prawda, przebierającą w środkach. Nie mówiąc już o dziennikach, które w ironii, groźbach, szyderstwach, a na pierwszem miejscu w trywialnych napaściach na wnioskodawcę i jego stronników, idą z sobą o lepsze; urządzono na paru przedmieściach wiedeńskich formalne burdy uliczne; zapowiedziano „antiliechtensteinowskie“ wiece; podburzano rozmaite korporacye i rady miejskie do wnoszenia protestów przeciw wnioskowi, który, jak twierdzą to po dziś dzień agitatorowie zupełnie na seryo, cofnie Austryę w ciemnotę średniowieczną, nadwerężyy przyjaźń z Niemcami, osłabi niesłychanie potęgę i siłę austryackiej armii!!...

Wiedeńska rada miejska dała przykład i powagą swą wsparła te manifastacye. Gwałtowniejsi radzcy piorunowali w długich mowach przeciw haniebnemu wnioskowi, który nie zmierza do niczego innego, jak „do poddania państwa w całej dziedzinie szkolnej pod „jarzmo i wszechwładne berło Kościoła“. Na 118 członków wiedeńskiej rady miejskiej oświadczyło się 73 wręcz przeciw szkole wyznaniowej; paru uczyniło pewne zastrzeżenia, a reszta nie przybyła na rozprawy lub wstrzymała się od głosowania. W parlamencie wiedeńskim choć wniosek pod obrady jeszcze nie przyszedł i prawdopodobnie tak prędko nie przyjdzie, doczekał się już jednak zajadłej krytyki ze strony liberała Sturma, krytyki wypowiedzianej wrzekomo w interesie armii austryackiej. Wygląda to na paradoks, a przecież nawet jeden z fachowych dzienników wojskowych uderzył na ks. Lichtensteina, głosząc go niemal wrogiem państwa, wro-

giem wojska. Jeśli wniosek ten przejdzie, woła ów dziennik, zapożyczając sobie frazesów i wyrażeń *N. Fr. Presse*, wtedy zawołać chyba: *Finis Austriae!*; wojsko nasze, należycie nie wykształcone, równać się nie będzie mogło z wojskami innych narodów i znów, jak niegdyś przed dwudziestu laty, złe i niedostateczne szkoły austryackie staną się przyczyną strasznej klęski mężnych wojsk austryackich.

Jak widzimy, agitacya przeciw wnioskowi ks. Liechtensteina poruszyła wszystkie możliwe sprężyny i potrafiła wciągnąć w swe koło te nawet sfery, które z natury rzeczy wszelkiej agitacyi jak ognia by się chronić powinny. Interesa armii przedewszystkiem! wołają przywłaszczając sobie monopol patryotyzmu wiedeńscy liberali, a zarazem stawiają jako niezaprzeczalny pewnik, choć go ani oni sami, ani nikt nigdy nie udowodnił i udowodnić nie może, że wprowadzenie w życie wyznaniowej i autonomicznej szkoły stoi z interesami armii w o c z y w i s t e j sprzeczności. Wiedeńskim kolegom godnie wtórują i pomagają żydzi i liberali węgierscy; i oni klęskę niezdrowego liberalizmu identyfikują z klęską i zgubą całej Austryi. „Wniosek Lichtensteina, przestrzega półurzędowy *Nemzet*, „wniosek ten dążący do zakucia nauki i szkoły w kajdany wyzna„niowości i ciemnoty, nie jest odosobnionem chwilowem zjawiskiem. „Austryacki feudalizm i ultramontanizm stał się potęgą, która dziś „przedstawia dla Austryi poważne niebezpieczeństwo, a z którą „i my musimy się rachować". Podobnie i groźniej jeszcze wyraża się *Pester Lloyd*, wzywając rząd węgierski, aby użył wszelkich sposobów dla przeszkodzenia „ohydnemu klerykalno-feudalnemu zamachowi na godność i spokój państwa austryackiego;" aby, jeśli tego będzie potrzeba, wypowiedział otwartą wojnę prawicy wiedeńskiego parlamentu!

Otóż do czego doprowadzacie, woła z tryumfem liberalna prasa do katolików; w czasie, w którym może lada chwila zwrócić będzie trzeba wszystkie siły przeciw zewnętrznemu nieprzyjacielowi, wywołujecie wewnętrzne rozdwojenie, zmuszacie nas do podjęcia ciężkiej domowej walki, obejmującej wszystkie warstwy ludności. „Tak źle nie jest", odpowiada wiedeński korespondent do *Salzburger Chronik*, charakteryzując doskonale a zupełnie prawdziwie całą tę bardzo forsownie poddmuchiwaną agitacyę, która zdaleka mogłaby się wydać istotnie imponującą: „Historya ta podobną jest

„kropla w kroplę do teatralnych bitew, w których dla złudzenia „widzów, ci sami aktorowie przedstawiający wojsko i ludzi, to „z tej, to z tamtej strony na scenę raz po raz wpadają. Nieobznaj- „miony z rzeczą dziwi się: „Skąd tylu aktorów?“. Aktorów jest „pięciu, ale znają się oni na swem rzemiośle, a widz myśli, że „jest ich z pięćdziesięciu. Podobnież manifestujący korzystają z roz- „maitych swych urzędów, godności i uczestniczenia w najróżniej- „szych związkach dla inscenowania coraz innych demonstracyj. „Najprzód demonstruje pan X. jako poseł do rady państwa; potem „jako poseł do sejmu krajowego; potem jako członek rady miej- „skiej; potem jako wybitny obywatel; potem jako członek spółki „przemysłowej; potem jako członek związku przyjaciół postępu; „potem jako członek klubu Dunajowego; nakoniec jako członek sto- „warzyszenia oświaty ludowej; a jeśli to wszystko jeszcze nie wy- „starczy, natenczas staje i przemawia na pierwszem lepszem zgro- „madzeniu ludowem pod nazwą i w szacie rozumnego zwolennika „ducha czasu“...

Kiedy taka i na tak szeroką skalę urządza się agitacya przeciw wnioskowi, cóż się robi za wnioskiem? Sztucznej agitacyi należało przeciwstawić jasną i jasno wyrażoną wolę nie pewnej hałaśliwej kliki, lecz całego narodu; a o woli tej zaświadczyć mają krążące po całej Austryi petycye do parlamentu. Petycye te w dwóch odrębnych tekstach, dla mężczyzn i dla kobiet, zyskują tysiące i tysiące podpisów; w jednej tylko Morawii podpisało gremialnie petycyę, do chwili, w której piszemy te słowa, przeszło 200 gmin i gminnych rad szkolnych. Komitet petycyjny złożony jest z najznakomitszych mężów, dobrze w Austryi znanych i zasłużonych; należą doń: Egbert hr. *Belcredi*, Karol hr. *Chorinsky*, Ernest hr. *Sylva Tarouca*, hr. *Segur*, hr. *von Spiegl Diesenberg*, Ernest książe *Windischgraetz*, hr. *Waldburg-Zeil*, kilku jeszcze członków wyższej arystokracyi, kilku księży, kilku kupców i przemysłowców, burmistrz z Sanct-Poelten, paru właścicieli dóbr. Do komitetu petycyjnego dla kobiet należą panie: Kamilla księżna *Windischgraetz-Oettingen*, hr. *Cavriani-Esterhazy*, br. *Dalberg-Schell*, br. *Diller-Schaffgotsch*, br. *Frankenstein-Arco*, hr. *Pergen-Voss*, księżna Wilhelmina *Windischgraetz-Nostitz*, hr. *Tige* i kilkanaście innych. Dla uniknienia możliwych nieporozumień i trudności, petycye domagają się zaprowadzenia

szkoły wyznaniowej w ogóle, nie określając bliżej pojedyńczych szczegółów i sposobu przeprowadzenia w życie zamierzonej reformy. Jak zaś reforma ta jest konieczną; jak są niesprawiedliwymi, a częstokroć niedorzecznemi powtarzane gdzie niegdzie i u nas za wiedeńskiemi dziennikami zarzuty, o tem dostatecznie się przekonać można z samegoż tekstu tych petycyj.

Petycya podpisywana przez mężczyzn brzmi:

Wysoka Izbo Poselska!

Nadzwyczaj smutne zjawiska mnożące się za dni naszych, a zwłaszcza straszny przyrost młodocianych zbrodniarzów, pobudzają każdego do poważnego zastanowienia się. W oczach naszych znika coraz bardziej: bojaźń Boża, wierność cesarzowi i państwu, wprowadzona w życie moralność, sumienność w czynności i działalności; na ich zaś miejsce występuje: materyalizm, bezwzględne a niesumienne ubieganie się za mamoną, niczem niepowstrzymana żądza używania, szybko wzrastający upadek moralności i uczciwości. Często i za często sprowadza młodzieńca i dziewczynę na drogę występku już nie gorzka potrzeba, ale raczej brak religijnych przekonań i moralnej siły charakteru. Młodzież ta stała się przedmiotem słusznych skarg dobrze jeszcze myślących nauczycieli, którzy zuchwałością przerażeni, nie wiedzą jak złemu przeszkodzić. Młodzież ta jest przyczyną gorzkiej boleści dla chrześcijańskich rodziców, pytających się z trwogą: „Cóż będzie z mego dziecka?“. Młodzież ta napełnia słuszną bojaźnią serca wszystkich prawdziwych, wiernych patryotów, patrzących z zakrwawionem sercem, jak w dorastającem pokoleniu chwieją się fundamentalne podstawy, na których dobro państwa się opiera.

Źródła złowrogiego tego zjawiska szukać bardzo często należy w naturalnych następstwach bezwyznaniowej szkoły rodzi się ono z duchowego rozdziału między katolickim nauczycielem religii a innymi profesorami, bądź niewierzącymi, bądź ogłoszonymi otwarcie za bezwyznaniowych; rozszerza się dalej za pomocą zgubnej działalności wrogiego religii, głęboko nienawidzącego pozytywnej wiary chrześcijańskiej i prześladującego ją dziennikarstwa.

Na ciężką tę chorobę jedno tylko jest lekarstwo: stanowcze zwrócenie szkoły do pozytywnego chrześcijaństwa, a więc *szkoła wyznaniowa.*

Niechaj wysoka Izba poselska rozważy, że każdy dzień zwłoki w ważnej tej kwestyi przynosi niepowetowaną szkodę dla całej naszej ojczyzny, i że dziś ostatni już czas, mądremi prawami złemu temu zapobiedz.

W tym celu podajemy najuniżeńszą prośbę:

Wysoka Izba Poselska zechce jak najprędzej wziąść pod obrady takie prawodawcze uchwały, za pomocą których, dawno wypróbowane, błogie w następstwach zasady chrześcijańskie, dojśćby znowu mogły w austryackich szkołach ludowych do pełnego i żywotnego znaczenia.

Nie mniej wymowną jest petycya podpisana przez katolickie matki:

Żaden zakład publiczny nie obchodzi tak bardzo kobiety i matki, jak szkoła ludowa, do której oddawać musi drobne swe dzieci, wśród trudów

i wszelkiego rodzaju trudności wychowane, — skarb swój najmilszy i najcenniejszy, jaki na ziemi posiada. Lecz wtedy tylko może tę ofiarę spełnić sercem spokojnem, jeżeli wie, że nauka i wychowanie udzielane dzieciom w szkole ludowej, zgadzają się z własnemi jej religijnemi przekonaniami, które odpowiednio do świętych swych macierzyńskich obowiązków, pilnie usiłowała od pierwszej chwili obudzenia się dziecinnego umysłu, w duszy dziecka swego zasiać i w niej je umocnić.

Bo przecież lata, w czasie których dziecko uczęszcza do szkoły, wywierają po większej części rozstrzygający wpływ na całe jego przyszłe życie. W tym czasie, w którym tak szybko duchowo się rozwija, tak żywo wszystko naśladować pragnie, tak silnym zmysłem spostrzegawczym jest obdarzone, zapuszcza w duszy jego głębokie korzenie wszystko to, co widzi lub słyszy o religii lub moralności, i w tymto czasie albo staje się głęboko wierzącym, żarliwym chrześcijaninem, albo przeciwnie wyradza się w jego duszy religijna obojętność, owszem wyradza się niewiara ze wszystkiemi złemi następstwami moralnemi.

Z jakąż bojaźnią, z jakąż goryczą serca, musimy, my matki chrześcijańskie, poddając się państwowemu przymusowi szkolnemu, posyłać dzieci swoje do szkoły, w której mocą prawa odjęty jest chrześcijanizmowi wszelki wpływ na wychowanie i całość nauki; w której tenże zepchnięty został do podrzędnej roli jednego ze szkolnych przedmiotów — stojącego na tej samej linii, co rachunki, lub roboty ręczne. Musimy posyłać dzieci do szkoły, wiedząc, że posyłamy je nieraz na wykłady nauczyciela niechrześcijanina, którego pogląd na świat dzieli głęboka przepaść od poglądów chrześcijańskich — do szkoły, w której dziecko chrześcijańskie pobiera naukę wespół z uczniami odmiennej wiary, i w której dlatego chrześcijański nawet nauczyciel, to wykładając przedmioty, które same ze siebie domagają się wzmianki o Stwórcy, o Odkupicielu, o historyi Kościoła chrześcijańskiego, o tym lub owym dogmacie wiary, zmuszonym jest zająć stanowisko człowieka nic a nic o chrześcijaństwie nie wiedzącego.

Skąpo wymierzone godziny na naukę religii nie wystarczają zupełnie, aby dzieci nasze zapoznać z całą wielkością, prawdą i pięknością chrześcijaństwa, aby je w zachowywaniu jego przykazań wyćwiczyć.

Tylko wtedy, jeśli wiedzieć będziemy, że oddając dzieci nasze do szkoły, oddajemy je do rąk chrześcijańskich nauczycieli, którzy mają zdolność i możność pouczać je i wychowywać w duchu chrześcijańskim, tylko wtedy możemy być o los naszych dzieci spokojne. Wiemy bowiem, że jedynie religia chrześcijańska i podawane przez nią prawo moralne uzdalnia człowieka do trwałego i gorliwego wypełniania ciążących na nim obowiązków względem rodziny, względem siebie samego, względem swych współobywatelów, ojczyzny i cesarza; a tak w każdem położeniu i we wszystkich stosunkach życia, daje pociechę płynącą z dobrego sumienia, zachowuje godność ludzką i nadzieję wiecznego szczęścia.

Petycya kończy się prośbą do parlamentu, zawartą w tych samych wyrazach, co w petycyi podpisanej przez mężczyzn.

Kiedy i w jakiej mierze spodziewać się możemy pozytywnych rezultatów z tego wciąż rosnącego ruchu na korzyść szkół wyzna-

niowych, dziś powiedzieć nie łatwo. W każdym razie sam fakt postawienia wniosku i sympatya, jaką w szerokich kołach dla siebie obudził, jest rezultatem dodatnim, a tem ważniejszym, że istotnie, jak z naciskiem przypominają petenci, najwyższy już czas, aby użyć radykalnego lekarstwa przeciw rosnącemu w Austryi zdziczeniu obyczajów, mnożącej się liczbie zbrodni, równie teoretycznemu jak i praktycznemu pogaństwu. Nie są to niestety tylko pobożne, cyframi i faktami nie poparte lamentacye. Ogłoszona np. przed kilku tygodniami statystyka samobójstw, tak przerażające a niepochlebne dla monarchii austryackiej podaje rezultaty, że jeśli inne, a choćby tylko pare innych występków równie szybko się krzewiło, największy nawet optymista przyznaćby musiał: „Coś się popsuło w austryackim społeczeństwie!“ Między 28 wielkiemi europejskiemi miastami, największy procent samobójców przypada: na Paryż, Pragę i Budapeszt. W r. 1874 uciekło się w Peszcie do samobójstwa 16 kobiet; w r. 1886 liczba ta wzrosła do 46. Poprzednio jeszcze przytoczył wiedeński *Vaterland* długą, smutną statystykę występków z ostatniego roku, popełnionych we Wiedniu przez małoletnich zbrodniarzów. Niedługo czekać, a prawdopodobnie i w Wiedniu, jak świeżo w Paryżu zawiąże się banda złodziejów, złożona z trzynasto do piętnasto-letnich chłopców i dziewczyn; a jeżeli w Paryżu banda ta dopuściła się w przeciągu ostatniego roku blisko 500 kradzieży, to kto wie, czy wiedeńska bezwyznaniowa szkoła równych owoców nie przyniesie; bo czemużby tylko w Paryżu brak wiary do tak smutnych rezultatów miał doprowadzać? Smutny to obraz, a przypatrując się mu, lepiej zrozumieć można, owo głośne, a tak słuszne dopominanie się chrześcijańskich ojców i matek: „Dajcie nam chrześcijańskie szkoły, w którychby chrześcijańskie dzieci nasze nie tylko z książek nauczyły się prawd wiary, ale co ważniejsze, nauczyły się cenić te prawdy i żyć wedle zasad przez nie podanych.

Do Rzymu — raczej do Watykanu ciągną wciąż w niekończącej się procesyi katoliccy pielgrzymi, a procesya ta tak wspaniała spowodowana jubileuszem papieskim manifestacya katolickiej jedności, przez długie się ma jeszcze ciągnąć miesiące. W przeciągu ostatnich kilku tygodni stanęli przed tronem Papieskim pielgrzymi

szwajcarscy, irlandcy, olbrzymia deputacya kongregacyj św. Wincentego a Paulo, deputacya amerykańskich Stanów Zjednoczonych niosąca wspaniały dar prezydenta Clevelanda, bogato oprawny, osobno w tym celu na pergaminie spisany egzemplarz amerykańskiej konstytucyi. Amerykanom mówił Papież o prawdziwej wolności, która dobrze zrozumiana przyczynia się zawsze do rozwoju wiary i tryumfu Kościoła. Szwajcarów przestrzegał przed „zbytnią, nieroztropną gościnnością", która burzycielów pokoju publicznego do domu sprowadza i dozwala im rozszerzać u siebie jad nauk zgubnych i fałszywych; cieszył się, że biskupi katoliccy mogą wreszcie dzisiaj w szwajcarskich kantonach spełniać bez przeszkody pasterski swój urząd. Odpowiadając na adres nadzwyczajnego posła rzeczypospolitej Ekwadoru, stwierdził i przypomniał Ojciec św., że interesa religii katolickiej są zawsze w równej mierze interesami każdego w szczególności państwa, a dziękując za ofiarowany sobie autograf Garcii Moreno, wyrzekł najwyższą zapewne pochwałę, jaka spotkała dotychczas tego chrześcijańskiego bohatera:

„Własnoręczne to pismo, które słynny Garcia Moreno odczy-
„tać miał przed parlamentem w dniu, w którym został zamordo-
„wanym; pismo to zachowamy, jako wzruszającą pamiątkę po tym
„rycerzu katolickiej wiary, do którego zupełnie słusznie stosują się
„słowa, których używa Kościół czcząc pamiątkę świętych męczen-
„ników: Tomasza Kanterburskiego i Stanisława Polaka: *Pro Ec-*
„clesia gladiis impiorum occubuit".

W mowie do pielgrzymów irlandzkich położył Leon XIII. szczególny nacisk na konieczność używania tylko legalnej broni w walce o swe prawa, bo gwałty i niesprawiedliwości, nawet po ludzku tylko mówiąc, szkodzić muszą a nie pomagają nawet najlepszej sprawie. Patrzcie na przykład niemieckich katolików, napominał Papież; umiarkowaniem i szacunkiem dla prawa wypłynęli szczęśliwie z niebezpiecznego wiru. Podobnie postępujcie sobie w Irlandyi, a za łaską Bożą podobnych skutków doczekacie się.

Łatwo domyśleć się z jakiem uczuciem wolnomularskie Włochy przypatrują się tej, od roku już trwającej międzynarodowej manifestacyi na cześć Stolicy Piotrowej, tym pielgrzymkom, którym przeszkodzić radeby, a nie śmieją, ciągnącym ku uwięzionemu w Watykanie Papieżowi. Kontrmanifestacya urządzona wrzekomo na

cześć Wiktora Emanuela zupełnie się nie udała; obecnie podjęto z nowym zapałem dawniej już rzuconą myśl, wystawienia posągu w Rzymie osławionemu Giordano Bruno i urządzenia z tego powodu całego szeregu manifestacyj, mających w myśli swych promotorów zrównoważyć choć w części wrażenie wywołane w świecie, papieskim jubileuszem. Na rozkaz „wielkiego Wschodu rzymskiego“ stawić się mają w Noli w oznaczonym dniu przedstawiciele wszystkich lóż włoskich, aby wspólnie zatwierdzić swe sympatye „dla wielkiego męczennika idei, swą nienawiść dla jego wrogów“. Biada temu, który głośno odważy się powiedzieć, że myśl stawiania w tej chwili pomnika Giordanowi Bruno, jest jeśli już nie zupełnie nierozumną, to przynajmniej bardzo nie na czasie; choćby to był nawet najgłośniejszy koryfeusz liberalizmu, zostanie z pewnością wyświstany i zbezczeszczony. Doświadczył tego na sobie słynny Bonghi, który niedawno jeszcze cieszył się olbrzymią popularnością, ale skoro ogłosił list otwarty, w którym dowodził, że jest rzeczą nierozumną i niepolityczną podburzać i tak już wzburzone namiętności niepotrzebną agitacyą za tym pomnikiem, został w uniwersytecie rzymskim wyświstanym, i mimo wszelkich usiłowań nie mógł nawet rozpocząć zapowiedzianej publicznej prelekcyi. Nieporządek doszedł do takich rozmiarów, że rząd zmuszonym był zamknąć na pewien czas uniwersytet rzymski. Konieczność ta nie musiała być miłą rządowi Crispiego, ale trudno, uważa słusznie jeden z katolickich dzienników rzymskich: „kto zasiał i wciąż sieje wicher, ten musi się zdecydować na zbieranie burzy“.

Ks. Jan Badeni.

Listy o Rumunii.

Państwo daje w tem zawsze przykład. Przedewszystkiem bawi się państwo dotykaniem wszystkiego, do wszystkiego się miesza, jak gdyby posłannictwem jego było zastępować Opatrzność Boską na ziemi; a stąd obciąża się ogromnem brzemieniem czynności, do których bynajmniej nie było przygotowanem, i którym nie podołałoby żadne państwo w świecie. Stąd znalazło się w potrzebie utwo-

rzenia całej machiny biurokracyi nowoczesnej w wysokim stopniu skomplikowanej i otoczenia się całą kohortą urzędników, która prawdziwą jest klęską społeczną, niemniej jak ekonomiczną i polityczną.

Pomijam ten fakt, który jednak łatwo był do przewidzenia, iż do wielu urzędów brakuje ludzi zdolnych. Państwo z personalu takiego, jakim rozporządza, stara się wyciągnąć należącą sumę usług, a zresztą ani umie, ani chce się zabezpieczyć dostatecznie od sprzeniewierzeń i nadużyć. W ten sposób więcej tu dogadza się ambicyi i chciwości ludzi prywatnych, niżeli służbie publicznej. Oprócz urzędów w właściwem znaczeniu, Państwo wytwarza niezliczone synekury, w które ku powszechnemu zgorszeniu zaopatrują się faworyzowane osoby. Nadto w kraju, gdzie wszystko trzeba było stworzyć, Państwo nie ograniczyło się na instytucyach i dziełach koniecznej potrzeby; owszem takowe zostawiło częstokroć na drugim planie z wielką szkodą kraju; ale z rzeczy zbytecznych, służących do prozopopei i powierzchownej świetności nic nie zaniedbano. Rozumie się, że w mnóstwie przedsięwzięć, jedne się przerwały, drugie upadły, inne były rozpoczynane i doświadczane wielokrotnie bez odpowiedniego rezultatu, nakoniec były i takie, co się jakkolwiek na pierwszy raz udały, lecz następnie dano im upaść dla braku należytej opieki, kierownictwa i poparcia.

Następstwem marnotrawstwa skarbu było powiększenie długu publicznego, oraz podwyższenie podatków różnego rodzaju, posunięte w krótkim przeciągu czasu do ostatecznych granic sił opodatkowanych, i doprowadzone nieraz aż do naruszenia samych źródeł istniejącej produkcyi, jakeśmy to już wyżej nadmienili. Tak np. niemiłosierny monopol wyniszczył w kraju bujne plantacye tytoniu; ustawy skarbowości, jakim poddane zostały napoje wyskokowe, miały najprzód ten skutek, iż właściciele ziemscy nie mogąc użytkować, jak dotąd, drzew owocowych, w pień wycięli je na obszarze całych majątków, i sprzedają je na targach jak drzewo opałowe[1]. Lecz ani wyczerpanie wyjątkowo szacownych zasobów należących bądź do państwa, bądź do gmin, ani osłabienie najpłodniejszych gałęzi dochodu, ani coroczny *deficit* w bilansie, nie były

[1] W tych krajach wyrabiają spirytualia głównie z owoców, jak na Węgrzech śliwowicę. (Przyp. tłumacza).

snać dostateczną pobudką do położenia tamy zbytkowi. Mania rozrzutności utrzymuje się zawsze jednako, jak gdyby ktoś dniem i nocą przemyśliwał nad wyszukiwaniem coraz nowych zbytków.

Wojsko w sposób szczególny stanowi od lat kilku prawdziwą przepaść, pochłaniającą nie już miliony, ale setki milionów, i to bez skontrolowania tych wydatków w parlamencie: zdarza się nawet, jak świeżo był tego przykład, iż kiedy ministeryum zażądało kredytu trzydziestu milionów na pierwsze koszta wojny, uważanej w danej chwili za nieuniknioną, znaleźli się deputowani, którzy z góry oświadczyli gotowość potroić tę sumę, a nawet jeszcze dalej się posunąć. Kadry wojsk rozszerzają się z dnia na dzień, i wielkie mocarstwa Europy zeszłego wieku radeby były módz utrzymać na stopie wojennej tylu żołnierzy, ile ich postawić chce mała Rumunia. To zaś wojsko tak ogromne ma być uzbrojone, umundurowane i ekwipowane, nietylko dostatecznie, ale z takim przepychem i wyszukaniem, żeby zaćmić mogło najwyborniejsze wojska europejskie. Marynarka wojenna ma wspierać je na morzu Czarnem i na Dunaju, a za punkt oparcia ma mu służyć groźny system fortyfikacyj. Obecnie wznoszą się takie fortyfikacye w Bukareszcie w obwodzie przeszło dziesięciu kilometrów, opatrzone stalowemi wieżami ruchomemi, przy których, po dokonaniu kosztownych bardzo prób, nawet pruskie modele okazały się niższemi i zacofanemi. W ciągu zaś tych robót ciągle jeszcze wprowadzają się w planach przekształcenia i zmiany, stosownie do postępów i wynalazków, jakie się robią we Francyi i w Niemczech, w dziedzinie balastyki i materyałów wybuchowych największej siły...

Stan majątków prywatnych jest taki, jak stan skarbu państwa. Nie poprzestając na przyswojeniu sobie wszystkich potrzeb i wymagań życia bogatych narodów starej cywilizacyi, a skądinąd nie otrząsnąwszy się z wielu względów z pewnej primitywności, Rumuni posunęli zbytek do takich rozmiarów, że trudno temu dać wiarę, kto nie patrzył na to własnemi oczyma. Domy okazałe, ze zbytkiem ozdób architektonicznych; kolumny, frontony, wielkie podwoje, okna z szybami z jednej sztuki, meble inkrustowane, porcelany kosztowne; ubrania podług ostatniej mody, drogo przepłacane, (które się jednak często wleką w błocie ulic po kostki); kuchnia zbytkowna, nowalie sprowadzane z najdalszych krajów ko-

leją żelazną; służba domowa liczna, leniwa i marnotrawna; guwernantki i nauczyciele przy synach, (co jednak nie przeszkadza tym ostatnim bawić się z ulicznikami); zabawy i przyjęcia galowe, sklepy bławatne i galanteryjne tak świetne i tak opatrzone, jak w ledwo której ze stolic europejskich, podróże coroczne do wód zagranicznych i t. p. Jednem słowem, wszystko to, czego pozwalają sobie w innych krajach tylko najmożniejsi ze sfery tak zwanej: *high life*, w Rumunii należy do niezbędnych potrzeb rodziny zwykłego urzędniczka, adwokata, profesora gimnazyalnego. Są w każdym kraju bogacze i są rozrzutnicy z profesyi; ale tu wszystkie mniej więcej klasy ogarnął ów szał zbytku i wystawy, i że gdzie idzie o szafowanie pieniędzmi, prawie nikt nie zastanawia się nad tem, do jakiej klasy sam należy.

Pozostawimy już rozwadze czytelnika, na czem skończyć się może podobne wyrzucanie bogactwa publicznego i prywatnego, bez żadnej korzyści dla nikogo, oprócz dla pół miliona Żydów, którzy Rumunię jak robactwo obsiedli i toczą. Tu chcemy wskazać tylko pokrótce, jaki jest w ogóle rozdział własności między różnemi klasami ludności, i zatem jakie są tychże warunki społeczne.

Rumuni nie mieli nigdy arystokracyi w właściwem znaczeniu, po wszystkie czasy bowiem do znakomitszych należał ten tylko, kto się wyróżniał od innych, czyli to bogactwem, czy usługami oddanemi krajowi, głównie zaś w wojnie. Jeżeli dawano czasem tytuły szlachectwa, to te nie były dziedzicznemi, a utrzymywały się w rodach o tyle tylko, o ile powtarzały się, albo trwały powody, co spowodowały nadanie tych tytułów. Za przyjęciem w nowszej epoce zasad francuskiej rewolucyi z 1789 roku zniknęły i tytuły, albo raczej zredukowane zostały do znaczenia pamiątek honorowych; i w ten sposób pod wpływem i dawnych tradycyj nowego prawa, zatarła się wszelka linia demarkacyjna między klasami. Wszelako jak dawne tak i nowe prawo nie zabezpieczyło małych, czyli ludu od przemocy wielkich, tj. możnych, za mało zrobiło dla ulżenia nędzy ludu, dla podniesienia jego poziomu intelektualnego i godności moralnej: te nowe pojęcia zostały przeważnie w sferze abstrakcyi, szkoły ludowe są rzadkie i niepraktyczne, ludzie nawet szlachetniejsi (jakich nie brak między Rumunami), którzy kochają lud i nie małe dlań czynią ofiary pieniężne, zawsze byli tego prze-

konania, iż dość uczynili dla ludu, kiedy pomogli synowi rodziny ubogiej do wyniesienia się ponad swój stan społeczny, o tem zaś nigdy nie pomyśleli, aby sam ten stan polepszyć materyalnie i moralnie podnieść. Stąd profesye niższe pozostają zawsze w pogardzie. Wieśniak, który utrzymuje owocem prac i znojów swoich gmach niezmierny i trudny do objęcia myślą nowych instytucyj, który cierpieniami swojemi opłaca błędy i lekkomyślność rządzących, nie widzi wcale świtającej dla siebie nadziei polepszenia bytu. Nawet zniesienie pańszczyzny i przyznanie włościaninowi na własność uprawianego przezeń kawałka ziemi, nie wiele polepszyło jego byt, bo najprzód to nadanie w Rumunii było bardzo szczupłe, a przytem obciążone zostało wypłatami i podatkami, oraz przez co nieborak zostaje jak przedtem na dyskrecyi właściciela, a nadto i poborcy skarbowego. Poborca za kilka franków zaległości sekwestruje mu krowę, narzędzia rolnicze i kocioł z ogniska. Wreszcie i to się w egzekucyach takich daje widzieć, że samego włościanina wynajmuje egzekutor z licytacyi do robót. Na domiar przychodzą jeszcze niesprawiedliwości administracyi krajowej, chciwej, przedajnej, bez serca i bez sumienia; wszystko to zatruwa goryczą dni biednego rolnika. Formalności biurokracyi krępują mu wszelki ruch, a kiedy chciałby odwołać się do władzy najwyższej, aby znaleść sprawiedliwość, to przedrzeć się, ani przejrzeć nie może komplikacye rządów reprezentacyjnych. Tak więc wolność i prawa konstytucyjne nic nie przyniosły ubogiemu wieśniakowi, tylko to jedno, że tem łatwiej staje się pastwą szalbierzy, wyzyskujących jego imię i siły dla własnych celów. Pozostaje mu pociecha religii; ale pop, biedny podobnie jak on i ciemny, udzielić mu tej w żaden sposób nie umie. Ostatecznie mało uczęszczają biedacy do kościoła, ale natomiast uczęszczają do karczmy, gdzie żyd bezlitośny wyzyskuje jeszcze ich nędzę i miesza witryol do gorzałki, którą stłumić pragną codzienne swe zgryzoty.

Lepszy jest w pewnem znaczeniu los ludu po miastach; ponieważ rzadko się zdarza, aby ten, kto nie jest upadłym na siłach, leniwcem, albo kaleką, nie mógł znaleść pracy. Zresztą miasta obfitują w przedmioty pierwszej potrzeby. Biedak może dość łatwo podnieść się do lepszego bytu, wziąwszy się do prostszych robót przy handlach i w sklepach, nietylko w krótkim czasie byt popra-

wia, ale słyszy przychylne słówka i przyjazne oświadczenia, tak od władz publicznych, jak i od rozmaitych stronnictw, starających się o jego głos dla politycznych i gminnych wyborów. Wśród tych przygotowań do wyborów, zdarza się w dzień biały widzieć bandy zorganizowane z tłumów ulicznych, służące do zastraszenia, niekiedy do pobicia i rozprószenia wyborców, do brania szturmem sali zebrań, do demonstracyi na placach i tym podobnych czynów samowoli. Ci hajdamacy są hojnie opłacani, karmieni i bawieni w restauracyach, wożeni fiakrami na hulatyki; i na tem jeszcze nie koniec, bo dopuszcza im się bezkarnie rabować handle, nawet mścić się za jakieś urazy osobiste, z podeptaniem wszelkich praw i porządku publicznego.

Takiemi sposobami postępowania nigdy się żaden lud nie wykształci na *lud* prawdziwy, ale zawsze pozostać musi *motłochem*. Nadto, pomiędzy nędzą gminu wiejskiego, a zuchwałością gminu miast, wytwarza się coraz groźniejsza nienawiść do klas lepiej uposażonych, a to przygotowuje grunt dla socyalizmu, który niedawno przyniesiony został z krajów obcych i obecnie głosi się otwarcie. Wreszcie potęguje to niebezpieczeństwo w Rumunii rozmnożenie się pewnego proletaryatu, wcale nieznanego pod rządami poprzedniemi. Chcemy tu mówić o tych, którzy łączą potrzeby i wymagania klas najwyższych z nędzą klas najbardziej upośledzonych. Są to ofiary tego zbytku, tej nieprzezorności publicznej i prywatnej, o których mówiliśmy wyżej; ale są to też w wielu razach ofiary tej niestałości w sprawach politycznych, tej zmienności w przedsięwzięciach wszystkich zarządów publicznych; skąd wynika, że nietylko znaczna liczba funkcyonaryuszów, razporaz bywa wyrzuconą na bruk, ale nadto wielu z tych, którzy nie są funkcyonaryuszami, wciągnieni bywają w ruinę skutkiem upadku swoich protektorów, lub prześladowania ich politycznych przeciwników. Kadry armii anarchii tak są wypełnione gotowym żołnierzem i dowódcami, iż więcej życzyćby sobie nie mogli anarchiści francuscy lub niemieccy. Lecz w Rumunii utarte jest zdanie, że przewroty socyalne nie mają tu nigdy nastąpić, i to zdanie wystarcza, aby dzisiejsi wybrańcy fortuny kołysali się dalej spokojnie w złotych snach swoich.

Listy z nad Bałtyku.

XIV.

Bezpośrednie i pośrednie skutki pierwszej nadbaltyckiej wystawy historycznej. — Katalog wystawy. — Restauracya tumu ryskiego. — Epitafium w kaplicy Tyzenhauzowskiej. — Dwa rzekomo historyczne witraże.

W listopadzie 1887 roku.

W ostatnim liście, pisanym dla *Przeglądu powszechnego* w lipcu roku 1886, a z powodów od piszącego niezależnych ogłoszonym zaledwie w zeszytach sierpniowym i wrześniowym roku zeszłego — wspomnieliśmy także, że do najbardziej pocieszających objawów, jakie pierwsza nadbaltycka wystawa historyczna wywołała *bezpośrednio*, należały: zaprojektowane niebawem i w sąsiednich prowincyach podobneż wystawy, których komitety, zawiązane w Mitawie, w Rewlu i w Królewcu, zaznaczyły wyraźnie w odezwach swoich, że zawdzięczają swoje ukonstytuowanie przedewszystkiem wystawie historycznej ryskiej z 1883 roku. Do *pośrednich* lubo nie mniej ważnych skutków tejże pouczającej wystawy należy natomiast odnieść obudzenie zamiłowania ku miejscowym zabytkom przeszłości i wywołanie we wszystkich warstwach społecznych nad Baltykiem żywego w tym kierunku ruchu, jakkolwiek owa pierwsza w tych krajach wystawa historyczna miała przeważnie charakter lokalno-ryski. To też wkrótce po zorganizowaniu komitetu tej wystawy poważne sale gmachu wielkiej giełdy *(Grosse Gilde)* czyli konfraternii kupieckiej przedstawiały osobliwy widok. Zdawało się, iż do tych obszernych komnat gotyckich, poświęconych bądź surowym naradom handlowym, bądź wesołym zgromadzeniom towarzyskim, wkraczały teraz w długim, wspaniałym orszaku czasy dawnej świetności, dawnego przepychu starożytnej Rygi.

W ciągu tych kilku ostatnich tygodni przed otwarciem wystawy niezmordowane dłonie znosiły bez przerwy jedne po drugich cenne tematy z ubiegłej przeszłości: jużto przepyszne sprzęty, naczynia i meble, zbroje najrozmaitsze, stroje paradne, narzędzia mu-

zyczne, jużto drogocenne dokumenty i prastare księgi pargaminowe oprawne w drzewo o długich i ciężkich łańcuchach żelaznych, wiszących u olbrzymich okładek, które niegdyś do stołów kamiennych lub ołtarzy mocno przytwierdzano lub nawet przykuwano; ostrożność ta tem potrzebniejszą była, że zdobią je dotąd miniatury znakomite, mające w każdej literze starannie i pracowicie wykonane dzieło sztuki — mieszczą więc one w sobie skarby nie lada.

Niemal nieskończonym wydawał się zwłaszcza orszak gorliwych współpracowników wystawy, znoszących tam portrety i portreciki najrozmaitszych ichmościów, ichmości i ichmościanek. Niektórzy z tych nie wiedzieć czyich antenatów, nęcili oko majestatycznym układem potężnych loków, odbijających uroczo od bogato rzeźbionych ram złocistych; inne znowu portrety zastanawiały ciekawych przechodniów ubóstwem ram, skromnością peruk, dziwnym kształtem warkoczy i harcapów; a były i takie, co uderzały przepychem pióropuszów i lśniącem od złota ubraniem. W tych ostatnich dopatrywano bądź panujących niegdyś nad Rygą królów polskich i szwedzkich, bądź dawnych namiestników, generał-gubernatorów i innych dygnitarzy głównego nadbałtyckiego grodu.

Wyznać należy, że zadanie komitetu organizacyjnego było nie łatwem. Jeśli ta pierwsza wystawa gromadząca tylko na parę tygodni w jedną całość zabytki przeszłości najrozmaitsze, rozproszone po ciemnych zakrystyach dawnych świątyń gotyckich, po muzeach, bibliotekach, archiwach i zbiorach, stanowiących własność wyłączną licznych stowarzyszeń tutejszych lub też będących po większej części własnością prywatną, — miała istotnie przynieść nauce jaką trwalszą korzyść i jeśli zamierzała wpłynąć na ogólniejsze rozwinięcie zamiłowania do zabytków przeszłości krajowej, należało przedewszystkiem pomyśleć o skrzętnem zanotowaniu i dokładnem opisaniu tych tak licznie nagromadzonych przedmiotów.

I z tej części swego trudnego zadania świetnie się wywiązał komitet wybrany z grona tutejszego Towarzystwa starożytności *Geselschaft für Geschichte und Alterthumskunde der Ostseeprovinzen*, które w rok później uroczyście obchodziło jubileusz swego półwiekowego istnienia, uwieczniony wspaniałymi adresami i dyplomami, jakie otrzymało od niemal wszystkich wybitniejszych insty-

tucyj naukowych tak krajowych jak zagranicznych[1]. Najdobitniej tego dowiódł sprzedawany u wejścia wystawy katalog, zajmujący aż 16 arkuszy druku w formacie wielkiej ósemki, a który i dotąd przechowują starannie biblioteki głównych instytucyj naukowych nie tylko krajowych, ale i zagranicznych. Stanowi on książkę obszerną o 250 stronnicach, którą trudnoby ułożyć w sposób więcej wyczerpujący, bardziej, systematyczny i pouczający, a tych właśnie przymiotów braknie zwykle w tego rodzaju pracach dorywczych, kreślonych najczęściej z wielkim pośpiechem niemal w przededniu otwarcia wystawy. Tem zaś cennem dziełkiem, noszącem skromną nazwę katalogu, imiona organizatorów wystawy zapisały się trwałemi zgłoskami w pamięci wszystkich lubowników starożytności. Zdobi je aż 10 tablic, mieszczących znakomicie wykonane fototypy, z których sążnisty tytułowy przedstawia widok miasta Rygi z czasów polskich (z roku 1612), a dziewięć innych, odbijanych w formacie *in 8⁰ majori*, są wiernymi podobiznami ciekawych malowideł, wspaniałych sreber, rzeźb i medalów[2].

A i samą wystawę urządził komitet z wielką znajomością rzeczy, zwłaszcza w oddziałach pomieszczonych w górnej sali gmachu. Wzrok tu padał na zieleniejące w środku sali obszerne kląby, z których bielały poważne postacie biskupa Alberta I., założyciela Rygi, dzielnego jej obrońcy, mistrza inflanckiego Waltera Plettenberga i wielu mniej sławnych mężów, co atoli dla kraju i miasta wieczyste położyli zasługi; dalej tysiące innych niemych przedmiotów przypominały żywo dawną chwałę i dawne klęski starego grodu.

Nieme to zabytki przeszłości — prawda; każdy wszakże opuszczając wystawę wyznać musiał, że nieme te przedmioty wymowniej przemówiły do serca jego, aniżeli największy krasomowca, pragnący wzbudzić głębokie poszanowanie dla przeszłości dziejowej.

[1] Nie brakło telegramów we wszystkich europejskich językach. Pomiędzy adresami wykonanymi artystycznie były i polskie. Najpiękniejszy z nich pochodził od Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, jak to w swoim czasie opisywał obszernie sprawozdawca dziennika *Rigasche Zeitung*.

[2] Katalog ten systematyczny, podzielony na 17 działów, obejmuje szczegółowy opis 2546 zabytków przeszłości tutejszej. W roku 1883 sprzedawano go u wejścia wystawy za *4 złote polskie* (60 kopiejek). Odkąd przeszedł do handlu antykwarskiego kosztuje co najmniej *4 złote reńskie* (3 ruble).

To poszanowanie znalazło niebawem żywy wyraz w ukonstytuowaniu w tymże czasie wspomnianego już wyżej stowarzyszenia *Dombauverein*, którego jedynym celem jest czuwanie nad umiejętną restauracyą ryskiego tumu, jako najdawniejszego pomnika sztuki chrześcijańskiej w tem mieście i kraju.

To też nie później jak w parę tygodni po zamknięciu owej pierwszej historycznej wystawy nadbaltyckiej, po której szczegóły odsyłamy ciekawszych czytelników do obszernej korespondencyi dziennika *Słowo*, ogłoszonej w roku 1883 w numerach 179, 181, 183, 184, 188, 189, 191 i 194 tego pisma, — nowe życie zawrzało w tejże odwiecznej katedrze ryskiej, której obraz pobieżny jużeśmy w dziesiątym liście naszym wam naszkicowali. Gmach cały uległ wielomiesięcznej, gruntownej restauracyi. Ozdobiono go równocześnie nowymi organami, pozostawiając atoli dawną ich charakterystyczną facyatę. Od czasu jak o tych nowych organach tumu ryskiego głoszą dzienniki powszechnie, że są obecnie największymi na całej kuli ziemskiej, zwabiać już one zaczęły do Rygi takich np. mistrzów jak słynny Guilmant, organista przy kościele św. Sulpicyusza w Paryżu.

Całe szeregi potężnych okien odwiecznego tumu opatrzono w bogate witraże, przedstawiające sceny ze starego i nowego Zakonu, albo odnoszące się do historyi budowy i rozwoju tej najdawniejszej katedry w krajach nadbaltyckich, której wnętrze przy tej sposobności oczyszczone zostało ze szpecących ją nad wszelki wyraz naleciałości protestanckich, o jakich jużeśmy w jednym z poprzednich listów wspominali.

Każdy zwiedzający obecnie starodawny tum ryski zwrócić musi uwagę na epitafium w tak zwanej *Tyzenhauzowskiej kaplicy*[1], które po szczęśliwie dokonanem odnowieniu prawdziwą zajaśniało pięknością i zdumiewające wrażenie wywiera na widzu.

Dopóki boczne kaplice katedry w części zamurowane, a w części wzniesionym później chórem zasłonięte były, nie można było znaleść odpowiedniego punktu, z którego ten wielce ciekawy pomnik dałby się objąć jednym rzutem oka.

[1] Kaplica ta aż do końca XVI. wieku nosiła nazwę: *Die Brauts-Kapelle*, jak to dowiódł i poparł źródłowo Herman br. Bruiningk na posiedzeniu Towarzystwa historycznego, odbytem w Rydze w dniu 13 maja 1887 r.

Po usunięciu wzniesionych na początku bieżącego stulecia, a tak oszpecających świątynię przymurowań wewnętrznych i balkonów najrozmaitszych, zajmujących obie poboczne nawy tumu, okazało się, że pomnik, który w ten sposób znowu odsłonięto, znacznie przez ząb czasu uszkodzonym został. To też nie małych potrzeba było środków, aby tę cenną relikwię sztuki średniowiecznej do dawnej przywrócić świetności.

Że ważna ta sprawa tak prędko załatwioną została, zawdzięcza zarząd tumu oraz zajęty jego umiejętną restauracyą związek *Dombauvereinu* matronie polskiej, obdarzonej prawdziwą miłością sztuki, która skoro dowiedziała się o stanie rzeczy, natychmiast wydała rozporządzenie, aby się zajęto odnowieniem tyzenhauzowskiego epitafium. Matroną tą jest mieszkająca w Warszawie hrabina Marya z Tyzenhauzów Przezdziecka.

Przed laty oglądała ona w tumie ryskim to wspaniałe epitafium, a następnie w zbiorach zmarłego swego brata, Rajnolda hr. Tyzenhauza, znalazła kolorowaną rycinę, która odnowiła w niej wrażenie niegdyś przy oglądaniu tumu doznane.

Raz postanowiwszy zająć się odnowieniem, przysłała pani Przezdziecka do Rygi zdolnego architekta, pana Jerzego Wernera, i poleciła mu, po porozumieniu się z administracyą tumu, przystąpić nietylko do odnowienia epitafium, ale i do przyozdobienia jego najbliższego otoczenia przez umieszczenie przepysznych witraży w obu oknach Tyzenhauzowskiej kaplicy.

Jeśli ukończona już przed dwoma laty restauracya epitafium nęciła wzrok widza bogactwem form średniowiecznej sztuki i polichromicznem wykończeniem, to, po złagodzeniu światła, kiedy owe prawdziwie artystyczne witraże w roku zeszłym wstawione zostały, jeszcze wdzięczniej się przedstawia. Przez wiele miesięcy ciągnęła się restauracya cennego zabytku przeszłości; potrzeba było niejedno, czego brakowało, na nowo wykonać, zepsute poprawić. Dolna szczególniej część pomnika tak dalece była uszkodzoną, że zupełnie na nowo musiała zostać wykonaną.

Trudnej tej pracy podjął się zdolny ryski rzeźbiarz p. Volz; nie zdołałby on wszakże podołać zadaniu, gdyby nie znalazła się w posiadaniu Tyzenhauzów bardzo dokładna kolorowana współczesna rycina; zgodnie z nią, a zatem i z tem jak było pierwotnie,

malarz miejscowy p. Peterson pokrył pojedyńcze cząstki epitafium odpowiedniemi barwami, a inne suto odzłocił. Na czarnem tle występuje napis złotymi literami zdaleka czytelny i objaśnia w języku niemieckim, że: pomnik ten rotmistrz wojsk polskich, oraz podkomorzy króla Jegomości, Kasper Tyzenhaus, swojej w dniu 3 lipca 1611 roku po $2^1/_2$ letniem małżeństwie w wieku 22 lat zmarłej małżonce Maryi Tyzenhauzowej, urodzonej Effern, na grobie położył, który miał kiedyś przyjąć i prochy założyciela. Przytaczamy w przypisku cały ten charakterystyczny tekst w oryginale niemieckim[1]. Inne części pomnika zawierają kilka odpowiednich sentencyj z pisma świętego (Joannes XI., 1 Corinth. XV., Ezechiel XXXVII., Apoc. VII.).

Słupami, herbami i pilastrami otoczona płaskorzeźba przedstawia w środku epitafium u stóp ukrzyżowanego Chrystusa, rodzinę założyciela: jego zmarłą żonę i dwie pozostałe córeczki. Obraz zmartwychwstającego Zbawiciela w bogatem obramowaniu stanowi wyższą część pomnika, poczynającą się od tablicy ze słowami: *Jam jest zmartwychwstanie i żywot* i t. d., a najniższa, właściwie na napis grobowy przeznaczona, mieści w sobie obraz symboliczny śmierci, przecinającej wiosenne pasmo dni rozkwitającego zaledwie

---

[1] Na tablicy od strony lewej czytamy:

„Anno 16 — den — ist der Woledler und Gestrenger Her Casper von Tysenhausen zu Tyrsen und Serbigall Erbgesessen Königl. Majestät zu Pohlen „und Schweden Bestalter Ritmeister und Hoffjunker in Gott sehliglich ent„schlaffen und allhie den — Christl. Weise bestetigt seines Alters im — Jahr".

Na tablicy od strony prawej:

„Anno 1611 den 3 July ist die Woledle und Vieltugendsame Fraw Ma„ria geborne von Effern uff Stolberg und Nerfften Erbhern nachgelassene „hertzlich Tochter zu Laudon seliglich im Herrn entschlafen. Nachdeme sie „nur 2 Jar und 5 Monat mit ihrem Hern Casper v. Tysenhausen in ehelicher „Lieb und Trewe gelebt und 2 Tochterlein gezeuget und ist alhie den 3 Se„ptember begraben ihres Alters im 22 Jahr".

Na kamieniu zaś grobowym czytamy:

„Her Casper von Tysenhausen auf Tyrsen und Serbigal erbgesessen „Königl: Majestät zu Polen u. Schweden bestallter Ritmeister und Hofjuncker „— auf — hat für sich und sein in Got ruhendes hertzlibste Gemahl Frau „Maria gebornen v. Effern diesen Grebstein und dabei aufgerichtetes Epitaphium „zum Begrebniss und ewigen Gedechtniss zufertigen und legen lassen. Anno „16 — den — ".

żywota szczęśliwej, młodej małżonki. W nyżach pobocznych znajdujemy tu piękne symboliczne postacie: *Mądrości i Nadziei.*

To cenne epitafium należy do renesansowego stylu XVI. wieku a dzięki szczodrobliwości polskiej znakomicie odnowione, zajaśnieć mogło znowu w całej swej pierwotnej piękności, którą kosztowne, a wykonane z prawdziwym artyzmem witraże w obu oknach tejże kaplicy, bardziej jeszcze podnoszą. To też na nie każdy miłośnik sztuki kościelnej baczną dzisiaj zwraca uwagę.

Fundatorka nie ograniczyła się na samej pieniężnej ofierze, ale z niezwykłą znajomością rzeczy i prawdziwym zmysłem artystycznym chciała wziąść jeszcze udział w układaniu szkiców i kartonów. Wykonaniem ostatnich architekt pan Werner bardzo się zasłużył, same zaś witraże w Monachium wypalone zostały.

W prawem oknie widzimy pod bogatym gotyckim baldaszkiem założyciela Rygi i jej tumu, biskupa Alberta I., w chwili gdy dostojny pasterz zwiedza miejsce budowy tego pierwszego nad Baltykiem tumu. Architekt trzyma przed biskupem plan przyszłej budowy, dalej wielu robotników zajętych pracą. Motyw szczęśliwie obmyślany nie łatwym był do wykonania, albowiem wprowadzając do obrazu kościelnego grupę ożywioną trudno uniknąć dwóch zwłaszcza szkopułów; zginąć tu może łatwo niezbędny ruch i życie, albo też obraz tego rodzaju utracić może ów spokój, jakiego sztuka kościelna wymaga.

Znakomicie się wszakże wywiązał artysta ze swego zadania. Poważna postać Alberta I. w szacie pontyfikalnej, czerwonej, artystycznie pojęta, a głowa męża, którego czcimy jako założyciela i tumu i grodu tutejszego, jaśnieje prawdziwą powagą. Obok tej głównej postaci i drugorzędne wcale nie zostały zaniedbane. Wybornym na przykład jest braciszek kamieniarską robotą zajęty i bardziej do widza przemawia, niż jego pomocnik niosący szaflik z wapnem.

Jeszcze więcej zachwyca obraz na szkle drugiego okna w tejże kaplicy.

Wiadomem jest powszechnie, iż sztuka średniowieczna — a nawet późniejsza, sięgająca początku XVII. stulecia — lubiła przedstawiać założycieli kościołów albo tych, których pamięć w domach Bożych uczcić chciała, w postaci modlących się u stóp Boga

rodzicy lub ukrzyżowanego Chrystusa. I tutaj, odpowiadając ściśle wymogom sztuki średniowiecznej, ukazuje się przeczysta Dziewica stojąca na półksiężycu a otoczona aniołami, głoszącymi Jej chwałę w sposób najrozmaitszy. Większość ich opatrzona w narzędzia muzyczne. U stóp tej uroczej grupy, jaśniejącej wśród obłoków chwałą niebieską, roztacza się, stanowiąc jakoby tło główne obrazu, widok Tyzenhauzowskiego niegdyś zamku, słynnej w dziejach *Kokenhuzy*. Na głównym zaś planie panuje od strony prawej wspaniała stojąca postać kawalera mieczowego w pełnej zbroi, który wzniósłszy oczy ku niebu zdaje się błagać o błogosławieństwo Matki Bożej. Jest to *Engelbert de Tysenhus*, pierwszy rycerz tego imienia w krajach nadbałtyckich, a biskupa Alberta I. bliski krewny. Na lewo, w postaci klęczącej, w fałdzistej todze średniowiecznej obramowanej futrem, spostrzegamy zmarłego w roku 1881 brata hrabiny Przezdzieckiej, Rajnolda Tyzenhauza, na którym wygasła w męskiej linii polska gałąź domu Tyzenhauzów, a którego przodek — wzmiankowany wyżej Kasper Tysenhausen, obok wielu członków tego rodu, spoczywa w tejże kaplicy. W środku pomiędzy Engelbertem de Tysenhus a hrabią Rajnoldem Tyzenhauzem, który tu przedstawiony jest jako coś przemawiający, widzimy zwróconą do widza postać modlącego się dziecięcia. Szczególniej postać ta udała się malarzowi zarówno w całym układzie, jako też w pobożnym wyrazie pięknej twarzy. Szczegóły ubrania prześlicznego chłopaka, zwłaszcza ciemny aksamit i bogate koronki przypominają swem wykończeniem mistrzowski pędzel Winterhaltera. Dziecię to przedstawia wnuka hrabiny — małego Jana Przezdzieckiego, który po dojściu do pełnoletności ma przyjąć nazwisko Tyzenhauzów. Dwaj młodsi jego bracia — Konstanty i Stefan — okazują się w uroczej grupie Aniołków otaczających Maryą i obaj koronę nad jej głową trzymają.

Obraz Bogarodzicy w tem miejscu przypomina zwiedzającym tum ryski, że pod wezwaniem Tej, którą kraje inflanckie — zwane niegdyś *terra Mariana* — czciły jako patronkę swoją, biskup liwoński Albert I. prastary ten kościół katedralny raz na zawsze poświęcił. W tej zwłaszcza kaplicy tumu, nad grobami Tyzenhauzów, przypomina jeszcze obraz Maryi, że nie jeden członek tego rodu, jako wielki chorąży inflancko-krzyżackiego zakonu, nietylko uważał za cześć nieść chorągiew Maryi, ale tej czci godnym się

okazał, że tylko przytoczę owego Jana de Tysenhus, który 1279 roku w nieszczęśliwej bitwie pod Aszradą padł w obronie tej chorągwi *(Marienfahne)*, która z rodu Tyzenhauzów odtąd już nigdy nie wychodziła. Nakoniec wyobrażona tu Niepokalana Dziewica ma dla Inflant i Rygi jeszcze inne głębokie znaczenie. Tak samo bowiem jak tutaj na półksiężycu stojącą, z głową uwieńczoną koroną, widzimy Niepokalaną Maryę na pieczęciach ryskiej katedry, na zakonnych pieniądzach z czasów hermistrza Plettenberga, a także na znanej powszechnie płaskorzeźbie zdobiącej dotąd wewnętrzny dziedziniec ryskiego zamku, i dziwnym zaiste sposobem w czasach obrazoburstwa tam ocalałej, wraz z charakterystycznym napisem w minuskułach gotyckich:

O Mater Dei memento mei
Wolter Plettenbaerch Mester
To Liflande Dusche Ordens
Anno Dni MCCCCCXV.

Też same słowa: *O Mater Dei memento mei!* zdają się i tutaj pobożnie wymawiać troje osób składających grupę dolną na pierwszym planie artystycznie pojętego i po mistrzowsku wykonanego witrażu.

Grupa wyższa tegoż wspaniałego obrazu na szkle wykonaną została podług szkicu zrobionego z malowidła, znajdującego się w Plettenbergowskim zamku Nordkirchen w Westfalii, które przedstawia inflanckiego hermistrza Plettenberga u stóp Maryi, niosącego Bogu modły dziękczynne za tak stanowcze zwycięstwo odniesione pod Pskowem w roku 1502, że niebezpieczeństwo przesiedlenia krajowców do Moskwy zupełnie usuniętem zostało, a samodzielność zakonno-rycerskiego państwa nadal zapewniona.

To też tak głęboko obmyślany obraz, obok wysokiej wartości artystycznej, oprócz tego, że jest prawdziwem dziełem sztuki, będzie miał zawsze dla krajów nadbałtyckich także i wartość pamiątkową niezwyczajnej doniosłości.

Obydwa witraże tak zwanej Tyzenhauzowskiej kaplicy odznaczają się siłą i poprawnością rysunku, obok starannego obrobienia szczegółów. Do niektórych barw, na przykład do czerwonej, przystosowano tu nader szczęśliwie średniowieczną mozaikę szklanną w taki sposób, który i dotąd podziwianym bywa na najdawniej-

szych witrażach katedry kolońskiej, oraz kilku starszych oknach tumu św. Szczepana w Wiedniu. Koloryt dziwnie harmonijny, jaśniejący prawdziwem ciepłem, tony godne pędzla mistrzowskiego z czasów najpiękniejszej epoki włoskiej, a przytem cechuje oba witraże powaga i szlachetność najcenniejszych fresków. Nic więc dziwnego, że ściągają one bezustannie wielbicieli i z bliska i z daleka.

Wspaniałe te okna wymagają koniecznie ścian polichromowanych; brak też ich czuć daje słusznie związkowi *Dombauverein* członek jego najwielostronniej wykształcony, baron Herman Bruiningk, w artykule, ogłoszonym w roku zeszłym w dzienniku *Zeitung für Stadt und Land*, w którym, zwracając uwagę na to, że główne nawy tumu ryskiego mogą czas jakiś i nadal utrzymać się ze swoim ze wszelkich ozdób ogołoconym tynkiem, wszakże należy dać początek polichromii na ścianach przytykających do opisanych powyżej wspaniałych witrażów fundowanych przez hrabinę Przezdziecką, gdyż ściany te stanowią niemal odrębną boczną kaplicę i dla tego całość a raczej ogólna harmonia odwiecznego tumu, którą usiłuje przywrócić związek *Dombauvereinu*, nic by na tem nie straciła. Jako przykład przytoczył pan Bruiningk kaplice *Karin Mansdotter* i *Evert Horn* w tumie szwedzkiego miasta Abo. Wymienia on słusznie ten zbór protestancki zamiast szukać przykładów w tumach katolickich, a to dla tego, ażeby odeprzeć zarzut zbyt zagorzałych protestantów, że rzekomo w świątyniach luterskich ściany malowane nigdy nie bywają cierpiane. Wyznać zresztą należy, że ważność sztuki i jej potrzebę w domach służbie Bożej poświęconych, uznają dziś coraz bardziej akatolicy prawdziwie myślący, powołując się niejednokrotnie do znanych słów Diderota: „zaprzeczyć „się nie da, że w sztuce kościelnej mieści się wielkość i powaga „uroczysta a wzniosła“.

Ostatniemi czasy przyozdobiono dwa inne okna tejże północnej nawy bocznej witrażami rzekomo historycznymi, wykonanymi w tym samym słynnym monachijskim zakładzie sztuki kościelnej Mayera, z którego znakomitej pracowni wyszły opisane powyżej szkła artystyczne historycznej kaplicy Tyzenhauowskiej.

Jedno z tych najnowszych malowideł na szkle przedstawia hermistrza Plettenberga wydającego w roku 1527 Ryżanom na placu katedralnym przywilej w zamian przyznania zakonowi krzyżacko-in-

flanckiemu jedynowładztwa *(Recess vom 15 Juni 1526 durch welchen Plettenberg die Alleinherrschaft des Ordens in Livland zugleich mit der Unabhängigkeit von Preussen erlangt)*, drugie zaś ma przedstawiać uroczyste przyjęcie w dniu 16 września roku 1621 króla szwedzkiego Gustawa Adolfa u drzwi tumu ryskiego, w którym — zdaniem malarza — Ryżanie tegoż dnia słuchali na intencyę zwycięzkiego Szweda hymnu *Te Deum laudamus*, ażeby w dni dziewięć później temuż królowi złożyć przysięgę na wierność, którą istotnie wykonano na placu ratuszowym w dniu 25 września 1621 roku.

Zważywszy tę okoliczność, że Plettenberg — jak powszechnie wiadomo — doręczał ów przywilej Ryżanom nie na placu katedralnym, lecz w zamku ryskim, dokąd w tym celu zwołano ich starszyznę w dniu 15 czerwca 1526 r., a zważywszy także, że króla szwedzkiego Gustawa Adolfa przyjmowali Ryżanie na owe przymusowe *Te Deum* nie w tumie ryskim, ale w dawnym farnym Kościele noszącym i dotąd nazwę *Die Stadtkirche zu St. Peter*, — wyznać musi każdy widz nie zaślepiony, iż zwłaszcza sam układ tych obu najnowszych obrazów na szkle, wiele i bardzo wiele pozostawia do życzenia.

Zimne to i nudne, chociaż przez monachijski zakład sztuki kościelnej znakomicie wykonane a i nieudolne kontury pierwotnych szkiców zastąpione rysunkiem prawdziwie poprawnym.

I nic w tem dziwnego, albowiem nieestetyczne grupy mieszczan ryskich poprzybieranych w czarne togi fałdziste, nie wyróżniające ich w niczem od nie mniej nie malowniczych postaci protestanckich predykantów, a także grupy dzieweczek w białych szatach i wieńcach koloru fijołkowego na głowie a z wiankami ze sztywnych nieśmiertelników w ręku, przypominających żywo paryską *rue de la Roquette*, — nawet i przy największym wysiłku znakomitego monachijskiego zakładu witrażów kościelnych nie zdołały wytworzyć owej harmonii barw, jakiej bezwarunkowo wymagają malowidła wykonywane na szkle.

Nadto zaś, kartony i szkice pierwotne do tych pseudo-historycznych obrazów są pomysłem bądź nieudolnych dyletantów, bądź miernego drezdeńskiego malarza — niejakiego Antoniego Dietricha, który w ciągu lat ostatnich układał także szkice do kilkunastu okien

południowej nawy przybocznej tegoż odwiecznego tumu, przedstawiając tam w sposób dosyć niefortunny rozmaite epizody z historyi biblijnej Starego i Nowego Zakonu na tle jasno niebieskiem w obramowaniu zielono-żółtem, przypominającem poniekąd jajecznicę upstrzoną trybulką, jak to trafnie zauważył jeden ze słynnych architektów zagranicznych.

Ponieważ zaś do tych najnowszych tak zwanych *witrażów historycznych*, — którym nawet miejscowi protestanci dają miano nader charakterystyczne: *fingirte historische Bilder* — i sam motyw niefortunnie został wybrany, i wykonanie pierwotnych do nich szkiców i kartonów zostało powierzone malarzowi nie mającemu oczywiście najmniejszego pojęcia ani o wymaganiach sztuki kościelnej, ani też o prawdzie historycznej, z którą się tu niestety na każdym niemal kroku najzupełniej rozmija, — oba te utwory nieudolne i blade, w braku głębszych zalet artystycznych, tem pono głównie poszczycić się mogą, że cokolwiek mniej pochłaniają światła niż opisane powyżej malowidła w oknach Tyzenhauzowskiej kaplicy.

To też ku nie małej naszej uciesze nawet i sam chwalca donatorów owych dwóch ***fingirte*** *historische Bilder* nie zdołał się zdobyć w dzienniku *Rigasche Zeitung* na inną o nich wzmiankę jak ta, którą tu dosłownie przytaczamy: *Die neuen Glasgemälde in dem Nordseitenschiff des rigaschen Doms* — są jego słowa — *sind, das muss man sagen,* ***im Allgemeinen*** *recht gelungen und in viel helleren Farben als die Tiesenhausenschen Gemälde ausgeführt, so dass sie der Domkirche nicht all zu viel Licht entziehen.*

Cały szereg innych witrażów w oknach południowej nawy pobocznej tumu ryskiego nie tylko ułożony ale i wykonany w Dreznie, a przedstawiający wyłącznie malowidła treści czysto religijnej, nie odznacza się zgoła pod względem sztuki, lubo tę nie zaprzeczoną ma zasługę, że przyczynia się i on nie mało do ożywienia ogołoconej z dawnych wspaniałych ozdób tej katolickiej niegdyś katedry.

Gustaw Manteuffel.

Korespondencya Redakcyi.

W-mu Ks. Proboszczowi w Sieliskach.

Wdzięczni jesteśmy za tak żywe zainteresowanie się naszym artykułem. Listu w całości nie umieszczamy, ponieważ to nie jest spór o fakt ale o ocenę literacką — a powtóre, przy tłumaczeniu tego listu na polskie, moglibyśmy mimowoli niedokładnie oddać myśli Sz. Ks. Proboszcza.

Zresztą nie sądziliśmy autora owych Поезій, tylko same poezye, i to z punktu poetyckiego, z którego nie można żądać ścisłości teologicznej. A w końcu, na pewien brak rozumienia i poczucia wiary u autora zwróciliśmy w recenzyi uwagę.

Druk ukończony dnia 27 lutego 1888.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Strounica.

Jubileusz Leona xiii. (Dodatek) I

Listy z Chyrowa. Przez *Ks. H. Jackowskiego T. J.* 73, 209

Nauka religii w galicyjskich szkołach średnich. Luźne uwagi byłego katechety. Przez *Ks. Dr. Zygmunta Lenkiewicza* 283

Słowo o naszych statystykach ekonomicznych. (Z powodu poruszonej sprawy szpitali). Przez *Dr. W. K.* 310

Artykuły naukowe i literackie.

Z dziejów wołyńskiego Gródka. Przez *Tadeusza Jerzego Steckiego* 1

Stosunek Państwa Pruskiego do Kościoła. Przez *Ks. Augustyna Arndt'a T. J.* (dok.) 21

Źródła historyczne Wschodu odnośnie do Pisma św. II. Asyryologia. Przez *Ks. Wł. Zaborskiego T. J.* 35, 156, 299

Ks. Stan. Chołoniewski w Rzymie. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 55, 189, 331

Cuda i ich znaczenie w dziejach objawienia. Przez *Ks. Antoniego Langera T. J.* 145, 350

Stronnica.

OO. Redemptoryści w Polsce. (c. d.) Przez *Ks. Z. Bartkiewicza T. J.* 129, 315

Zapiski z podróży po Indyach. Przez *Mgra Władysława Zaleskiego* 175, 361

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Ksiądz Waleryan Kalinka. Przez *Stan. Tarnowskiego* . . . 85

O pracach przygotowawczych do historyi prawa kanonicznego w Polsce. Napisał *Bolesław Ulanowski. (Ks. Stan. Załęski T. J.)* 90

Szkice. *Adama Szymańskiego* 92

Przechadzki po Rzymie. Wrażenia i wspomnienia. Przez *A. D. (Ks. Jan Badeni T. J.)* 93

Z zeszłorocznej literatury małoruskiej. Przez *W. M.* . . 225

Поезіи. Володимір І. Масляк. (Poezye *Włodzimierza Maślaka*) . 237

Z literatury kalendarzowej 239

Przegląd najważniejszych prac na polu historyi kościelnej, wydanych r. 1887. Przez *Ks. Dra Chotkowskiego* 366

Sylwetki i szkice literackie. Przez *Maryana Gawalewicza* . 386

Nowelle. Przez *A. J. Sękа* 387

Żywot św. Antoniego z Padwy. Przez *O. Prokopa Kapucyna* 388

Przewodnik (większy) do reguły III-go zakonu św. Franciszka Serafickiego, etc. Wydał *Brat Albert* III. Zakonu. *(Ks. M. M.)* 388

O chrześcijańskiem wychowaniu dzieci. Sześć nauk *Ks. Dr. Wład. Chotkowskiego* 389

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Parcival, Faust, Job und einige andere verwandte Dichtungen. Von *G. Gietmann S. J. (Ks. A. Arndt T. J.)* 94

Monarchs I have met. By *W. Beatty Kingston* 99

Branschweigische Schulordnungen von den ältesten Zeiten bis zum Jahre 1818 mit Einleitung, Anmerkungen Glossar und Register. Herausgegeben von prof. *Friedrich Koldewey.* 100

Lettere di S. Alfonso Liguori fondatore della Congr. del Ssmo Redentore, *Vescovo di s. Agata de'Goti* e Dottore di s. Chiesa, publicate nel primo Ceriontena della sua beata morte per un Padre della Stessa Congr. Parte I. Corrispondenza generale. Vol. I. Roma 1887. 101

Z literatury francuskiej. Pierwszorzędne znaczenie książek i literatury francuskiej. — Poezya. — Trzy szkoły poetyczne. — Zapiski Wiktora Hugo. — Publikacye historyczne. Allard: „Histoire des persécutions“. — Tolerancya chrześcijan w III. wieku; jej przyczyny według wyjaśnień Allarda; przekształcenie się prześladowania religijnego polityczne. — Dwie książki o niewoli Piusa VII. — Literatura napoleońska: zbyt czarne i zbyt jasne portrety. — Marya Ludwika a królowa Westfalska. — Wspomnienia, pamiętniki, pogadanki, korespondencye 240

Stronnica.

Einleitung in die heiligen Schriften Alten und Neuen Testaments. Von *Dr. F. Kaulen (Ks. A. Arndt T. J.)* 390
Robert Grosseteste, Bischof von Lincoln. Von *Dr. Joseph Felten. (Ks. A. Kraetzig T. J.)* 391
Academia Cesarea Romano-Catholica Ecclesiastica Petropolitana 392

Z pism czasowych:

Z „Czasu". — Z „Nowej Reformy". — „Bonus Pastor" i „Wiadomości kościelne" 102
Z „Przeglądu polskiego". — „Kuryer krakowski". — „Kłosy". 252
Z Ateneum 393

Rozmaitości:

Programy Kroniki Rodzinnej 105
Nowa Biblioteka uniwersalna 395

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Styczeń.

Sprawy Kościoła: Kwestya rzymska w delegacyach austryackiej i węgierskiej. — Wiec katolików węgierskich. — Adres wyższej izby Badeńskiej. — Hiszpańska mowa tronowa. — Przejście lorda Lyonsa na łono Kościoła katolickiego. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 106
Wspomnienie z Wrocławia: Skarbiec katedralny. — Nowo odkryte pomniki biskupów wrocławskich. Przez *Ks. Ign. Polkowskiego* 113
Listy o Rumunii III. 122
Protestanckie misye wedle zeznań protestanta 126

Luty.

Obchód jubileuszu papieskiego: Uroczystości jubileuszowe w Austryi — Adres uniwersytetu krakowskiego. — Wiece jubileuszowe w Niemczech. — Mowa Windthorsta. — Msza papieska u św. Piotra. — Otwarcie wystawy watykańskiej. — Hołdy królów i ludów. — Pielgrzymki. — Mowa Ojca św. do pielgrzymów włoskich. — Prasa zagraniczna o jubileuszu i jego znaczeniu. — Prasa włoska. — Nieudane kontrmanifestacye. — Złożenie z urzędu syndyka Rzymu, księcia Torlonii. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* . . . 257
Listy o Rumunii. IV. 271
Z Berlina 275
Towarzystwo św. Wojciecha w Tarnowie 280

Stronnica.

Marzec.

Sprawy Kościoła: Wniosek szkolny ks. Liechtensteina. — Agitacya przeciw wnioskowi. — Petycye za wnioskiem. — Pielgrzymki do Rzymu. — Projekt postawienia pomnika dla Giordano Bruno. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* . 396
Listy o Rumunii: IV. 406
Listy z nad Bałtyku: XIV. Bezpośrednie i pośrednie skutki pierwszej nadbałtyckiej wystawy historycznej. — Katalog wystawy. — Restauracya tumu ryskiego. — Epitafium w kaplicy Tyzenhauzowskiej. — Dwa rzekomo historyczne witraże. Przez *br. Gustawa Manteuffla* 412

Wydawca i redaktor odpowiedzialny Ks. M. Morawski. T. J.